

Wolność i Solidarność

STUDIA Z DZIEJÓW OPOZYCJI WOBEC KOMUNIZMU I DYKTATURY

Wolność i Solidarność

Studia z dziejów opozycji wobec komunizmu i dyktatury

ISSN: 2082-6826

Rada Naukowo-Programowa:

Anne Applebaum, Jerzy Eisler, Andrzej Friszke, Paweł Golak, Aleksander Hall,
Jerzy Holzer, Jacek Kołtan, Ireneusz Krzemiński, Andrzej Paczkowski,
Aleksander Smolar, Edmund Wnuk-Lipiński

Redakcja:

Andrzej Kaczyński, Jakub Kufel (sekretarz), Przemysław Ruchlewski,
Jan Skórzyński (redaktor naczelny), Małgorzata Strasz

Wydawca:



Adres Wydawcy:

Europejskie Centrum Solidarności
ul. Doki 1, 80-958 Gdańsk
tel. (058) 767 79 71, fax (058) 767 79 78
e-mail: ecs@ecs.gda.pl

Projekt graficzny i skład: Piotr Białas / www.tatastudio.pl

Korekta: Małgorzata Strasz

Druk i oprawa: OZGraf

Nakład: 1000 egzemplarzy

SPIS TREŚCI

4 OD REDAKTORA

OD DYKTATURY DO DEMOKRACJI

- 7 **ADAM MICHNIK** Między rekonyliacją a rekonkwistą
12 **MARIO SOARES** Z podniesioną głową

WYKŁADY GDAŃSKIE

- 17 **ALAIN TOURAINE** Socjologia wolności

STUDIA

- 25 **ŁUKASZ GARBAL** Jak powstawał List 34
51 **KAMIL DWORACZEK** Studenci 1981. Strajk radomski
65 **GRZEGORZ MAJCHRZAK** Próba generalna. Atak na WOSP – grudzień 1981

INTERPRETACJE

- 73 **ADAM MIELCZAREK** Scenariusz bez alternatywy? Zapomniana lekcja pierwszej Solidarności

DYSYDENCI

- 80 **MACIEJ STASIŃSKI** Czekając na śmierć dyktatora. Opozycja demokratyczna na Kubie
90 **DROGA NARODU**
94 **RAFAŁ SADOWSKI** W cieniu Łukaszenki. Opozycja na Białorusi

SPRAWA „JEDENASTKI”

- 104 **JAN SKÓRZYŃSKI** Odrzucona propozycja. Rozmowy o uwolnieniu przywódców Solidarności 1983–1984
113 **BRONISŁAW GEREMEK** Doradcy i więźniowie
131 **ROZMOWY W CHYLICACH**
141 **Z ARCHIWUM MSW**

W OCZACH BEZPIEKI

- 153 **SOLIDARNOŚĆ I AFL-CIO**
156 **KAROL MODZELEWSKI** Włoski łącznik

SALON KULTURY NIEZALEŻNEJ

- 160 **PAWEŁ SOWIŃSKI** Jan Walc – w pierwszej linii
167 **JAN WALC** My, Wolna Wałkowa
181 **„NIC NIE WSTRZYMA RUCHU WAŁKA”**. Rozmowa z Zenonem Pałą

SYLWETKI

- 185 **MICHAŁ PAZIEWSKI** Józef Gawłowicz

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

- 192 **MARCIN KRÓL** Europa i my

EX LIBRIS

- 198 **TOMASZ ŁUBIEŃSKI** Emocje życia, emocje literatury
204 **JERZY HOLZER** KOR w oczach historyka
208 **PAWEŁ SOWIŃSKI** Kuroń, czyli etos polskiej inteligencji
214 **ANDRZEJ WIELOWIEYSKI** Wąska ścieżka
219 **TOMASZ WIŚCICKI** Sukces i klęska realistów
223 **ANDRZEJ KACZYŃSKI** Spisane będą czyny i rozmowy...

OD REDAKTORA

25 kwietnia 1974 r. dwadzieścia minut po północy portugalskie Radio Renascença nadało piosenkę *Grandola, Villa Morena*. Był to decydujący sygnał – pierwszym był utwór *E Depois do Adeus* wyemitowany o godzinie 22.55 przez radio RCP – do rozpoczęcia operacji obalenia dyktatury. W ciągu następnej doby panujący od 48 lat reżim, którego głównym filarem była armia, został usunięty przez zbuntowanych wojskowych z Ruchu Sił Zbrojnych (MFA). Upadek systemu autorytarnego zbudowanego w Portugalii przez Antonio Salazara był niemal bezkrwawy i przebiegł zaskakująco łatwo. Znacznie trudniejszym zadaniem okazało się ustanowienie stabilnej, pluralistycznej demokracji. W ciągu następnych dwóch lat kraj przeżył ofensywę skrajnej lewicy, strajki i demonstracje, konfiskatę wielkiej własności ziemskiej i przemysłowej, sześć rządów, dwóch prezydentów i kilka prób zamachu stanu. Partia komunistyczna, wspierana przez radykalne skrzydło MFA, była bliska przejęcia władzy. Zachodni sojusznicy Portugalii – członka założyciela NATO – widząc rosnącą pozycję komunistów w rządzie, armii, mediach i związkach zawodowych, obawiali się, że Lizbona dostanie się pod wpływ Moskwy. W październiku 1974 r. sekretarz stanu USA Henry Kissinger oświadczył goszczącemu w Waszyngtonie Mario Soaresowi, który pełnił wówczas funkcję ministra spraw zagranicznych, że jego kraj jest najprawdopodobniej stracony dla Zachodu. Gdy Soares zaprotestował, usłyszał, że jest portugalskim Kiereńskim. Ale ja nie chcę być Kiereńskim – oświadczył Soares. Kiereński też nie chciał – odparł Kissinger.

Tym razem jednak autora *Dyplomacji* zawiodła przenikliwość. W portugalskiej rewolucji bolszewików pokonali mienszewicy. Socjaliści pod wodzą Mario Soaresa wraz z grupą umiarkowanych wojskowych wygrali próbę sił z prosowieckimi komunistami Alvaro Cunhala. Tę historię lider socjalistów przypomnieli podczas debaty z Adamem Michnikiem w Lizbonie na temat dróg wiodących *Od dyktatury do demokracji*, którą publikujemy w tym numerze „Wolności i Solidarności”.

Czy i kiedy uda się zbudować demokrację na Kubie? Ponad pół wieku komunistycznych rządów całkowicie zrujnowało wyspę, spustoszyło życie materialne i duchowe Kubańczyków. A jednak mimo bezlitosnych represji, jakimi dyktatura braci Castro odpowiada na każdą próbę opozycji, wciąż odradzają się tam środowiska niezależne. Dramatyczną historię kubańskich niepokornych przedstawia Maciej Stasiński (*Czekając na śmierć dyktatora*). Publikujemy także podstawowy dokument programowy dy-

sydentów z Hawany (*Droga narodu*). W cieniu innego dyktatora – Alaksandra Łukaszenki – działa opozycja białoruska. Ustanowiwszy niepodległość w 1991 r., Białoruś już po kilku latach dostała się w ręce dyrektora sowchozu z czasów sowieckich, zręcznego demagoga i populisty. Łukaszenka jest dobrym uczniem szkoły komunistycznej – nie przebiera w środkach, by władzy raz zdobytej nie oddać nigdy. Jego oponenci narażeni są na szkany, pobicia, procesy polityczne, a nawet skrytobójstwa. W świecie postkomunistycznym brutalność dyktatora z Mińska da się porównać jedynie do krajów Azji Środkowej, gdzie dawni sekretarze partii przeistoczyli się w dożywotnich prezydentów, tworząc w miejsce komunistycznej nomenklatury system dziedzicznej oligarchii. O białoruskiej opozycji politycznej, która próbuje podważyć jednoosobowe rządy szefa państwa, pisze Rafał Sadowski (*W cieniu Łukaszenki*).

Prehistorię polskiej opozycji demokratycznej przedstawia Łukasz Garbał w studium o Liście 34. Ogłoszony w marcu 1964 r., podpisany przez znakomitych pisarzy i naukowców memoriał był pierwszym protestem przeciwko polityce władz komunistycznych od czasu demonstracji po zamknięciu tygodnika „Po Prostu” w 1957 r. W jego przygotowaniu główną rolę, obok Antoniego Słomskiego, odegrał Jan Józef Lipski, potem jeden z założycieli Komitetu Obrony Robotników, ważna postać Solidarności i Komitetu Obywatelskiego. Jego wieloletnie zaangażowanie opozycyjne, którego początek można datować na pierwsze lata powojenne, obrazuje długie trwanie polskiej niepokornej inteligencji.

W dziale „Świadectwa” prezentujemy nieznaną dotychczas relację Bronisława Geremka z 1984 r. (*Uwolnić „jedenastkę”*). Geremek wraz z innymi doradcami Solidarności i z poparciem episkopatu prowadził na przełomie lat 1983 i 1984 grę o uwolnienie więzionych od 13 grudnia 1981 r. przywódców ruchu demokratycznego. Były to wielostronne negocjacje, oprócz pertraktacji z władzami za pośrednictwem Kościoła obejmowały

spotkania z aresztowanymi kolegami (wziął w nich udział m.in. Lipski). Propozycja wolności w zamian za milczenie w sprawach publicznych została odrzucona. Solidarnościowi liderzy, przed którymi otwarto drzwi cel, nie chcieli się zgodzić na zamknięcie ust. Ten opozycyjny pryncypializm, którego rzecznikiem był od początku Adam Michnik, okazał się najlepszą polityką – kilka miesięcy później komuniści i tak wypuścili wszystkich więźniów politycznych.

Jednym z najbardziej pryncypialnych autorów opozycyjnych był Jan Walc. Pisał do wielu tytułów niezależnych – „Biuletynu Informacyjnego” i „Głosu”, „Zapisu” i „Krytyki”. Wszędzie z równą swadą piętnował nie tylko funkcjonariuszy reżimu, ale też oportunizm i tchórzostwo ludzi, którzy pozwalali wykorzystywać swój autorytet i nazwisko do legitymizowania systemu PRL. Jako jeden z pierwszych odrzucił pseudonim, którym podpisywał swoje teksty wydawane poza cenzurą, wzywając do tego innych. Był twórcą obiegu niezależnego także jako drukarz; wiele publikacji Niezależnej Oficyny Wydawniczej powstało w piwnicy jego domu rodzinnego. Orędownik etycznego maksymalizmu stawiał swoim kolegom z opozycji, a później z Solidarności najwyższe wymagania. Zmarł wkrótce po odzyskaniu wolności – jego głosu brakuje dzisiejszej polskiej demokracji. Szkic Pawła Sowińskiego o Janie Walcu uzupełnia jeden z najlepszych reportaży jego bohatera *My, Wolna Wałkowa*, opisujący pracę podziemnych drukarzy. Jest także rozmowa z Zenonem Pałką, przyjacielem Walca, współpracownikiem NOW-ej i pionierem opozycyjnej sztuki drukarskiej. Inną piękną postacią opozycji demokratycznej – Ankę Kowalską – przypomina Tomasz Łubieński w szkicu *Emocje życia, emocje literatury*.

Europejskie Centrum Solidarności organizuje od ubiegłego roku na Uniwersytecie Gdańskim serię wykładów polskich i zagranicznych uczonych na temat idei solidarności. Jednym z pierwszych zaproszonych gości był słynny francuski socjolog Alain Touraine. W latach 1980–1981 przeprowa-

dził wraz z grupą polskich socjologów wielkie badanie ruchu Solidarność i jego uczestników (polskie wydanie podsumowania tych badań, *Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, ukazało się niedawno nakładem ECS – w trzecim numerze „Wolności i Solidarności” pisał o nim Ed-

mund Wnuk-Lipiński). O tym, jak ważne było dla niego to naukowe i obywatelskie doświadczenie, Alain Touraine wspomina w wykładzie, który publikujemy.

Jan Skórzyński

OD DYKTATURY DO DEMOKRACJI

MIĘDZY REKONCYLIACJĄ A REKONKWISTĄ

ADAM MICHNIK

Pierwsze pytanie, które należy postawić w rozmowie o dyktaturach, byłoby takie: jaka to dyktatura? Używając języka debaty hiszpańskiej: czy to jest *dictadura*, czy *dictablanda* (łagodniejsza, mniej represyjna odmiana reżimu dyktatorskiego)?

Dyktatura, o której dzisiaj chcę mówić, to *dictablanda*. Dla zilustrowania różnych dróg od dyktatury do demokracji w Europie niech wolno mi będzie zacytować mojego kolegę, dr. Jana Skórzyńskiego, który badając archiwa naszych służb specjalnych, znalazł policyjny zapis podsłuchu prawdopodobnie w moim mieszkaniu, gdy w 1975 r. rozmawialiśmy z przyjaciółmi o rewolucji w Portugalii. Wyrażaliśmy lęk, żeby po obaleniu dyktatury Salazara² w Portugalii nie zwyciężyły siły lewicowo-totalitarne, czyli jakaś koalicja partii komunistycznej Alvaro Cunhala³

¹ Debata Adama Michnika i Mario Soaresa odbyła się 25 XI 2011 r. podczas konferencji „Od dyktatury do demokracji: doświadczenie i przyszłość” zorganizowanej na Uniwersytecie Katolickim w Lizbonie przez Ambasadę RP w Portugalii (red.).

² Antonio Salazar (1889–1970) – ekonomista, minister finansów i premier, sprawujący dyktatorskie rządy od 1932 do 1968 r. Zbudowany przez niego system autorytarny – Nowe Państwo (Estado Novo) zlikwidował demokrację parlamentarną i pluralizm polityczny, zakazał działalności związków zawodowych, wprowadził cenzurę i inwigilację obywateli. Policja polityczna PIDE kontrolowała życie społeczne i prześladowała przeciwników systemu. Portugalia zachowała neutralność w czasie drugiej wojny światowej, a w 1949 r. została członkiem założycielem NATO. Jednak Salazar nie podjął żadnej próby liberalizacji systemu. Ciągąca się od 1961 r. wojna w afrykańskich koloniach (Angola, Mozambik, Gwinea Bissau) dała początek Ruchowi Sił Zbrojnych (MFA), który 25 IV 1974 r. przeprowadził zamach wojskowy, obalając następcę Salazara Marcelo Caetano, i otworzył drogę do demokracji (red.).

³ Alvaro Cunhal (1913–2005) – w latach 1961–1992 sekretarz generalny Portugalskiej Partii Komunistycznej (PCP), w czasach dyktatury Salazara więziony, po ucieczce z więzienia w 1960 r. przebywał na emigracji w Moskwie i Paryżu. Zwolennik komunizmu typu sowieckiego, wsparł interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Po obaleniu przez wojsko dyktatury w Portugalii powrócił do Lizbony, został ministrem w rządzie tymczasowym. Z komunistami związany był też premier Vasco Goncalves. Jednak w pierwszych wyborach demokratycznych w 1975 r. PCP uzyskała jedynie 12,5 proc. głosów. Drogę do przejęcia władzy przez komunistów i radykalnych oficerów ostatecznie zagroziło w listopadzie 1975 r. umiarkowane skrzydło MFA i partie demokratyczne z Partią Socjalistyczną Mario Soaresa na czele (red.).

z siłami w wojsku skupionymi wokół Otelo de Carvalho⁴, które czerpały natchnienie z doświadczeń Kuby i dyktatury Fidela Castro. Wówczas w tym środowisku w Polsce, w którym się obracałem, w odniesieniu do rewolucji goździków panował lęk, żeby jednej dyktatury nie zastąpiła druga, być może równie opresyjna. Obawialiśmy się powtórki historycznego doświadczenia, że ci, którzy burzą Bastylie, od razu zastanawiają się, jak zbudować nowe. Droga od zburzenia Bastylii do terroru jakobińskiego to był stały składnik naszego myślenia o przyszłości.

Kiedy więc spoglądaliśmy na sposoby przejścia od dyktatury do wolności, pamiętaliśmy pozytywny model Portugalii, ale najbardziej wnikliwie analizowaliśmy – z jednej strony – hiszpańską drogę do demokracji, czyli wielką zmianę negocjowaną pomiędzy siłami opozycji a pragmatycznym, reformatorskim skrzydłem w obozie władzy, a z drugiej – przykład Iranu. Obawialiśmy się sytuacji, w której siły demokratyczne są sfragmentaryzowane, słabe, źle zorganizowane, a jedynym miejscem skupienia się opozycji jest świątynia, meczet. Ten model, czyli przekształcenie dyktatury laickiej lub ateistycznej w państwo *de facto* zdominowane przez religię i instytucje religijne, to było coś, co wielu nas nosiło w tyle głowy. Jeszcze w 1989 r. mówiłem o możliwości irańskiego scenariusza w Polsce. Wielu ludzi Kościoła katolickiego do dziś mi to pamięta i wypomina, chociaż to nie był akt antyreligijny. Po prostu bałem się mocnej

władzy, która ma umocowanie w religii, dlatego że skrzyżowanie religii z polityką zawsze wydawało mi się niebezpieczne dla demokracji.

Odpowiedzią polskiej opozycji demokratycznej na te zagrożenia było to, co może najpełniej wyraził Václav Havel, jeden z najwybitniejszych dysydentów Europy Centralnej i Wschodniej, w swoim eseju *Siła bezsilnych*. Filozofia oporu, który wyrzeka się przemocy, natomiast organizuje instytucje społeczeństwa obywatelskiego.

Havel, cytując innego czeskiego dysydenta, Václava Bendę⁵, nazywał to „alternatywną polis”. Jak się wydaje, Polska była najbardziej klasycznym przykładem zrealizowania się tej idei. To się zaczęło w 1976 r. od protestu robotników przeciwko podwyżkom cen. Po tym proteście nastąpiły represje ze strony władz. Wtedy w środowiskach opozycji demokratycznej powstała idea obrony represjonowanych robotników. Powołano instytucję pod nazwą Komitet Obrony Robotników.

Trzeba przypomnieć kontekst międzynarodowy. Działo się to po konferencji w Helsinkach, na której tzw. trzeci koszyk wprowadził zamieszanie w logice myślowej rządzących komunistów⁶. Wytworzył szarą strefę, która się rozciągała między kodeksem karnym a nożyczkami czy ołówkiem cenzora. W tej szarej strefie mieściło się wszystko, co było cenzuralnie blokowane, ale nie dochodziło do poziomu kodeksu karnego. W tej strefie można było istnieć i nie pójść do więzienia, ale jednocześnie nie można było funkcjonować w porządku

⁴ Otelo Saraiva de Carvalho (ur. 1938) – jeden z przywódców MFA, dowodził operacją wojskową 25 IV 1974 r., członek Rady Rewolucji, komendant Dowództwa Operacyjnego na Kontynencie (COPCON) odpowiedzialnego za bezpieczeństwo wewnętrzne. Zwolennik skrajnej lewicy, wspierał program rewolucyjnych przekształceń społecznych i ustrojowych, ale bunt wiernych mu oddziałów 25 XI 1975 r. został stłumiony. Bez powodzenia kandydował w wyborach prezydenckich. Usunięty z armii, w 1984 r. został skazany za udział w akcjach terrorystycznych skrajnie lewicowej organizacji Siły Ludowe 25 Kwietnia (FP25), w 1989 r. zwolniony na mocy amnestii (red.).

⁵ Václav Benda (1946–1999) – filozof, współzałożyciel Karty 77 i Komitetu Obrony niesprawiedliwie prześladowanych (VONS). Autor jednego z najważniejszych tekstów czeskiej opozycji demokratycznej *Równoległa polis*, w którym zarysował program budowy struktur obywatelskich niezależnych od totalitarnego państwa. Po 1989 r. lider Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (KDS) (red.).

⁶ Akt Końcowy w Helsinkach – podpisany 1 VIII 1975 r. przez 35 państw z Europy i Ameryki Północnej. Potwierdzono w nim nienaruszalność granic i zasadę nieingerencji w sprawy wewnętrzne, a rządy zobowiązały się do poszanowania praw człowieka i swobód obywatelskich. Powołano Konferencję Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (red.).

legalnym. Działo się jawnie, choć nielegalnie; władza uznawała, że w jej interesie leży tolerowanie tego działania bardziej niż aresztowanie działających.

Z jednej strony było to niewątpliwie wykorzystanie wzoru hiszpańskiego. W Hiszpanii i do Kościoła katolickiego dochodziły tendencje Soboru Watykańskiego II, i w elitach rosnęło przekonanie, że potrzebne jest otwarcie w stronę demokratyczną. Tolerowano niezależne i opozycyjne uniwersytety i gazety, a co najważniejsze – hiszpańskie *comisiones obreras*⁷. To był model, którym wielu z nas w Polsce się posługiwało, żeby zbudować jakieś obszary wolności. Ale oczywiście najistotniejszym, co odróżniało Polskę od innych krajów Europy Centralnej i Wschodniej, była rola Kościoła katolickiego. W Polsce Kościół katolicki potrafił ocalić swoją niezależność nawet w strasznych latach terroru stalinowskiego. Nie obeszło się bez kompromisu z jego strony, ale w sumie był on jedyną niezależną instytucją w kraju. Można powiedzieć, że funkcjonował jako państwo w państwie. Suwerenne państwo w niesuwerennym państwie.

Do tego doszedł wybór Polaka, kardynała Karola Wojtyły, na papieża. Jan Paweł II przez samo swoje istnienie oznaczał rewolucję w polskiej mentalności. Polacy znaleźli symbol, wokół którego mogli się integrować, z którym mogli się identyfikować. Symbol, który nie pochodził od władzy komunistycznej. W sumie wytworzył się dość szeroki ruch, a jego zwieńczeniem były strajki latem 1980 r. i zalegalizowanie pierwszy raz w historii dyktatury komunistycznej wielkiego niezależnego związku zawodowego pod nazwą Solidarność. Stał się on oczywiście czymś znacznie więcej niż związkiem zawodowym. Był konfederacją Polaków na rzecz walki o demokrację i suwerenność w takim zakresie, w jakim to było możliwe. Bardzo różne siły skupione w Solidarności później okaza-

ły się wobec siebie konfliktowe, niemniej jednak w tym momencie to była olbrzymia siła i nikt nie mógł się z nią nie liczyć.

Ta siła została zaatakowana, 13 grudnia 1981 r. wprowadzono stan wojenny. Przywódcy Solidarności powędrowali do więzień, część z nich się ukryła i kontynuowała działalność w podziemiu. Ale – co najważniejsze – ruch przetrwał. Interwencja sowiecka na Węgrzech w 1956 r. właściwie zdławiła ruch demokratyczny, nic po nim nie zostało na wiele lat. Interwencja sowiecka w Czechosłowacji w 1968 r. zdławiła ruch wolnościowy, który odżył dopiero po sześciu czy siedmiu latach. W Polsce natomiast ani na moment opór – zinstytucjonalizowany i zorganizowany – nie został zdławiony. Strategia wtedy była taka, żeby przetrwać jak najdłużej, budować jakieś elementy społeczeństwa obywatelskiego w podziemiu – i „zobaczymy, co będzie”. Ta strategia okazała się rozsądna. W 1985 r. do władzy w Moskwie doszedł pewien aparaczyk partyjny ze Stawropola⁸; nikt – lub prawie nikt – nie podejrzewał potencjału, który on uwolnił.

Wielkie zmiany w Europie Centralnej i Wschodniej stały się możliwe dzięki temu, co zaszło w Związku Sowieckim. To Gorbaczow, niezależnie od tego, jakie miał intencje (o to trwa spór w Rosji i poza nią; przyjmijmy, że jak najgorsze – chciał po prostu wzmocnić komunistyczne imperium), okazał się największym destruktores bolszewickiej dyktatury w całej jej historii. To on otworzył drzwi do wolności, a my – Polacy, Czesi, Węgrzy – włożyliśmy nogę w te drzwi i już nie pozwoliliśmy ich domknąć.

W ten sposób drogą negocjacji doszliśmy do wolności. I pojawiły się pytania: no dobrze, mamy wolność, ale co dalej? Zderzały się różne koncepcje. Chcemy dążyć do Unii Europejskiej i Paktu Atlantyckiego czy mamy jakiś własny pomysł na

⁷ *Comisiones obreras* – komisje robotnicze, niezależne od kontrolowanych przez władze związków zawodowych przedstawicielstwa załóg pracowniczych we frankistowskiej Hiszpanii, negocjujące z pracodawcami warunki pracy i płacy (red.).

⁸ Chodzi o Michaiła Gorbaczowa, sekretarza generalnego KPZR od marca 1985 r. (red.).

przyszłość, trzecią drogę? Opowiadamy się za filozofią rekonyliacji czy rekonkwisty? Chcemy, żeby Polska była wspólnym państwem wszystkich obywateli, czy też głosimy filozofię, że dotychczas rządzą komuniści, a teraz przyszedł czas na Solidarność lub na katolików, oni mają rządzić na zasadzie konieczności historycznej, a nie dzięki mandatowi wyborców? Dekomunizacja ma polegać na unicestwieniu instytucji totalitarnych czy na ściganiu komunistów? Reformę gospodarczą należy przeprowadzić szybko czy stopniowo?

Racje były podzielone. Ci, którzy mówili, że stopniowo, twierdzili, że terapii szokowej społeczeństwo nie wytrzyma. Zwolennicy szybkich zmian dowodzili, że nie da się przez rzekę przejść krok po kroku, trzeba przeskoczyć. Ci pierwsi mieli rację, bowiem już w 1993 r. postkomuniści wygrali wybory i wrócili do władzy; to był rezultat terapii szokowej. Ale zwolennicy terapii szokowej też mieli rację, bo postkomuniści, którzy wrócili do władzy, nie próbowali restaurować komunizmu, ale musieli się zaadaptować do sytuacji państwa demokratycznego i rzeczywiście respektowali reguły konstytucji.

Wreszcie było pytanie, czy Polska ma być państwem etnicznie polskim, zbudowanym na zasadzie narodowej, czy na zasadzie obywatelskiej. Jakie miejsce miałby zajmować Kościół katolicki? Ogromna debata na ten temat trwa do dzisiaj, powoduje wielkie podziały i w społeczeństwie, i w Kościele katolickim. Był też spór o model rynku: czy to ma być rynek twardego, dzikiego kapitalizmu, czy rynek z ludzką twarzą, jak to nazywał Tadeusz Mazowiecki: „społeczna gospodarka rynkowa”.

Dzisiaj można powiedzieć, że polska transformacja zakończyła się sukcesem. Tym większym, że nieoczekiwanym także przez polskich aktorów. Wszyscy byliśmy przyzwyczajeni do tego, że przez ostatnie czterysta lat Polska przegrywała wszystkie swoje szanse albo znajdowała się w tak niekorzystnej koniunkturze międzynarodowej, że żadnych szans nie miała. Dziś można mówić

o ogromnym sukcesie. Polska jest normalnym, europejskim, demokratycznym państwem. Mamy racjonalny, przewidywalny rząd, dobrze funkcjonującą gospodarkę, respektowane są wszystkie prawa demokratyczne. Co nie znaczy, że nie ma niebezpieczeństw. Pierwsze z nich określiłbym jako populizm nowej generacji, który się u nas często manifestuje jako eurosceptycyzm czy antyliberalizm. Towarzyszy mu myślenie w kategoriach „katolickiego państwa narodu polskiego”, w kategoriach polityki obietnic nieodpowiedzialnych. W kampanii wyborczej ci nowi populiści są w stanie wszystkim obiecać wszystko: zwiększenie wydatków i zmniejszenie podatków. Nie przeszkadza im, że nikomu na świecie to się nie udało.

Patrząc od strony modelowej, w Europie Centralnej i Wschodniej mamy dwie pułapki: putinizm i berluskonizm. Putinizm, który dziś odnosi sukces w Budapeszcie, polega na budowaniu autorytarnej władzy przy zachowaniu fasady instytucji demokratycznych. Natomiast berluskonizm to jest sztuka zawładnięcia mediami przez biznes, a później wspólne sięganie po władzę polityczną. To oczywiście także oznacza parodię i degradację systemu demokratycznego.

W Polsce dzisiaj trwa ten podwójny spór. Mamy dość silną orientację autorytarną, wspieraną przez istotną część Kościoła katolickiego, najbardziej znaną pod nazwą Radia Maryja. To jest orientacja mniejszościowa, ale silna. Co będzie w przyszłości, zależy w dużej mierze od nas samych. Jednak oni są silni, w ostatnich wyborach parlamentarnych wzięli jedną trzecią głosów. Z drugiej strony jest orientacja, którą nazwałbym Polską normalną, to znaczy obarczoną wszystkimi grzechami normalnych demokracji. Właśnie dlatego jesteśmy normalni, że mamy swoje skandale jak inni w Europie (muszę bronić godności i honoru polskich skandali). Skandale polityczne, korupcyjne, teatralizacja polityki, tabloidyzacja debat medialnych. Mówię, bom smutny i sam pełen winy jako redaktor naczelny dziennika.

Na koniec chcę wrócić do tego, od czego zacząłem, to znaczy do Portugalii. Dobrze rozumiem Samuela Huntingtona, który swoją książkę o trzeciej fali demokratyzacji zaczął od Portugalii⁹. Pamiętam mapę, którą niegdyś wydrukowali szwedzcy liberałowie. To była polityczna mapa Europy z podpisem: ostatnie dyktatury w Europie, zielona, tylko po jej lewej i po prawej stronie widnia-

ła czerń – kolor dyktatur. Czarne były Portugalia i Hiszpania i ta część Europy, która się zaczyna od wschodnich Niemiec, Czechosłowacja, Węgry, Polska i wszystko dalej na wschód. Portugalia to był pierwszy wyłom w tej czerni. Od Portugalii rozpoczął się proces, w którym wolność wybijała zęby dyktaturze. A pierwszym, który wybił dwa zęby – i z prawej, i lewej – był Mario Soares.

⁹ S. Huntington, *Trzecia fala demokratyzacji*, Warszawa 1995, s. 13–15 (red.).

Z PODNIESIONĄ GŁOWĄ

MARIO SOARES

jeden z ojców-założycieli współczesnej demokracji portugalskiej. Z wykształcenia historyk i prawnik, przeciwnik dyktatury Salazara od czasów studenckich, wielokrotnie aresztowany i więziony. W 1968 r. został skazany na wygnanie na Wyspie Świętego Tomasza, w 1970 r. wyemigrował do Włoch i Francji. Jeden z założycieli Portugalskiej Akcji Socjalistycznej (1964) i Partii Socjalistycznej (1973). Powrócił do Portugalii w pierwszych dniach rewolucji goździków. Partia Socjalistyczna pod jego przywództwem wygrała pierwsze wybory demokratyczne w 1975 r., zdobywając 38 proc. głosów. Był ministrem spraw zagranicznych, premierem (trzykrotnie) oraz w latach 1986–1996 prezydentem. Autor wielu książek, wciąż czynny w życiu politycznym Portugalii i Europy.

Z przyjemnością przystałem na zaproszenie do tej debaty, bo bardzo cenię Adama Michnika, którego poznałem w latach 1989–1990. Chciałbym też wspomnieć o drugiej wielkiej osobowości z Polski, Bronisławie Geremku. Wraz z Lechem Wałęsą budował on ruch Solidarność, który zauroczył całą Europę. Z Bronisławem Geremkiem brałem udział w latach osiemdziesiątych w długiej debacie, która zapełniła prawie całe wydanie francuskiego tygodnika „L'Express”. Rozmowa była interesująca, bo Portugalia miała już wówczas demokrację, a Polska jeszcze nie.

Nasza dyktatura nie była lekka. Istniał obóz koncentracyjny w Afryce, w Tarrafal¹, na wzór obozów tworzonych przez inne państwa totalitarne. Portugalska dyktatura była zacofana (np. Uniwersytet Katolicki w Lizbonie przetrwał z wielkim trudem, choć funkcjonował w czasach reżimu, który uznawał się za katolicki). Należała do najbardziej długowiecznych w Europie – trwała 42 lata pod przywództwem Salazara², a następnie sześć lat pod wodzą Marcelo Caetano³. Była ciężką, twardą dyktaturą ze względu na swoje kłamstwa i swoje więzienia.

Było ciężko, ale zdarzały się momenty, które zachwiały władzą Salazara. W 1958 r. w wyborach prezydenckich wystartował gen. Humberto Delgado. Był początkowo faszystą, pełnił funkcję radcy wojskowego w ambasadzie Portugalii w Stanach Zjednoczonych. Wrócił bardzo proamerykański, stał się demokratą. Przedstawiał się jako człowiek, który wraca z Ameryki, więc naród portugalski myślał, że ma on po pierwsze poparcie Amerykanów, po drugie generalicji; sądzono, że jest generałem w służbie czynnej, ponieważ występował zawsze w mundurze. Nie miał ani jednego, ani drugiego, ale trzeba przyznać, że wstrząsnął państwem portugalskim. Salazar musiał z jego powodu zmienić konstytucję. Określił go jako geniusza, jeżeli chodzi

¹ Obóz koncentracyjny Tarrafal na Wyspach Zielonego Przylądka został utworzony w 1936 r. dla oponentów dyktatury Salazara. Do 1954 r. więziono w nim w sumie 357 osób; 32 z nich zmarły z powodu zabójczego klimatu, wycieńczającej pracy, niewystarczających racji żywnościowych i chorób (red.).

² Historycy portugalscy początek dyktatury datują od wojskowego zamachu stanu w maju 1926 r., który obalił I Republikę. Salazar w 1928 r. został ministrem finansów w rządzie powołanym przez wojskowych, a w 1932 r. premierem, przejmując faktycznie władzę w kraju (red.).

³ Marcelo Caetano (1906–1980) – prawnik, bliski współpracownik Antonio Salazara, m.in. minister kolonii, przewodniczący partii reżimu – Unii Narodowej (UN), rektor Uniwersytetu Lizbońskiego. W 1968 r. objął funkcję szefa rządu, budząc nadzieje na reformy, które jednak zawiódł. Po rewolucji goździków pozwolono mu wyjechać do Brazylii, gdzie mieszkał do śmierci (red.).

o sianie zamieszania i pogrążenie kraju w chaosie. Delgado był człowiekiem wielkiej odwagi. Zapytany przez dziennikarza zagranicznego na pierwszej konferencji prasowej po ogłoszeniu, że kandyduje w wyborach, co zrobi, jak je wygra, odpowiedział rozbrajająco: „Oczywiście zdymisjonuję Salazara”. Sala wypełniona dziennikarzami portugalskimi i zagranicznymi zabrzmiała oklaskami. Ta odpowiedź rozentuzjazmowała cały kraj.

Humberto Delgado nie wygrał jednak wyborów; zostały one sfałszowane (wiem, o czym mówię, bo uczestniczyłem w nich po stronie opozycji). Został zdegradowany, schronił się w ambasadzie Brazylii, potem wyjechał do tego kraju i skończył zamordowany przez portugalską tajną policję polityczną⁴. Miałem zaszczyt – jestem z tego dumny – być adwokatem rodziny gen. Delgado w procesie, który dowiódł, że został on zamordowany przez tajną policję PIDE na wyraźny rozkaz Salazara. Dyktator był moralnie odpowiedzialny za jego śmierć.

Dyktatura Salazara początkowo była gorąco popierana przez Kościół katolicki, który opozycja uważała za bardzo reakcyjny (i taki był). Wiele zmienił tu jednak Sobór Watykański II, który miał wielki oddźwięk w Portugalii.

Już w 1958 r. biskup Porto Antonio Ferreira Gomes⁵ wystosował do Salazara list mówiący o tym, że Kościół opiera się na takich fundamentach jak solidarność, jedność, szacunek dla drugiego człowieka, jednak wartości te nie mają odzwierciedlenia w społeczeństwie portugalskim i trzeba to zmienić. Gdy bp Gomes wyjechał do Rzymu, Sala-

zar nie pozwolił na jego powrót do kraju. Pozostał na wygnaniu w Rzymie przez dziesięć lat.

Postawa biskupa wywarła duży wpływ na Kościół w Portugalii. Na początku lat sześćdziesiątych powstał ruch katolików postępowych – *catolicos progressistas*⁶, którzy włączyli się do od dawna istniejącej opozycji złożonej z republikanów i komunistów. Od tego czasu mamy Kościół otwarty, postępowy, w odróżnieniu od Kościoła hiszpańskiego. Kościół w Hiszpanii wychodzi na ulicę, manifestując swoje poparcie dla prawicy. To nigdy nie zdarzyło się w Portugalii od 25 kwietnia 1974 r. Z naszym Kościołem można się porozumieć, nawiązać dialog.

Rewolucja goździków była rewolucją militarną⁷, przeprowadzoną przez wojskowych o niskich stopniach – sierżantów, kapitanów. W przeciwieństwie do tego, co się mówiło, nie brali w niej udziału generałowie. Wojskowi zrobili to, co należało. W tamtym czasie Portugalia toczyła wojnę kolonialną w Angoli, Mozambiku, Gwinei. Oficerowie rozumieli, że wojna nie jest rozwiązaniem, należy negocjować z ruchami wyzwoleniczymi. Wojny w koloniach były zresztą praktycznie przegrane. Niepodległość Gwinei Bissau jeszcze przed 25 kwietnia 1974 r. została uznana przez blisko pięćdziesiąt państw całego świata.

Rewolucję przeprowadzili więc wojskowi, dysponujący tylko doświadczeniem militarnym, a nie politycznym. Adam Michnik mówił o Otelo Saraiva de Carvalho – ważnej postaci rewolucji, mającej wpływ na jej pokojowy i zwycięski przebieg.

⁴ Humberto Delgado (1906–1965) – w 1958 r. w wyborach prezydenckich był kandydatem niezależnym z poparciem całej opozycji. Uzyskał oficjalnie prawie 25 proc. głosów, mimo manipulacji reżimu. Wyemigrował do Brazylii, w lutym 1965 r. został wraz ze swoją sekretarką zamordowany w Hiszpanii, gdy próbował potajemnie powrócić do kraju (red.).

⁵ Antonio Ferreira Gomes (1906–1989) – w 1958 r. w liście do Salazara z okazji wyborów poddał krytykę politykę społeczną reżimu i system korporacyjny, domagał się prawa do strajku, sprawiedliwego podziału owoców pracy i swobody stowarzyszania się oraz prawa obywateli do udziału w życiu publicznym. Salazar, dla którego poparcie Kościoła było kluczowe, gwałtownie zaatakował niepokornego biskupa. Pod presją reżimu Ferreira Gomes musiał wyjechać w 1959 r. do Rzymu i został odsunięty od kierowania diecezją. Do kraju mógł wrócić dopiero w 1969 r. (red.).

⁶ Intelktualny ruch postępowych katolików powstał w Portugalii na fali reform Soboru Watykańskiego II. Skupiony wokół wydawanego od 1963 r. pisma „O Tempo e o Modo”, dla którego inspiracją było francuskie środowisko „Esprit” i myśl Emmanuela Mouniera, Jacques’a Maritaina i Teilharda de Chardin. Z pismem współpracowały także osoby niewierzące, jak Mario Soares (red.).

⁷ Soares ma na myśli sam moment obalenia reżimu salazarowskiego 25 IV 1974 r. (red.).

Brakowało mu doświadczenia politycznego, jego wypowiedzi czasami były pozbawione kontekstu, ale to człowiek o dobrym sercu, jeden z tych, dzięki którym obecnie żyjemy w wolności. Mam dla niego sympatię i przyjaźń, mimo że czasami nie zgadzam się z jego poglądami i wypowiedziami (on o tym wie i nie przejmuje się tym zbyt).

W rewolucji goździków nikt nie zginął, nikt nie został ranny⁸. Była wydarzeniem pokojowym i przyniosła wielką zmianę. Czołgi wyjechały na ulice, a ludność wyszła na ich spotkanie. I tak z dnia na dzień przeprowadziliśmy rewolucję. W tamtym czasie przebywałem w Niemczech Zachodnich na zaproszenie kanclerza Willy'ego Brandta. Właśnie w Niemczech założyliśmy rok wcześniej partię socjalistyczną (oczywiście w konspiracji)⁹. Pojechałem tam na rozmowy, z prośbą o poparcie, bo – przekonywałem – będzie u nas rewolucja; prosiłem o pomoc, abyśmy po rewolucji mogli przystąpić do budowy demokracji.

Przyjechałem do Niemiec 24 kwietnia 1974 r. Nazajutrz miałem umówioną audiencję u Brandta, ale wieczorem spotkałem się z ministrem finansów (walczył w wojnie domowej w Hiszpanii, był bardzo sympatyczną osobą). Mówiłem mu: „Uwaga, w Portugalii szykuje się rewolucja, komuniści są bardzo popierani przez blok wschodni, musicie nam pomóc”. On twierdził, że nic takiego się nie wydarzy, jesteśmy otumanieni, ja jestem idealistą i bredzę. Żadnej rewolucji w Portugalii nie będzie, a już na pewno nie za życia generała Franco. Po jego śmierci Hiszpania się zmieni, może wtedy i nam uda się odzyskać wolność. Rozmawialiśmy o tym podczas kolacji aż do północy, po czym odwieźli nas do hotelu. Nasi niemieccy rozmówcy mieli informacje od CIA, z NATO, ze swojej ambasad w Lizbonie – wszyscy twierdzili, że rewolucja w Portugalii nie jest możliwa. Z sympatią nam

powtarzali: „Musicie jeszcze parę lat wytrzymać, musicie być dzielni, ale nie okłamujcie się, nic się nie wydarzy”.

Następnego dnia o szóstej rano sekretarka z SPD zadzwoniła do mnie: „Coś się tam jednak u was dzieje!”. Pomyślałem: rewolucja! Natychmiast wracamy. Odwołaliśmy spotkanie z Willym Brandtem (odbyło się jakiś czas potem). Pojechaliśmy do Paryża, stamtąd szukaliśmy możliwości przedostania się do Portugalii. Przyjaciele z kraju poinformowali nas, że możemy wrócić tylko pociągiem, bo lotnisko nie funkcjonuje. Podróż trwała dwa dni. Nasi koledzy nie bardzo zresztą chcieli, żebyśmy już wracali, obawiali się kontrrewolucji, sytuacja nie była pewna. Umówiliśmy się, że wracamy, ale zatrzymamy się w Salamance i jeżeli sytuacja będzie poważna, tam zostaniemy. Ktoś miał tam na nas czekać. Byliśmy przekonani, że Hiszpanie na to pozwolą, bo dyktatura hiszpańska nie była solidarna z dyktaturą portugalską.

Na dworcu w Salamance zobaczyliśmy pełno studentów z goździkami w klapach marynarek. Nie rozumieliśmy, co oznacza ten goździk, nie wiedzieliśmy, że stał się symbolem rewolucji. Byliśmy wygnańcami, pierwszymi, którzy wracali „pociągiem wolności”, i zostaliśmy wspaniale przyjęci. Nie wiedzieliśmy jednak, co nas czeka w kraju. Byliśmy zdezorientowani, nikt po nas nie wyszedł, ale wszyscy wiwatowali na cześć Portugalii. Nikt nas nie znał, my też nikogo nie znaliśmy, zrozumieliśmy jednak, że to wszystko jest dla nas dobrym znakiem. Wróciliśmy do pociągu i dojechaliśmy do granicy z Portugalią, gdzie oczekiwały nas tłumy. Wyszliśmy z pociągu, w pobliskim barze otworzono butelki szampa. Zaraz dostałem do ręki megafon, aby wygłosić przemówienie. Wspiąłem się na krzesło, opowiadałem o wolności i demokracji.

⁸ 25 IV 1974 r. zginęło pięć osób – czterech manifestantów i agent tajnej policji (*Historia de Portugal*, red. R. Ramos, B. Vasconcelos e Sousa, N. Goncalo Monteiro, Lisboa 2009, s. 712) (red.).

⁹ Portugalska Partia Socjalistyczna powstała w kwietniu 1973 r. na zjeździe w Bad Munstereifel w RFN, w ośrodku socjaldemokratycznej Fundacji Friedricha Eberta. Jej sekretarzem generalnym został Mario Soares (red.).

Nagle zobaczyłem idącego w moim kierunku szefa stacji i umundurowanego wojskowego (nie rozpoznałem jego stopnia, nie znałem się na tym). Oni się zbliżali, a ja myślałem: czego mogą chcieć? Kiedy podeszli, pomyślałem: OK, zaraz mnie aresztują... Stanęli, wojskowy strzelił obcasami, zasałutował i mówi: „Pociąg jest już opóźniony pół godziny, pozwoli pan, że mu przerwę...”. No to się skończyło! – pomyślałem. – Mamy demokrację! Takie było moje pierwsze wrażenie z Portugalii po powrocie.

Okres porewolucyjny mógłby być bardzo przyjemny, gdyby nie partia komunistyczna. [Mario Soares przyjechał do Lizbony 28 kwietnia, tłumnie witany na stacji]. Alvaro Cunhal przybył dwa dni później samolotem. Przemówił, stojąc na czołgu, w bardzo złym stylu; przypominał Lenina z 1917 r. Zrozumiałem wtedy, słuchając go, że postanowił zostać Leninem Zachodu końca XX wieku. Nie mieściło się to w głowie, ale tak właśnie było. Doszło wówczas do ogromnego konfliktu między nami¹⁰.

Ja w młodości byłem komunistą, wszyscy o tym wiedzą, nigdy tego faktu nie ukrywałem (jedynie w czasie dyktatury; przyznałem się do tego po odzyskaniu wolności). Były to lata 1942–1949. Podczas pobytu w więzieniu w 1949 r. zrozumiałem, że komunizm do niczego nas nie doprowadzi, przyniesie tylko problemy, tą drogą nigdy nie pokonamy dyktatury. W tamtym okresie Portugalia została przyjęta do NATO (co dla nas, walczących o demokrację, oznaczało zdradę Zachodu), co więcej, była członkiem założycielem NATO – organizacji, która miała bronić wolności, a pozwoliła na przyłączenie się do niej dyktatury. Wtedy w wię-

zieniu zrozumiałem, że musimy zmienić strategię polityczną i nie ma mowy o jedności z partią komunistyczną. Choć komuniści przetrwali cały okres opozycji z wielką godnością i siłą, ponieśli duże straty, głównie w więzieniach. Miałem nad nimi pewną wyższość, bo nie mogli mnie nazywać „faszystą” – po 25 kwietnia nazywano tak wszystkich, którzy nie byli komunistami. Mnie nie mogli o to oskarżyć, bo wiele razy siedziałem w więzieniu, występowałem jako adwokat rodziny Humberto Delgado.

Po kwietniu 1974 r. przechodziliśmy trudny okres, byliśmy bardzo blisko wojny domowej. Ta groźba skończyła się 25 listopada 1975 r. Ówczesny prezydent gen. Costa Gomes¹¹, który był inteligentnym człowiekiem, zamkniętym w sobie, ale spokojnym i światłym, z mapą w ręku przekonał wojskowych radykałów oraz Cunhala, że nie mają żadnych szans na zwycięstwo, i płk Carvalho o drugiej w nocy wstrzymał rozkaz rozpoczęcia ataku. Przebywałem w tym czasie w Porto. Mieliśmy poparcie dwóch trzecich ludności kraju i jakaś lizbońska komuna nie miała szans z nami wygrać.

Od tego momentu rozpoczęła się „normalizacja demokratyczna”. Sytuacja w armii się uspokoiła, na placu boju pozostała tylko radykalna lewica. Mieliśmy odwagę nie wykluczyć ich z życia politycznego po tym, jak ich pokonaliśmy. Jeżeli rozwiązalibyśmy wtedy partię komunistyczną, pojawiłaby się groźba nowej dyktatury, a tego nie chcieliśmy. Działaliśmy na rzecz takiego rozwiązania jednocześnie: Melo Antunes¹² w Lizbonie i ja w Porto. Nie porozumiewaliśmy się co do tego wcześniej.

¹⁰ Cunhal i Soares znali się od dawna. Cunhal był nauczycielem w prywatnym liceum należącym do ojca Soaresa, uczył przyszłego przywódcę socjalistów historii i geografii. Później działali w antysalazarowskiej opozycji (red.).

¹¹ Francisco da Costa Gomes (1914–2001) – dowódca wojskami w Angoli, uznał, że konflikt w koloniach można rozwiązać jedynie drogą polityczną. Od 1972 r. szef sztabu generalnego armii portugalskiej, zdymisjonowany w przeddzień rewolucji przez rząd Caetano. Członek Rady Ocalenia Narodowego powołanej przez wojskowych po zamachu 25 IV 1974 r., od września 1974 do czerwca 1976 r. prezydent Portugalii. Przeciwnik skrajności, działał na rzecz uśmierzania konfliktów wewnętrznych (red.).

¹² Melo Antunes (1933–1999) – kombatan wojny w Angoli, jeden z przywódców Ruchu Sił Zbrojnych (MFA), który przeprowadził rewolucję goździków, i autorów jego programu. Minister spraw zagranicznych, członek Rady Rewolucji, lider skrzydła umiarkowanego MFA, które nie dopuściło do przejścia kontroli nad krajem przez komunistów (red.).

Gdy udało nam się zbudować system demokratyczny, bardzo szybko pojawiła się szansa na wejście do Unii Europejskiej. Portugalczycy i Hiszpanie zrobili to tego samego dnia, w pełnej jedności i porozumieniu między obydwojema rządami. Byłem wtedy premierem Portugalii, premierem Hiszpanii był Felipe Gonzales¹³. Byliśmy nie tylko „towarzyszami walki”, ale i przyjaciółmi, dobrze się rozumieliśmy. Od tamtego czasu relacje portugalsko-hiszpańskie stały się dobre. Przyłączyliśmy się w 1986 r. do Unii Europejskiej z podniesioną głową, bo sami doszliśmy do naszej demokracji, nikt nam w tym nie pomógł – ani

Związek Radziecki, ani Amerykanie, ani Brytyjczycy.

Na zakończenie chcę jednak powiedzieć, że bardzo martwię się o Europę. Jestem Europejczykiem z przekonania, zawsze nim byłem. Myślę, że zjednoczona Europa to najbardziej niezwykły projekt, jaki kiedykolwiek istniał w dziejach ludzkości – aby ludzie żyli w jedności, pokoju, wolności, demokracji i solidarności. Dziś grozi nam rozłam Unii Europejskiej. Jeżeli tak się stanie, wszyscy spadniemy w przepaść.

Źródło: Anita Mazurek-Azevedo

¹³ Felipe Gonzales (ur. 1942) – od 1974 r. sekretarz generalny Socjalistycznej Partii Robotniczej Hiszpanii (PSOE), od 1982 do 1996 r. premier (red.).

WYKŁADY GDAŃSKIE

SOCJOLOGIA WOLNOŚCI

Zanim przejdziemy do tego, co nazywamy wykładem, chciałbym uporządkować pewne kwestie¹. Polacy, w przeciwieństwie do mnie, nie mają za dużo powodów, aby mi dziękować. Przeprowadzone przez nas w Polsce badanie nie było pierwszym. Już wcześniej realizowaliśmy dwa lub trzy podobne. Przyniosły one raczej przygnębiające rezultaty, co jednakże było efektem właściwej metody pracy. Ujawniły, że badany przez nas ruch społeczny pretendujący do odegrania bardzo ważnej roli miał w rzeczywistości mniejsze znaczenie i liczne sprzeczności. Musieliśmy przyjechać do Polski, aby znaleźć ruch, który okazał się nawet ważniejszy niż przypuszczano. Z mojego punktu widzenia badaliśmy „człowieka z Gdańska” – chodziło o związek zawodowy, a więc o człowieka. Dlatego praktycznie wszystkie ankiety robiliśmy w fabrykach. „Moim” miastem był przede wszystkim Wrocław, ale również Warszawa oraz wiele innych miast. Jednak badanie zostało zdominowane przez obrazy, przykłady i wydarzenia z Gdańska.

Miasto to dało mi podstawy do olbrzymiej wiary w to, co jest najtrudniej znaleźć i docenić na świecie, czyli – mówiąc naiwnie – dobro. O wiele łatwiej jest znaleźć zło, ponieważ jest ono bardziej widoczne, bardziej spektakularne, a także częściej występuje. Niektórzy z moich przyjaciół wyspecjalizowali się nawet w badaniu zjawisk najbardziej przerażających, takich jak przemoc, rasizm, antysemityzm, terrorizm. Ja natomiast zawsze miałem większą ochotę koncentrować się na zjawiskach pozytywnych, oczywiście bez moralizatorstwa czy denerwujących „dobrych chęci”. Zawsze szukałem powodów, racji, dla których ludzie w trudnych warunkach mogą stać się aktorami życia publicznego, podmiotami swego indywidualnego lub kolektywnego losu. W Polsce bardziej niż gdzie indziej znalazłem to, czego szukałem, a więc konkretne i prawdziwe doświadczenie ludzi tworzących historię.

Jestem niemal zupełnym ignorantem w kwestii Afryki Północnej, ale mam nadzieję na odszukanie w „arabskiej wiośnie” podobnego zaufania w możliwość wyzwolenia się i kształtowania własnego losu. Świat arabski został na całe wieki wyłączony z historii. Najpierw przede wszystkim w wyniku tureckiej dominacji, ale również

ALAIN TOURAINE

francuski socjolog, jeden z najwybitniejszych znawców ruchów społecznych na świecie, twórca Centrum Analizy i Interwencji Socjologicznej w paryskiej École des Hautes Études en Sciences Sociales, członek zagraniczny Polskiej Akademii Nauk. Jest przedstawicielem socjologii działania i twórcą metody interwencji socjologicznej, w której badacz staje się mediatorem między działaczami ruchu społecznego. Badał m.in. polską Solidarność (*Solidarność. Analiza ruchu społecznego 1980–1981*, Gdańsk 2010). Analizował ruchy wolnościowe i robotnicze w Ameryce Łacińskiej i społeczeństwach post-industrialnych Europy, podejmuje też problematykę płci oraz krytykę współczesnej demokracji. Do jego najważniejszych publikacji należą: *Sociologie de l'action* (1965), *La société post-industrielle. Naissance d'une société* (1969), *Le retour de l'acteur* (1984), *La parole et le sang* (1988), *Le monde des femmes* (2006).

¹ Tekst pt. „Od narodowych do globalnych ruchów społecznych” wygłoszony 20 V 2011 r. w ramach Gdańskich Wykładów Solidarności. Tytuł pochodzi od redakcji (red.).

kolonizacji angielskiej i francuskiej, szczególnie w konsekwencji wybuchu pierwszej wojny światowej. I w jednej chwili ten świat, który sprawiał wrażenie nieistniejącego, był jedynie odbiciem konfliktów między światem muzułmańskim i zachodnim, między blokiem wschodnim i Zachodem, nagle ci ludzie w Tunezji, Egipcie i – mam nadzieję, że coraz bardziej – w Syrii i w innych krajach posługują się językiem prawdy i wolności, równie świeżym jak niegdyś Polacy. Ma to dla mnie olbrzymią wagę natury osobistej, psychologicznej i zawodowej. Moje życie osobiste nie było zorientowane na Europę Środkową, nawet jeżeli socjologiem stałem się na Węgrzech – tam opublikowałem mój pierwszy artykuł socjologiczny. Ale wyłączając Węgry, gdzie to doświadczenie nie miało kontynuacji (rząd węgierski w swej głębokiej mądrości zabronił uprawiania nauk społecznych), i Polskę, moje drugie życie – poza moim własnym krajem – wiąże się z Ameryką Łacińską. Moją drugą ojczyzną jest Chile, gdzie uczestniczyłem w wielkim doświadczeniu, jakim była Jedność Ludowa². Byłem tam niestety również obecny podczas puczu w 1973 r.

Wszystko to, czego nauczyłem się w Ameryce Łacińskiej, w Chile czy ostatnio w Meksyku i Brazylii, a także w innych krajach – w Polsce oraz we Francji, dało mi wystarczające podstawy, aby wierzyć w możliwość zrozumienia, zanalizowania, jak również udzielenia pomocy w budowaniu wolnego świata w regionach pogrążonych w poddaństwie, niewolnictwie i przemocy. Metodą, którą się posługiwałem, była interwencja socjologiczna. Dzisiaj praktykują ją inni. Sam zastosowałem ją

jeszcze kilka lat temu, gdy badałem kwestię kobiet. Na przestrzeni tych wszystkich lat miałem poczucie, że nawet w najgorszych warunkach można było uprawiać socjologię wolności. Przy czym nie chodzi o ideę wolności, ale o działania na rzecz wyzwolenia, podjęte w związku z tym ryzyko, gesty, poświęcenie, wiarę w przyszłość i w przeszłość. Tego wszystkiego nie spotyka się bardzo często, ale występuje to prawie wszędzie na świecie. W momencie, kiedy się pojawi, trzeba się wnikliwie przyjrzeć ludzkim działaniom w tym zakresie, w którym tworzą one człowieka wolnego.

Chyba w listopadzie 1981 r., kończąc badanie we Wrocławiu, jak zwykle przy takich okazjach udaliśmy się do baru na kieliszek czegoś mocniejszego. Za pośrednictwem tłumacza zagadnąłem jednego z uczestników badania, robotnika czy technika z przedsiębiorstwa metalurgicznego. Zapytałem go ot tak, po prostu, o prognozę – jaka będzie Polska, którą staracie się sobie wyobrazić, wymyśleć i stworzyć. Odpowiedział, że chciałby, aby relacje między Polakami przypominały te, które nawiązały się w trakcie naszych intensywnych, kilkumiesięcznych badań. Zawsze miałem wrażenie, że jeśli robotnicy, technicy czy inżynierowie z Wrocławia odnajdą siebie w badaniu, które wspólnie przeprowadziliśmy, to owa praca może w jakiś sposób pomóc wyłonić się wolności spod różnych form niewolnictwa.

Miałem podobne doświadczenie, może bardziej skomplikowane, w swoim kraju w maju 1968 r. Tak samo czułem kilka lat temu wśród zapatystów w meksykańskim stanie Chiapas³. Czy to przez

² Jedność Ludowa – koalicja partii lewicowych rządząca w Chile od 1970 r., gdy socjalista Salvadore Allende wygrał wybory prezydenckie. Wprowadzono reformę rolną, nacjonalizację niektórych gałęzi przemysłu, ustawodawstwo socjalne, podwyżkę najniższych płac i kontrolę państwa nad bankami. Nawiązano bliskie stosunki z ZSRR, Chinami i Kubą. 11 XI 1973 r. wojsko przeprowadziło w Chile zamach stanu. Allende zginął, władzę objął gen. Augusto Pinochet, który wprowadził rządy dyktatorskie; ustąpił w 1990 r. (red.).

³ W 1994 r. działająca w Chiapas – stanie w południowym Meksyku – Zapatystowska Armia Wyzwolenia Narodowego (EZLN) ogłosiła powstanie przeciwko rządowi federalnemu. Walki trwały jednak krótko, zapatysty pod wodzą subcomandante Marcosa skupili się na obronie praw ludności indiańskiej podczas negocjacji z władzami i propagowania swoich idei drogą pokojową. Ich celem jest szeroka autonomia dla mieszkańców Chiapas, opór przeciw globalizacji i neoliberalnej polityce kolejnych rządów. Pozyskali wsparcie wielu zagranicznych środowisk radykalnej lewicy (red.).

przypadek, czy w wyniku moich upodobań zawodowych za każdym razem, od Francji przez Chile i Polskę, zajmowałem się pracownikami zakładów metalurgicznych i kopalni, czyli przemysłu ciężkiego. I za każdym razem miałem wrażenie – nie zawsze trafne – że widzę narodziny potrzeby i chęci doświadczenia wolności.

* * *

Chciałbym teraz pomówić o socjologii – prawie jako Polak, jeżeli pozwolicie, a to dlatego, że jestem również członkiem Polskiej Akademii Nauk. Czym jest i czym była socjologia? Odpowiedź winna być jasna i precyzyjna, nie ma tu miejsca na jałową pogadankę. Socjologia jest ruchem myśli, który objaśniał i oceniał zachowania społeczne i sytuacje społeczne przez pryzmat funkcjonalności i użyteczności dla społeczeństwa. Zachowania są dobre albo złe, jeśli są dobre albo złe dla społeczeństwa. Używam prostej terminologii. To samo można przedstawić w sposób znacznie bardziej skomplikowany, ale wszystko co istotne zawiera się w tej definicji.

Jak wiadomo, nie jest to idea bardzo dawna. Przez długi czas w wielu częściach świata nauki społeczne miały określać, co jest dobre i złe. Dobro kojarzono z boskim przesłaniem, a złem nazywano siły przeciwnie, które dobro atakowały. Dopiero niedawno, odkąd w świecie zachodnim cywilizacja oparta na wierze religijnej zaczęła słabnąć, od dwóch czy trzech stuleci dobro i zło zaczęło definiować w sensie politycznym. Dobro jest więc tym, co pozwala człowiekowi być obywatelem – według Niccola Machiavellego, Thomasa Hobbesa i Johna Locke’a, a także w takim znaczeniu, jakie przyjęła rewolucja francuska lub wielka rewolucja angielska 1648 r. Każde społeczeństwo, każda wielka kultura czy cywilizacja określały dobro i zło, używając tych kategorii: religijnych lub politycznych. Następnie przyszedł czas zachodnich społeczeństw przemysłowych i właściwej dla nich definicji dobra i zła. Odtąd kategorie dobra i zła

odnoszą się do jakości życia, do interesu ogólnego i do pojęcia dobrego społeczeństwa. Definicja ta dotyczy nie tylko ówczesnego świata zachodniego, ale tam się pojawiła i rozwinęła w sposób najistotniejszy. Oczywiście dobro wspólne nie jest pojęciem właściwym jedynie dla epoki społeczeństwa industrialnego, ma tradycje o wiele starsze – jego początki sięgają Arystotelesa.

Klasyczna socjologia – według koncepcji Emila Durkheima, którą rozwijało następnie wielu innych, aż do Talcotta Parsonsa i jego szkoły z połowy ubiegłego wieku w Stanach Zjednoczonych – polegała na analizowaniu funkcji systemu społecznego. System ten był też systemem narodowym, ponieważ ówczesny świat tworzyły przede wszystkim państwa narodowe, a gdy państwa narodowego nie było, jego mieszkańcy zabiegali, walczyli o to, aby powstało. Toteż definicja socjologii klasycznej obejmowała – według terminu najbardziej rozpowszechnionego – przede wszystkim funkcjonalizm. Obok tej klasycznej socjologii pojawiła się inna, tak samo istotna – socjologia o inspiracji marksistowskiej. Zgodnie z nią wszelkie wydarzenia czy sytuacje powinny być określane pod kątem interesu społeczeństwa; było to jednak społeczeństwo zdefiniowane w kategoriach dominacji klasowej.

Sposób myślenia tych dwóch socjologii był zdecydowanie różny. Mówiąc nie całkiem serio, można stwierdzić, że mieliśmy do czynienia z dwiema klasycznymi socjologiami: prawicową i lewicową. W obu przyjmowano za pewnik, że wszelkie zachowania społeczne – jak twierdził Durkheim – mogą być poznane tylko w wyniku badania faktów społecznych. Rzeczywistość społeczna może być wytłumaczona tylko przez fakty społeczne, przestańmy więc mówić o religii! Wedle Durkheima (który sam zresztą pochodził z bardzo pobożnej rodziny, był wnukiem rabina) to społeczeństwo jest religią. Jednakże my, w naszym społeczeństwie, zdolnym do samoprzekształceń pod wpływem kalkulacji, przemysłu, nauki, edukacji itd., możemy analizować zachowania i sytuacje jako

efekty oddziaływania aktorów społecznych na system.

Chciałbym poruszyć jeszcze jeden aspekt klasycznej socjologii. To, co powiem, nie jest ani tak proste, ani tak oczywiste, jak może się wydawać. Aby to zrozumieć, należy umieć docierać do sedna, do tego, co jest istotą podejścia socjologicznego. Cały ten nurt myślowy nie mógłby powstać bez podejścia ewolucjonistycznego. Nowoczesność z punktu widzenia socjologii klasycznej rozumiana była jako wzrost zróżnicowania funkcji społecznych oraz intensyfikacja relacji między aktorami społecznymi a samymi systemami społecznymi. W rezultacie pojawiła się idea, której ja sam nigdy nie porzuciłem – idea społeczeństwa coraz bardziej panującego nad sobą, potrafiącego coraz lepiej oddziaływać samo na siebie – na dobre i na złe.

Nadszedł zatem kres owej klasycznej socjologii, która przyniosła wielkie dzieła i przez przeszło wiek odgrywała bardzo ważną rolę w historii intelektualnej. Myślę, że dziś jest już martwa i niemożliwa do praktykowania. W związku z tym musimy szukać innego sposobu myślenia. Jednakże nie jest łatwo znaleźć rozwiązanie tego problemu. Dlaczego? Z powodu podstawowego i materialnego. Dominującą cechą naszej epoki jest globalizacja. Pod tym pojęciem rozumiem nie tylko umiędzynarodowienie zjawisk społecznych, które powoduje, że wszędzie spotykamy to samo, np. programy telewizyjne. Globalizacja gospodarcza niesie ze sobą konsekwencje polityczne i kulturowe, tworzy sytuację, w której nie ma przestrzeni dla aktorów społecznych, politycznych ani kulturowych. Brakuje miejsca nawet dla partii politycznych czy papieża. Nikt nie jest już w stanie kierować, kontrolować lub przemieniać tego niezwykłego świata zglobalizowanej gospodarki, opartego na nowych technologiach, zwłaszcza w dziedzinie komunikacji. A jeżeli nie można

już kontrolować gospodarki, traci rację bytu chleb codzienny socjologów, jakim jest badanie instytucji. Nie ma już sensu studiowanie instytucji, czyli sposobów, w jaki społeczeństwo wykorzystuje swoje zasoby, aby tworzyć programy edukacyjne, urbanistyczne, ekonomiczne, wprowadzać reformy społeczne itd. Wszystko to zniknęło.

Nie chcę dramatyzować, bo to niczemu nie służy. Ale muszę spokojnie ocenić, że nikt na świecie, wliczając mnie, nie jest w stanie dziś powiedzieć, czym jest demokracja, czym jest miasto, co to jest edukacja i sprawiedliwość. Mamy pewne idee, wiemy z grubsza, o co chodzi, ale brakuje nam podstaw analitycznych. Wiemy, że to samo słowo może dziś oznaczać sprzeczne rzeczy. Weźmy miasto w ujęciu europejskim i megalopolis z Trzeciego Świata, jak to niegdyś określano. Nie mają one żadnych wspólnych cech. Między Amsterdamem i Kairem nie ma żadnych podobieństw. W stosunku do obu używamy terminu miasto, ale nic nam ono nie mówi. Większość mieszkańców Kairu, Meksyku i Bombaju nie korzysta z żadnych funkcji miasta. Mieszkają tam, ponieważ społeczeństwa wiejskie je tam wypchnęły. Natomiast ci, którzy znajdują się na szczycie drabiny społecznej, nie odgrywają już w mieście czy kraju żadnej roli; ich rola jest rolą globalną. Świetna amerykańska socjolożka nadała temu zjawisku nazwę globalnych miast (*global cities*)⁴. Tak więc znajdujemy się w punkcie zerowym.

Socjologia klasyczna zajmowała się społeczeństwami narodowymi. Wcale nie twierdzę, że nie ma już społeczeństw narodowych i państw narodowych. Takie zdania brzmią dobrze jedynie w telewizji. Twierdzę natomiast, że dzisiaj nie da się odnaleźć sensu na poziomie instytucji narodowych, regionalnych lub lokalnych. Wystarczy wziąć przykład Unii Europejskiej, który znacie od niedawna. Zjednoczona Europa nie jest społeczeństwem, nie panuje nad swoim losem; interweniuja

⁴ Saskia Sassen, wykładowczyni na Columbia University i London School of Economics, która spopularyzowała pojęcie *global city* we współczesnej teorii społecznej (red.).

albo państwa członkowskie, albo światowy rynek finansowy. Jaka jest rola Europy w momencie, gdy wybucha kolejny kryzys finansowy i ekonomiczny – taki, w jakim się wciąż znajdujemy? Znaczenie Europy jako takiej jest znikome. Może jedynie Europejski Bank Centralny pełni istotną funkcję. Najważniejsze jest śniadanie pani Angeli Merkel z panem X – nie pamiętam już nazwiska obecnego prezydenta Francji⁵; ma większe znaczenie niż jakiegokolwiek inne spotkanie w składzie 27, 42, czterech czy dwóch podmiotów.

Wszyscy odnosimy wrażenie, że żyjemy w świecie, na który nie mamy wpływu. Jednakże projekt europejski się powiódł, szczególnie w wymiarze, który się jeszcze nie zakończył, a w którym Polacy obecnie uczestniczą, tj. na poziomie redystrybucji zasobów na kontynencie. Nierówności społeczne były większe czterdzieści lat temu niż obecnie, aczkolwiek problem pozostaje aktualny. Jednakże możemy żywić nadzieję, że w ciągu następnych czterdziestu lat kraje najbiedniejsze, takie jak Bułgaria albo Polska, przybliżą się do krajów najbogatszych. Osiągnięto już w tej materii imponujące rezultaty; przykładem Hiszpania, która włączyła się w nurt europejskiej nowoczesności po trwającej dwa wieki nieobecności. Przypadek Portugalii jest mniej udany, ale nie tak katastroficzny jak czasami słyszymy. Europa odnosi więc sukcesy, ale nie ma nic do powiedzenia na temat swojej roli w świecie. To Europa jest częścią świata, która najbardziej ucierpiała w wyniku kryzysu rozpoczętego w latach 2007–2008 i radzi sobie z nim najgorzej. Ameryka Łacińska radzi sobie pod tym względem o wiele lepiej. Podobnie Chiny i kraje afrykańskie, które osiągają wzrost PKB w granicach 5–7 procent. W Unii Europejskiej natomiast nie możemy powstrzymać okrzyków radości, gdy PKB jakiegoś kraju członkowskiego sięgnie 1,5 procent. W wielu krajach plasuje się

poniżej lub w okolicy zera, z paroma wyjątkami, co w szczególności dotyczy obecnie Niemiec.

Tak wygląda artykulacja praktyczna i zarazem negatywna tego, co przedstawiłem na początku w ujęciu teoretycznym. Nastąpił upadek wszystkiego, co stanowiło rzeczywistość, a więc przedmiot klasycznej analizy społecznej. Globalizacja przyczyniła się do zaniknięcia dotychczasowego świata instytucji. Dodajmy na marginesie, że postęp globalizacji oznaczał – zwłaszcza w Europie totalitaryzmów, choć nie tylko – zniszczenie wszystkich instytucji, a także wielu ludzkich istnień. Kiedy podstawowy przedmiot badań klasycznej socjologii zanika, treść i duch jej dociekań ginie wraz z nim. Co zatem dzisiaj stanowi kryterium dobra i zła? Niektórzy powiadają, że należy powrócić do religii. Jednak nie tak liczni, ponieważ jest mało miejsc na świecie, w których prawdziwa religia dominuje nad strukturami społecznymi i politycznymi. W większości przypadków to struktury społeczne i polityczne używają języka religii jako narzędzia do obrony własnych interesów. Taki mechanizm odnajdujemy w świecie chrześcijańskim, buddyjskim i muzułmańskim. Nie możemy zaproponować powrotu do idei silnych państw narodowych rodem z XVI czy XVII wieku, ponieważ tego typu państwa już dawno zostały pokonane przez wielkie grupy przemysłowe lub finansowe i raczej się to nie zmieni.

Pozwolą państwo, że przeformułuję postawione przeze mnie pytanie, czyniąc je bardziej socjologicznym. Jest to pytanie o samo istnienie socjologii: jakie jest kryterium dobra i zła? Można je zadać w inny sposób: jakie są kryteria osądu społecznego? Czy jest to użyteczność dla społeczeństwa? Czy jest to prawo? Czy jest to boskie przesłanie? Czy też może chodzi o tradycję danej grupy społecznej? Moja odpowiedź na te wszystkie pytania jest negatywna. Nie chcę przez to powie-

⁵ Autor nawiązuje tu ironicznie do prezydenta Nicolasa Sarkozy'ego, którego był zagorzałym krytykiem. Wspólnie z Ségolène Royal, rywalką Sarkozy'ego w walce o fotel prezydencki, Touraine napisał książkę o perspektywach francuskiej lewicy *Si la gauche veut des idées...* [Jeśli lewica chce nowych idei...], Paris 2008. 15 V 2012 r. urząd prezydenta Francji objął socjalista François Hollande (red.).

dzieć, że przytoczone zjawiska nie mają racji bytu lub zasługują na pogardę. Pewne jest natomiast, że te definicje dobra i zła już nie funkcjonują w zglobalizowanym świecie – w świecie międzynarodowych migracji, w świecie reżimów totalitarnych, które dały o sobie znać w połowie XX wieku i w niektórych częściach świata nadal mają się dobrze. Jest to dokładnie to samo pytanie, które postawiłem sobie podczas pierwszych interwencji socjologicznych podejmowanych na różnych szerokościach geograficznych. Pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat później wciąż staram się na nie odpowiedzieć.

Jak na nie odpowiedzieć? Oczywiście odpowiedzi nie można znaleźć w aktualnych wydarzeniach ani w dzisiejszej gospodarce. Odpowiedź nadchodzi z daleka i jest zwieńczeniem długiego procesu, tak jak w przypadku wszystkich ważnych spraw. Mam następującą odpowiedź: im bardziej społeczeństwa, my sami, zdobyliśmy umiejętność zmieniania naszego życia, idei, reprezentacji, naszych relacji, im bliżej nam do społeczeństwa opisanego przez socjologa starej daty, Georges'a Friedmanna⁶, jako „środowisko techniczne”, a przez mojego przyjaciela Anthony'ego Giddensa nazwanego „społeczeństwem refleksyjnym”, tym bardziej żyjemy w świecie stworzonym przez nas samych. Nie żyjemy już w świecie praw natury ani w świecie, w którym rządzą rzeczy. Żyjemy w świecie określonym przez nasze decyzje, w świecie uwolnionej przez nas przemocy albo w zorganizowanym przez nas porządku. W rezultacie, jak myślę, osąd, co jest dobre i złe, może wywodzić się tylko z analizy naszego stosunku do nas samych. To znaczy na poziomie zinterioryzowanym, a inaczej rzecz ujmując – we własnym sumieniu.

Dzisiaj dobro i zło nie mogą być zdefiniowane inaczej niż w kategoriach kontroli, jaką ludzie sprawują nad własnym losem. Chodzi o poszanowanie ludzkich praw, praw wszystkich ludzi,

uniwersalnych i podstawowych – używając języka końca XVIII wieku. Chodzi o prawa jednostki ludzkiej w sytuacjach stworzonych przez ludzi: ekonomicznych, demograficznych, jurysdykcyjnych, edukacyjnych i jakichkolwiek innych. Kwestia najważniejsza polega więc na tym, czy jesteśmy w stanie zastąpić transcendencję religijną, społeczną, polityczną i ekonomiczną transcendencją odniesioną do jednostki ludzkiej, niosącej albo tworzącej uniwersalne prawa w obliczu tego zglobalizowanego świata, świata komunikacji, współzależności, technologii. Świat ten chce, byśmy byli niewolnikami jego logiki, jego zysków, jego władzy i jego racjonalizacji, ale jednocześnie może posłużyć nam za punkt wyjścia do rozwoju naszych praw. Kluczowe pytanie dotyczy tego, czy jesteśmy zdolni zastąpić uniwersum odwołujące się do transcendencji ponad człowiekiem przez świat transcendencji opartej o to, co jest we wnętrzu człowieka. Chodzi o zdolność do myślenia o nas samych w kategoriach praw.

Chciałbym przywołać słowa Hannah Arendt, która najtrafniej, najprościej i z wielkim przekonaniem definiuje opisanie przeze mnie zjawisko: ludzie to istoty, które mają prawo do posiadania praw. Nie można tego nazwać lepiej. Choć oczywiście można to ująć w sposób bardziej skomplikowany i precyzyjny. Uważam, że dobro i zło określa relacja między prawem a korzyścią. Jeżeli korzyść przeważa nad prawem, znajdujemy się w świecie zła. Jeżeli prawo przeważa nad korzyścią, mamy do czynienia ze światem dobra. Gdy mówię, że „jesteśmy w świecie”, sądzą państwo – i słusznie – że jest to przykład przesadnego optymizmu analitycznego. Jednak twierdzę, że kryterium, które pozwala zdefiniować ruch społeczny, ruch idei czy też działanie jednostki, to zdolność przedkładania prawa ponad korzyść zarówno na poziomie kolektywnym, jak indywidualnym, zarówno na poziomie globalnym, jak narodowym i lokalnym.

⁶ Georges Friedmann (1902–1977) – francuski socjolog pracy, krytyk fragmentyzacji pracy i technicyzmu, jego teorie miały istotny wpływ na myśl Alaina Touraine'a (red.).

To dlatego dwadzieścia czy trzydzieści lat temu zdecydowałem się stosować pojęcie podmiotu jako centralne w moich analizach. Pojęcie to przez sto lat znajdowało się na marginesie myśli społecznej. Podmiotowość – to istota praw w myśl Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela z 1789 r. Istota ludzka, która jest podmiotem, uważa się za takowy i działa zgodnie z tym założeniem. Jest to także definicja ruchu społecznego. Solidarność w Gdańsku i w innych miastach uczyniła z polskich związkowców i ze wszystkich Polaków, którzy tego chcieli, podmioty. To znaczy ludzi, którzy wzięli odpowiedzialność za siebie w imię swojego prawa do życia i do bycia traktowanym jako istota ludzka, czyli jednostka mająca prawa. W tym zdaniu jest wszystko.

Poświęciłem sporo czasu na opracowanie metody, która nazywa się interwencją socjologiczną. Została ona m.in. zastosowana w Polsce do badania nad Solidarnością. Jest ona metodologicznym wyrazem wszystkiego, o czym dziś państwu powiedziałem. Jeżeli naszym celem jest badanie zdolności istot ludzkich do zachowania się jak jednostki mające prawa, to nie osiągniemy tego, używając sondażu opinii, studium demograficznego czy ekonomicznego. Waga wymienionych metod jest oczywista, ale to nie za ich pomocą możemy odzyskać umiejętność ludzi do działania jako podmioty posiadające prawa. Do tego celu potrzebny jest socjolog, który dokona interwencji – podobnie jak czynią to psychoanalitycy – w celu umożliwienia aktorowi społecznemu poznanie siebie samego jako nośnika praw, jako podmiotu moralnego. Podmiot moralny rozumiem jako podmiot świadomy swoich praw, który jest w stanie podporządkować sposób działania wymogom tych praw.

Interwencja socjologiczna nie jest metodą ani łatwą, ani wygodną. Zajmuje wiele czasu. Za każdym razem wraz z zespołem badawczym na same badania w różnych częściach świata poświęcaliśmy od sześciu miesięcy do roku. Naszym celem nigdy nie było szukanie wytłumaczenia zachowań społecznych w danych okolicznościach, tak jak-

by okoliczności miały tłumaczyć ludzkie zachowania. Okoliczności i sytuacje społeczne nie tłumaczą zachowań. To umiejętność istot ludzkich do stania się podmiotami nadaje taki czy inny sens sytuacjom. Zgodnie z przekonaniem rozpowszechnionym w socjologii uważam, że sytuacje społeczne są w bardzo dużej mierze konstruowane przez aktorów społecznych, tak samo jak kształt programów telewizyjnych jest wytworem widzów. Toteż staramy się przyczynić do zwiększenia samoświadomości ludzi – aktorów społecznych, do spotęgowania ich świadomości o tym, że mają prawa, są podmiotami. I badać, czy odpowiada to ich rzeczywistej zdolności do podmiotowego myślenia i działania. Jeżeli się pomyliliśmy w naszych założeniach, jeżeli byliśmy zbyt mili dla naszych aktorów, zbyt im schlebialiśmy, konstruowaliśmy zbyt optymistyczne hipotezy, to bardzo szybko się okazywało, że hipotezy takie do niczego nie prowadzą. Jeżeli dany ruch robotniczy nie ma żadnych innych celów poza dążeniem do uzyskania podwyżki płac, wszystkie piękne słowa, jakich można użyć: walka klas, szczęście dla wszystkich – nic nie znaczą, mogą nas tylko doprowadzić do mówienia i robienia głupstw.

Myślę, że wykazaliśmy, iż w przypadku Solidarności praca nad świadomością, jaką podjęli związkowcy i szerzej Polacy zaangażowani w ten ruch, przyniosła efekty. Sądzę, że wartości moralne są obecnie o wiele bardziej skuteczne niż samo działanie społeczne, polityczne lub religijne. To dlatego przywołałem na wstępie proces, który zachodzi aktualnie w świecie arabskim. Nagle nastąpiła afirmacja świata arabskiego jako podmiotu moralnego, jako żywego podmiotu swojej historii. Sytuacja w tym regionie jest bardzo skomplikowana, mogą wystąpić różne scenariusze, ale to jest sprawa kluczowa. Mieszkańcy Tunezji, Egiptu i innych krajów nie mówili o Izraelu, Stanach Zjednoczonych czy Banku Światowym, a mogli to uczynić. Oni mówili o swoim życiu jako istot ludzkich, o egzystencji ekonomicznej, a przede wszystkim o ich własnej, ludzkiej, o egzystencji politycznej,

o uznaniu ich praw socjalnych, politycznych i kulturowych. Takie przykłady można znaleźć wszędzie. Można je znaleźć w małych chińskich miastach, gdzie co miesiąc okupowane są setki fabryk i budynków partyjnych. Nie ukonstytuowała się tam jeszcze masowa siła opozycyjna wobec rządu, ale ten proces już się rozpoczął. Jedynie obserwując takie ruchy, można nauczyć się odczytywać

rzeczywistość. Wielkim wyzwaniem jest dzisiaj to, czy siła organizacji technologicznych, ekonomicznych i finansowych zostanie ograniczona i zrównoważona, a nawet podporządkowana wymaganiom ludzi, którzy sami rozpoznają w sobie podmioty obdarzone prawami.

Thum. Łukasz Jurczyszyn

JAK POWSTAWAŁ LIST 34

W pochmurny poniedziałek 23 marca 1964 r.¹ funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zarekwirowali w Łodzi, Lublinie i Warszawie kilka egzemplarzy memoriału skierowanego do premiera PRL Józefa Cyrankiewicza. Zatrzymali także na kilkadziesiąt godzin Jana Józefa Lipskiego, który – choć nie podpisał memoriału – był jednym z jego inicjatorów oraz (najprawdopodobniej) redaktorem, zebrał część podpisów i wysłał odpis kilku osobom. Memoriał ten jest dzisiaj znany jako List 34.

Rekonstruję historię listu do czasu pierwszych jawnych działań Służby Bezpieczeństwa, tj. 23 marca 1964 r. Z uwagi na ogrom materiału nie pokazuję genezy protestu, ograniczając się tylko do zarysowania tła. Próbuję też ustalić chronologię powstawania memoriału oraz wprowadzania w nim zmian (jest to częściowo możliwe dzięki zachowaniu się różnych wersji tekstu). List 34 był zmieniany, i to w znaczący sposób, przed jego złożeniem w Urzędzie Rady Ministrów.

Sprawa Listu 34 jest dzisiaj legendarna, a sam list czytany jako pierwszy w PRL protest przeciw cenzurze. Staram się jednak nie sugerować dzisiejszym spojrzeniem, ale ustalić fakty, a w miejscach niepewnych formułować wątpliwości i hipotezy. Wbrew przekonaniu, że historia Listu 34 jest doskonale znana, ustalone fakty pokazują nam ją inaczej².

Przed burzą

„W poniedziałek 27 I [1964 r.] około g. 12.30 w kawiarni PIW-u przy ul. Foksal siedział Antoni Słonimski i J.J. Lipski. Słonimski opowiadał, że PIW ma wkrótce wydać tom jego poezji. Skarżył się, że cenzura znęca się nad nim, kwestionując mu szereg rzeczy, do których nie przyczepiała się dawniej, jak również niebudzących sprzeciwów ze strony cenzury sanacyjnej. Lipski uśmiechał się, wreszcie powiedział:

¹ (WICHEREK), *W trzecim dniu wiosny... Śnieżyce i wiosenne ulewy. Ocieplenie – ale niepewne*, „Życie Warszawy”, 22–23 III 1964.

² Będę wdzięczny za wszelkie uwagi, artykuł jest „dziełem w toku” – pracuję nad biografią Jana Józefa Lipskiego (ukaze się nakładem Instytutu Pamięci Narodowej), w której List 34 jest jednym z ważniejszych wydarzeń.

ŁUKASZ GARBAL

dr, polonista, pracuje w Instytucie Dokumentacji i Studiów nad Literaturą Polską, oddziale Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Opracował m.in. wybór pism politycznych Jana Józefa Lipskiego. Ostatnio opublikował „Ferdynandurke”. *Biografia powieści* (2010) i *Edytorstwo. Jak wydawać współczesne teksty literackie* (2011). Przygotowuje biografię Jana Józefa Lipskiego.

»Nic to. Będzie jeszcze lepiej. Dawnośmy to przedzieli«³.

Niepokój niekomunistycznej lewicowej inteligencji budziło zaostrzanie polityki kulturalnej połączone z atrakcyjnością oferty pezetpeerowskiej frakcji „partyzantów”, którzy wówczas niemal zmonopolizowali czasopisma literackie. Formalne połączenie „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” w czerwcu poprzedniego roku było w gruncie rzeczy ich likwidacją – rozwiązano umowy o pracę z wieloma redaktorami, w tym z oboma naczelnymi. Tygodniki odegrały ważną rolę w fali odnowy, której kulminacją był październik 1956 r. Likwidacja – być może związana także z oszczędnościami papieru – odbierana była w środowiskach bliskich Lipskiemu jako zwiększenie wpływów „partyzantów” (redaktorem naczelnym nowego tygodnika o tytule „Kultura” został kojarzony z nimi Janusz Wilhelmi), przez redaktora „Kultury” paryskiej zaś jako dywersja przeciw jego działalności⁴. Większość pisarzy początkowo bojkotowała warszawską „Kulturę”.

Lęk opozycyjnej inteligencji zwiększyło wystąpienie Władysława Gomułki na początku lipca 1963 r., podczas XIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, kiedy to – mimo zastrzeżenia, że „partia nie chce się wtrącać do spraw warsztatowych” – I sekretarz deklarował: „równocześnie partia popiera jak najbardziej twórczość realizmu socjalistycznego”⁵. Słowa Gomułki współgrały z zaostrzeniem polityki kulturalnej w ZSRR. Jerzy Andrzejewski zaostrzenie po XIII Plenum postrzegał jako wynik nacisku „władz radzieckich w kierunku ograniczania rozwoju polskiej kultury”, ponieważ

„Polska jest konkurencją dla Związku Radzieckiego w dziedzinie kultury”⁶. Podobnie uważał Melchior Wańkowicz. Jan Józef Lipski początkowo przypuszczał, że „Plenum może być obliczone na efekt zewnętrzny, a w życiu praktycznym niewiele się zmieni”⁷, jednak wkrótce zmienił zdanie.

Lipski po zamknięciu Klubu Krzywego Koła szukał możliwości odrodzenia działalności dyskusyjnej w jakiejś innej formie, znalezienia forum swobodnego przedstawiania poglądów. Spotykano się w mieszkaniach prywatnych, szukano też środowisk poza Warszawą; 17 października 1963 r. Lipski rozmawiał w kawiarni Harenda w Warszawie z Wojciechem Rąszewskim z toruńskiego studenckiego klubu Odnova⁸.

Ważnym momentem była śmierć prof. Stanisława Ossowskiego; wokół niego i jego żony Marii grupowało się środowisko Klubu Krzywego Koła. Wydaje się, że w MSW ktoś obawiał się manifestacji politycznej na pogrzebie (być może pamiętając pogrzeb Henryka Hollanda sprzed dwóch lat), ponieważ Służba Bezpieczeństwa bardzo interesowała się zarówno uroczystością, jak i nekrologiem, który 9 listopada ukazał się w „Życiu Warszawy” (nekrolog ten „zgłosił i opłacił w redakcji” Jan Józef Lipski). Pogrzeb Stanisława Ossowskiego odbył się 11 listopada na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach, „zgodnie z życzeniem żony zmarłego [...] w absolutnej ciszy, bez przemówień”. Wagę, jaką przywiązywano w MSW do pogrzebu, ilustruje fakt, że notatka o nim, sporządzona jeszcze tego samego dnia, została wysłana do ministra spraw wewnętrznych Władysława Wichy i przynajmniej dwóch wiceministrów – Mieczysława Moczara

³ Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0204/1421, t. 1, Doniesienie źródła pseudonim „Jot” przyjęte 30 I 1964, 3 II 1964, k. 312.

⁴ List Jerzego Giedroycia do Witolda Gombrowicza, 4 VI 1963 [w:] J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, wybór, wstęp i oprac. A.S. Kowalczyk, Warszawa 2006 (wyd. 2 rozszerzone), s. 522.

⁵ „Trybuna Ludu”, 5 VII 1963 (skrót wystąpienia; całość zamieszczono w „Nowych Drogach”).

⁶ AIPN, 0236/128, t. 1, Notatka informacyjna, 30 VIII 1963, k. 101.

⁷ *Ibidem*, k. 100. Relacjonowano słowa Lipskiego z przyjęcia u Anny Rudzińskiej, gdzie były m.in. Marta Miklaszewska i Aniela Steinsbergowa.

⁸ AIPN, 0204/1421, t. 1, Notatka, 23 X 1963, k. 292.

oraz Franciszka Szlachcica. Interesujące są ich reakcje.

Na egzemplarzu pisma przewodniego dyrektora Departamentu III MSW płk. Stanisława Filipiaka skierowanego do ministra Wichy znajduje się odręczna uwaga pokazująca zainteresowanie Lipskim (o którym w notatce dotyczącej pogrzebu była tylko krótka wzmianka): „tow. Filipiak / Otrzymał tow. Strzelecki / Proszę ustalić, gdzie pracuje Lipski / Wicha [?]” – oraz poniżej, przekreślone, tym samym charakterem pisma, doprecyzowanie: „gdzie pracuje – na etacie – Lipski?”⁹. Odręczna uwaga Wichy świadczyłaby albo o słabej orientacji ministra w działalności resortu, albo o straceniu przez MSW Lipskiego z oczu. Na egzemplarzu skierowanym do wiceministra Szlachcica znajduje się krótka uwaga natury technicznej: „tow. Filipiak / szybko i sprawnie / a więc dobrze / Szlachcic [?]”¹⁰.

Warto podkreślić te trzy okoliczności – zainteresowanie resortu ewentualną demonstracją polityczną środowiska byłego Klubu Krzywego Koła (można je określić jako profilaktyczne, po manifestacyjnym pogrzebie Hollanda), osobiste zainteresowanie ministra Wichy Lipskim, brak śladu jakiegokolwiek reakcji Moczara. Środowisko KKK kojarzono w resorcie jako bliskie grupie „puławian” (opiekunem klubu był prof. Adam Schaff). „Puławianie” zaś szukali wówczas sojuszników. W MSW przewagę zyskiwali ich przeciwnicy, następcy „natolińczyków” – „partyzanci” (zgrupowani wokół Moczara, kojarzono z nimi Szlachcica i Ryszarda Strzeleckiego), co zostało potwierdzone pod koniec roku, kiedy Moczara awansowano na ministra.

Jednym z przejawów usztywniania kursu była trwająca wczesną jesienią 1963 r. intensywna

kampania propagandowa przeciwko Witoldowi Gombrowiczowi. Była ona zapewne reakcją na jedyny w biografii Gombrowicza tekst polityczny – napisany na prośbę Jerzego Giedroycia, opublikowany niemal jednocześnie w paryskiej „Kulturze” i zachodnioniemieckim „Akzente”. W reakcji na XIII Plenum KC PZPR Gombrowicz pisał: „A więc w Polsce wykończono resztki zdychającej od paru lat wolności słowa. Wypowiedzi towarzysza Gomułki i innych towarzyszy nie pozostawiają w tym względzie żadnych wątpliwości: dość tego tam gadania, od dziś znowu ma zapanować zdrowa jednomysłność i konstruktywny zapał, pisarze i dziennikarze niech kroczą dziarsko i karnie ku »światlanej przyszłości«”¹¹.

Przebywającego na stypendium w Berlinie Zachodnim Gombrowicza przedstawiano jako zwolennika hitlerowców, wykorzystując powszechny wówczas w społeczeństwie polskim strach przed Niemcami. Jednocześnie wiązano emigrację (tutaj: środowisko paryskiej „Kultury”) z ośrodkami wrogimi Polsce.

Planowanie

Niewątpliwie „Kultura” namawiała inteligencję do protestu. Według dziennika Anny Kowalskiej (towarzyszki życia Marii Dąbrowskiej, obie podpisały List 34) „we wrześniu [1963 r. – Ł.G.] w Neapolu Herling-Grudziński mówił o liście do władz podpisanym przez najwybitniejszych pisarzy jako o sprawie dokonanej”¹².

3 października 1963 r. Jerzy Stempowski pisał do Marii Dąbrowskiej, przebywającej wówczas w Rzymie: „dziś otrzymałem wrześniowy numer »Dialogu«, kończący się wiadomością, że z powodu

⁹ AIPN, 0204/1421, t. 1, Pismo przewodnie, 11 XI 1963, k. 300. Warto zwrócić uwagę na nieprecyzyjność niektórych materiałów MSW. Np. w notatce z 22 III 1964 SB nie ustaliła stanu faktycznego dotyczącego miejsca pracy Lipskiego. Znajduje się tu błędna informacja: „obecnie współpracuje z Instytutem Badań Literackich i PIW-em” (*ibidem*, k. 318), sugerująca dorywczość pracy Lipskiego w IBL – który był tam już wówczas pracownikiem etatowym.

¹⁰ *Ibidem*, k. 302.

¹¹ W. Gombrowicz, *Tandeta*, „Kultura” 1963, nr 7/8.

¹² A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969*, wybór i oprac. P. Kądziela, Warszawa 2008, s. 380, zapis z 22 II 1964.

ograniczonego przydziału papieru »Dialog« będzie się odtąd ukazywał w zmniejszonej objętości. Gilotyna ścina więc już najlepsze głowy, bo »Dialog« uchodzi słusznie za najbardziej udane pismo tego rodzaju w Europie.

Sytuacja jest teraz jasna. Nowe talenty, wyrosłe w czasach Bieruta i Października, mają wracać do fabryki i kopalni. Obejdziemy się bez nich. [...] Zanim granice się zamkną [...] jeżeli nie pomyślimy o tym zawczasu, jedyną ucieczką od *el garrote* będzie dla nich pisanie i drukowanie po rosyjsku. Tam przynajmniej jest papier, a cenzura taka sama”¹³.

15 października Annę Kowalską odwiedził Antoni Słonimski, „który chce zażądać walnego zebrania Oddziału Warszawskiego [Związku Literatów Polskich – Ł.G.] i poruszyć sprawę obniżania nakładu i ogólnego spadku”¹⁴. 2 grudnia u Jerzego Andrzejewskiego odbyło się „zebranie obywatelskie”, już latem zapowiadane Marii Dąbrowskiej przez Zygmunta Mycielskiego¹⁵.

„Bunt starców. Wańkowicz domagał się wyrażenia wotum nieufności dla Iwaszkiewicza za zgłoszenie w imieniu Związku [Literatów Polskich – Ł.G.] aplauzu dla uchwał” XIII Plenum KC PZPR¹⁶, które były wypowiedzeniem popaździernikowych zasad polityki kulturalnej¹⁷ – m.in. zamierzano zwiększyć kontrolę nad kulturą i ideologią (w październiku 1963 r. powołano Komisję Ideologiczną KC PZPR z Zenonem Kliszką – ówczesnym numerem drugim w hierarchii partyjnej, Ryszardem Strzeleckim i Arturem Starewiczem). Niektórzy pisarze obawiali się powrotu do sytuacji ścisłego uzależnienia kultury od ideologii, podobnej do czasów Bieruta.

Poza zaostrzaniem się cenzury pisarze odczuwali też kryzys ekonomiczny. Od wielu lat domagano się podwyższenia stawek honorariów, czego nie udało się osiągnąć podczas prezesury w ZLP Antoniego Słonimskiego (1956–1959). Konwencja z nowymi stawkami – według dziennika Kowalskiej tak 2 grudnia 1963 r. mówił Jerzy Zawieyski – miała być ogłoszona 16 stycznia. Tymczasem w niedzielę 12 stycznia – dalej wedle tego źródła – odbyła się „narada przedzjazdowa, a jak oni mówią – obywatelska” z udziałem Anny Kowalskiej, Pawła Jasienicy, Pawła Hertza, Stanisława Cata-Mackiewicza, Melchiora Wańkowicza, Juliusza Żuławskiego, Jana Kotta, Mieczysława Jastruna, Zygmunta Mycielskiego, Stefana Kisielewskiego.

Zebranie plenarne Zarządu Głównego ZLP, formalnie poświęcone krytyce literackiej dwudziestolecia międzywojennego, odbyło się 17 i 18 stycznia 1964 r. Skoncentrowano się jednak na sprawach ideowych, w dyskusji pojawił się problem zaostrzenia cenzury oraz zlikwidowania „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego”. Na zebraniu wystąpili m.in. Jasienica, Kazimierz Brandys, Kott i Cat-Mackiewicz. Ten ostatni „przemówił jak wolny człowiek. Świetny popis oratorski. Praktyk, pewny siebie, usiadł, przeprosiwszy, że stać z powodu choroby nie może, i z numerem »Twórczości« w ręce zaatakował Jarosława [Iwaszkiewicza – Ł.G.], że pochwalił w imieniu pisarzy uchwały XIII Plenum, które zlikwidowały dwa pisma literackie i były wymierzone przeciw interesom pisarzy”¹⁸. Atakował także cenzurę.

W obronie Iwaszkiewicza – według niego samego – „na całym zebraniu nie odezwał się ani jeden

¹³ M. Dąbrowska, J. Stempowski, *Listy*, t. 3: 1959–1965, wstęp i oprac. A.S. Kowalczyk, Warszawa 2010, s. 324, 325.

¹⁴ A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969...*, s. 373, zapis z 15 X 1963.

¹⁵ *Ibidem*, s. 373–374, zapis z 2 XII 1963. Por. Z. Mycielski, *Dziennik 1960–1969*, Warszawa 2001, s. 167, 166; M. Jastrun, *Dziennik 1955–1981*, Kraków 2002, s. 404; J. Zawieyski, *Kartki z dziennika*, oprac. J.Z. Brudnicki, B. Wit, „Kierunki” 1982, nr 11.

¹⁶ A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969...*, s. 374, zapis z 2 XII 1963 (w tekście literówka: „VIII Plenum”).

¹⁷ K. Rokicki, *Literaci. Relacje między literatami a władzami PRL w latach 1956–1970*, Warszawa 2011, s. 236. Konrad Rokicki opisał tak referat Gomułki z tego plenum.

¹⁸ A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969...*, s. 377–378, zapis z 20 I 1964.

głos¹⁹. W dzienniku pisał o swoim wyczerpaniu, osamotnieniu i przygnębieniu „polityką takich osób jak Anna Kowalska, Jasienica, Słonimski”, która „może doprowadzić do rozpacz. Wszędzie tam, gdzie mogliby mi pomóc – i to od dawna zauważyłem – starają się mi zaszkodzić i zepchnąć w jakieś regiony konformizmu, które bynajmniej nie są moim dążeniem”. Iwaszkiewicz uważał, że motorem działań Słonimskiego jest „nienawiść osobista, zawiść i podejrzliwość” oraz „staranie się zyskania popularności [...] tanimi sposobami”. Literaci – pisał prezes ZLP – „to wielka hołota. Nie dlatego, że mnie nie podtrzymują – ale dlatego, że nic nie rozumieją i podcinają z namiętnością gałąź, na której siedzą”.

Iwaszkiewicz stał się jedną ze stron konfliktu. Teoretycznie mógł odegrać rolę mediatora, jednak protest uderzał zarówno w podstawy jego polityki (zakulisowe działania na rzecz poprawy sytuacji pisarzy, przede wszystkim materialnej), jak też w niego osobiście (poczucie osamotnienia i porażki, połączone z wzajemnymi urazami między nim i Słonimskim), jest więc psychologicznie zrozumiałe, że jego reakcją na tę stresującą sytuację była – po wybuchu afery – ucieczka²⁰. „Jarosław wyjechał do Włoch, nikomu nic nie mówiąc”²¹ – zapisał na początku kwietnia Andrzej Kijowski, wówczas członek redakcji redagowanej przez Iwaszkiewicza „Twórczości”.

O zebraniu, które „niektórzy pisarze nazywają historycznym [...] wieść [...] nie przeniknęła do

narodu – W »Życiu Warszawy« ukazało się sprawozdanie, że wszystko cacy, odbyło się »w serdecznej atmosferze«²². Konflikt tlił się, ale wciąż pozostawał szerzej nieznany.

5 lutego odbyło się walne zebrane Oddziału Warszawskiego ZLP. W trakcie dyskusji Kazimierz Koźniewski zgłosił nagle wniosek – „w imieniu egzekutywy partii i ustępujących władz” – aby „wyrzucić niepokój wobec ograniczeń papierowych i zgłosić postulat zwiększenia przydziałów papieru”. Jan Józef Lipski zasugerował, „żeby we wniosku Koźniewskiego skreślić słowo »świeckie«, gdyż papier należy się także naszym kolegom katolikom, mimo że – dodawał w meldunku informator SB – sam Lipski jest raczej ateistą”²³.

Wniosek Koźniewskiego (już wówczas konsultanta SB) można traktować jako posunięcie wyprzedzające, mające być może rozładować protest (zasadne wydaje się pytanie, czy była to jego własna inicjatywa, czy też może otrzymał takie polecenie). Sugerowałby też, że już przed 5 lutego precyzowała się idea protestu, który jako argument wysuwał niedobór papieru.

Brak papieru oraz cenzura doskwierały m.in. Pawłowi Jasienicy, który – jak czytamy w donosie agenta SB – „nie pokazuje się w kawiarniach, gdyż wszyscy go nagabują, czy i kiedy ukaże się drugie wydanie *Polski Jagiellonów*, a przecież wiadomo, że drugiego wydania najpewniej nie będzie. Tak jak i *Polski Piastów*”²⁴.

¹⁹ J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980*, oprac. A. i R. Papiescy, R. Romaniuk, wstęp A. Gronczewski, Warszawa 2011, s. 36, zapis z 23 I 1964. Dalej w tym fragmencie cytaty i parafrazy z tego źródła.

²⁰ „Nie wyjechałem z Warszawy – uciekłem” – zapisał Iwaszkiewicz w kwietniu (Taormina, 11 IV 1964, hotel Metropol). Pod datą zapis po francusku „Il ne haïssait personne. C'était trop facile” (Nie nienawdził nikogo. To byłoby zbyt łatwe) – *ibidem*, s. 39, 38.

²¹ A. Kijowski, *Dziennik 1955–1969*, wybór i oprac. K. Kijowska, J. Błoński, Kraków 1998, s. 196, zapis z 4 IV 1964.

²² M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965. Pierwsze pełne wydanie w 13 tomach (bez opracowania edytorskiego)*, pod kierunkiem T. Drewnowskiego, t. 13: 1962–1965, Warszawa 2009, s. 164, zapis z 31 I 1964. Opis Dąbrowskiej zapewne był zaczerpnięty z relacji Kowalskiej.

²³ AIPN, 0236/128, t. 1, Doniesienie „St. Wiślickiego”, 6 II 1964, k. 141. We wniosku Koźniewskiego cytowanym przez Konrada Rokickiego nie ma nigdzie słowa „świeckie”; być może istniała jeszcze inna jego wersja.

²⁴ AIPN, 0204/1421, t. 1, Doniesienie źródła „Jot” przyjęte 30 I 1964, 3 II 1964, k. 312. „Jot” powoływał się na rozmowę z Wojciechem Ziemińskim.

Tło

Pisarze byli rozdrażnieni, ale przygnębiona mogła być większość społeczeństwa. Rok 1964 zapowiadał się ciężko; trwał kryzys gospodarczy. Biuro Polityczne KC PZPR w październiku 1963 r. planowało „poważnie obniżyć projektowany na rok 1964 poziom globalnego funduszu płac i zatrudnienia w gospodarce uspołecznionej, przeprowadzić jednocześnie redukcję w innych działach, przede wszystkim w administracji gospodarczej i państwowej. Wstrzymać przyjęcia do pracy, głównie pracowników umysłowych. [...] Zahamować przepływ siły roboczej ze wsi do miasta. W tych działach, w których nastąpiło nieuzasadnione podwyższenie średniej płacy, dążyć do jej obniżenia. [...] Zablokować wzrost wynagrodzenia za prace zleczone, diety i z tytułów pokrewnych. [...] Zredukować maksymalnie nowe inwestycje, szczególnie nieprodukcyjne”²⁵.

Kryzys mógł wydawać się szansą na zmianę. Dla jednych zmiana taka byłaby zahamowaniem, a może odwróceniem tendencji uszlachetniania systemu i powrotem do znaczenia („puławianie”), dla drugich („partyzanci”) – wzmocnieniem tendencji i zwiększeniem stanu posiadania kosztem „puławian”, może dzięki ich kompromitacji.

Mimo dyktatury Gomułki w państwie trwała bowiem skryta walka o władzę, czego przejawem było odsuwanie kolejnego, IV Zjazdu PZPR (zamiast wiosną, odbył się 15–20 czerwca). Trwał konflikt radziecko-chiński i walki frakcyjne w Biurze Politycznym KC KPZR, zakończone jesz-

cze w tym samym 1964 r. odsunięciem od władzy Nikity Chruszczowa (przy wydatnym udziale przewodniczącego KGB Szeleпина). Plotkowano, że „gdyby Polska poparła linię Chin, to po stronie ZSRR zostałyby najwyżej NRD. Można nawet wytargować ustępstwa terytorialne”²⁶.

W ZSRR rozpoczął się proces poety Josifa Brodskiego, sądownego za „pasożytnictwo”. Jego oskarżyciel atakował obrońców poety w retoryce bliskiej późniejszym atakom na pisarzy w Polsce w marcu 1968 r.: „Bronią Brodskiego nicponie, darmozjady, turkucie podjadki i żuki gnojowe. Brodski to żaden poeta, ale człowiek usiłujący pisać wiersze. Zapomniał on, że w naszym kraju człowiek musi pracować, tworzyć wartości: tak samo maszyny i zboże, jak i wiersze. Brodskiego trzeba zmusić do pracy siłą. Trzeba wysiedlić go z miasta-bohatera [tj. Leningradu – Ł.G.]. To darmozjad, cham, łajdak, człowiek skalany duchowo. Wielbiciele Brodskiego bryzgają jadem. Ale Niekrasow powiedział: »Nie musisz być wcale poetą, lecz obywatelem być musisz«. [...] Dlaczego brano tu w obronę człowieka nienawidzącego naszej ojczyzny? Wypada wziąć pod lupę oblicze moralne tych, którzy go bronili. On pisał w swoich wierszach: »Kocham ja obce ojczyzny«”²⁷.

Retoryka zarzutu o kochanie „obcych ojczyzn” (w domyśle – służenie im kosztem swojej) pojawiła się także w PRL – na masową skalę w okresie Marca ’68, ale także cztery lata wcześniej, również – co warto zauważyć – w związku ze sztuką teatralną. 6 marca 1964 r. w warszawskiej „Kulturze” ukazał się list Leszka Wyszackiego, redak-

²⁵ *Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970*, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000, s. 363 (protokół nr 87 posiedzenia Biura Politycznego 19 X 1963).

²⁶ AIPN, 01820/5, t. 3, Notatka informacyjna dotycząca sytuacji wśród niektórych środowisk inteligencji i młodzieży akademickiej Wrocławia, 23 IV 1964, k. 207

²⁷ *Proces Josifa Brodskiego*, notowała F. W[igdorowa], tłum. J. Gondowicz, Warszawa [1988], s. 15. Ważną rolę w czasie procesu odegrała publiczność: „Pisarze! Wykurzyj by wszystkich!”, „Inteligenty! A na naszej szyi się uwiesili!”, „Ja znam Brodskiego! Fajny chłopak i świetny poeta”, „Obrońca mówił za pieniądze, a oskarżyciel za darmo. Czyli, że ma rację”, „Ej, wy, wy, któraście zapisywała! A po coście zapisywała?”, „A co o tym pisać? Wszystko jasne. Wszyscyście siebie warcili. Zabrać by wam te zapiski” (*ibidem*, s. 18). To styl podobny do groźby wystąpień tzw. aktywu robotniczego w Marcu ’68, która m.in. doprowadziła wówczas do zakończenia nadzwyczajnego zebrania Oddziału Warszawskiego ZLP, por. J. Eisler, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006, s. 203.

tora naczelnego „Stolicy”, atakujący wystawianą od kilku miesięcy w Teatrze Dramatycznym *Śmierć porucznika* Sławomira Mrożka („całość jest łagodnym naśmiewaniem się z naszych romantycznych ciągotek. Ordon, uśmiercony przez Mickiewicza, żył faktycznie jeszcze 50 lat i w końcu popełnił samobójstwo” – notował w swoim dzienniku jeden z działaczy partyjnych, redaktor naczelný „Polityki” Mieczysław Rakowski²⁸). Sam Mrozek, przebywający na Zachodzie, dwa tygodnie wcześniej zanotował: „Wiadomości o Polsce prywatne i straszne”²⁹.

Wysznacki zarzucił Mrożkowi szerzenie cynizmu i brak patriotyzmu, po czym ogłosił dyskusję w „Stolicy”. W czasie przedstawień odbywały się manifestacje przeciw autorowi sztuki. Ich uczestnicy przedstawiali się jako obrońcy „rzekomo atakowanych przez liberałów i bezojczyźnianych facetów trwałych tradycji narodowych”³⁰. „Doszło do tego, że nawet jakiś bliżej nie zidentyfikowany Chełmoński, przedstawiony jako »rolnik spod Sochaczewa«, władający doskonale żargonem warszawskiego środowiska intelektualnego, stanął na łamach »Stolicy« po stronie atakujących Mrożka – pisał w dzienniku Rakowski. – Ciekaw jestem, czym ta cała heca się skończy. Faktem jest, że dożywamy obecnie interesujących dni. Stary, wyliniały polski nacjonalizm znalazł nagle zwolenników z najbardziej niespodziewanej strony, a mianowicie ludzi uważających się za komunistów”³¹.

Coraz większy dynamizm „partyzantów” budził niepokój lewego skrzydła partii. Planowany zjazd PZPR rysował się jako próba sił. Rakowski, utożsamiany z partyjnymi „liberałami”, zapisał tuż przed szerszym ujawnieniem Listu 34: „umac-

nianie się nacjonalistycznego, »patriotycznego« nurtu w naszej partii staje się przedmiotem dyskusji w różnych środowiskach inteligenckich, no i – rzecz jasna – w partyjnych [...] wydaje mi się, że tzw. »partyzanci« z miesiąca na miesiąc zwiększają swoje wpływy. Liczebnie są jeszcze w mniejszości, ale jakościowo, pod względem instytucji przez nich kontrolowanych – nie mają na co narzekać. Mają w swoich rękach najbardziej czułe instrumenty władzy: bezpieczeństwo, wywiad i kontrwywiad [...] natomiast nie ruszają resortów gospodarczych [...]. Jakiegokolwiek posłużenie się demagogią na tym terenie skłóciłoby ich z Gomułą, a tego (na obecnym etapie walki o władzę) wcale nie pragną”³².

Był 21 marca 1964 r. W MSW właśnie rozpoczęto śledztwo, planowano rewizję i zatrzymanie w sprawie listu, który powstał kilka tygodni wcześniej. Jak doszło do jego napisania?

Redagowanie listu

Legenda głosi, że autorem Listu 34 – niezmiennego później w żaden sposób – był Antoni Słonimski, który „pewnego dnia przyszedł z małym karteluszkiem”³³ do kawiarni Państwowego Instytutu Wydawniczego na ulicy Foksal w Warszawie. Według zeznań Jana Józefa Lipskiego podczas jednego z przesłuchań w MSW – było to w sobotę 7 marca, około południa³⁴. We wspomnieniu z 1990 r. Lipski nie przywołał już konkretnej daty. „To był ów tekst, który wywołać miał wkrótce tyle zamieszania”, napisane ma maszynie kilka zdań, dzieło Słonimskiego: „Od jednego rzutu oka widać było jedno: tekst był raczej konfrontacyjny, choć

²⁸ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963–1966*, Warszawa 1999, s. 128, zapis z 6 III 1964.

²⁹ S. Mrozek, *Dziennik*, t. 1: 1962–1969, Kraków 2010, s. 85, zapis z 20 II 1964.

³⁰ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963–1966...*, s. 128, zapis z 6 III 1964.

³¹ *Ibidem*, s. 129.

³² *Ibidem*, s. 135, zapis z 21 III 1964.

³³ J.J. Lipski, *Knowania z Panem Antonim*, „Więź” 1990, nr 5/6, s. 127.

³⁴ AIPN, 507/707, t. 1, Protokół przesłuchania Jana Józefa Lipskiego przez ppłk. Mariana Krawczyńskiego przy udziale ppłk. Józefa Pielasy, 23 III 1964, godz. 14.25. Oczywiście Lipski mógł podać podczas przesłuchania fałszywą datę.

nie zamykał bynajmniej drogi do ewentualnych rozmów. Mimo że miałem chęć – nie zaproponowałem żadnych zmian, po pierwsze dlatego, aby nie narazić [urazić? – Ł.G.] dumy autorskiej Pana Antoniego, ale jeszcze bardziej, by nie wprowadzać nastroju dalszych narad i wprowadzania nowych poprawek, co znowu odsunie w czasie realizację akcji”.

Do stolika, przy którym siedzieli Słonimski i Lipski, przysiadł się Paweł Jasienica: „rzucił okiem na tekst, pogratulował Panu Antoniemu i z miejsca zaczął techniczną rozmowę o zbieraniu podpisów, sposobie przekazania tekstu władzom itd.”³⁵. Paweł Hertz z kolei oceniał po latach, że pomysłodawcą listu był Lipski; mówił, że taka formuła protestu to „zły wpływ Lipskiego, który chciał coś zademonstrować, dołożyć czerwonemu”³⁶. List był zdaniem Hertza „krótki i niemądry”.

Lipski wspominał, że kiedy „w rozmowach w Café Snob (jak Szpotański nazwał kawiarnię PIW) wykluwała się przez pewien czas koncepcja” protestu przeciw polityce kulturalnej (w tym – cenzurze), w sporze między zwolennikami „Wielkiego Memoriału dokumentalnego (jaki zresztą powstał w rezultacie cyklu wydarzeń po Liście 34, pod redakcją Igora Newerlego)” a „zwięzłego dokumentu, zwróconego bardziej do współobywateli niż władz”, opowiadał się właśnie za tym drugim rozwiązaniem, delikatnie naciskając na Słonimskiego, przywódcę opozycji wśród pisarzy („prawie przy każdej naszej rozmowie – wracałem do tego projektu, proponując udział w zredagowaniu tekstu”).

Wpływ Lipskiego – mimo przekonania Hertza – nie był zapewne decydujący (trzeba zwrócić uwagę na różnicę wieku dzielącą Słonimskiego i Lipskiego, jak też różnicę ich pozycji), na pewno

jednak miał udział w decyzji byłego prezesa ZLP, aby przeciąć dyskusje i narady, w toku których – wspominał Hertz – „w rozmowie z Andrzejewskim właściwie rysowała się już formuła tego memoriału. I nagle ku naszemu zaskoczeniu Antoni przyniósł tekst, dwuzdaniowy i, moim zdaniem, bardzo niemądry tekst. I postawił mnie w sytuacji bez wyjścia”³⁷.

Anna Kowalska zanotowała w dzienniku 22 lutego: „przyszedł Słonimski. Przyniósł projekt listu do władz domagający się papieru i wolności”³⁸. Z tego zapisu wynika bardzo wiele: Słonimski konsultował się z innymi pisarzami (przynajmniej z Kowalską), skoro mowa o „projekcie listu”. Lipski mógł wówczas jeszcze nie znać projektu Słonimskiego, nie należał do najbliższego kręgu poety.

7 marca jako datę powstania dokumentu można podważać, ponieważ z dziennika Marii Dąbrowskiej wynika, że list (na którym widniało już przynajmniej kilka podpisów) podpisała dzień wcześniej – w piątek 6 marca. Oczywiście, nie można wykluczyć, że Lipski podczas przesłuchania nie kłamał w tej sprawie, a pomyliła się Dąbrowska, opisując zdarzenie dopiero po tygodniu. Widzimy jednak, że kwestia, kiedy Lipski po raz pierwszy zobaczył tekst przyniesiony przez Słonimskiego, nie jest oczywista i wymaga dalszych badań.

Co więcej, wersja, którą przyniósł Antoni Słonimski, na pewno nie była ostateczną. Późniejsza rewizja w mieszkaniu Lipskiego (23 marca) udokumentowała bowiem istnienie kilku wersji listu. Porównanie tych zachowanych egzemplarzy roboczych (brudnopisów) Listu 34 wykazuje znaczne różnice, pozwalające mówić o co najmniej dwóch odmiennych wersjach tekstu (i jednym wariantcie). Odmian mogło być więcej, lecz nawet te zachowane dowodzą, że tekst zmieniano.

³⁵ J.J. Lipski, *Knowania...*, s. 128.

³⁶ A. Bikont, J. Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Warszawa 2006, s. 322.

³⁷ T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła*, cz. 1, „Res Publica Nowa” 1994, nr 3, s. 7.

³⁸ A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969...*, s. 380, zapis z 22 II 1964. To jedyny znany dziś dowód na jakiejkolwiek konsultacje dotyczące brzmienia Listu 34.

Zachowały się następujące wersje listu:

- maszynopisowa, inna niż wersja ostateczna, widać proces gromadzenia sygnatariuszy (nazywam ją dalej I wersją);
- rękopiśmienna, charakter pisma Jana Józefa Lipskiego (II wersja, wariant A),
- maszynopisowa, zapewne ostateczna, zgodna na ogół z wersją rękopiśmienną (II wersja, wariant B).

Naturalnie, istnieje możliwość, że Lipski zobaczył nie pierwszą, ale ostateczną – zmienioną – wersję listu. Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, skoro zachował się rękopis zmienionej wersji listu, zapisany jego charakterem pisma (wariant A II wersji, który zresztą, jak można przypuszczać, też nie był tożsamy z tekstem złożonym w Urzędzie Rady Ministrów).

Gdyby faktycznie Słonimski przyniósł ostateczną wersję listu z prośbą o jego przepisanie w większej liczbie egzemplarzy, to przecież zapewne powierzyłby Lipskiemu jako podstawę właśnie ten egzemplarz – tym bardziej że podczas rewizji domowej u Lipskiego zarekwirowano m.in. maszynopis jednej z wersji memoriału wraz z nazwiskami pisanymi charakterem pisma Słonimskiego. To sugerowałoby, że Lipski otrzymał całość, a przynajmniej ważniejszą część materiału. Zapewne faktycznie Słonimski przyszedł z „małym kartuszkiem” (najprawdopodobniej to właśnie I wersja, zarekwirowana u Lipskiego), znany nam dzisiaj tekst został jednak napisany ręką Lipskiego w toku uzgadniania wersji ostatecznej (zapewne tym właśnie jest wariant A wersji II).

Interesujące są różnice w tych trzech zachowanych odmianach listu³⁹. Poniżej podaję odmiany w pełnym brzmieniu, numeruję je w ustalonej przeze mnie kolejności chronologicznej.

Wersja I – maszynopisowa, z pisanymi odręcznie charakterem pisma Antoniego Słonimskiego 13 nazwiskami na jednej i 26 (z czego cztery skreślono) na drugiej stronie:

„Zmniejszenie kwoty papieru na wydawnictwa literackie i naukowe, likwidacja »Przeglądu Kulturalnego«, brak rzetelnej informacji i przeszkody w cyrkulacji periodyków i książek zagranicznych oraz zaostrenie się cenzury stwarza stan zagrażający rozwojowi twórczości artystycznej i naukowej. Niżej podpisani, powodowani troską obywatelską, apelują o zmianę polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję Państwa Polskiego i zgodnych z dobrem kultury narodowej”.

Pod spodem dopisane są nazwiska (analizować je będziemy dalej).

Wersja II wariant A – rękopisowa, z 34 nazwiskami – zgodnie z ostateczną listą sygnatariuszy, wszystko charakterem pisma Jana Józefa Lipskiego:

„Ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrenie cenzury prasowej stwarza sytuację zagrażającą rozwojowi kultury narodowej. Niżej podpisani, uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu, powodowani troską obywatelską, domagają się zmiany polskiej polityki kulturalnej w duchu praw zagwarantowanych przez Konstytucję Państwa Polskiego i zgodnych z dobrem narodu”.

II wersja jest czystopisem – tzn. nie ma na niej poprawek, a jedynie dopisano nazwiska dwóch sygnatariuszy (jak z tego wynika – Julian Krzyżanowski i Aleksander Gieysztor podpisali memoriał jako ostatni). Fakt, że to czystopis, oraz charakter jednego błędu (skreślone litery „ku” w sformułowaniu „domagają się zmiany polskiej <ku> polityki kulturalnej”), typowego dla przepisywania – świadczy też jednak o możliwości, że wersja II jest jedynie odpisem z jakiegoś innego egzemplarza.

Czy zatem Lipski w swojej relacji miał rację, pisząc, że nie zaproponował żadnych zmian? Czy możliwe, że II wersja jest jedynie odpisem jeszcze innej wersji Słonimskiego (właśnie ona byłaby

³⁹ AIPN, 507/707, t. 1.

„małym karteluskiem”, który nie był dyskutowany, aby nie wprowadzać „nastroju dalszych narad i wprowadzania nowych poprawek”, co znów odsunęłoby akcję)? To możliwe, przypuszczam jednak, że bardziej prawdopodobne jest, iż zawartość listu ustalano na bieżąco podczas dyskusji nad sformułowaniami tekstu przyniesionego przez Słonimskiego (to egzemplarz I wersji odpowiada bowiem opisowi Lipskiego – „mały karteluszek” pisany na maszynie). Brak jednak dowodów to potwierdzających, poza jednym, dość wątpliwym, o którym dalej.

Lipskiego według tych ustaleń trzeba określić co najmniej jako redaktora, a zapewne – także współautora tekstu. Tekst przyniesiony przez Słonimskiego nie był ostateczny. Słonimski był autorem pomysłu listu oraz jego I wersji, Lipski – redaktorem i współautorem wersji II. Rolę zapalnika odegrał zapewne Paweł Jasienica, mający swoje problemy z cenzurą.

Zauważmy, że druga wersja jest wyraźnie złagodzona w stosunku do pierwszej. Z pięciu argumentów na błędy w polityce kulturalnej (wersja I: „zmniejszenie kwoty papieru na wydawnictwa literackie i naukowe”, „likwidacja »Przeglądu Kulturalnego«”, „brak rzetelnej informacji”, „przeszkody w cyrkulacji periodyków i książek zagranicznych”, „zaostwienie się cenzury”) – pozostają w wersji II jedynie dwa, i to w zmodyfikowanej formie („ograniczenie przydziału papieru na druk książek i czasopism”, „zaostwienie cenzury prasowej”). Zwraca uwagę uszczegółowienie zarzutów – ostrze krytyki skierowane zostało w stronę osób nadzorujących prasę („zaostwienie się cenzury” z I wersji zostało zawężone w wariantcie A II wersji przez dopisanie słowa „prasowej”), tj. zapewne ówczesnego kierownika Biura Prasy KC PZPR Stefana Olszowskiego⁴⁰, kojarzonego z Moczarem.

II wersja Listu 34 nie zawiera zarzutów ogólnych, które byłyby postrzegane przez rządzących

jako podważanie ich pozycji i praktyki panującego ustroju. W wersji tej nie znajdziemy określeń „brak rzetelnej informacji”, „przeszkody w cyrkulacji periodyków i książek zagranicznych” czy nawet „likwidacja »Przeglądu Kulturalnego«” – które mogłyby zostać odczytane jako uderzenie wprost w Gomułkę. Możliwa zatem jest interpretacja, że protest – zawężając zarzuty i łagodząc krytykę w wersji ostatecznej – skierowano przeciw konkretnej grupie w ramach PZPR (tj. przeciw „partyzantom”), może z nadzieją na zmiany w czasie planowanego zjazdu partii.

II wersja jest zredagowana stylistycznie i obudowana szerszym wyjaśnieniem (między „niżej podpisani, powodowani troską obywatelską” wstawiono frazę: „uznając istnienie opinii publicznej, prawa do krytyki, swobodnej dyskusji i rzetelnej informacji za konieczny element postępu”), które można interpretować jako szukanie płaszczyzny porozumienia, wskazywanie miejsc wspólnych. „Apelowanie” o zmianę polityki kulturalnej z wersji I jest „domaganiem się” w wersji II (co stanowi jedyne zaostwienie w tej wersji, bez wątpienia mniej konfrontacyjnej od pierwszej).

Wariant A wersji II w jednym miejscu różni się znacząco od wersji powszechnie znanej – krytykowane jest „zaostwienie cenzury prasowej”, nie zaś – ogólniej – „zaostwienie cenzury”. Wersja powszechnie znana jest tożsama z trzecią, ostatnią zachowaną odmianą tekstu – wariantem B II wersji, maszynopisem na ogół zgodnym z rękopisem Lipskiego (zniknęło w niej tylko słowo „prasowej”, w rezultacie nastąpił w tym miejscu powrót do wcześniejszej wersji Słonimskiego – „zaostwienie cenzury”).

Być może istniała jeszcze inna wersja listu. 13 marca 1964 r. jeden z działaczy warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej „spotkał przypadkowo na ulicy w Warszawie” Lipskiego. Lipski zapewne mu ufał, ponieważ pokazał „pisany

⁴⁰ Później m.in. minister spraw zagranicznych PRL (1971–1976, 1982–1986) i członek Biura Politycznego KC PZPR (1970–1980, 1980–1985) – T. Mołdawa, *Ludzie władzy 1944–1991*, Warszawa 1991.

odręcznie atramentem jego [tj. Lipskiego – Ł.G.] charakterem pisma list względnie pismo adresowane do premiera Józefa Cyrankiewicza, w którym protestuje się przeciwko ograniczeniom rządu w stosunku do pisarzy w zakresie przydziału papieru, niedocenianiu roli kultury narodowej itp.”. Zapewne była to jedna z pierwszych wersji listu – wskazuje na to fakt, że „dokument ten nie był podpisany przez nikogo”, choć uwagę rozmówcy Lipskiego zwróciły odręczne poprawki, „z czego [...] wyciągnął wnioski, że nie jest to jakiś odpis z oryginału, a po prostu, że autorem tego dokumentu może być Lipski”⁴¹.

Wniosek z tego, że działacz KIK widział inny egzemplarz niż II wersja, zapewne wcześniejszy (z poprawkami) – niestety dotychczas nieodnaleziony. Esbecka notatka jest na razie jedynym dowodem na współautorstwo Lipskiego – poza poszlakami, które przedstawiłem.

Nie wiemy, jaką wersję listu złożono w Urzędzie Rady Ministrów. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, że była ona tożsama z wariantem B wersji II – ponieważ tekst w takim właśnie brzmieniu Lipski wysyłał do części sygnatariuszy oraz znajomych. Bez znalezienia egzemplarza złożonego w URM pewności jednak mieć nie możemy. Nie wiemy też, którą wersję tekstu dawano do podpisu sygnatariuszom (zapewne wariant B wersji II, tj. ogólny protest przeciw cenzurze, nie zaś protest przeciw zaostreniu cenzury prasowej, jak w rękopisie Lipskiego). Do dziś w literaturze przedmiotu cytowane są jako List 34 dwie wersje, różniące się jedynie obecnością lub brakiem słowa „prasowej”⁴².

Polityka podpisowa

Kiedy jednego z pierwszych dni marca 1964 r. przed południem do stolika Słonimskiego i Lipskiego w kawiarni PIW-u przysiadł się Jasienica, stał się zapalnikiem protestu, gratulując Słonimskiemu listu i rozpoczynając „techniczną rozmowę o zbieraniu podpisów, sposobie przekazania tekstu władzom itd. Stanęło na tym, że tego jeszcze dnia Pan Antoni na spotkaniu w PEN-Clubie zbierze maksymalną ilość podpisów”, następnie tekst weźmie Lipski, „by według omówionego wspólnie spisu” zwracać się do profesorów w Warszawie i Krakowie⁴³.

Znaczenie protestu zależało od wagi nazwisk sygnatariuszy. W samym procesie zbierania podpisów kluczowe były z kolei te pierwsze, które psychologicznie wymuszały dołączanie się kolejnych osób. Kiedy tekst został już ułożony, istniało ryzyko, że protest ugrzęźnie w dalszych rozważaniach. Paweł Hertz wspominał w rozmowie z Anną Bikont i Joanną Szczęsną: „spotkanie u Andrzejewskiego nie zaowocowało niczym konkretnym. I nie wiadomo, jak długo ciągnęłyby się dyskusje, co i jak robić, gdyby nie przeciął ich Słonimski właśnie, pisząc ów lakoniczny tekścik”⁴⁴.

Przejęcie inicjatywy przez Słonimskiego, który bez narad (z wyjątkiem zarejestrowanej przez Kowalską w dzienniku) przystąpił do zbierania podpisów pod listem (przez wielu ocenianym jako źle sformułowany), było posunięciem zaskakującym i w późniejszych relacjach przedstawianym jako manipulacja. Hertz ocenił to jako „postawienie [...] w sytuacji bez wyjścia”, podobnie reagowało

⁴¹ AIPN, 01820/5, t. 3, Notatka służbowa z rozmowy z tajnym współpracownikiem pseudonim „Anna”, 24 III 1964.

⁴² O „cenzurze prasowej” przeczytamy np. w *Liście 34* Jerzego Eislera, we wspomnieniu Tomasza Jastruna i książce Anny Bikont i Joanny Szczęsnej, o „cenzurze” np. w przypisie do dziennika Iwaszkiewicza.

⁴³ J.J. Lipski, *Knowania...*, s. 128. Przed południem, ponieważ Lipski wspomina o ponownym spotkaniu po południu tego samego dnia. Spotkanie w kawiarni musiało więc się odbyć w dniu, w którym w Pen Clubie było zebranie zarządu lub, co bardziej prawdopodobne, spotkanie dla szerszego kręgu. Z archiwum Pen Clubu wynika, że 7 marca gościł w nim pisarz Paul Tabori. Ten fakt potwierdza wersję Lipskiego (7 marca jako data początku protestu). Wersję tę podważa tylko zapis z dziennika Dąbrowskiej, por. dalej.

⁴⁴ A. Bikont, J. Szczęsna, *Towarzysze nieudanej podróży (9). Obywatele i towarzysze*, „Gazeta Wyborcza”, 1 IV 2000. Relacja Herta z w późniejszej książce *Lawina i kamienie* wygląda na bardziej niechętną Lipskiemu.

wielu innych sygnatariuszy. Jako osoba aktywna we wcześniejszych dyskusjach o proteście Hertz poczuł się wręcz zobligowany do sygnowania listu i włączenia się w zdobywanie kolejnych podpisów.

Zastanawiano się nad wieloma osobami, które mogłyby podpisać. Niejednokrotnie ich dobór zaskakuje.

W I wersji list opatrzony jest nazwiskami, część z nich zaznaczono „ptaszkami”: Paweł Jasienica, Leopold Infeld, Antoni Słonimski, Karol Estreicher, Władysław Tatarkiewicz. Bez „ptaszków” są: Leszek Kołakowski, Maria Dąbrowska, Tadeusz Kotarbiński, Wacław Sierpiński, Maria Ossowska, Jerzy Turowicz. Kolejnych dwóch nazwisk dotyczy znak zapytania (nazwiska wypisane są w jednym wersie, znak zapytania jest między nimi): Jan Parandowski, Kazimierz Wyka. Są to zapewne osoby, które jako pierwsze przyszły na myśl Słonimskiemu, do ich podpisu poeta przykładał największą wagę. I faktycznie, wszyscy spośród nich list podpisali – z wyjątkiem Kołakowskiego. Brak jego nazwiska w wersji ostatecznej jest zastanawiający. Obawiano się jego podpisu, nie udało się z nim skontaktować czy może odmówił?

„Ptaszki” przy nazwiskach są oczywistym sygnałem uzyskania podpisu – i to pod ostrzejszą, pierwszą wersją listu – lub też obietnicy złożonej *in blanco*. Te pierwsze podpisy należały do Jasienicy, Infelda, Słonimskiego, Estreichera i Tatarkiewicza (kolejność jak w rękopisie).

Na odwrocie I wersji są nazwiska wypisane ręką Słonimskiego – prawdopodobnie oznaczają osoby, nad którymi się zastanawiano w szerszej grupie (nazwiska z pierwszej strony to najprawdopodobniej autorski projekt samego Słonimskiego), może przy stoliku w kawiarni PIW-u, z Lipskim; była w tym zapewne także inspiracja Hertz (kolejność i sposób zapisu jak w rękopisie, wątpliwość odczytania zaznaczam pytańnikiem w nawiasie kwadratowym):

Grzymała-Siedlecki [?]

Mackiewicz
Różewicz
Wańkowicz
Kołakowski
Lipiński
Steinhaus
Gołubiew
Anna Kowalska
Jerzy Zagórski [lub Zawieyski] [przekreślone]
Sandauer [przekreślone]
Parandowski
Kumaniecki [przekreślone]
Cybis
Malewska
Iłakowicz
Boguszewska
Kisiel [?]
Herbert Zb. [?]
K. Brandys
Andrzejewski
Jastrun
Hertz
Ważyk?
Kott?
Dygat [późniejszy dopisek innym charakterem pisma].

Można się zastanawiać, czy lista nazwisk z drugiej strony I wersji listu miała unieważnić pierwszy, pierwotny wybór Słonimskiego, czy też go uzupełniała. A może była tylko roboczym wypisaniem możliwości? Przypuszczam, że to raczej uzupełnienie niż unieważnienie. Sądzę też, że wybór sygnatariuszy był – mimo wszystko – konsultowany ze Słonimskim, który sam też zmieniał koncepcję. Na przykład najpierw zaproponował podpisanie memoriału Florze Bieńkowskiej, żonie Władysława Bieńkowskiego, w 1956 r. bliskiego współpracownika Gomułki (w 1959 r. został odwołany z funkcji ministra oświaty), a później zmienił zdanie („Jeśli ty byś podpisała, to chciałoby inni partyjni i ten beczelny Kazio Brandys, mowy nie ma!”⁴⁵).

⁴⁵ T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła...*, s. 7.

Ta zmiana mogła być przejawem dyskusji wśród organizatorów listu (zauważmy, że nazwisko Kazimierza Brandysa – pisane charakterem pisma Słonimskiego – znajduje się na drugiej stronie I wersji listu). Według Hertza Słonimski był zwolennikiem zawężania kręgu sygnatariuszy („w środowiskach artystycznych taki podpis to również jakiś rodzaj wstępu na Olimp. Dopuszczać tam kolegę, którego się nie lubi, to zawsze pewien rodzaj poświęcenia, a dopuścić kolegę, którego się bardzo nie lubi, to już akt wielkiego samozaparcia”), Hertz zatem namawiał Słonimskiego do wyjścia poza własne środowisko: „Antoni [...] potrafił być [...] bardzo zapalczywy. Uważałem, że takie niemądre dwa zdania podpisane przez osoby określane przez niektóre kręgi społeczne jako, mówiąc krótko, »Żydzi i masoni«, będzie miało jak najgorszy skutek moralny i polityczny” – wspominał.

Hertz proponował więc podpisy – według relacji udzielonej Tomaszowi Jastrunowi, synowi jednego z sygnatariuszy – Melchiora Wańkowicza, Stanisława Cata-Mackiewicza (wzbudził najwięcej kontrowersji po ujawnieniu protestu) oraz związanego ze Stowarzyszeniem PAX Jana Dobraczyńskiego, do którego miał nawet pojechać po podpis. Można się zastanawiać, czy było to uzgodnione z pozostałymi organizatorami protestu, biorąc pod uwagę niechęć Lipskiego do Bolesława Piaseckiego i PAX-u, brak nazwiska Dobraczyńskiego w zachowanych odmianach tekstu oraz fakt, że według relacji Lipskiego podpisy zbierał on i Słonimski.

Hertz miał też myśleć o uzyskaniu podpisu... Iwaszkiewicza, „ale wiedział, że tu podjął się czegoś prawie niemożliwego”. Zauważmy, że dla Słonimskiego memoriał mógł być także osobistym porachunkiem z Iwaszkiewiczem. Chociaż z dzisiejszej perspektywy możemy oczywiście powie-

dzieć, że „późniejsza postawa prezesa ZLP ukazała, że nigdy by takiego listu nie podpisał”, to istnieje relacja, według której Iwaszkiewicz żałował, iż nie zwrócono się do niego po podpis (miał powiedzieć: „to sprawa Antoniego”)⁴⁶. Z jego dziennika wynika też, że merytorycznie zgadzał się z protestem⁴⁷!

Być może o podpis zwracano się też do Władysława Bieńkowskiego, który jednak odmówił, gdyż „taką akcję uważa za szkodliwą”⁴⁸. Kazimiera Iłakowiczówna także „odmówiła podpisu, uważając to za »gest«, a jest przeciwna gestom – Tak to uzasadniła w liście do Anny [Kowalskiej]”⁴⁹.

Hertz w swoim wspomnieniu z lat dziewięćdziesiątych jest wyraźnie niechętny Lipskiemu, którego oskarża o wywieranie wpływu na Słonimskiego w kierunku zawężania kręgu sygnatariuszy. Nie wiemy, jak było naprawdę – faktem jest wiele nazwisk wypisanych ręką Słonimskiego w I wersji listu, które nie znalazły się pod memoriałem. Zastanawiać się można, czy osobom tym nie proponowano podpisu, czy też odmówiły. A jeśli nie proponowano, to dlaczego – czy z powodu dążenia do „elitarności” protestu, o czym wspomina Hertz, czy np. ponieważ spieszono się ze złożeniem listu? (Te sytuacje zresztą się nie wykluczają).

To pytanie przede wszystkim o podpis Kołakowskiego, który mógł być uważany przez kogoś z organizatorów (raczej nie przez Słonimskiego, gdyż wpisał go dwukrotnie) za postać zbyt jednoznaczną politycznie. Zastanawiający jest brak – nawet w projektach – nazwisk Juliusza Żuławskiego i Zygmunta Mycielskiego, uczestniczących wcześniej w dyskusjach. Mycielski pisał 6 kwietnia: „list [...] zredagowany był (przez Słonimskiego) pośpiesznie i głupio – szkoda, że nie ma na nim więcej podpisów, Słonimski nie zwrócił się do

⁴⁶ Relacja Andrzeja Biernackiego, 6 X 2009.

⁴⁷ „[...] ten memoriał złożony Cyrankiewiczowi, w zasadniczych problemach zresztą słuszny” (J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964–1980...*, s. 39, zapis datowany „Taormina, 11 kwietnia 1964, hotel Metropol”).

⁴⁸ AIPN, 0192/785, t. 3, Doniesienie „X” przyjęte 1 IV 1964, 14 IV 1964, k. 7.

⁴⁹ M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965...*, s. 169, zapis z 15 III 1964.

malarzy, muzyków (byłbym i ja chętnie na tej liście figurował)⁵⁰.

Faktycznie list został podpisany przez literatów i naukowców. Rozważano podpis jednego malarza (Jan Cybis). Co prawda pod listem znajdziemy jednego kompozytora, ale kojarzono go raczej jako felietonistę (Stefan Kisielewski). Zauważmy zatem zawężanie nie tylko towarzyskie („bezczelny Kazio Brandys”), ale i środowiskowe (czyli nie szerzej – twórcy w ogóle, a wężiej – pisarze).

Niezrozumiałe z dzisiejszej perspektywy jest też ułożenie nazwisk sygnatariuszy. Nie jest to układ alfabetyczny (choć jeden z maszynopisów zarekwirowanych Lipskiemu 23 marca z – jeszcze nieostatecznym – spisem nazwisk sygnatariuszy miał właśnie taki układ⁵¹) ani chronologiczny, tj. w kolejności składania podpisów. Nie wydaje się przecież prawdopodobne, aby Paweł Hertz, który zbierał podpisy i był zaangażowany w protest – podpisał list dopiero po „krakowiakach”, co wynika z kolejności w powszechnie znanej wersji memoriału. Jak wiemy z dziennika Marii Dąbrowskiej, nie sygnowała ona listu jako druga, jak wynikałoby z uplasowania jej nazwiska pod memoriałem. Przeciwnie, zrobiła to, kiedy było już na nim wiele podpisów (o tę manipulację miała żal do Lipskiego).

Ułożenie podpisów było zapewne zamierzone (wysoka pozycja Infelda – którego nazwisko skłoniło do podpisania m.in. jednego z dwóch ostatnich sygnatariuszy, o czym dalej – czy Dąbrowskiej, o czym sama pisała), w części jednak być może odzwierciedlało faktyczną kolejność ich składania.

Kolejność podpisów w wersjach maszynopisowych listu była najprawdopodobniej wypadkową chronologii podpisywania i wagi podpisu dla or-

ganizatorów protestu. Także i z tego punktu widzenia interesujące byłoby dotarcie do oryginału memoriału – już nie tylko w celu poznania jego ostatecznego brzmienia, ale też dla sprawdzenia, ile podpisów zostało wcisniętych między inne. Jak widzimy, „polityka podpisowa” to kolejny krąg pytań w sprawie Listu 34.

Zdobywanie podpisów

Jako pierwszy podpis pod listem zapewne złożył – tak jak wspominał Lipski – Paweł Jasienica. Drugi zapewne był Słonimski. Trzeci podpis mógłby należeć do Jana Józefa Lipskiego – nie ma go jednak w ogóle wśród sygnatariuszy. Pokazuje to jedną z podstawowych cech charakteru Lipskiego, który widział siebie raczej jako organizatora ciężkiej pracy u podstaw niż osobę na świeczniku. Bał się też śmieszności, „pchając [...] podpis między nazwiska ludzi stanowiących najściślej elitę polskiego życia intelektualnego” – wspominał. Jakś czas (kilka dni?) później, gdy miał jechać po podpisy do Krakowa, Jasienica „powiedział wskazując dłonią tekst: »Podpisz się! Potem zapomnisz!« Pan Antoni: »To pan, panie Janku, jeszcze nie podpisał?«”⁵².

„Lipski nie chciał, bo pamiętał jeszcze z czasów przedwojennych jakiś zbiorowy list, gdzie było nazwisko Leśmiana i nazwisko jakiejś zupełnie nieznanej pani, i jak wiele było śmiechu z tego powodu”⁵³. Jasienica ostrzegał jednak: „»radzę ci podpisać: będziesz bezpieczniejszy w naszym towarzystwie; ludzie wiedzą, kim jesteś i nikt nie będzie uważał, że jesteś nie na swoim miejscu«. Pan Antoni przyłączył się do nalegań – ale zaparłem się, ze strachu przed śmiesznością, bo nie ze skromności” – pisał Lipski po latach⁵⁴.

⁵⁰ Z. Mycielski, *Dziennik 1960–1969*, s. 229, zapis z 6 IV 1964.

⁵¹ AIPN, 507/707, t. 1.

⁵² J.J. Lipski, *Knowania...*, s. 128.

⁵³ T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła...*, s. 9.

⁵⁴ J.J. Lipski, *Knowania...*, s. 128.

Ta trójka przy stoliku w kawiarni – to zapewne początek zbierania podpisów. Tego samego dnia pod listem podpisał się też Paweł Hertz i akcja szukania sygnatariuszy ruszyła pełną parą. Po południu „lista wyglądała już niezłe: obok podpisów »spiskowców« – Słonimskiego, Jasienicy, Hertza – widniały już następne: Jastruna i Ważyka, Cata-Mackiewicz i Wańkowicza, Kotta i Zofii Kossak etc.”, uzyskane przez Słonimskiego zapewne w Pen Clubie oraz w klubie literatów (Kossak-Szczucka) na Krakowskim Przedmieściu 87/89.

Wtedy też zapewne podzielono się rolami: „wszystkie podpisy literackie – z wyjątkiem Dąbrowskiej – złożono na ręce Pana Antoniego, wszystkie podpisy uczonych – znów z wyjątkiem Infelda – zebrałem ja” – wspominał Lipski. Jednak według tego samego wspomnienia on też uzyskał podpis Anny Kowalskiej, podobnie jak – według Tomasza Jastruna – podpis Adolfa Rudnickiego⁵⁵.

Relacjonował Lipski: „byliśmy debiutantami w zbieraniu podpisów, pamiętam, że używaliśmy tylko jednego egzemplarza, co bardzo przedłużało pracę i opóźniało mój wyjazd do Krakowa. Najpierw zbierałem podpisy w Warszawie, a w Krakowie byłem dwa dni. Pamiętam, że Kuryłowicz źle się czuł i mnie nie przyjął. A Ludwik Ehrlich spławił mnie”⁵⁶.

Słonimski, jak widzieliśmy, miał już obiecanę (albo *in blanco*, albo pod I wersją listu, bardziej konfrontacyjną) podpisy kilku naukowców – w tym zapewne Infelda⁵⁷. Kolejnymi sygnatariuszami byli prawdopodobnie profesorowie, mający przyciągnąć autorytetem dalsze osoby – Karol Estreicher i Władysław Tatarkiewicz (o czym świadczą

„ptaszki” postawione przy ich nazwiskach przez Słonimskiego w I wersji), którzy podpisali zapewne „jeszcze tego samego wieczoru”, ponieważ Lipski – jak wspominał – zaczął „nachodzić upatrzonych na sygnatariuszy profesorów”⁵⁸. Wcześniej udał się „do Marii Dąbrowskiej, a więc zarazem i do Anny Kowalskiej. Podpisały z przyjemnością”.

Z relacji Marii Dąbrowskiej widzimy to samo zdarzenie zupełnie inaczej. Podpis pisarki, wówczas wielkiego autorytetu, osoby – z uwagi na jej zaangażowanie społeczne, także w II Rzeczypospolitej – trudnej do zaatakowania przez władze, miał wielkie znaczenie dla organizatorów protestu.

Dąbrowska mieszkała pod Warszawą, dojazd do niej był utrudniony (później, w kwietniu, auto, które miało ją dowieźć na spotkanie z premierem, utknęło w błocie). Jej podpis Lipski uzyskał zatem najprawdopodobniej podczas pobytu pisarki w Warszawie. Stąd ważne jest ustalenie, kiedy Dąbrowska tu była. W swoim dzienniku autorka *Nocy i dni* zapisała, że do Warszawy przyjechała 6 marca „autem Związku [Literatów Polskich] – z powodu zębów”⁵⁹, widziała się wtedy m.in. ze Słonimskim i właśnie z Lipskim. (Dziwne, że to nie Słonimski – z uwagi na rangę swoją oraz Dąbrowskiej – zwrócił się do niej z prośbą o podpisanie memoriału, tym bardziej że widzieli się tego dnia!). Pisarka poczuła się zmanipulowana:

„Drugim gościem [po Słonimskim! – Ł.G.], którego widziałam, był młody Lipski (ten z Krzywego Koła) – Przyniósł jakiś króciutki tekst zwracający się do Rządu o rozszerzenie wolności słowa zawarowanej Konstytucją. Było tam już dużo podpisów

⁵⁵ T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła...*, s. 8.

⁵⁶ *Ibidem*, s. 7.

⁵⁷ Nieco inaczej wygląda to z innego źródła, według którego Słonimski dał Infeldowi do podpisu gotowy list (nie wiadomo, w jakiej wersji), „kiedy był u niego na kawie. Podobno sprawę tę S[łonimski] poruszył mimochodem, już na wychodnym. »Nie chciałem odmówić, kiedy mnie tak prosił«” – powiedział podobno Leopold Infeld (AIPN, 01820/5, t. 3, Wyciąg z doniesienia tajnego współpracownika pseudonim „Zyg”, 31 III 1964, k. 40).

⁵⁸ J.J. Lipski, *Knowania...*, s. 128.

⁵⁹ Zapis jest datowany „15 III. Niedziela” – Dąbrowska opisała zdarzenia z ponadtygodniowej perspektywy, nie wiedząc jeszcze o złożeniu Listu 34 w Urzędzie Rady Ministrów, co nastąpiło dzień wcześniej (M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965...*, s. 169).

uczonych i pisarzy – o bardzo sławnych nazwiskach – Nie palę się do takich »petycji«, bo to nic nie da – ale tak wciąż wszystkiego odmawiam, że zawsze w końcu zdarzy się coś czemu poprostu [*sic!*] na zasadzie prawa liczb czy prawdopodobieństwa – nie odmówię – Bez dyskusji więc chciałam podpisać w przypadającej na mnie kolejności. Lipski na to: »Chciałem prosić – bo tu pod prof. Infeltem zrobił się taki odstęp – Żeby to miejsce wypełnić, może tu pani podpisze« (Infelda był pierwszy). Podpisałam bezmyślnie. Bezmyślność to moja największa wada – Bo to był b. naiwny manewr – żeby uzyskać mój podpis na tzw. »czołowym« miejscu. Powinnam była powiedzieć – »Nie, proszę pana, to jest niedobry manewr – Adresaci pomyślą od razu [*sic!*], że inni podpisali, widząc mój podpis«. Tymczasem rzecz się miała odwrotnie – Ja podpisałam widząc tyle podpisów⁶⁰.

Fragment dziennika Dąbrowskiej świadczyłby o tym, że przynajmniej kilka znaczących podpisów (Infeld!) pod listem znajdowało się już 6 marca. Zapewne uzyskał je Antoni Słonimski (ponownie jednak można zapytać, dlaczego nie prosił o podpis Dąbrowskiej). Widzimy tu też przykład przemysłanej »polityki podpisowej« – interpretacja Dąbrowskiej dotycząca intencji Lipskiego wydaje się słuszna.

Jeżeli faktycznie Lipski odwiedził Dąbrowską przed wizytą u profesorów, to podpis Infelda, który zapamiętała pisarka, musiał zostać złożony wcześniej. Podpis Dąbrowskiej nie był więc drugi, a najwcześniej – jedenasty, ponieważ z relacji Lipskiego wynika, że do czasu wizyty u Dąbrowskiej pod listem podpisali się Słonimski, Jasienica, Hertz, Jastrun, Ważyk, Cat-Mackiewicz, Wańkiewicz, Kott, Kossak-Szczucka oraz Infeld – jako przynajmniej jeden z profesorów.

Następny (dwunasty lub późniejszy) był zapewne – wspomina Lipski – podpis Anny Kowalskiej, która kilka miesięcy wcześniej, po wizycie Słonimskiego, była bardzo niechętna jego polityce. 15 października 1963 r. zapisała w dzienniku: »tacy »politycy« jak Jan Wyka i [Jerzy] Kornacki tylko mogą mnie przepłoszyć. Nic z takimi, jeśli chodzi o rzeczy poważne. [...] Także nie ze Słonimskim⁶¹. Można się zastanawiać, czy na zmianę jej decyzji wpłynęło podpisanie listu przez Marię Dąbrowską, czy też zaangażowanie Kowalskiej w protest podczas zebrania ZLP.

Według relacji Jana Józefa Lipskiego kolejne podpisy należały do profesorów. Jeżeli Infeld podpisał wcześniej, to w tym momencie, po Dąbrowskiej i Kowalskiej, podpisali Karol Estreicher i Władysław Tatarkiewicz. Ustalenie kolejności składania podpisów jest dziś możliwe właśnie do tego miejsca, tj. do podpisu piętnastego. Na podstawie istniejących materiałów i relacji nie można już zrekonstruować dalszej chronologii zbierania podpisów – z wyjątkiem pięciu, które uzyskano na końcu.

Przed ich uzyskaniem Lipski pojechał do Krakowa, gdzie zdobył m.in. podpis Jerzego Turowicza. Lipskiego »gryzło [...] sumienie, czy aby nie każe Turowiczowi wbijać gwoźdź do trumny »Tygodnika Powszechnego«. Ta lista była prowizoryczna i nie sztywna, ale wiadomo było, że chodzi o ludzi wybitnych, których nazwiska ważą: »Czy podpis Turowicza nie zaszkodzi »Tygodnikowi«? – wspominał Lipski. – My wahaliśmy się, on nie«⁶².

Sam Turowicz w rozmowie z Jastrunem wspominał, że »mógł się wahać, czego Lipski wtedy nie wyczuł«, w decyzji jednak pomogła mu obecność na liście sygnatariuszy nazwisk Słonimskiego i Kisielewskiego (czyli podpis Kisielewskiego uzyskany został przed wyjazdem Lipskiego do Krakowa).

⁶⁰ *Ibidem*.

⁶¹ A. Kowalska, *Dzienniki 1927–1969...*, s. 373.

⁶² T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła...*, s. 9.

Zapewne także podczas wizyty u Turowicza list podpisał Konrad Górski („nie wahał się i podpisał lekko, ale najwyraźniej sam nie wiedział, co czyni. Problemy zaczęły się później”). Jak widzieliśmy wcześniej, Lipskiemu nie udało się uzyskać podpisu prawnika Ludwika Ehrlicha⁶³ ani językoznawcy Jerzego Kuryłowicza. Odmówił też Adam Vetulani – szykanowany przez władze nie chciał tracić szansy na paszport⁶⁴.

Podpis trzydziesty należał do Mariana Falskiego (autora słynnego elementarza, przyjaciela Słonimskiego), jako 31 zaś memoriał podpisał Kazimierz Kumaniecki – dowodem na to są ich nazwiska dopisane odręcznie na jednym z maszynopisów zarekwirowanych podczas rewizji u Lipskiego 23 marca. Ostatnie trzy podpisy złożyli profesorowie: Jan Szczepański, Julian Krzyżanowski, Aleksander Gieysztor. Świadczy o tym częściowo II wersja listu (nazwiska Gieysztor i Krzyżanowskiego są dopisane), częściowo zaś relacja jednego z nich, który wspomina o złożeniu własnego podpisu po Szczepańskim⁶⁵.

Te ostatnie podpisy uzyskano już chyba po decyzji o szybkim dostarczeniu listu, zapewne w piątek lub nawet sobotę. W sobotę 14 marca Antoni Słonimski złożył oryginał listu w Urzędzie Rady Ministrów⁶⁶.

Wydaje się, że nie wszyscy sygnatariusze Listu 34 wiedzieli, pod czym się podpisują. Ciekawe są zwłaszcza historie podpisu Zofii Kossak-Szczuckiej

oraz wspomnianego powyżej jednego z dwóch ostatnich sygnatariuszy.

„Słonimski spotkał Kossak w klubie literatów i podsunął jej tekst dokumentu, krótko tylko nadmieniając, że »chodzi o papier«. Kossak nawet dobrze nie zaznajomiła się z treścią i dokument podpisała.

Charakterystycznym jest fakt, że siedzący wraz z Kossak przy kawie literat Jan Władysław Grabski również chciał ten dokument podpisać, lecz Słonimski nie pozwolił na to, nie wdając się w wyjaśnianie przyczyn”⁶⁷.

To zachowanie Słonimskiego pokazuje tendencję do dokładnego doboru sygnatariuszy – nacisk kładziono na zdobycie znaczących nazwisk. Kossak-Szczucka była znana⁶⁸; Władysław Jan Grabski, mimo że syn premiera z czasów II Rzeczypospolitej, szerzej znany nie był.

List podpisywano z różnych powodów: ponieważ uważano go za słuszny, z uwagi na jego inicjatora, Antoniego Słonimskiego, sugerując się podpisami innych sygnatariuszy. W relacjach sygnatariuszy i innych osób uderza jednak częste poczucie, że się zostało zmanipulowanym, zresztą z różnych powodów (Dąbrowska, Kossak-Szczucka, Hertz). Ten problem wykracza już poza ramy tego artykułu, wymaga badań w powiązaniu z późniejszymi reakcjami na list, z wycofywaniem podpisów itd., muszę go jednak tu zasygnalizować.

⁶³ Stanisław Salmonowicz relacjonuje, że odmowę prof. Ehrlich argumentował nieznajomością polskiej polityki kulturalnej (S. Salmonowicz, *Wokół listu 34*, „Dzieje Najnowsze” 1993, nr 3, s. 223–224).

⁶⁴ K. Rokicki, *Literaci...*, s. 262.

⁶⁵ AIPN, 01820/5, t. 3, k. 158. Materiał jest niewystarczający do określenia charakteru źródła. Być może był to zapis z rozmowy z kimś uważanym przez rozmówcę za reprezentanta władzy; por. K. Tarka, *Kontakt operacyjny „Mediewista”*. Profesor Aleksander Gieysztor i wywiad PRL, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2010, nr 1, s. 97–120.

⁶⁶ Dąbrowska w przemówieniu z czerwca podała – zapewne błędnie – datę 13 marca. Nie udało mi się jeszcze odnaleźć potwierdzenia złożenia listu w Urzędzie Rady Ministrów, np. w rejestrach pism wchodzących, ani też oryginału memoriału.

⁶⁷ AIPN, 01820/5, t. 3, Wyciąg z notatki ze spotkania z tajnym współpracownikiem pseudonim „Konrad” 11 IV 1964, 6 V 1964, k. 249. Zofia Kossak-Szczucka na początku kwietnia miała być „przeżrana konsekwencjami memoriału. Chciałaby dać wyraz w publikacji niepełnej swej świadomości w chwili podpisywania dokumentu i zupełnego braku orientacji odnośnie znaczenia memoriału”.

⁶⁸ Można też zauważyć, że Kossak-Szczucka była cenna dla pomysłodawców protestu jako pisarka wydawana przez PAX. Uzyskanie jej podpisu można interpretować jako rozszerzanie protestu i – jednocześnie – taktyczne włączenie weń środowiska PAX-u.

Kolportaż

Informacji o memoriale nie trzymano w szczególnej tajemnicy przed jego złożeniem w URM. 13 marca Jan Józef Lipski pokazał – jak pisałem – brudnopis listu jednemu z działaczy warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, spotkanemu przypadkowo na ulicy. W ciągu następnego tygodnia Tadeusz Mazowiecki (wówczas poseł Znak) powiedział o memoriale swoim najbliższemu współpracownikom, pokazywał też jego odpis: „podkreślił przy tym, że nie wie, kto jest autorem tego dokumentu, ale jest przekonany, że wywoła on u czynników rządowych zakłopotanie, ponieważ pod dokumentem tym podpisanych jest wielu znanych w Polsce pisarzy i pracowników naukowych”. O liście w dniu złożenia (14 marca) – albo nawet wcześniej – wiedział Artur Starewicz⁶⁹, jeden ze współpracowników Gomułki, kojarzony z „liberałami” w PZPR, przeciwnik Moczała (ponad pół roku wcześniej odszedł z funkcji kierownika Biura Prasy KC PZPR). Co więcej – Starewicz miał egzemplarz listu, nie wiemy jednak od kogo.

Stosunkowo wcześniej o memoriale dowiedział się też Iwaszkiewicz – jeżeli zaufamy Jerzemu Putramentowi, który pisał o spotkaniu z nim 17 marca: „jest oburzony na tę inicjatywę. Wydaje mi się, że podejrzewa, jakoby to był osobisty odwet za jego jubileusz. Mówi: ci durnie chcieliby znowu zaognić stosunki literatów z kierownictwem partii”⁷⁰. Wiadomość o memoriale przekazał Iwaszkiewiczowi Andrzej Biernacki. Z kolei sam Putrament

o Liście 34 dowiedział się – jak twierdzi – w poniedziałek 16 marca⁷¹.

Jak widzimy, niemal natychmiast po złożeniu Listu 34 w kancelarii Urzędu Rady Ministrów jego tekst zaczął krążyć po Warszawie (co przewidział Słonimski: „szerszego kolportażu listu w warunkach warszawskich można się było spodziewać, gdyż list stanowi oficjalny dokument” – mówił⁷²). Tymczasem nie nadchodziła odpowiedź od adresata. „Niektórzy sygnatariusze mieli poczucie, że zrzucano do studni kamień, który nadal leci” – zanotował syn jednego z nich⁷³.

16 marca (datę tę potwierdza zarówno datowanie w listach, jak też stemple pocztowe) Jan Józef Lipski napisał listy do swoich znajomych – Jerzego Kłoczowskiego, który był m.in. przez parę dni dowódcą jego plutonu w powstaniu warszawskim, a także do polonistów: Ireneusza Opackiego z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i nauczycielki Aleksandry Palusińskiej z Łodzi. Główną część tej korespondencji zajął List 34, który Lipski przepisał (razem z nazwiskami sygnatariuszy) do wiadomości adresatów. Otrzymali oni pocztę 18 lub 19 marca⁷⁴.

Lipski pisał do Opackiego: „być może zainteresuje Cię poniższy odpis dokumentu, złożonego 14 III br. za pokwitowaniem w Prez[ydium] Rady Ministrów przez p. A. Słonimskiego w imieniu pozostałych osób: [tu następował List 34 wraz z nazwiskami sygnatariuszy – Ł.G.]. Jeśli sądzisz, że wymagam od Ciebie nadzwyczajnej, przesadnej [?] dyskrekcji – to jesteś w błędzie. Serdecznie Cię

⁶⁹ H. Korotyński, *Trzy czwarte prawdy. Wspomnienia*, Warszawa 1987, s. 277.

⁷⁰ J. Putrament, *Pół wieku. Natasza (nowa wersja „Rapanui”)*, Warszawa 1978, s. 316. Podobnie rzecz przedstawia zastępca Iwaszkiewicza w ZLP Jan Maria Gisges, który – już po ukazaniu się obu książek Putramenta – napisał: „Iwaszkiewicz, przyjechawszy około południa ze Stawiska, o niczym nie wiedział. Wystraszył się, kiedy mu o memoriale powiedziałem, zmartwił, wreszcie zezłościł: – ...nic mnie to nie obchodzi! W dupie mam to wszystko! Ja już jestem za stary na to!... Ach! Zagranica będzie trąbić, Gomułka się wścieknie, teraz nie mamy po co do niego chodzić! – Przypuszczam, że o to również chodziło Słonimskiemu – powiedziałem” (J.M. Gisges, *A po człowieku dzwoni dzwon*, Rzeszów 1985, s. 226).

⁷¹ J. Putrament, *Pół wieku. Rapanui*, Warszawa 1975, s. 210–211.

⁷² AIPN, 01820/5, t. 1, Informacja MSW dotycząca komentarzy w związku z listem skierowanym do premiera PRL, 24 III 1964, k. 71.

⁷³ T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła...*, s. 9.

⁷⁴ AIPN, 507/707, t. 3, Protokół przesłuchania Aleksandry Palusińskiej 7 IV 1964; AIPN, 01820/5, t. 1, Protokół przesłuchania Ireneusza Opackiego 10 IV 1964 od godz. 14.30 do 15.30, odpis maszynowy, k. 143.

pozdrawiam / Jan Józef⁷⁵. W liście do Palusińskiej zaznaczył: „nie robię żadnych zastrzeżeń co do dyskrekcji”⁷⁶.

Być może wysłał więcej odpisów. W archiwum IPN zachował się m.in. – zapewne przechwycony przez SB – ślad po liście do Jana Prokopa, kolegi Lipskiego z Instytutu Badań Literackich, mieszkającego w Krakowie⁷⁷.

Słonimski około 17 marca prosił Lipskiego o przepisanie listu w trzydziestu egzemplarzach i przesłanie do osób, które go podpisały; pięciu sygnatariuszom wysłał już list sam⁷⁸. Lipski poszedł do Wincentyny Gilowej, przepisującej jego rękopisy, i poprosił ją o wykonanie trzydziestu egzemplarzy. Część z nich wysłał w dniach 18–22 marca. Podczas przesłuchania 23 marca mówił, że kilku sygnatariuszy listów nie otrzymało (zachowały się w archiwum IPN, najprawdopodobniej więc zostały przechwycone przez SB).

Trzeba podkreślić, że podczas przesłuchań po zatrzymaniu Lipski starał się mówić jak najmniej, aby nie obciążać innych, kłamał lub odmawiał odpowiedzi (czasem zaprzeczanie było niemożliwe wobec okazywanych dowodów). Jego przesłuchania trzeba zatem traktować bardzo ostrożnie jako źródło faktów.

We środę 18 marca około siedemnastej Antoniego Słonimskiego w jego mieszkaniu w alei Róż odwiedził niespełna 24-letni tłumacz z węgierskiego Jerzy Nowak, który poznał poetę kilka miesięcy wcześniej, w końcu października 1963 r.⁷⁹ Rozma-

wiali o literaturze współczesnej, o tym, że jest za mało pism literackich, „co zwłaszcza odczuwa się po zamknięciu tygodnika »Przegląd Kulturalny«”. Byli zgodni w opiniach, co Nowak później lojalnie powiedział podczas przesłuchania⁸⁰.

„Następnie Antoni Słonimski zapytał się mnie, czy nie znam treści pisma skierowanego do premiera Cyrankiewicza, okazując mi prawie jednocześnie kopię pisma z dn. 14 III 1964 r. adresowaną do pana premiera Cyrankiewicza, wykonaną na maszynie. Kopię pisma posiadał Słonimski najprawdopodobniej w teczce, gdyż zaraz mi ją podał do zapoznania. Jednocześnie Antoni Słonimski poinformował mnie, że oryginał pisma do premiera zaniósł osobiście do sekretariatu i otrzymał pokwitowanie. Kopię pozostawił u siebie i spodziewa się odpowiedzi w ciągu 10 dni. Z treści przeczytanej kopii maszynowej wynikało, że szereg intelektualistów zwróciło się do premiera Cyrankiewicza z prośbą o zmianę aktualnej polityki kulturalnej, zwracając uwagę na brak papieru i zaostrezenie cenzury. Pod treścią były napisane na maszynie 34 nazwiska różnych literatów, historyków, matematyków i filozofów. Antoni Słonimski nie mówił mi, czy on sam był autorem tego pisma i czy sam zbierał podpisy intelektualistów. [...] zwrócił się do mnie, abym do czasu odpowiedzi na jego pismo nie rozgłaszał jego treści, a jeśli będę chciał to uczynić, to tylko najbliższemu przyjacielom. W tym celu Antoni Słonimski prosił mnie, abym sobie odpisał treść z okazanej mi kopii maszy-

⁷⁵ AIPN, 507/707, t. 1, List Jana Józefa Lipskiego do Ireneusza Opackiego, Warszawa, 16 III 1964.

⁷⁶ *Ibidem*, List Jana Józefa Lipskiego do Aleksandry Palusińskiej, Warszawa, 16 III 1964.

⁷⁷ AIPN, 01820/5, t. 4, Fotokopia koperty z adresem Jana Prokopa, charakter pisma Jana Józefa Lipskiego, k. 194; tam też fotokopie koperty z adresem Ireneusza Opackiego i Aleksandry Palusińskiej (bez fotokopii listów) oraz fotokopie koperty z adresem Jerzego Kłoczowskiego i odręcznego listu Jana Józefa Lipskiego. Dokumenty te znajdują się w kopercie podpisanej „Dokumenty W” (k. 192).

⁷⁸ AIPN, 507/707, t. 1, Protokół przesłuchania Jana Józefa Lipskiego przez ppłk. Mariana Krawczyńskiego przy udziale ppłk. Józefa Pielasy 23 III 1964 od godz. 14.25.

⁷⁹ AIPN, 507/707, t. 3, Protokół przesłuchania Jerzego Nowaka 25 [?] III 1964 od godz. 17.00 do 18.30, k. 8. Jerzy Nowak to dziś Jerzy Robert Nowak, związany ze środowiskiem Radia Maryja.

⁸⁰ Informacje i cytaty w tym fragmencie – AIPN, 507/707, t. 3, Protokół przesłuchania Jerzego Nowaka 24 III 1964 od godz. 21.00 do 23.00 i 25 III od godz. 9.40 do 10.20, k. 2–3.

nowej. Przy sobie posiadałem wówczas notatnik akademicki stukartkowy i w nim napisałem treść z kopii pisma”⁸¹.

19 marca po południu Nowak spotkał przypadkowo na Nowym Świecie swojego znajomego, Jana Stodolniaka, repatrianta z Francji⁸², pracującego wcześniej jako tłumacz francuski dla PAP, a niedawno zastępującego jednego z pracowników agencji AFP. Stodolniak miał sympatie trockistowskie, żywo interesował się zmianami personalnymi w PZPR, o czym świadczą skonfiskowane później przez SB notatki.

Mieli spotkać się na drugi dzień rano u Nowaka. Stodolniak jednak nie przyszedł. Nowak spotkał go w czytelni Instytutu Spraw Międzynarodowych przy Jasnej. Umówili się na ten sam dzień po godz. 21 pod kinem Femina. Tam też Nowak zapoznał kolegę ze zrobionym przez siebie odpisem Listu 34: „treść tego pisma okazałem Stodolniakowi ze swego notatnika akademickiego. Podałem mu przy tym, że Słonimski prosił, aby w ciągu 10 dni nie rozgłaszać treści pisma, gdyż spodziewa się odpowiedzi od premiera Cyrankiewicza, a okazuję mu jego treść tylko jako dobremu przyjacielowi, z czym oczywiście zgodził się Słonimski. Stodolniak też był zdziwiony, lecz nie samą treścią, lecz nazwiskami osób, jakie były w tym piśmie, gdyż część tych osób była mu znana. Ponieważ chciałem zapoznać innych swoich przyjaciół z treścią pisma skierowanego do premiera, zwróciłem się do Jana Stodolniaka, aby napisał mi kilka egzemplarzy tego pisma na maszynie”⁸³.

Zauważmy, że według zeznań Nowaka Słonimski prosił o umiarkowaną dyskrecję, co stanowi raczej sprzeczność, zwłaszcza wśród inteligencji.

Nowak jednak nie tylko pokazał list znajomemu, ale także poprosił go o wykonanie odpisów; jak powiedział w zeznaniu – maszynowe odpisy miały dodać wiarygodności jego relacji, którą chciał składać przyjaciółom.

Kiedy nazajutrz, w sobotę 21 marca, około czternastej Nowak i Stodolniak spotkali się ponownie, Stodolniak powiedział, że musiał oddać maszynę, nie powielił listu. Pokazał Nowakowi cztery egzemplarze „ze wstępną treścią”, lecz bez nazwisk, i jeden egzemplarz na niebieskim papierze z dopisanymi odręcznie nazwiskami. Nowak nie pytał Stodolniaka, gdzie wykonał odpisy – ten zaś nie powiedział, że użył do tego maszyny do pisania w AFP. Co ciekawe, szef placówki AFP Albert Dupuy już znał memoriał, bowiem następnego dnia Stodolniak widział w AFP „opracowaną przez niego treść depeszy na ten temat”⁸⁴.

Fakt, że szef placówki AFP wiedział o istnieniu listu, potwierdza inne źródło, według którego Dupuy dowiedział się o tym zapewne z ambasadą francuską, powiadomionej przypuszczalnie przez Aleksandra Bocheńskiego⁸⁵. To zatem nie Stodolniak dostarczył zachodniemu dziennikarzowi informacji o memoriale (mógł natomiast jako pierwszy dostarczyć kompletny tekst, najprawdopodobniej w wariantcie B wersji II). To nie działania Stodolniaka ani Nowaka sprawiły, że 21 marca w MSW planowano już rewizję u Jana Józefa Lipskiego.

W niedzielę 22 marca Nowak poszedł do akademika żeńskiego do koleżanki, studentki socjologii Elżbiety Kędrak, w której się podkochiwał⁸⁶. Nie informował jej „o szczegółach otrzymania treści pisma”, ale prosił o przepisanie na maszynie 3–4

⁸¹ AIPN, 507/707, t. 3, Protokół przesłuchania Jerzego Nowaka 25 III 1964 od 10.25 do 14.30, k. 3–4. W aktach IPN faktycznie znajduje się taki notatnik z odpisem Listu 34 (*ibidem*, 129/12, k. 38 *recto* – 39 *verso*).

⁸² Syn górnik z Francji, do Polski przyjechał w 1956 r.; por. *ibidem*, Protokół przesłuchania Jerzego Nowaka 26 III 1964 od 10.00 do 13.15, k. 11 v.

⁸³ *Ibidem*, Protokół przesłuchania Jerzego Nowaka 25 III 1964 od 10.25 do 14.30, k. 6.

⁸⁴ *Ibidem*, Protokoły przesłuchania Jana Stodolniaka 24 III 1964 o 9.00 i 17.00, k. 18 i 16.

⁸⁵ AIPN, 01820/5, t. 3, Doniesienie źródła pseudonim „Wędkarski”, 21 III 1964, k. 137.

⁸⁶ AIPN, 507/707, t. 3, Protokół przesłuchania Jerzego Nowaka 26 III 1964 od 14.00, k. 11v.

egzemplarzy. Wykonała cztery, z czego jeden zostawiła sobie, kolejny Nowak przekazał Stodolnikowi. W sumie Nowak miał siedem egzemplarzy odpisu (dwa przepisane przez Kędrak, pięć niedokończonych od Stodolnika). Przeczytał list swojemu współlokatorowi Jerzemu Wojciewskiemu (?), fotoreporterowi w „ItD.” (ten zaś „treść pisma przyjął [...] dość ozięble i nie prowadziliśmy ze sobą dyskusji”). W poniedziałek 23 marca o jedenastej Nowak był w Instytucie Spraw Międzynarodowych, spotkał tam trzech pracowników. Pokazał im list, dwóch spośród nich przeczytało.

Widzimy zatem, że Jerzy Nowak, któremu Słonimski pozwolił odpisać memoriał, nie krył się z nim – przeciwnie, wydawał się chwalić jego znajomością. Trzeba się w tym kontekście zastanowić, czy Słonimski (lub inni sygnatariusze) nie pozwalali na dokonywanie odpisów także innym, nieustalonym przez SB osobom. Czy puszczenie w ten sposób memoriału w obieg wynikało z charakteru poety, czy też było zaplanowane (przez Słonimskiego? uzgodnione z innymi?).

To pytanie o intencje: czy faktycznym adresem Listu 34 miał być premier Cyrankiewicz⁸⁷, czy też – środowisko pisarzy, warszawska inteligencja, a może – szersze warstwy społeczeństwa?

List był adresowany do premiera, ale niemal natychmiast po złożeniu w kancelarii Urzędu Rady Ministrów zaczął krążyć po Warszawie. Tymczasem wysłane przez Jana Józefa Lipskiego odpisy trafiły do Łodzi (Aleksandra Palusińska 7 kwietnia powiedziała funkcjonariuszowi MO: „listu tego nikomu nie pokazywałam, czytała go jedynie moja matka”⁸⁸) i Lublina (Ireneusz Opacki głośno czytał go swoim kolegom na KUL – w obecności prof. Czesława Zgorzelskiego, później także przesłuchiwanego – i wypożyczył koledze, Andrzejowi Paluchowskiemu, otrzymał go też Jerzy Kłoczowski, który oświadczył funkcjonariuszom wielokrotnie, że list zniszczył⁸⁹).

Egzemplarz listu (odpis?) miała też znana w środowisku literackim Alicja Lisiecka. Ktoregoś wieczoru (między 18 a 23 marca) do stolika (określanego jako „słońce 1”) w kawiarni PIW-u, zajmowanego m.in. przez Lisiecką, Ważyka, Szafra i „nieznanego profesora”, podszedł Jan Józef Lipski, „z którym Lisiecka zaczęła rozmawiać, że ukradziono jej »Memoriał 34«, kiedy była na imieninach u Zbyszka Żabickiego. Lipski wyciągnął 1 egz. pisany na maszynie i wręczył Ważykowi. Lisiecka koniecznie chciała ten egzemplarz otrzymać, twierdząc, że egzemplarz, który posiadała, miała dać Mietkowi Rakowskiemu, który pisze

⁸⁷ Skierowanie listu do premiera – kiedy faktycznym dysponentem władzy była PZPR, nie rząd – mogło być odebrane jako demonstracja przeciw Zenonowi Kliszce (który zajmował się w PZPR kulturą, był wówczas drugą po Gomułce osobą w partyjnej hierarchii) czy samemu Gomułce. Może ważna była nie tylko funkcja, ale też osoba, czyli Józef Cyrankiewicz? Trzeba też pamiętać, że toczyły się właśnie przygotowania do opóźnionego IV Zjazdu PZPR (postrzeganie Listu 34 w kontekście zjazdu było w marcu i kwietniu 1964 r. bardzo częste). Politykę wewnętrzną w tym okresie zdominowała podskórna rywalizacja o władzę między grupami interesów skupionymi wokół konkretnych osób. Rywalizacja ta polegała m.in. na odpowiednim dozowaniu informacji Gomułce i preparowaniu ich (przemilczano jedne fakty, podkreślano inne), czego duże możliwości miał np. – z racji swojej funkcji – Mieczysław Moczara. Ważną osobą w tej polityce był Walery Namiotkiewicz, sekretarz Gomułki, w charakterystyczny sposób (linijką) podkreślający fragmenty dokumentów przedkładanych I sekretarzowi. Namiotkiewicz pozostaje postacią tajemniczą; bywał na przyjęciach u Moczara, ale najprawdopodobniej utrzymywał w tym czasie nadal kontakt ze swoim znajomym z pracy w „Po Prostu” Janem Olszewskim – bliskim środowisku byłego Klubu Krzywego Koła.

⁸⁸ AIPN, 507/707, t. 3, Protokół przesłuchania Aleksandry Palusińskiej 7 IV 1964 od godz. 9.15, k. 62v.

⁸⁹ Por. np. AIPN, 01820/5, t. 1, Protokół przesłuchania Jerzego Kłoczowskiego 10 IV 1964 od godz. 10.15 do 11.15, odpis maszynowy, k. 137–144; *ibidem*, Protokół przesłuchania Ireneusza Opackiego 10 IV 1964 od godz. 14.30 do 15.30, odpis maszynowy, k. 141–144; *ibidem*, Protokół przesłuchania Andrzeja Paluchowskiego 11 IV 1964 od godz. 9.30 do 10.40, odpis maszynowy, k. 156–159; *ibidem*, Protokół przesłuchania Czesława Zgorzelskiego 11 IV 1964 od godz. 12.10 do 12.55, odpis maszynowy, k. 145–147; *ibidem*, Protokół przesłuchania Danuty Paluchowskiej 11 IV 1964 od godz. 13.05 do 13.35, odpis maszynowy, k. 160–162.

pamiętniki. J. Lipski powiedział, że to nie dla pani, a dla autora Ważyka. Wyłoniła się dyskusja, między innymi Lisiecka zapytała, dlaczego się nie zwrócili do Iwaszkiewicza. Ważyk odpowiedział, że gdyby podpisał [Iwaszkiewicz – Ł.G.], nie podpisałiby Maria Dąbrowska, Słonimski i inne osoby. Ponieważ rozmowa się nie kleiła, TW »Januszek« wraz z Lisiecką wyszły z kawiarni PIW i spotkały przy Dziekance pana René. Lisiecka zaczęła go, pytając, czy nie zabrał jej listu »Memoriału 34« wraz z książkami, kiedy byli na imieninach u Zbyszka Żabickiego. Potem Lisiecka z TW »Januszkiem« poszły do kawiarni satyryków, tam spotkały Henia Korotyńskiego i żonę jego Martę. Znów zaczęła się dyskusja. Korotyński był zadowolony z tego »Memoriału«, natomiast TW »Januszek« i żona Korotyńskiego stały na stanowisku, że cała ta sprawa jest niepoważna. Lisiecka strasznie się pogniwiała o to na mnie. Epilog tego był w rozmowie telefonicznej między mną a Lisiecką, bardzo ostry⁹⁰.

Imieniny, o których mówiła Lisiecka, były zapewne 17 marca. To ważna data, ponieważ pojawia się w materiałach MSW jako dzień, w którym SB uzyskała pierwsze informacje o Liście 34⁹¹.

Wiadomości o memoriale rozprzestrzeniały się coraz bardziej, można mieć wrażenie, że w niedzielę przed zatrzymaniem Lipskiego mówiło o nim pół Warszawy⁹².

Śledztwo numer II 6 Ds 40/64

Nie wiemy na pewno, w jaki sposób Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się o wysłaniu do pre-

miera PRL Listu 34. Było to jednak wcześniej, niż przypuszczano dotychczas – dokumenty MSW posługują się najczęściej datą 17 marca⁹³. W meldunkach tych nie ma jednak informacji o źródle; można tylko przypuszczać (co przeanalizujemy za chwilę), że był nim jeden lub więcej listów z odpisem memoriału lub współpracownik SB – ponieważ w meldunkach pojawia się sformułowanie „kolportaż” (nie chodziło zatem o sam fakt złożenia memoriału w URM). Słonimski przypuszczał później, że memoriał przechwycili w kancelarii premiera zwolennicy Moczara. Nie ma na to dowodów, choć oczywiście nie można wykluczyć takiej możliwości. Pojawiała się też wersja o roztargnionej sekretarce Cyrankiewicza – faktem jest bowiem milczenie adresata listu.

Jeżeli MSW o kolportażu Listu 34 wiedziało już we wtorek 17 marca (dopiero dzień później Lipski odebrał przepisane na maszynie egzemplarze listu, które rozsyłał do sygnatariuszy i kilku innych osób; jeden z nich wysłał na Zachód z prośbą o przekazanie do paryskiej „Kultury”), to zastanawiające jest, dlaczego działania podjęto dopiero w sobotę 21 marca (przy czym były to zaledwie czynności wstępne – notatka, postanowienie o wszczęciu dochodzenia, postanowienie o zajęciu korespondencji), a rewizję u Lipskiego zaplanowano na poniedziałek 23 marca.

Nie wiemy oczywiście, czy faktycznie tego jednego dnia, w sobotę 21 marca, kpt. Piechowicz sporządził notatkę, mjr Jaster napisał postanowienie o wszczęciu dochodzenia, a wiceprokurator wojewódzki postanowienie o zajęciu korespondencji. Jeżeli tak było, wskazywałoby to na

⁹⁰ AIPN, 01820/5, t. 3, Notatka ze spotkania 24 III 1964 z tajnym współpracownikiem pseudonim „Januszek”, k. 28.

⁹¹ Np. w informacji MSW z 24 marca: „W dniu 17 marca br. uzyskano pierwsze informacje o kolportowaniu odpisu tego listu do osób pod nim podpisanych, a także do osób, które nie złożyły podpisu pod tym dokumentem”.

⁹² List był też rozsyłany na szerszą skalę już po zwolnieniu Lipskiego (por. m.in. dokumenty z AIPN, 01820/5, t. 4, które ukazują też skalę perlustracji korespondencji prywatnej pod kątem wzmianek o Liście 34). Trafił np. do zakładów Cegielskiego w Poznaniu – przesłany „z Warszawy dnia 16 IV 1964 r.”, adresowany na radę zakładową, na kopercie jako nadawcę wpisano „Instytut Kultury, Spiska 4”, list datowany na 14 maja, zapewne błędnie (AIPN, 01820/5, t. 3, k. 79, 80, 82).

⁹³ Jeden raz w dokumentach MSW natrafiłem na inną datę – 7 marca, była to najprawdopodobniej literówka (przeoczenie cyfry 1), co mogło wynikać choćby z tego, że dokument napisano z dystansu czasowego.

wielkie tempo działań oraz koordynację między dwiema instytucjami. Konrad Rokicki zwraca uwagę na możliwość postdatowania dokumentacji⁹⁴, bo trudno wytłumaczyć fakt powolnego działania od wtorku do soboty – i błyskawicznego przyspieszenia w sobotę 21 marca.

Warto jednak zauważyć także inną możliwość, bo hipoteza o postdatowaniu dokumentacji ma pewną lukę: w przyspieszeniu działań następowałaby przerwa na niedzielę. Gdyby reakcja faktycznie była tak zdecydowana, czy czekano by z rewizją do poniedziałku?

Teoretycznie początkową powolną reakcję MSW i późniejsze zwiększenie tempa tłumaczyć można tarciami w kręgach władzy (próba wygrania sprawy przez osoby zainteresowane skompromitowaniem „liberałów”?). Uruchomienie maszyny śledczej dopiero w sobotę dodatkowo spowalniało pracę aparatu bezpieczeństwa, zwiększając prawdopodobieństwo wycieku informacji na Zachód (jak widzieliśmy, informacja o Liście 34 nabierała cech plotki, krążyła coraz szerzej).

Czy brak reakcji od wtorku do soboty wynikał z powolnego obiegu informacji w MSW, z tarć wewnątrz MSW, z tarć na linii MSW – „liberałowie” (choć Rakowski o liście w swoim dzienniku pierwszy raz wspominał 26 marca, trzy dni po zatrzymaniu Lipskiego⁹⁵, to Starewicz o memoriale wiedział już w dniu jego złożenia w URM, tj. 14 marca, a sam Rakowski mógł otrzymać list od Alicji Lisieckiej przed 24 marca⁹⁶), czy może był zamierzony jako element rozgrywki politycznej przez kogoś w MSW?

Wydaje się możliwa hipoteza, że Mieczysław Moczar chciał jednocześnie skompromitować frakcję „puławian” (sprawa listu, przedstawianego jako bunt pisarzy, mogła uderzać np. w Artura

Starewicza, wówczas sekretarza KC PZPR odpowiedzialnego za kulturę), a liberalnymi gestami (życzliwość, zwolnienia z aresztu) pozytywnie usposobić środowiska będące naturalnym zapleczem „puławian”. Kompromitowanie polegałoby na takich działaniach podległego mu MSW, aby w głośny sposób ujawniać sprawy – bez próby ich cichego rozwiązania. Widoczność akcji mogłaby udowadniać skuteczność MSW, którą nie można byłoby się wykazać, gdyby np. nie dopuszczono do kolportażu listu (afery potencjalnej nie można wykorzystać).

„Spodziewam się u nas [...] ostrej reakcji na to wystąpienie” – powiedział Starewicz do Korotyńskiego, którego poinformował o liście już w dniu jego złożenia lub niewiele później – „a trzeba by raczej działać spokojnie, aby nie zrobiła się z tego głośna sprawa i nie wybuchł nowy konflikt”⁹⁷.

Kluczowa wydaje się odpowiedź na pytanie, kiedy faktycznie informacja o złożeniu memoriału dotarła do MSW, jakimi drogami wędrowała w samym resorcie oraz kto podejmował decyzje. Być może odpowiedzią na to ostatnie pytanie są osoby funkcjonariuszy zajmujących się sprawą. Obaj oficerowie MSW bezpośrednio zajmujący się Janem Józefem Lipskim w związku z Listem 34 kilkanaście miesięcy później – i to tego samego dnia, 15 października 1965 r. – awansowali⁹⁸. W 1965 r. awansował też przestuchujący Lipskiego ppłk Józef Pielasa – został zastępcą dyrektora Departamentu III MSW⁹⁹.

Kapitan Piechowicz, jak się wydaje – koordynujący w MSW część sprawy Listu 34, wkrótce potem z Departamentu III trafił do Gabinetu Ministra (do biura prasowego). Major Jaster zajmował się chyba raczej sprawami gospodarczymi, kpt. Piechowicz zaś bardzo często zmieniał jednostki MSW, można

⁹⁴ K. Rokicki, *Literaci...*, s. 265.

⁹⁵ M.F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1963–1966...*, s. 139 („wałkowaliśmy sprawę listu 34 [z Karolem i Witoldem Małcużyńskimi]”).

⁹⁶ Por. AIPN, 01820/5, t. 3, Notatka ze spotkania 24 III 1964 z tajnym współpracownikiem pseudonim „Januszek”, k. 28.

⁹⁷ H. Korotyński, *Trzy czwarte prawdy...*, s. 277–278.

⁹⁸ AIPN, 0242/2481, k. 100; AIPN, 0218/2393, k. 93.

⁹⁹ AIPN, 0604/267, k. 121.

go określić bardziej jako zaufanego „oficera politycznego” (był m.in. sekretarzem Komitetu Zakładowego PZPR przy MSW w przełomowych latach 1968–1971, później m.in. kurierem dyplomatycznym, a od 1 grudnia 1981 do 22 listopada 1989 r. – zastępcą dyrektora Biura „C” do spraw polityczno-wychowawczych)¹⁰⁰.

Zaangażowanie do zadania grupy mieszanej, złożonej zarówno z oficerów Biura Śledczego MSW (czterech), jak też Departamentu III (trzech), mianowanie kierownikiem grupy wyjątkowo chwalonego w opiniach służbowych młodego (33 lata) mjr. Jastera z Biura Śledczego¹⁰¹, bardzo dokładnie sporządzony plan działań¹⁰², w tym wyznaczenie osoby spośród ekipy, której zadaniem miało być „wyłącznie dozorowanie Józefa Lipskiego”, a także telefoniczne meldowanie przez kierownika ekipy o kolejnych etapach realizacji planu ppłk. Krawczyńskiemu, sporządzenie (tego samego dnia, 22 marca) planu przesłuchania¹⁰³, które planowano nagrywać (nagrania nie odnaleziono, najprawdopodobniej zostało rutynowo zniszczone) – wskazuje na to, że kierownictwo resortu spraw wewnętrznych przykładło do sprawy wielką wagę.

Tak dokładne planowanie można interpretować jako ostrożność operacyjną (po sprawie Hollanda?) – na co wskazywałoby przydzielenie jednego funkcjonariusza wyłącznie do pilnowania Lipskiego, jak też wyrażana w wewnętrznym dokumencie SB obawa przed „ewentualnymi próbami prowokacji” ze strony Lipskiego przy jego wyprowadzaniu do samochodu – ale także polityczną. Rewizja mieszkaniowa i osobista oraz przewiezienie Lipskiego do siedziby MSW i jego przesłuchania nie mogły

być utrzymane w tajemnicy (nawet przy zastosowaniu się do odrębnych uwag dyrektora Biura Śledczego MSW, że „zachowanie funkcjonariuszy biorących udział w zaplanowanych czynnościach musi cechować grzeczność i wysoka kultura”¹⁰⁴).

Z jednej strony zatem mamy tygodniowe milczenie władz państwowych po złożeniu listu w kancelarii premiera oraz ich dążenie do nienadawania sprawie rozgłosu, z drugiej zaś „głośne” działania MSW, kierowanego już wówczas praktycznie przez Mieczysława Moczara.

23 marca rano: Łódź, Lublin, Kraków, Warszawa

W pochmurny poniedziałek 23 marca rozpoczęto akcję MSW w czterech miastach: Łodzi, Lublinie, Krakowie i Warszawie. Akcja widziana po latach przypomina nieco łatanie dziur na przeciekającym statku – była próbą powstrzymania kolportażu Listu 34, rozesłanego przez Jana Józefa Lipskiego do znajomych.

Działania zaczęły się jeszcze przed wkroczeniem do mieszkania Lipskiego. Około 6.50 w Łodzi por. Jan Krynicki z MO zapukał do mieszkania Aleksandry Palusińskiej¹⁰⁵. Zażądał listu Lipskiego z 16 marca. Palusińska spieszyła się do pracy, mówiła, że list zagubiła, zapewne też się przestraszyła („przestrzegłem, aby nie usiłowała go zniszczyć, gdyż może skomplikować swoją sytuację”), zobowiązała się odnaleźć list i przekazać go milicji. Z protokołu wynika, że funkcjonariusz list ten otrzymał, a Palusińska zażądała pokwitowania.

Służba Bezpieczeństwa odwiedziła w Lublinie Ireneusza Opackiego i Jerzego Kłoczowskiego. Kłoczowski oświadczył (i potwierdził to później na

¹⁰⁰ AIPN, 0242/2481.

¹⁰¹ AIPN, 0218/2393, k. 133, 134, 145, 162.

¹⁰² AIPN, 0204/1421, t. 1, k. 324–327; por. AIPN, 01820/5, t. 1, k. 14–17 (egzemplarz z odrębnymi uwagami dwóch osób, jedna z nich to najprawdopodobniej dyrektor Biura Śledczego MSW płk Idzi Bryniarski).

¹⁰³ AIPN, 0204/1421, t. 1, k. 328–329; por. AIPN, 01820/5, t. 1, k. 18–21 (dwa egzemplarze z odrębnymi uwagami, na jednym z nich uwagi płk. Bryniarskiego).

¹⁰⁴ Odrębna uwaga płk. Bryniarskiego na jednym z egzemplarzy „Planu przesłuchania Lipskiego Jana Józefa” (AIPN, 01820/5, t. 1).

¹⁰⁵ AIPN, 507/707, t. 3, Protokół odebrania przedmiotów, 23 III 1964, k. 198–200.

piśmie), że list zniszczył: „bez wahania potwierdził fakt otrzymania niniejszego dokumentu. Podkreślił również, iż dokładnie przestudiował jego treść. Kopii oryginału [*sic!*] natomiast nie posiada, ponieważ ją w międzyczasie zniszczył. Jeśli zachodzi potrzeba, jest w stanie odtworzyć poruszone w niej problemy. Na marginesie zaznaczył, że Józef Lipski jest jego dobrym znajomym od lat.

Z zachowania Kłoczowskiego odniosłem wrażenie, iż listu, o którym mowa, nie zniszczył – raportował funkcjonariusz SB. – Świadczyło o tym jego niezdecydowanie przy precyzowaniu odpowiedzi. Próbował szukać, niezbyt dokładnie pamiętał, co z tym dokumentem zrobił. To niezdecydowanie wynikało najprawdopodobniej z obawy przed rewizją. Dopiero po pewnym czasie stwierdził definitywnie, że listu już nie ma”¹⁰⁶.

List Lipskiego do Kłoczowskiego znajduje się jednak w zbiorach IPN, zarówno w postaci odpisu, jak fotografii¹⁰⁷, zapewne przechwycony i skopiowany w urzędzie pocztowym przed dostarczeniem do adresata.

Z kolei do Krakowa list Lipskiego chyba nie doszedł; jego kolega z IBL Jan Prokop oświadczył, że nie otrzymał od niego „żadnej przesyłki pocztowej”¹⁰⁸. List taki został jednak zapewne wysłany, ponieważ, jak wspominałem, w archiwum IPN zachowała się koperta (nieczytelna data stempla pocztowego)¹⁰⁹. Zagadką pozostaje, dlaczego nie dotarł do adresata. Rewizji, jak można przypusz-

czać na podstawie zgromadzonej dokumentacji, nie przeprowadzono u nikogo z wyjątkiem Lipskiego – co dziwne, szczególnie z uwagi na wiedzę SB o wysłaniu listów do Prokopa i Kłoczowskiego, którzy przecież nie wydali listu.

Do mieszkania Lipskich w kamienicy przy ul. Konopczyńskiego 4 funkcjonariusze MSW zastukali około 7.30¹¹⁰. Ekipa była mniejsza od zaplanowanej – brakowało kapitanów Niemczyka oraz Komorowskiego, zgodnie z planem sprowadzono natomiast dwóch świadków rewizji – sąsiadów. Maria Lipska pamięta, że ich dzieci poszły już do szkoły; Jan Józef wspominał nieco inaczej: „przyszli do mnie rano, ale nie tak bardzo rano, bo dzieci właśnie szykowały się do szkoły. Wiedzieli, po co przyszli [...]. Powiedzieli na progu, by wydać tekst listu, wtedy nie zrobią przeszukania. Odmówiłem. Rewizja była niezwykle pedantyczna, przeszukiwali książka po książce, zerkali pod grzbiety. A ja mam dużo książek. Osiem osób mordowało się z tą biblioteką. I znaleźli kilka egzemplarzy przepisane listu. Ale wszystko odbywało się kulturalnie”¹¹¹.

„Lipski traktował nas grzecznie, ale uszczypliwie – i miał rację” – wspomina po latach „odpowiedzialny za całokształt przeprowadzenia czynności rewizji w pomieszczeniach J. Lipskiego i jej udokumentowania”¹¹² kierownik grupy mjr Mieczysław Jaster¹¹³. „Zachowywał się bardzo grzecznie, szczególnie w porównaniu z innymi, a to przecież

¹⁰⁶ AIPN, 01820/5, t. 3, Notatka Jerzego Wacha, kierownika grupy IV Wydziału IV KW M0 w Lublinie, 23 III 1964, k. 14.

¹⁰⁷ *Ibidem*, Maszynowy odpis listu od Lipskiego do Kłoczowskiego, k. 15; AIPN, 01820/5, t. 4, k. 196, 198. Dokument ten znajduje się w kopercie podpisanej „Dokumenty W” (k. 192), został więc zapewne przechwycony i skopiowany przed dostarczeniem do adresata. W kopercie znajduje się także list Lipskiego do Władysława Tatarkiewicza i koperty adresowane – charakterem pisma Lipskiego – do Jana Prokopa, Ireneusza Opackiego i Aleksandry Palusińskiej (AIPN, 01820/5, t. 4, k. 194). Wszystkie dokumenty opatrzone są – co dziwne – datą 17 III 1964 i symbolem „27” (przechwycone i skopiowane w urzędzie pocztowym przed dostarczeniem do adresatów?).

¹⁰⁸ AIPN, 507/707, t. 3, k. 18.

¹⁰⁹ AIPN, 01820/5, t. 4, k. 194.

¹¹⁰ AIPN, 507/707, t. 1, Protokół rewizji 23 III 1964, k. 14–17.

¹¹¹ T. Jastrun, *Mysz, która ryknęła...*, s. 10.

¹¹² AIPN, 0204/1421, t. 1, k. 237.

¹¹³ Rozmowa autora z Mieczysławem Jasterem, 11 X 2011. Warto wspomnieć, że – jako jedyny z dawnych pracowników MSW, których prosiłem listownie o rozmowę – zadzwonił do mnie sam.

była represja”. Nie wyzywał funkcjonariuszy, ale też nie częstował herbatą; „trzymał na dystans”. W meldunku z tego samego dnia Jaster napisał: „należy nadmienić, że w trakcie rewizji Lipski zachowywał się spokojnie. Nie rozmawiał z nami w ogóle”¹¹⁴.

Według protokołu rewizji Lipski oddał jednak Jasterowi sześć egzemplarzy memoriału, zapytany o „publikacje nadesłane z zagranicy, których kolportaż jest zabroniony”, odpowiedział, że nie ma takich. Mimo tego „dobrowolnego wydania” egzemplarzy – zgodnie z rozkazami (zauważmy dysonans między tym określeniem a rzeczywistością „dobrowolności”)¹¹⁵ – ekipa przystąpiła do rewizji mieszkania („trzy pokoje, kuchnia, łazienka, przedpokój, piwnica”), poprzedzając to najprawdopodobniej rewizją osobistą. Przeszukanie mieszkania trwało ponad pięć godzin i było bardzo gruntowne. „W trakcie przeprowadzenia rewizji do Lipskiego dzwoniło wiele osób”¹¹⁶.

Wykaz przedmiotów znalezionych podczas rewizji liczy ponad trzydzieści pozycji. Zarekwirowano m.in. sześć egzemplarzy listu oraz „3 kartki z fragmentami treści listu”, prywatne listy do Lipskiego (od Witolda Jedlickiego, Wiktora Cygielmana, Renée Cygielmana, Zygmunta Kałużńskiego), maszynopis *Sądu nad Don Kichotem* Stojimskiego, „dwie teczki dokumentacji b. Klubu Krzywego Koła, jak korespondencja, spisy członków, kwitariusze itp.”, „kilkanaście książek w języku polskim i obcych”, w tym *Revolucja mene-*

derska Jamesa Burnhama, zbiór *Kultura masowa, Październik 1956 r.*, *Skrzydła ołtarza* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Szkice piórkem* Andrzeja Bobkowskiego, *Dzień i noc* Lipskiego, *Ferdynand* Gombrowicza, *Mein Kampf*, trzy numery paryskiej „Kultury”.

Lipski „oświadczył, że przedmioty stanowią jego własność, oprócz dokumentacji dot[yczącej] b. Klubu Krzywego Koła, które traktuje jako depozyt, a nie swoją własność”. Sąsiedzi będący świadkami przeszukania „oświadczyli, że żadnych uwag nie mają”. „Z materiałów rewizji nie wynika, komu Jan Józef Lipski zamierzał przekazać wymienione egzemplarze listu”.

Przewieziono go na Rakowiecką, do gmachu MSW, po czym został „doprowadzony do pokoju 535”. Podczas przesłuchania przed drzwiami pełnił służbę „funkcjonariusz mundurowy Komendatury MSW”.

Do pokoju 535 weszło dwóch podpułkowników – naczelnik Wydziału IV Departamentu III MSW Józef Pielasa (tego dnia obchodził urodziny¹¹⁷) i starszy inspektor Biura Śledczego MSW Marian Krawczyński, który pracował wcześniej jako śledczy w więzieniu na Rakowieckiej (przesłuchiwał tam m.in. Witolda Pileckiego)¹¹⁸.

Major Jaster w swoim gabinecie zaczął sporządzać meldunek oraz planować dalsze posunięcia śledztwa o numerze II 6 Ds 40/64. Sprawa z „cichiej” stała się „głośna”. Rozpoczął się kolejny etap, teraz już „afery” Listu 34...

¹¹⁴ AIPN, 507/707, t. 3, Notatka służbowa, 23 III 1964.

¹¹⁵ AIPN, 0204/1421, t. 1, k. 238.

¹¹⁶ AIPN, 0204/1421, Notatka służbowa opracowana na podstawie materiałów podsłuchu telefonicznego „Kolarz”, „Kołodziej”, „Ruda”, „Jałta [II?]”, 9 V 1964, k. 395.

¹¹⁷ AIPN, 0604/267, k. 155.

¹¹⁸ AIPN, 0218/964, Akta personalne Mariana Krawczyńskiego.

STUDENCI 1981. STRAJK RADOMSKI

Jesienią 1980 r. w środowisku akademickim zaczęły pojawiać się głosy o potrzebie reformy szkolnictwa wyższego. Według studentów i wielu profesorów polska uczelnia dysponowała zbyt małym zakresem samorządności. Zapewnić ją miała nowa ustawa o szkolnictwie wyższym. Głównymi motorami zmian były Niezależne Zrzeszenie Studentów, powstałe gdzieś samorządy studenckie oraz Ogólnopolski Komitet Porozumiewawczy Nauki NSZZ Solidarność. Sprzyjało im reformatorskie nastawienie wielu uczelnianych komórek PZPR¹ i większości kadry akademickiej. Istotną cezurą było powołanie przez ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki Komisji Kodyfikacyjnej do spraw ustawy o szkolnictwie wyższym, złożonej z przedstawicieli resortu, placówek naukowych, związków zawodowych i organizacji studenckich. Na czele komisji stanął prof. Zbigniew Resich – dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Pierwsze tezy projektu ustawy komisja opublikowała 3 lutego 1981 r. Stały się one podstawą szerokiej dyskusji środowiskowej. Podobnie było z kolejną wersją projektu, opublikowaną 4 kwietnia 1981 r. Do komisji przesyłano uwagi oraz osobne projekty, własny przygotował NZS – pracowali nad nim przede wszystkim studenci z Poznania, wspierani przez prawników z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza².

Finalny projekt Komisji Kodyfikacyjnej gotowy był 11 czerwca 1981 r. Gwarantował autonomię i pluralizm światopoglądowy uczelni wyższych. Szkolnictwo wyższe miało zmniejszyć swoją zależność od ministra. Jego zadania miała przejąć

KAMIL DWORACZEK

historyk, doktorant na Uniwersytecie Wrocławskim, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN. Zajmuje się historią opozycji w PRL. Autor kilkunastu artykułów na ten temat. W 2011 r. opublikował monografię *Studencki Komitet Solidarności we Wrocławiu 1977–1980*.

¹ Moja kwerenda objęła największe ośrodki akademickie; prawie we wszystkich przypadkach – poza Radomem – dało się zaobserwować przychylne stanowisko komitetów uczelnianych PZPR do zmian zachodzących na uczelniach i w Polsce, zob. np. Archiwum Państwowe (AP) Lublin, KW PZPR, 2391, Pismo do KU PZPR UMCS, 26 I 1981, k. 95; AP Gdynia, 3588/1, Oświadczenie KU PZPR AM w Gdańsku, 30 III 1981, k. 25.

² N. Jarska, *Niezależny ruch oświatowy i nauka niezależna 1980–1989* [w:] NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 2, red. Ł. Kamiński, G. Waligóra, Warszawa 2010, s. 154; *Dzieje projektu ustawy*, „Solidarność Uniwersytetu Warszawskiego” 1981, nr 6, s. 2; Biblioteka Jagiellońska (BJ), CDCN, NZS UJ, t. 11, Międzyuczelniany Zespół do Spraw Programowych NZS, *Projekt ustawy o szkolnictwie wyższym. Uwagi wstępne*, październik 1980 – luty 1981, b.p.

wybieralna Rada Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Projekt trafił do ministerstwa w celu opracowania go od strony legislacyjnej. W lipcu 1981 r. strona rządowa przesłała do organizacji uczestniczących w pracach Komisji Kodyfikacyjnej propozycje innych wariantów niektórych artykułów. W następnym miesiącu bez konsultacji przekazano wersję ustawy z poprawkami ministerialnymi. Wywołało to oburzenie i niezadowolenie, które znalazło odbicie m.in. w uchwałach NZS, komisji zakładowych Solidarności, senatów uczelnianych, konferencji rektorów, a także ogniw Związku Nauczycielstwa Polskiego, Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i PZPR. 8 września w sprawie tej wypowiedział się I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarność. Kilka organizacji uczelnianych NZS ogłosiło gotowość strajkową. W szkołach trwała jednak przerwa wakacyjna, protesty nie przybrały na sile. Projekt ograniczał kompetencje Rady Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a zwiększał uprawnienia ministra, co było sprzeczne z dążeniem środowiska akademickiego do poszerzania autonomii. Jedną ze spornych kwestii stanowił wybór rektora – o ile minister dążył do tego, aby zachować decydujące zdanie w tej kwestii, o tyle społeczność akademicka chciała, by ośrodek decyzyjny znajdował się na uczelniach³.

Troską NZS i Solidarności w szkołach wyższych było wprowadzenie pod obrady sejmu projektu ustawy z 11 czerwca – bez poprawek resortowych. Przedstawiciele Solidarności rozmawiali o tym ze stroną ministerialną. Resort zobowiązał się dostarczyć do Rady Ministrów projekt w wersji komisji Resicha. 23 września Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS ogłosiła harmonogram działań w sprawie ustawy; m.in. zagrożono strajkiem,

jeśli uchwalona ustawa nie odpowiadałaby zrzeszeniu. Podobne kroki zapowiedziano w wypadku odwołania głosowania w sejmie⁴. Była to chyba pierwsza groźba strajku wystosowana przez KKK w związku z ustawą. Do protestu doprowadziło ostatecznie jednak inne wydarzenie.

Geneza strajku w Radomiu sięga wiosny 1981 r. W całym kraju uchwalano wtedy ordynacje wyborcze i wybierano władze akademickie. Nowością był duży udział elektorów studenckich (na mocy porozumienia łódzkiego była ich jedna trzecia), z reguły reprezentujących NZS, co z kolei prowadziło do wyboru rektora związanego z Solidarnością.

Wyższa Szkoła Inżynierska w Radomiu miała problem z uzgodnieniem ordynacji wyborczej. Tamtejsza komisja zakładowa Solidarności usiłowała uniemożliwić kandydowanie dotychczasowemu rektorowi – prof. Michałowi Hebdzie. Niechęć wzbudzał jego związek z obozem władzy – Hebda wchodził w skład Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR, był ławnikiem w procesach sądowych uczestników protestów 1976 r. Ważniejsze były jednak oskarżenia dotyczące nieprawidłowości w zarządzaniu uczelnią. Solidarność zawała je w liście z 29/30 kwietnia 1981 r. do ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki. Rektorowi zarzucano m.in. przekraczanie kompetencji, zwolnienia z pracy, ukrywanie spraw mających cechy przestępstwa, pogroźki i złe traktowanie pracowników, udzielanie niezastużonych przywilejów (takich jak prace zlecone), brak jawności rozdziału mieszkań, szykanowanie działaczy Solidarności. Związek przesłał też ministrowi protest przeciw planowanej redukcji pracowników o 10 proc. z powodu przekroczenia funduszu płac oraz dwa wnioski: o przysłanie komisji ministerialnej do

³ A. Anusz, *Niezależne Zrzeszenie Studentów w latach 1980–1989*, Warszawa 1991, s. 21–22; *Ustawa o szkolnictwie wyższym*, „Gwar” 1981, nr 11, s. 1–2; *Uchwała KKK NZS z dnia 1 września 1981 r.*, „Prosto z Mostu” 1980, nr 14, s. 6–7; *Uchwała KKK o dalszych działaniach NZS w sprawie ustawy o szkolnictwie wyższym z dnia 23 IX 1981 r.*, „BIS” 1981, nr 2, s. 11; *Uchwała KU NZS WSP Rzeszów w sprawie ogłoszenia stanu gotowości strajkowej*, *ibidem*, s. 13–14; *Protest*, „Veto” 1981, nr 6/7, s. 1; BJ, CDCN, NZS AGH, t. 1, *Uchwała KU NZS AGH*, 11 IX 1981, b.p.; *Dzieje projektu ustawy*, „Solidarność Uniwersytetu Warszawskiego” 1981, nr 6, s. 2–3.

⁴ *Uchwała KKK o dalszych działaniach NZS w sprawie ustawy o szkolnictwie wyższym z dnia 23 IX 1981 r.*, „BIS” 1981, nr 2, s. 11; *Dzieje projektu ustawy*, „Solidarność Uniwersytetu Warszawskiego” 1981, nr 6, s. 3.

zbadań zgłoszonych zarzutów i odwołanie rektora Hebdy⁵.

Komisja zakładowa Solidarności w WSI próbowała nie dopuścić do przyjęcia regulaminu wyborów bez uprzedniej konsultacji ze środowiskiem akademickim. Postulowała, aby kandydatem na rektora nie mogła być osoba, która przez dwie poprzednie kadencje pełniła tę funkcję na jakiegokolwiek uczelni; chodziło o wykluczenie Hebdy ze startu w wyborach. Jednak członkowie innych organizacji, ZNP czy PZPR, sprzeciwiali się temu. Pod koniec czerwca zwolennicy Hebdy, którzy przeważali w senacie WSI, zatwierdzili ordynację, nie biorąc pod uwagę stanowiska związku. Solidarność postulowała więc przeprowadzenie na uczelni referendum, w którym ogół pracowników wypowiedziałby się na temat regulaminu. Na to nie zgadzał się senat i wyznaczył wybory rektora na drugą połowę października. Zrodziło to nowy problem, gdyż kadencja dotychczasowego rektora kończyła się 31 sierpnia.

Wbrew wcześniejszym zapowiedziom minister przedłużył kadencję Hebdy. Konflikt się pogłębiał. W nowym roku akademickim rozpoczęły się zebrania wyborcze elektorów. Solidarność donosiła, że odbywają się one w atmosferze administracyjnych nacisków, fałszerstw i potępienia opozycji. Poważne pęknięcie nastąpiło 9 października, podczas połączonego posiedzenia Kolegium Rektorskiego i Senackiej Komisji Wyborczej. Wcześniej opozycja nie brała udziału w posiedzeniach Senackiej Komisji Wyborczej. Tym razem pojawili się dr Janusz Walasek z Solidarności i Włodzimierz Dobrowolski z NZS. Z inicjatywy I sekretarza Komitetu Uczel-

nianego PZPR dr. Wojciecha Czerwca usunięto z sali obrad przedstawiciela Solidarności. Sprzeciwił się tylko przedstawiciel NZS, którego również wyrzucono, tym razem na wniosek doc. Mieczysława Trzeciaka, bez głosowania – na mocy decyzji rektora Hebdy. Wydarzenia unaocznily nienormalne stosunki w WSI, bardzo silną polaryzację stanowisk i istnienie wpływowego stronnictwa zachowawczego. W innych ośrodkach akademickich raczej działano wspólnie na rzecz odnowy. Do walki z opozycją na uczelni zbroiła się również organizacja PZPR. Bezprawne wykluczenie z obrad oznaczało bezpardonową, jawną walkę z opozycją. Incydent wzbudził zdumienie delegatów Ogólnopolskiego Komitetu Porozumienia Nauki NSZZ Solidarność, a nawet krytykę ze strony wielu członków partii na uczelni⁶.

15 października senat przyjął nową, zupełnie inną ordynację wyborczą: ustalono, że wybory rektora odbędą się w trybie powszechnym, równym i bezpośrednim, a wybory na pozostałe stanowiska według wcześniej ustalonego trybu, tzn. pośrednio, przez elektorów. Nazajutrz Solidarność zarzuciła tej ordynacji niezgodność z porozumieniem łódzkim i projektem ustawy o szkolnictwie wyższym.

Rzeczywiście, ordynacja była kuriozum. Na innych uczelniach wybory odbywały się pośrednio, a studenci nie mieli więcej niż jednej trzeciej elektorów (pozostali reprezentowali samodzielnych pracowników naukowych i młodszą kadrę). Ten system gwarantował profesorom siłę głosu adekwatną do ich pozycji na uczelni. Tymczasem w WSI równość wyborów spychała ich na zupełnie

⁵ C. Wenkel, *Anti-Communist Student Organizations and the Polish Renewal*, Londyn 1992, s. 120; T. Kozłowski, *Niezależne Zrzeszenie Studentów 1980–1989* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989...*, t. 7, s. 262; *Wybory rektora made in WSI*, „Informator NSZZ Solidarność Komisji Zakładowej przy WSI” 1981, nr 2, s. 3; *Niezbędne, lecz zwolnione*, *ibidem* 1981, nr 2, s. 4–5; *O sprawach międzyludzkich w WSI*, *ibidem* 1981, nr 6, s. 3; Archiwum Akt Nowych (AAN), KC PZPR, WNiO, LVIII/783, Konflikt w WSI w Radomiu, b.d., b.p.

⁶ M. Trzeciak, *Upiory studenckiej jesieni*, Warszawa 1988, s. 79; Obserwator, *Spokojne zebranie*, „Informator NSZZ Solidarność Komisji Zakładowej przy WSI” 1981, nr 6, s. 4; *Czy chcesz prof. Hebde?*, *ibidem* 1981, nr 6, s. 6; I. Szafrankowska, *Dlaczego protestujemy*, *ibidem* 1981, nr 8, s. 7; J. Walasek, *Relacja z posiedzenia Kolegium Rektorskiego z dnia 09.10.1981 r.*, *ibidem* 1981, nr 7, s. 3; *Dyscyplinarka Jego Magnificencji*, *ibidem* 1981, nr 7, s. 5; AAN, KC PZPR, WNiO, LVIII/783, Konflikt w WSI w Radomiu, b.d., b.p.; AP Radom, KZ PZPR WSI, 12, Protokół nr 6, 23 VI 1981, k. 23; *ibidem*, Protokół posiedzenia KU PZPR WSI w Radomiu, 24 X 1981, k. 78.

margines (mieli około 4 proc.). Solidarność zwracała też uwagę, że przy niskiej frekwencji może dojść do sytuacji, że rektor zostanie wybrany tylko przez 25 proc. pracowników i studentów. Członkowie NZS w WSI żartowali, że do wyborów pójdzie tylko sprzątaczką i wybierze rektora. W końcu dopuszczenie do udziału studentów, również tych, którzy dopiero zaczynali naukę, dawało możliwość skutecznego stosowania demagogii i manipulacji⁷.

Odpowiedzią Solidarności na nową ordynację było ogłoszenie gotowości strajkowej od 17 października. Domagano się odwołania rektora ze stanowiska, przeprowadzenia referendum nad ordynacją wyborczą, wszczęcia postępowania dyscyplinarnego wobec przewodniczącego Kolegium Rektorskiego za wykluczenie Janusza Walaska z posiedzenia 9 października, zaprzestania represji za działalność związkową. Grożono strajkiem ostrzegawczym 22 października i strajkiem właściwym od 26 października. Gotowość strajkową w tym samym czasie ogłosiła również Komisja Uczelniana NZS, jako powód podając wniosek o skreślenie Włodzimierza Dobrowolskiego z listy studentów. Zrzeszenie żądało wycofania bezpodstawnego oskarżenia o utrudnianie akcji wyborczej⁸.

21 października 1981 r. minister odrzucił zdecydowaną większość postulatów Solidarności. 22 października w WSI odbył się strajk ostrzegawczy, a 26 października okupacyjny. Protestujący zajęli

centralne gmachy uczelni, w znacznym stopniu paraliżując jej normalne funkcjonowanie. Władze szkoły oraz ci, którzy nie strajkowali, znaleźli tymczasową siedzibę w baraku, zwanym Smolnym. Nazajutrz do protestu przyłączyło się Niezależne Zrzeszenie Studentów⁹.

27 października przeprowadzono zaplanowane wybory rektora. Frekwencja nie była duża – 48 proc. Miała pewnie związek z bojkotem wyborów ogłoszonym przez NZS i Solidarność. Spośród 1166 pracowników WSI 460 należało do Solidarności, NZS natomiast liczył około dwustu osób – na 1430 studentów dziennych. Niewielka frekwencja studentów wynikała być może z tego, że dzień wyborów był wolny od zajęć. Wybory wygrał prof. Hebda – zgarnął 751 głosów, czyli ponad 60 proc. Za nim uplasował się prof. Witold Tomassi z 363 głosami, pozostali czterej kandydaci uzyskali marginalne poparcie. Rektora musiał zatwierdzić minister. Wydaje się, że w jego rękach leżał wówczas dalszy los strajku – jeśli nie zaakceptowałby Hebdy, protest prawdopodobnie by się zakończył¹⁰.

Na przełomie października i listopada przeformułowano postulaty strajkowe. W dalszym ciągu na pierwszym miejscu stawiano odwołanie rektora Hebdy. Dodano żądanie wyborów wolnych od nacisków administracyjnych i pełnej prezentacji kandydatów. Domagano się nieocenzonego dostępu do uczelnianej poligrafii i teleksów oraz ustąpienia Hebdy ze stanowiska dyrektora Cen-

⁷ AAN, KC PZPR, WNI0, LVIII/783, Konflikt w WSI w Radomiu, b.d., b.p.; *Stanowisko Komisji Zakładowej*, „Informator NSZZ Solidarność Komisji Zakładowej przy WSI” 1981, nr 8, s. 3; E. Zahorska, *Demokracja a machinacja*, *ibidem*, s. 4; I. Szafrankowska, *Dlaczego protestujemy*, *ibidem*, s. 7; Archiwum Ośrodka Karta (AOK), A.17.12, List prof. Andrzeja Stelmachowskiego do prof. Henryka Samsonowicza, 2 XI 1981, b.p.; relacja Krzysztofa Sętowskiego, 22 X 2011.

⁸ *Uchwała Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy WSI Radom*, 16 X 1981, „Informator NSZZ Solidarność Komisji Zakładowej przy WSI” 1981, nr 8, s. 2; Oświadczenie KU NZS, 15 X 1981, w zbiorach Włodzimierza Dobrowolskiego.

⁹ M. Trzeciak, *Upiory...*, s. 86–88, 96, 103–104, 116, 127; „Biuletyn Strajkowy NSZZ Solidarność przy WSI w Radomiu”, 28 X 1981, s. 1, 26 X 1981, s. 1; AOK, A.17.2.12, Uchwała Komisji Uczelnianej NZS WSI, b.d., b.p.; *ibidem*, Uchwała X Zjazdu Ogólnopolskiej Komisji Porozumiewawczej Nauki NSZZ Solidarność, b.d., b.p.; AP Radom, KZ PZPR WSI Radom, 35, Pismo ministra nauki do KZ NSZZ Solidarność, 21 X 1981, k. 145–146.

¹⁰ M. Trzeciak, *Upiory...*, s. 116, 120–124; *Poparcie dla Radomia. Oświadczenie Prezydium KKK NZS*, „Centrum Informacji Akademickiej” 1981, nr 22, s. 1; AP Radom, KW PZPR w Radomiu, 1598, Informacja o sytuacji politycznej i przygotowaniach do nowego roku akademickiego 1981/1982 w WSI im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu, k. 49; AAN, KC PZPR, WNI0, LVIII/783, Konflikt w WSI w Radomiu, b.d., b.p.; AOK, A.17.12, Informacje Uczelnianego Komitetu Strajkowego o konflikcie i akcji strajkowej w WSI, b.d., b.p.

trum Uczelniano-Przemysłowego Eksploatacji Pojazdów i Maszyn w WSI w Radomiu. Wśród żądań związanych z samym strajkiem znalazło się niewyciąganie konsekwencji wobec biorących udział w proteście, umożliwienie studentom odrobienia zaległości oraz wypłata pracownikom pełnego wynagrodzenia za okres strajku¹¹.

Wobec impasu na uczelni niezbędna była mediacja z zewnątrz. 30 października 1981 r. do Radomia przybyła grupa powołana przez ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki prof. Jerzego Nawrockiego. Tworzyli ją prof. Jan Janowski (Akademia Górniczo-Hutnicza)¹², prof. Jerzy Leyko (delegowany przez rektora Politechniki Łódzkiej), prof. Marek Roman (delegowany przez rektora Politechniki Warszawskiej) i prof. Andrzej Stelmachowski (delegowany przez rektora Uniwersytetu Warszawskiego). Komisja spotkała się ze wszystkimi stronami konfliktu, łącznie z kierownictwem uczelni. W sprawozdaniu z wizyty stwierdziła, że na uczelni istnieje głęboki kryzys wewnętrzny spowodowany rozłamem w środowisku. Komisja potwierdziła część zarzutów przeciw rektorowi, jednocześnie pisała o Hebdy jako o człowieku „czystych rąk”, odrzucając zarzuty finansowe. Zastrzeżenia wysunęła wobec przyjętej ordynacji wyborczej. Najistotniejsze jednak wydają się propozycje wyjścia z sytuacji, które przedstawiła ministrowi późnym wieczorem 30 października: powtórzenie wyborów według innej ordynacji, tymczasowe przedłużenie kadencji władz i powierzenie funkcji prorektora-seniora prof. Witoldowi Tomassiemu (jedynemu profesorowi zwyczajnemu w WSI, z drugim wynikiem w wyborach), a w razie niepowodzenia wysiłków naprawczych przekształcenie WSI w filię którejś z większych uczelni. Ten postulat wywołał oburzenie na uczelni, szczególnie wśród zwolenników rektora. Często był uży-

wany później jako straszak: propagowano twierdzenie, również wśród mieszkańców Radomia, że przedłużający się strajk doprowadzi do utraty przez miasto samodzielnej uczelni. Sprawozdanie komisji kończyło się przestrogą, że zastosowanie przez ministra alternatywnego rozwiązania, czyli zatwierdzenie wyboru Hebdy, doprowadzi do konfliktu wykraczającego poza ramy uczelni. Najbliższa przyszłość pokazała, że diagnoza ta była trafna¹³.

Minister zapowiedział, że przychyli się do sugestii profesorów, zastrzegł jednak, że musi się jeszcze skonsultować „po linii partyjnej”. Skutkiem tej konsultacji było zatwierdzenie Hebdy na stanowisku rektora 1 listopada 1981 r. Trudno zrozumieć tę decyzję. Bez wątplenia zdawano sobie sprawę, że doprowadzi ona do wzmocnienia protestów. Dlaczego nie wykorzystano możliwości kompromisowego rozwiązania sporu, ale jeszcze bardziej go pogłębiono? Być może celowo zaostrzano sytuację w kraju, aby później łatwiej usprawiedliwić wprowadzenie stanu wojennego, który miał zakończyć „anarchię”. Strajki na uczelniach były mniej szkodliwe dla władz, nie zaburzały przecież produkcji. Tezę o celowym ich wydłużeniu uprawdopodobnia późniejsza bierność władz, którą tłumaczono pełnym hipokryzji poszanowaniem autonomii szkoły wyższej (w ten sposób wypowiadał się minister Nawrocki i KC PZPR). Warto dodać, że na posiedzeniach Biura Politycznego KC PZPR zapadła decyzja, aby utrzymać prof. Hebdę na stanowisku, mimo iż zdawano sobie sprawę, że jest to najważniejsza przeszkoda na drodze do porozumienia. Już wtedy w zachowaniu władz próbowano dostrzegać drugie dno. Oczywiście nikt nie myślał o stanie wojennym, zwracano uwagę raczej na ewentualne wykorzystanie strajku jako pretekstu do zaatakowania społecznej wersji ustawy o szkolnictwie wyższym,

¹¹ AOK, A.17.12, Informacje o konflikcie i akcji strajkowej w WSI w Radomiu, b.d., b.p.

¹² Prof. Janowski był w tym czasie posłem i przewodniczącym Sejmowej Komisji Nauki i Postępu Technicznego.

¹³ AOK, A.17.12, Sprawozdanie komisji ministerialnej, 3 XI 1981, b.p.; AP Radom, KZ PZPR WSI, 35, „Mieszkańcy Radomia!” – odezwa pracowników WSI związanych z prof. Hebdą, b.d., k. 4; relacja Włodzimierza Dobrowolskiego, 1 VII 2011.

ograniczającej prerogatywy ministra. Władza mogłaby zakwestionować tego typu przepisy, podkreślając, że samorządne środowisko akademickie nie potrafi rozwiązać konfliktu w Radomiu, mocna pozycja ministra jest więc konieczna¹⁴.

Konflikt w Radomiu szybko tracił swój lokalny wymiar. Pierwsze poparcie z zewnątrz napłynęło chyba od Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność Uniwersytetu Warszawskiego, która już 16 października zagroziła gotowością strajkową. Znaczącym gestem było oświadczenie Ogólnopolskiego Komitetu Porozumiewawczego Nauki NSZZ Solidarność z 24/25 października ze stwierdzeniem, że dotychczasowa działalność Hebdy dyskwalifikuje go jako rektora i nauczyciela akademickiego. 28 października poparcie dla studentów WSI wyraziło Prezydium Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS. Nazwano WSI „enklawą przedsięwzięciowych stosunków”, protestowano przeciw ordynacji wyborczej sprzecznej z przyjętymi normatywami. Najistotniejsze jednak były ostatnie zdania dokumentu, w których KKK zobowiązywała się do podjęcia dalszych protestów. Zatwierdzenie przez ministra wyboru Hebdy wywołało powszechne oburzenie. Z całego kraju napływały wyrazy solidarności z WSI w Radomiu, głównie od organizacji uczelnianych NZS. 4 listopada głos zabrała Komisja Krajowa NSZZ Solidarność. Uznała zasadność protestu w WSI, nie wezwała jednak do strajku,

zwróciła się jedynie do rządu o natychmiastowe podjęcie rozmów¹⁵.

Kolejnym ważnym wydarzeniem na arenie ogólnopolskiej było powstanie 6 listopada Ogólnopolskiego Komitetu Protestacyjnego Środowisk Naukowych. Jego głównym zadaniem była koordynacja akcji prowadzonych przez Solidarność i organizacje studenckie, chodziło więc o zespolenie sił w celu pozytywnego zakończenia protestu. Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS wezwała do strajku ostrzegawczego 12 listopada w godzinach 8–14. Wtedy chyba po raz pierwszy zostały sformułowane dwa ogólnopolskie cele protestu: solidarność ze strajkującymi w WSI oraz wprowadzenie pod obrady sejmu ustawy o szkolnictwie wyższym według projektu społecznego z 11 czerwca 1981 r. Do Radomia delegowano grupę roboczą KKK, w której skład weszli Włodzimierz Biały, Jacek Czaputowicz i Leszek Przysiężny. Głównym celem ich wyjazdu było spotkanie z przebywającą tam analogiczną grupą roboczą Ogólnopolskiego Komitetu Porozumiewawczego Nauki NSZZ Solidarność i rozmowa na temat ogólnopolskiej akcji protestacyjnej środowiska akademickiego. Na 14 listopada KKK zapowiedziała kolejne swoje spotkanie, na którym zapaść miały decyzje o dalszych krokach¹⁶.

Większość organizacji uczelnianych NZS pozytywnie odpowiedziała na apel KKK. Należy pamiętać, że cieszyły się one dużą autonomią i miały

¹⁴ Protokoły posiedzeń Biura Politycznego nr 14 i 18, 10 XI i 5 XII 1981 [w:] *Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a „Solidarność” 1980–1981*, Londyn 1992, s. 526, 552; *Kalendarium*, „BIS” 1981, nr 5, s. 3; *Teleks prof. dr. hab. inż. J. Nawrockiego do prof. dr. hab. Henryka Samsonowicza z dnia 29.10.1981 r.*, *ibidem*, s. 10–11; AOK, A.17.12, List prof. Andrzeja Stelmachowskiego do prof. Henryka Samsonowicza, 2 XI 1981, b.p.; *ibidem*, WSI Radom. Studium pewnej gry, opracowanie Jerzego Wociąła, rzeczniczka ds. informacji NSZZ Solidarność Uniwersytetu Warszawskiego, 17 XI 1981, b.p.; AAN, KC PZPR, WNiO, LVIII/576, Notatka w sprawie sytuacji w WSI w Radomiu oraz w innych uczelniach w kraju, 19 XI 1981, b.p.; relacja Jarosława Guzega, 22 X 2011.

¹⁵ *Poparcie dla Radomia. Oświadczenie Prezydium KKK NZS*, „Centrum Informacji Akademickiej” 1981, nr 22, s. 1; *Uchwała Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Uniwersytetu Warszawskiego*, „Informator NSZZ Solidarność Komisji Zakładowej przy WSI” 1981, nr 8, s. 3; AOK, 17.1.1, *Skandal w Radomiu*, 3 XI 1981, b.p.; AOK, A.17.12, Oświadczenie KK NSZZ Solidarność, 4 XI 1981, b.p.; Zakład Narodowy im. Ossolińskich (ZNO), Dział Dokumentacji Życia Społecznego, NZS I-4, 5/3, NZS, Inne ośrodki, Uchwała ZU NZS UG, 3 XI 1981, b.p. Inne oświadczenia solidarnościowe zob. AOK, A.17.12.

¹⁶ *Uchwała KKK NZS, „Co Dalej”*, 10 XI 1981, wydanie nadzwyczajne; AOK, A.17.12, Oświadczenie o powstaniu Ogólnopolskiego Komitetu Protestacyjnego Środowisk Naukowych, 6 XI 1981, b.p.; *ibidem*, Komunikat nr 1 Ogólnopolskiego Komitetu Protestacyjnego Środowisk Naukowych, 8 XI 1981, b.p.

prawo nie zaakceptować zalecenia krajówki. Jedną z większych uczelni, która nie przystąpiła 12 listopada do strajku ostrzegawczego, był Uniwersytet Jagielloński. Tamtejszy NZS nie chciał przerywać toku zajęć, tym bardziej że mógł on być zagrożony z powodu braku opatu. Trzeźwo zauważano, że powstrzymywanie się od studiowania nie będzie skuteczną formą nacisku na ministra w momencie, kiedy duże strajki całych regionów nie przynoszą oczekiwanego rezultatu¹⁷. NZS na Uniwersytecie Warszawskim natomiast podjął decyzję o rozpoczęciu bezterminowego strajku od 12 listopada aż do spełnienia obu postulatów środowiska akademickiego (rozwiązanie konfliktu radomskiego, wprowadzenie pod obrady sejmu społecznej wersji ustawy). Wcześniej, 10 listopada, to samo uczynił NZS w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie¹⁸.

Jednodniowy protest nie przyniósł oczekiwanego rezultatu. W tych okolicznościach zebrana zgodnie z zapowiedzią 14 listopada krajówka NZS podjęła decyzję o ogólnopolskim strajku studenckim. Zrzeszenie rzuciło wszystkie swoje siły do walki o dwa podstawowe postulaty, a protest wchodził w decydującą fazę. KKK zastrzegła, aby nie poszerzać listy żądań. Do 24 listopada wszystkie organizacje NZS miały proklamować strajki. Ustalono, że Uniwersytet Łódzki do strajku przystąpi ostatniego dnia (24 listopada) ze względu na zaburzenie procesu dydaktycznego spowodowane długim strajkiem w styczniu i lutym 1981 r.; znaczenie miało zapewne także zmęczenie tamtejszych studentów protestem.

Większy problem był z przystąpieniem do strajku komisji zakładowych Solidarności na uczelniach. Komisja Krajowa NSZZ Solidarność wydała im zakaz udziału w strajkach bezterminowych. KKK NZS i Ogólnopolski Komitet Porozumiewawczy Nauki miały zwrócić się do władz związku o uchylenie zakazu, a tymczasowo ustalono, że komórki Solidarności będą podejmowały jednodniowe strajki okupacyjne zgodnie z formułą strajku krocącego, zaproponowanego przez Ogólnopolski Komitet Protestacyjny Środowisk Naukowych. Podjęto decyzję o zakończeniu strajku tylko w wypadku spełnienia postulatów lub w wyniku postanowienia KKK NZS. Ponadto wraz z obecnymi na krajówce przedstawicielami Komitetu Strajkowego WSI i Ogólnopolskiego Komitetu Protestacyjnego Środowisk Naukowych powołano do życia kolejne ciało koordynujące działania protestacyjne – Akademicki Komitet Strajkowy z siedzibą w Radomiu¹⁹. Można zadać pytanie, po co druga tego typu instytucja, gdy istniał już OKPŚN. Wydaje się, że chodziło przede wszystkim o włączenie przedstawicieli władz NZS. Co prawda w OKPŚN znaleźli się studenci z NZS, ale nie byli to członkowie KKK, trudno nawet ustalić, według jakiego klucza zostali dobrani. Prawdopodobnie zadecydował przypadek: w momencie powołania OKPŚN przebywali akurat w strajkującej WSI jako delegaci swoich uczelni²⁰.

Wskutek zakazu Komisji Krajowej Solidarności studenci z NZS wzięli na swoje barki główny ciężar walki o zmiany w środowisku akademickim. Władze krajowe Solidarności błędnie diagnozowały

¹⁷ Autorom dokumentu chodziło prawdopodobnie o strajki NSZZ Solidarność w regionie sandomierskim i zielonogórskim rozpoczęte 23 X 1981. Tylko ten pierwszy zakończył się podpisaniem porozumienia z władzami (11 XI 1981).

¹⁸ *Co robią inni*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 1, s. 1; *Uchwała NZS UW*, „CIA” 1981, nr 23, s. 2; *Kalendarium*, „BIS” 1981, nr 5, s. 6–7; BJ, CDCN, NZS AGH, t. 2, *Do członków Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Do studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego*, 12 XI 1981, b.p.

¹⁹ W jego skład weszło trzech przedstawicieli OKPŚN, trzech KKK NZS (prawdopodobnie później zmieniono decyzję, gdyż z ramienia KKK w AKS znalazło się dwóch studentów: Janusz Krajnik z Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy i Leszek Przysiężny z Politechniki Gdańskiej) i dwóch przedstawicieli Komitetu Strajkowego WSI (AOK, A.17.12, Konflikt w WSI w Radomiu. Ustawa o szkolnictwie wyższym, b.d., b.p.; *Uchwała KKK NZS z dnia 14 listopada*, „BIS” 1981, nr 5, s. 24–25).

²⁰ *Ibidem*; relacja Wojciecha Bogaczyka, 22 X 2011; relacja Jarosława Guzgo, 22 X 2011.

sytuację w kraju – liczyli na porozumienie z władzami, dlatego byli gotowe raczej gasić strajk NZS, tak jak i inne wybuchające w tym czasie konflikty.

Kolejny raz okazało się, że studenci jako środowisko bardziej radykalne, a przy tym obciążone mniejszą odpowiedzialnością polityczną, są gotowi na bardziej zdecydowaną formę protestu. Solidarność uczelniana wspierała ich wysiłki, ale nie poświęcała się aż tak dalece; 10 listopada Komisja Krajowa zezwoliła na akcje protestacyjne, ale nie na bezterminowy strajk okupacyjny. W rezultacie doszło do symbolicznego strajku krocącego – okresowego przerywania pracy na uczelniach²¹.

Akcja strajkowa NZS jednak się rozszerzała. 18 listopada strajkowało 60 uczelni, 24 listopada już 74 spośród około setki wówczas istniejących. Trzeba podkreślić, że nie były to jedynie największe czy najbardziej znane szkoły wyższe (udział w proteście zgłosił tym razem także NZS UJ). Na przykład w Warszawie obok uniwersytetu i politechniki do strajku włączyły się Wyższa Szkoła Pedagogiki Specjalnej, Akademia Muzyczna, Akademia Sztuk Pięknych i Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna. Strajkowały filie i szkoły z nieco mniejszych miejscowości – Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Koszalinie, Wyższa Szkoła Rolniczo-Pedagogiczna w Siedlcach, filie Politechniki Wrocławskiej w Kłodzku, Jeleniej Górze, Świdnicy i Wałbrzychu²².

Wszędzie strajki organizowano w bardzo podobny sposób. Za modelowy przykład może posłużyć

instrukcja strajkowa z Uniwersytetu Warszawskiego. Na teren uczelni można było wejść po okazaniu legitymacji studenckiej czy pracowniczej lub przepustki od Uczelnianego Komitetu Strajkowego. Bardziej restrykcyjne były warunki wejścia do budynków: należało okazać legitymację studencką i zadeklarować udział w strajku. Tego typu wymóg powodował, że straż porządkowa musiała nieraz wykazać się stanowczością i odmówić prawa do wejścia profesorowi lub członkowi władz uczelnianych. Wyjście ze strajku też nie było łatwe, wymagało bowiem przepustki wydanej przez Uczelniany Komitet Strajkowy. **Obowiązywał zakaz spożywania alkoholu** (wydaje się, że był on przestrzegany, w dokumentach Służby Bezpieczeństwa można znaleźć jedynie informację, że studenci Politechniki Warszawskiej kupili w pobliskim sklepie spore ilości piwa; inne źródła nic nie wspominają o tego typu przypadkach)²³.

Podczas strajku studenci uczęszczali na specjalnie organizowane wykłady, wychodzące poza program studiów. Odbywały się spotkania ze znanymi osobami z kręgu opozycji. Studenci szkół artystycznych oferowali przedstawienia teatralne i koncerty muzyczne. Strajki wspomagały osoby ze świata kultury, np. w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie wystąpił Daniel Olbrychski, a na UW Zbigniew Zapasiewicz. Do codzienności należały wiece informacyjne i msze święte. Dużo czasu spędzano na rozmowach czy grze w brydża (popularne w WSI w Radomiu).

²¹ J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. Geneza i historia, Paryż 1984, s. 314–315; J. Guzy, *U źródeł złego i dobrego. Rozmowy z pierwszym przewodniczącym Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS*, oprac. R. Spalek, Warszawa 2009, s. 107, 109, 111–112; *Kalendarium*, „BIS” 1981, nr 5, s. 5.

²² Ł. Kamiński, *NSZZ „Solidarność” Region Dolny Śląsk* [w:] *NSZZ „Solidarność” 1980–1989...*, t. 6, s. 385; Ł. Sołtysik, *NSZZ „Solidarność” Region Jelenia Góra* [w:] *ibidem*, s. 517; T. Kozłowski, *Niezależne Zrzeszenie Studentów...*, s. 263; K. Słowiński, *Strajk w Wyższej Szkole Inżynierskiej im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu 26 X – 13 XII 1981*, www.encyklopedia-solidarnosci.pl; A. Stańczak, *Akademik jak chlew*, „Niezależne Słowo” 1981, nr 49, s. 6; *Telex*, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 3, s. 2; Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0247/880, Meldunek operacyjny, 26 XI 1981, k. 10 (CD); AIPN, 01322/1960, Meldunek operacyjny, 30 XI 1981, k. 9 (CD); AIPN, 01322/1961, Meldunek operacyjny, 26 XI 1981, k. 8 (CD); AIPN, 01322/1962, Meldunek operacyjny, 26 XI 1981, k. 8 (CD); BJ, CDCN, Strajki studenckie, Oświadczenie NZS UJ zapowiadające przystąpienie do strajku, b.d., b.p.

²³ *Reguły gry*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 1, s. 2; AIPN, 1322/1963, Wyciąg z doniesienia tajnego współpracownika „Marioli” z 7 XII 1981, 8 XII 1981, k. 126–128; relacja Krzysztofa Sętowskiego, 22 X 2011.

Pomagano Solidarności w akcji plakatowej. Na tym polu studenci oddali dużą przysługę związkowi. Służba Bezpieczeństwa wyliczała, że w samej Warszawie w kilku akcjach plakatowych w sprawie udostępnienia Solidarności środków masowego przekazu brało udział około 480 studentów²⁴.

Sale uczelni zamieniły się w sypialnie i jadalnie, a krany miały zastępować prysznice. Obciążone były węzły kanalizacyjne nieprzystosowane do takiej liczby osób; ten problem wystąpił m.in. w niewielkim Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Wrocławskiego. Wysiłku wymagało zapewnienie aprowizacji. Żywność dostarczali rolnicy zrzeszeni w Solidarności wiejskiej (na UW dostarczyli nawet żywe kury), pomagali także robotnicy z niezależnego związku oraz mieszkańcy. Oryginalną formę zdobywania produktów spożywczych wymyślili studenci Politechniki Warszawskiej: na pobliskim targu przy ulicy Polnej prowadzili wśród sprzedawców dobrowolną zbiórkę. Żywność i inne niezbędne rzeczy też po prostu kupowano. Pieniądze uzyskiwano najczęściej od Solidarności. Wiadomo, że Zarząd Regionu Mazowsze udzielił komitetom strajkowym na uczelniach warszawskich pożyczkę w wysokości 1,2 mln złotych, pozostawił jednak tę sumę w swojej dyspozycji, toteż studenci musieli każdorazowo występować o potrzebne kwoty. Uczelnie stołeczne wydały łącznie 800 tys.

złotych. Z zachowanej dokumentacji wynika np., że na potrzeby strajkujących zakupiono 50 kg dżemu²⁵.

Tymczasem rektorzy szkół wyższych podejmowali wysiłki na rzecz rozwiązania konfliktu. Kolejna próba miała miejsce 10 listopada 1981 r. Do Radomia przyjechało jedenastu rektorów uczelni technicznych. Ich stanowisko nie odbiegało w zasadniczych punktach od sprawozdania pierwszej misji profesorskiej z 4 listopada²⁶.

Przełom w sprawie spowodowała dopiero rozmowa przedstawicieli Ogólnopolskiej Konferencji Rektorów z najwyższymi przedstawicielami władzy: premierem i I sekretarzem KC PZPR Wojciechem Jaruzelskim, wicepremierem Mieczysławem Rakowskim, ministrem nauki, szkolnictwa wyższego i techniki Jerzym Nawrockim i kierownikiem Wydziału Nauki KC PZPR Eugeniuszem Duraczyńskim. Rezultatem długiej i twardej dyskusji była decyzja Jaruzelskiego o przeprowadzeniu nowych wyborów w WSI w Radomiu (władze stały na stanowisku, że nieprawidłowości wyborcze nie uzasadniają tak daleko posuniętego protestu, a Hebda nie budzi takich zastrzeżeń, aby konieczna była interwencja rządu). Na ich czas miał zostać powołany komisarz, który objąłby władzę na uczelni. Jednocześnie dotychczasowy rektor nie zostałby odwołany, a jedynie zawieszony w czyn-

²⁴ „Biuletyn Strajkowy NSZZ Solidarność przy WSI w Radomiu”, 15–17 XI 1981, s. 1 i 24 XI 1981, s. 1; *Oświadczenie Komitetu Strajkowego SGGW*, „Informator NZS przy SGGW” 1981, nr 38, s. 2; AIPN, 1322/1997, Notatka służbowa, 7 XII 1981, k. 71 (CD); AIPN, 1322/1961, Meldunek operacyjny, 2 IV 1982, k. 12 (CD); AIPN, 1322/1973, Uzupełnienie meldunku operacyjnego, 8 XII 1981, k. 12 (CD); AIPN, 1322/1996, Program zajęć strajkowych, b.d., k. 22 (CD); AIPN, 1322/1960, Wyciąg z informacji operacyjnej od tajnego współpracownika „Janeczka” z 17 XI 1981, 27 XI 1981, k. 29 (CD); AIPN, 1322/1963, Meldunek operacyjny, 19 III 1982, k. 26 (CD); *ibidem*, Opis materiałów dotyczących akcji protestacyjnych Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze, b.d., k. 140.

²⁵ J. Guzy, *U źródła...*, s. 140; *Robotnicy i rolnicy razem z nami*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 6, s. 1; „Biuletyn Strajkowy NSZZ Solidarność przy WSI w Radomiu”, 18 XI 1981, s. 2; AIPN, 1322/1961, Notatka służbowa, 18 I 1982, k. 87 (CD); AIPN, 1322/1963, Wyciąg z informacji operacyjnej tajnego współpracownika „Ruma” z 24 XI 1981, 25 XI 1981, k. 131; AIPN, 01255/470, Notatka urzędowa dotycząca analizy i oględzin dokumentów zakwestionowanych w siedzibie Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze w sprawie finansowania strajków studenckich na uczelniach warszawskich, 15 I 1982, k. 336–341; relacja Antoniego Wójtowicza, 2 IX 2009.

²⁶ AOK, A.17.12, „Do społeczności akademickiej”, 11 XI 1981, b.p.; *ibidem*, Stanowisko Konferencji Rektorów Uczelni Technicznych w sprawie wyboru rektora WSI w Radomiu, 10 XI 1981; *ibidem*, Pismo prof. Władysława Findeisena z upoważnienia Konferencji Rektorów Uczelni Technicznych do ministra nauki prof. Jerzego Nawrockiego, 11 XI 1981, b.p.

nościach. Sposób przeprowadzenia wyborów miał być ustalony przez obie strony konfliktu. 21 listopada rektorzy mieli pojechać do Radomia w celach mediacyjnych. Ich zadaniem byłoby wypracowanie wspólnego projektu ordynacji wyborczej, który mógłby uzyskać akceptację rządu.

Ustalenia z premierem były niewątpliwym sukcesem rektorów, gdyż wcześniej władze pod pretekstem poszanowania autonomii szkół wyższych nic nie zrobiły, by rozwiązać konflikt. Gdy przyjmujemy tezę o świadomym prowokowaniu przez władze i przedłużaniu konfliktów, trudno zrozumieć, dlaczego premier ustąpił i zdecydował się na krok w kierunku zakończenia strajku. Może chodziło tylko o grę pozorów: z jednej strony wykazano wolę rozwiązania konfliktu, a z drugiej można było polecić stronnikom rektora, aby nie ustępowali. Ostatecznie wypracowany kompromis mógł też po prostu nie zostać zaakceptowany przez rząd. Niemniej otwierała się w ten sposób szansa na zakończenie konfliktu w WSI²⁷.

Misja mediacyjna przybyła do Radomia 21 listopada 1981 r. W składzie delegacji Ogólnopolskiej Konferencji Rektorów znaleźli się: rektor Politechniki Warszawskiej prof. Władysław Findeisen, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Andrzej Gierowski, rektor Politechniki Łódzkiej prof. Jerzy Kroh, rektor PWST w Warszawie prof. Andrzej Łapicki, rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza prof. Janusz Ziółkowski. Delegacji towarzyszyli: minister prof. Nawrocki, przewodniczący Rady Głównej Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki prof. Jan Szczepański oraz członek tej rady prof. Zbigniew Osiński. Bez wątplenia była to delegacja

o najwyższej randze, jaka do tej pory pojawiła się w WSI. Łączyła rektorów uniwersytetów i uczelni technicznych oraz przedstawicieli władz²⁸.

I tym razem jednak rektorzy nic nie wskórali. Na ich porażce zaważyła przede wszystkim polaryzacja stanowisk skonfliktowanych stron. Hebdyści nieufnie traktowali rektorów, podejrzewali ich – nie bez słuszności – o sympatię do strajkujących. Komitet Strajkowy też odrzucał kompromis, obstając przy postulacie odwołania rektora – nie satysfakcjonowało go zawieszenie Hebdy. Prawdopodobnie obawiano się, że nawet zawieszony rektor, przebywając na uczelni, będzie wpływał na wybory. Strajkujący podchodzili do komisji mediacyjnej z rezerwą: w jej składzie znaleźli się przedstawiciele władz, więc można było odnieść wrażenie, że rektorzy są częścią komisji rządowej. Jednak na spotkaniu Komitetu Strajkowego WSI z Prezydium Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS 23 listopada zadeklarowano chęć dalszej współpracy z Konferencją Rektorów w celu szybkiego rozwiązania konfliktu²⁹.

22 listopada strajkujący odnieśli swój pierwszy sukces. Potwierdziło się, że 20 listopada ustawa o szkolnictwie wyższym trafiła do sejmu w wersji społecznej (z 11 czerwca). Informację przekazał zasiadający w sejmie prof. Jan Szczepański. Było to częściowe spełnienie postulatu strajkujących, gdyż równolegle rząd udostępnił swoje stanowisko wobec projektu, w którym proponowano liczne poprawki. Było ono jednak na tyle ogólne, że pozostawiało wątpliwości, o jakie poprawki ma chodzić. NZS domagał się ujawnienia wszystkich postulowanych przez rząd zmian. Mimo iż nadal

²⁷ *Mówi rektor Łapicki o spotkaniu w Pałacu Kazimierzowskim*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 9, s. 1; Archiwum UW, BR/S-53, Stenogram posiedzenia Senatu Akademickiego UW, 20 XI 1981, k. 215.

²⁸ *Z rektorami w Radomiu*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 10/11, s. 1; AP Radom, KW PZPR, 1598, Odpowiedź komitetu protestacyjnego powołanego przez zwolenników rektora Hebdy i organizacji społeczno-politycznych na pytania Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność, 21 XI 1981, k. 91; AP Radom, KZ PZPR WSI, 12, Informacja KU PZPR o sytuacji w WSI w Radomiu, k. 94–95.

²⁹ M. Trzeciak, *Upiory...*, s. 147–149; *Z rektorami w Radomiu*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 10/11, s. 1; Radom, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 6, s. 1; *Komunikat Komitetu Strajkowego WSI Radom*, „Informator NZS przy SGGW” 1981, nr 38, s. 1; *Komunikat Prezydium KKK NZS (informacje i stanowisko)*, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 7, s. 1.

istniała obawa, że sens ustawy zostanie wypaczony, już samo wpłynięcie projektu w wersji z 11 czerwca było doniosłym wydarzeniem, które w jakiś sposób mogło satysfakcjonować studentów. Nadal jednak nierozwiązana pozostała kwestia rektora WSI w Radomiu³⁰.

Wobec coraz bardziej napiętych stosunków między władzą a Solidarnością NZS zdołał w końcu wyjednać bardziej zdecydowane poparcie krajowego kierownictwa związku. 25 listopada na posiedzeniu Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS jej członkowie zostali zapoznani z wystosowanym przez Prezydium Komisji Krajowej NSZZ Solidarność apelem o zakończenie protestu. Nie wzbudziło to zadowolenia wśród członków NZS, ale jeszcze tego samego dnia doszło do ich spotkania z Lechem Wałęsą. Przewodniczący Solidarności uznał wreszcie wagę studenckich postulatów i zdecydował o włączeniu ich do spraw, o które walczy związek. Efektem tej rozmowy był wspólny komunikat przedstawicieli KKK NZS oraz Prezydium Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. Najistotniejsze było zobowiązanie do wspólnych działań obu organizacji i „uznanych przez środowisko akademickie organów przedstawicielskich” w przypadku odwołania przez władze rozwiązania konfliktu w WSI. Można to traktować jako udzielenie gwarancji przez Solidarność, które umożliwiłoby NZS zakończenie strajków okupacyjnych³¹.

Po 21 listopada dochodziło jeszcze do prób negocjowania przy mediacji rektorów. Nie przyniosły one jednak rezultatów. Żadna ze stron nie zmieniła swojego zdania na temat prof. Hebdy.

Komitet Strajkowy chciał usunąć go z uczelni na czas wyborów w obawie, że będzie wpływać na ich przebieg. Uczelniany Komitet Protestacyjny (czyli hebdyści) stał na stanowisku ważności wyborów z 26 października i nie chciał się zgodzić na czasowe pozbycie się rektora³².

Przedłużający się strajk okupacyjny na uczelniach w całym kraju powodował, że powstawały koncepcje innego rodzaju protestu. Wynikało to przede wszystkim z dużych strat dydaktycznych spowodowanych przerwą w nauce oraz przekonania o nieskuteczności dotychczasowej formy protestu. W środowisku akademickim narodził się pomysł strajku czynnego (nazywanego protestem akademickim), który umożliwiał wywieranie większej presji na władzy oraz uniknięcie przerw w nauce. Polegał na bojkocie ministerstwa i wszystkich jego funkcji. Uczelnie byłyby zarządzane przez senaty i rady wydziałów. Środków materialnych na finansowanie szkolnictwa wyższego miała dostarczyć pożyczka od organizacji społecznych czy podatki na naukę płynące bezpośrednio z zakładów. Projekt ten nigdzie nie został w pełni zrealizowany, ale gdzieś doszło już do opracowania bardziej szczegółowych koncepcji, np. na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Wrocławskiego, a w Poznaniu odbyło się ogólnopolskie spotkanie zwolenników i organizatorów nowej formy protestu. Obecny stan badań pozwala stwierdzić, że najpełniej ideę tę wcielono w życie podczas strajku w WSI w Radomiu na kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego. Powołano tam uniwersytet strajkowy i przeprowadzono zajęcia z języka

³⁰ W. Polak, *Najtrudniejsze egzaminy. Niezależne Zrzeszenie Studentów Uniwersytetu Mikołaja Kopernika na tle wydarzeń w kraju i regionie 1980–1982*, Toruń 2001, s. 196; *Oświadczenie Prezydium KKK NZS*, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 7, s. 2; to, *Czekamy na potwierdzenie*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 9, s. 1; Archiwum UW, BR/S-53, Stenogram posiedzenia Senatu Akademickiego UW, 18 XI 1981, k. 111–112.

³¹ W. Polak, *Najtrudniejsze egzaminy...*, s. 196–197; J. Guzy, *U źródła...*, s. 117–119; *Komunikat*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 14, s. 1.

³² *Komunikat*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 15, s. 1; *Fiasko pierwszego dnia rozmów w Radomiu*, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 12, s. 1; *Rozmowy w Radomiu zerwane i ponownie wznowione*, *ibidem* 1981, nr 13, s. 1; „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 14, s. 2; *Rozmowy w WSI Radom*, *ibidem* 1981, nr 16, s. 2; da i to, *Trudne rozmowy*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 19, s. 2; AOK, A.17.12, *Komunikat*, 28 XI 1981, b.p.

obcego; planowano opracować statut i wydać indeksy. W ten sposób na WSI powstała niezależna uczelnia. Wydaje się jednak, że koncepcja strajku czynnego była utopijna, trudno byłoby wyobrazić sobie finansowanie uczelni bez udziału państwa lub wprowadzenia opłaty za studia. Nie wydaje się także, aby kadra akademicka gotowa była na taką rewolucję³³.

24 listopada rozpoczął się protest w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie. Jej adepci chcieli zostać objęci nową ustawą o szkolnictwie wyższym i żądali wprowadzenia odpowiedniej poprawki do jej projektu. Obawiali się, że zostaną wyłącznie pod nadzorem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (do tej pory szkoła podlegała również ustawom o szkolnictwie wyższym i obronie przeciwpożarowej). Negocjacje zakończyły się fiaskiem, władze postanowiły zakończyć strajk przy użyciu siły. 2 grudnia szkołę spacyfikowały oddziały ZOMO. Wywołało to powszechne oburzenie, zareagowały zarówno Solidarność, jak i NZS. Okazało się, że władzy nie zależy na dyplomatycznym rozwiązywaniu konfliktów, nie cofnie się przed konfrontacją³⁴.

Wydarzenia w WOSP zachwiały nadziejami na sukces studenckiego strajku i pozytywne rozwiązanie konfliktu w Radomiu, choć mediatorzy nadal szukali kompromisu. Ostatnie negocjacje odbyły się 5 grudnia, jednak i tym razem bez powodzenia³⁵. W oświadczeniu z 6 grudnia rektorzy deklarowali chęć kontynuacji rozmów, dodając,

że jeżeli do 20 grudnia konfliktu nie uda się rozwiązać drogą negocjacji, są gotowi zapewnić studentom i pracownikom WSI miejsce na innych uczelniach. Było to chyba jedyne rozwiązanie satysfakcjonujące strajkujących. Być może rektorom chodziło też o bluff, który zmobilizowałby strony do zawarcia porozumienia. Jednak hebdyści uznali to za zapowiedź rozwiązania szkoły i kolejny raz zarzucili rektorom stronniczość.

Jeszcze większe wrażenie musiało wywołać oświadczenie Ogólnopolskiej Konferencji Rektorów z 9 grudnia, w której stwierdzano, że prof. Hebda nie jest jej członkiem. Oznaczało to faktyczny koniec negocjacji. Hebdyści, bojąc się likwidacji WSI, interweniowali u wicepremiera Rakowskiego. W spotkaniu 10 grudnia w Urzędzie Rady Ministrów uczestniczyli również minister Nawrocki, kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC Duraczyński, przewodniczący Rady Głównej Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki Szczepański oraz przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Radomiu. Stronnicy rektora WSI uzyskali zapewnienie, że uczelnia nie zostanie zlikwidowana³⁶, skrytykowano również działalność mediacyjną Konferencji Rektorów. Akceptację uzyskały natomiast dotychczasowe działania hebdystów i ich stanowisko w konflikcie. Można przypuszczać, że gdyby nie wprowadzono stanu wojennego (13 grudnia 1981 r.), do porozumienia i tak by nie doszło. Strajkujący najprawdopodobniej przeniesiliby się z WSI, a osłabiona w ten sposób

³³ *Sytuacja w kraju*, „Trybuna Ludu”, 11 XII 1981, s. 5; jp, *Protest akademicki*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 16, s. 2; pn, *Senat i sułtan*, *ibidem* 1981, nr 17, s. 1; L. Budrewicz, P. Kasprzak, *Progresowska koncepcja strajku czynnego*, „Co Dalej” 1981, nr 9; JP, *ARA to jest to*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 20, s. 2; ZNO, Dział Dokumentacji Życia Społecznego, NZS I-4, 5/3, NZS UW 1980–1983, Strajk czynny na Wydziale Filologicznym, b.d., b.p.; relacja Ryszarda Czarneckiego, 15 X 2010.

³⁴ W. Polak, *Najtrudniejsze egzaminy...*, s. 199; AOK, A.16.6; *Komitet Strajkowy Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej oświadcza, co następuje*, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 13, s. 1; *Komunikat z dnia 30 listopada 1981 r.*, „Informator NZS przy SGGW” 1981, nr 44, s. 3; *Komunikat KKK NZS*, „Info” 1981, nr 10, s. 1; „BIPS” 1981, nr 280; *XXV rocznica strajku WOSP*, Warszawa 2006.

³⁵ *Mediacje*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 23, s. 1–2; AAN, KC PZPR, WNiO, LVIII/586, Projekt porozumienia – wersja Uczelnianego Komitetu Protestacyjnego, 7 XII 1981, b.p.; *ibidem*, Projekt porozumienia – wersja Uczelnianego Komitetu Strajkowego, 3 XII 1981, b.p.

³⁶ Można dostrzec tu zabiegi radomskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR, któremu zależało, aby miasto miało własną uczelnię wyższą. Stąd też prawdopodobnie obecność na spotkaniu wysłannika KW.

uczelnia – mimo bojkotu ze strony reszty środowiska akademickiego – przetrwałaby dzięki wsparciu władz centralnych i wojewódzkich³⁷.

Tymczasem władze NZS postanowiły zakończyć strajk. Na decyzję wpłynęło kilka czynników. Przede wszystkim nie widziano perspektywy negocjacyjnego rozwiązania konfliktu w Radomiu, co uniemożliwiało spełnienie podstawowego postulatu. Po pacyfikacji WOSP jasne się stało, że władzy w ogóle nie zależy na osiągnięciu kompromisu. Znaczenie miały też naciski ze strony władz akademickich zaniepokojonych długą przerwą w nauce. **Studenci byli zmęczeni kilkutygodniowym pobytem w niesprzyjających warunkach.** W deklaracji z 6 grudnia Konferencja Rektorów zobowiązała się do dalszej walki o postulat strajkujących; dało to studentom możliwość zakończenia protestu z twarzą³⁸. Ostateczną decyzję podjęto na posiedzeniu Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS i Konferencji Uczelnianych Komitetów Strajkowych 6 grudnia. Wezwano do zawieszenia strajków, wskazując na osiągnięty już sukces – skierowanie do sejmu niezależnego projektu ustawy i deklarację rektorów z 6 grudnia. Zwrócono się do komitetów strajkowych z Warszawy, aby zapewniły bezpieczeństwo studentom WOSP (część z nich po pacyfikacji znalazła się na Politechnice Warszawskiej).

Nie wszędzie jednak apel o zakończenie strajku spotkał się z akceptacją. Część organizacji uczelnianych NZS odrzuciła go i kontynuowała strajki. Wśród niezadowolonych prym wiódł ośrodek

poznański. Zaproponował kolejne spotkanie Krajowej Konferencji Uczelnianych Komitetów Strajkowych, które miałyby odbyć się równocześnie z posiedzeniem Konferencji Rektorów w Poznaniu 9 grudnia. Zanim jednak do niego doszło, coraz więcej uczelni rezygnowało ze strajku. Dodatkowym argumentem był apel prymasa (miał decydujące znaczenie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim) oraz odezwa Uczelnianego Komitetu Strajkowego WSI w Radomiu, który dziękował za wsparcie i zwracał się o zastąpienie strajków okupacyjnych inną formą protestu. Organizacje NZS gotowe dalej strajkować znalazły się także pod silną presją senatów i uczelnianej Solidarności³⁹.

Rządowa propaganda przedstawiała strajk jako przedłużenie wakacji, piknik, na którym studenci żywili się luksusowymi wędlinami. Oficjalne gazety próbowały dzielić studentów na organizatorów strajku, realizujących jakieś ukryte cele, i pozostałych – nie zawsze świadomych, do czego przykładają rękę⁴⁰. Generalnie można odnieść wrażenie, że w listopadzie i grudniu 1981 r. prasa celowo pisała o dużej liczbie protestów. Organ KC PZPR „Trybuna Ludu” kilkakrotnie zamieścił obszerne kalendaria strajków – **mogły one wywrzeć wrażenie na czytelniku** – a 9 grudnia podsumowanie pod charakterystycznym tytułem *Co z tego wynika dla kraju?*. Pisano o szkodliwości protestów dla Polski i jej gospodarki, zwracano uwagę na małe szanse porozumienia z opozycją. Jak się wydaje, wszystko to miało przekonać do rozwiązania siłowego (stanu wojennego),

³⁷ AOK, A.17.12, Oświadczenie, 6 XII 1981, b.p.; AP Radom, KW PZPR, 1598, Oświadczenie Uczelnianego Komitetu Protestacyjnego WSI w Radomiu, 10 XII 1981, k. 93; *ibidem*, Komunikat, 10 XII 1981, k. 140.

³⁸ AOK, A.17.12, Oświadczenie, 6 XII 1981, b.p.; AIPN, 1322/1997, Informacja operacyjna ze słów tajnego współpracownika, 27 XI 1981, k. 57 (CD); AIPN, 1322/1961, Wyciąg z notatki służbowej z 9 XII 1981 na podstawie rozmowy z kontaktem obywatelskim „BR”, 29 XII 1981, k. 27 (CD); Archiwum UW, BR/S-53, Stenogram z przebiegu posiedzenia Senatu Akademickiego UW, 18 XI 1981, k. 94–109; relacja Jarosława Guzego, 22 X 2011.

³⁹ *Czy kończymy?*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 23, s. 1; *News, ibidem* 1981, nr 25, s. 2; *News, ibidem* 1981, nr 26, s. 2; „Info” 1981, nr 16; BJ, CDCN, NZS UJ, t. 4, Uchwała KS NZS UJ o zakończeniu strajku okupacyjnego studentów UJ, b.d., b.p.; Archiwum UJ, SV, Protokół nadzwyczajnego posiedzenia Senatu UJ, 10–11 XII 1981, b.p.; relacja Wojciecha Bogaczyka, 22 X 2011; relacja Jarosława Guzego, 22 X 2011.

⁴⁰ Schemat ten stosowano również podczas studenckich protestów w 1946 i 1968 r.

którego celem było zaprowadzenie w kraju porządku. Idąc tym tropem, można dojść do wniosku, że pod koniec roku konflikty i strajki były władzy na rękę. Potwierdza to wcześniej postawioną tezę o celowym pogłębianiu konfliktu w środowisku akademickim i braku woli rozwiązania sporu na uczelniach⁴¹.

Ostatecznie Konferencja Uczelnianych Komitetów Strajkowych w Poznaniu postanowiła definitywnie zakończyć protest; dużą rolę odegrały na pewno racje wyłożone tam przez przewodniczącego Krajowej Komisji Koordynacyjnej NZS Jarosława Guzego. Na radykałów wpłynęło też zapewne potwierdzenie gwarancji przez rektorów w apelu z 9/10 grudnia. W rezultacie zdecydowana większość uczelni zakończyła protest przed 13 grudnia, były jednak wypadki, że strajk został przerwany dopiero w wyniku wprowadzenia stanu wojennego. Tak było m.in. na Politechnice Warszawskiej, gdzie trwał strajk rotacyjny z udziałem przedstawicieli stołecznych uczelni. Towarzyszyli oni studentom WOSP, którzy po pacyfikacji ich uczelni ogłosili strajk wędrujący i przeszli na politechnikę. Chciano wywrzeć nacisk na rektora, aby przyjął studentów pożarnictwa na politechnikę, co uchroniłoby ich przed powołaniem do wojska. WOSP-owcy otrzymali legitymacje, a na wieczornym wiecu 13 grudnia zapadła decyzja o zakończeniu protestu – w obawie przed brutalną pacyfikacją.

W WSI w Radomiu protest trwał do 13 grudnia⁴². Strajkujący opuścili gmachy uczelni pod

groźbą interwencji ZOMO. W ten sposób zakończył się trwający 49 dni strajk studencki⁴³. Trudno rozstrzygnąć, czy odniósł sukces. Na pewno przyczynił się do przeforsowania społecznej wersji ustawy o szkolnictwie wyższym. Ostatecznie została ona uchwalona w maju 1982 r., a jej zasadnicze tezy nie zostały zniekształcone. Dzięki temu do 1985 r., czyli nowelizacji ustawy, na uczelniach mogły funkcjonować samorządy studenckie cieszące się względną samodzielnością. Możliwość działania znalazło w nich wielu byłych członków NZS. Niewątpliwym sukcesem była również integracja studentów oraz wzrost ich świadomości politycznej, szczególnie tych, którzy zaczęli studia w roku akademickim 1981/1982. Ułatwiło to budowę podziemnych struktur w stanie wojennym.

Porażką było nierozwiązanie konfliktu w radomskiej WSI po myśli strajkujących. Było to jednak niezwykle trudne wobec bardzo silnej rozbieżności stanowisk na tej uczelni. Władze centralne raczej pogłębiały konflikt, niż próbowały go zażegnać, prawdopodobnie chcąc podtrzymać kryzys i łatwiej wytłumaczyć stan wojenny jako sposób na jego rozwiązanie. W pewnym sensie strajki studenckie posłużyły więc jako pretekst do wprowadzenia stanu wojennego. Trudno jednak widzieć w tym winę studentów. Podjęli oni walkę o zmiany w szkolnictwie wyższym w interesie całego środowiska akademickiego, nie zastanawiając się nad rzeczywistymi intencjami władz.

⁴¹ „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 9, s. 1; J. Bartos, *O strajku na szybie*, „Żołnierz Wolności”, 25 XI 1981, s. 2; *Informacje o niepokojach w kraju po 4 listopada*, „Trybuna Ludu”, 1 XII 1981, s. 5; *Apel o przerwanie strajku na uczelniach*, „Trybuna Ludu”, 7 XII 1981, s. 5; A. Wasilkowski, *Co z tego wynika dla kraju?*, „Trybuna Ludu”, 9 XII 1981, s. 1. Więcej zob. J. Olaszek, *Antysolidarnościowa propaganda władz PRL [w:] NSZZ „Solidarność” 1980–1989...*, t. 7, s. 167–237.

⁴² Niektórzy uczestnicy wydarzeń podtrzymują wersję, według której część strajkujących opuściła uczelnię 14 grudnia. Oznaczałoby to, że strajk trwał 50 dni. Brak jednak innych źródeł umożliwiających zweryfikowanie tej informacji.

⁴³ J. Guzy, *U źródeł...*, s. 125–127; *News*, „Gazeta Strajkowa” 1981, nr 26, s. 2; *Uchwała*, „Informator Uczelnianego Komitetu Strajkowego SGPiS” 1981, nr 15, s. 1; AIPN, 1322/1963, *Meldunek operacyjny*, 19 III 1982, k. 27 (CD).

PRÓBA GENERALNA. ATAK NA WOSP – GRUDZIEŃ 1981

Początek konfliktu

15 listopada 1981 r. na zebraniu Komitetu Uczelnianego PZPR w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa w Warszawie poinformowano, że po planowanej nowelizacji ustawy o szkolnictwie wyższym zmieni się status uczelni: stanie się ona wyższą szkołą wojskową (dotychczas była szkołą cywilną, choć podległą Ministerstwu Spraw Wewnętrznych)¹. Trzy dni później Komisja Zakładowa NSZZ Solidarność w WOSP przeprowadziła spotkanie dyskusyjne z udziałem podchorążych w sprawie statusu uczelni. 20 listopada wiec w tej samej sprawie zorganizowała Rada Uczelniana Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Podjęto na nim jednogłośnie uchwałę, w której żądano m.in. gwarancji, że szkoła będzie funkcjonować jako „uczelnia samorządna i demokratyczna”. Domagano się również, aby w stosunku do osób uczestniczących w wiecu nie wyciągano „żadnych konsekwencji służbowych, prawnych i moralnych”².

Władze uczelni oraz Komisja Zakładowa PZPR próbowały przeciwdziałać. 18 i 20 listopada kierownictwo szkoły prowadziło „spotkania informacyjne” z podchorążymi. W czasie tego drugiego zastępcą komendanta Józef Groba groził wyrzuceniem „połowy nieposłusznych studentów” (a także pracowników)³, a komendant Krzysztof Smolariewicz zapewniał, że „nie nastąpią żadne zmiany w uczelni” i będzie ona „podlegać

GRZEGORZ MAJCHRZAK

historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, członek Stowarzyszenia Archiwum Solidarności i Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Zajmuje się badaniem aparatu represji, opozycji demokratycznej w PRL (głównie NSZZ Solidarność) oraz stanu wojennego. Autor wielu publikacji; ostatnio wydał tom źródłowy *I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Stenogramy*, t. 1: *I tura* (oprac. G. Majchrzak, J.M. Owsiański, wstęp B. Kaliski, 2011).

¹ W nowej sytuacji działalności WOSP nie regulowałyby jak dotychczas ustawy o szkolnictwie wyższym i o ochronie przeciwpożarowej, ale ustawa o wyższym szkolnictwie wojskowym. Oznaczałoby to potraktowanie jednostek straży pożarnej jako jednostek paramilitarnych, a co za tym idzie w przypadku szkoły ograniczenie jej samorządności, działalności organizacji studenckich i związków zawodowych.

² Według danych MSW w wiecu uczestniczyło 150 podchorążych (Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (AIPN), 0397/804, *Powstanie i działalność NSZZ „Solidarność” Region Mazowsze*, Warszawa 1988, opracowanie MSW, s. 426), a także wiceprzewodniczący Krajowej Komisji Koordynacyjnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów Teodor Klineciewicz, przedstawiciele branżowej sekcji pożarnictwa NSZZ Solidarność oraz Regionu Mazowsze („Serwis – 8” Biura Prasowego Strajku Studentów Akademii Medycznej, 25 XI 1981). Komitet Założycielski NZS w WOSP powstał 23 XI 1981, wcześniejsze próby (z lutego 1981) zostały udaremnione przez władze szkoły.

³ Uchwała Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy WOSP, 24 XI 1981 [w:] *XXV rocznica strajku WOSP. Materiały archiwalne*, Warszawa 2006, s. 47.

nał pod Ministerstwo Spraw Wewnętrznych”⁴. 24 listopada o godzinie 18.00, chcąc uniemożliwić wiec zwołany na 20.00, komendant wprowadził akcję „222”, czyli stan podwyższonej gotowości bojowej z zakazem opuszczania szkoły oraz miejsc zakwaterowania⁵.

Wieczorem podchorążowie zmierzający na wiec zostali zatrzymani przez szefa szkolnej placówki ORMO komendą: „Stój, bo strzelam!”. Stało się to bezpośrednią przyczyną strajku okupacyjnego⁶.

Strajk

W wiecu, który rozpoczął się 24 listopada około 22.00, wzięli udział również studenci zakwaterowani poza terenem uczelni. Około północy proklamowano strajk. Przystąpiło do niego ponad 90 proc. podchorążych⁷. Z czasem część z nich się wycofała – głównie wskutek wywieranej na nich presji⁸; według danych MSW 30 listopada protestowało jeszcze około 350 spośród 400 studentów. Domagali się oni poprawek w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym, ukarania osób dopuszczających się przemocy fizycznej wobec podchorążych, przybycia na uczelnię komisji mieszanej oraz niewyciągania konsekwencji w stosunku do osób biorących udział w strajku lub go wspiera-

jących⁹. Ukonstytuował się Komitet Strajkowy – z dwoma równorzędnymi przewodniczącymi na czele: Zbigniewem Szablewskim (z Socjalistycznego Związku Studentów Polskich) i Ryszardem Stępkowskim (z Niezależnego Zrzeszenia Studentów). 25 listopada w godzinach popołudniowych do komitetu dołączyli przedstawiciele Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność – Krystyna Kolasińska, Jan Bogdał i Marek Suruła¹⁰.

Kilka godzin po ogłoszeniu strajku rozpoczęto rozmowy z zastępcą komendanta szkoły Józefem Grobą. Dotyczyły one kwestii porządkowych. Ustalono m.in., że podchorążowie niebiorący udziału w proteście mogą kontynuować naukę, gdyż zajęcia będą się odbywać według planu, pracownicy WOSP pracują normalnie, na teren szkoły nie będą wpuszczane „obce osoby”. Ponadto „zobowiązano komendanta do przeprowadzenia dochodzenia w sprawie incydentu” z 24 listopada. 26 listopada Komitet Strajkowy podczas kolejnego spotkania z komendantem wycofał się z tych ustaleń¹¹.

Jednocześnie pod naciskiem Komendy Głównej Straży Pożarnych komendant Krzysztof Smolarzewicz zmienił – początkowo koncyliacyjne – stanowisko¹². Wydał rozkaz o zawieszeniu zajęć do 30 listopada 1981 r. oraz wezwał podchorążych do opuszczenia budynku szkoły do godziny

⁴ Spotkanie z kierownictwem WOSP, 20 XI 1981 [w:] *XXV rocznica strajku...*, s. 33.

⁵ *Strajk w Wyższej Szkole Oficerów Pożarnictwa*, „AS” 1981, nr 55, s. 205. Było to istotne, gdyż dwa najstarsze roczniki mieszkały nie na terenie szkoły, ale w akademikach na warszawskich Jelonkach.

⁶ Uchwała wiecu, 24 XI 1981 [w:] *XXV rocznica strajku...*, s. 41.

⁷ *Strajk w Wyższej Szkole Oficerów Pożarnictwa...*, s. 205; zob. też *Do serwisu informacyjnego. Sprostowanie do komunikatów radiowych. Apel wyjaśniający do społeczeństwa* [w:] *XXV rocznica strajku...*, s. 89. W proteście oprócz studentów uczestniczyła część pracowników WOSP.

⁸ Działania rozmiękczone wobec protestujących prowadziła zarówno Komenda Główna Straży Pożarnych, jak i Służba Bezpieczeństwa (M. Henzler, *Gaszenie strażaków*, „Polityka” 2011, nr 48).

⁹ Uchwała wiecu, 24 XI 1981 [w:] *XXV rocznica strajku...*, s. 41.

¹⁰ Uchwała Komisji Zakładowej NSZZ Solidarność przy WOSP, 25 XI 1981 [w:] *ibidem*, s. 59. Skład komitetu strajkowego WOSP zob. *ibidem*, s. 68.

¹¹ AIPN, 0397/804, *Powstanie i działalność...*, s. 428.

¹² 25 listopada apelował on do pracowników WOSP o „zachowanie powagi i pełnego spokoju”, ponadto stwierdzał: „Do czasu wyjaśnienia wszystkich problemów należy zrobić wszystko, aby nie powodować sytuacji konfliktowych między pracownikami i studentami” (*XXV rocznica strajku...*, s. 53).

16.00¹³. Pod WOSP przybyły pierwsze patrole milicyjne.

26 listopada wieczorem do szkoły przybyła komisja złożona z przedstawicieli MSW, Ministerstwa Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki oraz Komendy Głównej Straży Pożarnych. Rozmowy szybko zostały zerwane, gdyż nie zgodzono się na udział ekspertów wspierających strajkujących¹⁴, ale wznowiono je następnego dnia. 28 listopada uzgodniono kilka punktów, jednak sporny pozostawał główny postulat strajku, czyli kwestia podległości szkoły, a strona rządowa po dwudziestu godzinach negocjacji rozmowy zerwała.

Tymczasem 27 listopada, po nieoficjalnej zapowiedzi komendanta Smolarkiewicza, że strajkujący zostaną usunięci siłą, zwrócili się oni o ochronę do załóg Huty Warszawa, Zakładów Mechanicznych Ursus i Miejskich Zakładów Komunikacyjnych. Zaapelowali również o pomoc do prymasa Polski Józefa Glempa. Tego samego dnia Prezydium Zarządu Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze ogłosiło swoje poparcie, a także zaapelowało do zakładów przemysłowych o „udzielenie strajkującym gwarancji bezpieczeństwa – wysyłanie swoich przedstawicieli jako obserwatorów na strajk”¹⁵. Do szkoły przybyli wiceprzewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze Seweryn Jaworski oraz – jako doradcy – Andrzej Stelmachowski, Lech Falandysz, Stefan Wejchert i Witold Frankowski¹⁶.

Władze wobec protestu

Dwukrotnie sprawą strajku zajęło się Biuro Polityczne Komitetu Centralnego PZPR. 27 listopada podczas obrad tego gremium premier i I sekretarz KC Wojciech Jaruzelski stwierdził, że strajk „musi być rozwiązany w sposób radykalny”¹⁷. Choć nie podjęto żadnej formalnej decyzji, minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszcak wystąpił do Rady Ministrów o rozwiązanie uczelni. Rząd zebrał się 30 listopada. Sprawę WOSP referował wiceminister spraw wewnętrznych (resortowy „jastrząb”) Bogusław Stachura. Postawił wniosek o wydanie przez rząd rozporządzenia likwidującego strażacką uczelnię. Argumentował: „szkoła ta w tej chwili nie jest szkołą w pełni dyspozycyjną i wobec tego istnieć nie powinna”¹⁸. Podsekretarz stanu w Urzędzie Rady Ministrów Zygmunt Rybicki ostrzegał, że rozwiązanie WOSP może doprowadzić do rozszerzenia się protestów studenckich na cały kraj, a w efekcie „do sytuacji, w której podobne rozporządzenia będą musiały być podjęte w odniesieniu do innych uczelni wyższych”¹⁹. Wiceminister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki Mieczysław Kazimierczuk proponował skreślenie w przygotowanym rozporządzeniu zwrotu o jego wykonaniu przez szefa reprezentowanego przez niego resortu²⁰. Stachura replikował: „My w sytuacji tej, kiedy »Solidarność« wkracza w problemy

¹³ *Strajk studentów warszawskiej szkoły pożarnictwa*, „AS” 1981, nr 56. Polecenie to wykonało jedynie pięciu podchorążych (*Chronologiczny przebieg wydarzeń związanych ze strajkiem podchorążych Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie w 1981 r.*, oprac. M. Mizera, K. Madej, T. Garbowski, Warszawa 2011).

¹⁴ Strona rządowa odrzuciła też kompromisowe rozwiązanie pozwalające ekspertom jedynie na śledzenie rozmów i udzielanie konsultacji strajkującym „w miarę potrzeby” (Komunikat Komitetu Strajkowego WOSP, 27 XI 1981 [w:] *XXV rocznica strajku...*, s. 115).

¹⁵ *Strajk studentów warszawskiej szkoły pożarnictwa...*, s. 201.

¹⁶ *Chronologiczny przebieg...*

¹⁷ *Tajne dokumenty Biura Politycznego. PZPR a „Solidarność” 1980–1981*, oprac. Z. Włodek, Londyn 1992, s. 539.

¹⁸ Archiwum Akt Nowych (AAN), Urząd Rady Ministrów, Kancelaria tajna, 135/29, Stenogram posiedzenia Rady Ministrów, 1 XII 1981, k. 6.

¹⁹ *Ibidem*, k. 9.

²⁰ *Ibidem*, k. 8.

wewnętrzne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, cofnąć się niestety nie możemy”²¹. Po odpowiednim naświetleniu przez niego przebiegu strajku podchorążych ministrowie przystąpili do redagowania rozporządzenia. Głównym problemem była rola, jaką w całej sprawie miało odegrać Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

Stachura na koniec zapewnił: „Będziemy w dalszym ciągu oddziaływać na to środowisko studenckie, tych 350 chłopców, i myślimy, że uda nam się nakłonić [ich] do opuszczenia szkoły. I w ten sposób konflikt został[by] rozwiązany”. Jego podwładni już wówczas przygotowywali się do siłowego zakończenia protestu, co zresztą on sam w sposób zawołowany dopuszczał: „Może nie uda nam się wszystkich nakłonić, jeśli pozostanie jakaś grupka ekstremalna, która mimo wszystko będzie chciała pomieszczenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych okupować i tam pozostać, to już po prostu będziemy musieli zastosować przymus fizyczny. Ale sądzę, że do tego nie dojdzie. Ale scenariusz będziemy na to mieli, może do tego nie dojdzie, ale różnie bywa”²².

1 grudnia rano do sprawy WOSP powróciło Biuro Polityczne. Stanisław Kociołek obawiał się, że strajk szkoły „przeniesie się na duże zakłady”. Jan Łabęcki mówił, że co prawda chyba „jeszcze nie nadszedł moment generalnej konfrontacji”, ale na strażacki protest „trzeba odpowiedzieć zdecydowanie, szkołę rozwiązać, a młodzież powołać do wojska”. Bardziej pesymistyczną ocenę wygłosił Marian Orzechowski: „Doszliśmy do kresu [...] Decyzje trzeba podejmować, zaraz, już. Pierwszym krokiem może być zdecydowana reakcja na strajk w Wyższej Szkole Pożarnictwa”²³.

Dalszy ciąg strajku

Poczynania władz wpłynęły na przebieg protestu. 28 listopada Komitet Strajkowy ograniczył swobodę poruszania się kierownictwa szkoły i wyznaczył jego paruosobową asystę²⁴. Budynek został otoczony przez dodatkowych funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej i Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej. 29 listopada komitet przyjął uchwałę o podjęciu czynnego strajku okupacyjnego oraz wznowieniu zajęć dydaktycznych. Ale dzień później przyjęto kolejną – o kontynuowaniu strajku aż do rozwiązania konfliktu w drodze negocjacji. 30 listopada w późnych godzinach wieczornych do WOSP przybyli wiceminister spraw wewnętrznych Stanisław Zaczekowski i komendant główny straży Tomasz Ostrowski w celu podjęcia rozmów z Komitetem Strajkowym lub wszystkimi podchorążymi. Nie doszło do nich jednak z powodu niezgody przedstawicieli strony rządowej na udział w spotkaniu ekspertów Komitetu Strajkowego.

1 grudnia w odpowiedzi na kroki podjęte przez Radę Ministrów przewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze Zbigniew Bujak ogłosił gotowość strajkową w dużych zakładach stolicy oraz akcję protestacyjną w przypadku ataku na WOSP. Tego samego dnia z misją mediacyjną do ministra spraw wewnętrznych wystąpili profesorowie Aleksander Gieysztor, Klemens Szaniawski i Andrzej Stelmachowski. Ponadto Region Mazowsze wydał oświadczenie w sprawie WOSP. Zwrócił się w nim do sejmu o pilne zajęcie się statusem szkoły oraz zaproponował dwa warianty przyszłości uczelni – jej przejście do innego resortu lub przyjęcie

²¹ *Ibidem*, k. 11.

²² *Ibidem*, k. 28.

²³ *Tajne dokumenty...*, s. 546–548.

²⁴ Komendant i jego zastępcy mogli wyjść z WOSP w każdej chwili. Asysta podchorążych miała na celu niedopuszczenie do ewentualnej prowokacji.

statusu prywatnej szkoły wyższej. W obu wariantach uczelnia podlegałaby przepisom ustawy o szkolnictwie wyższym²⁵. Gotowość strajkową na znak poparcia dla protestujących studentów ogłosiły m.in. Fabryka Samochodów Osobowych, Zakłady Radiowe im. Marcina Kasprzaka, Zakłady Wytwórcze Lamp Elektronowych im. Róży Luksemburg i Instytut Badań Jądrowych w Świerku²⁶.

Pacyfikacja

W Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej w związku z proklamowaniem strajku podjęto decyzję o prowadzeniu „aktywnego rozpoznania” (przy użyciu MO i SB) studentów i pracowników WOSP, a także największych warszawskich zakładów pracy. W trakcie operacji kryptonim „Syrena”²⁷ podsłuchiowano m.in. rozmowy podchorążych przebywających w szkole z ich kolegami w akademiku na Jelonkach prowadzone za pomocą radiostacji znajdujących się na wyposażeniu WOSP. Nawiązano również „kontakt operacyjny” z jednym z pracowników uczelni, który na polecenie funkcjonariuszy wyniósł z WOSP (mimo „ściślej kontroli strajkujących”) szczegółowe plany architektoniczne budynku. Plany te wraz z informacjami, które przekazał Komendzie Stołecznej, miały „kapitałną wręcz wartość” – jak meldowali funkcjonariusze – podczas planowania siłowej pacyfikacji protestu²⁸.

Plan odblokowania uczelni „z uwagi na konieczność zachowania w ścisłej tajemnicy zamie-

rzeń resortu spraw wewnętrznych” opracowano w przeddzień operacji. Wzięto w niej udział blisko 3,5 tys. funkcjonariuszy (głównie z ZOMO, ale też 72 z plutonów specjalnych)²⁹. Została ona podzielona na trzy etapy. Pierwszy, polegający na zapewnieniu porządku w okolicy WOSP i niedopuszczeniu do szkoły „osób postronnych”, realizowano już w trakcie planowania całej akcji. Kolejnym etapem była blokada rejonu szkoły, składająca się z dwóch pierścieni. W ostatnim etapie zamierzano zająć uczelnię. Dzień przed pacyfikacją zorganizowano pokaz siły – demonstracyjny przejazd kolumny milicyjnej przed WOSP.

Operację „odblokowania” rozpoczęto o godzinie 9.26 od zatrzymania ruchu drogowego w okolicy uczelni. O 9.58 wezwano okupujących budynek do jego dobrowolnego opuszczenia, a o 10.11 zaczęto zajmować szkołę. Na dach budynku ze śmigłowca Mi-8 opuszczono funkcjonariuszy sił specjalnych³⁰, równocześnie inna grupa sforsowała bramę prowadzącą na plac alarmowy WOSP. W ciągu dosłownie dwóch minut zajęto parter i pierwsze piętro oraz uwolniono komendanta szkoły. Było to tym łatwiejsze, że studenci nie stawiali oporu – zebrali się w większości w auli na trzecim piętrze, a po rozmowie z dowodzącym operacją opuścili budynek. O 10.53 sytuacja w WOSP była już „całkowicie opanowana”³¹.

Podczas pacyfikacji szkoły zatrzymano łącznie 35 osób – w tym dziewięciu działaczy Regionu Mazowsze, dwóch członków Komitetu Strajkowego oraz 24 osoby, „które usiłowały zakłócić spokój

²⁵ AIPN, 01322/2192, mikrofisz 68, Oświadczenie Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze w sprawie WOSP, 1 XII 1981, k. 27.

²⁶ AIPN, 1585/15919, „Informacja Dzienna” MSW nr 73, 2 XII 1981, k. 23.

²⁷ Akt operacji „Syrena” nie udało się dotychczas odnaleźć.

²⁸ AIPN, 1510/2278, *Odblokowywanie nielegalnie zajętych obiektów na przykładzie Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie*, Warszawa 1988, praca magisterska, s. 26–28.

²⁹ *Ibidem*, s. 48.

³⁰ Pacyfikację dowodził Edward Misztal, a desant ze śmigłowca przeprowadzali funkcjonariusze pod rozkazami Jerzego Dziewulskiego. Nie obyło się bez strat po ich stronie – jeden z nich wpadł do komina i złamał nogę, drugiemu anteny na dachu poraniły genitalia (M. Henzler, *Gaszenie strażaków...*).

³¹ Chronologia pacyfikacji WOSP na podstawie AIPN, 1510/2278, *Odblokowywanie nielegalnie zajętych obiektów na przykładzie Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie*, Warszawa 1988, praca magisterska, s. 76, 80, 82.

i porządek publiczny przed budynkiem uczelni”³². Przewieziono ich do Komendy Dzielnicowej MO Warszawa-Żoliborz, gdzie zostali przesłuchani przez prokuratorów. Wyjątek zrobiono dla Jaworskiego, którego zabrano do Komendy Stołecznej MO i poddano szczegółowym oględzinom lekarskim (dokumentowanym na taśmie magnetofonowej). Po przesłuchaniach wszystkich zwolniono.

W czasie zajmowania uczelni nie obeszło się jednak bez przemocy. Poturbowano Krystynę Kolasieńską, szefową kuchni WOSP i członkinię Komitetu Strajkowego. „Obejrzałam się – podbiegli do mnie zomowcy z pałkami w rękach i z tarczami. Nagle straciłam przytomność, poczułam silny ból w tyle głowy i na karku. Wpadłam na oszklone drzwi, rozbiłam je ręką, kalecząc dłoń w wielu miejscach” – opisywała. Ostatecznie udało jej się uciec i przedostać do autobusów, które miały wywieźć podchorążych. „Przy wchodzeniu do autobusu zastępca komendanta szkoły płk Groba szarpnął mnie i wyciągnął daleko na podwórze – skarżyła się kobieta. – Kazał mi usiąść w błocie i sprowadził filmowców. Cały czas z ręki lała mi się krew. Tak długo mnie męczyli tymi zdjęciami, aż zemdlałam. Zabrali mnie siłą do pokoju, gdzie pilnowało mnie sześciu zomowców z polecenia płk. Groby. Wreszcie kiedy miałam dreszcze i znowu prawie zemdlałam, wezwali karetkę i zabrali mnie do szpitala”³³. Trafiła do szpitala MSW przy ul. Komarowa (dziś Wołoska), skąd po kilku dniach (jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego) została odebrana siłą przez działaczy Solidarności, podchorążych i ks. Jerzego Popiełuszkę.

Pobito również niektóre osoby znajdujące się pod szkołą i protestujące przeciwko jej pacyfikacji. Istotnym elementem operacji było wyłączenie

na czas działań łączności telefonicznej i dalekopisowej w WOSP i w siedzibie Zarządu Regionu Mazowsze przy ul. Mokotowskiej. Uniemożliwiło to szybką i skuteczną reakcję.

Reakcja Solidarności

Po pacyfikacji WOSP kolejne warszawskie zakłady ogłosiły gotowość strajkową. Przewodniczący związku Lech Wałęsa zarządził ostre pogotowie i przygotowania do gotowości strajkowej (decyzję o rozpoczęciu protestu zastrzeżono dla Komisji Krajowej NSZZ Solidarność)³⁴. Podczas nadzwyczajnego posiedzenia Zarządu Regionu Mazowsze (z udziałem członków władz krajowych związku, w tym Wałęsy) podjęto decyzję o ogłoszeniu gotowości strajkowej, a jeśli by wszyscy zatrzymani podczas pacyfikacji nie zostali zwolnieni do dziesiątej następnego dnia, o rozpoczęciu dwie godziny później strajku generalnego w regionie. Natomiast gotowość strajkowa miała być podtrzymana do czasu zapewnienia możliwości nauki studentom rozwiązanej przez władze szkoły³⁵. Wśród protestujących przeciwko pacyfikacji znalazł się również warszawski komitet założycielski Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, który w wystosowanym do ministra spraw wewnętrznych proteście uznał ją za „działanie wymierzone przeciwko polskiemu społeczeństwu”³⁶.

Dzień później, 3 grudnia, Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczący zarządów regionów Solidarności zgromadzeni w Radomiu uznali pacyfikację WOSP za przykład „represji antyzwiązkowych”³⁷. Zarekomendowali też Komisji Krajowej „objęcie gwarancją całego Związku pełnego zrealizowania postulatu strajkujących studentów-pod-

³² AIPN, 0397/804, *Powstanie i działalność...*, s. 432–433.

³³ AIPN, 01322/2192, mikrofisz 68, Oświadczenie Krystyny Kolasieńskiej, 3 XII 1981, k. 29.

³⁴ J. Holzer, „Solidarność” 1980–1981. *Geneza i historia*, Warszawa 1990, s. 334.

³⁵ Stłumienie strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarnictwa, „AS” 1981, nr 57, s. 201.

³⁶ Protest ZZ Funkcjonariuszy MO, *ibidem*, s. 204.

³⁷ Stanowisko Prezydium KK i przewodniczących Zarządów Regionów, „AS” 1981, nr 58, s. 301.

chorążych oraz pracowników WOSP w Warszawie i zapewnienie im pełnej gwarancji bezpieczeństwa i studiowania”³⁸. Z kolei podczas II Walnego Zebrania Delegatów Regionu Mazowsze 5–6 grudnia 1981 r. podjęto dwie uchwały w sprawie WOSP. W pierwszej potępiono decyzję o likwidacji szkoły oraz jej pacyfikację, zwrócono się do rektorów wyższych uczelni technicznych o umożliwienie studentom pożarnictwa nauki „na kierunkach zbliżonych do ich dot[ychczasowej] specjalizacji”, zobowiązano Prezydium Zarządu Regionu Mazowsze do natychmiastowego zwrócenia się do sejmiku o podjęcie działań na rzecz „podporządkowania WOSP znowelizowanej ustawie o szkolnictwie wyższym”, a także do podjęcia akcji protestacyjnych (ze strajkiem generalnym włącznie) w przypadku jakichkolwiek represji zastosowanych wobec studentów i pracowników szkoły³⁹. W drugiej uchwale zalecano Zarządowi Regionu Mazowsze powołanie stowarzyszenia przyjaciół pożarnictwa i społecznej komisji do spraw WOSP, stworzenie społecznego funduszu na szkolenia i stypendia dla studentów tej szkoły oraz dążenie do tego, by sejmik odwołał członków Rady Ministrów odpowiedzialnych za jej rozwiązanie i pacyfikację⁴⁰.

12 grudnia uchwałą w sprawie WOSP podjęła Komisja Krajowa NSZZ Solidarność. Zobowiązała się „do udzielenia studentom WOSP wszelkiej możliwej materialnej i organizacyjnej pomocy w celu umożliwienia im kontynuowania studiów”, ponadto zapowiadała zwrócenie się do sejmiku „o objęcie ustawą o szkolnictwie wyższym WOSP poprzez odpowiednią regulację prawno-organizacyjną”⁴¹. Była to jedna z ostatnich uchwał Komisji Krajowej przed stanem wojennym.

Próba przedłużenia strajku

Pacyfikacja WOSP nie zakończyła bynajmniej protestu podchorążych. 2 grudnia, podczas zebrania w gmachu głównym Politechniki Warszawskiej, ogłosili oni: „W związku z atakiem połączonych grup szturmowych ZOMO, SB i wojska na budynek WOSP protestujemy przeciwko stosowaniu takich metod wobec Narodu Polskiego. Eksmitowani siłą z naszej uczelni kontynuować będziemy strajk, zmieniając jego formę na okupacyjny strajk wędrujący”⁴². Po uzgodnieniu z kierownictwem Zarządu Regionu Mazowsze podchorążowie postanowili kontynuować strajk wspólnie ze studentami politechniki. Według danych MSW w proteście na tej uczelni udział wzięło 267 studentów WOSP; 70 z nich zdecydowało się go kontynuować nawet po podjęciu 8 grudnia przez studentów politechniki decyzji o częściowym zakończeniu strajku okupacyjnego⁴³. Strajk młodych strażaków trwał aż do wprowadzenia stanu wojennego.

Tymczasem zapadła decyzja o wydaniu im legitymacji studenckich Politechniki Warszawskiej. Gotowość przyjęcia podchorążych WOSP zgłosił też rektor Uniwersytetu Warszawskiego prof. Henryk Samsonowicz. 6 grudnia Ogólnopolska Konferencja Rektorów Szkół Wyższych nie tylko wyraziła dezaprobatę dla sposobu zakończenia protestu WOSP, ale nawet zapowiedziała utworzenie przez uczelnie techniczne studiów specjalistycznych z zakresu ochrony przeciwpożarowej.

Jednak po wprowadzeniu stanu wojennego ani podchorążych nie przyjęto na uczelnie cywilne, ani też tym bardziej nie utworzono dla nich nowych studiów cywilnych o profilu pożarniczym.

³⁸ Oświadczenie ws. WOSP, *ibidem*.

³⁹ AIPN, 1585/15919, Uchwały zjazdu Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze, Uchwała w sprawie WOSP, załącznik do „Informacji Dziennej” MSW nr 78 z 7 XII 1981, k. 169.

⁴⁰ XXV rocznica strajku..., s. 224.

⁴¹ Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 11–12 grudnia 1981 r., oprac. T. Tabako, Warszawa 1986, s. 279.

⁴² AIPN, 1585/15919, „Informacja Dzienna” MSW nr 75, 4 XII 1981, k. 23.

⁴³ AIPN, 0397/804, Powstanie i działalność..., s. 436.

Część z nich (członkowie Komitetu Strajkowego) miała „wilczy bilet” uniemożliwiający podjęcie jakiegokolwiek nauki. Kilku otrzymało indeksy Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Wielu po studiach wyrównawczych organizowanych w salkach kościoła św. Anny w Warszawie przez ks. Jerzego Popiełuszkę (czynnie wspierał strażacki protest, m.in. odprawiał msze święte dla strajkujących) podjęło studia inżynierskie na uczel-

niach w całym kraju. Część trafiła do wojska. Kilku wyemigrowało⁴⁴.

Prokuratura Rejonowa Warszawa-Żoliborz prowadziła śledztwo w „sprawie nielegalnego strajku w WOSP i uniemożliwienia wykonywania obowiązków przez komendanta WOSP i jego zastępców oraz spowodowania blokady sił i środków tej szkoły jako odvodu KG SP”. Zostało ono umorzone 25 marca 1982 r.⁴⁵

⁴⁴ M. Henzler, *Gaszenie strażaków...*

⁴⁵ AIPN, 0397/804, *Powstanie i działalność...*, s. 436.

INTERPRETACJE

SCENARIUSZ BEZ ALTERNATYWY? ZAPOMNIANA LEKCJA PIERWSZEJ SOLIDARNOŚCI

Mniejsze złoto

W sondażach dotyczących wprowadzenia stanu wojennego w Polsce w zasadzie od czasu, gdy socjologowie zaczęli zadawać takie pytanie, powtarza się ten sam wynik. Retrospektywnie nieco więcej niż połowa tych, którzy w tamtych czasach byli ludźmi dorosłymi, pamięta, że była mu przeciwna, około 20 proc. go popierało, reszta zaś ma kłopot z określeniem swego stosunku bądź deklaruje obojętność. Odpowiedzi na pytanie o obecną ocenę tego wydarzenia pokazują natomiast – i to od wielu lat – że proporcje te się z czasem odwróciły. Polacy ze starszych generacji w znacznej części przyznają dziś rację gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu i uważają, że użycie wówczas siły wobec NSZZ Solidarność było decyzją słuszną. Podobne wyniki uzyskano w sondażach z okazji trzydziestej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego¹, przynosząc tym, dla których solidarnościowa tradycja pozostaje nadal ważna, kolejną dawkę upokorzenia i poczucia klęski.

Poparcie dla stanu wojennego wyrażają ci, którzy przeżyli go jako ludzie dorośli, a nie wychowani po 1989 r. dwudziestolatkowie. Jak to się dzieje, że ludzie, którzy byli w Solidarności, pamiętają komunizm i stan wojenny, dziś w wolnym kraju są skłonni popierać generała? Czy tęsknią za PRL? Tak bardzo zawiedli się na przemianie ustrojowej? Co takiego stało się z naszą pamięcią historyczną, że zniszczenie polskiej legendy i narodowej dumy – Solidarności, spotyka się z akceptacją i zrozumieniem? W ostatnich miesiącach miałem możliwość szukania odpowiedzi na te pytania w sposób bardziej systematyczny – prowadząc projekt badawczy dotyczący społecznego postrzegania przemian lat osiemdziesiątych w Polsce. Uzyskane dotychczas cząstkowe wyniki pozwalają w jakimś stopniu zrozumieć przyczyny wymienionych postaw².

¹ Por. np. *Trzydziesta rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Komunikat z badań Centrum Badania Opinii Społecznej*, oprac. K. Kowalczyk, Warszawa, grudzień 2011.

² Autor kieruje projektem „Świadomość wielkiej zmiany – społeczna percepcja roli Solidarności w upadku komunizmu w Polsce”, realizowanego w ramach CBOS ze środków Narodowego Centrum Nauki. Artykuł został napisany na podstawie wstępnych wyników tych badań.

ADAM MIELCZAREK

socjolog, zajmuje się tradycją Solidarności, solidarnościowym podziemiem, zagadnieniami samorządu terytorialnego. Ostatnio opublikował artykuły: *Ruch „Solidarności” w świetle teorii ruchów społecznych* (w: *Kultura „Solidarności”*, Socjologiczno-antropologiczne analizy kulturowego dziedzictwa „Solidarności”, red. K. Ciechorska-Kulesza, R. Kossakowski, P. Łuczczyk, 2011), *Przemiany roku 1989 w oczach szeregowych działaczy podziemia* (w: *Interpretacje upadku komunizmu w Polsce i w Europie Środkowo-Wschodniej*, red. K. Brzechczyn, 2011). Autor książki *Śpiący rycerze. Szeregowi działacze warszawskiego podziemia wydawniczych lat osiemdziesiątych* (2006).

Jak nietrudno się domyślić, istnieją dwa przeciwstawne nurty opinii na ten temat, odpowiadające politycznym podziałom. Po jednej stronie jest więc narracja, którą nazwać można postkomunistyczną, afirmująca postawy ówczesnej władzy, po drugiej zaś opinie wyrażane przez działaczy solidarnościowych, ludzi do dziś emocjonalnie zaangażowanych po stronie opozycji demokratycznej. Po środku znajduje się niezaangażowana emocjonalnie większość, której wahania przesądzą o zmienności nastrojów opinii publicznej. Ta większość przychyliła się do tych tez i argumentacji, które okazują się bardziej przekonujące, dobrze przekazane i dostosowane do jej psychologicznego nastawienia.

Od wielu już lat owi niezaangażowani znacznie częściej dają się przekonać PZPR-owskiej, a nie solidarnościowej wizji historii. Nie powtarzają może wprost tez propagandy stanu wojennego, mają inną hierarchię argumentów, a dawną antysolidarnościową retorykę stonowali, ale samo „przywrócenie porządku” przez wojsko i milicję jawi się im jako akt może nie tyle słuszny, ile po prostu konieczny w ówczesnej sytuacji.

Na pierwsze miejsce w jego uzasadnieniu wysuwa się dziś argument podsuwany niegdyś przez reżim półgębkiem, raczej w formie aluzji niż *expressis verbis*, o zagrożeniu interwencją sowiecką. Niezależnie od powtarzanych dziś szeroko argumentów o tym, że kierownictwo na Kremlu w grudniu 1981 r. zbrojnego wkroczenia do Polski nie planowało, jest to argument trafny. Odpowiada dość oczywistej potocznej wiedzy o tym, że istnienie niezależnego związku zawodowego nadzwyczajnie zagrażało sowieckiej kontroli nad PRL i – jeśli nawet nie w tym konkretnie momencie – niebezpieczeństwo obcej interwencji wisiało nad Polską Solidarności. Tak jak zawisłoby nad każdym krajem bloku sowieckiego, w którym władza zaczęłaby wymykać się z rąk ekipy politycznej mającej błogosławieństwo Moskwy.

Na drugim miejscu znajduje się wizerunek stanu wojennego jako preludium do jakiejś zmiany

w państwie. Generał Jaruzelski jawi się wielu Polakom nie tyle jako pacyfikator solidarnościowego buntu, ile jako polityk zmierzający do ustrojowej reformy, niemożliwej we wcześniejszych warunkach. Co szczególnie godne podkreślenia, również osoby dalekie od sympatii do PZPR są dziś skłonne powtarzać tezy niegdyś w sposób oczywisty antysolidarnościowe. Mimo iż przyznają, że popierali Solidarność w latach 1980–1981, dziś widzą w niej właśnie przeszkodę w reformowaniu państwa – partnera, który nie nadawał się do porozumienia się z władzą. Choć nie oznacza to koniecznie negatywnego wyobrażenia o Solidarności, to jednak wiąże się z jej wizerunkiem jako koniecznej ofiary czasów, w których przyszło jej zaistnieć. Aczkolwiek wiele osób powtarza również tezy propagandy o dominacji radykałów w związku, którzy, wysuwając coraz dalej idące żądania, postavili władzę pod ścianą.

W tej opowieści o stanie wojennym jako wstępie do reform aprobatą dla likwidacji Solidarności nie klóci się z afirmacją jej samej i własnego w niej udziału. Wszelako Sierpień i szesnaście miesięcy legalnego działania związku nie są w tym ujęciu szansą, otwarciem nowych możliwości, lecz dramatycznym aktem desperacji, manifestacją wolnościowych dążeń od pierwszej chwili skazaną na klęskę. Wojskowo-milicyjny komitet wprowadzający stan wojenny zaś nie jest postrzegany jako przeciwnik, który z Solidarnością walczy, lecz raczej jako w znacznie mierze bezwolny egzekutor wyroków wydanych przez historię.

Nieprzekonująca wiedza

Wobec takiego sposobu rozumowania, jaki zdaje się przyjmować dziś większość, warto przyjrzeć się argumentacji stosowanej przez przeciwników stanu wojennego. Dziś w przeważającej mierze są to ludzie o ugruntowanych przekonaniach, świadomie sięgający po „prawicową” prasę i wydawnictwa i czerpiący z nich wiedzę, na której opierają swoje argumenty. Mimo to jednak po

bliższym przyjrzeniu się ich argumentacja okazuje się czysto reaktywna. Próbuja oni zbijać argumenty przeciwnika, nie przeciwstawiają im jednak żadnej interpretacji alternatywnej. Zwolennicy Solidarności diametralnie inaczej rozkładają emocje. W istocie jednak opowiadają tę samą historię.

Przed wszystkim wiele energii wkładają w próby podważenia tezy o zagrożeniu inwazją. Z wyłożonych już przyczyn jest to argument chybiący: z wiedzy o tym, że sowieckie kierownictwo w grudniu 1981 r. nie planowało wkroczenia do Polski, nie wynika, że takie niebezpieczeństwo nie istniało. Drugi zarzut, najczęściej stawiany generałom nocy grudniowej i nieodłącznie obecny podczas uroczystości upamiętniających wprowadzenie stanu wojennego, jest podobnie nietrafny. To ofiary stanu wojennego. Zabici i ranni są zawsze silnym oskarżeniem, zwłaszcza gdy przyszło im leć w słusznej sprawie. Nie zmienia to jednak faktu, że czynnikiem charakteryzującym wojskową operację 13 grudnia było właśnie to, że udało się ją przeprowadzić niemal bezkrwawo. Niezależnie od oceny intencji twórców stanu wojennego trudno zaprzeczyć, że był on doskonale przygotowany i nadzwyczaj sprawnie przeprowadzony, co wiązało się również z bardzo słabym oporem ze strony społeczeństwa. Był operacją mającą na celu zastraszenie i posługiwał się narzędziami terroru. Ich użycie jednak obliczono tak, by ograniczyć ofiary śmiertelne do pełnego minimum i zamysł ten – biorąc pod uwagę charakter operacji – w zasadzie się powiódł. I choć dziś głównym motywem wspomnień stanu wojennego jest wielki lęk, to jednak jego codziennym obrazem pozostają groteskowe posterunki przy koksownikach, a nie ranni i zabici. Odpowiedzialność za ofiary grudniowego zamachu spada oczywiście na dowodzących nim generałów, nie zmienia to jednak faktu, że pozostają one pobocznym i niechcianym skutkiem ich działań. Autorzy stanu wojennego mieli na celu zastraszenie członków Solidarności, a nie ich mordowanie.

W oskarżeniach formułowanych przeciw generałom natomiast ciągle brak jest argumentu głównego, sięgającego ich rzeczywistych intencji i realistycznie rozważonych uwarunkowań tamtej sytuacji. Brakuje odpowiedzi na zasadnicze pytanie o to, co stan wojenny uniemożliwił, jakie szanse przekreślił; co mogłoby się stać, gdyby do niego nie doszło. Również dzisiejsza publicystyka skupiona na pielęgnowaniu solidarnościowej tradycji rzadko dostarcza takiej argumentacji.

Wobec wizji stanu wojennego jako nieuchronności osoby poczuwające się do wierności solidarnościowym ideałom pozostają bezbronne. W istocie bowiem same nie wierzą, że w 1981 r. istniało jakieś rozwiązanie alternatywne. Dlatego deklarowane przywiązanie do solidarnościowej tradycji wiąże się dziś najczęściej z formułowaniem emocjonalnych oskarżeń w stosunku do PZPR i twórców stanu wojennego, nie towarzyszy im jednak żaden „pozytywny scenariusz”, mówiący o tym, co wówczas zostało zaprzepaszczone bądź uniemożliwione. Chcąc nie chcąc, dzisiejsi ludzie Solidarności, zaprzeczając tezom o słuszności stanu wojennego, nie potrafią oderwać się od interpretacji zdarzeń sformułowanej niegdyś przez komunistyczną propagandę.

Z ich perspektywy bowiem stan wojenny wygląda na zdarzenie tak samo nieuniknione, jak w narracji, którą nazywam postkomunistyczną. Choć stoją po stronie Solidarności, nie zadają sobie pytania o wartości, jakie niosła i jakie można było dzięki niej realizować. Żyją raczej ciągle jeszcze traumą 13 grudnia, przekonaniem, że z tamtą władzą nie można się było porozumieć, że nigdy nie miała ona intencji, by wolnościowy ruch w jakikolwiek sposób tolerować, gdyż zagrażał on jej przywilejom i osłabiał wpływy Moskwy. Pod wpływem tej traumy zapominają, że Solidarność mimo wszystko te uwarunkowania na okres owych szesnastu miesięcy przekroczyła, tym samym przezwyciężając demoniczną konieczność, jaka zdawała się wynikać z natury systemu.

Celem 13 grudnia było właśnie przywrócenie totalitarnego przeświadczenia o nieuchronności, niezmienności natury władzy i systemu realnego socjalizmu, wypalenie myśli o oporze wobec niej, w szczególności wymazanie z pamięci momentu, w którym została ona realnie zakwestionowana i zaczęła chwiać się w posadach. Zniweczenie intelektualnego i duchowego potencjału, jaki niosła Solidarność. Powtarzane od lat badania opinii o stanie wojennym pokazują, że zamiar ten w znacznej mierze się powiódł.

Myśmy wszystko zapomnieli

Fakt, że dzisiejsza opinia publiczna usprawiedliwia wprowadzenie stanu wojennego, oznacza, że zapomnieliśmy doświadczenie Solidarności, nie rozumiemy go i słabo potrafimy z niego korzystać. Owo niezrozumienie Solidarności polega przede wszystkim na utracie języka do mówienia o jej autotelicznej wartości, na traktowaniu związku jako jeszcze jednego szczebla w drodze do niepodległości, jakiegoś przypadkowego w gruncie rzeczy narzędzia, jakim Polacy posługiwali się w toku zmagania z komunizmem.

Tymczasem Solidarność nie była narzędziem do jakiejś zmiany, lecz zmianą samą. Choć wyznaczała drogę do wolności, to jednak była instytucją, w której odrodzenie się wolnej wspólnoty narodowej stawało się faktem dokonany – dodajmy, że pod pewnymi względami w formie znacznie doskonalszej niż w momencie formalnego odzyskiwania państwowej niepodległości po 1989 r. Była to wolność tłumiona, ograniczana i stale zagrożona z zewnątrz, jednak to tylko jeszcze jedno potwierdzenie stereotypu o polskiej kulturze, że skłania ona Polaków do największych osiągnięć właśnie w sytuacjach trudnych i niebezpiecznych.

Porównywana przez niektórych autorów do wielkich rewolucji republikańskich – amerykańskiej i francuskiej – była Solidarność aktem społecznej samoorganizacji, opartej na zasadach demokratycznych i wyrosłej z woli zaangażowania

się w dobro wspólne rozumiane przez szeregowych obywateli. Związek, który startując od zera, w ciągu kilku miesięcy istnienia stał się organizacją zdecydowanej większości pracujących w kraju, sprawnie wyłaniał przywódców, w sensowny sposób koordynował swoją działalność.

Pozytywne emocje, poczucie niekwestionowanej wspólnoty celów czyniły z Solidarności zarazem silną i otwartą wspólnotę etyczną. Z jednej strony ważna była bowiem otwarta przez nią możliwość eksponowania tradycyjnych wartości i symboli w formie niezniekształconej przez „socjalistyczną” propagandę, powrót symboli religijnych do sfery publicznej, odkłamywanie historii najnowszej. Z drugiej – Solidarność świadomie tworzyła i artykułowała nowe wzory wartości, które wyłaniały się z ówczesnych trudnych doświadczeń. W znacznej mierze opierały się one na nauczaniu Kościoła katolickiego i silnie odbieranym wówczas przez Polaków przekazie Jana Pawła II. Były jednak zarazem opisem realnych emocji przeżywanych przez ludzi: odzyskiwanej godności pracownika i obywatela, wzajemnego zaufania i solidarności. Jednocześnie, mimo że wspólnota ta budowana była w opozycji do odrzucanej władzy politycznej, pozostawała otwarta dla wszystkich, raczej ciesząc się z nawróceń niż wypatrując zdrajców i agentów.

Solidarność przy tym nie była związana żadną ideologią – nie była partią, organizacją klasową, „lewicą” ani tym bardziej „prawicą”. Wyrosła z ruchu sprzeciwu i próbowała artykułować sensowny i wspólny dla wszystkich Polaków program działania. Owa sensowność oznaczała konieczność respektowania realiów ustrojowych komunistycznej Polski i poszukiwania *modus vivendi* z instytucjami realnego socjalizmu, a przede wszystkim PZPR, traktowaną jako jedyny gwarant sowieckich interesów w Polsce. Wiązało się to również z akceptacją kolektywnych form własności środków produkcji, co było nie tylko ustępstwem wobec zasad realnego socjalizmu, ale ekspresją rzeczywistych oczekiwań pracowników postrzegających swoje

przedsiębiorstwa jako „własne”, jako ich miejsce zakorzenienia i pracy na rzecz dobra wspólnego. Solidarność była przede wszystkim związkiem zawodowym dążącym do znalezienia jakichś form współistnienia z państwem – takim, jakie było ono wówczas, a zarazem do wypełniania przypisanej mu funkcji obrony interesów pracowniczych.

Wiązało się to wszystko z gwałtownymi konfliktami i wewnętrznymi rozgrywkami. Wewnątrz ruchu istniały zwalczające się ugrupowania, dawały o sobie znać wybujałe ambicje i słabości charakterów. Dziś wiemy, że Solidarność w wielu miejscach była skutecznie rozpracowywana przez agenturę Służby Bezpieczeństwa. Popępiała błędy i nie była wolna od rozmaitych zagrożeń.

Nie zmienia to jednak faktu, iż z racji powszechności była Solidarność demokratyczną reprezentacją narodu, który takiej reprezentacji nie odnajdował w komunistycznym państwie. W ten sposób patrzeć należy na jej instytucje – zarządy regionalne, Krajową Komisję Porozumiewawczą czy I Krajowy Zjazd Delegatów z września i października 1981 r., który był wówczas faktycznym parlamentem na krótko odrodzonej wolnej Polski. W ich ramach po raz pierwszy od lat w formie względnie otwartej stawiano pytania dla organizacji życia społecznego najważniejsze. I wypracowywano rozwiązania, które przynajmniej w jakimś stopniu powinny stanowić dla nas dziś punkt odniesienia.

Jako reprezentacja ogólnonarodowa, Solidarność samym swoim istnieniem delegitymizowała władzę partii i cały system realnego socjalizmu. W konsekwencji była ona na swój sposób przedsięwzięciem niemożliwym, nie do pogodzenia z ówczesnymi realiami politycznymi. Rzecz w tym jednak, że niemożliwe stało się możliwe. Przez szesnaście miesięcy w środku zsowietyzowanej części Europy Polacy mogli funkcjonować jako naród w dużej mierze wolny – by jednak w końcu

ulec zamachowi przeprowadzonemu przez izolowaną od społecznych przemian armię. Niemożliwe okazało się niemożliwe nie w wyniku działania okoliczności zewnętrznych, lecz zostało zniszczone przez polskich funkcjonariuszy systemu, gdyż to przede wszystkim oni nie byli gotowi dopuścić do istotnej zmiany systemowej.

Zauważyć warto, że na zmianę taką jeszcze w jakiś sposób był otwarty tracący władzę w nieszawie Edward Gierek, który wojska w Sierpniu nie użył, ale dopuścił do podpisania porozumień ze strajkującymi i powołania do życia Solidarności. W praktyce godził się z nią również jego następca Stanisław Kania; jego polityka nie zamykała jeszcze nadziei na funkcjonowanie nowej umowy społecznej, na podstawie której wolny związek zawodowy pilnować miał przestrzegania pracowniczych praw i zawieranych porozumień. Konsekwentnym realizatorem rozwiązania siłowego stał się dopiero gen. Jaruzelski.

Przyznać jednak należy zarazem, że żaden z PZPR-owskich przywódców nie podjął wysiłku, by znaleźć jakąś formę współżycia z demokratyczną reprezentacją narodu, poszukiwania rozwiązań, które pozwoliłyby wpisać ją w funkcjonowanie systemu w sposób niezaprzecający jej tożsamości. Coraz dalej idące i delegitymizujące władzę PZPR postulaty Solidarności z 1981 r. nie były niczym innym jak wnioskami wyciąganymi z niemożności załatwienia postulatów bardziej ograniczonych i częściowych³.

Trudno jest rozpatrywać jakiś scenariusz historii alternatywnej. Trudno też wątpić, że gdyby ówczesne partyjne przywództwo chciało spróbować rozwiązań kompromisowych, to szukałoby w pierwszym rzędzie jakichś form kooptacji elit i agenturalnych machinacji – a nie poddałoby się demokratycznej kontroli. Nie można jednak mówić, że Solidarność nie otwierała możliwości politycznych. Nie spotykały się one jednak

³ Por. D. Ost, *Solidarity and the Politics of Anti-Politics*, Philadelphia 1990.

z odzewem, a ostateczny kres położył im 13 grudnia. Z tej przyczyny w polskiej historii nie powinno być dlań usprawiedliwienia.

13 grudnia

Wprowadzenie stanu wojennego było zwieńczeniem przyjętej w pewnym momencie przez władze partyjno-państwowe polityki mającej na celu likwidację polskich dążeń demokratycznych i wolnościowych. I nie sam akt bezpośredniego zamachu na Solidarność, lecz zapisana w tej polityce odmowa uznania prawa do istnienia demokratycznej reprezentacji narodu powinna być tytułem do oskarżeń formułowanych wobec przywódców PZPR tego okresu. Zarazem nie trafna jest stosowana niekiedy w odniesieniu do tamtego okresu retoryka niepodległościowa. Nie można powiedzieć o ówczesnych partyjnych generałach: „oni nie chcieli wolnej Polski” – bo taką możliwość trudno było wówczas brać pod uwagę. Szansą była Polska trochę bardziej demokratyczna i trochę mniej skorumpowana – i tego przede wszystkim nie chcieli ówcześni przywódcy partii i państwa.

Celem 13 grudnia było przywrócenie strachu jako głównego regulatora systemu. Pozbawienie zbuntowanych Polaków odwagi mówienia, co myśla i domagania się swoich obywatelskich praw. Wybicie im z głowy myśli o obywatelskiej podmiotowości i uprawnieniach do kontrolowania władzy. Był on wymierzony w odbudowaną po latach solidarność i wzajemne zaufanie.

Potęga przebudzenia związanego z powstaniem Solidarności była wszelako na tyle duża, że stan wojenny nie był w stanie cofnąć Polski w czasie. Nie zdołał już przywrócić totalitarnego porządku, w którym ludzie posłusznie dawaliby się zapędzać na wiece poparcia dla przodującego ustroju i bali przyznać sąsiadom, że słuchają Radia Wolna Europa – jak długo funkcjonował komunizm w Polsce i miał dalej funkcjonować w innych krajach. Dzięki Solidarności nastąpiła nieodwracalna delegitymizacja systemu, który tym

samym stracił cechy totalitaryzmu, a stał się zwykłą, pozbawioną innych podstaw niż siłowe dyktaturą.

Ale stan wojenny odniósł również sukces. Zatrzymał proces organizowania się Polaków w nowy byt polityczny, jakim była Solidarność, zniszczył poczucie narodowej wspólnoty, na której związek był ufundowany. Uderzył w zbudowany wewnątrz tej wspólnoty kapitał wzajemnego zaufania. Pogłębił i uformował nowe, trudne do przekroczenia podziały. Spowodował wreszcie, że nawet w chwili upadku reżimu nie udało się już wrócić do entuzjazmu, jedności i demokratycznych wartości pierwszej Solidarności.

Po 1989 r. nie potrafiliśmy nawiązać ani do idei, ani do praktycznego dorobku związku z lat 1980–1981. Do tego stopnia, że dziś w świadomości potocznej doświadczenie Solidarności jako trwającej przez półtora roku demokratycznej reprezentacji narodu niemal nie istnieje. Dzięki nagłaśnianym obchodom w pamięci potocznej zapisał się Sierpień, natomiast trwanie i instytucjonalizacja ruchu – już nie bardzo. Również gdy zapytać o dokument programowy związku, ludzie przywołują 21 gdańskich postulatów, ale nie mają świadomości znacznie poważniejszych dyskusji późniejszych, zapomnieli też o najważniejszym owocu krajowego zjazdu: programie „Samorządnej Rzeczypospolitej”.

Dlaczego tak się stało? Głównej przyczyny szukałbym w fakcie, że od idei tych odwróciły się tworzące w 1989 r. nową elitę władzy środowiska korowskiej lewicy. To przecież spośród nich rekrutowali się wcześniej główni promotorzy naczelnych dla pierwszej Solidarności idei: demokracji oddolnej i samorządu. Teraz stanęli oni po stronie centralizacji i stabilizacji władzy, diametralnie zmieniając – nie pod tym jedynym względem zresztą – swoje dotychczasowe poglądy.

Do politycznych koncepcji pierwszej Solidarności trudno jest wrócić również kręgom dzisiejszej prawicy, mimo że pod wieloma względami w większym stopniu przywiązane są one do solidarności-

wej tradycji. Z jednej strony dlatego, że nie chcą promować pomysłów, w których wypracowaniu tak znaczący udział miały środowiska uznawane dziś przez nie za przeciwników. Z drugiej dlatego, że krytykując Okrągły Stół za ugodowość, niełatwo jest wracać do politycznych debat z lat 1980–1981, które przecież z góry zakładały o wiele dalej idące samoograniczenia w stosunkach z PZPR. Trudno jest wreszcie, tworząc dziś (historycznie mało adekwatny, ale o to mniejsza) wizerunek prawicowej Solidarności, inwestować w zakorzenione w lewicowej tradycji idee demokracji partycypacyjnej.

Wszystko to jednak składa się na dzisiejszą nieobecność dorobku pierwszej Solidarności w społecznej świadomości, a w konsekwencji także bezbronność tej ostatniej wobec deprecjonujących ją interpretacji historii. Stan wojenny wprowadzono przede wszystkim po to, by Polacy raz na zawsze nauczyli się, że żadna Solidarność z komunizmem wygrać nie może, a każdy podobny bunt musi zostać z całą surowością ukarany i zniweczony. Dzisiejsze wyniki sondaży pokazują, że lekcja ta okazała się skuteczna. W istocie Polacy nie wierzą bowiem, że tamta historia mogła skończyć się inaczej. A jeśli tak, to o co czepiać się generała?

DYSYDENCI

CZEKAJĄC NA ŚMIERĆ DYKTATORA. OPOZYCJA DEMOKRATYCZNA NA KUBIE

MACIEJ STASIŃSKI

dziennikarz, iberysta,
od 1997 r. w „Gazecie Wyborczej”,
korespondent hiszpańskiego
dziennika „La Vanguardia”.

Wszechwładza, wszechobecność i wszechwiedza dyktatora i jego policji określa bez reszty warunki działania wszelkich form niezgody czy sprzeciwu wobec władzy, począwszy od tych intelektualnych, prywatnych i indywidualnych, po publicznie okazywane, społecznie zorganizowane i jawne. Świadomość tej sytuacji musi poprzedzać wszelki namysł nad opozycją demokratyczną na Kubie.

Kuba jest totalitarną wyspą nie sensie przenośnym, lecz dosłownym. Panuje na niej system, jakiego Polska nie znała nawet w najgorszych czasach stalinizmu 1948–1955, zbliżony do sowieckiego komunizmu lat trzydziestych i czterdziestych, NRD czy Korei Północnej – ze wszystkimi cechami partyjnej, państwowej i policyjnej wszechwładzy nad społeczeństwem. Jest też geograficznie wyspą, co dodatkowo pogłębia jej izolację na kontynencie, gdzie jest jedyną dyktaturą pośród mniej lub bardziej udanych demokracji.

Ta podwójna odrębność – totalitaryzm i wyspiarska natura – decyduje o tym, dlaczego komunistyczna Kuba jest tak długowieczna i odporna na wszelkie, wewnętrzne i zewnętrzne, naciski czy wpływy, które dążą do rozkruszenia reżimu i zaprowadzenia wolności. Kuba jest w istocie, podobnie jak Korea Północna, dyktaturą doskonałą – doskonale zorganizowaną w głąb społeczeństwa, które totalnie paraliżuje, i doskonale odporną na otoczenie zewnętrzne, rynkowe i demokratyczne.

To jest początek odpowiedzi na często wyrażaną wątpliwość: dyktatura Fidela Castro opiera się tylko na tyranii wodza, jego wszechwładnym aparacie przemocy i kontroli oraz powszechnym strachu czy także na miłości i poparciu ludu lub choćby społecznym przyzwoleniu. Doświadczenie końca XX wieku podpowiada, że dyktatury, nawet komunistyczne, w końcu upadają, gdy im się sprzeciwią ludzie. Koronnym przykładem jest PRL – podminowana i w końcu rozpruta przez Solidarność. Coś musi być w tym, że sprzeciw wciąż nie rodzi się na Kubie, nie zagraża podstawom doktrynalnym i administracyjnym dyktatury – brzmi głośno lub z cicha wyrażana myśl. Kubańczycy w jakimś stopniu jednak popierają lub godzą się na panujący na wyspie ustrój.

To jest myśl opaczna. Dopóki żyli Józef Stalin i przewodniczący Mao, mowy nie było o sprzeciwie wobec dyktatury w Związku Radzieckim czy w Chinach. Reżim

w NRD, mimo sąsiedztwa demokratycznych Niemiec Zachodnich, przetrwał bez szwanku aż do rozluźnienia sowieckiego komunizmu za Michała Gorbaczowa oraz początku polskiej transformacji demokratycznej. Każdy odruch niezgody lub próba społecznego protestu były dławione bezwzględnie i w zarodku, nie tylko dzięki wydajnemu i niewzruszonemu aparatowi represji, ale i olbrzymiej sieci donosicieli, wyrastającej jak pleśń na powszechnym strachu. Represje stalinizmu wyprzedzały sprzeciw, likwidując potencjalne ogniska buntu. Karane były nie tylko czyny przestępcze przeciw ustrojowi, ale nawet słowa, wątpliwości, niepoprawne myśli.

Rozpoznanie stanu umysłów ludzi żyjących w takich warunkach jest niemożliwe, a zatem i spekulowanie o ich opiniach politycznych – zupełnie dowolne. Dwójmyślenie i dwumowa, czyli powszechna – społeczna i indywidualna – schizofrenia ludzi, którzy myślą co innego, a mówią i robią co innego, to filary dyktatury totalitarnej, a także miara jej sukcesu w zniewoleniu społeczeństwa. Dzieje się tak zarówno w warunkach mroźnej Rosji, jak i tropikalnej Kuby. Kiedy naczelną zasadą staje się przetrwanie, żadna mimikra nie jest nadmierna. Dla przeżycia i świętego spokoju pozoruje się wszystko: rewolucyjny fanatyzm, wierność partii, poparcie dla wodza i posłuszeństwo, bo za ich niedostatek można wszystko utracić – zarówno wolność, jak i materialne podstawy bytu. Masowe wiece Kubańczyków pod przewodnictwem Fidela Castro to pokaz siły zniewolenia przez dyktaturę, a nie świadectwo ludowego dla niej entuzjazmu.

Dyktator Augusto Pinochet chętnie się, że bez jego wiedzy nie drgnął żaden liść w Chile. Generał się mylił. Mimo drakońskich represji przez wszystkie siedemnaście lat jego rządów istniała opozycja, a w 1985 r. dyktator cudem ocalał życie z zamachu bombowego zorganizowanego przez komunistyczne podziemie. Fidel Castro ma większe od Pinocheta prawo do wygłoszenia takiej apologii swoich rządów. Przez 53 lata żaden wewnętrzny ruch oporu ani razu na zagroził jego władzy.

Jak złudne jest mniemanie, że jeśli obywatele milczą albo głośno popierają reżim na wiecach, to naprawdę go kochają, pokazało Pinochetowi referendum w 1988 r. Generał, namówiony przez współpracowników do urządzenia plebiscytu, żeby odeprzeć zarzuty demokratycznego Zachodu, że jego rządy trzymają się na czołgach i tajnej policji, niespodziewanie przegrał i rok później oddał władzę. Do dziś w Chile opowiadają o tym wydarzeniu dowcip: Pinochet wystartował w wyścigu sam, ale przybiegł drugi.

Na Kuby podobna sytuacja jest niemożliwa. Fidel Castro żadnego referendum nie zorganizuje, bo gardzi takimi burżuazyjnymi dowodami prawomocności swoich rządów. Ale gdyby zechciał mieć kaprys i plebiscyt zorganizować, mógłby go wygrać nawet dziś, kiedy ma 85 lat i od dłuższego czasu niemal nie pokazuje się publicznie. Nie świadczyłoby to jednak o popularności jego władzy, lecz tylko o tym, jak dalece Kubańczycy pogodzili się z myślą, że nic się nie da zrobić – przynajmniej tak długo, jak żyje Fidel.

Dziesięć lat temu usłyszałem na kubańskiej plaży jeden z dowcipów politycznych, które oddają istotę związku obywatela z dyktaturą. Kubańczyk maluje na murze sprayem napis: „Precz z F...”, ale nie kończy, bo za rękę łapie go agent policji. – Co tu, obywatelu, smarujecie?

– No jak to? – odpowiada Kubańczyk. – Tylko chciałem zapytać: pisze się Flinton czy Clinton?

Próby zbrojnego oporu

Natura kubańskiej dyktatury, jej wyspiarskość i totalizm, decydują o tym, że opozycja demokratyczna wprawdzie istniała i istnieje, ale nie ma ciągłości, jest wątła, zmienna, rozproszona i łatwa do rozbicia. Nie umniejsza to dzielności, odwagi i poświęcenia Kubańczyków, którzy opowiadają się po stronie wolności, chociaż ich szeregi wciąż się wykruszają wskutek bezlitosnych represji, wypędzeń czy dobrowolnych, choć wymuszonych wyjazdów. Co wytrwali opozycjoniści ryzykują

drakońskie wyroki więzienia, prawdziwe kaza-maty, jakich Polacy nie zaznali w PRL po 1956 r. Mniej wytrwali mogą z wyspy uciekać lub zostać z niej wyrzuceni. Przeciwnicy Castro tylko w niewielkim stopniu mogą liczyć na solidarność zastras-zonych współobywateli. Albo dlatego, że rodacy o nich nie wiedzą, albo dlatego, że za bardzo boją się o siebie.

Opozycja na Kubie była, jest i będzie, jej oblicze w ostatnich kilkunastu latach zmieniło się jednak diametralnie. Dzisiejsza opozycja demokratyczna nie ma nic wspólnego z dawnymi dygnitarzami, urzędnikami czy biznesmenami przedrewolucyjnej Kuby ani z rozczarowanymi tyranią Fidela Castro rewolucjonistami pierwszego zaciągu. Różni się także od późniejszych więźniów politycznych lub bojowników ruchu dysydenckiego.

Polityczni przeciwnicy zwycięskiej rewolucji z 1959 r. związani z obaloną dyktaturą wojskową Fulgencio Batisty puciekali z wyspy od razu albo zostali rozgromieni w pierwszych miesiącach po przejściu władzy przez partyzantów Fidela. W większości zostali rozstrzelani bez sądu lub po symbolicznych rozprawach. Ofiar plutonów egzekucyjnych było co najmniej 5 tys. Jeden z kome-dantów rewolucji i dygnitarzy reżimu Ernesto Che Guevara z trybuny ONZ bronił rozstrzeliwań bez prawdziwej rozprawy sądowej jako koniecznej formy sprawiedliwości rewolucyjnej. Zbiegli do Stanów Zjednoczonych poplecznicy *ancien régime'u* – byli wojskowi, policjanci, urzędnicy dyktatury Batisty – stali się organizatorami spisków przeciw Fidelowi Castro, współdziałając z amerykańską CIA. Przez wiele lat próbowali obalić rządy Castro, począwszy od zbrojnej próby odbicia wyspy w czasie nieudanego desantu w Zatoce Świń w 1961 r.

Ale to nie emigranci pierwszej fali o przedrewolucyjnej proveniencji – mimo swoich zasobów finansowych i liczebności – decydowali o obliczu i losach opozycji na wyspie. Kubański komunizm wytworzył nową opozycję demokratyczną, dla której punktem wyjścia nie była ideologiczna wierność reżimowi wojskowemu sprzed rewolucji,

ale sprzeciw początkowo uradowanych obaleniem Batisty Kubańczyków wobec totalitarnych rządów Castro.

Symbolem tej odmiany opozycji, bohaterem najwcześniejszego sprzeciwu w imię demokracji i pluralizmu był historyczny komendant rewolucji, towarzysz Fidela i Raula Castro oraz Che Guevary, Huber Matos. Gdy jako dowódca armii w prowincji Camagüey latem 1959 r., zaledwie pół roku po zwycięstwie, napisał do Fidela list z prośbą o dymisję, nie mogąc się pogodzić z egzekucjami bez sądu oraz umacnianiem się komunistycznego porządku, został natychmiast oskarżony o zdradę. W grudniu 1959 r. skazano go po haniebnym procesie pokazowym na dwadzieścia lat więzienia. Wcześniej dwukrotnie na ogromnych wiecach w Camagüey i Hawanie Fidel Castro piętnował Matosa jako zdrajcę i nie podając żadnych dowodów zdrady (cóż miałoby nią być?), żądał masowego poparcia dla jego rozstrzelania. Tłum wył: – Pod ścianę!

Bez zrozumienia tej sceny nie sposób zrozumieć istoty kubańskiej dyktatury oraz warunków działania każdego, kto ośmielił się jej przeciwstawić przez następne pół wieku.

Rewolucja rosyjska zaczęła pożerać swoich twórców po dziesięciu latach, kiedy utrwaliła się dyktatura Stalina. Fidel Castro ustanowił swoje absolutne rządy od razu, w ciągu roku od objęcia władzy niszcząc jednego z najwybitniejszych rewolucjonistów za nieśmiały sprzeciw. Matos spędził w więzieniu dwadzieścia lat w najcięższych warunkach – bity, torturowany, truty. Wypuszczono go w 1979 r., żeby nie umarł w celi. Wyjechał na emigrację, gdzie dołączył do demokratycznej opozycji na wychodźstwie. Cudem wydobrzeł, choć żelaznego kiedyś zdrowia nigdy nie odzyskał. Ma dziś 94 lata.

Z szeregów partyzantów walczących przeciwko dyktaturze Batisty, które gromadziły ludzi o różnych przekonaniach – od katolików po demokratów, wywodzi się jedyny silny nurt oporu zbrojnego przeciw komunizmowi braci Castro. W latach

1960–1966 w górach Escambray na środkowej Kubie istniała poważna partyzantka antycastrowska, niemal replika partyzantki samego Fidela w górach Sierra Maestra z lat 1956–1959. W szczytowym momencie pod rozkazami byłego dowódcy rewolucyjnego Evelio Duque’a w Escambray walczyły 3 tys. partyzantów zorganizowanych w siedem kolumn bojowych. Fidel Castro nie był jednak Batistą, opromieniony obaleniem zniechęconego dyktatora miał ogromne poparcie narodu, wiedział ponadto, czym grozi tolerowanie bądź lekceważenie partyzantów lub nieumiejętna walka z nimi. Zmieniwszy się ze zbuntowanego i ściganego partyzanta w ścigającego władcę, zabrał się do dzieła nie tylko przy pomocy oddziałów armii, ale i agentów tajnej policji bezpieczeństwa. Mimo to wojna w Escambray trwała sześć długich lat aż do zupełnego wytępienia powstańców, kosztowała też 6 tys. zabitych po stronie armii Fidela Castro. Evelio Duque jako jeden z niewielu zdołał zbiec na emigrację.

Pokolenie rozczarowanych

Odtąd główne nurty krajowej opozycji porzuciły ideę zbrojnego oporu, wybrały zaś drogę pokojowego i politycznego sprzeciwu. Ale po odparciu amerykańskiej inwazji zbrojnej w Zatoce Świń i rozbiciu partyzantki w Escambray wyspa została całkowicie skomunizowana. Dyktatura okrzepła, organizując życie na totalitarną modłę. Zbudowano szczelny system inwigilacji w postaci komitetów obrony rewolucji na każdym szczeblu, zmonopolizowano środki przekazu i komunikacji. Przeciwnicy z pierwszego pokolenia pamiętającego Kubę sprzed 1959 r. oraz aktorzy i świadkowie rewolucji poszli w rozsypkę, a nowi kontestatorzy jeszcze się nie narodzili.

Reżim Fidela Castro stał się dla znakomitej większości Kubańczyków stanem naturalnym – ustrojem pozbawionym alternatywy. W świecie zewnętrznym jego rewolucyjna prawomocność nie ulegała wątpliwości, zwłaszcza w kręgach lewi-

cy latynoamerykańskiej i europejskiej, choć nie w Stanach Zjednoczonych. Wzmacniały tę legitymację dominujące na kontynencie prawicowo-wojskowe dyktatury (Brazylia, Chile, Argentyna, Paragwaj, Boliwia, Nikaragua), których okrucieństwo usprawiedliwiało wszelki wobec nich sprzeciw, a jedynym skutecznym bastionem oporu wydawała się rewolucyjna Kuba. W Ameryce Łacińskiej, wziętej w dwa ognie zimnej wojny, demokracja liberalna, jaką znała Europa, wydawała się luksusem pięknoducha.

Do pokolenia rewolucjonistów, którzy rozczarowali się do dyktatury i zostali za to ukarani, należał Gustavo Arcos, uczestnik pierwszej próby przewrotu z Fidelem Castro w 1953 r., a po rewolucji ambasador w Belgii. Uwięziony w latach sześćdziesiątych za zdradę, uwolniony i ponownie skazany w 1981 r. za nielegalną próbę wyjazdu z kraju, wyszedł z więzienia i do śmierci działał w opozycji na wyspie, głównie w Kubańskim Komitecie Praw Człowieka założonym przez Ricardo Bofilla, razem ze swoim bratem Sebastianem Arcosem. Był ostatnim z weteranów rewolucji, który patronował opozycji demokratycznej na wyspie. Zmarł w 2006 r. w Hawanie.

Jednak komunizm kubański, jak każdy ustrój, doczekał się kryzysu legitymizacji, choć jako dyktatura rewolucyjna nie czerpie jej z demokratycznego mandatu, czyli woli ludu wyrażonej przy urnach, lecz z obalenia poprzedniej tyranii i obietnic komunistycznej utopii.

Pierwszy poważny kryzys nastąpił na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Najpierw sowiecka interwencja zbrojna w Czechosłowacji dla zduszenia praskiej wiosny, poparta bez zastrzeżeń przez Castro, a potem uwięzienie oraz publiczny lincz poety Heberto Padilli, który ośmielił się krytykować reżim, odepchnęły od Kuby legion zachodnich intelektualistów, a i wielu Kubańczykom uzmysłowiły, że reżim nie zamierza tolerować żadnego marginesu niezależności. Wszyscy są poddanymi, nikt nie jest obywatelem. – W ramach rewolucji wszystko, poza rewolucją nic! –

ogłosił intelektualistom Fidel Castro w 1971 r., ostrzegając, że los Padilli spotka każdego, kto się ośmieli myśleć, pisać i działać bez zezwolenia. Pomimo kryzysu prawomocności reżimu warunki do zorganizowanego sprzeciwu były zatem trudniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

– Dla mnie od sprawy Heberto Padilli zaczął się strach – opowiadał Raúl Rivero, wówczas młody poeta z generacji dzieci rewolucji, potem jeden z pierwszych niezależnych dziennikarzy i więzień polityczny. – Jeśli ktoś taki może zostać w ten sposób zgnojony, to każdy może. Ze wszystkich sił wzbraniałem się przed przyznaniem, że to wszystko oszustwo. Bo musiałbym przyznać się przed sobą, że mnie zgnoili, że zmarnowałem całą młodość, że byłem skończonym durniem i idiotą.

Padilla w 1980 r. opuścił kraj. Wcześniej, w latach sześćdziesiątych, porzucili Kubę i wyjechali na wygnanie m.in. wybitny pisarz Guillermo Cabrera Infante i Carlos Franqui, redaktor naczelny najlepszej gazety porewolucyjnej „Revolución”.

W połowie lat sześćdziesiątych dyktatura, która właśnie zaczęła zsyłać do obozów pracy katolików, homoseksualistów, bumelantów i inne elementy społecznie szkodliwe w celu reedukacji przez pracę na roli, wynalazła inny sposób na neutralizowanie sprzeciwu czy choćby niezadowolenia. Sposób całkowicie nowatorski, niestosowany na taką skalę przez żadną z dyktatur komunistycznych XX wieku i – jak się okazało – wielce skuteczny. Pomysł Fidela Castro można określić jako upuszczanie społeczeństwu złej krwi. Gdy zebrał się potencjał niezadowolenia i protestu trudny do opanowania przez reżim, pozbywano się zbiorowo z kraju ludzi niezadowolonych. W 1964 r. w pierwszej takiej wyjazdowej czystce z portu Camarioca odpłynęło do Stanów około 6 tys. Kubańczyków. Castro często powtarzał ten manewr. Jego najważniejsza konsekwencja polityczna polegała na tym, że opozycja demokratyczna traciła ciągłość i więzi międzyludzkie. Pokusa wyrwania się do wolnego świata trzebiła szeregi niezadowolonych i zdecydowanych walczyć o zmiany na wyspie. Nie wszy-

scy jednak wyjeżdżali. Niektórzy zostawali, choć mogli uciekać.

W imię praw człowieka

Filozof Ricardo Bofill był jednym z ojców założycieli kubańskiej opozycji demokratycznej – opartej na pokojowej obronie praw człowieka w myśl postanowień konferencji helsińskiej z 1975 r. i wzorującej się na podobnych ruchach w Związku Radzieckim i Polsce. Do założonego przezeń w 1976 r. Kubańskiego Komitetu Praw Człowieka przyłączyli się honorowo z zagranicy Jelena Bonner, Jurij Orłow, Anatol Szczarański, Václav Havel, Aleksandr Sołżenicyn, Lech Wałęsa, Adam Michnik. Bofill działał na Kubie do 1988 r., gdy zmuszony do emigracji, po odsiedzeniu w sumie dwunastu lat więzienia na wyspie, ostatecznie wyjechał do Miami na Florydzie, gdzie wciąż działa w środowiskach politycznej emigracji. Komitet Obrony Praw Człowieka, przekształcony w Kubańską Komisję Praw Człowieka i Pojednania Narodowego, istnieje nadal, dziś pod przewodnictwem Elizardo Sáncheza.

Pod koniec lat siedemdziesiątych Fidel Castro czuł się silniejszy niż kiedykolwiek. Gospodarkę utrzymywały miliardowe dotacje od Związku Radzieckiego. Reżim postanowił pokazać, że stać go na spektakl pojednania diaspory kubańskiej w Stanach Zjednoczonych i mieszkańców na wyspie bez zachwiania systemu komunistycznego. Ale wielka propagandowa operacja wymknęła się spod kontroli. Po odjeździe około 60 tys. emigrantów z Florydy, którym pozwolono na kilka dni odwiedzić ojczyznę, Kubańczycy z wyspy rzucili się do ucieczki – do ambasady Peru w Hawanie wtargnęło 15 tys. osób i poprosiło o azyl. Castro znowu puścił krew. W tzw. exodusie z portu Mariel (1980) z wyspy uciekło z przyzwoleniem reżimu ponad 60 tys. ludzi.

W początkach lat osiemdziesiątych na Kubę dotarły wieści o buncie polskich robotników i utworzeniu Solidarności. Ale kubańskich dysydentów

była garstka, nie więcej niż 15–20 osób. Skupiali się wokół wymienionych wyżej liderów. Z każdym pokoleniem odradzał się jednak głód swobody i pluralizmu wśród ludzi znacznie młodszych i wychowanych w porewolucyjnej rzeczywistości.

Jedną z wybitniejszych postaci opozycji stał się wówczas Héctor Palacios, wiceminister górnictwa i przemysłu lekkiego, który w połowie lat siedemdziesiątych poznawał zdobycze realnego socjalizmu m.in. w Polsce i Związku Radzieckim. Po buncie Solidarności i wielkim exodusie z Mariel rzucił jednak legitymację partyjną i wstąpił do komitetu Bofilla i Arcosa. Wielokrotnie zatrzymywany zakładał kolejne demokratyczne grupy, a w 1998 r., po wyjściu z więzienia dzięki interwencji Jana Pawła II, utworzył ośrodek niezależnej myśli społecznej Centro de Estudios Sociales Independiente.

Po upadku ZSRR

Ostateczny kryzys komunizmu w ZSRR i Europie Wschodniej zapoczątkowany w 1989 r. porozumieniem Okrągłego Stołu i sukcesem Solidarności w wyborach czerwcowych, za czym poszedł upadek NRD i zjednoczenie Niemiec (wsparcie Berlina Wschodniego i Stasi dla kubańskiej bezpieki było kluczowe), a przypieczętowany upadkiem ZSRR w 1991 r., rozbudził wielkie nadzieje rozproszonych, prześladowanych, więzionych i wypędzanych ze swego kraju kubańskich dysydentów.

W 1991 r. grupa intelektualistów, pisarzy i dziennikarzy wystosowała pierwszy zbiorowy manifest osób publicznie znanych zawierający żądanie przywrócenia podstawowych wolności politycznych i gospodarczych na Kubie. List napisali m.in. poetka i pisarka María Elena Cruz Varela oraz poeta i dziennikarz Raúl Rivero, w latach siedemdziesiątych dziennikarz reżimowy i korespondent rządowej agencji Prensa Latina w Moskwie.

Cofnięcie sowieckich dotacji po rozpadzie ZSRR (około 7 mld dolarów rocznie) spowodowało na wyspę klęskę gospodarczą. Krach ekonomiczny

pomnożył niezadowolonych. Grupy dysydenckie, niezależne, w tym dziennikarze gotowi pisać o sytuacji na Kubie dla zagranicznych mediów, powstawały jak grzyby po deszczu, choć wiele z nich szybko zniknęło, gdy ich członkom udało się wyjechać z wyspy.

W 1995 r. Kuba uzyskała satelitarną łączność telefoniczną ze światem. Raúl Rivero założył pierwszą niezależną agencję prasową Cuba Press. Dzięki sieci 35 korespondentów po raz pierwszy niezależne od rządu grono dziennikarzy informowało świat o tym, co się dzieje na wyspie.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Ramon Colás i Gisela Delgado, żona Héctora Palacios, uruchomili sieć bibliotek niezależnych (*bibliotecas independientes*, pierwszą utworzono w 1996 r.). Powstało ich kilkadziesiąt na całej wyspie. W prywatnych domach i mieszkaniach Kubańczycy mogli pożyczać i czytać książki i czasopisma, których wzbraniała im cenzura. Ruch bibliotek był wielkim sukcesem, świadectwem odradzania się kultury niezależnej. Dysydenci zaczęli organizować konkursy literackie, a nagrodzone prace młodych literatów wydawali za granicą w tomikach *Los ojos abiertos* (Z otwartymi oczami) i *Voces de cambio* (Głosy za zmianą).

W połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy doszło w Hawanie do pierwszych od rewolucji żywiołowych buntów społecznych przeciw pustkom w sklepach, reżim znowu zdołał rozładować napięcie. W 1995 r. w kolejnym masowym exodusie uciekły przez morze do Stanów ponad 32 tys. Kubańczyków. Mimo to opozycja była coraz śmielsza i liczniejsza, działalność dysydentów i niezależnych dziennikarzy zdawała się rozwijać niepostrzeżenie.

Ojczyzna należy do wszystkich

Katolik Oswaldo Payá Sardiñas, który odsiedział pięć lat w obozie pracy, gdzie próbowano mu wybić z głowy wiarę, stworzył w 1988 r. Chrześcijański Ruch Wyzwolenia (Movimiento Cristiano de

Liberación). Przy diecezji katolickiej w Pinar del Rio w 1994 r. powstało pismo „Vital” oraz ośrodek inteligencji katolickiej, którym kierował intelektualista Dagoberto Valdes. Przedsięwzięciu patronował biskup Ciro Bacallao. Trzy lata później Jan Paweł II zaprosił Valdesa do swojej świeckiej rady Iustitia et Pax.

W 1997 r. grupa dysydentów, w tym Oswaldo Payá i Héctor Palacios, napisała „List otwarty do rządu Kuby” z żądaniem plebiscytu na temat reform ustrojowych. W tym samym roku Martha Beatriz Roque, René Gómez Manzano, Vladimiro Roca i Félix Bonne utworzyli dysydencki zespół ekspertów i wydali manifest *La Patria es de Todos* (Ojczyzna należy do wszystkich). Uwięzieni i skazani w 1997 r. wyszli jednak na wolność w 2000 r. i powołali Zgromadzenie na rzecz Społeczeństwa Obywatelskiego. W marcu 2001 r. Oswaldo Payá zebrał kilkanaście tysięcy podpisów pod tzw. projektem Vareli (na cześć ks. Félix Vareli, żyjącego w pierwszej połowie XIX wieku wybitnego profesora, wychowawcy i rzecznika niepodległości Kuby), żądającym referendum w sprawie przywrócenia podstawowych wolności demokratycznych, własności prywatnej i wolnego rynku.

Ożywienie ruchu dysydenckiego przerwała tzw. czarna wiosna 2003 r. Jednego dnia, 18 marca, w wielkiej obławie bezpieczeństwa aresztowała 75 niezależnych działaczy. Krótco potem w pokazowych procesach wszyscy zostali skazani na wieloletnie więzienie. Najwyższy wyrok wyniósł 30 lat. Héctor Palacios dostał 25 lat, Raúl Rivero 20 lat. Opozycja została rozbita. Ze znanych postaci na wolności pozostali Oswaldo Payá, którego zapewne chroni rozgłos, jaki zyskał dzięki Europejskiej Nagrodzie Praw Człowieka im. Andrieja Sacharowa, Elizardo Sánchez szefujący Komitetowi Praw Człowieka oraz Martha Roque, René Gómez, Vladimiro Roca i Félix Bonne.

Ale i po tym ciosie opozycja się z wolna odrodziła. Główną siłą stały się kobiety – matki i żony skazanych dysydentów, które utworzyły stowarzyszenie Damy w Bieli, zbierające się co niedziela

na mszy w jednym z kościołów w Hawanie. Opozycyjne damy maszerują ulicami miasta z kwiatami w rękach i żądają uwolnienia więźniów politycznych. Pod naciskiem protestów na świecie, rozbudzonych działalnością Dam w Bieli, reżim braci Castro uwolnił niektórych więźniów politycznych skazanych podczas czarnej wiosny. Przede wszystkim tych, o których szczególnie głośno upominały się rządy zachodnie, np. Hiszpania, i tych, którym dalsze maltretowanie w więzieniach groziło śmiercią. W ten sposób wyszli na wolność i wyjechali na leczenie do Hiszpanii znani dysydenci Manuel Vázquez Portal, Raúl Rivero i Héctor Palacios.

W lochach braci Castro

Palacios opowiedział w Europie o kazamatach kubańskiego komunizmu. – Wsadzili mnie do lochu, niecałe półtora metra na półtora, z sufitem tak niskim, że nie mogłem się wyprostować, bez okien, bez wentylacji. W ziemi była dziura do załatwiania się. Było stale 50 stopni. Spałem zwinięty na podłodze z ustami przy szparze pod drzwiami, którą dochodziła strużka powietrza. Chwilami myślałem, że nie żyję. Układ krążenia mi wysiadał. Pękały mi naczynia krwionośne w nogach. Przestałem sikać, nie działały nerki, tylko się pocilem. Traciłem przytomność, bo jak się potem okazało, pękały mi naczynia w mózgu. Tak przeżyłem blisko trzy lata. Jak, nie umiem wytłumaczyć. Żonę Gisela widziałem tylko raz – mówił po wyjściu na wolność.

Żeby nie zmarł w karcerze, reżim przewiózł go do kliniki, podleczył, a w grudniu 2006 r. wypuścił i pozwolił wyjechać za granicę. – Wydali mi wrak człowieka, ale całą dokumentację medyczną zatrzymali – mówiła Gisela Delgado. Jednak Héctor Palacios i Gisela Delgado nie zostali na emigracji, wrócili po dwóch latach na Kubę z własnej woli. To jak dotychczas jedyny taki przypadek wśród dysydentów.

Damy w Bieli zostały w 2006 r. nagrodzone przez Parlament Europejski tą samą Europejską

Nagrodą Praw Człowieka, którą cztery lata wcześniej dostał Oswaldo Payá.

Dwa lata temu zmarł po kilku miesiącach głódówki więzień polityczny Orlando Zapata Tamayo. Braciom Castro takie wypadki przy pracy zdarzają się rzadko. Z reguły nie pozwalają więźniom umierać w celach, wcześniej ich uwalniają „z powodów humanitarnych”. Śmierć Zapaty Tamayo wywołała wielkie oburzenie na świecie. Na Kubie rozpoczął głódówkę jego kolega Guillermo Fariñas, kiedyś żołnierz sił specjalnych kubańskiej armii, potem psycholog i dysydent. Spędził w więzieniach jedenaście lat. Głódował kilkanaście razy w różnych sprawach. Kilka lat wcześniej zaszył sobie usta, żądając powszechnego dostępu Kubańczyków do internetu. Protesty na świecie, trzymiesięczna głódówka Fariñas (podjęta desperacko „aż do śmierci”) i prośby Kościoła katolickiego doprowadziły do stopniowego uwolnienia ponad stu więźniów politycznych (jesienią 2010 i wiosną 2011 r.). Lecz raz jeszcze był to tylko kontrolowany upust „złej” krwi. Niemal wszyscy wraz z rodzinami zostali zmuszeni do emigracji do Hiszpanii. Wyjechało wówczas siedemset osób związanych z ruchem dysydenckim.

Guillermo Fariñas zakończył głódówkę, a w listopadzie 2010 r. został trzecim kubańskim laureatem nagrody im. Sacharowa. Samej nagrody nie mógł oczywiście odebrać w siedzibie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, bo władze nie dały mu paszportu.

Opozycja internetu i happeningu

W pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku ruch dysydencki stał się stałym składnikiem życia na Kubie. To ciągle jeszcze ruch rozproszony i żywiołowy, osłabiany represjami reżimu oraz wyjazdami swoich członków za granicę, ale wciąż się odradza. Jest bacznie kontrolowany przez służbę bezpieczeństwa, jednak reżim nie decyduje się na kolejną wałną rozprawę. Dominują miękkie przesładowania, jak wielokrotne zatrzymywanie na

48 godzin, zastraszanie lub pobicie przez bojówki, kocia muzyka „oburzonych” współobywateli i sąsiadów.

Wciąż nie powstała zjednoczona opozycja, grupy dysydenckie to raczej pospolite ruszenie. Ale miarą jego sukcesu jest to, że wyraża coraz powszechniejszy sprzeciw. Dyktatura komunistyczna utraciła w oczach młodych Kubańczyków status nieuniknionego fatum, wyroku, na który wyspa jest skazana. Ruch wolnościowy nie nawołuje do buntu zbrojnego ani do czynnego obalenia ustroju. Jest sprzeciwem i oporem, ale i czekaniem na samorzutny upadek reżimu, na rozwiązanie biologiczne, czyli śmierć Fidela Castro i dekompozycję dyktatury. Kubańscy opozycjoniści przygotowują się na „Dzień po”.

Dla wszystkich jest jasne, że lepszą drogą do przywrócenia wolności i demokracji byłoby porozumienie reżimu z opozycją. Ani jedna znana grupa dysydencka nie postuluje odwetu na ludziach dyktatury. Dla wszystkich jest też jasne, że Kuba jest wspólną ojczyzną około 11 mln wyspiarzy i 2,5 mln emigrantów, którzy z niej dobrowolnie wyjechali lub zostali wypędzeni. Opozycja demokratyczna jest zgodna, że Kubańczycy na wyspie i emigranci mają wspólnie zadecydować o przyszłości kraju.

Oblicze społecznego oporu zmienił internet, mimo że dostęp do niego na wyspie ma najmniej ludzi nie tylko ze wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej, ale i na świecie (od 1 do 3 proc.). Jednak młodzi dysydenci potrafią się nim posłużyć. Ich rzecznikzką i symbolem nowego pokolenia Kubańczyków, myślących suwerennie i domagających się swobód przynależnych obywatelom wolnych krajów, jest Yoani Sánchez, filolog, i jej rewolucyjny blog „Generación Y”, który prowadzi ze światowym sukcesem od 2008 r.

Blog Yoani Sánchez jest internetowym dziennikiem z życia Kuby. Sánchez nie chłoszcze, nie szydzi, nie judzi, nie nawołuje, nie agituje. Najchętniej opisuje kubańską codzienność w całym jej absurdzie; sam opis stanowi oskarżenie.

Czasami subtelnie komentuje. W kolejną rocznicę kubańskiej rewolucji napisała:

„Rewolucje nie trwają pół wieku – mówię tym, którzy mnie pytają. Rewolucje same się pożerają albo przeistaczają w tyranie, władzę i bezruch. Kiedy chcą się uwiecznić, gasną. Umierają, gdy chcą trwać bez zmian. To, co zaczęło się tamtego 1 stycznia [1959 r. – dzień obalenia Batisty przez Castro], według wielu od lat leży pod ziemią. Można tylko dyskutować, kiedy odbył się pogrzeb. Dla mojego męża Reinaldo rewolucja zmarła w sierpniu 1968 r., gdy nasz brodaty przywódca klaskał, jak czołgi wjeżdżały do Pragi. Moja mama uznała, że rewolucja umarła wtedy, gdy zapadał wyrok śmierci na gen. Arnaldo Ochoę. Ci, którzy jeszcze upierali się, że żyje, usłyszeli jej ostatnie tchnienie w marcu 2003 r., pośród aresztowań i procesów.

Ja ją poznałam, gdy już była martwa. W 1975 r., kiedy się rodziłam, sowietyzacja wytępiła wszelką żywiołowość i nic nie zostało z buntu, na który powoływali się starsi. Nie było już długich włosów ani zapału, tylko czystki, podwójna moralność i donos. Szkaplerze, z którymi zeszli z gór, były już zakazane, a sami żołnierze z Sierra Maestra byli narkomanami władzy.

Potem było już tylko długie czuwanie przy zapalonych świecach po tamtym marzeniu, które tyłu za sobą pociągnęło, po tym, co mogłoby być, ale się nie stało. W kolejnym styczniu nieboszczka ma kolejną rocznicę śmierci. Będą kwiaty, pieśni i okrzyki, ale nic jej nie przywróci do życia. Zostawcie ją, niech spoczywa w pokoju, a my zabierzmy się za nowy rozdział. Krótszy, mniej pompatyczny, bardziej wolny”.

Dziś ruch dysydencki na Kubie to dziesiątki i setki niezależnych grup – politycznych, środowiskowych, wspólnot sąsiedzkich (jak w hawańskim blokowisku Alamar), zespołów kulturalnych, artystycznych, trup teatralnych i kapel muzycznych – takich jak OVNI czy Porno para Ricardo. Dysydenci to dzisiaj nie tylko polityka i poważne manifesty, ale internet, kultura, muzyka, fotografia, happe-

ning, kontestacja obyczajowa. Ich największym hamulcem jest brak niezależnego obiegu informacji i komunikacji społecznej. Wciąż rachityczny internet pozwala rzutkim młodym Kubańczykom porozumiewać się ze światem znacznie łatwiej niż z własnymi rodakami o podobnych poglądach, którzy o ich istnieniu i działalności nie mają pojęcia. Na stronach „DesdeCuba” i „Generación Y” można znaleźć listę niezależnych internetowych stron i blogów kubańskich.

Choć tyran wciąż traktuje naród kubański jak glinę, z której lepi swój pomnik, na Kubie coraz więcej ludzi odwraca się plecami do propagandy i bezpieki, odnajduje się nawzajem jako sąsiedzi i bliźni, bez pośrednictwa państwa i jego służb. Wbrew wszędobylskim komitetom obrony rewolucji rzeźbią, piszą wiersze, śpiewają piosenki, robią happeningi i kręcą filmy. Na rumowisku, w jakie Kubę zmieniła dyktatura komunistyczna, zbierają skorupy swojej godności i wolnego ducha. Są dowodem, że życie i człowiek są silniejsze od systemu i ideologii. Oni odbudują wyspę, kiedy odejdzie el Comendante.

Yoani Sánchez pisała: „Ostrzegają mnie, że na biurku w pewnym gabinecie leży moja pękata teczka pełna dowodów wykroczeń i przestępstw popełnionych w minionych latach. Sąsiedzi radzą wkładać ciemne okulary i wyłączać telefon, kiedy chcę porozmawiać prywatnie. Już chyba nic się nie da zrobić, już niedługo przyjdą i zastukają do moich drzwi o świcie.

Czekając, aż to nastąpi, oświadczam, że nie mam broni pod łóżkiem. Za to, owszem, systematycznie i wstrętnie popełniam przestępstwo: mam się za człowieka wolnego. Nie mam żadnego planu, jak zmienić rzeczywistość. Skargą zastępuję poczucie triumfu, a to jest, rzecz jasna, naganne. Nigdy nikomu nie dałam po twarzy, ale też nigdy nie pozwoliłam, by ktoś prał mnie po moim obywatelskim »Ja«. To jest w najwyższym stopniu godne potępienia. W dodatku mimo że nigdy nie przywłaszczyłam sobie niczego, co należało do innych, chciałam wiele razy zrabować to, co

uważałam za należące do mnie: pewną wyspę, jej marzenia, jej dziedzictwo.

Nie dajcie się zwieść. Nie jestem niewinna. Należało się moich występków. Często kupowałam na czarnym rynku, po cichu i krytycznie wypowiadałam się o rządzących, przeżywałam ich, popierałam defetyzm. Jakby tego było mało, zgrzeszyłam wiarą w przyszłość bez »nich« i w inną wersję dziejów niż ta, której mnie uczyli. Hasła wykrzykiwałam bez przekonania, brudy prałam na oczach wszystkich i – to dopiero zbrodnia! – kleciłam słowa i zdania bez pozwolenia.

Wyznaję więc i biorę na siebie wszelką karę, jaka na mnie spadnie”.

Zmienić Kubę razem

Roku temu dysydenci, byli więźniowie polityczni i wygnańcy ogłosili pierwszy od 50 lat wspólny manifest *Droga narodu* z żądaniem przywrócenia na Kubie wolności i demokracji. – Mówimy Kubańczykom, że to oni muszą zmienić Kubę. Robimy to teraz, kiedy ludziom brak nadziei – mówi jeden z autorów, Oswaldo Payá.

Dysydenci żądają zaprzestania prześladowań, uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, podjęcia rozmów z opozycją oraz swobód demo-

kratycznych – od wolności słowa i powszechnego dostępu do internetu po prawo do własności prywatnej. – Kubańczycy muszą uzyskać swobodę działalności gospodarczej. Nie wolno dłużej skazywać ich na nędzę – piszą.

Nie chcą rewolucji. Drogą do demokracji na Kubie powinny być rozmowy władzy, opozycji, związków zawodowych, Kościołów i innych przedstawicieli społeczeństwa w ramach specjalnie do tego powołanej Komisji Narodowej. Uzgodnione reformy powinny zostać poddane ocenie społecznej w referendum. Na koniec zaś powinny się odbyć wolne wybory do nowego zgromadzenia konstytucyjnego, które zatwierdzi nowy, demokratyczny ustrój.

Wśród czterdziestu osób, które podpisały manifest, są Guillermo Fariñas, Damy w Bieli, Elizardo Sánchez, Martha Beatriz Roque, Hector Maceda, wielu więźniów politycznych zwolnionych rok temu i deportowanych do Hiszpanii oraz liczni emigranci.

Autorzy *Drogi narodu* ogłaszają, że wszyscy Kubańczycy – i ci mieszkający na wyspie, i emigranci – mają równe prawo do decydowania o przyszłości kraju. Berta Soler, rzeczniczka Dam w Bieli, powiedziała: – Demokracja na Kubie nie może dłużej tkwić na liście oczekujących.

DROGA NARODU

Drodzy Kubańczycy i przyjaciele z całego świata, z nadzieją przedstawiamy dokument, który od dzisiaj wszyscy możecie uznać za swój i podpisać, jeśli zgadzacie się z jego treścią.

Ograniczenia w poruszaniu się i porozumiewaniu oraz prześladowania nie pozwoliły nam zapoznać z nim wszystkich braci w naszej walce. Dlatego zdecydowaliśmy się go opublikować, zanim będzie za późno. Jesteśmy pewni, że ten dokument wyraża stanowisko wielu członków kubańskiego ruchu demokratycznego, dysydentów, a także większości Kubańczyków.

Kuba, 13 lipca 2011

Droga narodu

Kubański ruch demokratyczny, zwany też opozycją pokojową lub ruchem dysydenckim, proponuje narodowi Kuby, co następuje:

Działamy i walczymy powodowani miłością do Kuby i pokładając wiarę w zdolności, odwagę i dobrą wolę wszystkich Kubańczyków, bez względu na światopogląd, wiarę, rasę i poglądy polityczne. Wszyscy jesteśmy Kubańczykami i braćmi. Tak samo wszyscy – i ci, którzy mieszkamy na wyspie, i ci na emigracji, bez wyjątku – będziemy podmiotami zmian mających za cel wolność i pokój tej ziemi, którą Bóg dał nam na ojczyznę i dom.

Sami Kubańczycy muszą określić i zdecydować, jakich zmian potrzebuje nasze społeczeństwo i jaki mają projekt narodowy. Żeby jednak mogli autentycznie planować i budować przyszłość, muszą mieć zagwarantowane prawa oraz warunki społecznego zaufania i szacunku dla wszystkich. Tylko w takich warunkach możemy wszcząć prawdziwą narodową rozmowę i rozpocząć proces prawnych reform, żeby naród mógł zachować to, co stworzył i zmienić to, co będzie chciał zmienić.

Poddajemy niniejszym pod osąd opinii zasadnicze składniki transformacji, o którą pokojowo zabiegamy:

1. Reformy prawa, które zapewnią wolność słowa, prasy, stowarzyszeń, wyznania, poruszania się i osiedlania w dowolnym miejscu w naszym kraju, swobodę wyjeżdżania za granicę i wracania, prawo każdego obywatela do zakładania prywatnych przedsiębiorstw, prawa pracownicze, prawo do wybierania i bycia wybranym na stanowiska publiczne, koniec wszelkiej dyskryminacji Kubańczyków we własnym kraju, a także uwolnienie wszystkich obywateli więzionych z powodów politycznych.

2. Kiedy wyżej wymienione zmiany stworzą przestrzeń do udziału obywateli w życiu publicznym oraz zapewnią rzeczywiste poszanowanie praw obywateli, trzeba rozpocząć dialog narodowy oraz ogłosić wolne wybory na wszystkie urzędy publiczne i do zgromadzenia konstytucyjnego.

3. Wszyscy Kubańczycy bez żadnych wykluczeń, bez nienawiści, uprzedzeń czy odwetu mają prawo uczestniczyć w tej transformacji w klimacie poszanowania prawdy, jawności, pojednania, wolności, solidarności, braterstwa i pokoju, by móc budować społeczeństwo bardziej ludzkie i sprawiedliwe w suwerennej i niezależnej ojczyźnie.

Kroki ku zmianom:

– Utworzenie Komisji Narodowej złożonej z przedstawicieli rządu i opozycji demokratycznej oraz innych grup społeczeństwa obywatelskiego, związków zawodowych, Kościołów i bractw, która zapewni równy dostęp do środków masowego przekazu wszystkim obywatelom oraz ugrupowaniom politycznym i obywatelskim, związkom wyznaniowym, organizacjom społecznym czy zrzeszeniom obywateli, a także zagwarantuje wolny dostęp do internetu oraz wszelkiej informacji krajowej i zagranicznej za pośrednictwem wszelkich kanałów technologicznych.

– My, członkowie ruchu demokratycznego, którzy proponujemy drogę transformacji demokratycznej, domagamy się swobody przedstawienia naszych poglądów, zamiarów i propozycji w publicznych mediach finansowanych przez społeczeństwo, tak by mogło je ono swobodnie ocenić,

a także prawa do zakładania prywatnych i społecznych środków przekazu.

– Wyrażanie opinii musi zostać zdepenalizowane. W tym celu trzeba zmienić kodeks karny i inne ustawy regulujące swobodę wypowiedzi. Należy zakazać wszelkiego śledzenia, kontroli i prześladowania obywateli z powodu głoszonych przez nich opinii.

– Trzeba stworzyć publiczne miejsca oraz klimat poszanowania, aby można było demokratycznie organizować zebrania studentów, pracowników, mieszkańców, rolników i innych grup. Trzeba legalizować wszelkie ruchy obywatelskie, partie polityczne, organizacje praw człowieka i inne społeczne stowarzyszenia, jakich utworzenia zażądata legalnie obywatele. Konieczne jest zupełnie nowe prawo o stowarzyszeniach, które to zagwarantuje.

– Znieść wszelkie ograniczenia prawa obywateli do swobodnego podróżowania, takie jak „zezwole nie na wyjazd”, nie wyłączając lekarzy, artystów, przedstawicieli wolnych zawodów, zawodów technicznych i związków religijnych, oraz skasować zezwolenia na przyjazd dla Kubańczyków mieszkających za granicą. Zaprzestać konfiskat majątków tych obywateli, którzy emigrują. Zlikwidować kategorię „wyjazd na stałe” oraz zaprzestać pobierania opłat za wszelkie dokumenty podrózne w dewizach.

– Uznać prawa obywatelskie wszystkich Kubańczyków – czy to mieszkających za granicą, czy w kraju. W szczególności każdy Kubańczyk ma prawo zamieszkiwać tam, gdzie obecnie mieszka. Nikt nie może go stamtąd wysiedlić, pozbawić go własności mieszkania lub innej nieruchomości ani żądać odszkodowania z tytułu poprzedniej własności.

– Znieść wszelkie ograniczenia swobody poruszania się na terytorium kraju i osiedlania się w dowolnie wybranej prowincji oraz zaprzestać deportacji, szykan, prześladowań i upokarzania obywateli, którzy z tego prawa korzystają.

– Uchwalić nowe prawo wyborcze, które zagwarantuje suwerenność narodu, tak by wszyscy

obywatele mogli zostać kandydatami samych obywateli na urzędy wybieralne, bez pośrednictwa komisji kandydackich, a wszyscy obywatele mogli swobodnie wysuwać i demokratycznie wybierać swoich kandydatów. Utworzyć Krajową Komisję Wyborczą złożoną z przedstawicieli rządu, opozycji i społeczeństwa obywatelskiego.

- Zagwarantować darmową opiekę zdrowotną oraz edukację dla wszystkich obywateli, bez żadnych warunków politycznych i ideologicznych.

- Domagamy się wynagrodzeń i emerytur sprawiedliwych w stosunku do cen i zlikwidowania przepaści między cenami a płacami. Kubańcy są skazywani na biedę i brak szans na jej przezwyciężenie. Niskie płace, niezliczone ograniczenia, wysokie ceny i zawyżone podatki ukryte w systemie podwójnej waluty pokazują, że to naród dotuje rząd razem z jego niekompetencją i przywilejami, a nie odwrotnie. To musi zostać niezwłocznie zniesione.

- Znieść system korupcji, łapownictwa, przywilejów, nadużyć i wykorzystywania przewagi ludzi sprawujących władzę ekonomiczną lub polityczną, skończyć z wykluczeniem większości społeczeństwa żyjącego w biedzie i dezinformacji, powstrzymać poszerzanie się różnic materialnych. Rozpocząć budowanie podstaw trwałego i integralnego rozwoju. Wszelkie głębokie zmiany gospodarcze muszą się odbywać pod demokratyczną kontrolą, sprawowaną przez instytucje demokratyczne. Zasoby naturalne Kuby, praca jej obywateli, to, co naród wytworzył swym wysiłkiem i miłością do kraju w toku dziejów, nie może być prywatyzowane, zawłaszczane ani sprzedawane inwestorom bez zgody narodu. Takiej zgody społeczeństwo nie może jednak suwerennie udzielić, póki nie będzie miało koniecznej wiedzy i mechanizmów obywatelskiej kontroli. Dlatego wszelkie zasadnicze reformy ustanawiające zasady równości i sprawiedliwości ku pożytkowi wszystkich Kubańczyków i sprzyjające ich integralnemu rozwojowi, zdrowiu publicznemu, niepodległości, sprawiedliwości społecznej i podniesieniu jakości życia mogą

być wprowadzane w życie dopiero wtedy, gdy naród będzie miał prawnie zagwarantowane wszelkie prawa i swobody, będzie mógł suwerennie wyrażać opinie i decydować o gospodarczym ustroju kraju. Kuba nie może być wystawiana na przetarg, sprzedawana lub dzielona jak tort. Kuba jest domem i źródłem bogactwa wszystkich Kubańczyków.

- Trzeba zagwarantować pracownikom prawo do wolnego zatrudniania się oraz przestrzeganie ich praw. Trzeba zlikwidować firmy odnajmujące kubańską siłę roboczą przedsiębiorstwom zagranicznym i zawłaszczające większość pochodzących stąd zysków. Prawo musi zapewniać każdemu Kubańczykowi możliwość tworzenia własnych przedsiębiorstw i firm prywatnych oraz zatrudniania pracowników z poszanowaniem ich praw.

- Wzywamy wszystkie rządy, związki państw, organizacje międzynarodowe, biznesmenów, Kościoły i osobistości publiczne, by dialog, rokowania czy umowy z rządem Kuby zawierano w sposób jasny i nigdy za plecami narodu, ale za wiedzą opozycji demokratycznej i społeczeństwa obywatelskiego, jeśli te rządy i organizacje chcą się przyczynić do pokojowych przemian i nie powiększać wykluczenia, niesprawiedliwości i innych cierpień Kubańczyków.

Będziemy zmierzać do zorganizowania plebiscytu, w którym naród swobodnie zdecyduje o koniecznych reformach.

Będziemy domagać się nowych praw i zmian obowiązującego prawa oraz wspierać wszelkie inicjatywy pokojowe zmierzające do ustanowienia demokracji, wolności, swobód obywatelskich, pojednania narodowego i suwerenności narodowej.

Będziemy żądać, by obywatele wzięli udział w tej transformacji, czyniąc użytek ze swoich praw, w drodze dialogu i poszanowania pluralizmu poglądów.

Wśród nas, którzy walczymy metodami pokojowymi o demokrację na Kubie, panuje różnorodność i bogactwo idei, opinii i projektów.

Niniejszy manifest stanowi wspólną podstawę, wyraża wspólne stanowisko i determinację, by bronić prawomocnych interesów i praw narodu kubańskiego. Rządy, instytucje i społeczeństwa Ameryk, Europy i świata winny wesprzeć to wspólne stanowisko kubańskiego ruchu demokratycznego, jeśli chcą poprzeć naród kubański i uszanować jego prawo do samostanowienia. Jeśli coś nas wszystkich jednoczy, jest to miłość do Kuby i pragnienie, by wszyscy Kubańczycy mieli dostęp do wszystkich przysługujących im praw, wolności, pojednania, pokoju i prawdziwej demokracji, by naród mógł sprawować suwerenność i decydować o przemianach oraz swojej przyszłości.

Dlatego kroczymy drogą przemian pokojowych: to jest droga narodu.

My, Kubańczycy, mamy prawo do praw. Idźmy drogą narodu.

Na wyspie:

Felix Navarro Rodríguez, Laura Pollán Toledo, Martha Beatriz Roque Cabello, Héctor Fernando Maceda Gutiérrez, Felix Navarro Rodríguez, Angel Moya Acosta, Diosdado González Marrero, Guido Sigler Amaya, Elizardo Sánchez Santacruz, Juan Carlos González Leyva, Conrado Rodríguez Suárez, Raúl Luis Risco Pérez, Pedro Arguelles Morán, Felix Na-

varro Rodríguez, José Daniel Ferrer García, Manuel Cuesta Morúa, Eduardo Díaz Fleitas, Guillermo Fariñas, Ivan Hernández Carrillo, Arnaldo Ramos Lauzerique, Oswaldo José Payá Sardiñas.

Na wychodźstwie:

Regis Iglesias Ramírez, Omar Rodríguez Saludes, Antonio Díaz Sánchez, Efrén Fernández, Alexis Rodríguez, Ricardo González Alfonso, Jesús Mustafa Felipe, Leonel Grave de Peralta, Osmel Rodríguez, Juan Carlos Herrera Acosta, Ricardo Silva Gual, Arturo Suárez Ramos, José Miguel Martínez, Julio Cesar Gálvez, Raisa Mustafa, María Luisa Lebeque, Carlos Payá, Francisco de Armas, Julio Hernández, Agustín Cervantes.

Postscriptum:

Na wniosek Diosdado González Marrero wzywamy władze kubańskie, by raz na zawsze przestały się bać rozmawiać z narodem jak równy z równym.

Na wniosek Ángela Moyi Acosta: W Komisji Krajowej powinni zasiadać przedstawiciele emigracji, należy z niej wykluczyć braci Castro oraz wszystkich winnych zbrodni przeciw narodowi kubańskiemu.

Tłum. Maciej Stasiński

W CIENIU ŁUKASZENKI. OPOZYCJA NA BIAŁORUSI

RAFAŁ SADOWSKI

ukończył Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, studiował antropologię kulturową.

Od 2001 r. pracuje w Ośrodku Studiów Wschodnich; zajmuje się relacjami Unii Europejskiej z państwami Europy Wschodniej i Kaukazu Południowego, partnerstwem wschodnim, sytuacją wewnętrzną i polityką zagraniczną państw Europy Wschodniej.

Białoruś często jest nazywana ostatnią dyktaturą w Europie. Możliwości działania opozycji są tu bardzo ograniczone – stale jest ona poddawana silnej presji ze strony władz. Opozycję na Białorusi tworzą organizacje polityczne i społeczne o najróżniejszym profilu (od komunistów po liberałów, od anarchistów po konserwatystów) oraz osoby często o całkowicie odmiennych poglądach – byli członkowie sowieckiej nomenklatury, a także działacze patriotyczni, demokratyczni i społeczni. Podstawowym kryterium jest sprzeciw wobec autorytarnej władzy prezydenta Łukaszenki.

Opozycja w łukaszenkowskim systemie władzy

Ałaksandr Łukaszenka został wybrany na prezydenta w lipcu 1994 r. Dwa lata później przejął pełną władzę w kraju, uzyskując silną kontrolę nad społeczeństwem i skutecznie marginalizując oponentów. System władzy jest scentralizowany i zhierarchizowany, poszczególne instytucje państwowe tworzą strukturę kontrolowaną przez prezydenta.

W odróżnieniu od innych niedemokratycznych reżimów postsowieckich specyfiką białoruskiego jest brak partii władzy. Łukaszenka nie powołał partii, oparł swoją władzę na nomenklaturze państwowej, urzędnikach administracji i funkcjonariuszach służb bezpieczeństwa. W parlamencie od momentu podporządkowania go w 1996 r. prezydentowi nie ma stronnictw politycznych, a deputowani wybierani w okręgach jednomandatowych pochodzą z nomenklatury i organizacji lojalnych wobec Łukaszenki. Prezydent uznał, że ręczne sterowanie państwem za pośrednictwem nomenklatury będzie skuteczniejsze niż tworzenie partii władzy. Łatwiej jest też w ten sposób marginalizować osoby mające ambicje polityczne. Jedynym politykiem obozu rządzącego jest *de facto* Łukaszenka, reszta to urzędnicy, których prezydent może w każdej chwili odwołać.

Do utrzymania władzy Łukaszenka wykorzystuje metody represyjne i niedemokratyczne, które są stałymi elementami systemu politycznego w jego kraju: tworzenie narzędzi prawnych i administracyjnych ograniczających swobodę działania obywateli

oraz arbitralny sposób ich stosowania, wywoływanie atmosfery strachu działaniami instytucji bezpieczeństwa państwowego, zakrojona na szeroką skalę propaganda, ograniczenie swobód obywatelskich i wolności słowa.

Inną cechą specyficzną Białorusi jest brak grup oligarchicznych. W białoruskiej gospodarce dominuje własność państwowa. Przedsiębiorstwa państwowe generują 70–80 proc. PKB, a ich dyrektorzy i menadżerowie wchodzi w skład państwowej nomenklatury. Prywatny biznes tworzą głównie przedsiębiorcy indywidualni. Pozwala to Łukaszence w pełni kontrolować sytuację gospodarczą kraju i uniemożliwiać powstawanie niezależnych grup interesu, które mogłyby w pewnym momencie ujawnić ambicje polityczne.

Opozycyjność na Białorusi może być traktowana bardzo szeroko – jako działalność niepodporządkowana panującemu reżimowi. Nie musi to być koniecznie działalność skierowana przeciwko władzy, wystarczy, że jest od niej niezależna. Przykładem jest Związek Polaków na Białorusi, organizacja społeczna mniejszości polskiej prowadząca działalność społeczno-kulturalną, która nie ma nic wspólnego z polityką wewnątrzkrajową. Jednak niechęć do podporządkowania się dyktawom reżimu i samodzielny wybór kierownictwa zostały uznane przez władze w 2005 r. za przejaw opozycyjności.

Toteż białoruskiej opozycji nie należy ograniczać do partii politycznych. Bardzo dużą rolę w środowiskach demokratycznych odgrywają organizacje społeczne i regionalne oraz niezależne media. Poza tym podejmowane są akcje protestacyjne aranżowane przez niesformalizowane grupy interesu, np. przedsiębiorcy prywatni protestują przeciwko niekorzystnym dla nich decyzjom władz, a kierownicy przeciwko podwyżkom benzy.

Należy podkreślić rolę organizacji społecznych i pozarządowych oraz wszelkiego rodzaju inicjatyw obywatelskich. Podejmowana przez nie praca na rzecz budowy nowoczesnego społeczeństwa

obywatelskiego miała bardzo istotne znaczenie dla transformacji społecznej Białorusinów wychodzących z ustroju sowieckiego. Inicjatywy te przybierają najróżniejsze formy i dotyczą wielu sfer – kultury, potrzeb lokalnych, ochrony środowiska, edukacji, demokratyzacji, zrównoważonego rozwoju, niezależnych mediów, turystyki. Organizacje pozarządowe monitorują przebieg kampanii wyborczych i głosowań oraz przypadki naruszeń prawa ze strony władz, realizują programy promujące znaczenie wolnego, demokratycznego wyboru. Starają się kształtować aktywne postawy społeczeństwa i zachęcać obywateli do obrony ich własnych interesów. Utworzone w 1997 r. Zgromadzenie Organizacji Pozarządowych obecnie skupia około trzystu grup.

W białoruskim ruchu demokratycznym ważną rolę odgrywają też organizacje obrońców praw człowieka, które dokumentują przypadki łamania praw obywatelskich, zajmują się obroną osób poszkodowanych przez władze oraz udzielają pomocy represjonowanym. Najważniejsze z nich to Centrum Viasna (Wiosna), Białoruski Komitet Helsiński i Karta '97. Spośród mniejszych organizacji należy wymienić niezależne związki zawodowe, np. Stowarzyszenie Pracujących Kobiet, które starają się bronić praw pracowniczych.

Białoruskie niezależne media, dostarczające informacji wolnej od propagandy uprawianej przez dominującą prasę państwową, walczą o swoje istnienie. W 1996 r. zamknięto ostatnią niezależną rozgłośnię Radio 101,2 FM. Drukowaną prasę niezależną praktycznie zlikwidowano metodami administracyjnymi (z zamykaniem tytułów włącznie) lub ekonomicznymi (np. blokując dostęp do dystrybucji, prowadzonej przez państwowego monopolistę). W związku z tym znaczenie zyskują media internetowe. Jednocześnie dzięki wsparciu Zachodu zaczęły powstawać projekty rozwoju białoruskojęzycznych mediów elektronicznych – niezależnej telewizji satelitarnej Belsat i stacji radiowych, takich jak radio Racja i białoruska sekcja Radia Wolna Europa.

Partie polityczne aktywizują się głównie przed wyborami i referendum, wykorzystując te wydarzenia do mobilizacji swojego elektoratu. Organizacje społeczne prowadzą długofalową pracę, która w mniejszym stopniu zależy od kalendarza politycznego. Na mobilizację różnych grup społecznych wpływa również sytuacja ekonomiczna kraju i decyzje władz.

Referendum

Po objęciu władzy przez Łukaszenkę w 1994 r. głównym ośrodkiem opozycji politycznej był parlament. Dążenia prezydenta do monopolizacji władzy doprowadziły do konfliktu z częścią ugrupowań parlamentarnych, przedstawicielami nomenklatury, a nawet jego własnego obozu. Łukaszenka dosyć szybko pozbył się ze swojego otoczenia niektórych osób o demokratycznych poglądach (należeli do nich Anatol Lebiedźka – późniejszy lider opozycyjnej Zjednoczonej Partii Obywatelskiej, Alaksandr Feduta – obecnie związany z ruchem Mów Prawdę, Wiktar Hanczar – jeden z liderów opozycji końca lat dziewięćdziesiątych, który zaginął w 1999 r.), jak również przedstawicieli nomenklaturowego biznesu (takich jak Michaił Czyhir – premier w latach 1994–1996), którzy później przeszli do opozycji.

Gdy w maju 1995 r. przeprowadzono referendum w sprawie zmiany symboliki państwowej – z odwołującą się do tradycji starobiałoruskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego (biało-czerwono-biała flaga i herb Pogoń) na zbliżoną do obowiązującej niegdyś w Białoruskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej, sprzeciw wobec reżimu Łukaszenki podjęła opozycja narodowa – przede wszystkim partia Białoruski Front Narodowy (BNF). Założona jeszcze w 1988 r. jako pierwszy antykomunistyczny ruch na Białorusi, podkreślała znaczenie tradycji narodowej, propagowała język białoruski, kulturę i historię w kontrze do ideologii sowieckiej. Miało to dużą wagę,

gdyż Białoruś była chyba najbardziej zrusyfikowaną i zsowietyzowaną republiką ZSRR.

Do decydującej konfrontacji Łukaszenki z opozycją polityczną doszło w 1996 r., kiedy to prezydent przeforsował referendum konstytucyjne rozszerzające jego kompetencje kosztem innych instytucji władzy, w tym parlamentu. Od początku tego roku w Mińsku doszło do kilkunastu antyprezydenckich manifestacji. Jednocześnie opozycja zaczęła się konsolidować. Do współpracy przystąpiły najróżniejsze ugrupowania – od Białoruskiego Frontu Narodowego przez odwołującą się do hasła liberalnych Zjednoczoną Partię Obywatelską (AHP) rosyjskojęzycznej inteligencji – po Partię Komunistów Białorusi. Ruch sprzeciwu wsparli też działacze nomenklaturowi.

Referendum przeprowadzono w sposób daleki od zasad demokratycznych. Z powodu jawnego łamania prawa szef Centralnej Komisji Wyborczej Wiktar Hanczar zapowiedział, że nie podpisze protokołu końcowego referendum, za co został zwolniony ze stanowiska jeszcze w trakcie głosowania przedterminowego. W referendum 24 listopada 1996 r. formalnie przyjęto poprawki zaproponowane przez prezydenta, a większość deputowanych go poparła. Opozycja poniosła porażkę i nie udało się jej zablokować planów Łukaszenki. Zabrakło jej zdecydowania, nie zdołała też zmobilizować w dostatecznym stopniu społeczeństwa. Łukaszenka, który w krytycznym momencie otrzymał poparcie Rosji, cały czas utrzymywał inicjatywę.

W wyniku referendum całkowicie podporządkowano prezydentowi parlament i inne organy władzy. Liczbę parlamentarzystów ograniczono z 260 do 110, jednak nie przeprowadzono nowych wyborów parlamentarnych. Deputowani opozycyjni zostali po prostu usunięci, pozostawiono tylko tych popierających Łukaszenkę. Powołano wyższą izbę parlamentu, którą tworzyli członkowie władz regionalnych lojalni wobec prezydenta.

Opozycja nie uznała legalności wprowadzonych zmian i nowego parlamentu. Próbowiała kontynuować swoją działalność w ramach starej kadencji

parlamentu, ale był to już tylko gest symboliczny. W 1999 r. powstał Kongres Sił Demokratycznych, który miał koordynować działalność partii politycznych, organizacji pozarządowych i niezależnych związków zawodowych oraz rozszerzać bazę społeczną opozycji.

Porażka w referendum oraz nacisk reżimu i represje spowodowały spadek aktywności sił politycznych. Największymi wadami rozdrobnionej opozycji były amorficzna struktura i brak wyrazistego lidera. Część ruchu opozycyjnego opierała się na kontynuowaniu walki politycznej, inni natomiast opowiadali się za pracą u podstaw, krzewieniem idei narodotwórczej i wartości demokratycznych.

W maju 1999 r. upływała pięcioletnia kadencja prezydenta, tyle że w wyniku zmian konstytucyjnych Łukaszenka arbitralnie przedłużył ją o dwa lata, uznając, że rozpoczęła ona bieg od momentu referendum. Opozycja ogłosiła więc niezależne wybory. Miały one charakter manifestacji społecznej – kandydowali m.in. były premier Czyhir, który siedział w więzieniu, oraz lider BNF Zianon Paźniak przebywający na emigracji – i nie wpłynęły w żaden sposób na sytuację polityczną w kraju.

Bojkot czy uczestnictwo?

Opozycyjne debaty toczyły się tymczasem wokół legalności władzy Łukaszenki oraz tego, czy wykorzystywać organizowane przez władze wybory do walki o demokrację. Dylematy uwidoczniły się podczas wyborów parlamentarnych w październiku 2000 r. Większość opozycji zbojkotowała je, aby nie legitymizować reżimu. Część jednak wzięła w nich udział, uważając, że należy stworzyć opozycję systemową i walczyć z Łukaszenką, wykorzystując struktury władzy. Wskutek fałszerstw i represji administracyjnych do parlamentu dostały się tylko trzy osoby związane z opozycją (na 110 miejsc), ale i tak po wyborach zawiesiły swoje członkostwo w partiach.

Oprócz działalności ugrupowań politycznych ważną rolę w tym okresie odgrywała aktywność społeczeństwa, zwłaszcza manifestacje związane ze szczególnymi wydarzeniami z historii Białorusi: 25 marca – w rocznicę proklamowania Białoruskiej Republiki Ludowej w 1918 r., uznawanej przez środowiska demokratyczne za pierwszą państwowość białoruską (Dzień Wolności), oraz 26 kwietnia – w rocznicę wybuchu w elektrowni w Czarnobylu, katastrofy, która w największym stopniu dotknęła Białoruś (Czarnobylski Szlak).

Uroczystości te stały się okazją do manifestacji sprzeciwu wobec reżimu Łukaszenki. Odzwierciedlały też spór historyczny między opozycją – podkreślającą niezależność Białorusi i dystansującą się od dziedzictwa sowieckiego – i władzami, które odwoływały się do symboliki sowieckiej (najważniejszym świętem państwowym w 1996 r. został 3 lipca, na pamiątkę wyzwolenia Mińska przez Armię Czerwoną w 1944 r.). W 1999 r. organizowane przez opozycję demonstracje 15 marca (Święto Konstytucji) i październikowe protesty przeciw polityce Łukaszenki i jego dążeniom do integracji z Rosją (Marsz Wolności) zebrały po 20 tys. osób. 26 kwietnia 2000 r. na ulice Mińska wyszło 40 tys. osób – największa liczba uczestników niezależnych manifestacji w historii. Dopiero w 2006 i 2010 r. w protestach po sfałszowanych wyborach prezydenckich wzięła udział podobna liczba uczestników.

Ugrupowania opozycyjne zdecydowały się wziąć udział w wyborach prezydenckich we wrześniu 2001 r. – traktując je jako próbę odsunięcia Łukaszenki od władzy. Organizacje społeczne zaangażowały się przede wszystkim w mobilizowanie społeczeństwa, propagowanie idei demokratycznych wyborów i świadomego w nich udziału (kampania społeczna „Wybieraj”) oraz monitoring głosowania. Do kampanii wyborczej włączyli się przedstawiciele nomenklatury występujący przeciw Łukaszence; współpracowali oni z opozycją demokratyczną bądź działali samodzielnie. Mimo rozbieżności wewnątrz opozycji i ambicji

politycznych poszczególnych liderów wszystkie antyłukszenkowskie ugrupowania poparły wspólnego kandydata Uładzimira Hanczaryka – szefa państwowej Federacji Związków Zawodowych.

Przed wyborami byli pracownicy białoruskiej prokuratury ujawnili informację o działalności „szwadronów śmierci” – oddziału służb bezpieczeństwa łączonych z zaginięciami i morderstwami w latach 1999 i 2000 polityków opozycji: Wiktara Hanczara, Jurija Zacharenki i Jurija Krasouskiego oraz operatora filmowego i telewizyjnego Dźmitrija Zawadzkiego. Wyjaśnienie tych przypadków stało się dla środowisk demokratycznych i obrońców praw człowieka bardzo ważnym wezwaniem. Ciał zaginionych do dziś nie odnaleziono, a władze nie wyjaśniły do końca przebiegu wydarzeń. Co prawda w 2002 r. skazano byłych członków oddziałów specjalnych za porwanie Zawadzkiego, które sąd uznał za ich prywatną zemstę, jednak opozycja nie uznała ustaleń procesowych za wiarygodne. W lutym 2004 r. Rada Europy przyjęła raport w sprawie zaginionych, który wskazuje na możliwą odpowiedzialność ludzi reżimu, i wezwała władze do wyjaśnienia ich losów (co zostało do dziś zignorowane).

W 2001 r. opozycji nie udało się zagrozić Łukaszence. Władze jak mogły utrudniały jej prowadzenie kampanii, a wyniki wyborów zostały sfałszowane. Wzrosła jednak rola organizacji pozarządowych, które w czasie kampanii wyborczej odznaczały się największą aktywnością i skutecznością. Niestety, władze zmusiły związki zawodowe, przede wszystkim największą z nich Federację Związków Zawodowych, do wycofania się z działalności demokratycznej.

Powiedz nie Łukaszence

Zaraz po wyborach władze skupiły się na przeciwdziałaniu tendencjom odśrodkowym w nomenklaturze (aresztowano niektórych jej przedstawi-

cieli). W latach 2003–2004 nasiliły się represje wobec niezależnych mediów i organizacji społecznych (aresztowania liderów, delegalizacja organizacji, administracyjne utrudnianie działalności), a od połowy 2004 r. wobec partii politycznych. Aktywność środowisk antyłukszenkowskich niemal zamarła, a jeszcze doszło w nich do rozłamów. Brakowało koncepcji działania w okresie między wyborami, które mogłyby konsolidować partie i aktywizować społeczeństwo.

Wiosną 2004 r. przedsiębiorcy indywidualni w Mińsku i Grodnie zaprotestowali przeciw niekorzystnym dla nich decyzjom władz; podczas manifestacji pojawiły się hasła antyłukszenkowskie. Sygnałem do działania stało się jednak dopiero kolejne referendum konstytucyjne, zorganizowane w październiku, w sprawie zniesienia konstytucyjnych ograniczeń dwóch kadencji prezydenckich. Wraz z referendum przeprowadzono też wybory parlamentarne.

Wszystkie ugrupowania opozycyjne zorganizowały kampanię „Powiedz NIE Łukaszence” i wzywały do głosowania przeciw zmianom w konstytucji. Jednak w przypadku wyborów parlamentarnych partie polityczne i ruchy społeczne podzieliły się na dwa bloki. BNF, AHP, Białoruska Partia Socjaldemokratyczna Hramada i Partia Komunistów Białorusi oraz około dwustu organizacji społecznych utworzyło Koalicję 5+. Drugim blokiem był sojusz wyborczy koalicji Wolna Białoruś i Młoda Białoruś oraz grupy opozycyjnych deputowanych pod nazwą Respublika.

O ile Koalicja 5+ wystąpiła z programem demokratyzacji kraju, liberalizacji gospodarki, wzmocnienia suwerenności i zbliżenia do Zachodu, o tyle drugi blok nie przedstawił spójnego programu politycznego. Dzięki fałszerstwom i łamaniu demokratycznych zasad referendum wygrał Łukaszenka, a do parlamentu nie dostał się żaden z jego oponentów. Stosunkowo niewielkie protesty, do których doszło w Mińsku (do tysiąca osób), szybko zostały rozbite przez służby bezpieczeństwa.

Dżinsowa rewolucja

W odróżnieniu od 2001 r., kiedy po przegranych wyborach opozycja się rozpadła, w 2004 r. udało się jej zachować jedność i podtrzymać działanie. Opozycja uznała, że ważniejsze niż referendum będą wybory prezydenckie w 2006 r., bo zwycięstwo w nich zapewniłoby Łukaszenkę władzę bezterminową. Sukces „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie zimą 2004 r. obudził nadzieję na powtórzenie podobnego scenariusza na Białorusi. Z kolei włączenie państw Europy Środkowej do Unii Europejskiej, której bezpośrednim sąsiadem stała się Białoruś, zwiększyło zainteresowanie Zachodu sytuacją w tym kraju; dużą w tym rolę odegrali nowi członkowie Unii.

Opozycja polityczna już jesienią 2004 r. rozpoczęła opracowywanie wspólnej strategii wyborczej, a od wiosny 2005 r. procedury wyłaniania wspólnego kandydata. Jednocześnie w lutym i marcu 2005 r. doszło do masowych protestów i strajków przedsiębiorców indywidualnych (w większości kupców bazarowych) przeciw wprowadzonemu przez rząd podatkowi VAT od towarów sprowadzanych z Rosji. W całym kraju w strajkach wzięło udział blisko 200 tys. osób (według organizatorów), a kilkanaście tysięcy wyszło na ulice. Protesty te miały charakter wyłącznie ekonomiczny, nie wznoszono haseł politycznych. Latem 2005 r. doszło do konfliktu wokół jednej z większych w kraju organizacji społecznych – Związku Polaków na Białorusi, którą władze starały się sobie podporządkować.

Wybory prezydenckie zostały zorganizowane 19 marca 2006 r., wcześniej niż zakładał kalendarz wyborczy, tak by utrudnić opozycji prowadzenie kampanii. Większość opozycyjnych partii politycznych, organizacji pozarządowych i ruchów społecznych utworzyła koalicję pod nazwą Zjednoczone Siły Demokratyczne. Jej liderem i kandydatem w wyborach został Alaksandr Milinkiewicz, działacz pozarządowy, a w latach 1990–1996 wicemier Grodna. Drugim opozycyjnym kandydatem

był wywodzący się z nomenklatury Alaksandr Kazulin, który dopiero pod koniec 2004 r. przyłączył się do opozycji, a wcześniej za rządów Łukaszenki był ministrem edukacji i rektorem Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego. Poparła go Białoruska Partia Socjaldemokratyczna Hramada (BSDP-H) oraz pojedynczy byli działacze nomenklaturowi. Milinkiewicz i Kazulin prowadzili kampanie niezależnie od siebie. O ile Milinkiewicz prezentował się jako kandydat alternatywny wobec obecnego prezydenta i powstrzymywał się od antyłukszenkowskich wypowiedzi (w obawie przed aresztowaniem lub wykluczeniem z listy kandydatów), o tyle Kazulin atakował Łukaszenkę w ostry i prowokacyjny sposób, oskarżał go o morderstwa polityczne, okradanie narodu i niemoralny styl życia.

Mimo że zwycięzcą wyborów został ponownie ogłoszony Łukaszenka, opozycji udało się zanotować umiarkowane sukcesy, co jest tym ważniejsze, że była silnie represjonowana przez władze (m.in. areszty i pobicia aktywistów). Przede wszystkim zdołała zmobilizować społeczeństwo. Według niezależnych sondaży *exit-poll* Milinkiewicz uzyskał około 25 proc. poparcia (Łukaszenka około 47 proc.). Zaraz po ogłoszeniu oficjalnych wyników w Mińsku zebrało się 15–30 tys. osób w proteście przeciw fałszerstwom. Wzorem Ukrainy na głównym placu miasta zbudowano miasteczko namiotowe. Ta oddolna inicjatywa młodych działaczy zapowiadała pojawienie się nowego pokolenia opozycji; protest okrzyknięto „dżinsową rewolucją”. Miasteczko namiotowe zostało jednak po kilku dniach rozbite przez milicję.

Zaraz po wyborach działalność opozycyjna została sparaliżowana – z jednej strony z powodu fali represji (po protestach powyborczych zatrzymano blisko tysiąc osób, Kazulina skazano na 5,5 roku więzienia), z drugiej – ze względu na wewnętrzne podziały i konflikty między liderami, którzy skupili się na wzajemnej rywalizacji.

Wskutek przetarasowań utworzyły się trzy skrzydła opozycji. Pierwsze, którego liderem pozostał Milinkiewicz, skupiało organizacje pozarządowe

i społeczne połączone w Ruchu o Wolność oraz partię BNF. Głosiło konieczność wykorzystywania nowych form protestu, takich jak uliczne happeningi czy rozpowszechnianie informacji w sieci, tworzenia zdecentralizowanych struktur opozycyjnych, wzmocnienia roli organizacji pozarządowych i inicjatyw oddolnych. W polityce zagranicznej prezentowało hasła prozachodnie, opowiadało się za integracją z Unią Europejską i partnerskimi relacjami z Rosją. Drugie skrzydło tworzyła AHP, która odwoływała się do liberalizmu gospodarczego. W skład trzeciego weszły ugrupowania lewicy, z partią komunistów PKB i socjaldemokratów BSDP-H na czele. W grudniu 2006 r. utworzyły one Sojusz Partii Lewicowych, którego honorowym liderem został przebywający w więzieniu Kazulin. Przedstawiciele dwóch ostatnich skrzydeł opowiadali się za utrzymaniem scentralizowanych struktur współpracy i preferowali tradycyjne metody działania opozycji – organizację kampanii politycznych. Lewica zorientowana była też bardziej na współpracę z Rosją niż Zachodem. Różnicę między Ruchem o Wolność Milinkiewicza i pozostałymi ugrupowaniami odzwierciedlał też konflikt między młodszymi członkami opozycji skupionymi w Ruchu i starszym pokoleniem działaczy partyjnych.

Opozycja w kryzysie

Po wyborach 2006 r. sytuacja opozycji przypominała tę z 2001 r. Ponowie spadła aktywność, wzrosły zaś konflikty w jej łonie. Wybory parlamentarne w 2008 r. nie stały się impulsem do działania. Przedstawiciele opozycji wzięli w nich udział, jednak żaden z nich nie dostał się do parlamentu. Władze tradycyjnie administracyjnymi metodami utrudniały prowadzenie kampanii, a same wybory nie zostały uznane za demokratyczne. Jednak fałszerstwa wyborcze nie wywołały masowych protestów takich jak trzy lata wcześniej. Oprócz represyjnej polityki władz (choć ta została nieco złagodzona w latach 2008–2010 na fali stopniowej

poprawy relacji Mińska z Unią Europejską) na słabość opozycji wpłynęła bierna postawa społeczeństwa, niechętnego udziałowi w życiu polityczno-społecznym, a także relatywnie dobra sytuacja gospodarcza, utrzymująca się do wybuchu kryzysu ekonomicznego w 2009 r.

Dopiero kolejne wybory prezydenckie ożywiły oponentów reżimu. W lutym 2010 r. powołano inicjatywę Mów Prawdę!, która z czasem przerodziła się w ruch społeczny. Organizował on antyłukaszenkowskie akcje masowe, monitorował też przebieg wyborów do władz lokalnych wiosną 2010 r. Przywódca ruchu, poeta Władimir Niekłajeu, stał się jednym z bardziej popularnych liderów opozycyjnych.

Przed wyborami prezydenckimi 19 grudnia 2010 r. władze złagodziły politykę. Opozycyjni kandydaci mieli większe niż w ubiegłych latach możliwości prowadzenia kampanii wyborczej. Z jednej strony spowodowane to było próbami poprawy relacji z Unią Europejską i jednoczesnym pogorszeniem się stosunków z Rosją. Z drugiej wynikało z przekonania władz o słabości opozycji.

Tę ocenę potwierdziła zła kampania wyborcza opozycji. Nie tylko nie wystawiła ona wspólnego kandydata, ale nawet nie zdołała się porozumieć w sprawie koordynacji działań przed wyborami. Przeciw Łukaszence wystąpiło jedenastu kandydatów (z czego dziesięciu zostało zarejestrowanych przez komisję wyborczą), ale przywódca Ruchu o Wolność Alaksandr Milinkiewicz, będący ciągle stosunkowo popularnym politykiem, nie wziął w nich udziału. Inni liderzy potraktowali wybory jako okazję do wzmocnienia swojej pozycji w środowiskach opozycyjnych, a nie jako szansę na odsunięcie Łukaszenki od władzy, zakładając, że jest to niemożliwe. Doprowadziło to do rozdrobnienia elektoratu antyłukaszenkowskiego, ocenianego wówczas w sondażach na około 25 proc.

Łukaszenka został prezydentem po raz czwarty w wyniku niedemokratycznych wyborów (mimo pewnego odprężenia media były całkowicie zdo-

minowane przez proreżimową propagandę, a władze zapewniły sobie pełną kontrolę nad liczeniem głosów), a żadnemu z kandydatów opozycji nie udało się uzyskać większego poparcia społecznego. Najpopularniejszym politykiem wówczas był Uładzimir Nieklajeu, który według niezależnych sondaży opinii publicznej mógł liczyć na poparcie około 17 proc. wyborców. Jednak według oficjalnych wyników uzyskał 1,78 proc. głosów (oficjalnie najwięcej głosów spośród opozycyjnych kandydatów otrzymał Andrej Sannikau – 2,43 proc., podczas gdy Łukaszenka 79,65 proc.).

Rewolucja 2.0

Nieoczekiwanie nie tylko dla władz, ale też dla liderów opozycji 19 grudnia po ogłoszeniu wyników wyborów na ulicach Mińska od 20 do 40 tys. ludzi (według różnych szacunków) zaprotestowało przeciw fałszerstwom wyborczym i dyktaturze. Przemaszerowali główną arterią miasta, wznosząc hasła antyłukszenkowskie. Była to największa demonstracja od dziesięciu lat. Nową jakość w działaniach demokratycznych stanowiło uczestnictwo w nich głównie ludzi niezwiązanych z tradycyjnymi środowiskami opozycji politycznej. Zorganizowali się oni w sposób spontaniczny, wykorzystując internet i portale społecznościowe, łączność komórkową i Skype'a.

Demonstracja została rozbita przez oddziały bezpieczeństwa i milicję. W ciągu następnych kilku dni do aresztu trafiło prawie 650 osób: zwykli uczestnicy demonstracji, a potem ich bliscy protestujący przeciw zatrzymaniom, działacze demokratyczni (w tym dziewięciu kontrkandydatów Łukaszenki startujących w wyborach), przedstawiciele niezależnych mediów. Zakrojone na szeroką skalę represje miały nie tylko całkowicie rozbić opozycję polityczną, ale i spacyfikować wszelkiego rodzaju przejawy protestu społecznego. Zmierzły one w dwóch kierunkach: ukarania niezależnych działaczy oraz przeprowadzenia zmian w prawie uniemożliwiających prowadzenie jakiej-

kolwiek działalności społecznej bez zgody władz. Głośnym echem odbiło się skazanie na 4,5 roku kolonii karnej Alesia Bialackiego – jednego z najważniejszych białoruskich obrońców praw człowieka, szefa organizacji Wiasna zajmującej się dokumentowaniem przypadków łamania prawa oraz wspierającej osoby represjonowane.

Opozycja polityczna została rozbita, ale wybuch ponownego kryzysu gospodarczego w 2011 r. doprowadził do znacznego pogorszenia nastrojów społecznych. W czerwcu-lipcu nasiliły się oddolne protesty, organizowane poza strukturami opozycji. Zostały zainicjowane przez nowe środowiska, głównie młodych ludzi, którzy zwoływali się przez internet i portale społecznościowe. Pod hasłem „Rewolucja poprzez sieci społeczne” urządzano cotygodniowe manifestacje w miastach całego kraju, tzw. flash-moby – nagle w jednym miejscu gromadzili się ludzie demonstrujący w milczeniu niezadowolenie z polityki władz. Ponadto wyraz niezadowoleniu dawali ci, w których uderzał pogłębiający się kryzys ekonomiczny. Handlarze przygraniczni zablokowali przejście graniczne z Polską w Brześciu, nie zgadzając się na wprowadzone przez władze ograniczenia w wywozie towarów, a 1,5 tys. kierowców zatamowało ruch w centrum Mińska, protestując przeciw podwyżkom cen benzyny.

Z uwagi na niekonwencjonalny charakter wystąpień początkowo służby bezpieczeństwa nie wiedziały, jak na nie reagować. Jednak dosyć szybko podjęły radykalne działania (aresztowanie uczestników, blokowanie miejsc protestów i stron internetowych) i w sierpniu protesty zostały wygaszone.

Manifestacje z połowy 2011 r. były sprzeciwem wobec nieudolnej polityki władz, która doprowadziła do kryzysu ekonomicznego, jednak nie podnoszono podczas nich hasel politycznych i nie odwoływano się do symboliki narodowej. Akcje te świadczyły o pewnej aktywizacji białoruskiego społeczeństwa, dotychczas niechętnego publicznej obronie swoich interesów.

Co dalej?

Po represjach w 2011 r. opozycja polityczna nadal znajduje się w kryzysie, nie jest w stanie zdobyć poparcia społecznego. Społeczeństwo białoruskie z kolei zachowuje bierną postawę, zastraszone przez aparat represji. Jednocześnie jesienią 2011 r. władzom udało się opanować kryzys gospodarczy, co spowodowało pewną poprawę nastrojów.

Wybory parlamentarne z września 2012 r. nie skłoniły opozycji do zjednoczenia. Przeciwnie, przybierają na sile wewnętrzne podziały. Część partii – Ruch o Wolność, Mów Prawdę!, BNF i komuniści z PKB, którzy w 2009 r. zmienili nazwę swojej partii na Sprawiedliwy Świat – opowiada się za udziałem w wyborach. Optują one za dialogiem Unii Europejskiej z Mińskiem – tak by sankcje unijne nie uderzały w zwykłych obywateli. Drugie skrzydło opozycji – Europejska Białoruś Andreja Sannikaua, AHP Anatola Labiedźki i Białoruska Chrześcijańska Demokracja Witala Rymaszeuskiego – zajmuje bardziej radykalne stanowisko; opowiada się za bojkotem wyborów, a także za prowadzeniem przez Unię ostrej polityki wobec władz w Mińsku i ich izolowaniem. Jednak wszystkim partiom brakuje pomysłu na działanie, jasnego programu politycznego oraz dobrego zaplecza eksperckiego. Środowiska „Rewolucji poprzez sieci społeczne” zostały szybko rozbite przez władze i nie udało im się trwale zaistnieć wśród grup demokratycznych.

Dla Unii Europejskiej, która zamroziła relacje z Mińskiem i wprowadziła sankcje, głównym partnerem są ugrupowania demokratyczne. W marcu 2012 r. Unia rozpoczęła tzw. europejski dialog na temat modernizacji Białorusi. Stara się wzmocnić białorską opozycję merytorycznie i przygotować ją do stymulowania zmian w kraju.

Bilans

W czasie osiemnastoletnich rządów Łukaszenki białoruska opozycja demokratyczna nie zanoto-

wała spektakularnych sukcesów. Nawet nie chodzi tu o fiasko wysiłków na rzecz przeciwdziałania autorytaryzmowi w kraju, co było bardzo trudne wobec umacniającego się reżimu i niesprzyjających opozycji warunków zewnętrznych (wsparcie Rosji dla Łukaszenki i brak zainteresowania Zachodu). Partie ujawniały swoje istnienie jedynie podczas kampanii wyborczych, nie miały pomysłów na stałą pracę wśród obywateli, a ich liderzy w dużym stopniu koncentrowali się na rywalizacji między sobą. W efekcie nie byli w stanie wpływać na wydarzenia w kraju. Nawet duże protesty społeczne były inicjowane oddolnie, bez udziału opozycji instytucjonalnej.

Częściowo tę lukę w działalności partii politycznych wypełniają organizacje społeczne i pozarządowe. Odgrywają one bardzo ważną rolę w środowiskach demokratycznych, działają często znacznie aktywniej niż skonfliktowani działacze polityczni. W postsowieckim społeczeństwie białoruskim budowanie postaw obywatelskich jest fundamentalnym zadaniem. Jednak poszczególne organizacje mają dość ograniczony zasięg i charakter bardziej lokalny niż ogólnokrajowy.

Społeczeństwo w masie pozostaje bierne. Według sondaży niewielka część Białorusinów gotowa jest do aktywnej obrony swoich praw. Do masowych protestów dochodziło tylko wskutek pogorszenia sytuacji ekonomicznej i poziomu życia. Jednak opozycja polityczna nie była w stanie wykorzystać tego niezadowolenia.

Opozycja stoi teraz przed kilkoma ważnymi wyzwaniami. Stopniowo zachodzi zmiana pokoleniowa – coraz większą rolę odgrywają ludzie młodzi, urodzeni już w niepodległej Białorusi. Kluczowym wyzwaniem dla środowisk demokratycznych pozostaje budowa poparcia społecznego. Opozycja powinna w większym stopniu koncentrować się na przedstawianiu alternatywy wobec reżimu, zacząć realizować inicjatywy nie tylko polityczne, ale i społeczne, odpowiadające potrzebom zwykłych ludzi. Powinna wykorzystywać nowe formy protestu i nowe technologie, takie jak internet, serwisy

internetowe, portale społecznościowe (co odegrało ważną rolę podczas rewolucji demokratycznych w Afryce Północnej). Wreszcie duży wpływ na przyszłość opozycji będzie miał kontekst międzynarodowy, w tym stale wzrastająca zależność polityczna i ekonomiczna Białorusi od Rosji, do której ugrupowania opozycyjne będą musiały się

odnieść. Dotychczas koncentrowały się one na sprawach wewnętrznych, kwestie międzynarodowe nie zajmowały centralnego miejsca w ich strategii politycznej. Rosnąca zależność Mińska od Moskwy będzie jednak zmieniała sytuację polityczną na samej Białorusi, a tym samym warunki działania opozycji.

SPRAWA „JEDENASTKI”

ODRZUCONA PROPOZYCJA. ROZMOWY O UWOLNIENIU PRZYWÓDCÓW SOLIDARNOŚCI 1983–1984

JAN SKÓRZYŃSKI

dr, historyk i dziennikarz, w latach 1989–1990 kierownik działu historycznego „Tygodnika Solidarność”, 2000–2006 zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej” i szef dodatku „Plus-Minus”. Redaktor naczelny wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*, t. 1–3 (2000, 2002, 2006). Wydał m.in. *Kalendarium Solidarności 1980–89* (wraz z Markiem Pernalem, 1990), *Rewolucja Okrągłego Stołu* (2009, nominowana do nagrody im. Kazimierza Moczarskiego), *Zadra. Biografia Lecha Wałęsy* (2010), *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników* (2012).

Udana operacja policyjno-wojskowa, jaką było wprowadzenie stanu wojennego, pozwoliła rządowi Wojciecha Jaruzelskiego odsunąć największe zagrożenie dla systemu komunistycznego – wielomilionową, legalnie działającą Solidarność. Związek został zdelegalizowany, a jego elita kierownicza uwięziona. Aby umocnić system władzy nadwątłony solidarnościowym demokratycznym „karnawałem”, przeprowadzić konieczną sanację gospodarki i podjąć próbę odzyskania społecznej legitymizacji, trzeba było jednak czegoś więcej. Bagnetem można wiele zdziałać, ale nie da się na nim siedzieć. Wraz z upływem czasu problem aresztowanych po 13 grudnia 1981 r. liderów Solidarności stawał się jedną z głównych przeszkód na drodze do normalizacji. Wysiłki reżimu Jaruzelskiego, aby udowodnić – w kraju i za granicą – że sytuacja wróciła pod kontrolę partii, rozбивały się o istnienie kilkuset więźniów politycznych. Odbudowa dyplomatycznych i handlowych relacji z Zachodem, zamrożonych po 13 grudnia, nie była możliwa bez rozwiązania tej kwestii, mimo zniesienia stanu wojennego 22 lipca 1983 r.

Ogłoszona przy tej okazji amnestia nie objęła wszystkich. W więzieniach zatrzymano kilkudziesięciu czołowych oponentów władzy. Największy problem stanowiło siedmiu przywódców Solidarności i czterech działaczy Komitetu Samoobrony Społecznej KOR przetrzymywanych bez wyroku sądu od nocy grudniowej¹: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Marian Jurczyk, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski i Jan Rulewski oraz Jacek Kuroń, Adam Michnik, Henryk Wujec i Zbigniew Romaszewski. Prasa podziemna nazywała ich „jedenastką”. Ich uwolnienia domagało się konspiracyjne kierownictwo związku – Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ Solidarność, stawiając to jako warunek wstępny ewentualnych negocjacji z rządem na temat porozumienia.

Wprowadzenia pełnej amnestii i uwolnienia wszystkich więźniów politycznych domagał się także Kościół katolicki, z którym komunistyczne władze bardzo się liczyły. Episkopat 26 września 1983 r. przedstawił rządowi *pro memoria*, w którym

¹ Z wyjątkiem Zbigniewa Romaszewskiego, który działał w podziemiu i został aresztowany 29 VIII 1982 r.

wskazywał na negatywne dla klimatu społecznego konsekwencje ewentualnego procesu przywódców Solidarności i postulował ich uwolnienie do końca roku. Impulsem do podjęcia próby rozwiązania sprawy „jedenastki” przez rząd PRL było też, jak można przypuszczać, przyznanie Lechowi Wałęsie 5 października 1983 r. pokojowej Nagrody Nobla. Umocniło to działający w podziemiu związki, pokazało poparcie, jakim Solidarność wciąż cieszyła się na świecie. Dwa tygodnie później, 19 października, minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak przedstawił abp. Bronisławowi Dąbrowskiemu, który był z ramienia episkopatu odpowiedzialny za kontakty z rządem, ofertę uwolnienia czołowych opozycjonistów pod warunkiem ich wyjazdu z kraju na pięć lat i zaprzestania działalności antypaństwowej. Generał Kiszczak, który w ścisłej elicie władzy był prawą ręką Wojciecha Jaruzelskiego, przyznał, że rząd woli uniknąć procesów politycznych, choć groził jednocześnie, że ewentualne wyroki mogą sięgać pięciu lat. Sugerował włączenie do rozmów doradców Solidarności – Wiesława Chrzanowskiego, Jana Olszewskiego, Władysława Siłę-Nowickiego i Andrzeja Wielowieyskiego².

Szef MSW prosił swoich kościelnych interlokutorów o pełną poufność, ale już 4 listopada opinia publiczna dowiedziała się od rzecznika rządu Jerzego Urbana, że „jedenastka” mogłaby opuścić więzienie, jeżeli zgodziłaby się wyjechać na emigrację³. Wcześniej abp. Dąbrowski przedstawił tę propozycję Chrzanowskiemu, Olszewskiemu, Wielowieyskiemu oraz Bronisławowi Geremekowi, Tadeuszowi Mazowieckiemu i Stanisławowi Stomnie. Poprosił doradców Solidarności, aby utworzyli zespół do rozpatrzenia rządowej oferty. Nie namawiał na jej przyjęcie. On i inni przedstawiciele Kościoła stwierdzali, że nie można się zgo-

dzić na żadne rozwiązanie, które przypominałoby banicję. Powołany na prośbę Dąbrowskiego przez doradców Zespół Dobrych Usług od razu wykluczył rozwiązanie wyjazdowe. Postanowił jednak podjąć za pośrednictwem Kościoła dialog z władzami. O pracach tego zespołu szczegółowo informuje publikowana poniżej – po raz pierwszy – relacja Bronisława Geremka udzielona Tadeuszowi Kowalikowi 3 czerwca 1984 r., a więc bardzo niedługo po zakończeniu pośrednich rozmów z rządem.

Były to trudne negocjacje. Komunistom zależało na wypchnięciu przywódców opozycji za granicę; skazanie na izolację od kraju miało ich politycznie unieszkodliwić. Zamiana cel w warszawskim więzieniu przy ul. Rakowieckiej na pobyt na Łazurowym Wybrzeżu – taką perspektywą Kiszczak kusił aresztowanych w rozmowie z abp. Dąbrowskim 8 grudnia. Ważniejszy jednak był inny argument: „Gdyby ta jedenastka wyjechała, to mogłaby nastąpić lawina zwolnień skazanych więźniów politycznych. Wielu z nich także mogłoby wyjechać za granicę” – mówił generał⁴. Szef policji stawiał swoich więźniów przed trudnym wyborem, stosując moralny szantaż: albo zgodzą się na emigrację i otworzą drogę do wolności innym działaczom Solidarności, albo odrzucą ofertę, skazując nie tylko siebie, ale i kolegów na lata więzienia.

Tę ofertę Kiszczak złożył również podczas rozmowy z żoną Adama Michnika Barbarą Szwedowską⁵. Michnik odpowiedział 10 grudnia obelżywym listem do szefa policji. „Wiem dobrze, Panie Generale, do czego wam nasz wyjazd jest potrzebny. Do tego, by nas ze zdwojoną siłą opluskwiać w swoich gazetach jako ludzi, którzy ujawnili wreszcie swe prawdziwe oblicze; którzy przedtem wykonywali cudze dyrektywy, a teraz połąsili się na kapitalistyczne luksusy. Do tego, by zademonstrować światu, że wy jesteście szlachetnymi liberałami,

² P. Raina, *Rozmowy z władzami PRL. Arcybiskup Dąbrowski w służbie Kościoła i narodu*, t. 2: 1982–1989, Warszawa 1995, s. 56–57.

³ J. Skórzyński, M. Pernał, *Kalendarium Solidarności 1980–89*, Warszawa 2005, s. 128.

⁴ P. Raina, *Rozmowy z władzami PRL...*, s. 57–61.

⁵ A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, *Między panem a plebanem*, Kraków 1995, s. 440.

a my szmatami bez charakteru. Do tego, by móc Polakom powiedzieć: »Patrzcie, nawet oni skapitulowali, nawet oni stracili wiarę w demokratyczną Polskę«” – pisał autor *Z dziejów honoru w Polsce*. Michnik zwracał uwagę, że organa prokuratury i sądu w PRL są kpina z sprawiedliwości, skoro minister spraw wewnętrznych sugeruje, iż wyrok jest ustalony na długo przed rozpoczęciem procesu. „Aby tak jawnie przyznać się do deptania prawa, trzeba być durniem. [...] Aby, będąc więziennym nadzorcą, proponować człowiekowi więzionemu od dwóch lat Lazurkowe Wybrzeże w zamian za moralne samobójstwo, trzeba być świnią. [...] Aby wierzyć, że ja mógłbym taką propozycję przyjąć, trzeba wyobrazić sobie każdego człowieka na podobieństwo policyjnego szpicla”⁶.

Jednolita postawa Kościoła, doradców i Adama Michnika – jedyne z uwięzionych, który znał już wtedy propozycję władz – musiała zrobić wrażenie. Reżim wycofał się z warunku wyjazdu za granicę. 14 grudnia w rozmowie z Chrzanowskim, Stommą i ks. Alojzym Orszulikiem, najbliższym współpracownikiem abp. Dąbrowskiego, Kiszcak zapewniał wprawdzie, że rząd nie boi się wydania wyroków na „jedenastkę” i gotów jest – jak się wyraził – zjeść tę żabę, ale na koniec stwierdził, że ostatecznie wystarczyłoby, gdyby uwięzieni przywódcy Solidarności „złożyli oświadczenie, że po uwolnieniu nie podejmą działalności politycznej”⁷. Strona kościelna i doradcy uznali tę nową formułę za godną rozpatrzenia.

22 grudnia w Sekretariacie Episkopatu Polski, gdzie Zespół Dobrych Usług obradował, zastanawiano się nad tą ofertą w gronie rozszerzonym o kilku dawnych członków KSS KOR – Jana Józefa Lipskiego, Józefa Rybickiego i Marię Wosiek. Po-
stanowiono podjąć rozmowy z aresztowanymi kolegami, do których miała należeć decyzja przyjęcia

bądź odrzucenia propozycji i warunków władz. Na-
zajutrz Chrzanowski, Stomma i ks. Orszulik prze-
kazali te ustalenia Kiszcakowi. Generał oznajmił,
że warunkiem uniknięcia procesów jest zdecydo-
wane odcięcie się oskarżonych od dotychczasowej
działalności i pisemne zobowiązanie, że już nigdy
jej nie podejmą. Mecenass Chrzanowski odparł, że
żądanie samokrytyki i wyrzeczenia się na zawsze
określonych praw obywatelskich jest nie do przy-
jęcia. Władzom powinno wystarczyć, jeśli oskarże-
ni zobowiążą się nie podejmować przez ustalony
czas działalności publicznej. Doradcy i koledzy
z KOR mogą z nimi na ten temat porozmawiać,
jednak poza więzieniem.

Minister przyjął do wiadomości to stanowisko.
Umówiono się na kolejne spotkanie pod koniec
roku. Jednak 28 grudnia nastąpił zwrot akcji.
Kiszcak odwołał spotkanie, twierdząc, że solidar-
nościowi rozmówcy nie dotrzymali umowy o pouf-
ności, sprawa wyszła na jaw, rozgłoszenie zachodnie
informują o negocjacjach, a „przykry” list Michni-
ka do niego został opublikowany w prasie amery-
kańskiej⁸.

Stan zawieszenia nie trwał wszakże długo. Im-
puls do wznowienia rozmów dało 5 stycznia 1984 r.
spotkanie prymasa Polski kard. Józefa Glempa
z szefem partii Wojciechem Jaruzelskim. Prymas
podniósł sprawę zwolnienia więźniów politycz-
nych, podkreślając negatywne konsekwencje
planowanych procesów. Jaruzelski sugerował, by
zwrócić się do Watykanu o pomoc w załatwieniu
zaproszeń na stypendia lub wykłady do Włoch
dla jedenastu przywódców opozycji. Jednak nie
wykluczył innego rozwiązania – deklaracji o za-
niechaniu na jakiś czas aktywności publicznej. To
umożliwiło powrót do negocjacji.

Rozmowy zostały wznowione 13 stycznia
z udziałem abp. Dąbrowskiego, Stommy, ks. Or-

⁶ Pełny list zob. A. Michnik, *Polskie pytania*, Warszawa 1993, s. 302–307.

⁷ P. Raina, *Troska o internowanych. Interwencje abp. Dąbrowskiego u gen. Kiszcaka 1982–1989*, Warszawa 1999, s. 199–201.

⁸ *Ibidem*, s. 201–203.

szulika i ministra Kiszcza. Zarówno arcybiskup, jak i Stanisław Stomma podkreślili, że punktem wyjścia musi być uwolnienie uwięzionych – nie można paktować w sprawie „jedenastki” bez jej wiedzy i zgody. Dopiero po ich wypuszczeniu może być rozważany ich wyjazd za granicę. Natomiast Kiszcza powrócił do stawianego już parę razy wcześniej żądania wyłączenia Bronisława Geremka i Tadeusza Mazowieckiego z prac Zespołu Dobrych Usług. Była to próba wyeliminowania z grona negocjatorów ludzi najbliższych związanych z Solidarnością lat 1980–1981, politycznych doradców Lecha Wałęsy. Władze chciały uniknąć sytuacji, w której ewentualne zwolnienie więźniów staje się okazją do powrotu na wokandę publiczną kwestii zdelegalizowanego związku i reprezentujących go ludzi. Arcybiskup stanowczo jednak bronił Geremka i Mazowieckiego, wystawił im wysoką ocenę jako politykom rozsądnym i konstruktywnym⁹.

Z udziałem obydwu doradców Solidarności generał ostatecznie pogodził się w marcu. Na początku kwietnia władze przestały się upierać przy warunku wyjazdu, przyjmując wariant „poniechania publicznej działalności politycznej” do końca 1986 r. – jak to sformułował Kiszcza w piśmie do abp. Dąbrowskiego z 4 kwietnia. Miało to polegać na: 1) powstrzymaniu się od organizowania i uczestnictwa w zgromadzeniach o charakterze politycznym, 2) niepublikowaniu opracowań na tematy polityczne, 3) nieudzielaniu wywiadów zawierających opinie o charakterze politycznym mediom krajowym i zagranicznym. Minister ponowił też sugestię, że pozytywne załatwienie sprawy „jedenastki” będzie przesłanką do amnestionowania innych aresztowanych działaczy Solidarności¹⁰. Warto zauważyć, że sukcesem negocjacyjnym opozycji – obok rezygnacji z wysłania więźniów za

granicę – było znaczne skrócenie okresu przewidywanej karencji na udział w życiu publicznym – z pięciu do dwóch i pół lat.

W połowie kwietnia gotowy był zestaw dokumentów koniecznych do przeprowadzenia operacji uwolnienia „jedenastki”. Na ów zestaw składały się: 1) list prymasa Józefa Glempa do przewodniczącego Rady Państwa Henryka Jabłońskiego z prośbą o objęcie amnestią uwięzionych przywódców opozycji, 2) odpowiedź Jabłońskiego z zapowiedzią zwrócenia się Rady Państwa do prokuratora generalnego PRL i Sądu Najwyższego o zastosowanie wobec uwięzionych amnestii, jeśli się wstrzymają z działalnością polityczną, 3) wzór listów prymasa do poszczególnych aresztowanych z prośbą o rozważenie proponowanych warunków odzyskania wolności, podkreślających, że ich przyjęcie nie wymaga pisemnego zobowiązania wobec władz, oznacza jedynie „przyjęcie obowiązku o charakterze moralnym”, 4) wzór pozytywnej odpowiedzi aresztowanych na pismo prymasa. Ten ostatni warto przytoczyć w całości: „Po zapoznaniu się z listem Księdza Prymasa z dnia... 1984 r. oraz załączonymi do niego dokumentami wyrażam gotowość zaniechania publicznej działalności politycznej w rozumieniu określonym w załączniku nr 2 w okresie do 31 grudnia 1986 r.”¹¹. Definicja działalności politycznej przedstawiona w załączniku była zgodna z opisem gen. Kiszcza z 4 kwietnia.

Całą koncepcję rozwiązania problemu więźniów, łącznie z dokumentami, zaaprobował 18 kwietnia Lech Wałęsa. W liście do prymasa Glempa przypominał wszakże: „Uważam, że pozostaje do rozwiązania problem pluralizmu organizacji społecznych i zawodowych. Te cele stoją przed nami, należy do nich dążyć w sposób roztropny metodami właściwymi, tzn. zgodnymi z katolicką nauką społeczną”¹².

⁹ P. Raina, *Rozmowy z władzami PRL...*, s. 67–69.

¹⁰ P. Raina, *Troska o internowanych...*, s. 217–218.

¹¹ *Ibidem*, s. 221–224.

¹² *Ibidem*, s. 221.

Według Bronisława Geremka do napisania tego listu Wałęsę skłoniły władze kościelne, chcąc go użyć jako argumentu wobec aresztowanych. Geremek jednak wątpił w to, czy opinia przewodniczącego przekonałaby wszystkich uwięzionych, wśród których znajdowali się bezpardonowi krytycy przywództwa Wałęsy.

Podziemne kierownictwo Solidarności nie wypowiadało się publicznie na temat negocjacji. Ich wyniki, przedstawione na początku maja przez Jana Olszewskiego, członkowie TTK przyjęli z mieszanymi uczuciami. Nie zamierzali do niczego namawiać uwięzionych kolegów. „Byliśmy jednomyślni: nie można ich w żaden sposób zmuszać, nie powinniśmy się w to wdawać, to nieetyczne” – wspomina Bogdan Lis¹³. W poufnym liście do prymasa i opozycyjnych negocjatorów krytykowano pominięcie podziemia i jego postulatów w procesie negocjacyjnym i niepodjęcie kwestii związkowej – „zasadniczej przyczyny, dla której uczciwi ludzie znajdują się w więzieniach”¹⁴. Bronisław Geremek przekonywał jednak w listach do Zbigniewa Bujaka i Bogdana Lisa do poparcia inicjatywy, uważając, że jest to szansa na pośrednie uznanie podziemia przez władze jako partnera politycznego.

Nieformalnym przedstawicielem TTK w tej sprawie został Jan Józef Lipski. Otrzymał on dwa listy TTK do aresztowanych. Jeden z poparciem dla propozycji prymasa, akcentujący perspektywę „uwolnienia wszystkich więźniów politycznych w PRL”; gdyby większość „jedenastki” chciała się zgodzić, miał go wręczyć niezdecydowanym¹⁵. W drugim liście TTK formułowała negatywne stanowisko wobec oferty władz. O tym, który list ostatecznie pokazać, Lipski miał zdecydować po kontakcie z aresztowanymi¹⁶.

O dalszym toku negocjacji oraz spotkaniach Zespołu Dobrych Usług z więźniami szczegółowo opowiada w swojej relacji Bronisław Geremek. Na osobne omówienie zasługuje postawa Adama Michnika, który jako jedyny z uwięzionych z punktu odrzucił jakiekolwiek rozmowy na temat warunków uwolnienia. Jego determinacja, by nie pozostawić cienia wątpliwości w tej sprawie, była tak wielka, że 20 kwietnia, w Wielki Piątek, odmówił wyjścia z celi na spotkanie z kolegami z KOR, zebranymi w przygotowanym przez MSW lokum w Otwocku, nie przyjął też na rozmowę Jana Józefa Lipskiego, który przyjechał do więzienia. Wyjątek zrobił tylko dla Jacka Kuronia, który został doprowadzony do celi przyjaciela, by przekonać go o tym, że warto porozmawiać we własnym gronie, co żadnej decyzji nie przesądza. „Ja cały czas byłem przekonany, że Adaś nie chce wyjść z celi, bo nie wierzy w to, że idzie się spotkać z przyjaciółmi, w ogóle nie rozumiem, jak on może nie chcieć wyjść z celi, co za obłęd jakiś” – opowiadał Kuroń w połowie lat osiemdziesiątych. „Adasiowi wcześniej na widzeniu Basia [Szwedowska] powiedziała, że będzie taka rozmowa i [...] on był przygotowany, on to sobie przemyślał, ja natomiast nie wiedziałem nawet, jaka będzie rozmowa. [...] Kiedy przyszedłem do Adasia, to żeśmy się pokłócili przerażająco, dlatego że rozmawialiśmy na zupełnie innych poziomach. Adaś powiedział, że w więzieniu nie prowadzi się pertraktacji z policją ani żadnych pertraktacji się nie prowadzi, od pertraktacji są ludzie na wolności. A ja mówiłem: Z jaką policją? Z naszymi przyjaciółmi. Jak ich tu policja przysłała, to są policją. No i ja dostałem szału. On był spięty, jego ta decyzja niestychanie dużo kosztowała, on był jednak samotny, samotnie tę decyzję musiał podejmować, on się z tym

¹³ B. Lis, *Długi marsz i szybki skok*, „Wolność i Solidarność” 2010, nr 1, s. 157.

¹⁴ Cyt. za: A. Friszke, *Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ „Solidarność” (1982–1987)* [w:] *Solidarność podziemna 1981–1989*, red. A. Friszke, Warszawa 2006, s. 89.

¹⁵ *Ibidem*, s. 89.

¹⁶ B. Lis, *Długi marsz...*, s. 157.

borykał przecież już całą noc czy dwie nawet noce, a na mnie to wszystko przecież dopiero co spadło, jeszcze o żadnej decyzji nie było mowy. Po prostu żeśmy na siebie wrzeszczeli”.

Po następnych rozmowach, na które pozwoliła безпеka, Kuroń zgodził się jednak z Michnikiem, że nie wolno iść na żaden układ, nawet z myślą o uwolnieniu reszty więźniów, bo przez uczestników ruchu solidarnościowego zostanie to rozumiane jako akt lojalności wobec władzy. „Jedenastka to jest pewien symbol polityczny i ten symbol polityczny nie może się poddać, bo jak zdeklarujemy, że nie będziemy działać, to my podpisujemy lojale [wymuszane przez władze pisemne deklaracje przestrzegania prawa] i jedenastka tego zrobić nie może” – wspominał Kuroń¹⁷.

Postawa Michnika zaważyła w sposób decydujący na rezultatach pierwszych rozmów między doradcami i aresztowanymi. Zorganizowano je odrębnie dla korowców i członków Komisji Krajowej Solidarności. Korowską grupę do rozmów tworzyli Jan Józef Lipski, Józef Rybicki, Aniela Steinsbergowa, Maria Wosiek i ks. Jan Zieja. Ich spotkanie z Jackiem Kuroniem, Zbigniewem Romaszewskim i Henrykiem Wujcem odbyło się 20 kwietnia w willi MSW pod Otwockiem. Więźniowie poważnie rozważali ofertę władz, jednak stanowisko Michnika spowodowało, że sprawa utknęła w martwym punkcie. Kilukrotne rozmowy Kuronia z Michnikiem w jego celi nie posunęły jej do przodu (na rozmowę do Michnika doprowadzano też później Karola Modzelewskiego).

Tegoż dnia z członkami Komisji Krajowej spotkali się Wiesław Chrzanowski, Bronisław Geremek, Aleksander Gieysztor, Tadeusz Mazowiecki, Jan Olszewski, Andrzej Stelmachowski i Andrzej Wielowieyski. Rozmowy miały miejsce w willi MSW w Chylicach, gdzie na początku stanu wojenne-

go przetrzymywano Lecha Wałęsę. Przywieziono na nie Andrzeja Gwiazdę, Seweryna Jaworskiego Karola Modzelewskiego, Grzegorza Palkę, Andrzeja Rozpłochowskiego i Jana Rulewskiego. Z Mariannem Jurczykiem, który z powodu choroby serca przebywał w szpitalu w Aninie, rozmawiali tam Mazowiecki i Stelmachowski. Całodzienne spotkanie służyło głównie poinformowaniu więźniów o propozycji władz i wszystkich okolicznościach sprawy. Nazajutrz Chrzanowski i Olszewski spotkali się jeszcze raz z szóstką z „krajówki”. Żadnych decyzji nie podjęto¹⁸.

„Nie można w tej chwili przesądzić o wyniku tych rozmów – oceniał 21 kwietnia w notatce dla prymasa ks. Alojzy Orszulik. – Wielce prawdopodobna jest jednak prognoza, że aresztowani (a przynajmniej ich część, co równałoby się stanowisku całości) nie przyjmą warunków zobowiązania. Wyrażali oni wdzięczność Kościołowi za podjęte starania. Obiecali sprawę rozważyć z punktu widzenia dobra ogólnego. Jednakże:

- a) nie mają pewności, że pozostali uwięzieni zostaną uwolnieni;
- b) czując się niewinni, obawiają się, by swoją zgodą na warunki nie zaakceptowali bezprawia;
- c) nie mają pewności, jak ta decyzja zostałaby przyjęta w społeczeństwie, czy nie osłabiłaby podstaw społecznego oporu”¹⁹.

25 kwietnia ks. Orszulik przedstawił starania podjęte na rzecz uwolnienia „jedenastki” papieżowi w Rzymie. Jan Paweł II otrzymał też notatkę o przebiegu rozmów z więźniami od doradców Solidarności. Przyjął inicjatywę z dużym zainteresowaniem, widząc ją w perspektywie międzynarodowej i zabiegów o zniesienie sankcji gospodarczych, jakie Stany Zjednoczone nałożyły na PRL z powodu stanu wojennego. „Ojciec Święty jest zdania, że Polska jako kraj, jako naród, ulega

¹⁷ Archiwum Ośrodka Karta, Kolekcja Jacka Kuronia, Wspomnienie Kuronia o Adamie Michniku, mps.

¹⁸ P. Raina, *Troska o internowanych...*, s. 245–248.

¹⁹ *Ibidem*, s. 233.

coraz większej pauperyzacji i zależności od Wschodu” – notował ks. Orszulik. Jan Paweł II podkreślał wszakże, że cała grupa uwięzionych powinna wyrazić zgodę na wspólne dla wszystkich rozwiązanie²⁰.

Tymczasem niezależne rozmowy z więźniami przeprowadził przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ Emilio de Olivares. 30 kwietnia, 1 i 2 maja spotkał się z każdym z nich (poza Michnikiem, który się na to nie zgodził) i proponował wyjazd na pół roku lub rok za granicę z rodzinami z gwarancją powrotu do kraju – pod warunkiem powstrzymania się od działalności politycznej. Wszyscy odmówili. Akcja Olivaresa, niezgodniona z Kościołem ani z Zespołem Dobrych Usług, była zapewne próbą powrotu do pierwotnej koncepcji wyjazdowej. Nie wiemy, w jakim stopniu została skoordynowana z władzami PRL, ale wysłannik ONZ powoływał się na uzgodnienia z Jaruzelskim.

5 maja w tych samych miejscach co poprzednio z „krajówką” rozmawiali Chrzanowski i Stelmachowski, a z korowcami Lipski, Olszewski, Rybicki i Maria Wosiek. Odbyla się też osobna rozmowa w szpitalu z Jurczykiem. Decyzję odłożono do wspólnego spotkania wszystkich uwięzionych²¹. Doszło do niego 12 maja w Chylicach. Przywieziono nań z więzienia szóstkę z „krajówki”: Gwiazdę, Jaworskiego, Modzelewskiego, Palkę, Rozpłochowskiego i Rulewskiego oraz trójkę z KOR: Kuronia, Romaszewskiego i Wujca. Michnik nadal odmawiał podjęcia rozmów, a Jurczykowi lekarze nie pozwolili na opuszczenie szpitala. Zespół Dobrych Usług reprezentowali Chrzanowski, Geremek, Gieysztor, Lipski, Mazowiecki, Olszewski, Rybicki, Stelmachowski, Wielowieyski i Maria Wosiek.

Dramatyczną chwilami dyskusję między więźniami – po raz pierwszy zgromadzonymi razem – i doradcami szczegółowo opisuje Geremek. Dla uzupełnienia jego relacji warto zacytować streszczenie prezentowanych wówczas opinii z notatki

przygotowanej przez doradców Solidarności dla abp. Dąbrowskiego. „W dyskusji zarysowały się różnice w stanowiskach uwięzionych osób. Mimo to można przedstawioną argumentację w sposób syntetyczny ująć następująco:

1) Przedstawioną im propozycję rozpatrują oni przede wszystkim nie z punktu widzenia swego osobistego losu, lecz z punktu widzenia ogólnej sytuacji kraju, wierności ideałom oraz z punktu widzenia odbioru społecznego;

2) Przeciw przyjęciu wynegocjowanych przez Episkopat warunków uwolnienia przemawia przede wszystkim wzgląd na solidarność z innymi uwięzionymi, z działaczami Solidarności prowadzącymi walkę w podziemiu oraz wzgląd na osłabienie ducha oporu w społeczeństwie. Wyjście z więzienia za zobowiązanie do niewystępowania w sprawach publicznych zostanie odczytane jako ulegnięcie presji, rodzaj kapitulacji, może być formą zgorszenia i moralnego rozbrownienia;

3) Gwarancje uwolnienia wszystkich pozostałych uwięzionych są enigmatyczne, nie zostały sprecyzowane jasno i zobowiązująco i nie można być pewnym, czy władze je dotrzymają;

4) Bez ogólniejszych rozwiązań politycznych więzienia i tak będą się wypełniać, ponieważ opór społeczny będzie trwał;

5) Za przyjęciem propozycji przemawia to, że jest ona przedstawiona przez Episkopat, podstawowy czynnik zaufania społecznego w Polsce, że jej realizacja wzmocni pozycję Episkopatu w stosunku do rządu, że może prowadzić w konsekwencji do poszerzenia strefy wolności, otwarcia na Zachód, zahamowania postępującej pauperyzacji społeczeństwa i poprawy ogólnej sytuacji;

6) Jest to jednak rezultat niepewny, gdyż sytuacja nie świadczy o gotowości obecnych władz do rozwiązywania ogólnych problemów kraju w sposób wychodzący naprzeciw postulatом społeczeństwa”.

²⁰ *Ibidem*, s. 244.

²¹ *Ibidem*, s. 248–249.

W przeprowadzonym pod koniec spotkania tajnym głosowaniu nikt nie optował za bezwarunkowym przyjęciem oferty władz. Pięciu spośród aresztowanych głosowało przeciw, czterech wypowiedziało się za, ale „z zastrzeżeniami”. Ponieważ przyjęto założenie, że decyzja musi być wspólna i obejmować wszystkich, oznaczało to odrzucenie propozycji. Wobec negatywnej opinii większości, do której należało doliczyć niebiorącego udziału w głosowaniu Adama Michnika, doradcy uznali swoją misję za zakończoną. Powrót do negocjacji z rządem miałby sens jedynie wtedy, gdyby płaszczyzna rozwiązań obejmowała obok sprawy więźniów realizację podstawowych postulatów społecznych – napisali 14 maja 1984 r. w notatce dla abp. Dąbrowskiego²². Nawiązał do tego tegoż dnia ks. Orszulik w rozmowie z płk. Zbigniewem Pudyszem z MSW. Stwierdził, że problemu podziemia nie rozwiąże się bez załatwienia sprawy pluralizmu związkowego. Pudysz stanowczo odrzucił tę sugestię, dowodząc, że w Polsce nie ma podziemia, są tylko „niejawne struktury organizacyjne”. Negatywne stanowisko aresztowanych stawiało wedle niego na powrót kwestię przeprowadzenia procesów, o czym miały zadecydować władze nadzędne²³.

Zespół Dobrych Usług spotkał się raz jeszcze w Sekretariacie Episkopatu Polski 29 maja. Dominowało poczucie niepowodzenia i pewnego rozgoryczenia z powodu zarzutów – np. w oświadczeniu TKK – o postawienie więźniów w dwuznacznej sytuacji moralnej. W prasie podziemnej i emigracyjnej pojawiło się sporo głosów popierających decyzję „jedenastki”, a krytycznych wobec zaangażowania Kościoła i doradców. „Trzeba powiedzieć: »Cośmy mogli uczynić, uczyniliśmy, słudzy nieużyteczni jesteśmy«” – podsumował 31 maja ks. Orszulik w piśmie do prymasa. Dodał, iż do sprawy można będzie wrócić, ale już w innym

składzie, gdyż nie wszyscy uczestnicy zespołu „kierowali się tymi samymi intencjami, aby osiągnąć cel”²⁴. Nic nie potwierdza tej niezbyt lojalnej wobec świeckich współpracowników supozycji Orszulika. Doradcy Solidarności zaangażowani w uwolnienie „jedenastki” mieli różne poglądy na temat granic ustępstw wobec oferty władz, ale wszyscy w dobrej wierze poparli inicjatywę Kościoła, pozostawiając wszakże wybór aresztowanym kolegom.

Podjętą przez nich decyzję przyjęli ze zrozumieniem, choć oznaczała fiasko wielomiesięcznych zabiegów i przekreślenie nadziei na szersze polityczne otwarcie. Jednak to więźniowie mieli rację, odrzucając warunki reżimu. Dwa miesiące później, 21 lipca 1984 r., sejm uchwalił bezwarunkową amnestię. Zakłady karne opuścili niemal wszyscy (660) więźniowie polityczni (z wyjątkiem Bogdana Lisa i Piotra Mierzejewskiego oskarżonych o zdradę, którzy zostali zwolnieni w grudniu 1984 r.).

* * *

Przywódcy demokratycznej opozycji, którym wiosną orwellowskiego roku 1984 komunistyczny rząd oferował warunkową wolność, wybrali więzienie. I solidarność z innymi uwięzionymi kolegami – odrzucając specjalne traktowanie, nie zgadzając się na spętanie sobie rąk i zaniechanie niezależnej działalności. Zamiast jechać na Łazurowe Wybrzeże, proponowane szerokim gestem przez gen. Kiszczaka, pozostali w celach na Rakowieckiej. Ich niezłomność stanowiła nie tylko dowód charakteru – była właściwą polityką na tamtym etapie. Władze PRL zabiegające o międzynarodowe uznanie wołały uniknąć procesów politycznych. Po odrzuceniu oferty przez aresztowanych ekipie Jaruzelskiego pozostała tylko amnestia jako

²² *Ibidem*, s. 251–253.

²³ *Ibidem*, s. 261–262.

²⁴ *Ibidem*, s. 265–267.

sposób na zakończenie problemu „jedenastki”, a wraz z nią innych więźniów.

Negocjacje prowadzone w latach 1983–1984 z rządem za pośrednictwem Kościoła nie były jednak czasem straconym. Proces ten zaowocował powstaniem więzi zaufania i wzajemnego szacunku między grupą doradców Solidarności, wśród których byli zarówno katolicy, jak i ludzie dalecy od wiary, a przedstawicielami epi-

skopatu. Ksiądz Alojzy Orszulik – mimo cytowanej wyżej uwagi – współpracował w przyszłości bardzo blisko z Bronisławem Geremkiem, Tadeuszem Mazowieckim i Andrzejem Stelmachowskim. Model poufnych politycznych kontaktów ludzi Solidarności z przedstawicielami władz z udziałem kościelnych emisariuszy został zastosowany z powodzeniem w przełomowych latach 1988–1989.

DORADCY I WIĘŹNIOWIE

BRONISŁAW GEREMEK

W drugiej połowie października 1983 r., po wiadomości o przyznaniu mu Nagrody Nobla, Lech Wałęsa przyjechał do Warszawy¹. Przyjął go abp Bronisław Dąbrowski [sekretarz Konferencji Episkopatu Polski] i w gronie doradców [Solidarności] spędziliśmy z nimi dzień. Przed końcem spotkania zawiadomiono mnie, że arcybiskup chciałby, żeby pewne grono dyskretnie spotkało się po spotkaniu z Wałęsą. Jak się okazało, było to następujące grono: Stanisław Stomma, Andrzej Wielowieyski, Tadeusz Mazowiecki, Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski i ja. Przybyli do nas abp Dąbrowski i ks. Alojzy Orszulik [kierownik Biura Prasowego Episkopatu Polski, członek Komisji Wspólnej episkopatu i rządu].

Arcybiskup przedstawił sprawę. Powiedział mianowicie, że po amnestii lipcowej 1983 r. episkopat złożył rządowi *aide memoire*, w którym wskazał na to, że artykuł 5 ustawy amnestyjnej daje możliwość rozszerzenia rozwiązań amnestyjnych. Memoriał złożony wówczas przez episkopat stwierdzał, że procesy polityczne – proces [czterech działaczy] KOR-u i siedmiu członków kierownictwa Solidarności – miałyby znaczne skutki społeczne i polityczne. Że w ślad za procesami politycznymi poszłoby zaostrzenie atmosfery w kraju. Zatem episkopat występuje o zastosowanie art. 5 do sprawy [czwórki z] KOR-u oraz siódemki z Komisji Krajowej i wypuszczenie jedenastki działaczy Solidarności w ramach ustawy amnestyjnej. W odpowiedzi na memoriał episkopatu gen. Czesław Kiszczak zwrócił się na początku października do abp. Dąbrowskiego o spotkanie i powiedział, że jest upoważniony przez gen. Jaruzelskiego do stwierdzenia, że memoriał episkopatu jest dla rządu interesującym faktem.

W rozmowie między abp. Dąbrowskim a gen. Kiszczakiem sprawą podstawową było to, jakie rozwiązanie można by zastosować, dlatego że rząd wykluczał proste zastosowanie art. 5. Generał Kiszczak poinformował abp. Dąbrowskiego, że rząd jest gotów wyrazić zgodę na wyjazd „jedenastki” za granicę i wówczas na umorzenie śledztwa. W odpowiedzi na pytanie arcybiskupa powiedział, że wyjazd ten mógłby nosić

¹ Relacja Bronisława Geremka złożona Tadeuszowi Kowalikowi 3 VI 1984 r. Tekst według zapisu na taśmie magnetofonowej. W nawiasach kwadratowych uzupełnienia i objaśnienia od redakcji.

charakter okresowy, tzn. zapewniałby możliwość powrotu do kraju po pewnym czasie. Trudno powiedzieć, jak wcześniej czy jak szybko, ale on sądzi, że pięć lat to by było najlepiej, a wystarczyłoby może trzy lata. Chodzi o to, że w tej chwili wypuszczenie na wolność jedenastki ludzi z Solidarności jest niemożliwe – powiedział – ze względu na naciski sąsiada ze wschodu i sąsiada z południa, jak też ze względu na sytuację wewnętrzną kraju. Wyjazd natomiast w jego przekonaniu rozwiązuje sprawę i powinien także odpowiadać interesowi samej „jedenastki”.

Arcybiskup odpowiedział, że Kościół wyklucza rozwiązanie polegające na banicji. W oświadczeniach episkopatu stwierdzono, iż banicja zaprzecza podstawowym wartościom życia obywatelskiego i Kościół jej nie zaakceptuje. Generał odpowiedział wówczas, że to nie banicja, ale wyjazd okresowy, i rząd liczyłby na to, że Kościół znajdzie takie rozwiązanie, które by zapewniło jedenastu osobom możliwość pobytu za granicą. Arcybiskup rozmowę zakończył stwierdzeniem, że wydaje mu się, iż rozwiązanie wyjazdowe nie jest do zaakceptowania przez episkopat. Wówczas gen. Kiszczak powiedział: księżu arcybiskupie, macie przecież takich mądrych doradców, spróbujcie zastanowić się, jakie rozwiązanie jest możliwe. My jesteśmy otwarci, ale nie wiemy, jakie rozwiązanie można zastosować.

To był punkt wyjścia całego procesu negocyjnego w sprawie aresztowanych. A więc: memoriał złożony przez episkopat we wrześniu [1983 r.] i ta pierwsza rozmowa między arcybiskupem a Kiszczakiem, w której punktem wyjścia była właśnie sprawa okresowego wyjazdu za granicę, a jeśli nie, to przedyskutowanie innych możliwości, jakie wchodzi w grę.

To nam arcybiskup przedstawił i zwrócił się o to, żeby zespół, jaki się wówczas spotkał, pod przewodnictwem prof. Stommy spróbował opracować propozycje. Przy czym w tej rozmowie rozwiązanie wyjazdowe nie było odrzucone; było traktowane jako sprawa do rozważenia. Chodziło

mianowicie o to, aby określić możliwości, czy dałoby się rzeczywiście przekonać „jedenastkę”, ażeby dobrowolnie podjęła decyzję okresowego wyjazdu. Powiedział nam także wówczas, że z niektórymi ludźmi z „jedenastki” były prowadzone wstępne rozmowy w sprawie wyjazdu. W tej rozmowie nie padło nazwisko; chodziło o rozmowę z Karolem Modzelewskim, którą przeprowadził ktoś ze środowiska zewnętrznego, tzn. ani z aparatu władzy, ani z Kościoła. I prośba do nas, byśmy się zastanowili nad tym, czy rzeczywiście sami zainteresowani byliby skłonni taką decyzję podjąć.

To był punkt wyjścia spotkań, które następnie odbywały się co kilka dni. Spotykaliśmy się w Sekretariacie Episkopatu. Były też prowadzone rozmowy z gen. Kiszczakiem. Przy czym jego rozmówcami mieli być ludzie niereprezentujący bezpośrednio Kościoła. Był to mianowicie Stomma, który kilkakrotnie prowadził rozmowy z Kiszczakiem, przedstawiając propozycje zespołu.

Podczas tych wstępnych dyskusji doszliśmy do wniosku, iż najważniejszą sprawą jest wykluczenie rozwiązania wyjazdowego. Jakikolwiek charakter by ono nosiło, byłaby to banicja i – pomijając już zasadnicze oceny – uznaliśmy pragmatycznie, że po prostu nie ma żadnych szans, ażeby „jedenastka” przyjęła rozwiązanie polegające na dobrowolnym wyjeździe za granicę. Mówiliśmy natomiast, że prawo do wyjazdu za granicę jest prawem obywatelskim i jest możliwe, że gdy będą na wolności, wówczas sami taką decyzję podejmą.

Tak zostało to przedstawione gen. Kiszczakowi, a on – nie akceptując [naszego wniosku] – powrócił raz jeszcze (i to kilkakrotnie powracał w rozmowach) do propozycji wyjazdu, mówiąc, że jest to rozwiązanie najlepsze i w gruncie rzeczy jedyne, które – jak sądzi – może uzyskać akceptację. I oświadczył: nie myślcie, że łatwo nam to przyjdzie. Przeciwnie, w pewnych kręgach wewnętrznych jest – jak to ujął – „żądza procesu”. Jesteśmy pod wielką presją – mówił – ażeby procesy się odbyły, bo one coś sfinalizują i ustanowią precedensowe rozwiązanie. Precedensowe w tym sensie, że

zdecydują o niezgodnym z prawem charakterze zarówno KOR-u, jak i ekstremy Solidarności. Taki wyjazd za granicę spotkałby się więc z bardzo dużym oporem. Ale – zapewnił – tu jesteśmy zdecydowani i sądzimy, że to by się nam udało.

W Sekretariacie Episkopatu spotykaliśmy się u Orszulika. Gdy był zakręt w rozmowach lub kiedy coś się zmieniało, przychodził arcybiskup. Referowaliśmy stan naszych dyskusji albo abp Dąbrowski przekazywał informacje, które uważał za ważne dla dalszych działań. I tak w listopadzie, po powrocie z Rzymu, zawiadomił nas, że przekazał pełną informację papieżowi. A papież z zainteresowaniem i nadzieją przyjął fakt prowadzenia tych prac, podkreślił, że skład negocjatorów daje niezbędne gwarancje moralne, jest z tego zadowolony. Prosił także wziąć pod uwagę, że wszelkie rozwiązania, jakie będą przewidywane, powinny mieć na względzie to, by nie nastąpiły podziały wśród jedenastu zainteresowanych.

W naszych wstępnych dyskusjach wystąpiły różnice zdań. Należałem do tych, którzy uważali, że jeżeli dojdzie do rozmów czy negocjacji, to mają one tym większą szansę powodzenia, im szerszego zakresu będą dotyczyć. Uważałem, że powinny one wykroczyć poza sprawę więźniów. Bo można zastanawiać się nad tym, jaką decyzję oni podejmą, ale przecież podjęcie decyzji było tylko w ich rękach. Ale jeżeli traktować sprawę więźniów jako istotną dla klimatu społecznego, to rzeczą ważną byłoby, ażeby rozszerzyć negocjacje. Mówiłem, że to rozszerzenie powinno dotyczyć zasady pluralizmu związkowego. W tych wstępnych dyskusjach nie spotkało się to jednak z poparciem. Uznano, że w tej chwili nie ma żadnych szans na szersze potraktowanie sprawy, zresztą (padały i takie głosy) zastanowić by się należało nad celowością przywrócenia pluralizmu związkowego. Następnie koledzy zlecili mi opracowanie platformy negocyjnej oraz procedury negocjacji.

W toku rozmów z gen. Kiszczakiem dyskutowany był także skład zespołu doradczego. Myśmili starali się, żeby nie nastąpiła instytucjonalizacja

tego zespołu. Uważaliśmy, że został on powołany *ad hoc* przez abp. Dąbrowskiego. Natomiast gen. Kiszczak zwracał uwagę, że bardzo niewygodną dla niego okolicznością jest obecność w nim Mazowieckiego i mnie. Owszem, na początku, gdy chodziło o znalezienie rozwiązania, mówił nawet abp. Dąbrowskiemu: macie mądrych doradców i tak wybitnych polityków jak Geremek i Mazowiecki. Ale kiedy już zespół się uformował (Kiszczak słusznie zresztą oceniał, że chociaż broniliśmy się przed instytucjonalizacją, to jednak taka półinstytucjonalizacja następuje), obecność nas dwóch stała się dla niego niewygodna. Wracał zresztą do tego – za chwilę jeszcze o tym wspomnę – kilkakrotnie: bo „moi ludzie” bardzo ich nie lubią...

Platforma negocyjna została opracowana w dokumencie, który w ośmiu punktach wykladał zasady negocjacji. A mianowicie:

- przyjmuje się, że we wspólnym interesie władzy i społeczeństwa leży to, by nie doszło do procesów politycznych;

- przyjmuje się, że wyjazd za granicę ludzi pozbawionych wolności, z więzienia, musi nosić charakter banicji i że tego typu rozwiązanie jest nie do zaakceptowania przez episkopat, który jest tu stroną, oraz że miałyby ono zasadnicze i negatywne skutki dla sytuacji w kraju;

- uważamy, że najlepszym rozwiązaniem byłoby natychmiastowe uwolnienie jedenastu zatrzymanych i oczekujących na procesy. Taki akt bezwarunkowego uwolnienia byłby przełamaniem pewnych mechanizmów blokujących stosunki między władzą a społeczeństwem. Gdyby jednak władza uważała za konieczne obwarowanie jakimiś warunkami decyzji o uwolnieniu jedenastu, to wyrażamy przekonanie, że im bardziej ograniczony i wąski będzie charakter tych warunków, tym większa byłaby szansa pozytywnego rozwiązania, to znaczy uzyskania zgody ze strony „jedenastki”;

- należy założyć, że dla decyzji „jedenastki” bardzo ważnym elementem będzie także to, czy rzecz dotyczy tylko ich, czy też dotyczy wszyst-

kich więzionych, a więc zarówno KPN-u², jak i skazanych oraz aresztowanych po 13 grudnia 1981 r.;

- przeprowadzenie negocjacji wymaga ustalenia platformy, która by dotyczyła stanowiska władzy. Jeżeli władza uznałaby za konieczne wprowadzenie jakichkolwiek warunków, to należałoby je określić ściśle i precyzyjnie;

- należałoby stworzyć warunki w miarę możliwości zbliżone do wolności, w których mogliby spotkać się przedstawiciele czy to episkopatu, czy też innych środowisk społecznych, by z „jedenastką” przeprowadzić rozmowy, jak również stworzyć warunki do dyskusji w gronie jedenastu więźniów, podkreślając, że decyzję może podjąć tylko sama „jedenastka”;

- i wreszcie ostatni punkt tego dokumentu przewidywał, że negocjacje będą prowadzone przy zachowaniu całkowitej dyskrecji przez obie strony, bo tego wymaga prowadzenie negocjacji.

Zespół prosił mnie o opracowanie dwóch dokumentów – oprócz tej platformy, czyli tzw. ośmiu punktów, do których potem wracaliśmy, także procedury negocjacji, w której ustalałem, jakie będą kolejne etapy podejmowanych przez nas działań. A mianowicie:

- pierwszy etap – rozmowa z gen. Kiszczakiem, uzyskanie zapewnienia, iż wyklucza się banicję, czyli jakiegokolwiek rozwiązanie polegające na wyjeździe za granicę ludzi przetrzymywanych w więzieniu. Jeżeli uzyska się w tej sprawie zapewnienie, to wówczas przystępuje się do...

- punktu drugiego, mianowicie sprawy uwolnienia innych więźniów politycznych – z KPN-u i Solidarności. Jeżeli uzyska się w pierwszej i drugiej sprawie odpowiedzi ze strony władzy, wówczas prosi się o...

- określenie stanowiska w sprawie zasady, na jakiej nastąpi wypuszczenie na wolność. To znaczy: czy rząd akceptuje propozycję bezwarunko-

wego zwolnienia, czy też domaga się nałożenia pewnych warunków i jak te warunki zostałyby określone. Proces negocjacji wówczas przechodziłby już w stronę „jedenastki”. I tutaj przewidywałem spotkania, jakie mogłyby się odbyć. Najpierw oddzielnie KOR, oddzielnie „siódemka”, potem KOR i „siódemka” [razem], z możliwością dyskusji między sobą, także możliwości dyskusji z rodzinami, z adwokatami i z osobami, do których oni [więźniowie] by się zwrócili.

Na tym etapie rozmów przyjęliśmy, że procedura uzyskania decyzji o zwolnieniu byłaby taka, że do Rady Państwa zwróci się niezależny komitet społeczny złożony z różnych osób, ale rozumiało się samo przez się, że przede wszystkim chodzi o osoby uczestniczące w tym doradczym procederze.

Po przekazaniu tego gen. Kiszczakowi znowu nastąpiło zastrzeżenie dotyczące Mazowieckiego i mnie, ale abp Dąbrowski bardzo zdecydowanie powiedział, że nie widzi możliwości kontynuowania negocjacji przy wyłączeniu tych dwóch osób, że to jest zasadnicza sprawa dla uzyskania powodzenia, i chociaż z oporem, ale zgodę uzyskał. Był natomiast nadal dyskutowany skład komitetu – lista tych osób, które podpisałyby prośbę [do Rady Państwa]. Episkopat życzył sobie takiego rozwiązania. Uważał mianowicie, że sam Kościół nie powinien bezpośrednio angażować się w tę sprawę, że duże ryzyko tu wchodzi. Kościół widział swoją rolę w cieniu, raczej pośredniczącą i wspomagającą. Zresztą przedstawiciele episkopatu nie kryli, że obecność Mazowieckiego i moja wynika z tego, że nie wiadomo, w jaki sposób opinia publiczna odbierze całą inicjatywę. Dlatego właśnie kierownictwo Kościoła tak nalegało na naszą obecność w zespole, także tym, który zostanie publicznie ujawniony.

Taki był zatem scenariusz wyjściowy i perspektywa negocjacji. Jeszcze przed przedstawieniem

² Przywódcy Konfederacji Polski Niepodległej, których proces przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie ciągnął się od 15 VI 1981 do 8 X 1982 r., otrzymali następujące wyroki: Leszek Moczulski – 7 lat więzienia, Tadeusz Stański i Romuald Szeremietiew – po 5 lat, Tadeusz Jandziszak – 2 lata w zawieszeniu. Wyszli na wolność w licu 1984 r. na mocy amnestii (red.).

tych dwóch dokumentów, o których mówiłem, okazało się, że istnieje nie tylko możliwość wystąpienia do szczegółowych rozmów, ale że ze strony władzy istnieje pilna tego potrzeba. Nasiliły się wówczas telefony ze strony Kiszcza, przy czym ustalił on wówczas także termin, chciał mianowicie, żeby cała sprawa zakończyła się na Boże Narodzenie 1983 r. Rozmowy odbyć się powinny przed świętami Bożego Narodzenia, a wypuszczenie albo na święta, albo w trakcie świąt lub też między świętami a Nowym Rokiem.

Gdy zbliżał się moment właściwych negocjacji, już z uczestnictwem „jedenastki”, Mazowiecki i ja wystąpiliśmy o włączenie do zespołu doradczego przedstawicieli KOR-u na wolności. Po pewnych dyskusjach wewnętrznych – w łonie zespołu i potem w Sekretariacie Episkopatu – uzyskaliśmy zgodę. Zwróciliśmy się wtedy do Jana Kielanowskiego o spotkanie. Zespół w zgodzie z arcybiskupem wydelegował na nie trzy osoby: Mazowieckiego, Olszewskiego i mnie. U Kielanowskiego zjawilo się wówczas kilka osób, a mianowicie Jan Józef Lipski, Józef Rybicki i Maria Wosiek, którym przedstawiliśmy stan sprawy, perspektywę i szanse jej załatwienia. Spotkało się to ze strony KOR-u z pozytywnym przyjęciem. Inicjatywa została podjęta i następnie osoby te zostały włączone do spotkań, które się odbywały w Sekretariacie Episkopatu. Kielanowski uczestniczył [w nich] do swojego wyjazdu do Anglii. Stały skład przedstawicieli KOR-u w zespole [negocjacyjnym] już do końca prac to Józef Rybicki, Maria Wosiek i Jan Józef Lipski.

Rozmowę w MSW przeprowadzili następnie Stomma, Chrzanowski i ks. Orszulik. Ksiądz Orszulik zaznaczył, że uczestniczy nie jako przedstawiciel episkopatu, a – jak mówił – wyłącznie jako kierowca, rozmowy zaś prowadzą przedstawiciele zespołu negocjacyjnego. Generał Kiszcza tym razem nie był sam, jak za poprzednich rozmów; obecni byli także jego prawnicy i dyrektorzy departamentów. Została mu przedstawiona nasza ośmiopunktowa „platforma negocjacyjna”. On najpierw przyjął ją bardzo negatywnie. Przeczytał

i powiedział: my tego nie akceptujemy. Rząd na ten dokument udzieli odpowiedzi na piśmie i sformułuje w niej własne stanowisko.

W naszym zespole była wokół tego duża dyskusja. Ja uważałem, że dobrze, że na piśmie, bo trzeba uzyskać jasne sformułowanie stanowisk obu stron. Ze względu na to m.in., że Kiszcza w rozmowach [niby] akceptował zasadę, że nie będzie się ludzi wysyłać za granicę, ale ustawicznie pod koniec rozmowy powracał do tego: a jednak spróbujcie ich przekonać, to jest najlepsze rozwiązanie. Uważałem więc, że skoro na takim grzaskim terenie się poruszamy, to jest rzeczą ważną, żeby wyjaśnić sobie sprawy podstawowe, bo od tego w ogóle zależy szansa.

Bardzo źle zatem został początkowo oceniony nasz dokument. Wyglądało na to, że rokowania są zerwane. I nagle telefon: przyjęte! To już był gruzdzień. Wszystkie punkty zostały zaakceptowane, terminy określone. Przystąpiliśmy do przygotowania naszych rozmów [z więźniami] i zaczęliśmy się zastanawiać. Stanowisko rządu, w którym byłaby mowa o warunkach [uwolnienia], nie powstało, raczej gen. Kiszcza mówił, że władza opracuje wszystkie dokumenty, a więc tzw. list intelektualistów, który miał być podstawą uwolnienia, i deklarację, którą mieliby podpisać więźniowie. Myśmiliśmy się w tej sprawie nie wypowiedzieli, uważając, że [przede wszystkim] trzeba uzyskać możliwość kontaktu z „jedenastką”. Uzналиśmy natomiast, że nie ma możliwości tak szybkiego załatwienia sprawy, jak by życzył sobie gen. Kiszcza. Że zatem nie uda się to na święta, że to się troszkę jednak przeciągnie po świętach Bożego Narodzenia; rozmowy były ustalone na dni poświęczone, przed Nowym Rokiem.

W pierwszy dzień świąt gen. Kiszcza zadzwonił do prof. Stommy i powiedział, że w związku z niedyskrecją ze strony Kościoła cała sprawa musi w tej chwili ulec zawieszeniu. Jaką niedyskrecją? Otóż okazało się, że z jednej strony prymas [Józef Glemp], z drugiej strony abp Dąbrowski w kazaniach na Boże Narodzenie powiedzieli, że

spodziewają się uwolnienia więźniów. Rzecznaręba charakteru publicznego, prasa zagraniczna o tym napisała. Zresztą już przedtem BBC podało nawet skład naszego zespołu, niedokładny, ale wskazujący na to, że coś jednak mieli, najprawdopodobniej z przecieków watykańskich, bo w kraju była duża szczelność, informacje się nie rozchodziły. Powstało oczekiwanie, że więźniowie na pewno wyjdą. Zresztą w środowisku episkopatu było takie nastawienie, niemal nastrój pewności, że tę sprawę mamy już załatwioną. I stąd wziął się ten pośpiech: kto pierwszy o tym powie. Stomma zapytał, czy to oznacza, że mamy wrócić do tej sprawy po pewnym czasie. Kiszczak odpowiedział: nie!, co w zasadzie oznaczało, że niestety ta możliwość odpadła. Użył sformułowania „zawieszamy”, ale poproszony o wyjaśnienie powiedział, że w zasadzie ta możliwość jest anulowana.

5 stycznia 1984 r. odbyło się spotkanie prymasa Glempa z gen. Jaruzelskim. Prymas zapytał, co będzie dalej ze sprawą uwięzionych. Przypomniął stanowisko episkopatu i powiedział, że nie widzi pozytywnych skutków procesów politycznych. Przeciwnie, uważa, że jeżeli władza zdecyduje się na procesy polityczne, to konsekwencje i dla kraju, i dla władzy będą poważne. Generał odpowiedział: w tej chwili nie możemy pozwolić sobie na to, by wypuścić przywódców ekstremy na wolność, a oni żeby nadal prowadzili działalność antypaństwową. Na pytanie prymasa, co te słowa oznaczają, odpowiedział: no, gdyby powstała szansa, że przez pewien czas nie będą prowadzić antypaństwowej działalności – musieliby taką deklarację podpisać – to wówczas moglibyśmy sprawę rozważyć.

W tej sytuacji arcybiskup zwołał nas ponownie. Przedstawił nam rezultat [rozmowy Glempa z Jaruzelskim] i dodał, że rozmawiał z gen. Kiszczakiem. Kiszczak powiedział, że jedyna możliwość, jaką widzi w tej chwili, to wyjazd zagraniczny i liczy na to, że Kościół w tej sprawie pomoże. Arcybiskup wówczas przeczytał mu zdanie z notatki prymasa po rozmowie z gen. Jaruzelskim. Kiszczak powiedział: no tak, jeżeli tak to zostało

ustalone, to dobrze, możemy zatem rozważyć także drugie rozwiązanie.

W styczniu, o ile pamiętam, prymas był w Rzymie. Po powrocie chyba na lotnisku powiedział coś o tym, że Watykan byłby gotów przyjąć „jedenastu” na stypendia w uniwersytetach papieskich. I prasa zagraniczna o tym pisała, zdaje się „Le Figaro”, że właśnie wszyscy oni otrzymają stypendia Watykanu.

Przystąpiliśmy zatem ponownie do rozmów i opracowania stanowisk. Na spotkaniu 21 stycznia, po dyskusji, w następujący sposób określiliśmy stan sprawy (także zresztą jako informację dla Rady Głównej episkopatu, która miała się za kilka dni zebrać i o to zapytywała). Uznaliśmy wówczas, że stanowisko wyłożone w ośmiopunktowej notatce zostaje bez zmian. Wyjściowym założeniem pozostaje stwierdzenie, że procesy polityczne [czterech członków] KOR-u i siedmiu członków Komisji Krajowej Solidarności nie leżą w interesie kraju. Formuła „zaniechania działalności antypaństwowej” (jest to cytat z protokołu ze spotkania prymasa z Jaruzelskim) jako warunek uwolnienia może stanowić punkt wyjścia do negocjacji. Dalej: dla określenia stanu sprawy konieczne jest poznanie intencji władz i stanowiska uwięzionych. Wymaga to uzyskania odpowiedzi ze strony państwowej na trzy pytania:

- Czy jest zgoda na wycofanie obowiązków wyjazdu za granicę jako warunku uwolnienia?

- Jakie ograniczenia praw jedenastu uwięzionych władze uważają za warunek uwolnienia? (Lista powinna być enumeratywna i określać czas obowiązywania).

- W jaki sposób władze umożliwią kontakty z „jedenastką” poza terenem więzienia (bo to postulowaliśmy)?

Jednocześnie zwróciliśmy się do Rady Głównej z takim oto stanowiskiem. Doświadczenia dotychczasowych rozmów sugerują, że jeżeli jest szansa na uwolnienie „jedenastki”, to najwłaściwszą formą będzie bezpośrednie wystąpienie Kościoła: księdza prymasa lub episkopatu. Zadaniem zespo-

łu doradczego jest określenie możliwości godnego rozwiązania sprawy po poznaniu intencji władz oraz stanowiska uwięzionych.

Nastąpiła zatem zmiana strategii. Zamiast wystąpienia intelektualistów lub przedstawicieli środowisk społecznych uznaliśmy, że musi wystąpić Kościół. Bo okazało się właśnie, że w rozmowach takich [jak dotychczas] ustawicznie robimy krok do przodu, dwa do tyłu. Gdy zaś przedstawiciel hierarchii Kościoła spotyka się bezpośrednio [z przedstawicielem władzy], wytwarza się relacja zobowiązania. Od początku zresztą, od wstępnych rozmów naszego zespołu, pogląd taki prezentował Chrzanowski, który uważał, że sprawę może załatwić tylko Kościół, nie da się jej załatwić poza Kościołem. Tym razem stanowisko to, przekazane prymasowi i Radzie Głównej [Episkopatu Polski], uzyskało akceptację prymasa i następnie Rady Głównej. Zatem inicjatywa w tej sprawie wyjdzie niejako ze strony prymasa, prymas zwróci się do Rady Państwa i prymas będzie stroną [starań o uwolnienie więźniów politycznych].

Powiedzieliśmy także, że trzeba, aby Kościół określił swój stosunek do wyjazdu zagranicznego [„jedenastki”] w związku z plotkami o stypendiach watykańskich. Ujęliśmy to następująco. Należy uczynić wszystko, by nie powstało wrażenie, że Kościół uczestniczy w naciskach na uwięzionych w celu uzyskania ich zgody na wyjazd za granicę. Tylko sami zainteresowani mogliby podjąć taką decyzję jako ludzie wolni. Episkopat zaś gotów byłby w takim wypadku udzielić im pomocy w realizacji tej decyzji. Stanowisko Episkopatu Polski spotkało się ze zrozumieniem Stolicy Apostolskiej, która gotowa jest okazać pomoc w zapewnieniu warunków do nauki lub leczenia w czasie okresowego pobytu za granicą, jeżeli takie byłoby życzenie któregoś z uwolnionych jedenastu działaczy. W ten sposób dawaliśmy wykładnię czy interpretację nie zawsze szczęśliwych poprzednich oświadczeń, które prymas składał w sprawie możliwości wyjazdu [więźniów] na stypendia watykańskie.

Rozmowy trwały. Przystąpiliśmy już do formułowania dokumentów: listu, jaki miałby wystosować prymas do Rady Państwa, odpowiedzi Rady Państwa do prymasa i deklaracji, jaką mieliby podpisać uwięzieni działacze. Rokowania te były długie, nie zawsze szczęśliwe. Projekty wszystkich [tych] dokumentów – zawsze jest to niedobra sytuacja – sformułowała strona rządowa. Było to zrozumiałe w odniesieniu do projektu listu Rady Państwa. Trzeba było jednak wywalczyć zmianę formuły listu prymasa. Główny problem powstał jednak wokół deklaracji, jaką mieliby podpisać sami zainteresowani. My zajęliśmy stanowisko, że nie możemy zwracać się do uwięzionych o podpisanie jakiegokolwiek deklaracji lojalności. Byliśmy przekonani, że takiej deklaracji oni nie podpiszą. Trzeba było szukać jakiegoś rozwiązania, które by pozwoliło obejść ten problem. Rozwiązanie, które zaproponowaliśmy, to był ich list do prymasa. W wystąpieniu prymasa padłyby słowa, że władza domaga się od nich pewnych zobowiązań. Oni – w odpowiedzi do prymasa – podjęliby zobowiązanie dotrzymania warunków nałożonych przez władze. Nie zwracaliby się z tym jednak bezpośrednio do władz.

Pod nieobecność abp. Dąbrowskiego i ks. Orszulika w rozmowach z gen. Kiszczakiem występował Stomma. Generał przekazał mu projekt deklaracji, którą mieliby podpisać amnestionowani. Projekt ten przewidywał, że na okres pięciu lat wyrzekają się oni wszelkich form działalności politycznej. Przy czym sformułowania, które tam padały, bardzo szeroko ujmowały tę działalność, dlatego że wymieniały zarówno wszelkiego typu zebrania i spotkania, jak i zachowania [własne] i wpływ na zachowania innych. Uznaliśmy, że pod znakiem zapytania stawiałoby to nawet opiekę rodzicielską. Równie istotne było, że w pierwszej części deklaracji znalazło się sformułowanie o „przyznaniu się do winy” zarzucanej im aktami oskarżenia i przyrzeczenie, że nie popełnią więcej takich przewinień. W gruncie rzeczy była to próba uzyskania co najmniej tyle, jeśli nie więcej, ile

można by osiągnąć dzięki procesowi, nie płacąc jednak moralnych i społecznych kosztów wytoczenia procesu. Oceniliśmy wówczas, że ten projekt deklaracji nie stwarza podstawy do dalszej dyskusji. W tej sytuacji byłoby niewłaściwe, żebyśmy sformułowali kontrpropozycję, ze względu na to, że tak sformułowana propozycja określała intencje władz na takim poziomie, na którym w naszym przekonaniu nie było możliwości negocjacyjnych.

Zespół tym razem był całkowicie zgodny i jednolicie odrzucił nie tylko tę deklarację, ale stwierdził także, że nie ma możliwości dalszych negocjacji. Uznał, że negocjacje zostały mocą faktu zakończone. Spotkało się to z pewnym zdziwieniem, a nawet niezadowoleniem w środowisku episkopatu. Nie do końca zostały zrozumiane nasze intencje. My zaś uznaliśmy, że gdyby na tym poziomie miałyby toczyć się dyskusja, to nie daje ona szans na osiągnięcie rozsądnego wyniku. No a poza tym, że zerwanie negocjacji jest niekiedy formą negocjacji.

I rzeczywiście, wkrótce ze strony władz nastąpiło wycofanie tego dokumentu i zapytanie o formułę, jaką nasz zespół proponuje dla dalszych negocjacji. Odpowiedzieliśmy, że cel, jaki sobie stawiamy (tzn. uwolnienie „jedenastki” i zapowiedź dalszych kroków zmierzających do likwidacji problemu więźniów politycznych), będzie można osiągnąć przez danie państwu gwarancji, że obecni więźniowie przez pewien czas nie będą prowadzić publicznej działalności politycznej. Zaproponowaliśmy, żeby ksiądz prymas wystosował apel skierowany jednocześnie do władz – o uwolnienie więzionych za przekonania oraz do przyszłych amnestionowanych – o to, aby ze względu na trudną sytuację polityczną kraju przyjęli warunek powstrzymania się od publicznej działalności politycznej w okresie wychodzenia z kryzysu polityczno-gospodarczego – do końca 1985 r. W odpowiedzi osoby zainteresowane miałyby przekazać prymasowi pismo z podziękowaniem za inicjatywę i zobowiązaniem do przestrzegania wezwania zawartego w apelu. Prymas o tych deklaracjach po-

informuje władze, a te zastosują wówczas art. 5 ustawy o amnestii. Wtedy mówiliśmy o jednym apelu prymasa, potem doszliśmy do wniosku, że powinny być dwa oddzielne: jeden do władz, drugi do uwięzionych. Ani jeden, ani drugi nie zostałyby na razie upublicznione – do momentu, w którym zapadną [pozytywne] decyzje. Wówczas podejmie się odpowiednie kroki, aby dokumenty te nabrały charakteru publicznego. Najprawdopodobniej Rada Państwa życzyła sobie, ażeby stały się one znane publicznie, dlatego że decyzja o zastosowaniu art. 5 miała być motywowana szczególnymi okolicznościami, które były przewidziane w tymże art. 5 ustawy amnestyjnej.

Przyjęliśmy też, że apel prymasa poprzedzi wymiana pism pomiędzy Sekretariatem Episkopatu i gen. Kiszczakiem lub innym organem przez niego wskazanym, po to, aby uzyskać pisemne gwarancje. Następnie zaś – spotkania z „jedenastką”. Uważaliśmy, że należy ściśle określić pojęcie „publicznej działalności politycznej”. Nasi prawnicy proponowali, by obejmowało ono powstrzymanie się od organizowania i uczestniczenia w zgromadzeniach o charakterze politycznym, zaniechanie publikowania lub rozpowszechniania w kraju i za granicą opracowań własnego autorstwa o charakterze politycznym, powstrzymanie się od udzielania wywiadów prasowych, radiowych i telewizyjnych w kraju i za granicą zawierających opinie na tematy polityczne czy też o charakterze politycznym. Odrzucaliśmy natomiast możliwość składania jakiegokolwiek deklaracji lojalności przez więźniów, uważaliśmy, że jedynie możliwy jest ich list do prymasa, o czym już wspominałem. Stwierdziliśmy dalej, że niemożliwe jest zaakceptowanie pięcioletniego okresu ograniczenia praw obywatelskich, zwracając uwagę na to, że nie ma on żadnej prawnej podstawy. Zaproponowaliśmy wreszcie, by zespoły przygotowały szczegółowe dokumenty techniczne, tzn. projekty dokumentów. Postanowiliśmy też (mimo pewnych nieporozumień w zespole, a także w stosunkach z przedstawicielami episkopatu) podtrzymać zdanie, że

jeżeli deklaracja lojalności byłaby uznana za warunek uwolnienia więźniów, to kontynuowanie rozmów w obecnym czasie nie jest celowe. Równało się to stwierdzeniu, że albo nasze stanowisko zostanie przyjęte, albo koniec negocjacji.

Po krótkim czasie władze przyjęły tę formułę. Kontakty stale odbywały się pomiędzy gen. Kiszczakiem a abp. Dąbrowskim i ks. Orszulikiem (raczej ks. Orszulikiem, gdyż arcybiskup często był nieobecny). Następnie powołano zespół, taki roboczy, który miał dyskutować treść dokumentów i sprawy techniczne. Ze strony MSW w skład tego zespołu wchodziły 2–3 osoby, z płk. [Zbigniewem] Pudyszem, dyrektorem Biura Śledczego MSW, a z naszej strony Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski i ks. Alojzy Orszulik. Opracowane zostały propozycje listu prymasa do Rady Państwa, odpowiedzi Rady Państwa do prymasa, listu prymasa do uwięzionych, odpowiedzi uwięzionych do prymasa. Teksty tych listów były jeszcze przedmiotem sporej kontrowersji w łonie naszego zespołu. Uznaliśmy za bardzo nieszczęśliwe rozwiązanie, że pierwszy projekt sformułowany został przez MSW, bo piętno [resortu] pozostało na dokumentach. Bardzo podzielone były zdania co do listu, jaki prymas miał skierować do uwięzionych. Powiedziano nam, że nie ma możliwości, ażeby list ten uległ zmianie, ponieważ dokumenty zostały parafowane. Zażądaliśmy jednak zmiany, warunkując tym dalsze prowadzenie sprawy.

Rzecz została przekazana prymasowi, a on przyjął Chrzanowskiego, Olszewskiego i ks. Orszulika, którzy przedstawili mu kontrowersję, do której doszło w zespole. I orzekł: jeżeli panowie Geremek i Mazowiecki mówią, że zmiany [w liście prymasa] są konieczne, to oni wiedzą lepiej, jaki jest stan umysłów „jedenastki”. I jak mi mówiono, polecił wprowadzić zmiany niezależnie od tego, jakie miałyby to konsekwencje. Rzeczywiście rozpoczęły się przetargi. Ksiądz Orszulik natychmiast po naszych dyskusjach odebrał telefon z MSW, że żadne zmiany nie wchodzi w grę, bo dokumenty zostały parafowane. Prymas odpowiedział, że

nie podpisze żadnego innego dokumentu, czyli że zmiany muszą zostać wprowadzone.

W końcu marca [1984 r.] na wniosek Kiszczaka zespół do przeprowadzenia rozmów [z więźniami] powiększył się o kilka osób. Generał wyraził zgodę na mój udział i Mazowieckiego. Sam zaproponował, żeby do rozmów zaprosić jeszcze może mec. Anielę Steinsbergową, ks. Jana Ziębę, prof. Edwarda Lipińskiego i prof. Aleksandra Gieysztorę. Ostatecznie grupa KOR-u [w zespole negocjatorów], która dotychczas liczyła trzy osoby [Wosiek, Lipski, Rybicki], powiększyła się o dwie nowe: Steinsbergową i Ziębę. Następnie ustalono skład zespołów i sekwencję rozmów z więźniami. Na początek oddzielne spotkania negocjatorów z KOR-u z czterema uwięzionymi korowcami oraz resztą zespołu i Gieysztorą z siódmką członków Komisji Krajowej. Na ostatnim etapie przygotowań, poczynając od pierwszych dni kwietnia, nastąpiła ogromna dynamizacja sprawy. Codzienne spotkania, co dzień coś się działo.

Gdy już zebraliśmy się, zgodnie z ustaleniami, do wyjazdu na spotkania (miejsca nie podano nam uprzednio), zapytaliśmy, czy arcybiskup otrzymał odpowiedź gen. Kiszczaka na swój list. Według ustaleń miała ona zostać udzielona niezwłocznie, czyli przed dwoma tygodniami. Odpowiedź nie nadeszła. Odmówiliśmy więc pójścia do więźniów, dopóki nie będzie odpowiedzi ze strony gen. Kiszczaka. Siedzieliśmy cały dzień, czekając na wyjazd. Płk Pudysz namawiał: „motory cały czas się grzeją”. W pewnym momencie powiedział nawet, że więźniowie już zostali przewiezieni [na miejsce spotkania], więc jak to – my nie przyjedziemy, gdy oni tam są i czekają. W końcu musiał uznać, że odkładamy wyjazd. List został doręczony następnego dnia i wtedy pojechaliśmy w takim składzie, jaki był przewidziany.

Spotkania odbywały się w dwóch domach, oddzielnie. Zespół „siódmki” w Chylicach, zespół KOR-u pod Otwockiem. Uczestniczyłem w rozmowie z „siódmką” przez cały ten dzień. Na miejscu dowiedzieliśmy się, że nie będzie [Mariana]

Jurczyka. Trzy dni wcześniej został zawieszony do kliniki kardiologicznej w Aninie i lekarze nie pozwalają mu opuścić szpitala. W związku z tym ustaliliśmy, że wydelegujemy swoich przedstawicieli, którzy pojadą do kliniki i tam z Jurczykiem porozmawiają. Mieliśmy ze sobą dokumentację. Składały się na nią projekty wszystkich pism i notatki o etapach poprzednich działań. Przyjęliśmy, że przedstawiamy cały przebieg pertraktacji, jak się rozwijały. Powiemy, jakie były żądania strony rządowej, a jakie są w tej chwili, oraz stanowisko episkopatu. I że propozycje dokumentów nie mają charakteru dyskusyjnego, tzn. że ich treści nie można zmienić, jest ostateczna. A także, że w ramach pertraktacji między Kościołem a władzami sprawa uwolnienia wszystkich innych więźniów politycznych będzie dalej rozważana, ale w tej sprawie – uznajemy – istnieje dostateczna podstawa, by zakładać, że władze – przynajmniej w tej chwili – mają intencję dotrzymać słowa.

Rozmowy, jakie prowadziliśmy, i projekty pism przewidywały, że na mocy art. 5 ustawy amnestyjnej zostaną wypuszczeni wszyscy ci, którzy byli skazani lub oskarżeni o czyny dokonane przed 22 lipca 1983 r., zaś wszyscy pozostali, zarówno skazani, jak i zatrzymani, zostaliby objęci [nową] amnestią w związku z czterdziestolecie PRL-u. W projekcie pisma Rady Państwa, który przedstawiliśmy, plan ten nie mógł być jednoznacznie wyjawiony, ponieważ musieliśmy się liczyć z tym, że pismo to może zostać opublikowane przed 22 lipca 1984 r. No a nie można zapowiedzieć amnestii, żadna władza tego nie robi, bo po takiej zapowiedzi nastąpiłby okres całkowitej bezkarności. W projekcie odpowiedzi Rady Państwa znalazło się więc takie sformułowanie, że czterdziestolecie PRL daje dobrą okazję do uwolnienia wszystkich więźniów politycznych, do czego przesłankę stanowi załatwienie sprawy „jedenastki”...

Pojechaliśmy zatem, obie grupy. Spotkanie z „siódemką”. Całodzienne. Przyjęliśmy zasadę, że nie będziemy [naszych rozmówców] przekonywać. Pierwsze spotkanie to jest etap informacyjny: przedstawiamy dokumenty. Oni – żeby się zastanowili. A następnie mamy stworzyć warunki do wewnętrznej dyskusji. Byliśmy świadomi, że jesteśmy „słuchani” i w zasadzie nikt tego nie skrywał. Minister Kiszcak we wcześniejszych rozmowach mówił (na śmiechu): przyrzekam, że tylko ja sam będę słuchał tych taśm. Nie dopuszczaliśmy w ogóle takiej możliwości, żeby nie było podsłuchu. Proponowaliśmy, żeby odbyć te spotkania na wolności albo choćby na chwilowej przepustce. Kiszcak odpowiedział, że po eksperymentcie z Janem Lityńskim³ on nie ma żadnej możliwości udzielenia przepustek. Jedyne, co możliwe, to taka półwolnościowa forma, ale całkowicie strzeżona. Pozornie zupełny spokój, ale wille, w których odbywaliśmy spotkania, były otoczone jak twierdze. Kilkudziesięciu ludzi z bronią, stan mobilizacji, wyciszenie okolicy. Zajmował się tym, zdaje się, BOR. To dlatego, że wyjście poza teren aresztu wiązało się z oddaleniem się więźniów poza jurysdykcję resortu sprawiedliwości i wejściem w *no man's land*; nie było to bardzo prawnie umocowane...

Tak więc umówiliśmy się, że na pierwszym etapie nie będzie namawiania. Wyłącznie poinformowanie. Z podkreśleniem, że decyzja jest w rękach więźniów. I po to, żeby nie wywierać na nich presji, postanowiliśmy rozmawiać dwóch na dwóch lub dwóch na jednego. Dwóch z naszego grona i jeden albo dwóch spośród więźniów. Na miejscu okazało się to nie całkiem możliwe do przeprowadzenia, ponieważ tylko jeden pokój został przygotowany – ma się rozumieć, „przygotowany mikrofonowo”. Dopiero potem, już po rozpoczęciu spotkania, przygotowano (oczywiście

³ Jan Lityński, internowany 13 XII 1981 r., w czerwcu 1983 r. wyszedł na przepustkę i nie powrócił do więzienia; włączył się do działalności podziemia solidarnościowego (red.).

„mikrofonowo” przygotowano) jeszcze jeden. W związku z tym spotkanie odbyło się jakby na dwie tury, ale staraliśmy się swego postanowienia dotrzymać.

Więźniowie byli niezwykle zdziwieni, zaskoczeni. Zabrano ich w więziennych ubiorach. Powiedzieli im tylko rano, żeby się ogolili. A niektórym nawet tego nie powiedziano, tylko wzięto ich ze spaceru. Nikt nic nie wiedział. Karol [Modzelewski] też nie wiedział, nikt z nich nie wiedział o sprawie. Byli niezwykle zaskoczeni i równie serdeczni w stosunku do nas. Wtedy właśnie (tak potem przekazywano) nastąpiło to powiedzenie [Jana] Rulewskiego, który wszedł i zawołał: Chryste Panie, chyba rząd się zmienił! Wygląda mi to na rząd tymczasowy. Powiedział to, patrząc na naszą dziesiątkę.

Rozmowy były długie, my przynieśliśmy trochę jedzenia, trochę nam tam dano jeść. Nastrój był bardzo serdeczny. Prosiłiśmy rozmówców, żeby nie wypowiadali swoich sądów i swoich decyzji, także ze względu na mikrofony... Chcieliśmy, żeby nie ujawniły się różnice zdań, żeby nie można było ich podzielić. No, ale nie wszyscy wytrzymali.

Karol był najbardziej powściągliwy, chłodny i niezajmujący stanowiska. Odbyliśmy z nim także, Gieysztor i ja, blisko godzinną rozmowę o dokumentach średniowiecznych i ich datacji⁴. Przy czym to nie Gieysztor i nie ja zainicjowaliśmy rozmowę na temat mediewistyczny. Karol i Gieysztor zobaczyli się po raz pierwszy od bardzo dawna, od czasu internowania, i mieli sobie mnóstwo do powiedzenia.

Po tej długiej, całodziennnej rozmowie i dyskusji pojawiły się pewne elementy decyzji (jak to zwykle bywa w takich dyskusjach): negatywne, pozytywne, różne zapytania, pewne uzależnienia. Seweryn Jaworski mówił, że dla niego podstawowa jest decyzja Zbigniewa Bujaka. Inni też dopytywali się o stanowisko Wałęsy i stanowisko Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej Solidarności.

Poprzednio nie wspominałem jeszcze o jednym, że mianowicie w przeddzień spotkania z więźniami został do Warszawy sprowadzony – nie, dwa dni przedtem – Lech Wałęsa, któremu po raz pierwszy przedstawiono całość sprawy. (Zagraniczne plotki prasowe głosiły potem, że przyjechał, aby spotkać się z Kiszczakiem). Na życzenie strony kościelnej Lech skierował do prymasa list. I dopiero gdy Wałęsa napisał już ten list, zawiadomiono Mazowieckiego i mnie, że on na nas czeka. Przyjechalśmy, gdy list był już podpisany.

Napisał w nim, że zapoznał się z kompletem dokumentów uzgodnionych pomiędzy sekretarzem episkopatu i ministrem spraw wewnętrznych w sprawie „jedenastki” i stwierdził: całkowicie mnie to zadowala, jestem gotów popierać podjętą przez Waszą Eminencję inicjatywę, tak aby została szczęśliwie sfinalizowana. Jestem zadowolony z tego etapu, ponieważ działacze, ci z Solidarności, z KOR-u i KPN-u, odzyskają wolność i możliwość powrotu do normalnego życia i pracy. Uważam, że pozostaje do rozwiązania problem pluralizmu organizacji społecznych i zawodowych. Te cele stoją przed nami. Należy do nich dążyć metodami roztroprnymi, właściwymi, zgodnymi z katolicką nauką społeczną.

W takim sformułowaniu list został dołączony do dokumentów, które posiadaliśmy i które miały służyć przekonywaniu [więźniów]. Poparłem fakt wystosowania tego listu i jego treść. Zwłaszcza za istotne uznałem to, że Wałęsa sprawę pluralizmu związkowego wprowadził w nim jako tę następną [do załatwienia], otwartą już w tej chwili. Uważałem tylko, że listem tym nie należy posługiwać się na obecnym etapie rozmów ze względu na to, że nie należało angażować Wałęsy, póki nieznana jest jeszcze perspektywa sprawy. A po drugie dlatego, że nie byłem pewien, czy list Wałęsy, [napisany] przed oficjalnym sformułowaniem przez TKK opinii dla uwięzionych, nie będzie mieć wpływu odwrotnego od zamierzonego. Takiej reakcji

⁴ Wszyscy trzej panowie byli historykami średniowiecza; prof. Gieysztor był promotorem pracy doktorskiej Modzelewskiego (red.).

można było się spodziewać ze strony co najmniej kilku z nich. I taka rzeczywiście nastąpiła, gdy wbrew mojemu stanowisku któremuś z więźniów jeden z kolegów pokazał ten właśnie list. Rezultat był taki, jaki był do przewidzenia, tzn. przeciwny od zamierzonego.

Wszystko to przedstawiliśmy [„siódemce”]. Na tym rozmowa została zakończona. Przewidywaliśmy, że w bardzo krótkim terminie nastąpi druga rozmowa. Pierwsza odbyła się przed samymi świętami wielkanocnymi, chyba 6 kwietnia, w Wielki Piątek⁵, więc zapowiadaliśmy, że drugie spotkanie będzie w święta albo kilka dni później. I że oni sami także będą mieli spotkania we własnym gronie. Bardzo tego sobie życzyli.

Przyjechalśmy do Sekretariatu Episkopatu i dowiedzieliśmy się, że grupa kolegów z KOR-u nie wróciła. I że wystąpiły tam komplikacje, a mianowicie, że Adam Michnik nie zgodził się na przyjazd na rozmowy. Jak się okazało, był jedynym, który został uprzedzony o całej sprawie; poprzedniego dnia miał wizytę pani [Barbary] Szwedowskiej. Wiedział, po co [jest wzywany] i powiedział, że nie chce. Koledzy uznali, że jest to zapewne jakieś nieporozumienie i w związku z tym Jan Józef Lipski pojechał do więzienia i uzyskał zgodę (naczelnik [w nagraniu nazwisko nieczytelne] to załatwił) na widzenie z Michnikiem. Kiedy jednak Michnikowi powiedziano, że właśnie czeka Lipski, odpowiedział, że uważa to za czystą prowokację. Skoro sędzia nie pozwala mu na spotkanie (a dotychczas nie pozwalał) z promotorem [pracy doktorskiej], prof. [Tadeuszem] Jędruszcakiem, to on nie widzi powodu, dla którego miałby się spotykać z panem Janem Józefem Lipskim.

Lipski wrócił z niczym i wtedy Kuroń poprosił o możliwość spotkania. Załatwiono to, zawieziono go do więzienia. Pierwsze spotkanie, jak Jacek mówił – w celi, z Adamem. Jacek był bardzo zdenerwowany, nie znał motywów i myślał, że Adam

nie rozumie, o co chodzi. Skończyło się na ostrej scysji między nimi. Jacek wyszedł z celi (zażądał wypuszczenia). Po pewnym czasie wrócił i jeszcze raz odbył w celi samotną rozmowę. To znaczy samotną, bo pozostali więźniowie zostali zabrani, ale „samotną z mikrofonem”... Jacek uznał, że to on zawinił [nie przekonał Michnika], bo nie mógł zrozumieć, że Adam wie o co chodzi i swoją decyzję podjął świadomie. Wrócił potem na spotkanie z kolegami z KOR-u. Było takie domniemanie, że Adam jest psychicznie nie zrównoważony, zmęczony. W związku z tym – mimo naszych próśb, żeby nie dyskutować o decyzjach, a tylko przekazywać informacje – grupa korowska podjęła decyzję zaakceptowania warunków przedstawionych przez prymasa, jednak możliwe to będzie tylko wówczas, gdy sprawa Adama zostanie załatwiona jednocześnie i w taki sam sposób, niezależnie od jego udziału. To jest warunek. Z tym [negocjatorzy] powrócili.

W trakcie spotkania naszej grupy [z uwięzionymi członkami Komisji Krajowej] Stelmachowski i Mazowiecki pojechali do Anina [przedstawić sprawę Jurczykowi w szpitalu]. Po rozmowach nastąpił strasznie przykry moment, bo myśmy wracali na wolność, a oni do więzienia, upychając po kieszeniach papierosy, które zdołaliśmy przynieść. Obie grupy negocjatorów spotkały się ponownie w Sekretariacie Episkopatu na ul. Wronej. Dokonaliśmy przeglądu wykonania naszej misji i zastanowienia się, co robić z tym fantem. Przyjeliśmy, że jeżeli choćby tylko jedna osoba odpowie negatywnie, tzn. że wszyscy odpowiedzieli negatywnie. Stanowisko Adama było wyraźne i jednoznaczne. Jurczyk niezależnie od tego, że był proszony, aby nie podejmował [od razu] decyzji, odpowiedział w zasadzie negatywnie. Uznał, że złożył przysięgę na wierność Solidarności i jakikolwiek krok tego typu byłby złamaniem tego przyrzeczenia. Tak że już można było powiedzieć,

⁵ Wielki Piątek w 1984 r. przypadał 20 kwietnia. Z notatek ks. Alojzego Orszulika wynika, że tego dnia odbyły się pierwsze rozmowy Zespołu Dobrych Usług z uwięzionymi członkami KSS KOR (z wyjątkiem Adama Michnika) i Komisji Krajowej NSZZ Solidarność (red.).

iż jedna osoba jest całkowicie przeciwna, druga w zasadzie także (z tym że co do Jurczyka sądziłmy, iż istnieje ewentualność, że może jeszcze zmienić zdanie). Wśród sześciu osób, z którymi my rozmawialiśmy, nie było decyzji ani pozytywnych, ani negatywnych. O stanowisku korowców już mówiłem.

Nastąpiły potem dalsze rozmowy: naszych przedstawicieli z płk. Pudyszem i nasze wewnętrzne. Niektórzy z nas uważali, że albo trzeba załatwić sprawę Adama Michnika [tak samo jak wszystkich], albo trzeba uznać naszą misję za nieudaną, a w każdym razie że nie można sprawy Adama inaczej rozwiązywać i nie można akceptować odłączenia jego sprawy od pozostałych. Inni – zwłaszcza po rozmowach z Pudyszem – uznali, że są jakieś możliwości odmiennego załatwienia sprawy Adama. To budziło pewne niepokoje, bo m.in. nasuwała się oczywista myśl, że np. potraktują go jako psychicznie nie zrównoważonego czy chorego i zwolnią go na tej podstawie, a to tworzyłoby bardzo niebezpieczny precedens, którego nie chcieliśmy akceptować.

Te rozmowy toczyły się więc długi czas. Zapewniono możliwości ponownych rozmów z Michnikiem. Podjęta została próba jego spotkania z dr. Rybickim, ale Adam odmówił. Odmawiał konsekwentnie spotkań z osobami pozostającymi na wolności. Ale nie z Kuroniem. Jackowi nie odmawiał. Spotkał się z nim parę razy w więzieniu i – jak mówił Jacek – powiedział: przecież jesteście związani więzami najbliższej przyjaźni. Jan Józef Lipski, który dostał kilka razy zezwolenie na wizytę u Kuronia, przynosił nam sprawozdania z rozmów Jacka i Adama. Jedno z nich było następujące: trzeba wziąć pod uwagę, że „jedenastka” to ludzie, którzy muszą dawać przykład, na których wszyscy spoglądają, żeby zatem ich przykład nie był zgorszeniem. I odwołał się do cytatu ze Starego Testamentu, którym kiedyś miał się posłużyć prymas [Stefan] Wyszyński, z 2 Księgi Machabejskiej 6.18. Wskazuje się tam, że nie wolno kłamać, nie wolno ugiąć się [nawet przed przemocą],

jeżeli mogłoby się tym kłamstwem dać zły przykład. Chodziło o jedzenie wieprzowiny [do czego wrogowie zmuszali świątobliwego starca Eleazara, a życzliwi namawiali go]: udawaj, że jesz, a naprawdę nie jedz. On odpowiedział: nie mogę, bo gdybym tak zrobił, to innych ludzi, zwłaszcza młodych, wprowadziłbym w błąd...

Mieliśmy zatem świadomość, że grupa KOR-u jest „za”, sprawę Adama trzeba rozważyć, jak ją rozwiązać, sprawa „siódemki” – do przedyskutowania. No i oczywiście było, że kluczowe będzie stanowisko Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej. Ponieważ Seweryn Jaworski zażądał opinii TTK, wobec tego trzeba było się o nią zwrócić. Z TTK odbyło się już kilka korespondencji. Na pewno z Bujakiem, z Wiktorem Kulerskim. Z Bujakiem korespondował Lipski. A ja pisałem do niego w przeddzień naszego pierwszego spotkania z więźniami. Do Jana Józefa Lipskiego przyszedł od Bujaka sceptyczny list: wygląda na to, że „czerwony” chce sobie dobrą twarz zrobić, elegancką, ale jest to mało prawdopodobne, żeby coś z tego wyszło, w każdym razie bądźcie ostrożni, uważajcie. Ja już po pierwszym spotkaniu dostałem list, który wyrażał negatywne stanowisko wobec postawionych warunków i charakteru negocjacji. Ponieważ jednak była to korespondencja prywatna, to poszło także zapytanie formalne, na które TTK miała udzielić formalnej odpowiedzi. Pytanie od dwóch rozmówców Seweryna Jaworskiego.

Było jasne, że większość [więźniów] jest za przyjęciem warunków, że są najprawdopodobniej dwie osoby, może trzy, które warunków nie chcą przyjąć, i kilka wahających się. Decydujące znaczenie miałyby nie tyle zgoda, ile apel TTK o przyjęcie postawionych warunków. To zaś – uznałem – stwarza pewną sytuację polityczną, że mianowicie wchodzi trzeci partner. Że bez niego, jak widać, nie można niczego rozwiązać. Także tej sprawy, jak się okazało, bez stanowiska TTK nie można załatwić. Mimo że większość była „za”. No bo KOR był za przyjęciem i – tak sądziliśmy – większość „siódemki”. Zatem włączenie TTK oznaczałoby,

że TKK wchodzi jako partner polityczny, bo oczywiście było, że wcześniej czy później dowiedziałaby się o tym opinia publiczna. I postanowiłem zwrócić się dużym listem, wręcz memoriałem, do Zbyszka [Bujaka] i jego kolegów, tzn. do całej TKK, do Zbyszka i do Bogdana [Lisa]. Do Zbyszka listem, do Bogdana także listem, zwracając się o to, żeby TKK wystąpiła z prośbą o przyjęcie propozycji zgłoszonych przez prymasa Polski.

Dalej toczyły się rozmowy, nadal też odbywały się spotkania w gronie „siódemki” i „czwórki”, a także ich spotkania z Olszewskim i Chrzanowskim, raz też ze Stelmachowskim. Te ostatnie miały na celu wyjaśnienie im, dlaczego nie ma rezultatu. Dokładniej spotykało się razem sześciu [bo Jurczyk w szpitalu] i razem trzech (bo Michnik konsekwentnie za każdym razem odmawiał).

Po pierwszej rundzie rozmów wystaliśmy notatkę do papieża. Stwierdziliśmy w niej, że są dokumenty, że zostały parafowane [przez przedstawicieli Kościoła i przedstawicieli władz], że chodzi o zwolnienie wszystkich [więźniów politycznych], że odbyła się pierwsza runda rozmów z uwięzionymi. To znaczy: ks. Zieja, dr Rybicki, mec. Steinsbergowa, Maria Wosiek i Lipski z [aresztowanymi członkami] KOR-u, a z siedmioma osobami z kierownictwa Solidarności rozmawiali Chrzanowski, Geremek, Mazowiecki, Olszewski, Stelmachowski i Wielowieyski – doradcy Solidarności, a także prof. Gieysztor. I że [od władz] uzyskano spełnienie warunków co do charakteru tych rozmów i okoliczności, w jakich miały się one odbywać. Stwierdziliśmy, że spotkania odbyły się w wielkiej serdeczności i zaufaniu, mimo kontroli policyjnej. Dostyc sceptycznie określaliśmy dalsze możliwości, że mianowicie w tej chwili nie można przesądzać wyniku tych rozmów, prawdopodobna jest jednak prognoza, że aresztowani (a przynajmniej ich część, co równałoby się stanowisku całości) nie przyjmą [żądanych] zobowiązań. Argumenty ich były takie, że nie mają pewności, iż pozostali uwięzieni zostaną uwolnieni. Czując się niewinni, obawiają się, by swoją zgodą na warunki nie za-

akceptowali bezprawia, i nie mają pewności, jak taka decyzja zostałaby przyjęta w społeczeństwie, czy nie osłabiłaby woli oporu. Uważaliśmy w tym momencie, że zakładając, iż trudno liczyć na taką ingerencję TKK, o jakiej mówiłem, sprawa jest beznadziejna.

Po tych rozmowach postanowiono, że najbliższe spotkanie ma się odbyć 12 maja. W przeddzień, czyli 11 maja, spotkaliśmy się na Wroniej [w Sekretariacie Episkopatu], omówiliśmy sprawę. Zwróciliśmy m.in. uwagę na to, że jest wiadomość prasowa o tym, że Adam Michnik ma kabarynę – karę dyscyplinarną za jakiś czyn wewnętrzny, więzienny. Zapowiedzieliśmy ks. Orszulikowi, że jeżeli to prawda, to prosimy o odwołanie spotkania, uważając, że w takich okolicznościach nie może się ono odbyć. Ksiądz przy nas zadzwonił do płk. Pudysza i okazało się, że kabaryna została Adamowi bezterminowo zawieszona. Potwierdziliśmy wówczas, że następnego dnia odbędziemy spotkanie, przy czym mieliśmy już zarówno stanowisko TKK, o które się do nas zwracano, jak i dodatkowe wiadomości, które chcieli poznać niektórzy koledzy z „jedenastki”.

Co do opinii TKK... Jak wspominałem, przed 6 kwietnia, czyli przed pierwszym spotkaniem z więźniami, Jan Józef Lipski i ja przekazaliśmy informacje do Zbyszka Bujaka. I w przeddzień, a może nawet w dniu spotkania, Jan Józef pokazał mi odpowiedź Zbyszka; ja rozumiałem ją jako skierowaną do nas obu. Wyrażał się on z pewnym sceptycyzmem o intencjach władzy, uważając, że jest to raczej chwyt propagandowy, tak że trzeba bardzo uważać, bardzo patrzeć władzy na ręce, zastanowić się, co i jak robić. Z tym poszliśmy 6 kwietnia... Ja natomiast już po tym pierwszym spotkaniu dostałem [od Bujaka] pilną odpowiedź. Zbyszek sformułował w niej zdecydowanie negatywne zdanie co do przyjęcia warunków proponowanych przez władze. Gdy zatem formułowaliśmy wspomnianą notatkę dla papieża, to wypowiedzieliśmy się w niej bardzo sceptycznie co do szans. Raczej mówiliśmy, że szanse pozytywnego zała-

twienia sprawy są nikłe. Właśnie ze względu na to, co wiedzieliśmy: że znaczna liczba zainteresowanych nie przyjmie tych warunków. Ale przed drugą rundą Lipski otrzymał pełnomocnictwo TKK, które pozwalało mu w przypadku, gdyby większość była za przyjęciem propozycji prymasa, pokazać pozostałym list podpisany przez TKK⁶. Zawierał on jednoznaczny prośbę skierowaną indywidualnie, imiennie do każdej z tych osób. Z zastrzeżeniem jednak, że dokument ten w ogóle zaistnieć może tylko wówczas, gdy większość będzie „za”.

Wynikało to z tego, że w mojej informacji (zwróciłem się z dużą, długą notatką, memoriałem właściwie, do Zbyszka [Bujaka], a także do Bogdana [Lisa]) oceniłem sytuację i sformułowałem własne zdanie (a wiedziałem, że [trzech spośród uwięzionych członków] KOR-u jest „za”, i mniej więcej znałem dystrybucję postaw w gronie „sio-demki”). Stwierdziłem mianowicie, że decydującą rolę odegra stanowisko TKK. A uważałem, że miałyby to donieść rolę polityczną ze względu na to, że wówczas TKK stałaby się partnerem.

12 maja rano pojechaliśmy do Chylic. Tym razem nie było z nami ani ks. Ziei, ani mec. Steinsbergowej. Spotkaliśmy się z dziewięcioma osobami. Zaproponowaliśmy, żeby dyskutowali sami. Powiedzieli, że chcą razem z nami, przy jednym stole; prosili, żeby Stelmachowski przewodniczył. Następnie przedstawione zostały trzy informacje. Chrzanowskiego – o rozmowach z płk. Pudyszem, np. wyjaśnieniu dotyczącym kabaryny Adama, wyjaśnieniach dotyczących uwolnienia pozostałych [oprócz „jedenastki”] więźniów politycznych – niejasnych sformułowań w tej sprawie, zakresu art. 5, zapowiedzi amnestii. Druga informacja – Karola Modzelewskiego o jego spotkaniu w celi z Michnikiem. Powiedział, że u Adama nie ma nic nienormalnego psychicznie, nie ma żadnych zaburzeń psychicznych, jest po prostu decyzja z racjonalnymi argumentami. Karol tylko nie podziela,

nie pochwała, a nawet uważa za naganne to, że Adam nie chciał spotkać się z kolegami w tej sprawie. I moja informacja o echach prasowych, radiowych. Chodziło o wszystkie obiegi prasy dotyczące negocjacji. Następnie – merytoryczna dyskusja, w której najpierw zabierali głos zainteresowani, zajmując różne stanowiska.

Jacek na wstępie przyznał, że zmienił zdanie. Początkowo chciał aprobować, następnie zaś zdanie zmienił. Powiedział: nie mogę zapomnieć o tym, jak moje stanowisko zostanie przyjęte przez innych, i to powoduje, że ostatecznie zajmuję negatywne stanowisko. Oczywiście wyobraźni widzę, jak w przypadku, gdybyśmy przyjęli [warunki], śledczy podsuwa więźniowi artykuł w „Trybunie Ludu” o tym, że przywódcy Solidarności podpisali lojalki, a on, ten więzień, gnije, bo niezłomny, w więzieniu. Byłaby to pełna kapitulacja.

Karol mówił o tym, że trzeba odróżnić aspekt prawny, moralny i polityczny. We wszystkich tych aspektach dostrzega on argumenty przeciwko przyjęciu. Prawnie najlepszym rozwiązaniem jest proces. Moralnie niejednoznaczna jest sytuacja, gdy jest to przyjęcie [narzuconych] warunków. Politycznie nie widzi żadnych pozytywów, dlatego że nadal przecież wypuści się jednych więźniów, ale będą następni.

Głos Rulewskiego był pierwszym, który wyrażał odmienne stanowisko i zmienił atmosferę. Mówił on o bilansie negatywnych skutków decyzji o przyjęciu warunków. Wskazał, że byłoby to pewne osłabienie dynamiki ruchu, że byłyby negatywne reakcje opinii publicznej, że byłyby głosy o kapitulacji, że podziemie poczułoby się osłabione. Ale jednocześnie powiedział: zasadnicze znaczenie mają pozytywne skutki. To, że – jak mówił – na takiej decyzji nasz ruch, z którym czujemy się stale związani, wygrywa. Tworzy się nowa sytuacja. Decyzję podejmujemy na prośbę prymasa, wytwarza się zatem sojusz Solidarności

⁶ Mówi o tym Bogdan Lis w swojej relacji *Długi marsz i szybki skok*, „Wolność i Solidarność” 2010, nr 1, s. 157.

z Kościołem. Jesteśmy razem jako „jedenastka”, razem z Lechem Wałęsą, razem z TTK, razem z naszymi kolegami, którzy tu przyjechali.

W pewnym momencie dyskusji dwaj uczestnicy w związku z tym, co mówił Janek Rulewski, stwierdzili, że TTK jest przeciwna przyjęciu propozycji. Lipski wtedy powiedział, że jest upoważniony do zaprzeczenia wiadomości, jakoby TTK była przeciwna. Może stwierdzić, że TTK z góry przekazuje kolegom wiadomość, że zaaprobuje każdą ich decyzję, czy będzie ona negatywna, czy pozytywna. Już w tym momencie dyskusji to zostało powiedziane. Następnie po kolei włączali się ci, którzy przyjechali [z wolności]. Najpierw dr Rybicki w długim, bardzo pięknym przemówieniu nawiązał do moralnych motywów zgody na propozycję. Stwierdził: ja przyjąłbym ją bez wahania. Mówił: jednoznacznie jest to z waszej strony ofiara dla pięciuset innych [więźniów] i ofiara dla Kościoła. Dosyć ostro polemizował m.in. z Karolem, który wspominał, iż napisał do [rzecznika rządu] Jerzego Urbana list, że on nigdy nie skorzysta z art. 5 amnestii, bo chce, żeby proces wykazał jego niewinność. Proszę pana – powiedział Rybicki – u nas, z tej drugiej strony [murów], na wolności, to nikt do Urbana by nie napisał, a gdyby nawet, to wstydziłby się ludziom przyznać. Tak, były i takie argumenty polemiczne... Głos dr. Rybickiego był bardzo piękny. Właśnie jego. Mówił o swoich doświadczeniach⁷. O tym, co myśli o takich ludziach jak „Radosław”⁸. Gdybym był na waszym miejscu, to bym przyjął [propozycję skorzystania z amnestii], a ja przecież wszystkie propozycje czynione mi w więzieniu odrzucałem. Dziś stosuję te same kryteria moralne, które wtedy stosowałem i dlatego mówię: ja bym przyjął.

Następnie wystąpił Mazowiecki, mówiąc, że jest „za”. Trzeba uznać, że moralnie jest to rozwiązanie godziwe, a ponadto – z politycznego punktu widzenia – nietypowe, a Polska dobrze wychodzi na nietypowych rozwiązaniach.

Potem ja mówiłem o tym, że poziom moralnej godziwości osiągnęliśmy dzięki odrzuceniu banicji i lojalności. Dalej trzeba już stosować rozumowanie polityczne. Wydaje mi się, że trzeba zrobić bardzo ostrożny rachunek. Partner jest niepewny, nie wiemy, co uzyskamy, a czego nie uzyskamy. Wszystkie negatywne argumenty, które zostały tu wymienione, wydają mi się trafne. Trzeba jednak dokonać rachunku. Argument polityczny, który jako pierwszy należy wziąć pod uwagę, jest taki, że sprawa została rozwiązana negocjacyjnie między trzema partnerami, pierwszy raz po 13 grudnia [1981 r.]. Cokolwiek zostaje rozwiązane, to zadatek na przyszłość. Jest szansa, szansa ryzykowna, ale tylko ryzykowanie, tylko ryzykowne rozwiązania są w tej chwili możliwe. A sposób załatwienia tej sprawy to jest szansa, która coś otwiera. Po drugie: nie wychodźcie [na wolność] z łaski władzy. Rok temu ja sam wyszedłem na mocy amnestii, czyli z łaski władzy. Wychodźcie na tej zasadzie, że dajecie ofiarę, bo dzięki temu z więzienia wyjdzie jeszcze pięćset osób. I wreszcie trzeci element, to kontrakt, który Solidarność jako ruch, którego jesteście czołowymi postaciami, zawiązuje z Kościołem. A to także jest pewna szansa na przyszłość. Moim zdaniem jeśli przeprowadzić rachunek w kategoriach działania politycznego, to rezultat jest jeden: warto przyjąć tę propozycję.

Wystąpili jeszcze Wielowieyski i Chrzanowski. Następnie ponowiona została dyskusja. Było też

⁷ Józef Rybicki, od 1943 r. szef Kedywu Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, uczestnik powstania warszawskiego, jeden z założycieli Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, został aresztowany w grudniu 1945 r., następnie skazany na 10 lat więzienia. Wyszedł na wolność w 1954 r. (red.).

⁸ Pułkownik AK Jan Mazurkiewicz „Radosław” w 1945 r. wezwał akowców do ujawnienia się przed władzami komunistycznymi. Wielu z nich trafiło następnie do więzienia (red.).

nieco polemicznej wymiany zdań. Karol [Modzelewski] wystąpił polemicznie w stosunku do Tadeusza [Mazowieckiego], Jacek [Kuroń] głównie w stosunku do Rulewskiego. Ale to było później.

Karol powiedział, że owszem, argumenty Geremka trafiają mu do przekonania. Istotnie – są rozumne. Ale – mówił – ja po prostu nie mogę ich w pełni akceptować, bo jestem w więzieniu i nie mam możliwości politycznego rozumowania. Nie mam danych. A Jacek powiedział: właśnie o to chodzi Adamowi. To jest jego rozumowanie: że moralnie rzecz ta jest niepewna i mało czysta. Politycznie – być może, ale co więzień może wiedzieć o polityce? Tylko to, co mu ludzie z zewnątrz przynoszą. A zatem to wy za nas decydujecie. A dalej Jacek mówił: jest tu kilka osób, w ręce których byłbym w pełni gotów oddać moją decyzję. Tylko powiedzcie sami – gdybym ją oddał, to co byście wtedy zrobili? A ja nie wiem, jaki jest świat za kratami.

Rezultat? Jeszcze trochę rozmów kuluarowych, trochę ostrych, trochę kwaśnych, trochę gorzkich. Chciał jeszcze dr Rybicki zabrać głos i powiedzieć coś na koniec. Odradziłem. Miałem na uwadze, że jednak oni wracają do więzienia. Misja się nie udała, oni wracają do więzienia, natomiast my idziemy na wolność.

W toku dyskusji, w połowie, zostało zrobione głosowanie indykacyjne. W związku z pełnomocnictwami [od TKK], które miał Jan Józef [Lipski], trzeba było wiedzieć, po której stronie jest większość. Zatem głosowanie tajne, na kartkach. Przy czym miało się to odbyć metodą soborową, tzn. [jeżeli nie zapada rozstrzygnięcie, to] są kolejne głosowania. Pierwsza runda, indykacyjna właśnie, to głosowanie „za”, „nie”, „iuxta modum” (*iuxta modum*, czyli „z poprawkami”). Odbyło się więc głosowanie „tak”, „nie”, „z poprawkami”. I rezultat był taki, że większość była za „nie”. Tak że uznaliśmy, iż w tej sytuacji nie ma co prowadzić

dalszych głosowań i dalszej dyskusji. Janek Rulewski chciał kontynuować. Powiedział: a jednak wróćmy, no tak wyszło, ale to było indykacyjne, spróbujmy się zastanowić. Ale pozostali już tego nie podjęli. Na naszą prośbę postanowili napisać list do prymasa z podziękowaniem za inicjatywę i z wyjaśnieniem. Że w obecnej sytuacji oni nie są w stanie podjąć pozytywnej decyzji, ponieważ nie rozwiązuje ona żadnego istotnego problemu społecznego, zatem wszystkie źródła napięć społecznych pozostają. Ponadto nie ma też pewności, że wszyscy więźniowie polityczni wyjdą – czy przed nimi, czy też po nich – na wolność. Ale główny nacisk był na tę pierwszą sprawę, czyli że to nie rozwiązuje kryzysu społecznego. Na tym zakończyło się nasze spotkanie. Pożegnaliśmy się równie serdecznie, jak się witaliśmy. Powróciliśmy na Wronią w wisielczym humorze. Taki właśnie zapamiętał nastrój. I wtedy zażądaliśmy wódki...

Doszło jeszcze do pewnych scysji. Bo można było obawiać się, że organizatorzy całej imprezy poczują się urażeni. Warto więc byłoby pokazać, że ze strony więźniów wystąpiły realne motywy moralne, społeczne i polityczne, że my ich nie podzielamy, ale ludzie siedzący w więzieniu mają odmienną optykę. Chodziło bowiem o to, po pierwsze, żeby nadal prowadzić negocjacje. A po drugie, żeby tych ludzi, którzy są za kratami, uchronić od ewentualnych represji za odmowę. Ale pierwsza reakcja [zespołu] była bardzo niepokojąca: no tak, tak, teraz to niech się już PRON⁹ tym zajmuje...

A następnie dowiedzieliśmy się z gazet, że Urban na konferencji prasowej oświadczył, że rokowania trwają, że odbyło się spotkanie [negocjatorów i władz] dla przekazania wyników. A oni je przecież dobrze już znali, bo przecież to wszystko było na podsłuchu.

Na spotkaniu naszych przedstawicieli z Pudysem pułkownik powiedział: no cóż, jestem praw-

⁹ Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego – fasadowa organizacja powołana przez władze PRL w 1982 r., kierowana przez Jana Dobraczyńskiego (red.).

nikiem, teraz sytuacja jest jasna. Po prostu musi być proces – stwierdził – ale to nie moja sprawa, od tego jest szef, bo to już nie decyzja prawna, tylko polityczna. Natomiast co my zrobimy, jeżeli będą stałe jakieś informacje z różnych źródeł, może lepiej coś powiedzieć? Zdecydowali, żeby poinformować, że były prowadzone negocjacje. W poniedziałek wieczorem czy we wtorek rano (14 lub 15 maja, ale raczej we wtorek rano) zadzwonił płk Pudysz do ks. Orszulika z prośbą o zmianę sformułowania w komunikacie. Żeby zamiast „były prowadzone negocjacje” dać „są prowadzone”. I ks. Orszulik tę zmianę zaakceptował. Miało to pewne uzasadnienie, ponieważ wiadomo już było, że 17 maja Henryk Jabłoński jedzie do Rzymu i będzie prowadził rozmowy w Watykanie, że może więc będzie okazja po temu, żeby jakieś nowe elementy się pojawiły. Było więc coś podobnego do prawdy w tym, że negocjacje trwają, ale w gruncie rzeczy od poniedziałku sprawa była już całkowicie zakończona, zatrzymana, żadnych negocjacji już nie było, a nasza misja została uznana za przeprowadzoną bez skutku.

Dodatkową komplikację wniosła misja ONZ. Myśmy o niej w ogóle nie wiedzieli. O tym, że p. Olivares¹⁰ jest [w Polsce], dowiedzieliśmy się dopiero po pierwszym spotkaniu z więźniami 6 kwietnia [1984 r.]. Było już blisko do 1 maja, gdy płk Pudysz na jakimś spotkaniu, niejako przy okazji, oznajmił, że jest tu przedstawiciel ONZ, dyrektor gabinetu – jak powiedział – sekretarza generalnego ONZ, i widział się z Modzelewskim, bo życzył sobie takiej sondażowej rozmowy. Być może spotka się z jeszcze jednym, z Jurczykiem – mówił

Pudysz. I bagatelizował sprawę. Dopiero potem dowiedzieliśmy się od rodzin, adwokatów i przez pewne kontakty, które w tych dniach mieliśmy, że [Olivares] spotkał się ze wszystkimi [więźniami]. A oni byli przekonani, że my o tym wszystkim wiemy i że istnieje jakieś *iunctim* [związek] między jedną a drugą sprawą. Nie było żadnego. Co więcej, uważamy, że miało to istotny negatywny wpływ na całą sprawę. Wiem o tym, bo niektórzy mówili mi, że to było jednym z elementów zmiany decyzji pozytywnej na negatywną. Bo coś im [władzy] się tak strasznie śpieszy. A jeżeli im tak się śpieszy, to nam nie powinno się śpieszyć. Bo tak to wyglądało jak bombardowanie [namowami], zabieganie na wszelkie możliwe sposoby, żeby koniecznie wyszli... Kiedyśmy zapytali, jak wygląda sprawa warunków, o których mówił [więźniom] p. Olivares, płk Pudysz odparł, że on tych warunków nie uzgadniał ze stroną polską i że strona polska już zwróciła uwagę p. Olivaresowi. Ma on przyjechać po raz drugi i wówczas uzyska to na piśmie, że nie ma mowy o akceptacji sześciomiesięcznego wyjazdu wypoczynkowego, że w grę wchodzi tylko – tak jak zapowiadaliśmy uprzednio – wyjazd pięcioletni, no może czteroletni, oczywiście z prawem powrotu do kraju – mówił płk Pudysz. Jedyne, co potem wiedzieliśmy, to że p. Olivares ma powtórnie przyjechać. Spotykał się z nimi pojedynczo, potem wpuszczono go także do więzienia. I na spacerniaku był razem z nimi na jednym ze spacerów. Z KOR-u spotkał się z trzema. Adam Michnik odmówił.

Relację przeprowadził Tadeusz Kowalik

¹⁰ Emilio de Olivares – dyrektor biura sekretarza generalnego ONZ Javiera Perez de Cuellar (red.).

ROZMOWY W CHYLICACH

I. Notatka przygotowana przez Bronisława Geremka na spotkanie Zespołu Dobrych Usług, powołanego przez Episkopat Polski, z uwięzionymi przywódcami Solidarności i KSS KOR 20 kwietnia 1984 r.

Punkty do rozmów

1. Przedstawienie przebiegu rokowań

a. Rozpoczęcie sprawy z inicjatywy Kościoła (notatka *pro memoria* przedstawiona na Komisji Wspólnej rządu i episkopatu z września 1983 r. o konieczności umorzenia spraw [czterech członków] KOR-u i siódemki z [Komisji Krajowej] Solidarności na podstawie art. 5 ustawy o amnestii z 1983 r.).

b. W odpowiedzi – publicznie wyrażone stanowisko władz o konieczności przymusowego wyjazdu oskarżonych jako warunku zwolnienia. Odrzucenie tego przez stronę kościelną i powołany przez nią Zespół Dobrych Usług (skład zespołu).

c. Alternatywne propozycje strony rządowej: podpisanie deklaracji wyrzeczenia się na okres 5 do 10 lat wszelkiej działalności politycznej i społecznej oraz powstrzymanie się od publikacji i wywiadów we wszelkich środkach masowego przekazu na tematy polityczne, gospodarcze i społeczne w tym samym okresie (plus szereg innych ograniczeń), łącznie z przyznaniem, że dotychczasowa działalność była szkodliwa dla interesów kraju. (Adresatem deklaracji miały być władze). Również to żądanie zostało odrzucone przez stronę kościelną.

d. W wyniku pertraktacji prowadzonych przez Sekretariat Episkopatu z udziałem przedstawicieli Zespołu Dobrych Usług została wynegocjowana propozycja znajdująca wyraz w przedstawionych dokumentach.

2. Propozycja wyrażona w dokumentach ma charakter ostateczny. W istniejących warunkach nie można było wynegocjować nic ponad to, co wynika z treści dokumentów. Zainteresowani mogą propozycję tę przyjąć lub odrzucić, nie jest natomiast możliwe negocjowanie nowych warunków lub zmian w ich treści.

3. W świetle porozumienia między przedstawicielami episkopatu a władzami istnieją powiązania wyłączenie między:

a. prymasem Polski a władzami, które w wyniku jego apelu umorzą postępowanie karne na mocy art. 5 amnestii;

b. zainteresowanymi a prymasem Polski, na którego ręce złożą zobowiązania o charakterze wyłącznie moralnym o zaprzestaniu publicznej działalności politycznej w znaczeniu i czasie przedstawionym w załączniku do listu do nich skierowanego [przez prymasa].

4. W ramach pertraktacji przedstawicieli Kościoła i władz postawiona została sprawa rozwiązania problemu wszystkich pozostałych więźniów politycznych. Władze wyraziły stanowisko, że załatwienie obu wymienionych wyżej spraw stanowić będzie przesłankę do załatwienia w nieodległej perspektywie sprawy uwolnienia innych uwięzionych. Konkretnie ustalenia w tej kwestii, zawarte w piśmie Rady Państwa stanowiącym odpowiedź na apel księdza prymasa, sprowadzają się do:

a. uruchomienia art. 5 ustawy amnestyjnej (dotąd pozostającego martwym paragrafem) wobec innych osób skazanych w okresie stanu wojennego, które pozostają jeszcze w więzieniach (ustna obietnica zwolnienia przywódców KPN-u);

b. zapowiedzi pełnego rozwiązania problemu osób uwięzionych za działalność polityczną (oznacza to także działalność w Solidarności) z okazji czterdziestolecia PRL w lipcu 1984 r. w trybie nowej amnestii. Zapewnienia te stanowią zobowiązanie wobec prymasa i episkopatu. Dla zainteresowanych stanowić mogą podany w liście do księdza prymasa motyw przyjęcia jego propozycji.

5. Sprawa powrotu zainteresowanych do pracy została zagwarantowana w sposób uzasadniający prawo prymasa do interwencji w wypadku odmowy zapewnienia pracy zgodnie z kwalifikacjami tych osób, ale niedający gwarancji powrotu do tych samych zakładów pracy, w których pracowali przed aresztowaniem. Ze strony władz była oferta zapewnienia im swobody wyjazdu za granicę w formie wprowadzenia odpowiedniej formuły do pisma Rady Państwa, nieprzyjęta ze względu na możliwe negatywne skojarzenia opinii publicznej.

6. Zasadą przyjętą przez obie strony (Kościół i władze) i przestrzeganą przez Zespół Dobrych Usług jest pełna dyskrecja negocjowanej sprawy. Prośba do zainteresowanych, aby potraktowali propozycję w ten sam sposób. W wypadku przyjęcia propozycji sposób podania tego faktu do wiadomości publicznej w formie komunikatu będzie uzgodniony przez władze z przedstawicielami Kościoła i Zespołu Dobrych Usług. Zakres publikacji przedstawionych dokumentów będzie uzgodniony między tymi samymi stronami. W wypadku nieprzyjęcia propozycji projekty dokumentów zostaną wycofane, a sprawę uważa się za niebyłą. Trzeba się jednak liczyć z możliwością ujawnienia jej przez władze w określonych okolicznościach, np. na inspirowane pytania do rzecznika prasowego [rządu].

(Koniec notatki; tekst odczytany przez Bronisława Geremka i zarejestrowany na taśmie magnetofonowej).

Źródło: Archiwum Tadeusza Kowalika

II. Notatka protokolarna z rozmowy Zespołu Dobrych Usług z „jedenastką” 12 maja 1984 r.¹

Rozmowa odbyła się w willi rządowej w Chylicach i trwała 11 godzin z krótkimi przerwami, od ok. 9.30 do ok. 20.30. Była ona wynikiem realizacji uzgodnionego programu spotkań.

Pierwsze spotkanie z więzionymi odbyło się 20 kwietnia 1984 r. i miało charakter z założenia informacyjny. Rozmowy prowadzone były w grupach 2–3 członków zespołu z poszczególnymi więźniami. Wyjątkiem była rozmowa członków byłego KOR-u z więźniami z byłego KOR-u, która odbyła się wspólnie. Spotkania 5 maja były: [pierwsze] – naradą sześciu uwięzionych działaczy Solidarności przy udziale dwóch członków zespołu, Wiesława Chrzanowskiego i Jana Olszewskiego (ich rola polegała na informacji); drugie – powtórzonym spotkaniem członków byłego KOR-u.

Spotkanie z dnia 12 maja 1984 r. miało być wymianą poglądów obu grup więźniów z Zespołem Dobrych Usług. Więźniów było dziewięciu. Z kierownictwa Solidarności: Andrzej Gwiazda, Seweryn Jaworski, Karol Modzelewski, Grzegorz Palka, Andrzej Rozpłochowski i Jan Rulewski. Z KOR-u: Jacek Kuroń, Zbigniew Romaszewski i Henryk Wujec. Adam Michnik odmówił udziału w spotkaniach, a Marian Jurczyk nie mógł przybyć ze względu na zakaz lekarski. Z ramienia Zespołu Dobrych Usług byli obecni: Wiesław Chrzanowski, Bronisław Geremek, Aleksander Gieysztor, Jan Józef Lipski, Tadeusz Mazowiecki, Jan Olszewski, Józef Rybicki, Andrzej Stelmachowski, Andrzej Wielowieyski i Maria Wosiek. Dyskusji przewodniczył Andrzej Stelmachowski.

Na początku dokonano wymiany pewnej ilości informacji bieżących. Z kolei Modzelewski, który miał spotkanie z Michnikiem, przekazuje, że Michnik uważa, że więzień nie negocjuje. Dlatego też nie chce się spotkać z kolegami. Był on też ukarany za odmowę rozmowy z [Emilio de] Olivaresem. Prosi też o poinformowanie kolegów o swojej opinii, że nie należy odmownej odpowiedzi dawać na piśmie.

Wujec pyta, jaki związek ma nasza sprawa z całym problemem więźniów.

Rulewski pyta, czy zostanie rozwiązana sprawa przywrócenia do pracy więźniów i innych zwolnionych z pracy. O ile będą uwzględnione sprawy ludzi przebywających za granicą i ludzi podziemia?

Chrzanowski informuje, że gen. Kiszczak sądzi, iż sprawa Michnika byłaby też rozwiązana, że ukaranie Michnika zostało zawieszone, że amnestia przewiduje pięcioletnią karencję, w którym to okresie jej dobrodziejstwa mogą być cofnięte i że rozwiązanie sprawy „jedenastki” miałoby wpływ na zakres amnestii.

Kuroń przywołuje przykład Eleazara (z Księgi Machabejskiej), odmawiającego możliwości uratowania życia za pozorne zastosowanie się do żądań władzy sprzecznych z przepisami religii. Przyjęcie propozycji byłoby kapitulacją i fałszem.

Gwiazda przypomina machinacje z zakładaniem telefonów osobom prywatnym przy okazji większych robót telekomunikacyjnych na terenie określonych osiedli. Technicy proponowali niektórym mieszkańcom założenie telefonu „przy okazji”, w zamian za dużą łapówkę. A później okazało się, że proponowali i zakładali telefony tym, którym zostało to przez urząd uprzednio przyznane. Ta dzisiejsza operacja przypomina też machinacje z płacami w 1980 i 1981 r., gdy dokonywano skądinąd oczywistych czy uprzednio dokonanych regulacji, twierdząc, że jest to wykonywanie porozumień. Szamotałem się z tą sprawą zdecydowany na „nie”. Teraz mam spokój.

Rozpłochowski: czy my wyjdziemy, czy nie, to nie jest problem, choć jesteśmy na świeczniku. Ważne jest, co zyskuje władza chcąc zapłacić najmniejszy koszt, a co zyskuje społeczeństwo i jakim kosztem.

¹ Inna, różniąca się niektórymi szczegółami wersja tej notatki została opublikowana w: P. Raina, *Troska o internowanych. Interwencje abp. Dąbrowskiego u gen. Kiszczaka 1982–1989*, Warszawa 1999, s. 253–260.

Spółeczeństwo wciąż płaci: więzienia, represje, nacisk administracji, nowe przepisy, np. lokalowe. A my mamy „dorobić twarz” Jaruzelskiemu i nałożyć sobie kaganiec. Są na ten temat liczne opinie negatywne, również z terenu. Powinniśmy zaprezentować jedność, a więc opinię większości. Ja się jej podporządkuję. Chcą się nas pozbyć, ale nie chcą liberalizacji. Sumienie nam musi powiedzieć, czego społeczeństwo potrzebuje najbardziej.

Rulewski: nie zawsze miałem poglądy wyważone, zawsze liczyłem się z Jackiem [Kuronem], ale ostatnio ja – czołowy ekstremista – wzbogaciłem chyba swoje myślenie i widzenie świata. Wiele się człowiek uczy przez melodię więziennych murów. Ciągłość naszych mandatów trwa i stąd dramat naszego wodzostwa. Niepokoi, że propozycja oznacza jednak kapitulację. Dobrowolne samoograniczenie – korzystne dla przeciwnika. Osłabiałoby to potencjał oporu naszych kolegów. Wciągałoby to nas w układ: sutanna – mundur. Tam jest prowadzona gra, ale dlaczego z niej nie skorzystać? Kościół wchodzi w niedobrą rolę „kławisza”, ale ma prawo do reklamacji i wypowiedzania publicznie opinii. Boję się, aby nas nie podzielono. To byłoby tragiczne i władza by z tego skorzystała. Sprawą zasadniczą jest oczywistość pauperyzacji. Brukowcami się tej sprawy nie załatwi, a my jesteśmy przecież związkowcami i reprezentujemy interes społeczny. Jaruzelski otrzymuje za swe osiągnięcia Order Lenina, ale istotny interes społeczny to stworzenie warunków wychodzenia z kryzysu. To podtrzymywanie, chociażby wątko, otwarcia na Zachód. Musimy wyważyć sprawę quasi-lojalki i kapitulacji oraz innych potrzeb społecznych. Nie za każdą cenę powiemy „tak”, ale jeśli powiemy, to proponuję, aby ksiądz prymas ogłosił na ambonie nasze motywy. To powinno nam być gwarantowane. Dwa lata temu głodowałem przecież o porozumienie wynegocjowane przez Kościół, abyśmy nie stali się Bangladeszem. Pamiętajmy też: w społeczeństwie jest wiele odbioru cwaniackiego: po co oni siedzą, po co oni głodują...

Modzelewski uważa, że [sprawę] należy rozważyć w trzech płaszczyznach: 1) prawnej, 2) politycznej i 3) moralnej.

Ad 1. Zarzuty są sfingowane. Dawniej naginano przepisy do faktu, a dziś obok tego fałszuje się materiał dowodowy. Tak jak propaganda, tak i sądy zachowują się bezczelnie. Proces będzie bardzo korzystny dla władz, a my siedzimy już dwa i pół roku. Wszystko to napisałem w liście do [Jerzego] Urbana z 12 lutego br. Amnestia jest osłonięciem sfałszowanych aktów prawnych. Na płaszczyźnie prawnej to jednostronne ustępstwo.

Ad 2. „Jedenastka” to duże nazwiska, ale to nie „jedenastka” stworzyła podziemie i opór społeczny. To wszystko istnieje bez nas. Cały ten ruch jest mało sterowny, ale nawet kapitulacja TKK go nie załatwi. Nasza sprawa jest związana z otwarciem na Zachód. Do tego nie trzeba deklaracji. One są potrzebne do wewnątrz, bo władza potrzebuje czegoś, co osłabi ruch [opozycyjny]. Chodzi tylko o ułatwienie pracy policji. To właśnie jest ślepa uliczka ich i społeczeństwa. W czym my możemy tu pomóc?

Ad 3. Po wyjściu z więzienia w 1970 roku przez dziesięć lat siedziałem cicho. I nawet nie dlatego, że zostałem obdarowany mandatem, czuję się zobowiązany do dochowania wierności nie tyle przyjaciółom, tylko tym nieznanym [związkowcom] z MPK, z Dolmelu, z Predomu, Polaru, z Kuluszek. I tym, co będą dalej zamykani. Po deklaracji musiałbym odwracać się od nich plecami.

Z tych powodów głosuję „nie” i nie jestem skłonny zmieniać swego stanowiska pod wpływem większościowych głosowań. Trzeba skasować wieloznaczność. Nie wolno jednak dyskredytować zabiegów Kościoła i jego rozmów z rządem. Są one konieczne i tu nie zgadzam się z Michnikiem.

Kuroń: należy podkreślić wdzięczność dla Kościoła, ale my nie możemy otwierać się na nowe pertraktacje.

Wujec: na pierwszym spotkaniu podkreślano, że nasze uwolnienie uwolni innych. Czy mamy prawo uszczęśliwiać ich na siłę?

Modzelewski: najważniejsza jest godna postawa. Powołuje się na Frasyniuka i Słowika². I to, czy nasza deklaracja może uruchomić pozytywny proces. Deklaracje w naszej sprawie niech sformułują mężowie zaufania. TKK jest nieprzychylny tym propozycjom.

Lipski: to nie jest ścisłe.

Gwiazda: czy nasi koledzy będą zadowoleni z naszej ofiary? Na ich miejscu ja bym nie był.

Jaworski: dotąd nikt nie wyraził zgody i ja też ani osobiście, ani z motywacji społecznej się nie godzę, choć chciałbym widzieć pozytywną rolę tej inicjatywy. Nie rozwiązuje się bowiem żadnej kwestii społecznej, a ja czuję swój mandat społeczny jako robotnik, członek władz regionu [NSZZ Solidarność] i Komisji Krajowej. Jesteśmy odpowiedzialni, tak jak wtedy, gdy zapobiegaliśmy konfliktom i rozlewowi krwi. Nie jest dla mnie jasne, że Kościół uważa przyjęcie propozycji za budujące, a Kościół to przecież moralność. Moje stanowisko nie jest definitywne. To podejście wstępne. Uderza mnie tajemniczość tych pertraktacji, bo chyba zakres rozmów był znacznie szerszy. Nie wierzę, aby Michnik nam nie wierzył.

Palka: najważniejsza jest płaszczyzna polityczna. Czy można coś uzyskać na rzecz ideałów Solidarności? Inną ważną przesłanką naszego rozumowania jest sprawa izolacji i pauperyzacji naszego kraju. Może ona nawet przeważać sprawę postępu w realizacji ideałów. Trzeba również brać pod uwagę, że propozycje [oprócz władz] wysuwa też tak poważna instytucja jak Kościół, i to z poparciem papieża. Umożliwia to również Zachodowi zachowanie twarzy. Dlatego poważnie się zastanawiam. Jednak sądzę, że po pierwsze – zysk będzie nieduży, po drugie – nie widać możliwości większych wewnętrznych zmian, po trzecie – związek z Zachodem będzie wątki, po czwarte – nie będzie nowych możliwości działania, zarówno Kościół, jak i TKK raczej stracą i będą osłabione. Trzeba odwrócić argumentację wobec tezy władz, że nie ma liberalizacji, bo jest napięcie. Jest napięcie, bo nie ma liberalizacji. Można by nawet pójść pod prąd opinii, gdyby były możliwości działania. I dlatego należy podkreślać wartość nawet szczątkowego dialogu. Ale nie widzę sensu w warunkach politycznych. Być może byłby jakiś sens, gdyby udało się stworzyć status więźnia politycznego.

Romaszewski: zgoda na propozycję byłaby zanegowaniem tego, o co walczyłem od 1976 r. Byłoby to zaprzeczenie naszej walki o praworządność. Mam pełne zaufanie do sądów wojskowych. Niech więc sąd będzie sądem. Chciałbym uszanować sędziego Monarchę³. Zgadza się z Rulewskim – chodzi o ważność różnych spraw, ale jeszcze mocniej niż Modzelewski podkreśla znaczenie naszej decyzji dla podziemia. Nie sądzi jednak, żeby doszło do procesu. Pod pewnym względem jesteśmy ważnym symbolem. Jak długo tu siedzimy, Solidarność istnieje. Ocenia negatywnie działalność podziemia. Uganianie się przy okazji rocznic jest bzdurą. Trzeba szukać nowej formuły. Argumenty polityczne mogą uzasadniać decyzję na „tak”, jednakże moralnie biorąc, odpowiedź rysuje się jednoznacznie. Jestem przeciwny zajmowaniu stanowiska.

Rozpłochowski: samo prowadzenie dialogu jest wartościowe. Na podstawie tej przesłanki można rozciąć ten węzeł gordyjski. Chciałbym mieć pewność wewnętrzną, że to da szersze skutki. Jeżeli istnieje

² Władysław Frasyniuk, szef podziemnego regionu dolnośląskiego NSZZ Solidarność i członek Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, w listopadzie 1982 r. został skazany na 6 lat pozbawienia wolności. W więzieniach w Łęczycy i Barczewie uczestniczył w głódówkach i protestach w celu przyznania statusu więźnia politycznego. Andrzej Słowik, przewodniczący regionu łódzkiego NSZZ Solidarność, był więziony od 14 XII 1981 r. Skazany początkowo na 4,5 roku więzienia, a w wyniku rozprawy rewizyjnej na 6 lat, w więzieniu w Barczewie od 22 III do 18 V 1984 r. prowadził głódówkę na rzecz przyznania statusu więźnia politycznego. Obaj wyszli na wolność w lipcu 1984 r. na mocy amnestii.

³ Podpułkownik Władysław Monarcha, sędzia Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, orzekał w wielu procesach politycznych po 13 XII 1981 r.

szansa kontynuowania pracy, to trzeba odwrócić trójkąt my – społeczeństwo – władza. Nie jesteśmy tu najważniejsi, ale pomożemy, być może, przeorientować sytuację społeczną. Dajemy władzy szansę wykazania się, jej dalszych przeobrażeń. Wartość i rola Kościoła dla tych przeobrażeń będzie ogromna.

Rulewski zwraca się do Romaszewskiego. Czy celem jest istnienie Solidarności i rezygnacja z innych spraw, czy nie będzie to w konsekwencji odciąganie opinii od sprawy związku?

Rybicki wypomina Modzelewskiemu, po pierwsze, że nie jest skłonny zmieniać stanowiska w wyniku opinii kolegów i głosowań, po drugie, że napisał list do Urbana, z którym się przecież nie dyskutuje. Jest prawdą, że propozycja zawiera ograniczenie praw obywatelskich. Nie mamy – ani my do władzy, ani władza do nas – zaufania. My też chcieliśmy i chcemy zachować swoje twarze. Nie przyjąłem [nadawanego przez władze PRL Warszawskiego] Krzyża Powstańczego i nie godziłem się z takim zachowaniem, jakie reprezentowali [wysocy oficerowie AK udzielający się w oficjalnym życiu publicznym PRL: płk Antoni] Sanojca, [gen. Jan Mazurkiewicz] „Radosław” czy [gen. Franciszek] Kamiński (Krzyże Powstańcze, awanse), i nieraz pyskowałem na ten temat. W tej jednak sprawie jestem przekonany, że propozycja jest do przyjęcia, podnosi autorytet Kościoła, jest dla niego korzystna. Kościół zajął stanowisko (zresztą bardzo stanowcze) w tak ważnych sprawach, jak banicja czy lojalność. Będzie się oczywiście mówić, że to się dzieje w interesie rządu, który musi „jedenastkę” wypuścić, ale tu nie chodzi o „jedenastkę”, a o wszystkich więźniów. Gdybym był więźniem jak wy, to bym tę propozycję przyjął. Ponieważ wy nie moglibyście składać potem deklaracji, my możemy powiedzieć za was wszystko co trzeba. Dziś – sądzę – znaczenie TKK w społeczeństwie spada, a Solidarności rośnie, np. poprzez mnożące się czasopisma. To są te drożdże, te ziarna przez was posiane. Jestem przekonany, że do 22 lipca [1984 r.] więźniów wypuszczą, ale później będą następni. Do Romaszewskiego: wyroki są ustalane na zewnątrz [a nie przez sądy]; święty Mikołaj...

Modzelewski: na waszym miejscu robiłbym to, co robicie. Wierzę panom, nie wierzę „im” i boję się szwindli wobec innych więźniów. Nie chcemy, aby kontakt episkopatu z władzami został zerwany.

Jaworski: sposób wyjścia na przykład Lecha [Wałęsy] z internowania był potępiany w społeczeństwie. Ruch społeczny jest w dużej mierze niezależny od TKK. Centrum jest jednak potrzebne. Oni nas reprezentują i to nas określa. Kościół nie może mi narzucić sposobu widzenia sytuacji, na którą trzeba patrzeć całościowo.

Stelmachowski: nie potępia się Lecha w społeczeństwie (głosy aprobaty ze strony zespołu i więźniów).

Mazowiecki: bardzo trudno byłoby nam podjąć decyzję. Szliśmy po bardzo cienkiej linii. Zakładaliśmy, że po pierwsze – opór społeczny nie osłabnie, po drugie – będą dalej rozmowy, może częściowe porozumienie. Jeśli układ się ustabilizował, to impas i niemożność wyjścia z kryzysu. Po trzecie – uwzględnialiśmy argumenty, aby nie pchać kraju w jednostronną zależność. Polska dotychczas dobrze wychodziła na nietypowych rozwiązaniach.

Geremek: wy rozmawiacie ze sobą, a my tylko uczestniczymy w tej rozmowie. Wysuwane przez was argumenty negatywne są też moimi argumentami. Nie ma tu zresztą decyzji dobrych i bez ryzyka. Jeżeli władza spełni wysunięte przez Kościół postulaty, to wprawdzie niewiele, ale coś uzyskujemy. Jednakże sam sposób załatwienia sprawy otwiera nadzieję i daje Kościołowi duże możliwości, staje się bowiem [luka w nagraniu podczas przekładania kasety]. Związek jest bowiem w stanie chronić swoich ludzi i ich wykupywać. Nie jest to rozwiązanie policyjne, bo ma dużo szersze i głębsze skutki.

Wielowieyski: ta kontrowersyjna dyskusja jest czymś zrozumiałym i naturalnym. Wszystkie wątki i argumenty wystąpiły również w poprzednich dyskusjach naszego zespołu. W tej sprawie liczy się w końcu przede wszystkim płaszczyzna polityczna: co służy, a co nie służy państwu. Walka o istotne prawa społeczeństwa jest nieunikniona i będzie kontynuowana. Równocześnie jednakże jako społeczeństwo opadamy

w dół gospodarczo, cywilizacyjnie, politycznie. Nie możemy się więc uchylić od zadania, by stwarzać warunki do wychodzenia z kryzysu, a więc zwłaszcza przeorientowania sytuacji społecznej. Aby to zrobić, trzeba umiejętnie wychodzić z politycznych zwarć. To bardzo trudne. Dla nas, dla władzy. To nie jest sprawa kapitulacji, jak tu często powtarzano, ale zmiana frontu walki, która umożliwia jednocześnie pewne odprężenie wewnętrzne i szansę otwarcia na Zachód. Na tym polega istotna przesłanka inicjatywy Kościoła akceptowanej przez Lecha [Wałęsę] i TTK. Sądzę natomiast, że jest w pełni zrozumiałe żądanie przez więźniów jakiejś gwarancji realizacji tego quasi-porozumienia, a także, być może, rozważenie jakichś dodatkowych warunków.

Kuroń: mam poczucie odpowiedzialności za kraj, ale Michnik ma chyba rację. Być może nie powinienem tu przyjść, bo przecież nie mam dostatecznej informacji. Mamy świadomość, że idziemy w dół, ale wątpię, aby w tej sytuacji Zachód uratował [Polskę]. Nie chciałbym też wam robić świństwa, bo sądzą, że Kościół powinien mediować. Ale stawiam sobie dwa pytania. Czy moja decyzja godzi w dobro Polski? Odpowiadam: nie. Czy moja decyzja może być niegodna? Odpowiadam: nie. Gdyby to jeszcze były jawne negocjacje, ale tak wyjdzie z tego wielka konfuzja w radiu zagranicznym, w prasie rządowej, w podziemnej itd.

Wujec opowiada się za Modzelewskim. Wyraża uznanie za podjęcie ryzyka przez zespół i podjęcie ryzyka przez Kościół. Jako więźniowi trudno mi politykować i dlatego wstrzymuję się od decyzji politycznej. Nie mogę przyjąć, że moje siedzenie [w więzieniu] określa losy Polski.

Rulewski: puchną [?] ośrodki prasy zagranicznej [zdanie niedokończone]. Program zachowań społeczeństwa. „Jedenastka” staje się silnie związana z prymasem. Ja najwięcej tracę, bo będę musiał iść do spowiedzi.

Lipski czyta punkty.

1. Nie jesteśmy listonoszami.
2. Nie nakłaniam nikogo do decyzji ze względu na niejasność obietnic i sytuację Solidarności.
3. Żadne argumenty nie są bezdyskusyjne.
4. Należy rozmawiać dalej.
5. Za dużo tu mówiono o moralności. Każdy w swojej duszy podejmie decyzję.
6. Sam wiem, czego chcę, ale nie powiem.
7. TTK w mniej drastycznych sprawach jest autorytetem.

Mazowiecki zwraca się do Kuronia: my też nie mamy danych do pełnej kalkulacji politycznej.

Kuroń: pozostanie melanz ze środków masowych, który zgorszy społeczeństwo.

Rozpłochowski: po dyskusji jestem bogatszy i bardziej otwarty na cały problem. Przemawia do mnie to, co mówi Jacek, ale jesteśmy w nurcie wielkiej rzeki (choć trochę to wygląda, jak byśmy my byli na wierzchu, a wy, panowie, pod wodą, a tak chyba nie jest?). Nie wiadomo, co się z nami stanie, może nas deportują? Stwierdzam, że przyjęcie propozycji oznacza wzrost autorytetu Kościoła. Z naszej strony to wymaga ofiary. Jestem gotów ją ponieść dla tego szerokiego nurtu wspólnej rzeki. Jeśli my wyjedziemy, a władza się nie wywiąże, to nie jest dla nas kompromitacja. Mam mniejszy zasięg widzenia, ale nie mam prawa mniemać, że nie macie racji. Chcę mieć czyste sumienie i serce.

Rybicki: nie rozumiem Jana Józefa [Lipskiego]. Dlaczego nie chce przekonywać? Powtarzam, że podstawowa cecha sytuacji politycznej to spadek autorytetu TTK w konkretnych sytuacjach, akcjach i wzrost siły Solidarności. Rośnie również siła Kościoła, choć niektórzy dostojnicy tracą w opinii społecznej. W tych warunkach zawsze jest ryzyko. Przyjęcie propozycji – źle. I odrzucenie ją – też źle. A tu trzeba pogodzić waltera [?] z *Te Deum laudamus* [?]. Do Kuronia: dlaczego pan z góry kapitułuje (ogólna wesołość) i dlaczego pan zmienił zdanie? Sądzą, że wszystkie opinie musimy lojalnie przekazać episkopatowi.

Modzelewski: odpowiada mi opinia Geremka, ale jestem po stronie Jacka, bo nie mogę decydować w oparciu o czyjeś rozeznanie. Wy przyjmujecie ryzyko na siebie i my na siebie. Plusem propozycji jest to, że stanowi pierwszy krok w łańcuchu rozwiązań, ale są różne wyjścia. Władza ma bowiem cztery wyjścia: 1) nasza zgoda, 2) wypuszczenie nas bez warunków, 3) deportacja, 4) proces.

Rozpłochowski: przyjęcie propozycji oznacza przejście propozycji przez Kościół. Rząd chce się nas pozbyć, czego dowodem jest „test Olivaresa”. Jeżeli odrzucimy propozycję, miałyby alibi dla deportacji. A np. Papandreu⁴ nas przyjmie.

Modzelewski: byłoby to bardzo źle przyjęte w Europie.

Gwiazda nie zgadza się z Rozpłochowskim. Gdyby Kościół zalecił, a my byśmy się nie zgodzili, to byłaby porażka Kościoła, ale Kościół tak nie zrobił i to jest nasze alibi. Możemy się poświęcić dla konkretnego, ale nie dla niejasnej wizji.

Wosiek zwraca się do Wujca, który rozumuje, że dobrze, że podjęliście te negocjacje, ale jak władza zrobiła sobie kłopot, to niech sama sobie z niego wychodzi. Jest to niesłuszne, chodzi o poprawę sytuacji społecznej. Już sam fakt, żeście się spotkali, jest tym nietypowym rozwiązaniem polskim, o którym mówił Mazowiecki. I który jest tym czymś korzystnym. Przytoczony przez Jacka przykład Eleazara stanowi złą analogię. Tamta postawa była skierowana przeciw fałszowi i działaniu pozorowemu, a w propozycji nie ma ani fałszu, ani pozorów. Jest ofiara i rezygnacja [z praw publicznych], która jest ceną wykupu. Zwraca się do Modzelewskiego i godzi się, że dla wyjścia z „Mokotowa” [z więzienia mokotowskiego] propozycja nie jest najlepsza, ale jest ona ważna dla kraju i dla całego ruchu społecznego. Nie ma istotnej różnicy w naszym [wspólnym] rozeznaniu sytuacji. Do Gwiazdy: konkretem byłoby zniszczenie porozumienia gdańskiego. Konkretem byłyby i ten wielostronny kompromis.

Rulewski: uznaje stanowisko Gwiazdy za uzasadnione, ale żąda, żeby przedstawił program właściwego działania.

Rozpłochowski: propozycja wyszła od naszego ruchu i dlatego wolę ją przyjąć niż otrzymać coś z łaski władzy.

Mazowiecki: wagę propozycji można udowodnić przez jej odrzucenie. Kościół i opinia publiczna byłiby egzekutorami jej wykonania.

Kuroń powtarza swoje argumenty. Jeśli się zgodzimy, to Urban opublikuje dokumenty, a tam nie ma nic konkretnego.

Palka: widzę korzyści propozycji, ale wadą jej jest niepewność i mgławicowość. Gramy w ciemno o zwolnienie wszystkich więźniów. Trzeba się ubezpieczyć poprzez nowe gwarancje.

Gwiazda: gdybym był na wolności i miał za tę cenę pójść siedzieć na dwa i pół roku, to bym przyjął. Ale odwrotnie – to nie.

Wielowieyski: niesłuszne są zarzuty niepewności i mgławicowości propozycji w sprawie zwolnienia wszystkich więźniów. Uzyskano formułę optymalną. Należy bowiem przyjąć, że władza nie jest dziś pod względem politycznym w stanie podpisywać porozumień. Charakterystycznym przykładem jest porozumienie w sprawie krzyży w Miętnej⁵, które nie mogło zostać dwustronnie podpisane. W liście zaś

⁴ Andreas Papandreu (1919–1996) – przywódca greckiej partii socjalistycznej PASOK, jako premier Grecji w latach 1981–1989 prowadził politykę zbliżenia z ZSRR, należał do nielicznych zachodnioeuropejskich przywódców, którzy nie przyłączyli się do bojkotu politycznego rządu PRL po wprowadzeniu stanu wojennego. Jako pierwszy złożył wizytę Wojciechowi Jaruzelskiemu w Warszawie – 22 X 1984 r.

⁵ W marcu 1984 r. w Miętnej koło Garwolina uczniowie przez trzy tygodnie prowadzili strajk okupacyjny w budynku szkoły rolniczej w proteście przeciw usunięciu krzyży z sal lekcyjnych. Kościół starał się o zapewnienie im bezpieczeństwa.

przewodniczącego [Rady Państwa Henryka] Jabłońskiego ma być zawarta formuła, że podziela on zdanie prymasa o potrzebie rozwiązania w pełni sprawiedliwego. Zwraca się do Modzelewskiego, że niepełne jest jego ujęcie czterech możliwych zachowań władzy. Może ona również dość długo zwłóczyć i dryfować, podobnie jak w wielu innych sprawach. Godzi się z Palką w sprawie szukania dobrych zabezpieczeń.

Stelmachowski: pod warunkiem znalezienia jakiejś sensownej propozycji.

Chrzanowski wyraża wątpliwości.

* * *

Przewodniczący zaproponował wstępne głosowanie pisemne z możliwością odpowiedzi: „tak” (za); „nie” (przeciw); „z” (tak, z zastrzeżeniami). Wynik wstępnego głosowania: 5 „nie” i 4 „z”. Należy sądzić, że Jaworski, Palka, Rulewski i Rozpłochowski głosowali „z”, a pozostali „nie”. Jaworski składa oświadczenie, że nie uważa rozmów za bezprzedmiotowe, dlatego głosował „z”. Rulewski: nie należy zamykać drzwi. Boję się ekspulsji, a ja chcę być w kraju.

* * *

Przystąpiono do redagowania listu do księdza prymasa, który podpisali wszyscy więźniowie.

(Koniec notatki. Tekst odczytany przez Bronisława Geremka i zarejestrowany na taśmie magnetofonowej).

Źródło: Archiwum Tadeusza Kowalika

III. List „jedenastki” do prymasa Polski Józefa Glempa

Warszawa, dnia... maja 1984 r.

Jego Eminencja
Ks. Józef Kardynał Glemp
Prymas Polski

Eminencjo, najdostojniejszy Księżu Prymasie,
zapoznaliśmy się z treścią propozycji wynegocjowanych między przedstawicielami Kościoła a przedstawicielami władz państwowych.

Pragniemy wyrazić Waszej Eminencji, księdzu arcybiskupowi Bronisławowi Dąbrowskiemu i całemu Episkopatowi Polski głęboką wdzięczność i najwyższe uznanie dla inicjatyw Kościoła zmierzających do zwolnienia wszystkich więźniów politycznych oraz rozwiązywania zgodnie z oczekiwaniami społecznymi i interesem narodowym nabrzmiałych problemów kraju. Wierzymy głęboko, że kontynuowanie tych starań przyczyni się do wyprowadzenia kraju ze ślepej uliczki, w jakiej znalazł się m.in. w wyniku delegalizacji NSZZ Solidarność. Jesteśmy przekonani, że zwrócenie się do nas jest ogniwem w łańcuchu tych inicjatyw i żywym wdzięczność dla grona osób, które podjęły się przedstawienia nam wyników dotychczasowych negocjacji.

Bylibyśmy gotowi w imię wartości nadrzędnych wyrzec się na czas określony korzystania z przysługujących nam praw obywatelskich, a także osobistych roszczeń prawnych, związanych z trwającym od lat przetrzymywaniem nas w więzieniu pod fałszywymi zarzutami. Nie mogliśmy jednak pogodzić się z myślą, że to miałyby oznaczać uwolnienie nas przed rzeszą mniej znanych naszych kolegów więzionych za działalność związkową lub polityczną. Nadto przy braku gotowości władz państwowych do politycznego rozwiązania konfliktowej sytuacji społecznej w naszym kraju należy liczyć się z dalszymi represjami i aresztowaniami. Mogłoby to postawić nas w sytuacji moralnej uniemożliwiającej dotrzymanie podjętych wobec Waszej Eminencji zobowiązań. Uważamy za naturalną zmianę naszej decyzji, gdyby pojawiły się przesłanki wskazujące na możliwość wyjścia z kryzysu społecznego w naszym kraju.

Licząc na zrozumienie naszego stanowiska i ogromnej trudności decyzji, jaką czuliśmy się zmuszeni podjąć, prosimy o przekazanie Ojcu Świętemu wyrazów naszej miłości i przyjęcie zapewnień synowskiej czci i oddania.

Karol Modzelewski
Grzegorz Palka
Jan Rulewski
Zbigniew Romaszewski
Jacek Kuroń
Andrzej Gwiazda
Andrzej Rozpłochowski
Henryk Wujec
Seweryn Jaworski

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 84–85.

Z ARCHIWUM MSW

Prezentowane poniżej dokumenty, pochodzące z Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, obrazują sposób, w jaki władze zamierzały przeprowadzić operację uwolnienia i wysłania za granicę przywódców Solidarności. Stanowią też lekcję pogładową na temat ograniczonej wiarygodności akt MSW i Służby Bezpieczeństwa. Przedstawiają bowiem plany i nadzieje MSW, a nie faktyczne poglądy i stanowiska wymienionych w nich osób. Na przykład twierdzenie, że Zofia Romaszewska i Ludwika Wujec wspierały projekt wyjazdu swoich mężów z kraju (dok. I), można zaliczyć do policyjnego wishful thinking. Równie nierealne kalkulacje oddaje projekt listu opozycyjnych i niezależnych autorytetów, w tym ludzi Kościoła, w którym w stylu zbliżonym do tez oficjalnej propagandy zwracano się do Rady Państwa o objęcie „jedenastki” amnestią (dok. II). Żadna z osób wymienionych w dokumencie jako ewentualni sygnatariusze z pewnością nie zgodziłaby się na podpisanie takiego listu. Z kolei deklaracja przygotowana do podpisania przez amnestionowanych więźniów (dok. III) nie miałaby szans na ich akceptację. Uzgodniony z Kościołem i doradcami Solidarności projekt był znacznie bardziej lakoniczny. Dokumenty nie zostały opatrzone datami, co wyraźnie wskazuje na ich roboczy charakter; dwa pierwsze pochodzą z jesieni 1983 r., trzeci – z wiosny 1984 r.

W notatce Biura Śledczego MSW o przebiegu rozmów Zespołu Dobrych Usług z aresztowanymi (dok. IV) błędnie podano, że wziął w nich udział Jan Kielanowski. Nie wspomina o tym ani Bronisław Geremek w swojej relacji, ani Andrzej Stelmachowski w relacji opublikowanej w tomie Troska o internowanych przez Petera Rainę. Natomiast w notatce Biura Śledczego z 13 maja 1984 r. (dok. VI) podwładni gen. Czesława Kiszczaaka fałszywie przedstawili wyniki głosowania przeprowadzonego 12 maja wśród uwięzionych. Zdaniem bezpieki „propozycje episkopatu [tak w oryg.] akceptowało siedmiu głosujących, natomiast trzech wypowiedziało się przeciw (działacze b. KSS KOR)”. Tymczasem zarówno w relacji Geremka publikowanej w tym numerze „Wolności i Solidarności”, jak i w syntetycznej notatce doradców o spotkaniu z więźniami (Raina, s. 253), a także w notatce protokolarnej z tego spotkania opracowanej przez Andrzeja Wielowieyskiego (Raina, s. 259) czytamy, że za propozycją w wynegocjowanym kształcie nie głosował nikt, cztery osoby poparły ją „z zastrzeżeniami”, a pięć głosowało przeciw.

Jan Skórzyński

I.

Warszawa, dnia... listopada 1983 roku

Tajne

Egz. nr...

Wykaz

dot[yczący] osób popierających koncepcję wyjazdu z kraju tymczasowo aresztowanych członków byłego KSS KOR i ekstremalnych działaczy byłego NSZZ Solidarność

1. adw. Aniela Steinsberg – emeryt, członek b. KSS KOR,
2. prof. dr hab. Jan Kielanowski – emeryt, członek b. KSS KOR,
3. dr med. Marek Edelman,
4. Ewa Dobrowolska – szwagierka J[acka] Kuronia,
5. Irena Zofia Romaszewska – żona aresztowanego Z[bigniewa] Romaszewskiego,
6. Lucyna [właśc. Ludwika] Wujec – żona aresztowanego Henryka Wujca,
7. muzykolog – Zygmunt Mycielski.

Potencjalni sygnatariusze apelu (poza w[yżej] wym[ienionymi]):

1. dr Józef Rybicki – emeryt, były członek KSS KOR,
2. dr Antoni Pajdak – emeryt, były członek KSS KOR,
3. prof. dr Edward Lipiński – emeryt, były członek KSS KOR,
4. ks. Jan Zieja – emeryt, były członek KSS KOR,
5. aktorka – Halina Mikołajska – były członek KSS KOR,
6. literat – Jerzy Ficowski – były członek KSS KOR,
7. red. Maria Wosiek – były członek KSS KOR,
8. literat Marian Brandys,
9. red. Tadeusz Mazowiecki – doradca b. NSZZ Solidarność,
10. doc. dr Bronisław Geremek – doradca b. NSZZ Solidarność,
11. ks. Stanisław Małkowski – aktywny zwolennik b. KSS KOR,
12. doc. dr med. Zofia Kuratowska.

Uwaga:

Przeciwni wyjazdowi:

1. doc. dr Jan Józef Lipski – członek byłego KSS KOR,
2. Stefan Kisielewski.

Opracowano w Departamencie III MSW.

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 157–158.

II.

Warszawa, dnia... 198... r.

Rada Państwa
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej

¹My, niżej podpisani zwracamy się do Rady Państwa PRL o podjęcie właściwych kroków umożliwiających:

- 1) Jackowi Kuroniowi,
- 2) Adamowi Michnikowi,
- 3) Zbigniewowi Romaszewskiemu,
- 4) Henrykowi Wujcowi,
- 5) Andrzejowi Gwiaździe,
- 6) Sewerynowi Jaworskiemu,
- 7) Marianowi Jurczykowi,
- 8) Karolowi Modzelewskiemu,
- 9) Grzegorzowi Palce,
- 10) Andrzejowi Rozpłochowskiemu,
- 11) Janowi Rulewskiemu

skorzystanie z postanowień art. 5 ustawy o amnestii z dnia 21 lipca 1983 r. (Dz.U. nr 39, poz. 177) jeszcze przed rozpoczęciem przeciwko nim postępowania sądowego.

Czynimy to w pełni świadomi wagi odpowiedzialności za losy kraju, jaka spoczywa na każdym Polaku, któremu Ojczyzna jest droga.

Czynimy to, głęboko wierząc, że ten pożądaný dla dobra kraju gest przyczyni się do rozładowania napięć społecznych, a w konsekwencji do normalizacji życia społecznego i zespolenia wysiłków na rzecz usuwania skutków kryzysu, w jakim nasz kraj jeszcze pozostaje.

Zastosowanie ustawy o amnestii wobec w[yżej] wym[ienionych] osób będzie miało swoją wymowę społeczną. Będzie to kolejny dowód ze strony Władzy świadczący o usuwaniu przyczyn napięć społecznych.

Czynimy to również w interesie osób, których ten akt będzie dotyczył, aby przez zastosowanie wobec nich dobrodziejstwa ustawy o amnestii umożliwić im powrót do normalnych warunków życia wśród swoich rodzin i najbliższych osób.

Wyrażamy jednocześnie głębokie przekonanie, że osoby, wobec których zostanie zastosowana ustawa o amnestii, powstrzymają się w przyszłości od wszelkich działań, które mogłyby stać się źródłem niepokojów czy konfliktów społecznych.

Poczuwając się do osobistej odpowiedzialności za dalsze losy i czyny tych, w obronie których występujemy – apelujemy do nich, aby uwzględnił trudną sytuację Państwa i swoim zachowaniem przyczynili się do polepszenia stanu bezpieczeństwa kraju. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że kraj nasz wymaga stabilizacji i wysiłków w tym zakresie wszystkich Polaków, bez względu na przekonania polityczne.

Podpisy:

- 1) Jan [właśc. Wiesław] Chrzanowski – adwokat
- 2) abp Bronisław Dąbrowski

¹ Obok odrębny dopisek: „Wnioskodawcy przedstawiają się jako patrioci – opozycyjni działacze. Apel dyskontują na własne konto i mają pełną asekurację odstępstwa, jeśli normalizacja życia w kraju w ich ocenie nie będzie następowała”.

- 3) Marek Edelman – lekarz
- 4) Maria Komorowska – aktorka
- 5) Edward Lipiński – profesor
- 6) Jan Olszewski – adwokat
- 7) ks. Alojzy Orszulik
- 8) Józef Rybicki – pracownik naukowy
- 9) Stanisław Stomma – profesor
- 10) Andrzej Stelmachowski – profesor
- 11) Aniela Steinsbergowa – adwokat
- 12) Władysław Siła-Nowicki – adwokat
- 13) Stefan Staszewski – działacz społeczny
- 14) Maria Wosiek – pracownik naukowy

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 24–26.

III.

Deklaracja

Po zapoznaniu się z treścią apelu z dnia... skierowanego do Rady Państwa PRL, podpisanego przez znanych mi sygnatariuszy tego apelu – dobrowolnie deklaruję – w przypadku zastosowania do mnie przepisów art. 5 ustawy z dnia 21 lipca 1983 roku o amnestii (Dz.U. nr 39, poz. 177) – że poniecham wszelkiej działalności politycznej w okresie 5 lat od momentu zwolnienia z zakładu karnego.

Przedewszystkim deklaruję [zobowiązanie do]:

- nieorganizowania lub [nie]zachęcania do organizowania spotkań i zgromadzeń w miejscach publicznie dostępnych albo [nie]brania udziału w takich spotkaniach i zgromadzeniach;
- powstrzymywania się od udzielania wywiadów prasowych, radiowych i telewizyjnych w kraju zawierających opinie na tematy polityczne, gospodarcze i społeczne;
- zaniechania publikowania lub rozpowszechniania w kraju i za granicą opracowań swego autorstwa zawierających treści polityczne;
- niepodejmowania innych działań mogących wywierać wpływ na kształtowanie poglądów politycznych lub zachowań innych osób.

Składając powyższe zobowiązanie, uznaję, że moja dotychczasowa działalność – zwłaszcza ta, która jest przedmiotem prowadzonego przeciwko mnie postępowania karnego – była szkodliwą dla interesów PRL.

Znane mi są skutki prawne wynikające z treści art. 7 ustawy o amnestii z dnia 21 lipca 1983 roku.

Podpis

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 27.

IV.

Warszawa, dnia... kwietnia 1984 r.

Tajne

Egz. nr 4

Notatka

dot[ycząca] aktualnego stanu rozmów prowadzonych przez emisariuszy Episkopatu Polski z aresztowanymi działaczami b. KSS KOR oraz ekstremistycznymi działaczami b. NSZZ Solidarność

Realizując uzgodnione założenia, w dniach 20 i 21 kwietnia br. upoważnieni emisariusze episkopatu przeprowadzili rozmowy z aresztowanymi członkami kierownictwa b. KSS KOR – Jackiem Kuroniem, Henrykiem Wujcem i Zbigniewem Romaszewskim oraz siedmioma działaczami kierownictwa b. NSZZ Solidarność – Andrzejem Gwiazdą, Sewerynem Jaworskim, Marianem Jurczykiem, Karolem Modzelewskim, Grzegorzem Palką, Andrzejem Rozpłochowskim, Janem Rulewskim.

Rozmowy z działaczami b. KSS KOR prowadzone były na terenie obiektu MSW w Otwocku, zaś z kierownictwem b. NSZZ Solidarność w obiekcie MSW w Chylicach.

Rozmowy miały na celu zorientowanie się, jak zachowują się aresztowani w przypadku przedstawienia im możliwości zakończenia ich spraw w oparciu o art. 5 ustawy o amnestii, a zwłaszcza czy zobowiążą się do poniesienia publicznej działalności politycznej do 31 grudnia 1986 r.

Emisariusze do rozmów z działaczami b. KSS KOR – Lipski, Kielanowski, Rybicki, Wosiek, ks. Zieja i Steinsbergowa – początkowo rozmawiali z poszczególnymi aresztowanymi, następnie z wszystkimi aresztowanymi jednocześnie. Ze strony aresztowanych osobą wiodącą w dyskusji był Kuroń.

Emisariusze nie przeprowadzili rozmów z Adamem Michnikiem, ponieważ ten odmówił opuszczenia aresztu śledczego mimo okazania mu zezwolenia sądu i poinformowania o celu rozmowy. Ze strony emisariuszy wielokrotnie podjęte zostały próby nakłonienia Michnika do wzięcia udziału w rozmowach. Próby te m.in. polegały na skierowaniu do Michnika listu podpisanego przez wszystkich emisariuszy i Kuronia. Wobec negatywnej postawy Michnika usiłował z nim rozmawiać w areszcie śledczym Lipski, a następnie dłuższą rozmowę z Michnikiem przeprowadził Kuroń. Działania te nie dały rezultatu. Między Kuroniem i Michnikiem doszło do ostrej wymiany zdań. Michnik nie motywował swojego stanowiska. Z kontekstu jego wypowiedzi wynikało, że jest zainteresowany procesem karnym.

Postawa Michnika spotkała się z bardzo krytyczną oceną emisariuszy episkopatu i Kuronia. Niektórzy z uczestników rozmów podnosili, iż zachowanie Michnika wskazuje na zaburzenia psychiczne. W tym kontekście Steinsbergowa nawiązała do listu Michnika skierowanego do ministra spraw wewnętrznych, stwierdzając, że „jest to świństwo dokonane przez durnia”. Podkreślono, że w publicznych dokumentach nie można używać takich sformułowań, jakimi posługiwał się Michnik. Podobne stanowisko prezentował Kielanowski.

W związku z impasem wywołanym przez Michnika w dniu 21 kwietnia br. zgłosili się do Biura Śledczego MSW ks. Orszulik, Chrzanowski i Olszewski, którzy wyrazili zaniepokojenie z tego tytułu. Podnieśli oni, iż postawa Michnika jak i jego wcześniejsze zachowanie dowodzą o występujących u niego zaburzeniach w sferze psychiki. Sugerowano umieszczenie Michnika w miejscu poza aresztem śledczym.

Mimo negatywnej postawy Michnika wyżej wymienieni wyrazili pogląd, że nie należy rezygnować z nawiązania kontaktu z Michnikiem. Rozmowy w bieżącym tygodniu z Michnikiem przeprowadzą Lipski, Kuroń i Rybicki.

Wyznaczeni do rozmów z kierowniczymi działaczami b. NSZZ Solidarność Chrzanowski, Olszewski, Geremek, Mazowiecki, Wielowieyski, Stelmachowski, Gieysztor przyjęli zasadę, iż jednocześnie wszyscy emisariusze rozmawiają kolejno z każdym z aresztowanych. Wyjątek stanowił Modzelewski, z którym rozmawiali Gieysztor i Geremek, oraz Gwiazda, z którym rozmawiali Olszewski i Stelmachowski.

Z Jurczykiem – przebywającym na leczeniu w Instytucie Kardiologii w Aninie – rozmawiali Mazowiecki i Stelmachowski.

* * *

Wnioski:

Dotychczasowy przebieg rozmów wskazuje na to, że aresztowani (z wyjątkiem Michnika):

1. skłonni są przyjąć propozycje emisariuszy episkopatu zawarte w opracowanych dokumentach;
2. podnoszą konieczność wypracowania wobec władz gwarancji co do możliwości zwolnienia z więzienia innych osób skazanych za przestępstwa popełnione z powodów politycznych;
3. widzą celowość, podobnie jak emisariusze episkopatu, kontynuowania rozmów. Według słów ks. Orszulika – emisariusze są głęboko przekonani o celowości rozmów i widzą także potrzebę wypracowania stanowiska odnośnie Michnika;
4. pozytywną rolę Kuronia, zwłaszcza w odniesieniu do Michnika.

Uwaga: udokumentowano różne przejawy zachowania się Michnika w areszcie śledczym, które sugerują potrzebę przeprowadzenia badań psychiatrycznych. Mimo że taki wniosek może spotkać się ze sprzeciwem ze strony emisariuszy episkopatu, zakłada się jego zgłoszenie w formie propozycji skierowania Michnika na obserwację do szpitala. Powyższa sytuacja może uzasadnić rozstrzygnięcie w pierwszej kolejności sprawy 3 aresztowanych z b. KSS KOR i 7 z b. Solidarności. Sprawę Michnika w tej sytuacji należałoby wyłączyć. Zwolnienie Michnika na podstawie amnestii bez nałożenia na niego zobowiązań uczyni z niego bohatera.

Opracowano w Biurze Śledczym MSW.

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 58–61.

V.

Warszawa, dnia 30 kwietnia 1984 r.

Tajne

Egz. nr...

Notatka

dot[ycząca] dalszego przebiegu rozmów prowadzonych przez emisariuszy Episkopatu Polski z aresztowanymi działaczami b. KSS KOR oraz ekstremistycznymi działaczami b. NSZZ Solidarność

W związku z impasem w rozmowach wywołanym przez Michnika cywilni przedstawiciele episkopatu podejmowali w dniach od 14 do 27 kwietnia br. działania mające na celu nakłonienie Michnika do wzięcia udziału w rozmowach. Posłużono się w tym celu także Kuroniem.

Podczas spotkania Kuronia z Michnikiem w dniu 27 kwietnia br. ten w sposób zdecydowany odmówił Kuroniowi swego udziału w rozmowach. Z kontekstu rozmowy wynikało, że Michnik nie widzi wśród negocjatorów autorytetu dla siebie, zaś przyjęcie zobowiązań przez Kuronia i innych uznaje za akt zdrady.

Postawa prezentowana przez Michnika wywołała zaniepokojenie zarówno ze strony Kuronia, jak i emisariuszy, którzy uważają, że może ona spowodować negatywne stanowisko władz w kwestii realizacji inicjatywy podjętej przez episkopat.

W dniu 30 kwietnia br. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na prośbę ks. dyrektora Orszulika odbyło się spotkanie ks. Orszulika, Olszewskiego i Chrzanowskiego.

Podczas tego spotkania dyrektor Biura Śledczego MSW oświadczył emisariuszom episkopatu, że:

- rozmowy przedłużają się i wprowadza się do nich nowe elementy - np. rozmowy z Michnikiem w areszcie śledczym prowadzone przez Kuronia i innych - nieprzewidziane w uzgodnionym i przyjętym programie;

- dziennikarze zagraniczni, a także zagraniczne rozgłośnie spekulują na temat rozmów, co dowodzi, że są przecieki i może to postawić w kłopotliwej sytuacji władze państwowe i episkopat, uwzględniając to, iż obowiązuje zasada, że rozmowy objęte są tajemnicą*;

- z zachowania się Michnika można wywnioskować, że stan jego zdrowia psychicznego budzi zastrzeżenia, bądź symuluje on, aby w ten sposób wprowadzić impas do rozmów. Zachowanie Michnika może sugerować również chęć przejęcia inicjatywy i narzucenia własnej koncepcji rozwiązania sprawy „jedenastki”.

W związku z tym dyrektor Biura Śledczego MSW zaproponował przestrzeganie w dalszych rozmowach następujących zasad:

- rozmowy ze wszystkimi aresztowanymi jednocześnie mogą nastąpić dopiero wówczas, jeżeli będzie wiadomo, jakie stanowisko zajmują poszczególni aresztowani;

- rozmowy cywilnych emisariuszy episkopatu w bieżącym tygodniu winny podkreślić wobec aresztowanych, że warunki poniesienia działalności politycznej nie podlegają rewizji i w tym zakresie dyskusja jest bezprzedmiotowa;

- temat innych aresztowanych za przestępstwa popełnione z pobudek politycznych został ujęty w uzgodnionych dokumentach i podnoszenie go przez aresztowanych (b. działaczy KSS KOR oraz

* Z danych operacyjnych wynika, że Zofia Romaszewska została poinformowana przez Anielę Steinsbergową o jej spotkaniu z aresztowanymi członkami b. KSS KOR i z jej wypowiedzi wynikało, że Michnik nie chce brać udziału w rozmowach. Lipski wobec Kuronia stwierdził: „BBC podało wiadomość, że toczą się jakieś rozmowy z Kuroniem”.

b. działaczy NSZZ Solidarność) może jedynie potwierdzić tezę, że próbuje się wywierać nacisk na władzę bądź przejąć inicjatywę;

- należy w krótkim czasie wypracować stanowisko w sprawie Michnika – nie można wykluczyć, że pozuje on na bohatera;

- należy podkreślić przypuszczalny termin zakończenia rozmów, mając na względzie fakt, że podejrzani nie są zapoznawani z aktami, zaś adwokaci podnoszą, że nie mają kontaktu ze swoimi klientami.

Na tym tle rodzą się różne domysły. Były również pytania ze strony sądu. Dodatkowym argumentem przemawiającym za sprecyzowaniem terminu rozmów jest fakt, że do Warszawy przybył dyrektor gabinetu sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, który wychodząc z założeń misji humanitarnej, chce zaproponować aresztowanym pracę za granicą w agendach ONZ.

Nasze stanowcze w tym względzie stanowisko zawiera elementy taktyczne polegające na tym, aby zmusić episkopat – zwłaszcza po powrocie ks. Orszulika z Rzymu – do wywarcia silniejszej presji na aresztowanych. W pewnym stopniu to osiągnięto. Dowodzi o powyższym dłuższa wypowiedź ks. Orszulika, który m.in. stwierdził, że:

- komplet dokumentów wspólnie opracowanych w Warszawie przekazał papieżowi. Rozmawiał z papieżem przez godzinę bez obecności osób trzecich. Poinformował o impasie w rozmowach wywołanym przez Michnika;

- papież jest zainteresowany w rozwiązaniu kwestii aresztowanych b. działaczy KSS KOR i b. NSZZ Solidarność i wiąże z tym zniesienie restrykcji gospodarczych wobec Polski;

- na temat rozwiązania problemu, o którym mowa wyżej, papież będzie rozmawiał z prezydentem USA w dniu 2 maja br. na Alasce;

- o podjętych próbach uwolnienia osób skazanych za przestępstwa dokonane z pobudek politycznych rozmawiał telefonicznie z kardynałem [Janem Józefem] Królem w USA;

- najbliższe otoczenie papieża uważa, że gdyby się udało – w rezultacie negocjacji z władzami PRL

- rozwiązać problem aresztowanych działaczy b. KSS KOR oraz b. NSZZ Solidarność, byłoby to duże wydarzenie o charakterze politycznym.

Ks. Orszulik, jak i cywilni przedstawiciele Episkopatu są za kontynuowaniem rozmów z aresztowanymi i zaproponowali, aby w dniu 1 maja br. z Jurczykiem rozmowę przeprowadził ks. biskup Kazimierz Majdański – ordynariusz diecezji szczecińskiej, zaś 5 maja i 8 maja br. odbyły się końcowe rozmowy z grupą b. KSS KOR i ekstremą b. Solidarności.

Zaproponowali ewentualne rozstrzygnięcie sprawy Michnika w ramach spodziewanej amnestii na 40-lecie PRL, z tym że przed ogłoszeniem wspomnianej wyżej amnestii należałoby w odniesieniu do Michnika stworzyć „status człowieka wyczerpanego psychicznie”. Są zdania, że należałoby szukać rozwiązania poprzez badania lekarskie, ale niekoniecznie psychiatryczne.

* * *

Realizując uzgodnione założenia, w dniu 30 kwietnia br. dyrektor gabinetu sekretarza generalnego ONZ Emilio Olivares odbył wstępne rozmowy z Modzelewskim, Palką, Gwiazdą i Rozpłochowskim.

Wymienieni nie odrzucili definitywnie postawionych im propozycji. Rozmowy będą kontynuowane w dniach 1 i 2 maja br. Rozmowami w pierwszej kolejności objęto ekstremalnych działaczy b. NSZZ Solidarność.

Emilio Olivares w rozmowie z pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych wyraził optymizm po pierwszych spotkaniach z działaczami b. NSZZ Solidarność.

Wnioski:

1. Przebieg rozmów wskazuje na to, że ks. Orszulik, a także cywilni przedstawiciele episkopatu są za realizacją inicjatyw w kierunku nakłonienia Michnika do zmiany stanowiska. Nie kwestionowali faktu, że Michnik chce uczynić z siebie bohatera. Stwierdzili jednak, że „byłby to bohater wyniesiony z więzienia na ramionach pozostałych aresztowanych, tzn. kosztem innych”.

2. W ważnych dla sprawy momentach rozmowy prowadzone z Michnikiem przez Kuronia i Lipskiego³ miały charakter zakonspirowany – szept, pisanie na kartkach. Wskazywać to może na próbę wypracowania taktyki wobec władz. Może się to wiązać z wypracowaniem wobec władz gwarancji co do możliwości zwolnienia z więzienia innych osób skazanych za przestępstwa popełnione z powodów politycznych.

3. Przedstawiona koncepcja co do dalszych rozmów i wprowadzenie nowego czynnika, jakim jest przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ, może wpłynąć korzystnie na sfinalizowanie rozmów.

Opracowano w Biurze Śledczym MSW.

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 63–67.

³ Według relacji Bronisława Geremka Adam Michnik odmówił spotkania z Janem Józefem Lipskim.

VI.

Warszawa, dnia 13 maja 1984 r.

Tajne

Egz. nr 1

Notatka

dot[ycząca] aktualnego stanu rozmów prowadzonych przez cywilnych emisariuszy Episkopatu Polski z aresztowanymi działaczami b. KSS KOR oraz ekstremistycznymi działaczami b. NSZZ Solidarność

W dniu 12 maja br. odbyło się plenarne spotkanie aresztowanych działaczy b. KSS KOR i kierownictwa b. NSZZ Solidarność z cywilnymi przedstawicielami Episkopatu Polski. Celem tego spotkania było wypracowanie i przyjęcie wspólnego stanowiska co do przedstawionych uprzednio propozycji.

Rozmowy z aresztowanymi – bez udziału Michnika i Jurczyka – prowadzone były przez Chrzanowskiego, Olszewskiego, Geremka, Mazowieckiego, Wielowieyskiego, Stelmachowskiego, Gieysztora, Lipskiego, Rybickiego i Wosiek na terenie obiektu MSW w Chylicach.

Zaproponowano Modzelewskiego jako przewodniczącego spotkania (jego kontrkandydatem był Kuroń) i ustalono, że w pierwszej kolejności stanowisko swoje przedstawiają aresztowani.

We wstępnych wypowiedziach Kuroń, Wujec, Jaworski, Modzelewski, Rozpłochowski, Rulewski podnieśli, że wynegocjowany przez Episkopat Polski dokument nie zawiera istotnych ustaleń dotyczących:

- uwolnienia wszystkich skazanych i aresztowanych za przestępstwa popełnione z pobudek politycznych,
- możliwości powrotu do kraju osób przebywających aktualnie za granicą, w stosunku do których toczą się lub mogą być wszczęte postępowania karne za ich działalność polityczną,
- zobowiązań władzy w kwestii porozumienia narodowego rozumianego jako akceptacja pluralizmu związkowego.

Zdaniem Kuronia, który usiłował narzucić pozostałym uczestnikom spotkania swój punkt widzenia, brak w[yżej] wymienionych ustaleń przekreśla możliwość pozytywnego potraktowania przedstawionych propozycji. Dokument końcowy – jak stwierdził – nie zawiera zobowiązań po stronie władzy, co wynika m.in. z enigmatyczności i nieostrości sformułowań w tym zakresie. „Mógłbym ewentualnie akceptować to wszystko, gdyby rozmowy prowadzone były oficjalnie, ukazywałyby się komunikaty w prasie, a końcowy dokument byłby efektem kompromisu”.

Stanowisko Kuronia poparli Wujec, Romaszewski i w zasadzie Modzelewski, Gwiazda oraz Jaworski.

W toku dyskusji, jaka rozwinęła się wśród aresztowanych, w związku ze stanowiskiem Kuronia nastąpiło wyraźne zróżnicowanie zdań. Rulewski oraz Rozpłochowski, akceptując przedstawioną przez negocjatorów propozycję, stwierdzili m.in., że:

- jej przyjęcie wpłynęłoby na podniesienie autorytetu Kościoła,
- byłby to element integrujący opozycję,
- zagranica oczekuje na możliwość zniesienia restrykcji i „nasza pozytywna postawa w tym temacie otwierałaby taką możliwość”,
- władza w każdej chwili może zastosować ustawę amnestijną, „nie oglądając się na naszą zgodę lub nie, a tak rodzi się sytuacja, że zostaniemy wykupieni przez naszych ludzi, którzy będą mogli być partnerami w rozmowach z władzą”.

Cywilni przedstawiciele episkopatu sugerowali przyjęcie propozycji Episkopatu Polski, uzasadniając swoje stanowisko m.in. tym, że:

– stanowisko aresztowanych prezentowane w dyskusji zawiera cechy partykularyzmu (jest zbyt wąskie i egoistyczne) i problemu porozumienia w sensie pluralizmu związkowego nie załatwi się w tych rozmowach. Należy dążyć do częściowych rezultatów na zasadzie drobnych kroków;

– nie należy obawiać się, iż społeczeństwo źle odbierze fakt przyjęcia przez aresztowanych zobowiązań. Zwłaszcza Wielowieyski podkreślał, że jest oczywiste, iż „walka nadal trwa, lecz w tej chwili trzeba mieć na uwadze dobro kraju oraz to, że za głęboki kryzys wszyscy jesteśmy odpowiedzialni”;

– stanowisko prezentowane przez episkopat zostało aprobowane przez Lecha Wałęsę i Tymczasową Komisję Krajową [właśc. Koordynacyjną] (wypowiedź Wielowieyskiego).

W związku z rozbieżnymi stanowiskami Stelmachowski zaproponował głosowanie, które miało na celu wstępne rozeznanie stanowisk. W jego wyniku propozycje episkopatu akceptowało siedmiu głosujących, natomiast trzech wypowiedziało się przeciw (działacze b. KSS KOR).

Prowadzona dalej dyskusja nie zmierzała do zakończenia rozmów i przyjęcia generalnie negatywnego stanowiska, ale próbowano wypracować płaszczyznę do dalszych rozmów. Wyraziło się to w tym, że Modzelewski opracował list do kardynała [Józefa] Glempa, którego treść po odczytaniu akceptowali aresztowani i emisariusze. Kończąc rozmowę, stwierdzono, że „żegnamy się do następnego spotkania”.

W liście do kardynała Glempa, który został przekazany Chrzanowskiemu, aresztowani dziękują prymasowi za podjęte starania, jednak oświadczają, że propozycji nie mogą przyjąć ze względu na aktualną sytuację w kraju (nadal aresztowane są osoby za przestępstwa popełnione z pobudek politycznych). Kształtująca się w tym zakresie sytuacja nie daje im możliwości dotrzymania – w przypadku ich zwolnienia – zobowiązań, które usiłuje się na nich nałożyć. Wreszcie nie może być sytuacji takiej, aby „jedenastka” opuściła zakłady karne przed innymi. Są gotowi do dalszych rozmów z episkopatem.

Należy podkreślić, że arcybiskup Dąbrowski i ks. dyrektor Orszulik wykazywali niepokój faktem przedłużających się rozmów w dniu 12 bm. Ten element jest istotny, ponieważ obecny stan sprawy dowodzi, iż episkopat znacznie zaangażował się w rozstrzygnięcie problemu, zaś postawa aresztowanych utrudnia realizację założonej koncepcji. 12 bm. w godzinach wieczornych ks. Orszulik telefonicznie porozumiewał się z dyrektorem Biura Śledczego MSW, proponując spotkanie w poniedziałek.

Wnioski:

W kontekście zaistniałej sytuacji nie należy wykluczać, że postawa aresztowanych może:

1. być wynikiem nieznamomości aktualnej sytuacji w kraju – od 13 grudnia 1981 r. przebywają w izolacji. W czasie wizyt obrońców i członków rodzin przekazywany im był nieobiektywny obraz sytuacji w kraju. Wyolbrzymiano np. zakłócenia porządku przy okazji święta 1 Maja. Wypowiedzi na tematy ekonomiczne także prowadziły do wytworzenia obrazu rzeczywistości niezgodnego z prawdą;

2. być wynikiem nadania sprawie międzynarodowego aspektu, czego dowodem są różne akcje petycyjne na Zachodzie bądź zainteresowanie się tematem różnych instytucji na Zachodzie, a także narastająca w kwietniu i maju br. kampania w tym przedmiocie dywersyjnych rozgłosni. Może to świadczyć o tym, że postawa działaczy b. KSS KOR, którzy narzucają swój punkt widzenia pozostałym aresztowanym działaczom b. NSZZ Solidarność, jest wynikiem dyspozycji płynących z Zachodu;

3. ulec modyfikacji w kierunku postulowanym przez cywilnych przedstawicieli episkopatu. Ich postawę w tych rozmowach należy ocenić pozytywnie;

4. być przejawem nacisku na władzę w kierunku przyjęcia liberalnych koncepcji wobec opozycji w kraju i osób popełniających przestępstwa z pobudek politycznych. Podczas ostatnich rozmów, a także

wcześniejszych kontaktów odnotowano rozmowy kularowe, rozmowy szeptem, pisanie czegoś na kartkach, które były następnie niszczone.

Wytworzona sytuacja w sprawie sugeruje z naszej strony następujące działania:

1. Należałoby doprowadzić do spotkania z ks. Orszulikiem, w czasie którego dyrektor Biura Śledczego MSW winien go poinformować, że:

– ze strony władz dokonano wielu ustępstw i kwestie, które były sporne, zostały uzgodnione przy uwzględnianiu argumentacji obydwu stron. Możliwości dalszych ustępstw wydają się niemożliwe. Kwestia podjęcia problemu innych osób skazanych za przestępstwa popełnione z pobudek politycznych znajduje wyrażne stwierdzenie w dokumentach wymienionych między arcybiskupem Dąbrowskim i ministrem spraw wewnętrznych;

– nie posiada pełnomocnictwa do podejmowania dyskusji na temat wcześniej uzgodnionych stanowisk i treści dokumentów. Ta wypowiedź winna zawierać sugestię ewentualnego spotkania arcybiskupa Dąbrowskiego z ministrem spraw wewnętrznych.

2. Ze względów taktycznych należałoby rozważyć uchylenie w najbliższym czasie tymczasowego aresztowania wobec niektórych osób pozbawionych wolności za przestępstwa popełnione z powodów politycznych. Do uchylenia aresztu mogłoby dojść z następujących przyczyn:

a) ze względu na stan zdrowia. Takie przesłanki zaszły w odniesieniu do: Mariana Jurczyka, przebywającego w Instytucie Kardiologii w Aninie, odbywających karę pozbawienia wolności w Barczewie Piotra Bednarza, u którego stwierdzono silną depresję, i Romualda Szeremietiewa ze względu na niedokrwienie mięśnia sercowego oraz nerwicę sytuacyjną. Aktualnie ustala się osoby, u których występują dolegliwości zdrowotne, celem rozważenia uchylenia tymczasowego aresztowania;

b) w związku z uzyskaniem przez niektórych skazanych podstaw do warunkowego przedterminowego zwolnienia z odbywania kary, tj. po odbyciu 2/3 kary.

3. Należałoby łamać solidarność aresztowanych poprzez np. udzielenie widzeń matce Rulewskiego, która zwróciła się do Rady Państwa o zwolnienie syna, Ewie Dobrowolskiej, która może mieć wpływ na postawę Kuronia, innym członkom rodzin aresztowanych.

4. Rozważyć możliwość zwolnienia z aresztu śledczego tych osób, które zastosują się do wcześniej uzgodnionych z Episkopatem Polski warunków. Może to przede wszystkim objąć ekstremę Solidarności.

Konkludując, w obecnym stanie sprawy nasze stanowisko winno być usztywnione, tym niemniej należy utrzymywać kontakty z Episkopatem Polski i kontynuować rozmowy w tej sprawie.

Opracowano w Biurze Śledczym MSW.

Źródło: AIPN, 0204/1417, t. 56, k. 68–73.

W OCZACH BEZPIEKI

SOLIDARNOŚĆ I AFL-CIO

Drukowany tu dokument znalazłem w Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, w aktach śledztwa przeciw przywódcom NSZZ Solidarność prowadzonego przez Biuro Śledcze MSW w latach 1982–1984. Ściślej – w tej części tego zbioru, który zachował się w postaci mikrofilmów (sygn. 01092/1), na mikrofiszach nr 215.

Oryginał dokumentu został zarejestrowany w Departamencie III A MSW, zajmującym się rozpracowywaniem (oficjalnie: „ochroną”) NSZZ Solidarność, 4 marca 1981 r., o czym świadczy odręczna adnotacja na pierwszej stronie. Tam też znajdujemy adnotację: „Inf. MSW LRB”, czyli „Informacja MSW Ludowej Republiki Bułgarii”.

Nie znamy, niestety, szczegółowych losów tego dokumentu. O bardzo prawdopodobnych intencjach jego wytworzenia i roli, jaką miał odgrywać, pisze Karol Modzelewski. W dotychczas poznanym materiale archiwalnym nie znajdujemy jednak informacji, czy dokument ten krążył, kto się z nim zapoznał, czy spowodował jakieś dalsze działania. Nie udało się dotychczas odnaleźć dokumentacji ukazującej obieg pism w obrębie kierownictwa MSW oraz między nim a kierownictwem – czy tylko I sekretarzem – Komitetu Centralnego PZPR.

Nie wiadomo też, z jaką intencją dokument został dołączony do akt śledztwa przeciw przywódcom Solidarności w stanie wojennym. Być może był jedną z ilustracji wątku śledztwa o rzekomych powiązaniach kierownictwa Solidarności z „siłami imperialistycznymi” i zachodnimi służbami specjalnymi. Nawet jeśli tak było, jego oficjalne wykorzystanie w prowadzonym śledztwie nie było możliwe, jako że był to materiał operacyjny, w dodatku pochodzący od obcej służby. Gdyby doszło do jego ujawnienia w śledztwie, a w konsekwencji na sali sądowej, oskarżony Karol Modzelewski złożyłby wyjaśnienia podobne do obecnie przekazanych; tym samym ujawniłby okoliczności i źródło pochodzenia tej notatki, a więc agenta bułgarskich (zapewne też sowieckich) służb. To zapewne decydowało o nieeksploatowaniu w śledztwie tego wątku.

Andrzej Friszke

Tłumaczenie z jęz. rosyjskiego

Dotyczy: działalności amerykańskich związków AFL-CIO oraz kanałów wywierania wpływu na wydarzenia w Polsce

Wg informacji pochodzących z włoskich kół politycznych w czasie wizyty [Lecha] Wałęsy w okresie 13–19 stycznia br. [1981] we Włoszech doszło do spotkania między przedstawicielem prezydenta AFL-CIO Lane’a Kirklanda Tomem Kahnem i oficjalnym przedstawicielem Solidarności, członkiem KKP K[arolem] Modzelewskim. Spotkanie to zorganizowane zostało przez I[rvinga] Browna, zajmującego się sprawami kontaktów pomiędzy europejskimi i amerykańskimi związkami zawodowymi, na propozycję G[iorgio] Benvenuto – generalnego sekretarza włoskiego związku zawodowego (UIL), pod warunkiem, że spotkaniu nie nada się rozgłosu. Spotkanie trwało 3 godziny. Omówiono sprawę ewentualnej formy pomocy dla Solidarności przez amerykańskie związki zawodowe, dokonano wymiany poglądów w aspekcie politycznym i związkowym odnośnie sposobów przerzutu środków do Polski oraz możliwości wymiany delegacji między AFL-CIO i Solidarnością.

Strona amerykańska zaznaczyła, że AFL-CIO dysponuje funduszem w wysokości ok. 1,6 mln dolarów przeznaczonych na konkretną pomoc materialną i inną dla Polski. Jednakże w tym celu niezbędne jest sporządzenie przez Solidarność dokładnej listy potrzeb na obecnym etapie, które natychmiast zostaną przez AFL-CIO zaspokojone. W związku z tym wskazano na konieczność ustanowienia bezpośredniego i pewnego dwustronnego kanału, za który Tom Kahn uważa obecnie Jakuba Świąćckiego, współpracownika Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych w Sztokholmie, którego biuro mieści się w Brukseli. Wg danych źródła przez wspomniany kanał przekazywane są wszystkie prośby i propozycje w sprawie udzielenia pomocy oraz większość materiałów drukowanych w USA.

Solidarność zwróciła się z prośbą o przekazanie jej materiałów niezbędnych do druku biuletynów i gazet, maszyn do pisania, wyposażenia dla sieci radiowej w wielkich fabrykach itd. Wskazano na wielkie trudności w organizowaniu audycji radiowych w skali kraju. K. Modzelewski prosił o przekazanie części zamiennych do maszyn poligraficznych, tak aby można było uniknąć kontroli celnej oraz rejestracji powielonych materiałów. Będzie to mieć szczególne znaczenie w wypadku, jeżeli rząd podejmie decyzję o konfiskacie posiadanych oraz przywożonych maszyn.

Wg informacji pochodzących ze wspomnianych kół włoskich Tom Kahn zainteresował się poglądem Solidarności w sprawie stanowiska, jakie AFL-CIO powinna zająć wobec propozycji Kongresu dot[yczących] udzielenia pomocy finansowej Polsce w celu wyjścia z obecnego kryzysu ekonomicznego. Otrzymał odpowiedź, że AFL-CIO powinna poprzeć propozycję rządu USA, wiążąc ją ze sprecyzowaną klauzulą, iż „rząd USA może udzielić odpowiedniej pomocy rządowi polskiemu, jeżeli będzie on przestrzegać porozumienia podpisanego w Gdańsku”. K. Modzelewski uzupełnił, iż dopóty, dopóki „rząd Polski będzie uznawać wolną inicjatywę Solidarności i gwarantować przestrzeganie podpisanych porozumień, nie będzie ograniczać swobody prasy i rozwoju działalności związkowej”, udzielenie pomocy Polsce będzie możliwe. Zaznaczył jednakże, że jeżeli rząd PRL zacznie stosować środki represyjne lub zaniecha realizacji przyjętych zobowiązań, wówczas początkiem reakcji ze strony USA będzie bojkot gospodarczy nie tylko w stosunku do Polski, lecz również w stosunku do ZSRR. Wg wspomnianych już kół Tom Kahn zapewnił przedstawiciela Solidarności, że AFL-CIO zajmie w przedstawionej sprawie takie stanowisko, jakie radził Modzelewski. Prosił przedstawiciela polskiego o sprecyzowanie, czy Solidarność wyraża gotowość przyjęcia „warunkowej” pomocy. W dniu 15 stycznia T. Kahn otrzymał poprzez K. Modzelewskiego pozytywną odpowiedź polskiej delegacji.

W czasie wspomnianego spotkania omawiano również sprawę wymiany delegacji między dwoma związkami. Kilka miesięcy wstecz AFL-CIO zaprosiła Wałęsę do złożenia wizyty w USA, co zostało przez Wałęsę przyjęte pozytywnie, nie określając jednakże terminu wizyty, a zapraszając z kolei przewodniczącego AFL-CIO L. Kirklanda do złożenia wizyty w Polsce. Tom Kahn wyraził zaniepokojenie z powodu realizacji przez Wałęsę wizyty w USA już teraz, doradzając stronie polskiej zachowanie ostrożności ze względu na ewentualne ryzyko. Dodał, iż bardziej dogodnym terminem do złożenia wizyty byłaby połowa listopada br., z okazji 100 rocznicy amerykańskiego ruchu związkowego. Modzelewski odpowiedział na to, że w tym wypadku napotkają oni na drugą przeszkodę, tzn. „iż z politycznego punktu widzenia nie oświadczono jeszcze, że Solidarność może przyjmować zaproszenie do udziału w imprezie z okazji 100 rocznicy AFL-CIO”.

Następnie strona amerykańska zauważyła, że przedstawiciel AFL-CIO nie może obecnie złożyć wizyty w Polsce i co więcej, nie może być pierwszą organizacją, która nawiąże kontakt, przy czym kontakt oficjalny, z Solidarnością. Mimo to K. Modzelewski reprezentował pogląd, iż rzeczywiście ryzyko istnieje i że jest to brane pod uwagę.

Zdaniem wspomnianych kół na szczególną uwagę zasługuje decyzja AFL-CIO nieuczestniczenia oficjalnie w „komitecie pomocy dla Solidarności” utworzonym przez Konfederację Wolnych Związków Zawodowych. Tom Kahn powiedział, iż konfederacja prowadzi działania na rzecz zapewnienia udziału przedstawicieli Solidarności w konferencji, która ma się odbyć w Genewie w czerwcu br. pod auspicjami Międzynarodowej Organizacji Pracy. Dodał, że jeżeli rząd PRL będzie utrudniał udział delegacji Solidarności w pracach konferencji, wówczas Konfederacja Wolnych Związków Zawodowych zorganizuje demonstracje protestacyjne.

Po spotkaniu Tom Kahn udał się do Paryża w celu poinformowani I. Browna o rezultatach spotkania.

WŁOSKI ŁĄCZNIK

KAROL MODZELEWSKI

prof. dr hab., historyk średniowiecza,
członek rzeczywisty PAN. Więzień
polityczny w latach 1965–1967
i 1968–1971. Działacz NSZZ Solidarność;
członek Prezydium Zarządu Regionu
Dolny Śląsk, rzecznik prasowy Krajowej
Komisji Porozumiewawczej, członek
Komisji Krajowej. Internowany 13 grudnia
1981 r., był więziony do sierpnia 1984 r.
W latach 1989–1991 senator RP.
Tytuł profesora uzyskał w 1990 r. na pod-
stawie rozprawy o chłopach w monarchii
wczesnopiastowskiej, napisanej w więzieniu.
Wykładał na wielu uniwersytetach
w Polsce, Francji i Włoszech.
Jego ostatnia książka *Barbarzyńska
Europa* (2004), wydana w wielu krajach,
zdobyła nagrodę Klio i Fundacji
na rzecz Nauki Polskiej.

Notatka KGB przesłana kierownictwu polskiego MSW na początku marca 1981 r. zasługuje na komentarz z kilku powodów. Jest to dokument autentyczny i tajny, a więc taki, który w rozumieniu co bardziej prostodusznych historyków w pełni zasługuje na wiarę. Nie uprzedzając konkluzji, chciałbym zwrócić uwagę na parę z pozoru błahych, ale według mnie istotnych okoliczności.

Po pierwsze, w archiwach kierownictwa MSW dokument ten zachował się jako „tłumaczenie z języka rosyjskiego”. Nie wiemy, czy przetłumaczono go w Warszawie, czy może raczej w Moskwie przed wysłaniem, w każdym razie wynika z tego, że był to tekst przeznaczony (a może specjalnie zredagowany?) dla polskich czytelników, w tym również takich, którzy nie znali rosyjskiego.

Po drugie, notatka obraca się wokół mojego spotkania podczas pobytu delegacji NSZZ Solidarność w Rzymie w styczniu 1981 r. z przedstawicielem największej amerykańskiej centrali związkowej American Federation of Labor and Congress of Industrial Organizations (AFL-CIO) Tomem Kahnem. Według notatki KGB spotkanie to – „na propozycję” Giorgio Benvenuto (był to przewodniczący zbliżonej do socjalistów centrali związkowej Unione Italiana dei Lavoratori – jednej z trzech central zrzeszonych w Federazione Unitaria, które zaprosiły delegację Solidarności do Włoch) – zostało zorganizowane przez Irvinga Browna, „zajmującego się sprawami kontaktów między europejskimi i amerykańskimi związkami zawodowymi”. Tyle że Browna w Rzymie nie było, więc nie mógł tam niczego zorganizować, a Benvenuto – postać z pierwszych stron gazet – raczej nie zajmowałby się osobiście taką sprawą. Spotkanie Kahna ze mną zorganizował, a właściwie zaaranżował, szef biura zagranicznego UIL, niejaki Scricciolo (na imię miał chyba Luigi). Był on, obok Kahna i mnie, trzecim uczestnikiem i – dosłownie rzecz biorąc – bezpośrednim sprawcą spotkania, ale notatka KGB milczy o nim jak grób. Milczenie to łatwo wyjaśnić obowiązującą w działalności wywiadu zasadą ochrony źródła. Scricciolo był jednak źródłem, na które historyk powinien zwrócić uwagę.

Zjednoczona Federacja (Federazione Unitaria) włoskich związków zawodowych zrzeszała trzy centrale: prokomunistyczną CGIL, prosocjalistyczną UIL i chrześci-

jańską CISL. Kierownicy wydziałów zagranicznych tych central zwrócili się w grudniu 1980 r. o polskie wizy, by przygotować wizytę delegacji Solidarności. Scricciolo oraz jego współpracowniczka (i partnerka życiowa) Paola Elia dostali wizy natychmiast, podczas gdy wiceszef biura zagranicznego CGIL komunista Meroni oraz szef wydziału zagranicznego CISL Emilio Gabaglio (późniejszy przewodniczący Światowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych) czekali na wizy niemal do ostatniego momentu.

Scricciolo tuż po przyjeździe skontaktował się ze mną (niestety nie pamiętam, czy dostał moje namiary z Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność, której byłem rzecznikiem prasowym, czy skądinąd) i poprosił o zorganizowanie mu spotkań z członkami Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Zaprowadziłem go do Jacka Kurońa, u niego widział się z Adamem Michnikiem i Konradem Bielińskim. Rozmawiał też osobno – w warszawskim mieszkaniu mojej matki (sam mieszkalem wtedy we Wrocławiu) – ze mną. Odniosłem wrażenie, że interesują go szczególnie środowiska dysydenckie.

Nie pamiętam, żeby przed przyjazdem pozostałych dwóch przedstawicieli Federazione Unitaria Scricciolo spotykał się z oficjalnymi przedstawicielami władz Solidarności (poza mną). W rozmowie ze mną wyznał bez zahamowań, że jest członkiem skrajnie lewicowej Partito Democratico dell'Unita Proletaria; w UIL poza członkami partii socjalistycznej i bezpartyjnymi było sporo adherentów pozaparlamentarnej lewicy (podobnie jak we francuskiej CFDT) i nikt się z tym nie krył. Sposób bycia Scricciola – przymilny i nerwowy – wywołał we mnie cień odruchowej nieufności, ale nic ponadto. Przedstawiciele CGIL i CISL, którzy przyjechali do Polski prawie dwa tygodnie później, nie szukali żadnych nieoficjalnych kontaktów (zresztą i czasu mieli mało), ograniczyli się do rozmów w Gdańsku z udziałem m.in. Lecha Wałęsy, Andrzeja Gwiazdy, Tadeusza Mazowieckiego, no i moim.

Tuż przed wyjazdem naszej delegacji do Rzymu skontaktował się ze mną Konrad Bieliński, który zajmował się – nie wiem, w jakim stopniu oficjalnie (ale nie bez przyczyny, gdyż to on w Stoczni Gdańskiej podczas sierpniowego strajku wydawał strajkowy biuletyn o nazwie „Solidarność”) – sprawami związkowej poligrafii. Konrad prosił mnie o uwiarygodnienie w kontaktach z zachodnimi związkowcami mieszkającego wówczas w Szwecji Jakuba Święckiego w roli naszego męża zaufania w sprawach dotyczących dostaw zachodnich maszyn poligraficznych dla Solidarności. Jasne było, że chodzi o dostawy – zależnie od zmiennej sytuacji – nielegalne lub półlegalne. Sam Święcki przyjechał zresztą w czasie naszej bytności do Rzymu i pojawił się w hotelu, w którym kwatrowała nasza delegacja.

W hotelu tym mnóstwo czasu spędzali szefowie wydziałów zagranicznych trzech włoskich central związkowych, w tym i Scricciolo, który miał tam do dyspozycji osobny pokój, coś w rodzaju biura. W pewnym momencie powiedział mi, że jest w Rzymie wysłannik AFL-CIO, który chce się ze mną spotkać. W ówczesnej propagandzie PRL centrala AFL-CIO przedstawiana była jako złowroga ekspozytura CIA i spotkanie rzecznika prasowego Solidarności z przedstawicielem tej centrali byłoby dla dyrygentów agresywnej propagandy łakomym kąskiem. Odpowiedziałem więc, że nie zgadzam się na takie spotkanie i wyjaśniłem dlaczego. Wydawało się, że Scricciolo przyjął to do wiadomości, ale dzień czy dwa później zaprowadził mnie pod jakimś pretekstem do swojego pokoju w hotelu, gdzie czekał już Tom Kahn. Byłem wściekły, ale uznałem, że nie mogę robić sceny i odbyłem z Amerykaninem rozmowę, w której starałem się nie powiedzieć niczego, co nie byłoby dopuszczalne podczas oficjalnej konferencji prasowej. Angielszczyzna moja wówczas była jeszcze lichsza niż dziś, mówiłem więc po włosku, a Scricciolo pełnił rolę tłumacza (Amerykanin nie znał, rzecz jasna, żadnego języka poza własnym).

Podczas rozmowy Kahn zapytał, jakiego rodzaju pomocy materialnej Solidarność potrzebuje. Odpowiedziałem, że mamy dość pieniędzy ze składek, ale na reglamentowanym rynku sprzętu poligraficznego z trudem zaspokajamy swoje potrzeby wydawnicze. Kolejne pytanie dotyczyło już wprost osoby, która mogłaby nas reprezentować w sprawie dostaw maszyn drukarskich. Nic nie odpowiedziałem, tylko popatrzyłem wymownie na rozmówcę, który zachował się jak człowiek po konspiracyjnym przeszkoleniu: napisał na karteczce nazwisko Świąciecki i podał mi. Skinąłem głową bez słowa, wyjąłem zapalniczkę i spaliłem kartkę. Od tej pory omijałem Scricciola szerokim łukiem.

Bodaj na początku 1982 r. Czerwone Brygady porwały we Włoszech amerykańskiego generała ze struktur NATO. Włoskie służby specjalne (podobno z pomocą CIA) namierzyły kryjówkę porywaczy, aresztowały ich i uwolniły generała. Podczas przesłuchań porywacze wskazali na Scricciola i Paolę Elia jako na swoich wspólników. W Polsce był początek stanu wojennego i „Trybuna Ludu” z lubością opisała włoskich terrorystów jako gości Wałęsy i kierownictwa Solidarności (artykuł był zatytułowany *Ale goście!*, a chodziło w nim o oficjalne rozmowy w Gdańsku; na temat wcześniejszych spotkań z korowcami władze ani się nie zająknęły, chociaż na pewno wiedziały). Tymczasem we Włoszech posypali się w śledztwie aresztowani Scricciolo i Paola Elia. Zeznali, że poza oficjalną pracą dla UIL i jawną przynależnością do PDUP byli potajemnie członkami Czerwonych Brygad i – jeszcze potajemniej – agentami bułgarskiego wywiadu, czyli *de facto* KGB. Scricciolo spędził parę lat w więzieniu, ale sprawa podobno nie zakończyła się prawomocnym wyrokiem; wypuszczono go – nie wiem, na jakiej zasadzie, wkrótce zresztą zmarł.

Wydaje mi się więcej niż prawdopodobne, że moje spotkanie z Kahnem zostało przez Scricciola zaaranżowane (a wobec mojej odmowy właściwie wymuszone) na obstalunek KGB. Zapewne nagrał

on przebieg spotkania, nie zachował się jednak, przynajmniej w archiwach polskiego MSW, ani stenogram rozmowy, ani ewentualny raport agenta. Notatka KGB nie jest ani jednym, ani drugim. Są w niej przekłamania dwojakiego rodzaju.

Pierwsze dotyczy treści rozmowy. W czasie stanu wojennego byłem oczywiście zwolennikiem amerykańskich sankcji, ale jest wykluczone, bym w styczniu 1981 r. dywagował na temat takiej ewentualności, i to podczas spotkania, w które zostałem wmanewrowany wbrew woli, w podejrzanych okolicznościach. Mówiłem bardzo ostrożnie; zapewne rzeczywiście opowiedziałem się za pomocą ekonomiczną dla PRL jako jedyne państwa komunistycznego, które toleruje wolny ruch związkowy (coś takiego mógłbym powiedzieć równie dobrze na konferencji prasowej), ale postulowanie *avant la lettre* reaganowskich sankcji wobec PRL, a do tego jeszcze sankcji wobec ZSRR, zostało w notatce umieszczone przez jej autorów. Przy tym nie chodziło im o to, żeby mnie skompromitować jako antyradzieckiego i antypolskiego „jastrzębia”. W oczach władz PRL i tak uchodziłem za radykała co najmniej od czasu, gdy 17 września 1980 r. przeprowadziłem na ogólnopolskim spotkaniu w Gdańsku utworzenie jednego ogólnopolskiego związku pod nazwą Solidarność. Kojarzono mnie też z Komitetem Obrony Robotników, choć do niego nie należałem.

Trzeba się uważnie przyjrzeć notatce, żeby w niej dostrzec sprzeczności i kręactwo związane z chronologią zdarzeń. Najpierw pisze się w tym dokumencie, że odbyło się (w liczbie pojedynczej, więc jedno!) spotkanie między mną a Kahnem, ale zamiast podać jego datę, KGB informuje tylko, że delegacja Solidarności była w Rzymie „w okresie 13–19 stycznia”. Na trzeciej stronie notatki – po relacji o moich sugestjach dotyczących pomocy, jakiej Stany Zjednoczone powinny udzielić Polsce pod warunkiem przestrzegania porozumień sierpniowych, oraz natychmiastowego zastosowania „bojkotu gospodarczego nie tylko w stosunku do Polski, lecz również w stosunku do ZSRR”

w odpowiedzi na represje wobec Solidarności lub naruszanie porozumień – Kahn miał „prosić przedstawiciela polskiego [czyli mnie] o sprecyzowanie, czy S[olidarność] wyraża gotowość przyjęcia »warunkowej« pomocy. W dniu 15 stycznia T. Kahn otrzymał poprzez K. Modzelewskiego pozytywną odpowiedź polskiej delegacji”. Wynikałoby z tego, że spotkania były jednak dwa, a 15 stycznia spotkałem się z Kahnem ponownie, by po konsultacji z całą delegacją zapewnić, że sformułowany przeze mnie w pierwszej rozmowie postulat „bojkotu gospodarczego” Polski i ZSRR w razie łamania przez rząd PRL porozumienia gdańskiego jest oficjalnym stanowiskiem Solidarności.

Sugestia ta, sformułowana zresztą w sposób wyjątkowo (i chyba rozmyślnie) pokrętny, jest fałszywa. W spotkanie z Kahnem zostałem wmanewrowany i choćby z tego powodu nie zamierzałem się z nim więcej kontaktować. Co do daty, trzeba zważyć, że po przylocie 13 stycznia 1981 r. zostaliśmy umieszczeni nie w hotelu, ale w dość odległym od centrum miasta domu pielgrzyma na Via Cassia. Dopiero po dwóch lub trzech dniach część delegacji (Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Celiński, Bożena Rybicka i ja) przeniosła się do hotelu, reszta zaś, z Lechem Wałęsą na czele, pozostała w domu pielgrzyma – wbrew programowi pobytu uzgodnionemu z włoskimi centralami związkowymi, ale za namową księży polskich w Rzymie. Moje spotkanie z Kahnem (w hotelu, w którym kwaterowaliśmy) mogło się odbyć najwcześniej 15 stycznia. Na konsultację z całą delegacją i ponowny kontakt z Kahnem tego samego dnia nie byłoby nie tylko chęci z mojej strony, ale najwcześniej też czasu.

Kłamliwa sugestia dwóch spotkań i konfabulacje o postulowaniu bojkotu ekonomicznego były potrzebne po to, żeby słowa mnie przypisane można było przedstawić jako wrogie w stosunku

do socjalistycznej Polski i ZSRR, oficjalne stanowisko władz Solidarności. Obsmarowanie tylko mnie nie byłoby warte świeczki. Cała Solidarność, z Wałęsą na czele, a nie tylko jakaś ekstrema czy KOR, miała być przedstawiona jako wróg, którego trzeba zniszczyć. Była to wizja odmienna od stanowiska ówczesnych przywódców PZPR, chętnie mówiących o „zdrowym trzonie” robotniczej Solidarności i antysocjalistycznej ekstremie, która się w tym ruchu zagnieździła. Początkowo władze PRL liczyły chyba naprawdę, że uda się zastosować tzw. taktykę salami, odcinając po kawałku i eliminując elementy niepożądane. Notatka KGB może wskazywać na to, że w Moskwie traktowano te iluzje z irytacją lub nawet uważano za maskę kryjącą kapitulancstwo polskich towarzyszy.

Notatkę o moim spotkaniu z Kahnem KGB przesłał do polskiego MSW po blisko trzech miesiącach od zdarzenia, na początku marca 1981 r. W tych dniach Stanisław Kania i Wojciech Jaruzelski zostali wezwani na Kreml, by wytłumaczyć się z kunktatorskiej polityki wobec kontrrewolucji. Wzmógł się moskiewski nacisk na polskie władze, by sięgnęły po „administracyjne środki” walki z wrogiem, a po dwóch tygodniach doszło do wydarzeń bydgoskich. W kampanii nacisku na Kanię i Jaruzelskiego Kreml mógł liczyć nie tylko na partyjny beton – Stefana Olszowskiego, Tadeusza Grabskiego czy Andrzeja Żabińskiego – ale i na Mirosława Milewskiego oraz jego ludzi w kierownictwie MSW. Tym ludziom notatka KGB z 4 marca 1981 r. miała dostarczyć amunicji propagandowej użytecznej w wewnętrznej rozgrywce o strategię walki z Solidarnością.

Mamy więc do czynienia ze źródłem autentycznym, ściśle tajnym i kłamliwym, ale jego kłamstwa – jeśli potrafimy je rozpoznać i rozszyfrować – mogą dostarczyć informacji bezcennych dla historyka.

SALON KULTURY NIEZALEŻNEJ

JAN WALC

– W PIERWSZEJ LINII

PAWEŁ SOWIŃSKI

dr, absolwent historii na Uniwersytecie Warszawskim, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. Publikował na temat obchodów 1 Maja, historii turystyki w PRL oraz opozycji demokratycznej. Członek redakcji wydawnictwa *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*. Właśnie ukazała się jego praca *Zakazana książka. Uczestnicy drugiego obiegu 1977–1989*.

„Trudności sprawiałem od dziecka” – napisał kiedyś o sobie. Należał do niepokornej środkowoeuropejskiej inteligencji i próbował kontynuować jej najlepsze tradycje. Wierzył w moc sprawczą słowa pisanego; to przekonanie szybko się przerodziło w burzliwe zaangażowanie na rzecz opozycji antytotitarnej w czasach PRL.

Warunki do knucia miał podobno wymarzone. Nie za wysoki (169 cm), brodaty, ruchliwy, bez stałego zatrudnienia, w ogóle trudny do wypatrzenia. Pomaga mu znakomite usytuowanie w terenie – doceniał walory jego mieszkania ktoś z labiryntu służb specjalnych PRL. Jednorodzinna willa w Podkowie Leśnej, wokół las i zarośla, można chodzić bocznymi drogami. Z dzięki kilka wyjść, m.in. przejście na posesję sąsiada, który zdaniem Służby Bezpieczeństwa prowadził prywatną hodowlę koni, choć w rzeczywistości trzymał tylko jednego rumaka. Ruch w rejonie jest minimalny, willa położona na uboczu, ale jednocześnie tylko półtora kilometra od stacji kolejki podmiejskiej, co ułatwia połączenie z Warszawą. Za furtką posesji groźnie wyglądający pies, który ogranicza SB pole manewru (w 1981 r. podobno widziano tam dwa psy – wilki). Jakby tego było mało, Walc ma jeszcze czerwony motocykl Panonia z koszem – notowali funkcjonariusze.

W tym domu toczyło się tajne życie już w poprzednich pokoleniach. Rodzice Jana Walca należeli do akowskiej konspiracji. Wzięli ślub podczas powstania warszawskiego, gdy jako lekarze zostali przydzieleni do powstańczego szpitala. W czasie wojny willa Walców w Podkowie Leśnej stała się schronieniem m.in. dla historyka Marceliego Handelsmana. W pełnym zakamarków mieszkaniu ukrywano znajomych Żydów – głosi rodzinna tradycja. W ogrodzie pod szklanym inspektem wykopano bunkier dla kilku osób, w którym można było przeczekać w razie niebezpieczeństwa – opowiada żona Jana, Joanna Walc. Ponad czterdzieści lat później wstawiono tu na pewien czas podziemną drukarnię prasy niezależnej. Za zgodą sędziwej babci Walca, uczestniczki konspiracji sprzed 1914 r., która podczas śniadania doradzała drukarzom, jak zdobyć papier. Z powodu stukotu powielacza cały dom drżał w posadach.

Urodził się w 1948 r. w Warszawie. „Ja, ateusz z rodziny kalwińskiej” – mówił o sobie. Wychowany w lewicowym i romantycznym etosie, na swojego młodzień-

czego bohatera obrał Władysława Broniewskiego – rewolucyjnego poetę. „W domu rodzinnym zamiast Matki Boskiej z Jezusem wisieli na ścianie Marszałek z Andrzejem Strugiem” – pisał pod koniec lat siedemdziesiątych o swoim dojrzewaniu. Wnętrze domu zdobiły też portrety masonów, jako że w mieszkaniu przechowywano część archiwum łoży wolnomularskiej. W czasie wojny zakonspirował je tutaj Stanisław Stempowski – dodaje Joanna Walc.

Przechrzyć Służbę Bezpieczeństwa

Studiował pedagogikę, następnie filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie po raz pierwszy ujawnił szerszemu gronu swoje nonkonformistyczne skłonności. 30 stycznia 1968 r. po zdjęciu przez władze *Dziadów* z afisza Teatru Narodowego wziął udział w ostatnim spektaklu oraz w demonstracji przed pomnikiem Mickiewicza. W Marcu '68 należał do radykałów, zwolenników zdecydowanej postawy wobec władz. Zabierał głos na zebraniach studenckich, kolportował ulotki, opowiadał się za rozszerzaniem akcji protestacyjnej i organizowaniem manifestacji ulicznych. 23 marca 1968 r. został dokooptowany do uczelnianego Komitetu Studenckiego.

Zatrzymany 28 marca, kilka miesięcy spędził w areszcie śledczym Warszawa-Mokotów (ostatecznie prokuratura umorzyła śledztwo przeciw niemu). Na wolności zostawił żonę z małym dzieckiem. W jego sprawie interweniowała u ministra Mieczysława Moczara Janina Broniewska, żona poety, prominentna postać Związku Literatów Polskich. Kilka dni później Walc wyszedł z aresztu – zapamiętała rodzina. W więzieniu – w zamian za uwolnienie – podpisał zobowiązanie do współpracy z SB, którą jednak zakończył po dwóch miesiącach, jak wynika z akt policji. Znalazł się w trudnej sytuacji, ale potrafił z niej wybrnąć obronną ręką. Na nikogo nie doniósł. Tuż po wkroczeniu wojsk polskich do Czechosłowacji rozwiązał na piśmie swoją umowę z SB. „Całe moje dorosłe życie

jest z Marca, zarówno podmiotowo, jak i przedmiotowo. Marzec ukształtował moją świadomość i Marzec spowodował, że nigdzie nie chciano mi dać pracy” – deklarował w 1978 r. na łamach drugoobiegowej „Krytyki”.

Nieprzystosowany

Baliśmy się potwornie, do tego wszyscy wokół wyjeżdżali – opowiada żona. – Złożyliśmy papiery do ambasady holenderskiej, podając się za Żydów. Nie mieliśmy jednak pieniędzy, a paszporty kosztowały. Chcieliśmy sprzedać książki... Sprawa się przeciągała. W pewnym momencie powiedziałam: nie możemy wyjechać, bo nasze dziecko nie będzie czytać w szkole Słowackiego. Jasiek się z tym zgodził.

Wrócił więc na studia polonistyczne, choć nadal był zawieszony w prawach studenta. Najwyraźniej niespeszony więziennymi przeżyciami, wraz z Eugeniuszem Klocem przeprowadził opozycyjnie nastawionej grupce studentów. Krytykował dyрекcję Instytutu Filologii Polskiej za niski poziom studiów i politykę kadrową. Pisał wierszyki odnoszące się do wydarzeń marcowych. Inspirował dyskusje studentów, próbował podtrzymać klimat studenckich protestów. W 1971 r. współorganizował akcję w sprawie przywrócenia do pracy dydaktycznej Teresy Kostkiewicz, usuniętej na skutek pomarcowych represji. W tymże roku brał udział w opracowaniu petycji do kierownika Wydziału Nauki KC PZPR, która w polemiczny sposób przedstawiała sytuację na polonistyce.

Przez rok uczył polskiego w liceum im. Stefana Batorego. „Chodził – mimo upomnień kierownictwa szkoły – w wytartych dżinsach, swetrze i mocno sfatygowanych trampkach lub tenisówkach. Prowadził lekcje w sposób jak na tamte czasy niecodzienny (dyskusje, spory, również na zakazane tematy polityczne)” – wspominała Irena Ochremiakowa, matka jednej z jego uczennic. Tym razem to on dostał wymówienie za głoszenie poglądów nieaprobowanych przez władze.



Jan Walc w piwnicy swego domu w Podkowie Leśnej. Fot. Zenon Pałka

W grudniu 1975 r. podpisał jeden z listów zbiorowych przeciwko planowanym przez władze poprawkom do konstytucji. Wkrótce włączył się do prac Komitetu Obrony Robotników – stał się jedną z najciekawszych postaci młodsze pokolenia współpracowników KOR. W 1977 r. wszedł w skład kierownictwa Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, współkształtował jej profil wydawniczy, redagował i recenzował publikacje. Jego głównym żywiołem stała się jednak publicystyka.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych próbował odnaleźć się – jako „literacki watażka” – na obrzeżach życia oficjalnego. Karierę dziennikarską zaczynał w prasie oficjalnej. Związał się z tygodnikiem „Polityka”. Po kilku latach powierzył swój talent pisarski obiegowi niezależnemu. Należał do jego twórców i najwybitniejszych autorów. Publikował w pismach korowskich: „Biuletynie Informacyjnym”, „Zapisie”, w latach 1977–1979 był felietonistą „Głosu”, a od 1979 r. współredagował

„Krytykę”. Wyróżniał się odwagą, ironią i zadziornością, wchodził w zażarte polemiki także ze swoim środowiskiem. Jego dorobek publicystyczny – ujęty w tomie *Wybierane* (1989) – układa się w kronikę sporów, którymi od 1977 r. żyła polska opozycja. Publikacje Walca nie pozostawiały nikogo obojętnym. Wyraziste, emocjonalne, ale napisane w literackim stylu, szybko zjednały mu wielu czytelników i zyskały znaczny rozgłos.

Zgodnie z logiką swojego położenia zdecydowanie odrzucał reguły przystosowania się do systemu, burzył spokój sumienia, ujawniał ciemne strony koegzystencji społeczeństwa z władzą. Walc w swoich wywodach mistrzowsko posiłkował się książkową erudycją. Sugestywnie tworzył dramaturgię, gdy chciał zdemaskować podwójną moralność ludzi establishmentu. W *Liście do mojego przyjaciela, naukowca, sekretarza* – napisanym w przejmującej konwencji koleżeńskiego apelu – wezwał swojego starego znajomego ze studiów (Krzysztofa Konarzewskiego), by wystąpił z PZPR

w obliczu napaści bojówkarzy na wykłady opozycyjnego Towarzystwa Kursów Naukowych.

Z nielicznymi wyjątkami ostro oceniał twórców związanych z Polską Ludową. Pisarza Romana Bratnego i dziennikarza Ryszarda Wojnę wyzwał od cynicznych mistyfikatorów i porównał z księciem Bogusławem Radziwiłłem z Sienkiewiczowskiej trylogii: „»Rzeczpospolita to postaw czerwonego sukna...«, a kto za nie nie ciągnie, ten kiep. Bratny i Wojna ciągną ostro i innych zachęcają do ciągnięcia. [...] np. Bratny poleca dziwki i polowania. Wojna – raczej wojaże zagraniczne”. Krytycznie, choć w sposób bardziej stonowany, oceniał również wybory życiowe wybitnych pisarzy – Jarosława Iwaszkiewicza i Marii Dąbrowskiej.

W odpowiedzi na *Siłę bezsilnych* Václava Havla napisał *Stabość wszechmocnych*. Tekst był wypowiedzią autorską, nie przedstawiał stanowiska KOR. Pokazywał jednak różnice w stylach myślenia czechosłowackiej i naszej opozycji, bardziej upolitycznionej i mniej artystycznej. Walc uzupełniał esej Havla – skoncentrowany głównie na moralnych wyborach jednostki – komentarzem pisany w języku polityki. Na przykładzie ekipy gierkowskiej dowodził słabości władzy, znajdującej się w stanie rozkładu, bezradnie dryfującej w przepaść, niepotrafiącej sformułować alternatywy dla obranego kursu. Nakreślił również obraz rosnącego w siłę społeczeństwa, czego zwiastunem był prężny ruch opozycji demokratycznej. Ruch właśnie, a nie tylko, jak pisał Havel, „życie w prawdzie” na własny, indywidualny użytek.

Na wojnie z milicją

Od 1969 r. Służba Bezpieczeństwa prowadziła przeciwko niemu dochodzenie o kryptonimie „Faust” (ten sam pseudonim Walc przyjął w 1968 r., gdy podpisywał – chwilowe, jak się okazało – zobowiązanie do współpracy). Starła się uniemożliwić mu karierę zawodową. Nie przyjęto go na studium doktoranckie, mimo że dobrze wypadł na egzaminie. Doktorat na temat twórczości Tadeusza Kon-

wickiego obronił z wolnej stopy. Cenzura zablokowała jednak jego druk. Nie pozwolono pracować jego żonie. W tym samym czasie po konflikcie z redakcją jego nazwisko zniknęło z oficjalnej „Polityki”, o co zresztą zabiegała też SB. W urzędzie pracy Walc bezskutecznie walczył o zatrudnienie, a następnie o zasiłek dla bezrobotnych. Wysyłał zażalenia, odwoływał się i awanturował z powodu przeróżnych przykrości, jakich doznawał. Jego targi z państwową biurokracją były czymś więcej niż tylko złością na władzę lub – momentami komicznymi – potyczkami na słowa. Stanowiły modelowy przykład taktyki środowiska korowskiego, a nawet całej opozycji demokratycznej w Europie Wschodniej, która w egzekwowaniu prawa widziała ważny powód swojego istnienia.

Skazany na literacką banicję przez politykę, zarabiał dorywczo jako podpowiadacz w telewizyjnym teleturnieju „Licytacja”, korepetytor z polskiego i historii, kolporter samizdatowych utworów poetów Nowej Fali, a gdy powstał drugi obieg, także jako drukarz NOW-ej. Relację z pracy w konspiracyjnej drukarni zdał w formie błyskotliwego reportażu – *My, Wolna Wałkowa* – najgłośniejszego tekstu, jaki ukazał się na ten temat w prasie niezależnej. „Dzięki temu tekstowi praca niezależnej oficyny w PRL przestała być dla mnie abstrakcją, pojawiły się żywe obrazy i postaci, a wraz z tym chęć włączenia się do pracy czy choćby udzielenia jakiejś pomocy” – pisała cztery lata później anonimowa redaktorka drugiego obiegu na łamach podziemnego pisma „KOS”.

Coraz bardziej skonfliktowany z peerelowską rzeczywistością, bez reszty zaangażował się w opozycję. W 1978 r., po kilku miesiącach obecności w prasie niezależnej, ostentacyjnie porzucił swój drugoobiegowy pseudonim. Ukrywanie nazwiska przez autorów drugiego obiegu uznał za szkodliwe moralnie, czym naraził się w swoim środowisku na zarzuty o nadmierny radykalizm (ale inni, np. Urszula Doroszevska, poszli za jego przykładem). W 1978 r. prowadził wykład dla wrocławskich studentów na temat współczesnej

literatury polskiej – w ramach Uniwersytetu Łódzkiego. Na niezależne wykłady udostępniał również własne mieszkanie. Przychodził do salonu Anny i Tadeusza Walendowskich, 7 lutego 1978 r. miał u nich swój wieczór autorski. Współorganizował wieczory literackie zakazanych poetów – Stanisława Barańczaka i Adama Zagajewskiego, usilnie walcząc o prawo bytu dla twórczości niewykłanej we współpracę z reżimem.

Jako współpracownik Biura Interwencyjnego Komitetu Samoobrony Społecznej KOR dokumentował przypadki łamania praworządności przez organa PRL, należał do współautorów *Kroniki bezprawia* (NOWA 1978), następnie tzw. raportu madryckiego, przygotowanego w 1980 r. przez Komisję Helsińską KSS KOR. Wyczulony na sprawy społeczne, twardo stał po stronie ofiar samowoli władz. Opisał proces prokuratora Witolda Rozwensa, który podczas polowania zastrzelił przypadkowo trzyletniego wiejskiego chłopca. Walc nie zostawił na prokuratorze suchej nitki. Porównał Rozwensa do okrutnego dziedzica z drugiej części *Dziadów*, który jako widmo pokutuje w zaświatach (*Nie znałeś Panie litości...*). Zdziorny, ironiczny, oskarżycielski ton jego relacji ze sprawy Rozwensa wzbudził wątpliwości nawet w szeregach opozycji.

Za mitygowaniem Walca stały zapewne obawy części środowiska korowskiego, że zapalczywa publicystyka przypomina peerelowską propagandę, gdy tymczasem zadaniem KOR jest informowanie. Taka argumentacja – głos umiarkowanych – nie pasowała jednak do jego temperamentu. „Janek to był urodzony *fighter*” – wspomina Andrzej Paczkowski. Z pasją terenowego reportera dalej tropił sadystyczne skłonności lokalnej milicji, np. sierżanta Michalskiego, który na posterunku w Radzynie Podlaskim kopnął kobietę, gdy ta chciała przekazać śniadanie dla zatrzymanego syna, i poważnie ją poturbował. Podejmował najbardziej drażliwe tematy, przekraczał kolejne bariery w publicystyce opozycyjnej i narażał się na osobiste niebezpieczeństwo ze strony aparatu bezpieczeństwa.

Walc realizował w ten sposób bodajże najtrudniejszą misję KOR, w gruncie rzeczy stare marzenie polskich ruchów wyzwoleniczych, by „z polską szlachtą poszedł polski lud”. Bohaterami jego reportaży stawali się przedstawiciele Polski prowincjonalnej, anonimowi, izolowani, o niskim statusie społecznym i materialnym. Wydawali się zupełnie bezradni wobec przemocy lokalnej władzy. Pozbawieni silniejszej więzi grupowej, która łączyła warstwy wykształcone, byli skazani przez los na milczenie i ciągły strach. KOR jako pierwszy docierał do tych robotników i chłopów, czasami wyciągał ich z tarapatów, dawał znać, że nie są osamotnieni. Choć oczywiście interwencje Walca i jemu podobnych, nieraz torpedowane przez aparat władzy, pozostawały tylko kroplą w morzu.

Musiał być nie tylko śmiały, ale także silny psychicznie. W artykule *Akt oskarżenia* nagłośnił sprawę milicjanta Zdzisława Pajaka i jego kolegów z komisariatu Łódź-Bałuty, w którym dochodziło do tajemniczych zgonów podczas przesłuchań. „Tekst ten napisałem w swoim imieniu. Kolegium redakcyjne »Biuletynu Informacyjnego«, wbrew mojej woli, usunęło moje nazwisko, wyrażając w głosowaniu przekonanie, że sierżant Pajak mógłby mnie zabić po jego opublikowaniu” – ujawnił po latach kulisy. Potrafił jednak również – wraz z Adamem Michnikiem i Zbigniewem Romaszewskim – obronić przed linczem funkcjonariuszy milicji obłożonych w komisariacie w Otwocku przez wzburzony tłum (1981).

„Jakoś organicznie nie umiem być z większością”

Ruch Solidarność obserwował z pozycji publicysty i weterana opozycji przedsierpniowej. Publikował w „Tygodniku Solidarność” i „Niezależności” – piśmie Regionu NSZZ Solidarność Mazowsze. Występował na spotkaniach studentów z redakcją NOW-ej, wygłaszał odczyty, m.in. w rocznicę Marca na Uniwersytecie Warszawskim i politechnice (1981). Jego publicystyka nadal wzbudzała kontrowersje. Artykuł *O swoją milicję* został odrzucony przez

umiarkowany i podlegający cenzurze „Tygodnik Solidarność”. Walc wykorzystał w nim przypadek pobicia pijanego mężczyzny przez posterunkowych w Kuźnicy Białostockiej do przypuszczenia frontalnego ataku na aparat bezpieczeństwa PRL. Wydrukowała go dopiero związana z KOR „Niezależność”.

Na Solidarność spoglądał z „bolesną radością”. Pisał o niej – „nasz związek”. Nie uniknął jednak rozczarowań. Upublicznił je kilka lat później w rozliczeniowym *Liście do Włodzimierza Marta* (pseudonim Jana Kofmana, redaktora naczelnego niezależnej „Krytyki”). Szczególnie mocno przeżywał to, że nowi liderzy robotniczy podejrzewali ludzi KSS KOR o nadmierny radykalizm i ambicje polityczne. Ripostował w swoim stylu – bez pardonu. „Dostawali dobrze płatne posady w regionach, służbowe samochody i sekretarki, przy czym, dla pikanterii, nasze kariery związkowe były hamowane przez to właśnie, co powinno je przyspieszać, czyli przez wcześniejsze zasługi”. Pisał o korowskim piętnie, zakulisowych rozgrywkach, o frakcji „prawdziwych Polaków”, która w Solidarności stanowiła centrum antykorowskiej polityki. Wspominał o niechęci ze strony doradców Solidarności, tzw. ekspertów – „byłem publicystą, którym »eksperci« zwykli straszyć niegrzeczne dzieci”. Zaatakował mit jedności Solidarności. I znów wywołał burzę.

Po wprowadzeniu stanu wojennego został internowany w Białoleścu, następnie w Jaworzu. Nie zaprzestał pisania. Podczas przepustki rękopisy wyciągał z obandażowanej nogi u mnie w domu – wspominała historyk literatury Alina Brodzka, promotorka jego doktoratu. Wiosną 1982 r. został wypuszczony warunkowo na wolność. Nękania i inwigilowany przez SB, ostrożnie zaangażował się w działalność podziemną. W 1983 r. wrócił do kierownictwa NOW-ej, a w 1984 r. znalazł się w redakcji „Kultury Niezależnej”, w której znów pod pseudonimem opublikował kilka ważnych ocen sytuacji w kraju, a także recenzji. W eseju *Czy kultura może wybić się na niezależność?* dystanso-

wał się od uproszczonego antykomunizmu czytelników bibuły i bezrozumnych egzaltacji wszystkim, co ukazuje się w drugim obiegu. Namawiał – to charakterystyczne dla całej jego twórczości – do przekory i nieszablonowego myślenia. Tak rozumiał prawdziwą niezależność.

W lipcu 1985 r. po raz kolejny został pozbawiony pracy, tym razem w Instytucie Badań Literackich PAN. Przeciwko tej decyzji protestowało osiemdziesięciu pracowników instytutu i prasa drugoobiegowa. Z publicystyczną swadą odwoływał się również sam Walc. „Kiedy pierwszy raz w życiu, mając 19 lat, w marcu 1968, pisałem odwołanie od decyzji, [...] która dotyczyła osadzenia mnie w XII Pawilonie Mokotowa, powołałem się [...] i na to, że byłem dobrym studentem. Funkcjonariusz, który to zdanie przeczytał, zwrócił się do mnie ze śmiechem: »innych tu nie trzymamy«. Mam to wyjaśnienie w pamięci, kiedy zwracam się dziś do pana” – pisał w liście do sekretarza naukowego PAN Zdzisława Kaczmarka.

Aż wreszcie w połowie lat osiemdziesiątych przyszła odwilż. Nie wsadzano już do więzień. By zmniejszyć problem opozycji, rozwiązano worek z paszportami. W ten sposób zachęcano coraz bardziej zmęczonych konspiratorów do wyjazdu. Na tej fali Walc dostał paszport i w latach 1986–1988 przebywał na Zachodzie, wykładał i prowadził badania naukowe w Stanach Zjednoczonych, Republice Federalnej Niemiec i Szwecji. Służba Bezpieczeństwa zapewne z poczuciem ulgi zamknęła dochodzenie i odesłała jego kilkusetstronicowe *dossier* do archiwum. Wydawało się, że władze wreszcie się go pozbędą, spotkał je jednak zawód. Walc nie wycofał się ze współpracy z wydawniczym podziemiem, pisał recenzje pozacenzuralnych publikacji, udzielał się w życiu kulturalnym opozycji aż do końca istnienia drugiego obiegu.

Samotność długodystansowca

W 1990 r. Komitet Kultury Niezależnej uhonorował go nagrodą imienia Andrzeja Kijowskiego za

„twórczość pełną temperamentu, krańcowo niezależną od obiegowych opinii i pozbawioną jakiegokolwiek asekuracji”. Tej postawie Walc pozostał wierny. Jego ostatnie felietony, zebrane w pośmiertnym tomie *Ja tu tylko sprzątam*, prowadziły go coraz bardziej w kierunku smutnego przekonania o rozejściu się ideałów dawnej opozycji i realnej polityki. Przeżyło to wielu idealistycznie nastawionych ludzi z jego pokolenia. Walc nie mógł się z tym pogodzić. Krytycznie obserwował poczynania nowych elit politycznych, atakował je z pozycji korowskiej pryncypialności.

Wyczulony na punkcie moralności i sprawiedliwości społecznej, z nikim nie wahał się polemizować. „Był przeciw Balcerowiczowi. Przeciw Mazowieckiemu, przeciw Wałęsie. Przeciw klerykalizacji życia, za lustracją i dekomunizacją. [...] Jego szydercza publicystyka łączyła wszystkie niemal, zdawałoby się, sprzeczne ze sobą lamenty” – charakteryzował Piotr Bratkowski. Pisarstwo polityczne Walca – „zawsze szokująco nieoficjalne” (Alina Brodzka) – układało się jednak w dążenie do budowy obozu solidarnościowej lewicy. I z pewnością można go uznać za jednego z ojców niekomunistycznej myśli lewicowej III Rzeczypospolitej.

Wciąż miał do kogoś pretensje i siłą rzeczy inni mieli je do niego, ale błędem byłoby widzieć w tym długoletnim starciu ze światem tylko frustrację autora. „I przed rokiem 1989, i potem należał do swoście pojętej opozycji. Był wybitnym przedstawicielem liberalnej inteligencji, której zadaniem jest patrzeć władzy na ręce. Wierzę, że władza zmieniałaby się, a Walc stałby zawsze po drugiej stronie” – tłumaczyła Grażyna Borkowska na łamach „Kresów”. Nigdy nie uległ pesymizmowi w sprawach najbardziej generalnych. Demokratyczną Polskę uważał za swój kraj i był dumny

z tego, że się przyczynił do jej narodzin. „Mam naprawdę nadzieję, że jakoś się to ułoży” – mówił, jakby odkładając na bok swoje stałe troski, w 1992 r., na rok przed śmiercią.

Badania nad literaturą polską, które prowadził od początku lat siedemdziesiątych, długo dostępne były tylko nielicznym. Książka o Mickiewiczu *Architekt arki* ukazała się w 1991 r. Doktorat o Konwickim, uznany przez Tadeusza Lubelskiego za najlepszą książkę naukową Walca, doczekał się publikacji dopiero w 2010 r., 33 lata po obronie. W tym czasie o Konwickim napisano paręnaście książek, choć oczywiście większość po 1989 r., jako że bohater rozważań Walca również był marginalizowany przez władze PRL za udział w kulturze niezależnej. Nowatorskie interpretacje Walca inspirowały przez cały ten czas kolejnych badaczy. Za pomocą odnośników i cytatów popularyzowali oni też jego dokonania. Siłą rzeczy jednak to ich książki – publikowane i recenzowane – stawały się ważniejszym punktem odniesienia dla czytelników niż starzejący się maszynopis doktoratu, dostępny jedynie w bibliotece Instytutu Badań Literackich.

Walc nie miał też specjalnego szczęścia do historyków. Do tej pory jego sylwetka nie została pokazana ani w słowniku biograficznym *Opozycja w PRL (mea culpa)*, ani w *Encyklopedii Solidarności*. Wciąż czekamy na pierwsze oficjalne wznowienie jego felietonów; planowano je w serii wydawniczej „Kanon literatury podziemnej”, ale się nie ukazało. Sytuacja opozycyjnego pisarza szła w parze z trudnymi losami jego twórczości – najpierw nieaprobowanej, potem zapomnianej. Przedwczesna śmierć dopełniła tego obrazu. Nie udało się już Walcowi nadrobić „niecenzuralnego trzynastolecia”.

MY, WOLNA WAŁKOWA

JAN WALC

Piątek¹

Dzwoni Zenek [Pałka] i mówi, że chciałby się ze mną zobaczyć w poniedziałek o 11. Jeśli by ktoś myślał, że do spotkania mam jeszcze trzy dni czasu – popełni błąd. I tylko o to chodzi. O poniedziałkowym spotkaniu o 11 poinformowany został sierżant ze służby podsłuchowej. Czy dowiedział się też, z kim mam się spotkać, nie wiadomo. Ja poznaję Zenka po głosie. W przeciwieństwie do sierżanta wiem, że trzeba odjąć zawsze dwa, więc umówieni jesteśmy na sobotę, godzina 9, kawiarnia Wiklina – miejsce zawsze to samo. Muszę więc zapakować torbę z niezbędnym dla niezależnego drukarza wyposażeniem (najważniejsze: ubranie, mały kuchenny robot, słuchawki, gąbka, krem do rąk) i na najbliższy tydzień wyłączyć się z życia. Istotne, by nie odwoływać przez telefon żadnych spotkań, a lepiej przypomnieć sierżantowi o tym, że w poniedziałek umówiłem się gdzieś z kimś na jedenastą. Skontaktować się z sierżantem łatwo: wystarczy zadzwonić do kogoś z przyjaciół – Kuronia, Michnika czy Romaszewskich i powiedzieć, że chciałbym się zobaczyć, ale przez najbliższe dni siedzę w domu, bo mam robotę, może spróbuję wpaść w poniedziałek, bo będę w Warszawie. I jeszcze: sprawdzić kieszenie i portfel, wyjąć zbędne kartki, zostawić niepotrzebny przez tydzień notes z telefonami – chyba wszystko.

Sobota

Rano koniecznie trzeba się wykąpać, bo nie wiadomo, czy w lokalu, do którego pojedziemy, będzie jakiegokolwiek ślad łazienki, potem instrukcje dla żony, jak załatwiać sprawy, które się zapewne podczas mojej nieobecności pojawiają, jeszcze synek protestuje (zabierz mnie tatusiu, ja też chcę dhukować, a jak będę duży, to mnie zabiezesz?), jeszcze specyficzne spojrzenie żony i trzymaj się.

Startuję. Kolejny raz wstępuję na ścieżkę wojenną. W tej chwili od mojej uwagi i spostrzegawczości zależy bezpieczeństwo drukarni: maszyny, którą poznałem już

¹ Przedruk za „Biuletynem Informacyjnym” 1980, nr 4 (38) (red.).

tak dobrze podczas już nawet nie wiem ilu drukowań, kilkuset ryz zdobytych z trudem i zwiezionych do drukarni z wielkim nakładem ostrożności, matryc, najpierw szmuglowanych z zagranicy przez kogoś, kto oczywiście bardzo by nie chciał stracić paszportu, ale jednak wracając z konferencji entomologów w Madrycie czy służbowej podróży w interesach centrali Handlopol po krajach Beneluxu, zdecydował się ułożyć na dnie walizki setkę czy dwie cieniutkich jak bibułka powielaczowych matryc, kupionych za kilkanaście franków w pierwszym lepszym papierniczym sklepie na rogu. Ode mnie też zależy bezpieczeństwo ludzi, którzy zgodzili się, żeby w ich domu zatrzymała się na tydzień nasza polowa drukarnia, ludzi, których jeszcze nie znam i nic o nich nie wiem.

Pod domem nie ma nikogo, droga wolna. Na ulicy w zasadzie „ogona” nie można złapać, bo służby wyspecjalizowane czekają zazwyczaj w miejscach ściśle określonych, a nie pętają się po mieście, szukając okazji. Niemniej jednak przechodząc wąską mało uczęszczaną uliczką, oglądam się na wszelki wypadek za siebie – nie ma nikogo. Bez przeszkód docieram do Wikliny. Zamawiam kawę, po chwili wchodzi Zenek – mój kierownik i mistrz drukarstwa niezależnego. Też nie przyciągnął ogona, o co mu zawsze o tyle trudniej, że ma dobre 180 cm wzrostu, rudą czuprynę afro i takąż brodę.

– Daleko? – pytam. Zenek oczywiście nie odpowiada, ale na serwetce pisze Rembertów, Zielona 25, Nowicki, po czym wypala w miejscu napisu dziurę ogarkiem papierosa. Jesteśmy pewni, że nikt nas nie obserwuje, ale adresu drukarni nigdy i nigdzie nie mówi się głośno, a już tym bardziej nie zostawia się na żadnej kartce.

– Nowy lokal? – pytam.

– Nowy.

– Co za klient?

– Emeryt, wuj Krystyny, no wiesz, tej przyjaciółki Pauli – wyjaśnia Zenek.

– Nie wiem. A jak warunki?

– Raczej średnio. Dom wuj stawiał osobiście,

mieszka sam, siedzi w domu i pisze książkę o Piłsudskim. Woda w studni, sławojka itede.

– Wszystko na miejscu? – pytam sceptycznie. – Żeby nam czegoś nie zabrakło.

– Nie ma terpentyny, no i oczywiście żarcia – odpowiada Zenek, któremu całą tę wiedzę przekazał zapewne ktoś, kto transportował na miejsce maszynę.

Na wuja (już mówimy o nieznanym sobie człowieku „wuj”, bo każdy lokal musi mieć jakąś własną nazwę i w tym przypadku jest oczywiste, że jest to lokal „u wuja”) w sensie kuchенно-господарчым niewątpliwie nie ma co liczyć, musimy więc zrobić jak największe zapasy żywnościowe, tym bardziej że będziemy pracować co najmniej po 16 godzin na dobę, a w takich warunkach zjada się niepomniernie więcej.

Zenek jest jaroszem z wyboru, zwolennikiem indyjskiej filozofii, ja zaś prawie jaroszem z konieczności, toteż po godzinnym szwendaniu się po sklepach nasze torby wypełnione są przede wszystkim serami, jajkami, śmietaną etc. Okazuje się, że w żaden sposób nie zmieścimy 10 butelek z terpentyną, bez której praktycznie nie można brać się do roboty. Ponieważ akurat jesteśmy w pobliżu domu jednego z przyjaciół dysydentów, postanawiamy pożyczyć torbę.

I to jest błąd. Torbę wprawdzie dostajemy, ale dowiadujemy się, że mieszkanie już drugi dzień obstawione. Nie jesteśmy tej informacji wcale pewni, ludzie często widzą ubeków w Bogu ducha winnych przechodniach albo dodają sobie ważności opowieściami o nieustannej obstawie. Ale gdy wychodzimy na ulicę, rusza za nami szary fiat. Przystaje, zwalnia – wszystko byle poruszać się w tempie pieszego. Teraz ważne: nie powinniśmy zauważyć, że ich widzimy. Opanowanie i precyzja. Idziemy na przystanek tramwajowy. Fiat skręca w boczną uliczkę i parkuje na samym rogu, w sposób wręcz domagający się mandatu (jeden z licznych sposobów rozpoznawania samochodów tajnej policji w akcji). Nadjeżdża tramwaj. Wsiadamy. Dwaj ubecy wyskakują z samochodu, przebiegają

jezdnię, wskakują do następnego wagonu. W samochodzie został tylko kierowca, jedzie tuż obok tramwaju, lewym pasem jezdni.

Właściwie nie ma sensownego powodu do niepokoju. Urwiemy się na pewno. Jesteśmy w tej chwili nastawieni na obserwowanie towarzyszących nam agentów i nie pojedziemy do drukarni, póki nie będziemy pewni, że ich zgubiliśmy. Tramwaj jedzie w kierunku linii kolei średnicowej. Rozważamy warianty. Ale oto przystanek przy placu Zawiszy. Fiat na lewym pasie, skutecznie zablokowany między światłami przez inne samochody i torowisko tramwajowe. To okazja, żeby go wyeliminować. Wytrzymujemy prawie do zamknięcia drzwi i wysiadamy. Niestety towarzyszący nam ubecy mają refleks i również wskazują ze swojego wagonu. Tramwaj rusza, szary fiat również nie ma innego wyjścia. Tego przynajmniej mamy z głowy. Zbiegamy na peron kolejki WKD. Zenek podejmuje decyzję: francuski łącznik i wiadukt za pół godziny. To nasze ulubione sposoby, koncentrujące się wokół linii średnicowej. Na podziemnych dworcach i w tunelach zawodzi policyjne walkie-talkie. „Francuski łącznik” to wyskoczenie z ruszającego pociągu z pozostawieniem obstawy wewnątrz. Tym razem może to wykonać tylko jeden z nas, ze względu na utrudniające wszelkie manewry torby. „Wiadukt” to sposób murowany, ale wymagający pomocy z zewnątrz. Nadjeżdża kolejka, ja demonstracyjnie ładuję torby na półkę, Zenek przytrzymując nogą drzwi wyskakuje, zostawiając mnie sam na sam z dwoma ubekami.

Jednak nerwy, chociaż moje zadanie jest proste. Muszę ich prowadzić za sobą jeszcze pół godziny. Trochę żałuję, że nie starczyło im refleksu, żeby wyskoczyć za Zenkiem; wtedy to on by ich prowadził za sobą, a ja przygotowywałbym akcję wiadukt. Kolejka dojeżdża do Warszawy Centralnej. Wsiadam w towarzystwie coraz bliżej trzymających się ubeków i zapuszczam się w labirynt podziemnych korytarzy. Muszę tu spędzić dobry kwadrans, nie pozwalając im wyjść na wierzch, żeby nie mogli użyć swoich radiotelefonów. Coca-

-cola w barze Zachodnim, kupuję jeszcze papierosy, czas się wleczę, zachodzę do jakichś sklepów – wreszcie minęło prawie dwadzieścia minut.

Teraz na postój taksówek. Nie ma nawet wielkiej kolejki, ale jesteśmy już na zewnątrz, ubek zaczyna mówić za pazuchę. Kto szybciej? Jest taksówka i niestety dwie następne. Jadą za mną Alejami Jerozolimskimi w kierunku Pragi. Sprawdzam czas – brakuje pięciu minut, akurat tyle, żeby dojechać. Każę zatrzymać przy schodach wiodących z wiaduktu w dół, na Solec. W tym miejscu nie ma zjazdu dla samochodów. Moi opiekunowie zbiegają za mną po schodach, ale na dole czeka już w taksówce Zenek. Ruszamy. Ubecy nerwowo kręcą się w miejscu jak kura, gdy prowadzone przez nią kacząta wypłyną na środek stawu. Jeden zakręt, drugi. Wsiadam po przejechaniu kilkuset metrów. Dalsza jazda taksówką, której numer został zapisany przez policjantów, nie ma większego sensu. Inkasując napiwek, taksówkarz odjeżdża. Dopiero wtedy podchodzimy do oczekującej nieopodal radiotaxi, którą Zenek zamówił przez telefon. Kowalski, jedenasta pięćdziesiąt – mówi Zenek.

– Zgadza się – sprawdza taksówkarz. Zenek podaje odległy adres.

Do Rembertowa docieramy koło trzeciej, bo trzeba jeszcze po takiej akcji zawsze trochę pokręcić się po mieście dla wszelkiej pewności, nie wpadając oczywiście do nikogo ze znajomych, choć przyjemnie byłoby odpocząć i napić się dobrej herbaty, ale przecież nie wiadomo, czy i tam nie dyżuruje patrol. Teraz jeszcze droga od stacji. Nie powinniśmy nikogo pytać ani o ulicę Zieloną, ani o pana Nowickiego. Więc: koło kiosku w lewo, prosto do stacji benzynowej, potem trzecią w prawo i koło transformatora elektrycznego znowu w lewo. Kawał drogi, torby ciężkie, koszule mokre, łazienki nie będzie.

Ludzie wracają z pracy. Dla nas robota dopiero się zaczyna, choć odwaliliśmy już niezłą dniówkę. Wreszcie i numer 25. Położenie idealne, duży ogród, gęsto zarośnięty, dom na uboczu, daleko

od ulicy. Psy ujadają na całego, czekamy, aż wuj otworzy bramę. Nie ma wątpliwości, że to tutaj. Wjazd w bramę rozjeżdżony jak po szarzy czołgów, ale nie ma się czemu dziwić – wczoraj albo przedwczoraj przejechało tędy tam i z powrotem pięć samochodów, które przywiozły papier, i szósty z maszyną. Samego papieru 500 ryz, około 1,5 tony. Więcej niż sto ryz nie da się załadować do bagażnika i na tylne siedzenie osobowego samochodu, który i tak przy tym obciążeniu prawie szoruje podwoziem po ziemi, a reflektory zamiast oświetlać szosę działają niemal jak przeciwlotnicze.

Psy przestają ujadać. To pojawił się wuj. Wcale jeszcze niestary, zwalisty mężczyzna wyglądający na zwykłego chłopa. Jakoś zupełnie inaczej wyobrażałem sobie emeryta, który na odludziu pisze książkę o Piłsudskim, ale trzeba się przyzwyczaić, że w tej pracy zaskoczenia należą do reguły gry.

– My od Krystyny – przedstawiam ekipę.

– Taż z daleka widza – odpowiada wuj śpiewnie, wpuszczając nas do środka.

Trzy pokoiki, duża kuchnia, na stole w jadalni rzeczywiście rozłożone papiery, maszyna do pisania kontrastująca z waciakiem wuja, nad kredensem Ostrobramska. Przede wszystkim chcielibyśmy usiąść, napić się herbaty, ale trzeba zwiedzić lokal. Graty postawiliśmy w kuchni, wuj pokazuje nam pokój przeznaczony na drukarnię. Makatki, kilimki, stolik, dwa przedpotopowe łóżka, suche bukiety – ani gdzie się ruszyć. Patrzymy po sobie trochę przerażeni.

– A maszyna, papier? – cisną się pytania.

– Taż w świronie – wuj ze spokojem konstatuje fakt dlań oczywisty.

– Gdzie? – wybałusza oczy Zenek.

– W szopie – przekładam na polszczyznę literacką i od razu robi mi się jakoś przyjemniej i spokojniej. Czuję się jak w środku którejś z książek Konwického.

Idziemy do świronu. Maszyna stoi, papier jest, prawie po sufit. 500 ryz to straszna kupa. Otwieram pierwszą z brzegu paczkę. Oczywiście wilgotny

jak wszyscy diabli, ale w świronie niczego innego nie można się spodziewać. Wracamy do domu.

Musimy teraz kompletnie zburzyć spokój wuja, opróżnić przeznaczony dla nas pokój z mebli, postawić cały dom na głowie. Wuj szczęśliwie przyjmuje wszystko z kresowym stoicyzmem. Łóżka do stołowego, makatki na szafę, krzeselka tu i tam, zostawiamy tylko stolik i wnosimy dwa krzesła z kuchni. Za parę godzin i my, i wszystko dookoła będzie umazane farbą, zależy nam więc, by pozostawić na miejscu tylko to, co daje się odmyć. Przynosimy papier. Dodatkowa robota – trzeba będzie nosić go na zmianę ze świronu do domu i z powrotem, bo w naszym pokoiku po zainstalowaniu maszyny nie zmieści się wiele więcej niż setka ryz. Kursujemy z dziesięć razy, zanim na miejscu znajdzie się papier, maszyna, farba, rozpuszczalniki. Teraz trzeba jeszcze zabezpieczyć papierami podłogę i ściany – oprze się człowiek brudną ręką i jeśli farba nie jest olejna, nie ma mowy o zmyciu plamy.

Znajduję przywiezioną gąbkę, zwilżam paski papierowej taśmy klejącej; wprawa pozwala szybko okleić papierem pakowym wszystkie pozostałe w pokoju sprzęty. Zenek robi szmatę. „Szmatą” to kawał flaneli opasujący perforowany bęben powielacza i służący do rozprowadzania farby na matrycy. Zużywa się ona dosyć szybko i jest podstawową częścią zamienną powielacza, ale że praktycznie żadnych części zamiennych nie możemy dostać, dorabiamy je we własnym zakresie. Trzeba dobrać właściwy rodzaj flaneli o odpowiedniej gęstości, puszystości, grubości – wszystko to bowiem ma wpływ na przesiąkanie farby; nie raz nie mogąc znaleźć odpowiedniej w sklepach, macaliśmy i oglądali pod światło koszuły znajomych, aby odpowiednią bezlitośnie zedrzeć z właściciela „dla dobra sprawy”.

Jednak jesteśmy strasznie zmęczeni. Jest już po piątej i najwyższa pora na obiad. Parzę herbatę, Zenek przyrządza naszą podstawową potrawę – jajecznicę po drukarsku, tzn. smaży żółty ser, dodaje jajka i wszystkie przyprawy, jakie ma

pod ręką. Potrawa ma same plusy: odżywcza, łatwa w przyrządzaniu i co najważniejsze, oparta na składnikach, które prawie zawsze można dostać. Jemy ją podczas każdego drukowania tak długo, póki nie zaczyna nas mdlić na sam zapach smażonego sera. Ale na razie pachnie pięknie.

Wuj obserwuje milcząco nasze gospodarowanie; kiedy wreszcie siadamy do jedzenia, rzuca bardzo krytyczne spojrzenie na naszą herbatę w kolorze prawie czarnym i sobie też przyrządza posiłek: kroi stary chleb w drobną, centymetrową kostkę, układa na talerzyku wraz z kostką margaryny, nalewa szklankę jasnosłomkowego napoju, którego w moim pojęciu nie można nazwać herbatą, wreszcie kostki chleba wrzuca do tej herbaty, a margarynę stosuje „na prikusku”.

Jednak wiele nas z wujem dzieli i nie jest to świadomość przyjemna. Przede wszystkim trochę nam głupio obżerać się (nam, ideowcom), patrząc, jak ktoś obok żywi się starym chlebem i margaryną. Jak on teraz o nas myśli? Zawsze się boimy, że ludzie wyobrażają sobie konspiracyjnych drukarzy jako świętych rewolucji, a tymczasem podczas tych paru dni drukarskiej harówki zamiast idei jest prawie wyłącznie mnóstwo zupełnie przyziemnych konkretów. Na jedzeniu nie oszczędzamy, bo to się po prostu nie opłaca; firma wypłaca nam diety po 75 zł na głowę dziennie i jeśli dołożymy coś do tego z własnych zarobków, starcza jeszcze na czekoladę i owoce. Zenek właśnie pointuje posiłek wielkim grapefruitem. Rozmowa przy jedzeniu nie bardzo się klei, wuj jeszcze na dodatek nie życzy sobie, żeby w pokoju palić, więc szybko przenosimy się do drukarni.

Zapalam papierosa i biorę się za rozrabianie farby, Zenek zaczyna rozpakowywać papier. Rozwijam papier, w który zawinięta jest pięciokilowa puszka, i – chwała Bogu, farba jest szwedzka, nieporównanie lepsza od nabywanej na coraz szerzej kwitnącym czarnym rynku polskiej. Jest tak gęsta, że z trudem daje się w nią wbić łyżkę. Nałożywszy gumowe rękawice, nabieram prawie pół przywiezionego wraz z maszyną garnka, w którym

rozrobiono już niejeden kwintal farby, dolewam pokostu i oleju (pokost lniany, olej koniecznie słonecznikowy – jeśli trafi wam się jakaś nieczytelna publikacja niezależnej poligrafii, gdzie druk przebija na drugą stronę papieru, możecie być pewni, że ktoś wlał do farby oleju sojowego lub rzepakowego) i włączam mikser (to już drugi nasz mikser, jego wysłużony poprzednik został skonfiskowany). Szwedzka farba rozpuszcza się znakomicie, tak że przecieram ją przez sitko do drugiego garnka właściwie już tylko po to, żeby Zenek nie wydziwiał.

On tymczasem sortuje rozpakowany papier. Laikowi mogłoby się wydawać, że wszystkie ryzy są takie same, tym bardziej że pochodzą z jednej fabryki i jednej partii, ponieważ jednak „polska norma” jest pojęciem bardzo rozciągliwym i elastycznie traktowanym przez kontrolę techniczną – różnią się między sobą bardzo poważnie. Farba już rozrobiona, zapalam papierosa i pomagam Zenkowi w sortowaniu. Osobno miękkie, te, z którymi będzie najwięcej kłopotu: lżejsze od pozostałych, bo zrobione ze zbyt cienkiego papieru. Wzięte za róg opadają miękko, leją się jak gdyby – brak im sztywności potrzebnej do bezkolizyjnego przejścia przez powielacz. Kolejna kwestia to rozmiary poszczególnych ryz. Nominalnie wynoszą one 297 x 210 mm, ale w praktyce odchylenia od tej normy sięgają i trzech centymetrów, toteż sortujemy papier wedle wielkości, żeby nie musieć podczas pracy stale regulować maszyny i dostosowywać jej do zmieniających się wymiarów papieru. I jeszcze jedna rzecz: trzepanie. Każdą ryzę trzeba porządnie wytrzepać, trzymając za róg, aby usunąć z niej papierowy kurz i niewielkie skrawki papieru, które podczas pracy, przyklejając się do matrycy, zatykają dziurki, przez które powinna przesiąkać farba. Trzepanie ma również na celu oddzielenie od siebie posklejanych kartek, tak aby mogły przechodzić przez powielacz pojedynczo.

Zostało do przetrzepania już tylko ze 20 ryz, więc zrobię to sam, podczas gdy Zenek przygotowuje maszynę. Muszę tylko pomóc mu wyjąć ją ze

skrzyni. Jest to stary amerykański powielacz firmy A.B. Dick, model 438, poddany przez nas rozmaitym przeróbkom i udoskonaleniom. Przewrócona do góry nogami skrzynia pełni rolę postumentu dla jego ustawienia; trzeba tylko podłożyć kawał piankowej grubej gąbki, który pozwala na częściowe wytłumienie hałasu. Podczas gdy kończę trzepanie ryż, Zenek zakłada pierwszą matrycę. Nie jest to oczywiście strona tytułowa, ale dopiero piąta, bo dobranie odpowiedniej dla danego papieru gęstości farby jest sprawą na tyle skomplikowaną, że nie ufamy swojemu doświadczeniu – jedynym probierzem jakości jest tu praktyka, a nie chcemy eksperymentować na stronie najbardziej rzucającej się w oczy.

Podczas gdy nasze czynności stają się coraz bardziej rutynowe, a lokal traci swoje indywidualne cechy, aby stać się po prostu drukarnią, zmniejsza się napięcie i stopniowo zaczynamy rozmawiać – tym razem głównym przedmiotem spekulacji jest rozpoczynający się w czwartek proces Chojeckiego². Obu nas ciągnie do sądu, ale zupełnie nie ma szans, aby skończyć druk na czas, a przestrzegamy skrupulatnie zasady niewychodzenia z drukarni podczas pracy, a już szczególnie w miejsca, gdzie z wszelką pewnością można się spodziewać obecności ubeków. Dziś jesteśmy pod świeżym wrażeniem udanej ucieczki – dawniej czuliśmy dla policji znacznie większy respekt, spodziewaliśmy się, że pracuje ona znacznie lepiej. Jeszcze dwa lata temu Zenek popadł w bardzo ostry konflikt z jednym z drukarzy, który w Wielki Piątek koniecznie chciał wyjść z drukarni na nabożeństwo, obecnie przyzwyczailiśmy się do wychodzenia po zakupy, ale wycieczka do sądu stanowi ryzyko złapania solidnej obstawy albo wręcz 48-godzinnej przerwy w pracy. Na razie mamy jeszcze wiele czasu na podjęcie decyzji.

Zenek nałożył matrycę, włączył maszynę do kontaktu – zaczynamy. Wlewam farbę do bębna powielacza; podczas jego obrotów siła odśrodkowa będzie rzucać farbę na pokrytą flanelą perforowaną ścianę bębna, a gumowy wałek dociskający przesuwającą się kartkę spowoduje przeciśnięcie się farby przez wycięte w matrycy jak w szablonie litery. Farba musi więc mieć taką gęstość, aby przez matrycę przeciskała się jej optymalna ilość.

Zenek, który farby nie rozrabia, rzuca mi przez ramię swoje sakramentalne „za gęsta”, co jednak szczęśliwie nie powoduje żadnych perturbacji, bowiem znamy się nie od dziś i dlatego wiem, że nie był to komunikat dotyczący farby, ale raczej podkreślenie doktryny o kierowniczej roli Zenka, którą zresztą w całej rozciągłości uznaję. Ta kierownicza rola opiera się nie tylko na długim stażu drukarskim, ale na umiejętności bezbłędnego podawania.

Każdy elektryczny powielacz, także i ten, na którym pracujemy, wyposażony jest w automatyczny podajnik, który za każdym obrotem bębna wprowadza do maszyny jedną kartkę. Niestety jednak podajnik to urządzenie bardzo subtelne, szczególnie źle reagujące na wszelkie odchylenia od ustalonych dla papieru normatywów, i to reagujące z bezmyślną konsekwencją maszyny; chwila nieuwagi i już kłębią się jedna za drugą kartki nie znajdujące dla siebie ujścia, bo któraś była nierówna i utknęła po drodze – podajnik jak miotły z bajki o uczniu czarnoksiężnika podaje dalej, póki go nie wyłączyć.

W dodatku nasz stary A.B. Dick łącznie ze swoim automatycznym podajnikiem nie był przez konstruktorów pomyślany do przerobu tak ogromnych ilości papieru i jak na nasze potrzeby pracował stanowczo za wolno, zmieniliśmy więc przełożenie przy silniku, by osiągnąć szybkość druku ok. 3 kartki na sekundę. Tego tempa podajnik

² Proces Mirosława Chojeckiego, szefa Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, oskarżonego o kradzież powielacza i aresztowanego w marcu 1980 r., odbył się 12 czerwca. Chojeckiego i drukarza NOW-ej Bogdana Grzesiaka skazano na 1,5 roku pozbawienia wolności w zawieszeniu (red.).

nie był już w stanie wytrzymać i właśnie jego rolę pełni obecnie Zenek: podczas każdej sekundy wsuwa miarowym ruchem do maszyny trzy kolejne kartki całymi godzinami – numer „Biuletynu Informacyjnego” to około pół miliona takich jego ruchów.

Powielacz ruszył. Pierwsze kartki są jeszcze nieczytelne, farba powoli nasycza flanelę i jak przy wywoływaniu fotografii wyłaniający się na kolejnych kartkach obraz staje się stopniowo coraz wyraźniejszy, wreszcie jest zupełnie czytelny. Choć przez nasze ręce przeszły już miliony kartek, dziesiątki ton papieru, jednak kartki rytmicznie wpadające jedna za drugą do odbieralnika przyciągają wzrok. W oczach topnieje ryza białego papieru przed Zenkiem i jednocześnie rośnie przede mną stos zadrukowanych kartek. I już następna ryza. I następna.

Zwabiony miarowym stukotem powielacza w drzwiach staje wuj i oczywiście podobnie jak my zaczyna gapić się w przelatujący przez maszynę strumień kartek. Oderwał wreszcie wzrok od maszyny i rozgląda się po pokoju, którego nie sposób poznać. Wzrok jego pada i na podłogę usłaną brakami, więc schyla się, podnosi jedną z kartek, czyta i doszedłszy najwidoczniej do wniosku, że jest zupełnie dobra, usiłuje włożyć ją do odbieralnika. Robi to niby sprawnie, w ciągu zaledwie półtorej sekundy, więc na podłodze ląduje ledwie 5 kartek właśnie przez Zenka wyprodukowanych, którym niechcący zatarasował drogę.

– Isz, ty, skacina – mruczy wuj z naganą, ale i z pewnym podziwem, dla wszelkiej pewności włożywszy ręce w kieszenie.

Rozumiemy go bardzo dobrze, bo był taki czas, że przepisywaliśmy godzinami „Komunikaty” KOR-u na maszynie i każda zmarnowana kartka oznaczała o jedną kopię mniej – dziś kartka to 0,004 promila przerabianego przez nas przy jednym numerze „BI” papieru, więc jeśli na podłodze znalazłoby się 10 ryz, stanowiłoby to dopiero 2% braków, a o większej sprawności nawet nie próbujemy marzyć.

Zrobiło się już prawie ciemno, więc korzystając z obecności wuja, prosimy o jakiś koc do zasłonięcia okna. Lepiej, żeby światło palące się przez parę nocy nie zwracało niepotrzebnie niczyjej uwagi. Chyba już skończone wszystkie prace wstępne i najbliższe dni to tylko stukot maszyny, rozrabianie farby, pakowanie i rozpakowywanie papieru.

Wuj poszedł do siebie, Zenek włącza przywiezione radio i oczywiście nastawia na pełny regulator jakąś rozrywkową muzykę. To źródło naszych największych drukarnianych konfliktów – nie mam słuchu i muzyka prawie dla mnie nie istnieje, zaś ta, którą tak lubi Zenek, i przecież nie on jeden, puszczana zawsze na całą moc głośnika, stanowi dla mnie fizyczną męczarnię. Rytmiczny jazgot perkusji wdziera się do środka, czuję go w głowie, w brzuchu, wszędzie. Dlatego przywiozłem ze sobą słuchawki, oczywiście nie dla siebie, a dla Zenka. Ten, przyzwyczajony już do mojego dziwactwa, ale ciągle nie mogąc go zrozumieć, z wzruszeniem ramion, ale i uśmiechem nakłada słuchawki – i... nie cisza przecież, ale rytmiczny stuk powielacza, w gruncie rzeczy nieprzyjemny hałas, do którego jednak jestem już tak przyzwyczajony, że wydaje mi się ciszą.

Praca idzie teraz jednostajnie, Zenek co parę minut bierze nową ryzę, przerywając tylko wtedy, kiedy w słuchawkach zaczynają coś mówić. Wtedy wyłącza maszynę, kręci przez chwilę gałkami i oto już słyszę jak przez mgłę dobywający się cichutko spod słuchawek znajomy brzęk perkusji. Zenek podaje, ja obstukuję ryzy. Ładujące w odbieralniku kartki nie układają się równo jedna na drugiej; chociaż wystają na boki ledwie po parę milimetrów, jednak w takim stanie nie można przepuścić ryzy przez powielacz ponownie dla zadrukowania jej z drugiej strony. Przedtem brzegi ryzy muszą zostać wyrównane tak, aby wyglądały jak obcięte nożem. Każdy, kto kiedykolwiek pisał na maszynie w kilku chociażby egzemplarzach, wie, jak trudne jest ułożenie kilkunastu choćby arkuszy papieru – tu chodzi o tych kartek 500.

Ponieważ ryza prawie nigdy nie stanowi idealnego prostopadłościanu, składające się na nią kartki nie są bynajmniej tej samej wielkości, przeto podczas obstukiwania nie można zmieniać ich kolejności, nie mówiąc już o łączeniu kartek z różnych ryz; każdy taki błąd powoduje nierówność brzegu ryzy i natychmiast owocuje brakami – kartki zaczynają przechodzić przez powielacz po dwie czy trzy naraz, a zadrukowana zostaje oczywiście tylko jedna z nich. Ważne też, żeby przy obstukiwaniu nie obrócić partii kartek do góry nogami (tzw. walet), o co przy jednostajności pracy łatwo, wtedy bowiem strona parzysta wydrukowana zostanie odwrotnie.

Ciągle stukam. Zenek robi już trzecią matrycę, stos jednostronnie zadrukowanych ryz roślin. Tworzą one równo ułożone kolumnienki po 12 sztuk, kolumnienki bardzo chybottliwe i w każdej chwili gotowe przewrócić się i rozsypać. Niestety nie można od razu drukować drugich stron, trzeba bowiem dać farbom podeschnąć na tyle, żeby się nie mazała. Badam palcem pierwsze z zadrukowanych dziś ryz – ciągle wilgotne. Więc jednak coś nie w porządku z farbą. Zatrzymujemy maszynę, dolewam pokostu, oczywiście na oko, jak każda szanująca się kucharka. Jeszcze parę ryz i będzie dobrze.

Wychodzę do sławojki. Gwiazdy świecą, gdzieś w bzach śpiewa słowik, psy podbiegają, merdając ogonami. Po prostu świat. Wracam bardzo powoli, rzucam psom patyki, zagapiam się. Ale trzeba wracać. Już w drzwiach uderza jak obuchem zapach drukarni: olej, pokost, nafta i terpentyna, których używa Zenek do przemycania matrycy, która mimo trzepania papieru pokrywa się grubą warstwą kurzu już po 2 tysiącach egzemplarzy – konglomerat po prostu trujący. Jego działanie na ludzki organizm poznaliśmy bardzo dobrze; najbardziej dał nam się we znaki, kiedy drukowaliśmy u pewnego zawodowego moralisty i ów szlachetny uczony mąż kazał nam spać w tej samej piwnicy, w której pracowaliśmy.

Ale dochodzi jedenasta wieczorem, więc radio zmienia swe przeznaczenie: koniec z muzyką,

teraz godzinka politgramoty. Zabieram Zenkowi słuchawkę i rozpoczynam łapanie Wolnej Europy. Tylko ze względu na nią wozimy radio ze sobą. Jest to radziecki tranzystor Spidola, na którym zawsze daje się ją złapać. Dziś nic specjalnego: Afganistan, ropa, EWG, Carter, Chomeini... Już po dzienniku i Józef Ptacek mówi do swoich słuchaczy o prześladowaniach działaczy opozycji demokratycznej w Kraju, które znowu się nasiliły.

Niedziela

Północ. Przelecieliśmy czwartą matrycę (z siedemdziesięciu dziewięciu) i będziemy drukować drugie strony. Chwila przerwy, robię sobie herbatę, Zenek wypija kubek śmietany, dolewamy jeszcze farby i jedziemy dalej. Teraz nie obstukuję ryz, ale mam inną robotę – pakowanie gotowych i sukcesywne rozpakowywanie, sortowanie i trzepanie następnej porcji papieru. Maszyna idzie świetnie, w nocy napięcie w sieci podnosi się niemal do nominalnych 220 woltów – kiedy po południu spadnie do 170, bęben będzie się kręcił znacznie wolniej.

Zenek znowu słucha swojej muzyki, ja mam niewiele do roboty i już widać, że pomału zaczyna zbliżać się pierwszy kryzys. Nie ma na to rady, bo im bardziej doświadczonymi jesteśmy drukarzami, tym mniejszy jest udział świadomości w pracy. Ruchy i czynności są już zautomatyzowane, pozbawione wszelkich elementów zbędnych; maszyna stoi w takim miejscu, żeby po papier móc sięgnąć, nie wstając z krzesła, gąbka zwilżona jest w takim stopniu, by moczyła taśmę klejącą, nie zmywając jednak kleju. Zenek podając rusza tylko jednym palcem – słowem, gdybyśmy mieli drukować coś nam obojętnego, zapewne oszalelibyśmy po jednym dniu pracy. I właśnie dlatego drukujemy „Biuletyn Informacyjny”, pismo, które obaj uważamy za najważniejsze w kraju, przy czym mój sąd trudno uznać za obiektywny, skoro stale drukuję w nim swoje własne artykuły.

Jest już trzecia i trochę przysypiamy obaj, tyle że Zenek stara się do tego nie przyznawać. Kiedyś miał większą odporność na zmęczenie – potra-

fił pracować i 40 godzin bez snu. Dzisiaj jest już trudniej – może minął okres burzy i naporu, może tylko lecą lata, może odzywają się w kościach te wszystkie drukarniane i te spędzane po aresztach noce (w marcu spędził ich tam 10, w kwietniu 6 i został tak pobity, że nie mógł drukować poprzedniego „Biuletynu”), a najpewniej wszystko naraz. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak ukręcić kogel mogel i zrobić kakao. Jeden kubek ma wartość kaloryczną równą połowie dobowego zapotrzebowania spokojnego urzędnika, więc starczy nam na jakieś dwie-trzy godziny.

Ożywiłiśmy się trochę, więc zaczynamy rozmawiać. Wraca odwieczny temat, którego nigdy nie zakończymy: próba interpretacji polityki władz wobec opozycji, próba zidentyfikowania celów, jakie stawiają sobie nasi przeciwnicy. Pierwsza i najbliższa sprawa: po co nas wczoraj gonili? Przecież nie chcieli nas aresztować, bo byliby to uczynili. Z doświadczenia powinni wiedzieć, że do drukarni ich nie zaprowadzimy. I to tyle dziesiątków razy powtarzane pytanie: ile jesteśmy warci? Ile wynosi premia dla funkcjonariusza, który wykryje drukarnię? Ale to już kwestia czysto akademicka. Są jednak i pytania bardziej praktyczne: jeśli ściągająca nas grupa obstawiała mieszkanie, w którym znaleźliśmy się przypadkiem, to musiała zameldować centrali opuszczenie zajmowanego posterunku i rozpoczęcie inwigilowania nas, a więc w konsekwencji parę minut później kierowca samochodu musiał meldować, że się zgubił i chyba go za to nie pochwalili.

– Już ty się o niego nie martw – przerywa moje dywagacje Zenek – na pewno tak nałgał, że wyszedł na czysto.

– Pewnie masz rację. To wyjaśniałoby ich niewyczuwalność jako konsekwencję opierania się na fałszywych przesłankach – moja skłonność do racjonalizowania otaczających nonsensów jest po prostu chorobliwa.

– Jasiu, farba – to Zenek przywołuje mnie do rzeczywistości.

W czasie dyskusji druk w dolnym rogu kolejnych – liczę na oko – dwustu kartek zaczyna niebezpiecznie błędnąć, dochodząc do granicy czytelności. Dolewamy. W poczuciu winy nakładam rękawice i dorabiam farby na zapas – pełny garnek. Jest wpół do szóstej i Zenek kończy ósmą matrycę. To już 10% roboty. Był tak dalej.

Znowu drukujemy pierwsze strony, skończyło się pakowanie i znów muszę klepać poczochrane ryzy. Ale kakao jeszcze działa, więc wracam do policji. Do czego im ma służyć proces Mirka? W myśl klasycznej zasady *cui prodest* zainteresowany w sprokurowaniu takiego procesu powinien być raczej sam Mirek niż policja, bo zamiast utrudnić pracę NOW-ej, stanowi on dla niej wielką reklamę. I jeszcze więcej – właśnie drukujemy znajdujący się na początku „Biuletynu” blok poświęcony głódówce³; sprawozdanie jest bardzo spokojne, nie popada w samochwalstwo i skutkiem tego pomija ten euforyczny nastrój, który był udziałem i głodujących, i ich przyjaciół, i tysięcy ludzi przychodzących do podkowińskiego kościoła. Nie jesteśmy sami, o każdego z nas, kiedy zajdzie potrzeba, będą walczyć tysiące ludzi. Po takim zastrzyku nadziei o tyle łatwiej żyć.

Łatwiej, nie łatwiej. Bęben od głódówkowych wspomnień nie kręci się szybciej, kartki same nie wchodzi w maszynę, ryzy nadal wymagają obstukiwania. Więc jeszcze przypominamy sobie, jak po mszach ludzie rzucali się dosłownie na bibułę, której ciągle było za mało, i wreszcie koniec dziesiątej matrycy. Jest rano, godzina 8. Wuj już dawno działa na podwórku, karmi kury, coś porządkuje. Bierzemy się za przygotowanie śniadania, ale idzie nam niesporo. Wszystko wokół jest jakieś obrzydliwe, poczynając od własnych rąk, które mozolnie obmywamy z farby przy pomocy płynu Puch przeznaczonego do prania delikat-

³ Głódówka w obronie Chojckiego i innych więźniów politycznych została przeprowadzona w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej od 7 do 17 V 1980 r. Wzięło w niej udział 28 osób z różnych środowisk opozycyjnych (red.).

nych tkanin wełnianych. Nie udało nam się wiele zjeść, za to przy herbacie ogarnia nas fala ciepła i ociężałości. Jedyne wyjście to szybko wracać do roboty.

Zenek wyszedł do sławojki, więc przez chwilę poćwiczę się w podawaniu. Idzie mi to źle, bo nie jestem w stanie uchwycić rytmu maszyny, a że zawsze się spieszymy, Zenek praktycznie nie daje mi się uczyć. Nakładam obcięty z gumowej rękawiczki palec, biorę nową ryżę i jazda. Ta – tata – ta – ta – tatata – ta – rytm zupełnie nierówny, przeważnie puszcza kartkę co drugi obrót bębna, ryza mi się rozjeżdża, widzę, że wchodzi po dwie albo i trzy kartki naraz – słowem, obrzydliwość. Już kończę ryżę, ale oto i wraca Zenek. Oddaję mu palec i biorę się do uporządkowania swojej produkcji.

Ryza, którą wydrukowałem, jest nie tylko bardziej nierówna niż te, które robi Zenek, ale jeszcze muszę powyjmować z niej kartki źle puszczone, które weszły w złym momencie do maszyny i mają u dołu obcięty druk. Jest ich około pięćdziesięciu. Zenek cofa licznik o 60 i sennie podaje dalej. Jeszcze jedna matryca i znowu będziemy robić drugie dwie strony. Przysypiamy coraz bardziej. Wreszcie oświadczam kierownikowi, że idę spać. To jest jedyny sposób rozwiązania sprawy, bo nie przymuszony Zenek od maszyny nie odejdzie. Więc jeszcze dwunasta matryca. Idzie nam jakoś łatwiej, jak koniowi czującemu bliską stajnię. Kończymy. Wlewam jeszcze do bębna butelkę oleju, żeby farba nie zasychała, trochę się myjemy i spać.

Jest prawie południe, słońce świeci oślepiająco, ale nic nam nie przeszkodzi w zaśnięciu. Tylko chwilę pod zamkniętymi powiekami lecą kartki i dalej już nic.

– *Herr Doktor, aufstehen* – mrużę oczy, co za diabeł? To wuj znad maszyny do pisania. Zenek już się szeredzi w kuchni. Już mnie musiał wujowi przedstawić. Ciężko się ruszyć, ale zwlekam się ja-

koś i dla kurażu intonuję zaanektowaną przez nas piosenkę z IRR-u⁴:

Przez cały kraj
idziemy dwaj
czy słońce, czy upał, czy słońce – wreszcie włą-
cza się i Zenek –

potrzebna jest
czy chce ktoś czy nie
w pionie usług fachowa robota, w pionie usług
fachowa robota.

Zenek, sprawnie manewrując między stosami brudnych naczyń, robi jajecznicę po drukarsku. Biorę się za zmywanie. Zjedliśmy kolację, głowa ciężka, wychodzę na dwór na papierosa. Trochę lepiej. Jeszcze kawa. Zenek nie pije, bo mu szkodzi, ja będę za to żłopać za dwóch. Gwałcona fizjologia pomału wraca do normy, pracujemy.

Zenek robi drugie strony, a zapas papieru jest na wyczerpaniu, więc kursuję wahadłowo między drukarnią i świronem, odnosząc papier zadrukowany, a przynosząc czysty. Psy zaczepiają po drodze, chcąc się bawić. Zenek drukuje bez przerwy. Piętnasta matryca. Rozpakowuję kilkanaście ryz, jednocześnie pakując gotowe, jednocześnie fakty, wydarzenia, opinie⁵. Północ.

Poniedziałek

Kawa, kakao, herbata, śniadanie, dwudziesta druga matryca, herbata, śmietana, dwudziesta szósta, obiad, trzydziesta, idziemy spać jeszcze przed wujowymi kurami.

Wtorek

Spaliśmy 12 godzin. Wuj na śniadanie przyniósł świeże pieczywo, od rana upał i smród. Zostało jeszcze 49 matryc, do procesu zostały dwa dni. Nie ma mowy, żebyśmy zdążyli nawet na drugi dzień. Przerywać czy nie przerywać? Stukam, pakuję, noszę ryzy tam i z powrotem. Nagle w drzwiach

⁴ „Ilustrowany Tygodnik Rozrywkowy”, program satyryczny Programu III Polskiego Radia (red.).

⁵ Publicystyczna audycja w Radiu Wolna Europa (red.).

natykam się na obcego, elegancko ubranego mężczyznę. Uśmiecha się do mnie. Zaraz, przecież, tak, to wuj w garniturze i krawacie. Zaraz jedzie do Warszawy, na posiedzenie Towarzystwa Filozoficznego, którego jest członkiem. Rozmawiamy chwilę, wuj wygłasza apoteozę Jana Jakuba Rousseau, ale nagle stukot maszyny za ścianą ucicha, słysząc tylko klnącego Zenka.

W pół słowa przerywam wujowi wykład i biegnę do drukarni – jeśli Zenek klnie, to coś musiało się wydarzyć. Umazany po łokcie usiłuje bezskutecznie skleić pękniętą matrycę.

– Co się stało? – pytam.

– Obciąłem sobie drugi palec – zaczyna wyjaśniać zdenerwowany Zenek.

– A kab to na rojsty? Tak ja mówił, drenemu do roboty nie brać się – wykrzykuje spanikowany członek Towarzystwa Filozoficznego, który przed chwilą rozmawiał ze mną najbardziej literacką polszczyzną.

Napięcie prysło, obaj z Zenkiem zaśmiewamy się do rozpuku.

– Taż on od rękawiczki palec obciął – wyjaśniam wujowi, sam nie wiedząc, jak i kiedy wpadam w śpiewny dialekt. Wuj naburmuszony trochę naszym śmiechem rozpogadza się. Sprawa jest jasna: Zenek zużyty palec gumowy niechcący przepuścił z papierem przez powielacz i matryca nie wytrzymała. Skleić się nie da, bo dziura jest prawie na środku. Całe szczęście, że wuj jedzie do Warszawy.

Odkładałam zrobioną część 37 strony w kąt, Zenek nakłada nową matrycę. Teraz muszę zlecić wujowi zadanie. Trzeba zadzwonić pod numer dyżurnej maszynistki, przedstawić się nazwiskiem Kwiatkowski i zapytać, czy chce kupić sztruks, który zamawiała, kiedy zaś ona zapyta, ile tego sztruksu jest, odpowiedzieć, że 37 metrów. Telefon zapisałam wujowi na kartce, historyjkę powtarzam, wuj powtarza za mną – jutro powinni nam dowieźć przepisaną matrycę.

Pojechał. Zaraz będzie ciemno. Dla odmiany słuchamy Warszawy. Mówią właśnie o śmierci Spychalskiego⁶.

– Może teraz zaniesiemy ten twój wieniec? – pyta Zenek.

W pierwszej chwili nic nie rozumiem, później przypominam sobie jeden ze starych, zrodzonych w drukarni pomysłów. Kiedyś podczas kolejnej roboty zmarł nagle generał policji, wysoki funkcjonariusz MSW. Marzyło mi się wtedy pójście na pogrzeb z pięknym wieńcem ozdobionym wstęgami z napisem – „Nieodżałowanemu współpracownikowi – KSS KOR”. Przypuszczalne scenariusze śledztwa wśród adiutantów i podwładnych zmarłego pozwoliły nam zabić nudę niejednej godziny drukowania.

Pomysł do emerytowanego marszałka pasuje znacznie gorzej, ale Zenek pobudził moją wyobraźnię.

– Nie wiesz, kto zna włoski? – moje pytanie jest dla Zenka zupełnie zagadkowe.

– A po co ci? Może ktoś z kurii – odpowiada jednak przytomnie.

– Kuria mnie słabo urządza. Wolałbym kogoś ze znajomych. Pomysł jest prosty: w przeddzień procesu zadzwonić wieczorem do gen. Krzysztoporskiego i powiedzieć „Buona sera (dalej niestety po włosku nie umiem). Czy szef SB? Tu Czerwone Brygady. Właśnie przyjechalśmy do Warszawy. Pan wie, że bardzo nie lubimy sędziów, którzy skazują niewinnych ludzi? Do jutra”.

Mamy teraz zabawę do północy. Scenariusze paniki Służby Bezpieczeństwa. Rewizje w hotelowych apartamentach obywateli włoskich, gmach sądu obstawiony przez wojsko, sędzia Aleksandrow pije szklankami walerianę i tak dalej, i dalej. Zenek nawet nie słucha radia, nie wiadomo kiedy dojechalśmy do 44 matrycy, jest 23 – dziennik. Chojeckiego pełno wszędzie. W „Timesie” wywiad, w „Le Soir” wielki artykuł, protestują amerykań-

⁶ Marian Spychalski (1906–1980) – działacz komunistyczny, marszałek. W okresie stalinowskim więziony, w latach 1956–1968 minister obrony narodowej, 1968–1970 przewodniczący Rady Państwa PRL (red.).

scy drukarze i brytyjscy prawnicy, KOR wydaje oświadczenie, że uruchomi wszystkie dostępne środki działania, przedstawiciel Amnesty International w drodze, związek akowskich kombatanów mówi o drukarzach w najcieplejszych słowach – szykuje się wielki dzień, a my w drukarni.

Środa

Zaraz po północy wraca wuj, już od progu wszczynając dyskusję o Brzozowskim. Brutalnie przerywam, żeby dowiedzieć się, co z matrycą.

– At, coś pan pokręcił – macha ręką wuj. – Dzwonia, pytam, czy pani Kwiatkowska, a ona mnie mówi, że pomyłka. Tak sprawdziłem numer, dzwonia drugi raz, pytam, czy ten – ten, mówi, ale Kwiatkowska żadna nie mieszka. To ja jej na to: mnie tu trzeba było zadzwonić, czy ona ma 37 metry welwetu. Tak ona i o welwet stała rozpytywać i ja rozłączył się.

Usiłujemy obaj zachować kamienne twarze, dziękujemy wujowi i zaręczamy, że jakoś wszystko ułoży się, choć do końca nie jesteśmy pewni, czy Ela go zrozumiała. Jeszcze na nowej dawce kakao dociągamy do 50 matrycy i o piątej rano idziemy spać. W południe budzi nas Jurek, który przywiózł matrycę. Ma także dwie matryce „Pulsu”, bo przy składaniu okazało się, że jednej strony zrobiliśmy za mało o sto egzemplarzy i trzeba dodrukować.

Jurek jeszcze nigdy nie był w drukarni, a chciałby spróbować przyuczyć się do zawodu i dlatego Mirek go przysłał. Jest w białych dżinsach i oczywiście nie ma roboczego ubrania. Twierdzi, że będzie ostrożny i na pewno się nie pobrudzi, ale obaj z Zenkiem znamy swój fach i wiemy, że to nierealne. Szczęśliwie od wuja daje się pożyczyć jakiś stosowniejszy strój. Uczeń nie nowina, niejednego już mieliśmy, ale mało który wytrzymał. Najzdolniejszy był Tadeusz – niedrukowany pisarz, który błyskawicznie chwycił fach i założył własną ekipę.

Zjawia się wuj z kolorowym portretem Marszałka w ręku.

– Jak dwóch było, jeszcze mogło być bezhoło-

wie, ale jak jest trzech, tak musi być i Komendant – wyjaśnia, zawieszając monidło na ścianie. – Teraz wy naprawdę imienia J.P. – dodaje, patrząc z lubością na swoje dzieło.

Pomału wprowadzamy Jurka w tajniki zawodu. Na razie idzie to dość opornie, ale za to mamy nowego kompana do rozmowy. Nie znamy go bliżej, więc jakiś czas zjeździe nam na opowiadaniu o sobie.

Skończyliśmy odłożoną trzydziestą siódmą, robimy już pięćdziesiątą drugą. Jurek pyta, czy wiemy, jak jechał do drukarni papier, na którym pracujemy. Historia okazuje się fascynująca: na rewizji znaleziono u kogoś kartkę z trzema adresami. Nie było na niej co prawda napisane, co się pod nimi kryje, ale że były to adresy trzech mieszkań, w których przechowywano papier, trzeba było działać natychmiast. Wiadomo, że zanim biurokratyczna machina policyjna przeanalizuje znalezisko i podejmie decyzję, papier można uratować. I rzeczywiście, z jednego mieszkania wywieźliśmy go bez przeszkód – opowiada Jurek. – Druga porcja papieru była u Agnieszki, która mieszka w domu sąsiadującym z domem jednego z członków KOR-u. Kiedy zajechaliśmy po papier, ubecy kręcili się po ulicy. Mieliśmy nadzieję, że pilnują nie mieszkania Agnieszki, której zresztą nie było w Warszawie, ale jej sąsiada. Po cichu, nie zapalając światła, zabraliśmy papier z mieszkania i wstawiali do przygotowanego fiata. Niestety za nami ruszyły dwa inne. Po chwili na Wiślostradzie do grupy trzech wozów dołączył czwarty. Policjanci najwidoczniej nie chcieli nas zdejmować, ale jak zwykle liczyli, że ich gdzieś zawieziemy, więc usiłowali udawać, że wcale za nami nie jadą, ot, przypadkowo samochód za samochodem.

– Na tym zresztą opierał się cały pomysł – kontynuuje opowieść Jurek, zapalając się. – W pewnym momencie czwarty samochód naszej kolumny wyprzedził dwa policyjne i znalazł się bezpośrednio za wozem z papierem. Policjanci nie przeciwdziałali, uważając widocznie, że tak jest nawet lepiej, bo mogą nas widzieć, a kto inny siedzi na

kółku. Nagle skręcamy w wąską boczną uliczkę, z obu stron zastawioną parkującymi samochodami. I nagle w najwęższym miejscu jadący za nami samochód psuje się. Staje, widzimy, jak kierowca wysiada, podnosi maskę, z tyłu nadbiegają tajemnicy. Pełny gaz, zakręt, jeszcze jeden. Udało się.

– Trzecia porcja papieru niestety wpadła. Policjanci oświadczyli właścicielowi mieszkania: jak wyda papier bez szukania, to nie zrobią mu rewizji. Opróżnili piwnicę i odjechali – kończy swoją opowieść Jurek.

Zrobił się wieczór, gadamy, zostało dwadzieścia matryc. Jutro o 9 zaczyna się proces Mirka. Widać już, że zdążymy na drugi dzień. Jurek już jako tako obstukuje ryzy, z pakowaniem radzi sobie zupełnie dobrze. Teraz będą drugie strony, więc na parę godzin idę spać.

Czwartek

Jurek budzi mnie trochę po północy. Po szklance herbaty i kawale kielbasy czuję się prawie wypoczęty. Zaczynam namawiać Zenka, żeby się położył na trochę, to dociągniemy do końca bez postojów. Oglądam 15 pozostałych matryc. Dwie ostatnie, tak jak mi się wydawało, nie zajmują całej kartki, więc obcinanie dolnej partii mi nie grozi. Udało się Zenka przekonać – wydziwiał jak zwykle, ale idzie spać.

Pracujemy we dwójkę z Jurkiem. Bałagan w drukarni rośnie. Podaję znacznie wolniej od Zenka, ale Jurek jako debiutant i tak nie może nadążyć z uklepywaniem. Koło szóstej rano jestem w połowie swojej trzeciej, już normalnej wielkości matrycy, kiedy budzi się Zenek, zły, bo obiecałem, że go obudzę o trzeciej. Wyganiamy spać Jurka, który twierdzi, że czuje się zupełnie dobrze, ale jest przecież bardzo zmęczony.

Śniadanie. Ostatnie w drukarni. Nie możemy patrzeć na jajka, przegryzamy trochę chleba z serem, ja zjadam jeszcze puszkę szprotek, Zenek robi sobie kornfleksy na mleku, jeszcze ostatnie ogórki z zapasów i do roboty. Teraz każda matryca to odczuwalny krok do wyjścia na świat. W po-

łudnie pozostało jeszcze siedem, wstaje Jurek, zaczynamy pomału porządkować lokal. Rozrabiam jeszcze trochę farby i można już myć i pakować mikser, sitko i jeden garnek, wreszcie wlewamy resztę farby do bębna, Zenek cały czas podaje, ja obstukuję ostatnie ryzy, koniec, teraz już będą drugie strony, tylko pakowanie.

Jeszcze trzeba uporządkować gotowe paczki w świranie, bo każdy komplet „Biuletynu” składający się z 500 egzemplarzy będzie zabierany do składania w inne miejsce i chodzi o to, żeby w transporcie nic się nie pomieszało.

Dochodzi ósma wieczorem. Zenek kończy ostatnią matrycę. Zbieram do wielkiego papierowego worka braki z podłogi i robię w ogrodzie wielkie ognisko. Zenek skończył. Teraz tylko mycie maszyny. Wylewamy resztki farby z bębna, wlewamy olej, potem tylko trochę rozcieńczony wodą Puch; ostatnia faza mycia bębna jest najobrzydliwsza, bo w terpentynie. Zenek robi to jednak dokładnie, bo pozostawione resztki zaschniętej farby bardzo utrudniałyby następną robotę.

Jednocześnie ja czyszczę mechanizmy maszyny, pokryte grubą warstwą papierowego kurzu, pozalewane farbą. Trzeba to wszystko rozkręcić, umyć naftą, naoliwić, wreszcie złożyć na powrót. Zwijamy się jak w ukropie, żeby zdążyć przed nocą dotrzeć do Warszawy. Wolna Europa nadaje jakieś enigmatyczne wiadomości z procesu, dowiadujemy się głównie, że Mirek nie przyznał się do winy. Kończymy mycie maszyny, Jurek składa 50 odłożonych egzemplarzy „Biuletynu” – jaskółek, które już za godzinę-dwie pójda w miasto.

Jeszcze maszyna do skrzyni i do świronu, meble na miejsce, myjemy się, żegnamy z wujem, zostawiając mu dwa „Biuletyny”; rzeczy do toreb i do Warszawy. Idziemy z ciężkimi torbami w stronę dworca, ale oto nadarza się taksówka. Zarobiliśmy na nią – nie będziemy oszczędzać. Do Warszawy. Odwozimy Jurka pod dom, umawiamy się na jutro w sądzie i jedziemy pod dobrze znany adres, zameldować o skończeniu roboty i *last not least* wziąć wypłatę.

Dojechaliśmy. Jest ledwie po jedenastej wieczorem, więc jak na dysydenckie obyczaje pora zupełnie przyzwoita. W mieszkaniu pełno ludzi – co najmniej połowa redaktorów „Biuletynu”. Nie spodziewali się nas dzisiaj, gratulują, oglądają nowy numer, wydierają nam prawie wszystkie egzemplarze. Dopytujemy się o numer sali i o godzinę rozprawy. I tu jak w łeb – sprawa skończona, przed godziną zapadł wyrok. Sewek [Blumsztajn] właśnie przyjechał z sądu.

Czujemy się, jakby ktoś z nas wypuścił powietrze. Znowu drukarnia nam coś zabrała. Zenek z księgowym „Biuletynu” obliczają nasz zarobek, bardzo wysoki ze względu na tempo roboty, jeszcze tylko potrącenie 5% na kasę naszego Cechu Niezależnych Poligrafów, Zenek odlicza część Jurka, resztę dzieli na pół – ale tym razem niewiele mamy z pieniędzy przyjemności, dominuje uczucie zawodu, u Zenka związanego po prostu z nie-
spożytą aktywnością, dla mnie to jeszcze jeden świetny dziennikarski temat, który przepadł.

Ale wszyscy wokół cieszą się, jutro wychodzi Bogdan [Grzesiak], „Biuletyn” gotowy, jeszcze tylko trzeba go wywieźć z drukarni do punktów składania. Widzimy zaspanymi oczami kartki, na których Sewek pisze adresy, pod które będą rozwozić, ktoś daje nam zimne piwo. Północ. Do domu, do wanny, do wanny.

Jan Walc

PS. Wszystkich naszych czytelników, także i tych, którzy czytają nas służbowo, informujemy, że związek przedstawionych zdarzeń, faktów i osób z rzeczywistością jest nieprzypadkowy, ale głęboko przemyślany i autor ponosi zań odpowiedzialność. Autor nie sprawdził tylko jednej rzeczy: czy w Rembertowie, w którym nigdy w życiu nie był, nie ma przypadkiem ulicy Zielonej i czy nie mieszka tam przypadkiem p. Nowicki.

JW

„NIC NIE WSTRZYMA RUCHU WAŁKA”

Z **ZENONEM PAŁKĄ**, DRUKARZEM NIEZALEŻNEJ OFICYNY
WYDAWNICZEJ NOWA, ROZMAWIA PAWEŁ SOWIŃSKI

Paweł Sowiński: W 1971 r. rozpoczął pan zasadniczą służbę wojskową. Wyrzucono pana z wojska za wegetarianizm?

Zenon Pałka: Nie powiedzieli, za co mnie wywalają. Zjawiłem się w armii z wielką torbą jabłek. Oświadczyłem, że jestem wegetarianinem. Potem konsekwentnie jadłem tylko ziemniaki, surówki, chleb i ser. Po dziesięciu miesiącach stwierdzono, że się jednak nie nadaję do służby wojskowej.

We wczesnych latach siedemdziesiątych byłem hipisem, we Wrocławiu założyłem wraz z przyjaciółmi Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Indyjskiej. To była nasza wolność hipisowska. Policja próbowała przeszkadzać. W 1976 r. pierwsze materiały opozycyjne – wówczas jeszcze przepisywane na maszynie – dostałem od „Dreptaka”, hipisa, który przywiózł do Wrocławia bibułę z Krakowa. Wraz z „Bizonem” zajęliśmy się rozpowszechnianiem niezależnych materiałów. *Nierzeczywistość* Kazimierza Brandysa – pierwszą powieść krajowego pisarza wydaną poza cenzurą (1977) – wydrukowałem na powielaczu denaturatowym w mieszkaniu Basi, dziewczyny „Dzikiego”, znanego wrocławskiego hipisa.

P.S.: Potem wszedł pan na całego w produkcję bibuły. Byliście razem z Janem Walcem parą drukarską.

Z.P.: Żaden z nas nie był zawodowym drukarzem. Jestem z wykształcenia informatykiem, po szkole elektronicznej. Nie mieliśmy w pełni opanowanej technologii powielania. Trochę czytaliśmy, rozmawialiśmy z fachowcami (ale ostrożnie), nauczyliśmy się metodą prób i błędów.

Janek Walc był jednym z najporządniejszych ludzi, jakich znałem. Długie dni i noce spędzaliśmy razem. Wprowadzałem go w drukowanie. Sporo drukowaliśmy dla Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, m.in. „Biuletyn Informacyjny”.

Najlepsze warunki pracy były właśnie u Walców, w ich willi w Podkowie Leśnej. Czułem się tam najlepiej. Duża piwnica, niezłe miejsce do spania, dobre jedzenie i – najważniejsze – towarzystwo. Janek, świetny rozmówca, dużo opowiadał, dyskutowaliśmy. To było nie tylko powielanie, ale przeżycie intelektualne, życiowe, którego nigdy nie zapomnę.

Czasami drukowaliśmy w małych piwniczkach, siedząc na węglu, który bywał w takich miejscach składowany. Niemal nie można było się ruszyć. Innym razem rozłożyliśmy się w drewnianym domu wśród wielkich sadów pod Warszawą. Izolowaliśmy się od ludzi, by nie usłyszeli odgłosu maszyny. Podczas drukowania leciało Radio Wolna Europa. Chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje. Nagle słyszymy, że wybrano Karola Wojtyłę na papieża. Jakaż to była radość! Tańczyliśmy, cieszyliśmy się. Wstąpiła w nas nadzieja, że ten wybór mocno nas pchnie do przodu w walce z komuną.

P.S.: Zachowały się dwa zdjęcia z drukarni piwnicznej w willi Walców.

Z.P.: Kolorowe, z wiosny 1980 r. Na jednym Janek, na drugim ja. To są jedyne zdjęcia z Podkowy Leśnej, jakie sobie zrobiliśmy. Powielacz na zdjęciu to amerykański A.B. Dick, nasza najlepsza maszyna. Najpierw długo z nią walczyliśmy, by ją lepiej poznać. Niesforna. Nie mogliśmy dobrać farby, a ona odwodziła się brzydkim drukiem. Ale w końcu ją opanowaliśmy.

Nie miała automatycznego podajnika, musieliśmy podawać papier ręcznie. Janek próbował pracować jako „podajnik”, ale nie potrafił się dobrze wsłuchać w stukot maszyny. By zachować tempo albo zwiększać je, trzeba było mieć dobry słuch. Ja zajmowałem się papierem, a Janek ze smutkiem stwierdzał, że pozostaje mu rola „odbieracza”.

Mieszaliśmy olej lniany z farbami drukarskimi, by uzyskać właściwą konsystencję. Druk nie powinien być zamazany ani ciekący. Gęstość farby zależała od temperatury otoczenia. Trzy, cztery dni pracowaliśmy dzień i noc, by farba nie zastygła w czasie druku. Inaczej trzeba byłoby czyścić maszynę od nowa, a to była papranina.

Maszyna hałasowała, stąd jestem sportretowany w *Wolnej Wałkowej* ze słuchawkami na uszach. Słuchaliśmy muzyki, ale również czytaliśmy to, co drukowaliśmy. Janek bardzo lubił poprawiać błędy ortograficzne na matrycy białkowej, rzadko się jednak zdarzały.

Podpisywaliśmy się Wolna Wałkowa Drukarnia Polowa im. J.P. Pod tymi inicjałami krył się Józef Piłsudski. To Janek wymyślił. Był piłsudczykiem, ale środowisko niezbyt. Stąd ten kamuflaż – J.P.

P.S.: Czuliście ryzyko wpadki?

Z.P.: Za każdym razem istniało prawdopodobieństwo, że coś się posypie, ktoś wyda. Nie baliśmy się siebie nawzajem. Przesiedzieliśmy się jednak parokrotnie w areszcie. Podczas schwytania przez esbecję staraliśmy się krzyczeć: jesteśmy aresztowani, nasze nazwiska, numer telefonu Jacka Kuronia. To pomagało.

P.S.: Krążyła rymowanka: „Choć pobity Zenek Pałka, nic nie wstrzyma ruchu wałka”.

Z.P.: To oczywiście Janek ułożył. Pobito mnie w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej na ul. Łąkowej we Wrocławiu w 1979 r., gdyż odmawiałem odpowiedzi na pytania podczas przesłuchań i nie chciałem niczego podpisywać. Nauczyła mnie tego Bogusia Blajfer, moja „matka chrzestna”, która wprowadzała mnie do środowiska korowskiego.

Esbekom się to nie podobało, więc wysłali mnie „na dół” z poleceniem ostrego bicia. Dwóch roztłych milicjantów wyciągnęło lagi – jakby gigantyczne skarpety napełnione piaskiem. Tak mnie poturbowali, że przez tydzień leżałem z odbitymi nerkami, sikałem krwią dosłownie. Dlatego Janek napisał tę rymowankę w „Biuletynie Informacyjny”.

P.S.: Jak to się stało, że drukował pan w Warszawie? Mieszkał pan przecież we Wrocławiu...

Z.P.: Bogusia Blajfer poznała mnie w Warszawie z Mirkiem Chojeckim, który zakładał właśnie NOW-ą. On zaproponował mi pracę. Spróbowałem, bardzo mi się spodobало i zostałem. Ale drukowałem nie tylko z ludźmi z Warszawy. Pracowałem często ze mną Antek Roszak z Wrocławia. Również Jurek „Dreptak” wielokrotnie nam pomagał.

Przy tej okazji powinienem wspomnieć o moim „ojcu chrzestnym” – Zbyszku Garwackim, który poznał mnie z Antkiem Macierewiczem jeszcze w 1976 r.

P.S.: W sierpniu 1980 r. znalazł się pan w Stoczni Gdańskiej.

Z.P.: Byliśmy większą grupą w pobliżu, w Dębках, na wakacjach – m.in. Mirek Chojecki z rodziną, Wildsteinowie, Mariusz Wilk z żoną, Henryk Zieliński. Najpierw do Gdańska pojechał Mirek, wrócił do Dębek z informacjami, że w stoczni zaczął się strajk. Wtedy pojechaliśmy wszyscy – każdy osobno. Bronka, Mariusza i Heńka dorwała Służba Bezpieczeństwa, nam z Mirkiem udało się dostać do stoczni. Mirek wkrótce wpadł podczas przemieszczania się do innej części Gdańska. Mariusz Wilk, którego esbecja wysłała do Wrocławia i tam wypuściła, wrócił natychmiast do Gdańska i wspomagał strajkujących.

Tuż przed końcem strajku w stoczni wróciłem do Wrocławia, wylądowałem w strajkującej zajezdni tramwajowej przy ul. Grabiszyńskiej. Potem zaangażowałem się w prace poligraficzne, zajmowałem się też organizacją pierwszej telegraficznej agencji informacyjnej NSZZ Solidarność na Dolnym Śląsku (przydały mi się nauki nabyte w wojsku, gdzie próbowano zrobić ze mnie telegrafistę...). Z tego powstała potem codzienna gazetka Solidarności „Z Dnia na Dzień”. Stworzyliśmy też tygodnik „Solidarność Dolnośląska”. Robiliśmy wtedy wszystko naraz, pracując często znowu 24 godziny na dobę...

W marcu 1982 r. wpadłem ręce SB. Po miesiącu aresztu (prokurator wojskowy „nie znalazł wystarczających dowodów, że w stanie wojennym produkowałem, przechowywałem i rozpowszechniałem wrogie materiały grożące interesom PRL”) zostałem wysłany do więzienia w Nysie, gdzie siedziałem do końca lipca 1982 r. jako interno- wany.

P.S.: Kiedy zakończył pan pracę w obiegu niezależnym?

Z.P.: Wyszedłem z więzienia, gdy wystąpiłem o wyjazd na stałe z kraju. Przez pół roku udawało się nam z żoną jednak nie wyjechać. Potem zaczęto grozić „konsekwencjami” mojemu teściowi. Nie mieliśmy pracy, byliśmy z żoną na jego utrzymaniu. Moja mama została usunięta z pracy z dnia na dzień zaraz po 13 grudnia, odchowywała to latami. Tato już od czasu mojego „nielubienia” wojska został wysłany na bardzo skromną rentę, z której utrzymywał jeszcze moich dwóch młodszych braci.

Ostatniego dnia lutego 1983 r. wyjechaliśmy do Niemiec – z zamiarem dalszej podróży do Paryża, gdzie od początku stanu wojennego mocno działał Mirek Chojecki. Jednak o azyl musieliśmy wystąpić w Niemczech (pierwszym kraju, w którym znaleźliśmy się jako uchodźcy). I tam też zostaliśmy. Nigdy nie udało się nam dotrzeć do Paryża. Ale jedna z nitek pomocy dla podziemnej Solidarności z Paryża prowadziła przez nasze mieszkanie w Monachium.

SYLWETKI

JÓZEF GAWŁOWICZ

Współpracę z paryską „Kulturą” Józef Gawłowicz rozpoczął w 1963 r.; trwała ona bez mała 26 lat¹. W tym czasie marynarz przemycił do kraju i rozpowszechnił – według Jerzego Giedroycia – około półtorej tony wydawnictw nielegalnych w PRL². To największe chyba tego typu przedsięwzięcie w obozie komunistycznym – jak zapisał Gawłowicz 35 lat później – wynikające przede wszystkim z fascynacji literaturą emigracyjną, głównie twórczością Witolda Gombrowicza, stało się jego pasją³. Wpadka – poza konfiskatą kontrabandy i odebraniem książeczki żeglarskiej, a tym samym wykluczeniem z wyjazdów zagranicznych – groziła więzieniem⁴.

Urodził się 7 kwietnia 1942 r. w Rudzie koło Mielca, w rodzinie chłopskiej – jego ojciec miał 30 mórg ziemi ornej i 10 mórg lasu. W 1959 r., po maturze w I Liceum Ogólnokształcącym w Mielcu, zdał egzaminy na Wydział Nawigacyjny Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni i tak samo jak w ogólniaku mimo usilnej agitacji nie zapisał się do Związku Młodzieży Socjalistycznej. Pokusą była kariera – oferty pracy na statkach pływających do Ameryki Południowej i Północnej. Jako „niezorganizowany” miał szansę pływania tylko na statkach „katorżniczych” (bez klimatyzacji, zapłuskwionych) do portów chińskich, bo nawet udział w rejsach do Japonii uzależniano od przynależności do młodzieżowych przybudówek PZPR.

W lipcu 1963 r. podczas pięciomiesięcznego rejsu do Chin m/s Reymont Polskich Linii Oceanicznych zawinął do Londynu, aby zabrać papier do drukowania materiałów propagandowych „rewolucji kulturalnej”. 21-letni wówczas starszy marynarz Józef

MICHAŁ PAZIEWSKI

dr, pracownik Instytutu Politologii i Europeistyki Uniwersytetu Szczecińskiego. W 1981 r. współredaktor tygodnika zachodniopomorskiej Solidarności „Jedność”, w latach 1982–1989 współtworzył m.in. pismo podziemne Stocznia Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego „Grot”, miesięcznik „Obraz”, a także „Biuletyn Solidarności” podczas strajku w sierpniu 1988 r. w Porcie Szczecińskim. Autor prac na temat wydarzeń w grudniu 1970 i styczniu 1971 r.

¹ Relacje Józefa Gawłowicza (2012) uzupełniają informacje, które autor otrzymał od Jerzego Zimowskiego (2005).

² A. Machcewicz, *Kurier z Paryża*, „Newsweek Polska” 2006, nr 49, s. 24–25.

³ J. Gawłowicz, *Byłem kurierem Giedroycia*, Szczecin 1998, s. 20–21.

⁴ W lutym 1962 r. Anna Rudzińska została skazana na rok więzienia za to, że przechowywała „w celu rozpowszechniania książkę [...] zawierającą fałszywe wiadomości o państwach obozu socjalistycznego”. Chodziło o wydane w Stanach Zjednoczonych opracowanie Feliksa Grossa *O przechwyceniu władzy politycznej*, które otrzymała od Giedroycia, aby znaleźć tłumacza. Więcej zob. biogram Anny Rudzińskiej autorstwa Teresy Bochwic w: *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956–89*, t. 2, red. J. Skórzyński, P. Sowiński, M. Strasz, Warszawa 2002, s. 280–281.



Józef Gawłowicz i Jan Nowak-Jeziorański, 1994 r. Fot. ze zbiorów rodzinnych

Gawłowicz z ciekawości udał się do Ogniska Polskiego. Tam oszołomiło go bogactwo wydawnictw polonijnych. Kupił „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” oraz powieść Borysa Pasternaka *Doktor Żiwago*, o której słyszał w audycji Radia Wolna Europa. W książce znajdował się – podobnie jak w innych publikacjach paryskiej „Kultury” – kartonik zapraszający do skontaktowania się z redakcją, co Gawłowicz natychmiast uczynił⁵.

W Port Saidzie, gdzie jego statek czekał na konwój przez Kanał Sueski, od agenta PLO dostał przesyłkę z wakacyjnym numerem miesięcznika „Kultura” i kilkoma książkami z charakterystyczną jońską kolumną na okładce, m.in. *Klubem Krzywego Koła* Witolda Jedlickiego. Lektura tych publikacji była dla niego i kolegów oraz kapitana statku „jak uchylenie okna w długo niewietrzonemu pokój”. Z Adenu wysłał do Paryża zamówienie (i czek) na kolejne książki. Zostało ono zrealizowane pocztą lotniczą w Singapurze. Znacznie przekraczająca zamówienie paczka skłoniła Gawłowicza do założenia zeszytu wypożyczeń zaufanym kolegom ze statku. Do kolejnej przesyłki dołączony był list od Jerzego Giedroycia z deklaracją: „Robi pan niepotrzebne szaleństwo, wysyłając pieniądze. Zawsze chętnie wysyłamy książki w miarę naszych możliwości. Ostatecznie po to tu jesteśmy”⁶. Na adres powrotny, w Rotterdamie, nadeszła następna – już darmowa – paczka z Instytutu Literackiego.

Za przyzwoleniem kapitana statku Stanisława Króla 27 tytułów książkowych, kilka numerów „Kultury” i „Zeszytów Historycznych” z Paryża Gawłowicz schował – tak jak to robił przez następne kilkanaście lat – w różnych „dziuplach”, głównie w zakamarkach maszynowni, gdzie były trudne do znalezienia nawet przez „czarną brygadę” celników. Po rejsie, w grudniu 1963 r., wydawnictwa te, pущzone w obieg w Trójmieście, spotkały

się z ogromnym zainteresowaniem przyjaciół i zaufanych znajomych. Książki zaczytywano, często wypożyczano je na dzień lub noc. Dzięki temu, że czytelnicy zaczęli być również kolporterami, zasięg tej politycznej kontrabandy się rozszerzał. Najpierw zajmował się tym kolportażem oficer mechanik Kazimierz Dendura (od 1967 r., choć na mniejszą skalę, także sam zamawiał u Giedroycia i przemyczał jego wydawnictwa)⁷. Przywiezione przez Gawłowicza książki i numery „Kultury” wędrowały również do jego kolegów z liceum oraz do Stanisława Brekiesza, nauczyciela historii z Mielca.

Na początku 1964 r. dzięki przypadkowi Gawłowicz wyruszył w trzymiesięczny rejs do Afryki Wschodniej na statku m/s Oleśnica. Z Hamburga zatelefonował do Giedroycia, po czym w kolejnych portach czekały nań paczki z książkami. Po drodze czytali je z zapalem zaufani członkowie załogi, w tym kapitan Witold Gorski. Podczas tej rozmowy telefonicznej Giedroyc przestrzegał, aby maksymalnie ograniczyć korespondencję i krajowe rozmowy telefoniczne z osobami przebywającymi na Zachodzie.

Podczas trzeciego rejsu, do Ameryki Środkowej na statku m/s Polanica, w którym Gawłowicz był III oficerem, w Nowym Orleanie ochmistrz rozewał paczkę przyslaną z Francji i szybko zorientował się, co w niej jest. Na szczęście dzięki kapitanowi Zygmuntowi Truszczyńskiemu udało się go przekupić częściami z wraków samochodów, które Gawłowicz wpisał do swojej deklaracji celnej (marynarze nagminnie przemycali różne deficytowe w Polsce towary i mieli w tym dużą wprawę).

Ponieważ w Gdyni był już spalony, w 1964 r. Gawłowicz przyjął propozycję pracy na stanowisku kierownika praktyk morskich w Państwowej Szkole Morskiej w Szczecinie. Do literackiego szmuglu wrócił już w grudniu 1964 r., zaokręto-

⁵ Kartka od Gawłowicza z 19 VII 1963 znajduje się w archiwum Association Institut Littéraire Kultura w podparyskim Maisons-Laffitte.

⁶ Cytat z kopii listu Giedroycia z 21 XI 1963, *ibidem*.

⁷ Relacja Kazimierza Dendury, 1 III 2012. Zob. też K. Dendura, *Sól morza*, Gdańsk 1999, s. 122–123.

wany na m/s Jan Żiżka Polskiej Żeglugi Morskiej, który wyruszył w półroczny rejs do Afryki Zachodniej. Wynoszone z portu w Szczecinie emigracyjne wydawnictwa ukrywał przed celnikami wśród fachowych książek przykrytych afrykańskimi maszkami.

Blisko tonę książek przemycił przez siedem lat, od wakacji 1966 r., na statku m/s Nawigator. Był tam najpierw II, następnie I oficerem. Dzięki temu, że statek miał ułożony na rok z góry plan jedenastu rejsów do portów Europy Zachodniej, można było sprawnie koordynować dostawy z Paryża. Gdy w Szczecinie przez kilka dni statek cumował przy Wałach Chrobrego, aby wymienić grupy uczniów czy studentów, Gawłowicz z pomocą II mechanika Kazimierza Drabika, ochmistrza Ludwika Grochowickiego oraz nawigatora Zbigniewa Zdrowskiego sukcesywnie wynosił zakazane książki⁸. Czterech spośród czternastu członków załogi było wtajemniczonych w książkowy przemysł.

Latem 1963 r., dziękując Giedroyciowi za przesyłki, Gawłowicz zaproponował napisanie reportażu do „Kultury”. (Nie był to jego literacki debiut, gdyż publikował już reportaże na łamach „Tygodnika Morskiego”, „Politechnika” i „Przekroju”). Najpierw jako Adam Takubar (nazwa portu chińskiego) wysłał z Singapuru *Chińskie wędrówki* („Kultura” 1964, nr 4). Dwuczęściowy *Pamiętnik znaleziony w... Bochni*, ukazujący indoktrynującą rolę ZMS, zamieścił w „Kulturze” pod pseudonimem Paweł Sowa (1965, nr 10, 11). Natomiast opis pobytu na Kubie *Hawana – czyli traktat o kontrabandzie* (1969, nr 10) sygnował imieniem Sindbad Żeglarz.

Ponadto przekazał do Paryża maszynopisy wierszy ks. Bonifacego Miążka, które nie miały szans na ukazanie się w PRL; złożyły się na tom poetycki *Ziemia otwarta* (Instytut Literacki, 1967). Wysłał również do „Kultury” i Radia Wolna Europa otrzymaną od Włodzimierza Likszy z „Expressu Wieczornego” sztukę satyryczną Janusza Szpotan-

skiego *Cisi i gęgacze, czyli bal u Prezydenta*, która również inną drogą dotarła na Zachód.

Latem 1970 r. Gawłowicz – twórca najdłużej działającego kanału przemycniczego „Kultury” do Polski – kiedy jego statek zawinął do Rouen, mógł wreszcie odwiedzić Instytut Literacki w Maisons-Laffitte. Znajomość z Jerzym Giedroyciem przekształciła się w trwałą przyjaźń. Podczas następnych parudziesięciu wizyt poznał krąg jego najbliższych współpracowników: Zofię i Józefa Hertzów, Józefa Czapskiego, Konstantego Aleksandra Jeleńskiego. Regularnie odwiedzał również Galerię Lambert na Wyspie św. Ludwika w Paryżu, gdzie zaprzyjaźnił się z Zofią i Kazimierzem Romanowiczami, którzy w swojej księgarni Libella udostępniali wydawnictwa emigracyjne Polakom przybywającym z kraju. Spotykał się z ks. Józefem Sadzikim, dyrektorem wydawnictwa Editions du Dialogue. W relacjach z innymi osobami – aby choćby przypadkiem go nie zdradzono – przedstawiany był jako „brat Krzysztof”. Ponadto w Londynie spotykał się z czołowym pisarzem politycznym „Kultury” Juliuszem Mieroszewskim, poetą i satyrykiem Marianem Hemarem, a w Neapolu z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Kilkakrotnie telefonicznie kontaktował się z Janem Nowakiem-Jeziorańskim, dyrektorem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, oraz z Leopoldem Ungerem z Brukseli, stałym współpracownikiem „Kultury”; zawinawszy w 1983 r. do Gandawy, otrzymał od niego wydawnictwa Instytutu Literackiego szybciej niż z Paryża.

Po głośnym procesie „taterników” z 1970 r. celnicy zaczęli być szczególnie uczuleni na kontrabandę z polonijnymi wydawnictwami. Jerzy Zimowski (przyszły wiceminister spraw wewnętrznych w III RP) poradził wówczas Gawłowiczowi, aby w przypadku wpadki zawsze mówił celnikom, że to pierwszy raz i że paryskie wydawnictwa znalazł w parku; wprowadzie mu nie uwierzą, ale też nie zostanie skazany. Gawłowicz przygotował

⁸ Relacja Zbigniewa Zdrowskiego, 7 III 2012.

asekuracyjnie także „donos” na siebie – w dwóch egzemplarzach: jeden zostawiał w kapitańskim sejfie, a z drugim zawsze przechodził kontrolę celną. Napisał w nim, że dostał od jakiegoś typu z Hamburga książki, które zamierzał po powrocie do kraju przekazać Służbie Bezpieczeństwa.

W 1976 r. Gawłowicz uzyskał dyplom kapitana żeglugi wielkiej – mimo że nie należał do PZPR, co w żegludze morskiej było nader rzadkie. Jako kapitan m/s Hutnik przez dwa lata przewoził paczki z wydawnictwami emigracji rosyjskiej do Rygi (odbierał je tam inżynier Borys Blinow), Tallina, Murmańska oraz sowieckich portów nad Morzem Czarnym – Noworosyjska (kontaktował się tu z malarzem Władimirem Steczenko), Odessy i Poti⁹. Najpierw duński dostawca, zwany „wujkiem”, przywoził motorówką na statek w Wielkim Bełcie wydawnictwa zamówione telefonicznie z Paryża – rosyjskojęzyczną wersję „Kultury”, miesięcznik „Kontinent”, książki Aleksandra Sołżenicyna. Potem Gawłowicz ubrany w kapitański mundur wywoził je z portu czarną wołgą i dostarczał na adresy otrzymane od Giedroycia. W dużej teczce „antysocjalistyczną” kontrabandę przykrywał perukami, damską bielizną, ortalionem, džinsami – najbardziej pożądanymi towarami „prywatnego” handlu z ZSRS.

Sprzętu drukarskiego mu nie powierzano. Raz tylko, w październiku 1977 r., na prośbę Giedroycia pośredniczył w przemyśle powielacza, niewiele większego od maszyny do pisania, z Rouen do Szczecina na m/s Zielona Góra. Z kurierem, który odbierał powielacz, spotkał się w kaplicy konsultatu Królestwa Szwecji w Szczecinie, w alei Niepodległości 17. Hasłem było „Holm”, odzwem „Höganäs” (nazwisko szwedzkiego artysty i miejsce jego urodzenia).

Kilkukilogramowe przesyłki z Paryża Gawłowicz odbierał ze skrytek w 74 miejscach na świecie. Spośród osób, które zajmowały się dostarczaniem paczek do portów europejskich, trzeba wymienić

Wojciecha Jurago i Jaaka Verbrakena (obsługiwali Amsterdam i Gandawę), Helenę Pacułę z Dieppe i przedstawiciela „Kultury” w Sztokholmie Norberta Żabę. Rzymski przedstawiciel „Kultury” Witold Zahorski wysyłał paczki do włoskich portów, do których zawijał statek Gawłowicza. W północnoirlandzkim Cork odbiorcą książek z Instytutu Literackiego był dyrektor tamtejszego Domu Marynarza. Pomocą służył też klasztor polskich karmelitanek bosych w Reykjavíku. W Stanach Zjednoczonych Gawłowicz regularnie odbierał książki od Krystyny Shobert z Nowego Orleanu, która dostarczała na statek prowiant, doktora Richarda Kunikowskiego – onkologa z Cancer Institute w Houston, ks. Stanisława Tomasza Chmury z Florydy. Także wiele meksykańskich domów pośredniczyło w tym przemyśle: Tina Cortez z Veracruz, malarz Desiderio Escamilla z Tampico, światowej sławy malarz i grafik David Alfaro Siqueiros z Manzanillo. W brazylijskim Recife pośrednikiem był rzeźbiarz Abelardo da Hora, a w Buenos Aires nauczycielka historii Eva Lind. W Zatoce Perskiej książki czekały u agentów żeglugowych Saudi Europe Line: armatora Mohammeda Orri oraz jego syna Ibrahima. W Casablance miejscem odbioru licznych przesyłek było mieszkanie zastępczyni dyrektora Międzynarodowego Domu Marynarza Maryli Cykowskiej, żony przedwojennego oficera Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. W Nigerii skrytkami stały się galeria światowej sławy malarza Bruce’a Onobrakpeyi w Lagos i dom Johna Agoro, menedżera portowego w Port Harcourt. W południowoafrykańskim Durbanie i Richards Bay książki czekały w biurach hinduskich dostawców jarzyn i prowiantu.

W marcu 1982 r. w Ijmuiden koło Amsterdamu Gawłowicz poznał Jana Minkiewicza, przedstawiciela „Kultury” w krajach Beneluxu i korespondenta RWE, prowadzącego również biuro NSZZ Solidarność. Od niego dostawał duże ilości miniaturowych wydań „Kultury” i „Zeszytów

⁹ List Jerzego Giedroycia do Józefa Gawłowicza (faksymile), 25 V 1994 [w:] J. Gawłowicz, *Byłem kurierem...*, s. 8.

Historycznych”, kwartalnika literackiego „Puls”, miesięcznika „Kontakt” oraz książek londyńskiego wydawnictwa Polonia, które wkładano do puszek z konserwami. W puszkach znajdowała się również farba drukarska dla podziemnej poligrafii. Zamykano je profesjonalnie w pewnej fabryce pod Brukselą; pracował w niej Józef Przybylski, sygnatariusz porozumienia gdańskiego, którego stan wojenny zastał na Zachodzie¹⁰. Z Holandii i Belgii Gawłowicz zabierał „konserwy”, pływając na statkach m/s Ziemia Szczecińska, m/s Powstaniec Wielkopolski, m/s Gliwice II¹¹. Emigracyjne druki przemycił do kraju także wtedy, gdy od końca maja 1983 r. pływał jako kapitan pod banderą Hong Kongu, Panamy i Arabii Saudyjskiej.

Coraz większa sieć kolportażowa Gawłowicza owocowała powstaniem biblioteczeki wydawnictw emigracyjnych. Zaczęto je wypożyczać w środowisku Wyższej Szkoły Morskiej – część książek i periodyków była ukrywana w uczelnianej bibliotece przez żonę Gawłowicza, bibliotekarkę. Zakazane druki rozpowszechniano dość szeroko, głównie w kręgach inteligenckich Szczecina, ale nie tylko. Henryk Ramęda (jego żona Maria zajmowała się kolportażem m.in. w szczecińskim I Liceum Ogólnokształcącym, gdzie była polonistką) zawoził je w okolice rodzinnych Wadowic. Wikariusz kilku sandomierskich parafii ks. Czesław Murawski, który otrzymywał od Gawłowicza wydawnictwa Instytutu Literackiego¹², pożyczał je przede wszystkim księżom¹³. Sporo książek trafiało do przedstawicieli szczecińskiej palestry: sędziów Zbigniewa

Imieli¹⁴ i Zenowiusza Ponarskiego, adwokata Marka Karakulskiego, radców prawnych Artura Freya¹⁵ i Jerzego Zimowskiego, który rozprawdzał je wśród inteligencji technicznej w Stoczni Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego. Architekt Helena Kurcyszowa, założycielka Klubu Środowisk Twórczych 13 Muz, prowadziła w swoim domu salon literacki, w którym zaufane osoby mogły czytać paryskie wydawnictwa. Zdarzało się, że emigracyjne druki, szczególnie setki miniaturowych edycji „Kultury”, Gawłowicz włączał do obiegu zupełnie niekontrolowanego – zostawiał je w czytelnicy akademickiej Książnicy Pomorskiej bądź w studenckich klubach Kontrasty i Pinokio¹⁶. Część osób dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości dowiedziała się, komu zawdzięczała lekturę „Kultury” – np. poseł w III RP Włodzimierz Puzyna¹⁷ czy autor niniejszego tekstu.

Józef Gawłowicz po 43 latach na morzu zakończył pływanie, a tym samym przemysł i dystrybucję wydawnictw paryskiej „Kultury”. Oprócz kilku podręczników akademickich z zakresu nautyki i astronawigacji, którą wykładał w szczecińskiej WSM, od 1987 r. opublikował też marynistyczne powieści oraz zbiory opowiadań. Przez dwie kadencje przewodniczył szczecińskiemu oddziałowi Związku Literatów Polskich, w 1992 r. był kapitanem portów Szczecin i Świnoujście, a w latach 1993–1994 i 2006–2008 dyrektorem naczelnym Urzędu Morskiego w Szczecinie i Słupsku. Obecnie w szczecińskiej Akademii Morskiej zajmuje się promocją uczelni.

¹⁰ Relacja Jana Minkiewicza, 1 IV 2012.

¹¹ Relacje Józefa Gawłowicza, Jana Minkiewicza, Józefa Przybylskiego i Henryka Giedroycia (brata Jerzego) w ponad 48-minutowym filmie *Kurier Giedroycia*, zrealizowanym w 2006 r. dla „Discovery Historia TVN”.

¹² K.A. Kuczyński, *Ze wsi w daleki świat. O życiu i twórczości ks. prof. Bonifacego Miązka*, Łódź 2007, s. 152.

¹³ Relacja ks. Czesława Murawskiego, 26 III 2012.

¹⁴ Relacja Zbigniewa Imieli, 21 III 2012.

¹⁵ Relacja Artura Freya, 3 IV 2012.

¹⁶ Relacja ks. Czesława Murawskiego (12 III 2012), który był uczestnikiem kilku takich akcji.

¹⁷ Relacja Włodzimierza Puzyny, 22 III 2012.

ARCHIWUM WOLNEJ MYŚLI

Europa to „nasza większa ojczyzna” – deklarowała redakcja w artykule wstępnym pierwszego numeru „Res Publiki”. Ukazujący się w latach 1979–1981 poza zasięgiem cenzury kwartalnik zajmował na mapie polskiej kultury niezależnej miejsce osobne. Zdystansowany od bieżących sporów i wydarzeń, skupiony na długofalowej refleksji, szybko zdobył uznanie poziomem eseistyki i jakością politycznego myślenia. Jego twórcy – Wojciech Karpiński, Marcin Król, Tomasz Łubieński, Paweł Śpiewak, Barbara Toruńczyk – odwoływali się do liberalno-konserwatywnego kanonu, stawiali na pierwszym miejscu wolność i prawa jednostki. Równie mocno podkreślali naturalny i konieczny związek Polski z cywilizacją europejską.

W swojej publicystyce akcentował to zwłaszcza redaktor naczelny „Res Publiki” Marcin Król. Historyk idei, filozof i eseista (ur. 1944) zaangażowanie opozycyjne datuje od lat sześćdziesiątych. Czynny w Marcu '68, współautor Deklaracji ruchu studenckiego, sygnatariusz Listu 59, wykładowca Uniwersytetu Łatającego, członek Towarzystwa Kursów Naukowych. Jego ówczesny dorobek obejmował m.in. książki: Sylwetki polityczne XIX wieku (wraz z Wojciechem Karpińskim), Style politycznego myślenia. Wokół „Buntu Młodych i „Polityki”, szereg szkiców w „Res Publice”, „Zapisie”, „Kulturze” paryskiej, „Aneksie”, „Krytyce” i „Tygodniku Powszechnym”.

Z pierwszego numeru „Res Publiki” zaczerpnęliśmy artykuł Europa i my (w oryginale podpisany inicjałami MK, zgodnie ze zwyczajem pisma)¹. Pokazuje on wagę, jaką dla twórców niezależnej myśli politycznej miała perspektywa europejska, w którą wpiśywali losy kraju. Przenikliwe uwagi Króla o dominacji w Europie Zachodniej krótko-terminowego, pragmatycznego myślenia nad ideą praw człowieka i jedności kontynentu, a także o bezdrożach antyeuropejskiego partykularyzmu tych środowisk politycznych w Polsce, które uważały, że kulturową tożsamość narodu można budować niezależnie od Europy, a nawet wbrew niej, zachowały, niestety, aktualność.

Jan Skórzyński

¹ MK, Europa i my, „Res Publica” 1979, nr 1, s. 12–19. Przedruk za wydaniem londyńskim.

EUROPA I MY

MARCIN KRÓL

Dwa powszechnie wyznawane w Polsce poglądy: „nie ma co liczyć na Europę, ona nam nigdy nie pomoże” oraz „jesteśmy krajem europejskim, zachodnim, Europą Środkową, a w żadnym wypadku nie należymy do Wschodu”. Punkt wyjścia zatem to sytuacja młodszego kuzyna, który wprowadzie ma prawa, ale od którego ważniejsi członkowie rodzinie raczej się opędzają. I kompleksy natychmiast wynikające z takiego układu stosunków.

O kompleksach trzeba wiedzieć, jeśli chce się wychowywać, kompleksy i ich drobiazgowa analiza nie mogą jednak zastąpić myśli politycznej i kulturalnej. Spróbujmy więc racjonalnie rozpatrzyć: dlaczego my z Europą i co nam ten związek daje i dać może?

Najpierw – jaka Europa? Kiedy bowiem uznajemy, że punktem odniesienia, źródłem wzorów i wartości, większą ojczyzną jest dla nas Europa, to nie o geografii nam idzie. Myślimy o pewnej kulturze politycznej, a także w ogóle o kulturze europejskiej (łacińskiej, zachodniej) i wreszcie o pewnym ideale, normie.

Europa–polityka. Niewątpliwie demokracja rozwinęła się w krajach Europy Zachodniej i Ameryki Północnej, najlepiej chronione są tam prawa człowieka, a ustroje polityczne w największym znanym nam stopniu dopuszczają społeczeństwo do rządzenia. Systemy gospodarcze okazały się najbardziej sprawne, zaś stopniowe realizowanie równości warunków powoduje niewielkie tylko ograniczenia praktycznej wolności jednostki. Rzeczywiście jednak funkcjonujące mechanizmy polityczne budzą nasz, często nazbyt łatwy, lecz zrozumiały i niezbędny, krytycyzm.

Działanie wielopartyjnych systemów we Francji i we Włoszech, walka polityczna coraz częściej tocząca się li tylko o zwycięstwo wyborcze, a nie o zwycięstwo danych ideałów społecznych, doraźność i defensywny charakter polityki widoczny zarówno w stosunkach krajów europejskich między sobą, jak i w ich polityce wobec Związku Radzieckiego czy Chin – pouczeni powierzchownie wciąż rozumianym, lecz dotkliwym doświadczeniem dostrzegamy natychmiast, że tu Europa–polityki zbyt często się myli, błądzi i obraża zdrowy rozsądek, byśmy mogli uznać ją za nasz ideał. Chociaż już wiemy, że demokracja jest z natury swoim słabym systemem społecznym, że za walkę o utrzymanie wolności publicznej płaci się nieustanną obecnością konfliktów.

Europa–kultura. Jeśli myślimy raczej o teraźniejszości niż o tradycji, o kulturze twórczej raczej niż o odtwórczej, to wątpliwości nie brak. Europejskiej kulturze czegoś zabrakło, przydarzyła się jej jakaś nieszczęśliwa przygoda, której tu analizować nie będziemy. Sołżenicyn słusznie w przemówieniu noblowskim mówił o lekceważeniu dla prawdy i dobra. Dodajmy do tego lekceważenie dla sensu, dla treści, dla słowa, dla idei, a uzyskamy obraz właściwy. Brzozowski zarzucał niegdyś polskiej kulturze niepowagę, dzisiaj brak powagi jest cechą większości dzieł powstających w kręgu kultury zachodniej. My zaś może jesteśmy wyrzuci z talentów, pozbawieni możliwości, lecz poważni być musimy, bo nam idzie o życie.

Europa–kultury to także kwestia nowoczesnej cywilizacji. I chociaż głupstwem jest wyrzekać na „antyhumanitarny” czy „alienujący” charakter nowoczesnej cywilizacji, jeśli się nie doznało jej dobrodziejstw, to już mniej niemądre jest takie myślenie, które próbuje znaleźć możliwość przyszłego korzystania z dobrodziejstw cywilizacji, a zmniejszania jej skutków negatywnych.

Europa–norma. Norma, to znaczy miara niegdyś być może arbitralnie narzucona, lecz potem stosowana jako wzorzec idealny i zarazem standardowy.

Europa jako norma to w negatywnym sformułowaniu to wszystko, czym Europa–polityki i Europa–kultury nie jest, ale być może lub powinna. To zasada głosząca nadrzędność jednostki, jej praw, jej wolności i jej życia w spokoju, zasada, która w dziejach Europy była stopniowo w coraz większym stopniu realizowana. To zespół przesładczeń tak radykalnie odróżniających świat europejski od wszystkiego, co znajduje się poza nim. To sposób myślenia o sensie życia ludzi i społeczeństw głęboko i nierozzerwalnie zakorzeniony w chrześcijaństwie. A zatem wiara w ducha przeważającego nad chaosem materii, wiara w wolną wolę swobodnie tworzącą historię, w pozytywną tradycję myśli podejmującej wciąż te same, najpierwsze pytania. Norma, która pomaga tworzyć

i norma, która umożliwia kontrolę, wrogość wobec skrajności, niewiara w rozwiązania ostateczne, w spełnienie utopii powszechnej szczęśliwości, w to, że człowiek ma być jedynym źródłem i wyłącznym celem zabiegów.

Taką Europę–normę dostrzegał nawet ten bękart Europy Fryderyk Nietzsche, kiedy pisał: „Mam na myśli takich ludzi, jak Napoleon, Goethe, Beethoven, Stendhal, Henryk Heine, Schopenhauer (...) Na wszystkich wyżynach, we wszystkich głębinach ich potrzeb pojawia się pokrewieństwo, najistotniejsze pokrewieństwo: dusza to Europy, jednej Europy, tęskni, przedziera się, wydiera z ich różnorodnej burzliwej sztuki...”.

Taka właśnie Europa–normy określa nasz horyzont polityczny, kulturalny i jest wzorcem jedynym, jakim dysponujemy.

Myli się ten, kto sądzi, że można respektować Europę–normę, odnosząc się negatywnie do europejskiej polityki i kultury lub choćby je ignorując. Norma nie bytuje poza czasem, istnieje o tyle tylko, o ile jest wcielana. I jeśli nawet – jak była mowa – jej polityczne i kulturalne realizacje nie mają już dla nas rangi idealnej, to do nich w praktyce odnosić się musimy.

A przecież jest w Polsce silna tradycja myśli politycznej i kulturalnej, która mówiła: skoro wy (Europejczycy) nam nie pomogliście i pomoc nie chcecie, to my zjednoczeni z waszym śmiertelnym wrogiem zrobimy z wami porządek. To Staszic i Wielopolski, reakcja nienawiści i pragnienie zemsty, to w wiele lat potem także Roman Dmowski, za którego pozornie chłodnymi kalkulacjami krył się ów nacjonalistyczny kompleks – w Rosji to my pany, tam my jesteśmy Europą. Takie rozdwojenie jaźni: na użytek wewnętrzny niechęć do Europy, zaś na Rosję, Bułgarię, Rumunię, a przede wszystkim na Ukrainę, Białoruś, Litwę popisywanie się europejskością i dobrodusze ojcowanie cechowało znaczną część polskiej myśli w dwudziestym wieku. W lepszej wersji były to niewczesne ambicje dydaktyczne – Europę nauczymy, czym jest Rosja, Rosję zaś wprowadzimy do Europy. Jakby

nie dość było przykładów, że Europa Rosji chce się uczyć z pierwszej ręki i, chociaż często jej to na dobre nie wychodziło, nie zmieni obyczajów, zaś Rosja w najlepszym przypadku uzna Polskę za komiwojażerkę kultury, nigdy za nauczycielkę i żadne racje rozumu nie pomogą.

Z tych tradycji, a także z doświadczeń II wojny światowej, wyrosła powojenna antyeuropejskość, która dwa miała oblicza. Komunistyczne, typu „zgniół Zachód”, który zrodził faszyzm, oblicze nienawistne, purytańskie, antykulturalne. Oraz tak zwane „realistyczne”, kiedy to z oczywistego faktu, że mianowicie znajdujemy się w radzieckiej strefie wpływów, wyciągano wnioski historyzoficzne i próbowano robić dobrą minę do złej gry. Tak myśleli i myślał niekrytyczni uczniowie Dmowskiego oraz ci, którzy w polityce dają upust resentymentom, więc powtarzają: Jałta, wrzesień 1939, Węgry 1956, Czechosłowacja 1968, aby dowieść, że Europa jest egoistyczna i obojętna na nasz los. A jeśli nawet taka jest, to czy z tego wynika, że mamy się ot tak po prostu przenieść do innego kręgu kulturowego?

Drugim źródłem antyeuropejskości stało się pojawienie na arenie politycznej i w dziedzinie kultury nowych warstw społecznych w końcu XIX i na początku XX wieku. W drugiej połowie XIX wieku, a być może i wcześniej, od kongresu wiedeńskiego, w Europie panował spokój, dla olbrzymiej większości chętnych do podróżowania granice praktycznie nie istniały, rozwijały się natomiast prawdziwe międzynarodówki: arystokracji, intelektualistów, socjalistów, inżynierów i finansistów. I to nie I wojna światowa położyła kres tamtemu światu, jak się często powtarza, lecz awans społeczny olbrzymich mas ludzkich, które najpierw musiały się nauczyć ojczyzny, przeczytać pierwsze książki narodowe i stowarzyszyć się z już oświeconymi w pierwszych odruchach elementarnego patriotyzmu. Taką tendencję musiały wykorzystać te partie polityczne, które ksenofobię podsyciły, a europejską wspólnotę ducha uczyniły przedmiotem drwiny i przykładem słabości, braku

„ludowej” krzepy i czerstwości. W Polsce szybkiej orientacji i dostrzeżeniu tej szansy zawdzięczała swoją karierę endecja, już od dawna działał tu ów kompleks gorszego kuzyna i żal za brak pomocy i litości.

Proces awansu mas społecznych dopiero się dopełnia na naszych oczach i ideologia oficjalna chętnie wykorzystuje resentymenty i endeckie tradycje. Bo też nie zniknęły jeszcze psychologiczne podstawy dla takich zabiegów propagandowych, nie tylko nie zniknęły, ale – wydaje się – uległy wzmocnieniu w trakcie ostatnich trzydziestu lat. Im większa jest cywilizacyjna, codziennie-bytowa odległość od Europy oraz im wyraźniejsza jest świadomość tego oddalenia, tym łatwiej podsyć nastawienie niechętnie. To, co „zachodnie”, imponuje, ale ponieważ jest nieosiągalne lub osiągalne w nieprzyjemnie małym stopniu, więc kontakt z owym Zachodem najłatwiej nawiązać przez krytykę, nienawiść do zepsucia, materializmu, sybarytyzmu itp. Na nieco wyższym poziomie refleksji rozczarowanie to jest wynikiem oburzenia na Europę-polityki i Europę-kultury i zostaje automatycznie przeniesione na Europę-normy. I wtedy pojawiają się te wszystkie mętne rozważania, których celem jest dowieść, że tradycja polskości pozwala nam uniezależnić się od Europy, że takie rozdzielenie nie przyniesie nam żadnego szwanku, bowiem dysponujemy własną normą, którą tylko trzeba wydobyć z dziejów polskiej polityki i kultury. Zgoda, istnieje specyficzna logika polskiego myślenia, ale jest ona tylko jedną z wielu wersji Europy-normy i jako taka nie jest samowystarczalna. Logika ta – nie pora wdawać się w szczegóły – była zawsze pewną odmianą europejskiego uniwersalizmu, który stanowił niezbędny warunek jej funkcjonowania. Zwrócenie się zatem ku owej domniemanej polskiej normie, a choćby rezygnacja ze stałego duchowego kontaktu z Europą niweczy automatycznie możliwość stosowania jakiegokolwiek polskiej logiki.

Wspomina się i podkreśla rolę takiej polskości, myśląc o zagrożeniu dla tożsamości narodowej.

Sądzę, że zagrożone nie są więzi narodowe na elementarnym, odruchowym, plemiennym poziomie. Natomiast osłabienie kontaktu z Europą–normy grozi tożsamości narodowej pojmowanej jako tożsamość kulturowa. Nie jest to zresztą wyłącznie polskie ograniczenie. Żaden z europejskich narodów nie jest duchowo samowystarczalny i żaden nie może sobie pozwolić bezkarnie na obranie jakiejś własnej, całkowicie osobnej drogi. Wszystkie takie eksperymenty w dwudziestym wieku kończyły się tragediami całych narodów, a także Europy. Zarówno komunistyczne i „realistyczne”, jak i „postendeko-ludowe” oskarżenia Europy zdają się prowadzić do wniosku, że kulturową tożsamość narodową można w Polsce rozwijać niezależnie od Europy czy nawet wbrew Europie–normy. Nie należy przyjmować jednak stanowiska przeciwnego. Rozwój tej tożsamości narodowej jest ściśle związany z kontaktem z Europą, jeden winien towarzyszyć drugiemu. I tylko w trudnych, jak dzisiejsza, sytuacjach warto mówić o tym, co jest bardziej zagrożone, na co więc należy zwrócić baczniejszą uwagę. Skoro nie ma podstaw do obaw o siłę więzi narodowo-plemiennej na jej elementarnym poziomie, dbałość o duchowy związek z Europą–normy jest najważniejsza. Oczywiście, pozaeuropejska Polska pozostanie Polską, lecz można mieć wątpliwości, czy będzie to Polska, w której będziemy chcieli żyć.

A co Europa na to wszystko? Pomińmy Jaltę, porzućmy niewczesne żale i zastanówmy się, czy w ogóle, a jeśli tak, to na jakich warunkach Europa jest zainteresowana lub może się zainteresować Polską?

Nie warto także wdawać się w raczej beznaziejne uwagi na temat potrzeby moralności w polityce. Wprowadzenie przez prezydenta Cartera idei praw człowieka do polityki międzynarodowej oraz mniej więcej równoczesny i nagły wzrost siły niezależnych ruchów demokratycznych w Europie Wschodniej, a przede wszystkim w Polsce, niewątpliwie zmieniły nieco atmosferę polityczną. Są to zapowiedzi nowej koniunktury, jednak na jej in-

tensywniejszy i w konkretnej praktyce politycznej widoczny rozwój przyjdzie jeszcze dość długo poczekać. W obrębie aktualnej sytuacji geopolitycznej i w stabilnym układzie światowym możliwości manewru dla nawet najbardziej przejętych zasadami moralnymi sił politycznych są przecież niewielkie. To, co mało prawdopodobne w polityce obliczanej na miesiące, nie jest jednak wykluczone w politycznych planach długofalowych i o tym tylko będzie mowa.

Spośród rozmaitych instytucji powołanych do życia na skutek starań zwolenników idei Europy, czy to pan-Europejczyków z czasów jeszcze międzywojennych, czy to polityków, którzy ideę Europy i to właśnie Europy–normy uznali za najprzydatniejszą do uporządkowania powojennego świata, najbardziej może interesująca jest mieszcząca się w Strasburgu Rada Europy. W statucie tej organizacji uchwalonym w 1949 roku mówi się o „przywiązaniu do duchowych i moralnych wartości, które należą do wspólnego dziedzictwa społeczeństw i są rzeczywistym źródłem indywidualnej wolności, wolności publicznej oraz rządów prawa, zasad stojących u podstawy wszelkiej prawdziwej demokracji”. Jest to więc zbiór pryncypiów identyczny z naszym rozumieniem Europy–normy, a zatem Rada Europy nie jest instytucją założoną dla celów li tylko doraźnie politycznych. A jednak w całym statucie i w dokumentach towarzyszących oraz we wszystkich deklaracjach Rady powstałych w trakcie następnych trzydziestu lat nie ma nawet wzmianki o tych społeczeństwach europejskich, które czują się związane z Europą–normą, ale poddane innemu prawu chwilowo nie mogą uczestniczyć w Radzie Europy, w wysiłkach na rzecz europejskiej konferencji.

Podobne niepokoje i wątpliwości musi budzić polityka Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Z punktu widzenia doraźnych celów gospodarczych zroszumiła jest niechęć aktualnej „dziewiątki” do poszerzania składu EWG o takie kraje jak Grecja czy Hiszpania, kraje gospodarczo słabsze, więc jako partnerzy niezbyt pożądane. Prezydent

Grecji musiał zwrócić EWG uwagę, że wstrzymywanie się z decyzją o przyjęciu Grecji do wspólnoty może zagrozić wewnętrznej demokracji w tym kraju. Cóż dopiero, gdyby członkami EWG chciały zostać kraje Europy Wschodniej o tak przecież odmiennej strukturze gospodarczej i o tyle ekonomicznie słabsze. Znowu przed Europą staje ten sam problem: wymagania realistycznej, pragmatycznej polityki bieżącej uniemożliwiają działanie na rzecz wartości wyższych – idei praw człowieka, jedności Europy–normy.

Dopóki polityka europejska będzie uprawiana na zasadzie pogotowia ratunkowego, dopóty wszelka możliwość mnożenia wysiłków na rzecz wartości wyższych będzie wykluczona. A przecież jedność Europy–normy czy idei praw człowieka pojawiły się w polityce nie tylko i nie przede wszystkim ze względu na społeczeństwa żyjące w rozmaitych ustrojach totalitarnych, lecz w celu ratowania, ożywiania duchowych podstaw demokratycznego systemu zachodniego. Zapewne nowe pokolenia, na których edukację wpłynęło ideowe ożywienie lat sześćdziesiątych, stopniowo wniosą do polityki Europy jakieś nowe metody łączenia moralistycznych deklaracji z bieżąco-pragmatyczną praktyką, lecz jest to kwestia kilkunastu lat co najmniej. Jeśli w ciągu tych lat europejska polityka nie zacznie rozumować w kategoriach długofalowych, jeśli poprzestanie na ratownictwie zamiast prewencji, to jej siła może się tak dalece zmniejszyć, że nie będzie po co myśleć o „wielkiej polityce”.

Konkretnie i z polskiego punktu widzenia jest to postulat rozważania przyszłości europejskiej wspólnoty, umieszczenia w prognozach i analizach politycznych oraz w sferze celów praktycznych, umożliwiających realizację celów wyższych, pytań dotyczących przyszłości krajów Europy Wschodniej, ich ewentualnego miejsca w owej wspólnocie czy też konsekwencji stałego podzielenia Europy na dwa obce sobie światy. Bo wszelkie nasze wysiłki zmierzające do „europeizowania” Polski będą niepełne i mało skuteczne, jeżeli ogólnikowe

wsparcie moralne nie przeistoczy się w element politycznego planowania przeprowadzanego przez politykę zachodnią. Jest to trudny rachunek, jak zawsze, kiedy bieżące straty w zakresie spokoju politycznego i dobrobytu gospodarczego mają zostać wynagrodzone przyszłymi i niepewnymi zyskami duchowymi, ale jego szczegółowe wyliczenie już nie do nas należy.

Jest jeden tylko i ogromnie prymitywny argument, który możemy tu przedstawić. Jeżeli społeczeństwa wschodnioeuropejskie nie będą stopniowo włączały się w Europę, to wzrastała będzie siła tendencji antyeuropejskich. Tendencje te są wprawdzie dla tych społeczeństw zgubne, ale jeżeli będzie zanikało poczucie prawa, wolność jednostki i wolność publiczna staną się pragnieniem tylko nielicznych, a demokracja pojęciem niezrozumiałym, to mimo istnienia powierzchownych podobieństw w zakresie mody, zewnętrznego stylu życia i materialnych atrakcji społeczeństwa takie będą groźne dla przyszłości Europy.

Należy tu wspomnieć o europeizacyjnej funkcji Kościoła katolickiego, jedynej obecnie, ale przecież nie czysto politycznej siły, która zdolna jest przeciwdziałać takim tendencjom w Polsce i która rozumuje w kategoriach długofalowych. Idee zawarte w pojęciu Europy–normy są bliskie ideom moralnym i społecznym Kościoła, a jego wyraźne, zwłaszcza w ostatnim okresie, zainteresowanie problematyką europejską, dobitnie ujawnione w trakcie pobytu w Niemczech delegacji polskiego episkopatu, pozwala na ogromnie umiarkowany optymizm w każdym razie co do tego, że wizja Europy–normy nie zostanie całkowicie zapomniana.

Co natomiast możemy zrobić my, żyjący w tym drugim świecie, poza „żelazną kurtyną”? Skoro sądzimy, że europejskość leży w naszym interesie narodowym, powinniśmy utrzymywać z aktualną Europą możliwie ścisły związek i przede wszystkim nauczyć się mówić europejskim językiem, wypowiadać w tym języku nasze poglądy polityczne. Potrzebny jest język geopolityki, rachunku sił, programowania politycznego, wiedza na temat

reguł dyplomacji, a także na temat historii myślenia o wspólnocie europejskiej, polskiego udziału w takich dawniejszych staraniach, przeszkód, które wysiłki te utrudniały. I wreszcie rozeznanie w sprawach Europy Wschodniej, polityki krajów sąsiednich, a także wyrobione poglądy na takie tematy jak stosunki polsko-radzieckie czy polsko-niemieckie w bliższej i dalszej przyszłości. Takiego sposobu mówienia i myślenia o polityce, takiego stylu myśli politycznej nie można poznać i nie można nauczyć się nim posługiwać, jeżeli nie towarzyszy się na bieżąco losom Europy. I możemy spierać się co do tego, w jak znacznym stop-

niu dzisiejsza Europa wciela Europę-normy, lecz od tej dzisiejszej Europy musimy uczyć się myśleć i mówić o polityce, bo nie ma od kogo innego.

Aut Europa, aut nihil. Pierwszy krok to jasne uświadomienie sobie takiego stanu rzeczy. Następny to europeizacja naszego myślenia, przede wszystkim myślenia o polityce. Nie możemy na takich wysiłkach nic w każdym razie stracić. A czy teoretyczna niepodzielność Europy-normy znajdzie w przyszłości praktyczne potwierdzenie, to już nie tylko od nas zależy, od nas jednak zależy, czy do współobecności w takiej Europie będziemy przygotowani.

EMOCJE ŻYCIA, EMOCJE LITERATURY

TOMASZ ŁUBIEŃSKI

ANKA KOWALSKA, *Folklor tamtych lat*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2011, ss. 328.

1. Jak to się szczęśliwie złożyło, że Manuela Gretkowska urodziła się zbyt późno, aby zaangażować się (gdyby miała taką fantazję) w opozycję demokratyczną lat siedemdziesiątych. I że pod koniec lat osiemdziesiątych udała się do Paryża. Bo mogłaby później obdarzyć czytelników literacko-erotyczną wizją tamtego środowiska z domyślnym kluczem personalnym w rodzaju tego, jaki zastosowała w *Transie*, swojej przedostatniej powieści. Ale byśmy się dowiedzieli! O etosie na styropianie, ewolucji rewolucji. Różnych rzeczy. Wszystkiego o wszystkich. A nawet więcej. Kto z kim. Kiedy, gdzie. I, co szczególnie ważne, jak.

Ta ulga powraca podczas czytania *Folkloru tamtych lat* Anki Kowalskiej. Tekstów z tamtej, historycznej już epoki, której autorka była świadkiem i aktywistką. A także jej wspomnień przywoływanych ze zrozumiałą emocją, ale prawie bez patosu. Zwłaszcza w wywiadach, które z Anką Kowską przeprowadziła Ewa Milewicz, zwraca uwagę poczucie dystansu i humoru pisarki. W znakomitym wstępie Teresa Bogucka podnosi fakt, że obecnie wciąż tropi się w niedalekiej przeszłości sensacyjne kłótnie, ambicjonalne rozgrywki, niską motywację. Takiemu spojrzeniu będą ogromnie sprzyja-

ły i służyły materiały Służby Bezpieczeństwa. Ale teksty Anki Kowalskiej nic tu nie wniosą.

Inna sprawa, co dzisiaj myśli, mówi (najchętniej w telewizji), jak wygląda ten czy ów naprawdę zasłużony dla sprawy. Bo naturalnie odważni chłopcy z tamtych lat bardzo się zmienili. Zrozumiałe, że urosły im brzuchy, zgrubiała skóra, powykrzywił się kręgosłup. Jasne niegdyś oczy patrzące prosto w oczy przygaskły albo zrobiły się rozbiegane. A to, co głoszą i jak sami żyją, już niedokładnie się zgadza. Działa tu również prawo Wałęsy o punkcie widzenia zależnym od punktu siedzenia. Swoją udział w naturalnym procesie przemijania („byli chłopcy, byli, ale się minęli”) ma również to, co ich spotkało. Polityka, władza, czyli mówiąc po angielsku *power game*. A także sukces, również ten sprawiedliwy, bo – jak mówi filozof – „ten, kto raz usłyszy oklaski, już nigdy nie będzie niewinny”.

Wiadomo oczywiście, że nie po to się narażali. Przecież na ludzki rozum biorąc, brak było przesłanek, że wszystko dobrze się skalkuluje. Co prawda Władysław Bartoszewski ostrzegał, że opłaca się być porządnym człowiekiem. Ale tu w grę wchodziło ryzyko o trudnych do przewi-

dzenia konsekwencjach. Mimo doraźnej taktyki i wizyjnej strategii. Nie było widać wielkich szans, więc pozostawała nadzieja.

Grupa trzymająca opozycyjny rząd dusz (przez pewien czas Komitet Obrony Robotników miał na to dzielnie wywalczony, pilnie strzeżony monopol) po szekspirowsku spodziewała się najlepszego i była przygotowana na najgorsze. Cieszyło każde powodzenie, jakiś postęp, ale o zwycięstwie można było marzyć raczej w kategoriach moralnych. I to przez długi czas okazywało się wystarczające dla aktorów i opozycyjnej publiczności.

Folklor tamtych lat opisuje piękny, ubiegły czas bezinteresownej, solidarnej ofiarności. Ambicji, które udawało się podporządkować sprawie. Wewnętrznej wolności, jaką przynosi wyzwanie rzucone przemocy kłamstwa. Anka Kowalska denerwuje się i gorszy pierwszymi objawami braku zaufania, nielojalności. Które z czasem (tego do czekała) urosły do rozmiarów przesłaniających wspólną pamięć. Wypada jednak wierzyć autorce, że tamto życie, wtedy przedmiot podziwu coraz liczniejszych sympatyków i kibiców opozycji, było nie tylko słuszne, ale również atrakcyjne. A co dotyczy niesłuchanie ważnej dla zamkniętego, choć otwartego środowiska sfery prywatnej, Anka Kowalska w sposób mało zrozumiały dla dzisiejszych potrzeb czytelniczych daje lekcję przykładowej elegancji. Jest tutaj prawdziwą profesjonalistką: wobec tego, co kiedyś było nielegalne, nieoficjalne, obowiązuje nadal dyskrekcja. I późniejsza jawność, uznanie nie ma tu nic do rzeczy. Bo właśnie jeżeli chodzi o tajemnice osobiste, po co niby osoba niepowołana a ciekawska miałyby uzyskać do nich dostęp.

Jest Anka Kowalska dyskretna, poczynając od samej siebie. W *Folklorze* brak wskazówek czy aluzji prywatnych. Nie sposób z książki się dowiedzieć, co znaczyły dla autorki niektóre wymienione nazwiska. Anka Kowalska świetnie rozumie, jak ważny jest dla ludzi służących idei element osobistej fascynacji, również erotycznej. Pod tym względem starsi panowie reprezentują w KOR tra-

dycyjny męski wdzięk imponującą spokojną odwagą. Zaś młodzi aktywiści i przywódcy Komitetu to po prostu urodzeni, utalentowani uwodziciele. W stosunku do mężczyzn używają również szantażu moralnego. Na kobiety rzucają czar, odwołują się do tradycyjnego etosu przydatności i poświęcenia. Do roli niepoprawnie służebnej, ale niezbędnej. I w sumie, tradycyjnie patrząc, szczęśliwej. Kosztem własnych bieżących ambicji? Zapewne. Czyli komponowanie kanapek. Także w metaforycznym sensie.

2. Jak Anka Kowalska widzi swoją rolę w tym środowisku? Kowalska? „Taka przynieś – podaj do wszystkiego”. To jakieś nawiązanie do polskiego stylu życia patriotyczno-osobistego, nazwijmy go romantycznym. Praktykowanym przez wiele pokoleń. Mężczyźni ryzykowali i poświęcali się dla sprawy. Ale także, przy okazji, by pozyskać przychylność swoich wybranek, przez które czuli się powołani do czynu. „Bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mnie woła [...] niepodległość Polski to twoja rywalka”. Dziwnie brzmi ta piosenka? Ale była chętnie i skutecznie śpiewana. Bo owa rywalka sprzyjała miłości. To dzięki niej omijano konwencje, łagodzone surowość obyczajów. Grzech w patriotycznym afekcie mógł zasłużyć na wybaczenie. Dziewictwo np., traktowane przecież jako ważny element posagu, można było powierzyć młodemu ułanowi w nadziei zwycięstwa albo jako nagrodę pocieszenia po klęsce. A jeśli ułan zginął, co też wypadało przewidzieć, tamto spotkanie zostawało w pamięci. Nie wadząc dalszemu życiu, które mogło być, czemu nie, długie i szczęśliwe. Zarówno chwila zapomnienia się, jak i oczekiwanie, wierność po grób, były patriotycznie zrozumiałe.

Słowem, matka-Polka miała niepisane prawo do romantycznej przeszłości. Byłe się o tym nie pisało ani głośno nie mówiło: tradycja rodzinna chroniła swoje tajemnice. W związku z tym trudno o źródła, aby metodą ilościową lub jakościową badać intymne zachowania w okresie powstań narodowych. Na przykład statystyczny udział seksu

oralnego, którymi to problemami we współczesnych realiach interesują się ideologicznie nasze niemordowane edukatorki seksualne.

Obie rywalki z piosenki, „dziewczę zdrowe” i „niepodległość Polski”, wspólnie lojalnie ukształtowały pewne wzorce postaw. W patriotycznej legendzie przynajmniej, polecanych i podziwianych u młodych kobiet i mężczyzn, którzy postanowili wspólnie działać dla sprawy. Sięgając ponad półtora wieku wstecz, można by ułożyć na podstawie poezji i muzyki oraz sztuk pięknych całą galerię postaci i scen, które dziś określilibyśmy jako seks-symbole.

A więc dobrze zbudowany powstaniec styczniowy, którego żegna, a właściwie dysponuje na bój, żona lub narzeczona w korzystnej wyszczuplającej, czarnej sukience.

Bojowiec – zamachowiec z 1905 r., pod rękę z wytworną, pachnącą elegantką, żeby zmylić żandarmów.

Żołnierz lub ochotnik bitwy warszawskiej 1920 r.: jeśli wyzdrowieje przy pomocy ślicznej pielęgniarki w przyfrontowym szpitalu, awansuje po tej wojnie na oficera (najlepiej kawalerzystę), króla życia, którego jeszcze parę dziesiątków lat później będzie można bezbłędnie rozpoznać. Choć w cywilu i bez ordynansa. Po butach wyczyszczonych na błysk.

Dalej akowiec, według praktycznej konspiracyjnej mody: cholewy, długi płaszcz, pod którym można schować broń. Ten zwracający wroga uwagę wygląd mógł kosztować utratę wolności albo życia. Również w pierwszych latach po wojnie. Ale był też owiany legendą akowiec czy andersowiec w berecie zwyczajnym rywalem dla młodych amantów w PRL.

Wreszcie działacz Solidarności. Z plecaczkiem. Od niedawna brodaty i wąsaty. Zawsze inaczej niż w dowodzie osobistym. Co utrudniało identyfikację czujnym, wściekłym na to esbekom. Podobnie jak – tu kłamra historyczna – szpiegom w 1863 r. Im było jeszcze trudniej, bo dysponowali tylko rysosem.

A teraz o kobietach, z którymi w taki czy inny sposób mieli do czynienia bojownicy za sprawę. Poczynając od panny Krysi, zapewne szlacheckiego pochodzenia, którą młody ułan prosi do ostatniego przed bitwą mazura. Wiejskiej dziewczyny spotkanej przy studni, co było dla ułana sytuacją obiecującą. Mężatki, której przydałoby się trochę patriotycznego szaleństwa. Konspiratorki, kurierki, co wykorzystuje swój uśmiech, żeby uspić czujność wroga, a to umożliwi przekazanie rozkazów, ulotek, książek zbójceckich, a może materiałów wybuchowych. Młodziutkiej łączniczki i sanitariuszki zakochanej w swoim rannym. Pani opiekującej się więźniami albo czule ukrywającej poszukiwanego. A wszystkie one to niekoniecznie szare myszki, okularnice z nadwagą, nudne, podstarzałe panny. Również kobiety piękne i młode, którym spodobало się żyć po coś, ryzykownie. Niestety wiele spośród nich opuściło niewygodną ojczyznę.

I wreszcie wybitne artystki życia i twórczości. A w KOR Halina Mikołajska i Anka Kowalska.

3. Anka Kowalska oddaje się do dyspozycji KOR bezwarunkowo i bezinteresownie. „Lubiłam ładnie wyglądać, ładnie się ubierać, wiodłam miłe życie towarzyskie” – wspomina. Ale sama zmieniła swój los, więc pisze: „nigdy nie miałam do losu pretensji”. Przyznaje się do różnych refleksji i nastrojów. „Jak ja zazdrościłam każdemu, kto wracał do żony, rodziny, czyjejs troskliwości, do talerza gorącej zupy”. Ale widzi też dobre strony swojej sytuacji. „Czułam, że i tak mam szczęście, mnie od rodziny nie oderwali. Nie musiałam bać się o dzieci”. Zdaje sobie z tego świetnie sprawę internowana w stanie wojennym. A w swoich reakcjach i obserwacjach pozostaje sobą. Oto spotyka się z Janem Józefem Lipskim, aby zaproponować swoją współpracę. A po latach prócz ważnej rozmowy pamięta: był to „pierwszy mężczyzna, na którego czekałam pokornie przez czterdzieści minut”. Z okazji pierwszej domowej rewizji notuje: „Otworzyłam im w szlafroku. Weszło trzech. Jeden

bardzo przystojny". Konstatuje, że właśnie „przynies – podaj do wszystkiego” dla sprawy przynosi jej satysfakcję. Tu i ówdzie wspomina *Pestkę*, swój sukces literacki sprzed odległych kilkunastu lat, który nie ma już dla niej wielkiego znaczenia.

W tej powieści zaczytywało się wiele pokoleń wchodzących w życie młodych kobiet. *Pestka* miała szereg wydań. Doczekała się po latach – niezbyt udanej zresztą – ekranizacji. Nie istnieje natomiast w powojennej historii literatury. I tu okazuje się Anka Kowalska doskonale odporna na powszechną w środowisku pisarskim chorobę literacką. Od której prawie nikt nie jest wolny. Ani śladu u Anki Kowalskiej poczucia literackiej krzywdy, zмовy, wykluczenia. Jak również nadziei, że jej opozycyjne zaangażowanie *Pestce* pomoże, *Pestkę* przypomni. Bo niewątpliwie jest faktem, że zaszkodziło tej powieści wydanie przez Instytut Wydawniczy PAX. Książki ukazujące się w PAX-ie na ogół przemilczano. Dla młodego pisarza, który tam debiutował, naprawdę lepiej było we własnym interesie poszukać innego wydawcy. A debiutowali wybitni, np. Zbigniew Herbert, Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll. Instytut Wydawniczy korzystał z rozszerzonej licencji na pewne tematy. W tym religijne czy akowskie. Ale w środowisku literackim płaciło się za ideologię i politykę Stowarzyszenia. A zresztą jeśli powieść dało się zakwalifikować jako katolicką, mogła liczyć raczej na pobłażliwą ironię. Miało się to wkrótce zmienić, ale póki co nic nie zapowiadało zawrotnej, opiniotwórczej kariery „Tygodnika Powszechnego”. W Krakowie potężną dla niego konkurencją było „Życie Literackie” Władysława Machajka. Wszelki antyklerykalizm był nie tylko modny, ale dobrze odgórnie widziany.

4. Trudno z sympatią wspominać lata naszej małej stabilizacji. Salon warszawski w niejednym przypominał ten mickiewiczowski. I trzeba było dopiero przedstawienia Dejmkowskiach *Dziadów* z konsekwencjami, żeby obudził się z niezdrowego, konformistycznego snu. W *Portretach lat*

Jakub Karpiński zestawia obok siebie wydarzenia tego samego roku. W 1960 r. ukazały się *Bramy Raju* Jerzego Andrzejewskiego, wystawiono *Kartotekę* Tadeusza Różewicza, wyświetlono *Zezowate szczęście* Andrzeja Munka. I wykonano wyrok na Bolesławie Dedo, garbarzu z Radomia. Dwa lata później Annę Rudzińską, sekretarkę Klubu Krzywego Koła, skazano na rok więzienia za kontakty z Jerzym Giedroyciem. Ale ukazał się *Barbarzyńca w ogrodzie* Zbigniewa Herberta. Rok 1965 przyniósł *Tango* Sławomira Mrożka, *Salto* Tadeusza Konwickiego. A Stanisława Wawrzeckiego powieszono w tzw. aferze mięsnej.

Anka Kowalska charakterologicznie i politycznie źle znosiła podwójną peerelowską rzeczywistość. Od czasów licealnych. Dobrze wspomina natomiast studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, choć były to najgorsze stalinowskie lata. Potem przystosuje się do świata, o którym nikt nie mógł przypuścić, że jest urządzony tylko prowizorycznie. Żyjąc w rezerwacie PAX-u, który był również przechowalnią (niektórzy nie chcą się do tego przyznać) wielu porządných ludzi.

Ale po wydarzeniach marcowych wszystko będzie już inaczej. Kowalska demonstracyjnie występuje ze Stowarzyszenia PAX: to jej protest, weto przeciwko stanowisku PAX-u wobec tych wydarzeń. A jednak, ku swojemu zdziwieniu, nie traci redaktorskiej posady w Instytucie Wydawniczym. Coraz głębiej zapada w emigrację wewnętrzną. I kiedy latem 1976 r., po zajściach w Radomiu, pseudoludowa władza ucieka się do przemocy i kłamstwa, powodowana moralnym impulsem Kowalska zgłasza się do KOR. A po dwóch miesiącach zostaje do niego przyjęta. Skromna i dyspozycyjna zdobędzie zaufanie również ludzi zupełnie innej ideowej formacji. Uczestniczy w wyprawach do sądu w Radomiu. Fachowo redaguje korowski „Komunikat”. I znów, jak po marcu 1968 r., jest pewna zwolnienia z pracy, do którego jednak nie dochodzi. Podobnie dzieje się z jej przyjaciółmi w Instytucie, którzy z potrzeby serca i sumienia, a także dla pięknych

oczu Anki Kowalskiej włączyli się w działalność opozycyjną.

Decyzję, że Kowalska pozostanie w Instytucie (będzie teraz pracować głównie w domu), musiał podjąć jej zdaniem Bolesław Piasecki. O tym, że obcy był jej wszelki koniunkturalizm, również towarzyski, świadczy jej listowna polemika z Janem Józefem Lipskim. Pisarka broni – na ile wydaje się to jej możliwe i słuszne – Piaseckiego jako człowieka. Jest w tym również szacunek wobec własnego życia: trzeba bowiem uznać, że w stosunku do Anki Kowalskiej PAX zachował się przyzwoicie.

Tym bardziej że dla PAX-owskiego środowiska musiała być problemem znacznie wcześniej. Co nie dotyczyło polityki, ale życia i literatury pospołu.

5. *Pestka*, którą PAX wydał prawie pół wieku temu (dokładnie w 1964 r.), wciąż robi wrażenie przenikliwością psychologiczną trzydziestoletniej wówczas autorki. Brak w powieści tzw. momentów, które we współczesnej literaturze często przestają być momentami, właściwie składają się na ciągłą narrację. (Moi znajomi, idąc na polski film, zakładają się, po ilu minutach, sekundach, zobaczą scenę seksu). *Pestka* jest drastyczna inaczej. Opiewa grzeszną miłość. Serio. Bo jest w *Pestce* nierozstrzygnięty przez autorkę konflikt życia i wartości. Grzeszną w klasycznym trójkącie. Nie tylko w rozumieniu konfesyjnym (to zawsze wywoła oświeceniowy uśmiech). Również w sensie ludzkim, życiowym, społecznym. I tej zakazanej miłości ma być przeciwstawiony poprawny w sensie cywilnym i kościelnym związek małżeński? Gdzie zamiast uczucia rządzą obowiązki? Gdzie pełno okrucieństwa i krzywdy, a hipokryzji towarzyszy zdrada? Oczywiście autorka bierze stronę namietności, ale nie cofa się przed przyjęciem jedynie możliwego, tragicznego rozwiązania. Jest niewątpliwie w jakimś sensie *Pestka* polskim, współczesnym wariantem *Anny Kareniny*, co wydaje mi się komplementem, bo mowa o miłosnej powieści wszechczasów.

Patrząc przez pryzmat nauki moralnej Kościoła (jeżeli taka nauka istnieje), *Pestka* mogła wydać się mocno ryzykowna. Wówczas i obecnie. Co prawda w latach, kiedy odnosiła czytelniczne sukcesy, Kościół nie interesował się seksem tak jak dziś. Miał poważne polityczne problemy. A PAX musiał dbać o swoją reputację, bo władzom był potrzebny jako ugrupowanie katolickie, nie mógł więc tej licencji stracić. (W swoim czasie *Zagadnienia istotne* Bolesława Piaseckiego oraz tygodnik „Dziś i Jutro” trafiły nawet na kościelny indeks). *Pestka* byłaby w stanie dodatkowo niepotrzebnie rozdrażnić hierarchię. Siłą, a zarazem niejednoznacznością swojego przesłania. Co więcej, główne, a myślę, że również drugoplanowe postacie powieści można było nieomylnie zidentyfikować w Instytucie Wydawniczym PAX. Na czele z główną protagonistką, którą chyba oficjalnie wolno uznać za najbliższe wcielenie autorki: świadczy o tym również gorący klimat *Pestki*, miłosny albo nienawistny. A jednak, mimo że wielki niepoprawny romans wydarzył się naprawdę i – mało tego – został powieściowo co prawda, ale wymownie ujawniony, nie doszło do dramatu w życiu. Odwrotnie niż w powieści, która kończy się tragicznie. Może również dlatego, że sprawa rozegrała się w wąskim środowisku. Że PAX znajdował się w towarzyskiej półizolacji. I że jeśli nawet się wiedziało, takie czasy, to nie mówiło się o tym rozgłośnie. Może hipokryzja łagodzi jednak obyczaje, sprawia, że nie sędzimy innych. Abyśmy, to wcale nie głupie, sami nie byli sądzeni. Że pewnych rzeczy robić po prostu nie wypada i nie ma to jakiegogo bezpośredniego związku z religią. Co trudno wytłumaczyć w epoce zdumiewających sporów o jasne jak czerwcowe Euro chamstwo spółki Wojewódzkiego i Figurskiego. Niereformalnych, chyba że chciałby z nimi porozmawiać któryś z braci Kliczko.

6. Porzucając felietonowe moralizowanie, warto może pomyśleć, co łączy *Pestkę* i *Folklor tamtych lat*, pisane na różnych etapach życia autorki,

w odmiennym czasie historycznym. Żeby tylko nie brzmiało to zbyt podniośle, bo mówiono o Ance Kowalskiej, że była jak rajski ptak, barwny motyl, a potem z równą naturalnością znosiła niewygodę opozycji, traumę internowania, ciężkie cierpienie w chorobie. I nigdy nie domagała się niczego za swoje zasługi, uważając, najśluszniej i najtrudniej zresztą, że dana jej możliwość, okazja działania na rzecz prawdy już była godziwą zapłatą. Otóż

zdaje się wynikać z biografii i twórczości Anki Kowalskiej, że emocja życia jest jednak ważniejsza od kochanej skądinąd literatury. I przekonanie, że wierność sobie stanowi pierwsze prawo i obowiązek człowieka, który bierze jednak pod uwagę, że nie jest sam, a w dodatku ma niebo gwiazdzone nad sobą. I że pomagając skrzywdzonym i poniżonym, można z powodzeniem kochać innego jak siebie samego.

KOR W OCZACH HISTORYKA

JERZY HOLZER

JAN SKÓRZYŃSKI, *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*, Świat Książki, Warszawa 2012, ss. 589.

Niemal jednocześnie ukazały się dwie książki o zbliżonej tematyce. Andrzej Friszke we wrześniu 2011 r. wydał w Znaku obszerną (600 stron) monografię *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności*. Jan Skórzyński w maju 2012 r. opublikował w Świecie Książki niemal równie obszerną pozycję *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników*. Jak podaje, jego książka znajdowała się już u wydawcy, kiedy ukazało się dzieło Andrzeja Friszkego. Trudno tu mówić o konkurencji, bo Skórzyński w swych *Podziękowaniach* pisze: „Wiele też zawdzięczam rozmowom z prof. historii Andrzejem Friszkiem, znakomitym znawcą historii opozycji demokratycznej”.

Choć obie monografie opierają się na podobnych źródłach i często omawiają te same zagadnienia, sporo je różni. Książka Friszkego jest zgodnie z tytułem biografią Jacka Kuronia, choć na szerokim tle wydarzeń w Polsce, a zwłaszcza dziejów Komitetu Obrony Robotników. Książka Skórzyńskiego jest monografią KOR, choć oczywiście sporo uwagi poświęca on Kuroniowi jako jednemu z głównych, ale nie jednemu ważnemu przedstawicielowi Komitetu. Nie jest jednak moim zamiarem porównywać czy recenzować obie publikacje. Skupiam się dalej na książce Skórzyńskiego.

Absolwent studiów historycznych w Uniwersytecie Warszawskim, Skórzyński przez sporo lat parł się dziennikarstwem, m.in. jako zastępca redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”. Stale łączył to jednak z pisarstwem historycznym, a po odejściu w 2006 r. z „Rzeczpospolitej” zdecydował się skupić na pracy badawczej z zakresu najnowszej historii Polski. Obronił rozprawę doktorską. Książka o Komitecie Obrony Robotników jest podstawą przewodu habilitacyjnego.

Baza źródłowa publikacji jest szeroka. Skórzyński wykorzystał archiwalia znajdujące się w Instytucie Pamięci Narodowej, choć może szkoda, że w wykazie źródeł nie zaznaczył, że są to materiały wytworzone przez Służbę Bezpieczeństwa. Konfrontował je ze źródłami znajdującymi się w archiwum Ośrodka Karta, wytworzonymi przez KOR, ale także bardziej osobistymi, z przejętych przez Kartę kolekcji członków i współpracowników KOR oraz z istotnymi dla ostatniego okresu istnienia KOR materiałami ze Stowarzyszenia Archiwum Solidarności.

Oprócz źródeł archiwalnych Skórzyński wykorzystał prasę drugiego obiegu, drukowane zbiory źródeł (te w znacznej mierze pochodziły z tych samych archiwów, w których pracował) i kilka

tekstów czołowych przedstawicieli opozycji oraz szczególnie liczne relacje i wspomnienia, głównie osób związanych z KOR, ale także przedstawicieli ówczesnych władz państwowych i partyjnych.

Bardzo obszerny jest wykaz literatury – naukowej, popularno-naukowej i publicystyki. Zawiera łącznie artykuły oraz książki dotyczące bezpośrednio dziejów KOR, ale także szerszego tła europejskiego i polskiego. Skórzyński miał więc możliwość interpretacji porównawczej dziejów opozycji polskiej, choć w książce znalazło to tylko skromne odbicie, dotyczące głównie Czechosłowacji i Związku Radzieckiego.

Autor *Siły bezsilnych* sprawnie dysponuje warsztatem badawczym historyka, a w pewnej mierze też politologa. Informacje i poglądy zawarte w źródłach i literaturze poddaje krytyce. W miarę możliwości dokonuje konfrontacji źródeł o różnej proveniencji. Doceniając wartość źródeł wytworzonych przez Służbę Bezpieczeństwa, ostrzega przed ich prymitywnym wykorzystywaniem, charakterystycznym w ostatnich latach dla wielu prac badaczy młodych i pozbawionych doświadczenia.

Skórzyński w *Uwagach o źródłach i literaturze przedmiotu* sformułował i konsekwentnie stosował zasady dotyczące wykorzystywania materiałów policyjnych: „Dzięki nim możemy akcje opozycji precyzyjnie usytuować w miejscu i czasie, poznać wielu aktorów wydarzeń i zajrzeć do politycznej kuchni, gdzie przygotowywano kolejne posunięcia. Warto jednak pamiętać, że przytaczane w nich dyskusje i oceny, w tym ostre niekiedy sądy personalne, wypowiedziane przez opozycjonistów, nie były przeznaczone do publikacji... Obraz opozycji zbudowany na podstawie podsłuchanych fragmentów konwersacji zanotowanych przez niezbyt złośliwego i skupionego na szukaniu konfliktów obserwatora byłby więc fałszywy”.

Może dodać tu należałoby, że funkcjonariusze i tajni współpracownicy SB reprezentowali bardzo różny poziom intelektualny i bardzo różną wiedzę o środowisku. Dotyczy to zwłaszcza współpracowników. Byli wśród nich znakomici „fachowcy”, jak

Lesław Maleszka, ale także mało wyrobieni i słabo orientujący się w realiach opozycji studenci, jak cytowana w książce agentka „Elżbieta”. Skórzyński dostrzega zresztą ten problem w swej narracji, choć nie wspomniał o nim w *Uwagach*. Brakuje mi też próby bardziej całościowej charakterystyki grupy agentów inwigilujących KOR. Czy istniały cechy wspólne, jak dalece się różnili, kim byli, skąd się wywodzili, jak byli w środowisku opozycyjnym umieszczeni?

Struktura monografii jest w zasadzie chronologiczna, co dotyczy przede wszystkim podziału na rozdziały. W rozdziałach pojawia się, przynajmniej częściowo, układ problemowy. Tak więc np. podrozdział „Zapis” i *narodziny niezależnej poligrafii* zawiera informacje dotyczące dość długiego (jak na czteroletnią działalność KOR) okresu, od lata 1976 do czerwca 1977 r. Tego rodzaju odstępstwa nie budzą wątpliwości, bo dogmatyczne stosowanie narracji chronologicznej niepotrzebnie nadawałoby książce charakter kronikarski.

Pierwsze cztery rozdziały, a częściowo i piąty, ponad sto stron książki, dotyczą prolegomenów utworzenia KOR. Są to sprawy, o których już sporo pisano, ale Skórzyński referuje je w uporządkowany sposób, wprowadzając także rozmaite nowe informacje. Nietrudno zauważyć, że w porównaniu z książką Andrzeja Friszkego sporo spraw się powtarza, ale też sporo się uzupełnia.

Pierwszy rozdział w bardzo syntetycznej formie omawia pierwsze lata władzy ekipy Gierka, natomiast znacznie obszerniejszy drugi rozdział dotyczy kształtowania się środowisk opozycyjnych. Skórzyński celnie wyróżnia wśród młodzieżowych cztery z nich: „komandosów”, harcerzy z Czarnej Jedyńki i Gromady Włóczęgów, młodszych działaczy warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej oraz grupy studentów historii z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Może należało tu dodać grupę, o której mowa w innym miejscu, związaną z represjonowanym na początku lat siedemdziesiątych Ruchem. Dość obszernie pisze też Skórzyński o dwóch środowiskach seniorów – jednym

wywodzącym się z tradycji Polskiej Partii Socjalistycznej, drugim skupiającym pisarzy i artystów.

Rozdziały trzeci i czwarty, a częściowo także piąty, ukazują drogę do porozumienia między tymi środowiskami, różnymi z racji wieku i poglądów politycznych. Dwa wydarzenia odgrywały przy tym najbardziej istotną rolę, najpierw w 1975 r. protest przeciw zmianom w konstytucji, potem w 1976 r. brutalna policyjna rozprawa z robotniczym sprzeciwem wobec podwyżek cen i organizowanie pomocy dla pokrzywdzonych.

Ważnymi fragmentami *Siły bezsilnych* są dane dotyczące członków KOR. Inna sprawa, że wołałbym, aby były one w sposób zwarty i wedle takiego samego schematu przedstawione w osobnym rozdziale czy podrozdziale, a nie porozrzucane w różnych miejscach książki. Może łamiąc i w tym przypadku chronologię, należało to zamieścić w początkowej części książki?

Rozdziały szósty, siódmy i ósmy, w zasadzie skonstruowane chronologicznie, łączą trzy zagadnienia o odrębnym charakterze. Jedno to ciąg dalszy akcji pomocy dla robotników Radomia i Ursusa. Drugie – w miarę krzepnięcia KOR oraz wraz z pojawieniem się konkurencyjnej inicjatywy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela – coraz bardziej intensywne dyskusje nad bardziej perspektywicznym programem działania. Trzecie – rozpoczęcie i rozwijanie informacji i propagandy słowem pisanym, najczęściej powielanym, jako głównej poza akcją pomocy formą działania.

Odrębny charakter ma rozdział dziewiąty, który koncentruje się wokół wydarzeń związanych ze śmiercią Stanisława Pyjasa, manifestacji opozycyjnych i represji, a w końcu cofnięcia się władz komunistycznych, amnestii obejmującej opozycjonistów oraz aresztowanych robotników z Radomia i Ursusa, konieczności nowego zdefiniowania zadań KOR.

Kolejne rozdziały to dzieje KOR przekształconego w Komitet Samoobrony Społecznej KOR. Zmiana nazwy odpowiadała znacznemu rozszerzeniu pola działania. Różne pojawiające się inicjatywy –

Studenckie Komitety Solidarności, Wolne Związki Zawodowe, niezależne organizacje chłopskie i Towarzystwo Kursów Naukowych – miały jednak charakter autonomiczny, choć przynajmniej częściowo powstały z inicjatywy członków i współpracowników KOR oraz pozostawały z nim w kontakcie. W rozdziałach tych uwzględnione zostały także międzynarodowe relacje członków KOR.

Rozdziały czternasty i piętnasty dotyczą działalności KOR w miesiącach poprzedzających kryzys polityczny 1980 r., a następnie roli jego członków w tworzeniu i działalności Solidarności. Dość obszernie potraktował także Skórzyński spór, do jakiego doszło po decyzji KOR o samorozwiązaniu, podczas obrad I zjazdu Solidarności. Choć podziały personalne były tu bardzo odmienne od tych, które wystąpiły w III Rzeczypospolitej, nietrudno zauważyć, że merytorycznie miały one podobny charakter.

Za szczególnie ważne uważam dokładne i zdystansowane przedstawienie występujących w KOR różnic poglądów. Stopniowe ich nasilanie się, aż do poziomu konfliktów, pozwala zrozumieć późniejszy bieg wydarzeń, o których Skórzyński już nie pisze, w latach osiemdziesiątych, a zwłaszcza podczas transformacji systemowej i po dziś dzień. Zarazem możemy sobie zanotować też rozmaite zmiany konfiguracji personalnych w porównaniu z czasami KOR, choćby zaskakującą drogę Jana Olszewskiego od działalności masońskiej i pozycji bliskich socjaldemokracji do bliskiej współpracy z prawicową i poszukującą partnera w Radiu Maryja partią Prawo i Sprawiedliwość.

Czy *Siła bezsilnych* jest obiektywnym naukowym wykładem? Jeżeli chodzi o wewnętrzne problemy KOR i nawet całej opozycji lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych, odpowiedź wypada pozytywnie. W niewielu jedynie miejscach dostrzec można, słabo zresztą akcentowane, sympatie Skórzyńskiego. Potrafi on równie dobrze poddawać krytycznej ocenie niektóre ówczesne poglądy obu głównych postaci sporów wewnątrz KOR – Jacka Kuronia i Antoniego Macierewicza.

Skórzyński nie kryje natomiast swych podstawowych sympatii ideologicznych i politycznych, co wyraża już tytuł jego dzieła. Trzeba sobie zadać jednak zasadnicze pytanie: jak dalece badacz zajmujący się problemami nadal ważnymi dla współczesności unikać może samookreślenia? Jest albo po stronie dyktatury, albo po stronie demokracji. Jest albo po stronie prześladowczych, albo po stronie prześladowanych. Takie samookreślenie winno być pozbawione słownej agresji, ale uniknąć się go nie da.

Piszę to także ze względu na własne doświadczenie. Znany socjolog polityki, bliski wówczas kręgom rządzących, zarzucał mojej historii le-

galnej Solidarności lat 1980–1981 brak obiektywizmu. Miał w pewnym sensie rację, ale zarazem określał to tak, jakby istniały wówczas jakiekolwiek możliwości, by stanąć ponad czy obok historycznego, ale nadal aktualnego sporu i zająć wobec niego neutralną pozycję.

W sumie książka Skórzyńskiego jest ważnym wkładem w badania najnowszych dziejów Polski. Można zaryzykować tezę, że wraz z książką Andrzeja Friszkego wyczerpuje ona podstawowy zasób źródeł do dziejów Komitetu Obrony Robotników. Zapewne przyszli badacze mogą jeszcze spierać się o interpretacje, ale raczej już nie o fakty.

KUROŃ, CZYLI ETOS POLSKIEJ INTELIGENCJI

PAWEŁ SOWIŃSKI

ANDRZEJ FRISZKE, *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności*, Wydawnictwo Znak i Instytut Studiów Politycznych PAN, Kraków 2011, ss. 613.

Biografia Jacka Kuronia pióra Andrzeja Friszkego to wynik pasji, jaką mało kto już żywi do historii. Ledwie rok minął od ukazania się pierwszego tomu, a wielbiciele twórczości Friszkego dostali do rąk tom następny – pisany dosłownie w dzień i w nocy. Zaczyna się od osobistej deklaracji autora, że wkracza na teren dobrze sobie znany, na którym jest od dawna jednocześnie badaczem i uczestnikiem historii. To drugie określa jego pozytywny stosunek do opisywanych wydarzeń. „Wydawnictwa opozycyjne, zwłaszcza korowskie, stanowiły dla mnie podstawową literaturę dotyczącą polskiej współczesności, dostarczały kryteriów oceniania zjawisk, budowały system wartości ideowych i politycznych, wytwarzały silną więź emocjonalną” – pisze Friszke na pierwszych stronach książki.

Sympatia do Kuronia i jego formacji jest ważna dla zrozumienia genezy tej niezwykłej książki, ale wcale nie będzie oznaczać pochlebstwa. Kuroń był postacią wyjątkową, niewiele mieliśmy takich osób w najnowszej historii – to wiadomo już z podtytułu: *Jacek Kuroń a geneza Solidarności*. Miał w sobie charyzmę, magiczną moc przyciągania, ale to, co było jego siłą, mogło być jednocześnie jego słabością. Jednych zarażał, innych jednak zrażał swoim dynamizmem, ekspansywnością, optymizmem.

Friszke lubi Kuronia, ale umie oderwać się od nostalgii. By rozwiązać zagadkę swego bohatera, przedstawia również zdanie jego adwersarzy. Ostatecznie bowiem dobra biografia musi brać pod uwagę opinie pozytywne i negatywne.

Idee wciąż krążą w tej książce i nie dają spokoju. Friszke uważnie sięga do programów opozycji, celnie punktuje najważniejsze sprawy: jak formował się stosunek opozycji do PRL, do Kościoła, do przeszłości, do samej siebie. Ale programy to również wizje przyszłości, a więc tej elementarnej nadziei na zmiany na lepsze, bez której ruch jest niczym. Nikt inny nie potrafił dotychczas z takim wyczuciem naszkicować intelektualnego portretu środowiska KOR, wzajemnej bliskości i subtelnych różnic np. między Jackiem Kuroniem a Adamem Michnikiem. Myśli, osobowość, przeżywanie świata, a nawet stosunek do Ewangelii i Boga – jako czytelnicy wnikamy głęboko w bohatera, w jego wzloty i marzenia.

Wychodzimy jednak także poza jego życie wewnętrzne. Friszke stosuje metodę biograficzną tak szeroko, że można czytać tę książkę jako jego drugą historię opozycji, napisaną na nowo po szesnastu latach. Losy Kuronia splecione są z losami jego rodziny, która daje mu wsparcie, upewnia go w jego wyborach, walczy o niego, gdy jest w tar-

patach. Pisze listy do więzienia, udziela wywiadów zachodniej prasie, próbuje pomóc jak może. Szczególnie bez żony opozycyjność Kuronia nie byłaby w zasadzie możliwa, gdyż nie miałyby do tego sił – to z tej książki wynika, choć może wciąż za mało.

Kolejny krąg to środowisko przyjaciół, ludzi opozycji, które Kuroń sam buduje. Ale które również tworzy Kuronia. Dzięki temu, że książka pokazuje szersze tło środowiskowe, możemy przypatrywać się Kuroniowi przez pryzmat starzy – młodzi, umiarkowani – radykalni, przez pryzmat układów personalnych i ideowych w KOR. Dowiadujemy się o tym, jak go odbierano, o jego aurytacie w środowisku korowskim, o naśladowaniu przez opozycję wyznaczanych przez niego standardów postępowania, a nawet o niepowtarzalnej aurze, jaka natychmiast wytwarzała się wokół niego, gdy spotykał się z ludźmi.

Ale i o kontrowersjach, jakie wywoływał. Patrzymy czasami na Kuronia przez okulary osób, które trudno uznać za jego entuzjastów – np. kardynała Stefana Wyszyńskiego lub umiarkowanych działaczy katolickich – choć nie są też jego wrogami. Wreszcie poznajemy jego rywali w KOR (Antoni Macierewicz) i poza KOR (Leszek Moczulski). Refleksja o tym, jak rodzi się jego przywództwo, staje się przez to bardziej ciekawa. Kołem napędowym historii jest również walka. To odwieczne napięcie: kooperacja czy konkurencja między ludźmi, obserwujemy również w odniesieniu do opozycji, powstałej na gruncie sprzeciwu moralnego, nawiązującej do pięknych ideałów, ale przecież grupującej jednostki ambitne, ludzi z krwi i kości.

Friszke portretuje też szerszy krąg wsparcia, bardzo ważny dla perspektyw przetrwania w nieprzyjaznym środowisku politycznym. Ludzi, którzy nie angażują się wprost, ale próbują wspierać opozycję w sposób ukryty. Irena Szymańska, redaktor w państwowym wydawnictwie Czytelnik, która zamawia po kryjomu u Kuronia książkę w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, wypłaca mu zaliczkę i próbuje bezskutecznie ją wy-

dać, jest przykładem takiego nastawienia. To nam również mówi coś o całej opozycji w Polsce, która otrzymywała czasami wyrazy wsparcia od swych sympatyków ukrytych w świecie oficjalnym. Owe gremia cichych zwolenników to wciąż mało znana otoczka opozycji.

W książce mamy wreszcie szerszy opis życia – główne wymiary codzienności, przemiany cywilizacyjne i polityczne dekady, sytuację międzynarodową, postawy społeczne wobec władzy. To najwyższe piętro, potężne siły, które oddziałują na nas raczej niż my na nie, to podstawowe instynkty społeczne, „rzeczywistość podskórna”. Wszyscy poddajemy się prądowi tych sił, nawet Kuroń, choć on z trudem, ciągle walcząc z bystrym nurtem. I dopiero w zwierciadle społecznym najpełniej oglądamy jego postać – wioślarza, który płynie pod prąd, na przekór społecznej materii, życiowej pasywności, politycznej asekuracji.

Tak wygląda przestrzeń społeczna tej książki, a jakie jest w niej rozumienie czasu? Kuroń jest dzieckiem pewnej tradycji, dziedzicem etosu inteligentkiej Polski. Ów etos powołuje go do działania. Friszke odnosi się do książek przeczytanych i przedyskutowanych przez Kuronia i jego krąg. Grono to zanurzone jest w historii, a wraz z nim mocno osadzony w historii jest również nasz autor, historyk, który potrafi te nawiązania dyslokować i objaśniać. W tym sensie Friszke jest promotorem szerszych horyzontów w historii. Czasami nawet to nie idee przepływają, a złote monety (tzw. pas Kazimierza Pużaka) przekazane przez konspirację PPS-owską rodzącą się opozycji demokratycznej.

Jednocześnie przecież nie patrzymy tu na opozycję jako na siłę zastaną, zawsze obecną i pewną siebie. Tradycja bowiem nie tworzy jeszcze gotowych scenariuszy działania. One wynikają najbardziej z bieżącej oceny sytuacji. Friszke spokojnie prowadzi narrację: od faktu do faktu. Śledzi, jak przekraczano kolejne granice działania: najpierw listy petycyjne, coraz odważniejsze, potem instytucjonalizacja protestu, czyli Komitet Obrony Robotników, następnie niezależny ruch wydaw-

niczy, otwarte wykłady dla młodzieży, kontakty z robotnikami, rolnikami – rozchodzenie się KOR po kraju. Taktyka tworzy się w działaniu, bierze się zarówno z obaw, jak i odwagi. Jest z jednej strony radykalna, z drugiej ograniczana kalkulacją sił i zamiarów.

KOR rzucił wyzwanie potężnej machinie państwowej, na długo zanim nastroje społeczne osiągnęły wrzenie rewolucyjne. Dla wielu ludzi musiało to wyglądać jak skok w przepaść. Nikt z uczestników opozycji, nawet sam Kuroń, przecież nie był pewien, do czego doprowadzi zaangażowanie tego rodzaju. Czy do Solidarności, czy raczej do kolejnego uwięzienia (które i tak potem nastąpiło, jak wiemy). Na ludzi trzeba umieć patrzeć, przykładając ich ówczesne skale wyobrażeń i możliwości. Przecież wówczas horyzont myślenia był krótszy niż dzisiaj, a wydarzenia nie układały się w przesądzony werdykt historii marsz ku wolności.

Friszke to świetnie wyczuwa, broni Kuronia w sprawie „finlandyzacji”, kontaktów z eurokomunistami (choćby list do Enrico Berlinguera), które mu wypominano. Portretuje Kuronia jako reformistę, nie rewolucjonistę, ale polityka, wyrastającego zdecydowanie ponad swoją grupę, a nawet swoje czasy. Niekiedy z tego powodu niezrozumianego. Plan Kuronia był w istocie rewolucją, tyle że rozłożoną na etapy, bezkrwawą, koordynowaną przez ośrodki opozycji. Ale niezwykle głęboką, zmierzającą do obalenia dyktatury. To wszystko dzisiaj może wydawać się oczywiste, ale wtedy „czas był szary”, a słowa Kuronia wywoływały sensację i niedowierzanie.

Rzuty wyobraźni politycznej lidera KOR niejednokrotnie padały więc na grunt nieprzygotowany; w tym rozmijaniu się widzimy dramat tej postaci. Człowiek i jego otoczenie – to zawsze jest szalenie podniecające w historii. Do jakiego stopnia powinniśmy być lojalni wobec grupy, a w jakim zakresie możemy działać na własny rachunek? Kto komu powinien się podporządkować? W przypadku Kuronia widzimy urodzonego lidera, którego ekspre-

sja, żywiołowość, potrzeba walki rzuca w sam wir wydarzeń, ale to, że jednocześnie działa w grupie, nie pozwala mu dać się ponieść swojej naturze.

Kuroń i jego krąg w ogóle mają szczęście do historyków. Andrzej Friszke spędził nad tym tematem z przerwami przeszło trzydzieści lat swojego życia naukowego, więcej niż ktokolwiek w KOR mógł się spodziewać. Wielka biografia, którą pisze (dwa tomy wydane, trzeci w przygotowaniu) wynika ze zwycięstwa opozycji w 1989 r.; bez wolności, jaką się cieszymy, raczej nie powstałaby w takim kształcie. Można też powiedzieć, że jest pośmiertnym zwycięstwem KOR w walce o pamięć historyczną, zwycięstwem nad PZPR, Służbą Bezpieczeństwa, które nie doczekały się w polskiej historiografii książki napisanej z takim rozmachem. Który zresztą bohater historii Polski doczekał się aż tak obszernej biografii?

Zakończenie – próba zrekapitulowania głównych związków i prawidłowości tej części życia Kuronia – zadowoli nawet wybrednych koneserów pogłębionej refleksji historycznej. Ale w całym tomie formułowane są tezy wyraziste, poparte ugruntowanymi przekonaniem, autorytetem badawczym, siłą argumentacji, jakie ma piarstwo Friszkego, również rozmowami z wieloma ludźmi, towarzyską obecnością w tym środowisku, co bardzo pomogło w stworzeniu efektownego i wiarygodnego obrazu.

Friszke widział jeszcze pulsujące życiem domy opozycjonistów, jednak do nadania nerwu jego opowieści przysłużyła się najbardziej policja. Zwłaszcza podsłuchy w domach i telefonach działaczy KOR. Z tego materiału biorą się świetne fragmenty wskazujące bardziej ludzki aspekt działalności społecznej. Obrazy heroiczne mieszają się z mniej patetycznymi: emocje, zmęczenie, wahania nastrojów, pretensje, złości, a na końcu groźby rozłamu KOR (fronda Macierewicza; w tym sporze autor staje po stronie Kuronia). Taki ruch społeczny jest z natury rzeczy kruchy i delikatny, walczy o przetrwanie na wszystkie strony, a więc z władzą – i także z samym sobą.

Pierwsza historia opozycji Friszkego ukazała się w 1994 r. (*Opozycja polityczna w PRL 1945–1980*). Wydłużający się dystans czasowy do opisywanych wydarzeń zawsze coś zmienia w sposobie widzenia, może zaowocować szerszą perspektywą. Pojawili się źródła wcześniej niedostępne, trochę też inaczej patrzymy na te źródła i na samych bohaterów. Upływ czasu moim zdaniem dodał jeszcze wyjątkowości postawie Kuronia, przecież niecodziennej również w dzisiejszym świecie. Jego śmierć symbolicznie wyznaczyła odejście w przeszłość korowskiego etosu, tak silnie akcentującego moralność, zasady ideowe, bezinteresowność w polityce. Czyta się to więc czasami z uczuciem tęsknoty do polityki idealnej, do ludzi prawych i odważnych.

Ale autor broni nas przed nadmierną idealizacją świata. Na konflikt KOR i ROPCiO spogląda z dystansu jako na nieuchronny podział. Był on bowiem zarówno przedłużeniem dawnych konfliktów przedwojennych (lewica – prawica), jak i zapowiedzą dalszych, a więc tego, co dostarcza nam polityka polska na co dzień. Zaskakuje może tylko to, że odtworzył się w gruncie rzeczy od razu, na starcie opozycji demokratycznej, w warunkach państwa policyjnego, i przeistoczył szybko w ostrą rywalizację i gorszące spory (np. wzajemne oskarżanie się o współpracę z władzami). To dowodzi, jak jest on głęboki, naturalny dla polityki, choćby nawet była to polityka ledwie zaczęta.

Jako historyk i uczestnik tamtych czasów Friszke namawia nas nadal do patrzenia na władze PRL w sposób odległy od nienawiści i ideologicznych uprzedzeń. To już wiele razy podkreślano w recenzjach jego książek. Modernizacja i stagnacja, liberalizm i antyliberalizm dekady lat siedemdziesiątych zmagają się ze sobą. Obraz nigdy nie jest czarno-biały. Opozycja w tym ujęciu jest wyrazem ostrego sprzeciwu wobec polityki gierkowskiej, ale też żyje i rozwija się na podłożu względnie cywilizowanej polityki ówczesnych władz. Burze polskiej historii są wynikiem tych dwóch sprzecznych ze sobą tendencji: poprawy i zapaści.

Empatia ma oczywiście swoje granice, są więc w książce sceny brutalności policji, posiniaczony Maciej Kuroń, który jedzie zdawać olimpiadę historyczną. A jednak dzieło sytuuje się w nurcie „historii rozumiejącej”, sprzeciwiającej się postawom demaskatorskim, radykalnie rozliczeniowym. Jest leczniczym balsamem na agresywną publicystykę, zawadiackie oskarżenia, urojenia i konfabulacje.

Ktoś, kto nie wierzy, niech przeczyta, z jaką ostrożnością Friszke traktuje problem współpracy agenturalnej, np. Leszka Moczulskiego. Bez ferowania łatwych sądów, bez małostkowości, szukania smaczków w esbeckiej kuchni operacyjnej. Zamiast tego jest wczucie się w świadomość obydwu stron: początkowe pokusy Moczulskiego i podejrzenia Służby Bezpieczeństwa o jego nielojalność, a potem już ataki i kontry, gdy okazało się, że Moczulski traktował swoje rozmowy jako grę polityczną.

Umiejętne odsłanianie tajemnic SB – tyle lat ukrytych przed naszymi oczami – podnosi temperaturę narracji, nadaje książce lekko sensacyjnego posmaku. W emocjonujący sposób opisana jest gra agenta „Maksa” – zupełnie nieznany wątek w historii PRL. Friszke sam wyśledził „Maksa” w przepastnych archiwach bezpieki i powołał go znów do życia na kartach swojej książki. Wieloletni *agent provocateur*, bardzo doświadczony i błyskotliwy, nawet nie as, ale dzoker w esbeckiej talii – specjalista od politycznego blefu i tajnej dyplomacji. Prowadził wyrafinowaną rozgrywkę, która miała skończyć się rozbiciem KOR i przejęciem jego funduszy. Kim był – nie zdradzę. Uprzedzę tylko, że jego ambitna misja się nie powiodła.

Czasami odnosi się jednak wrażenie, że historia Kuronia w latach 1970–1980 jest nazbyt rozwleczona. Książka liczy sobie 600 stron dużego formatu, niektóre dokumenty przytoczono w obszernych fragmentach. Dla zwolenników wartkiej akcji to może być męczące. Nie można zastąpić dowodzenia skrótowym obrazem – to jest metodologiczne *credo* Friszkego. Daje on lekcję klasycznego rzemiosła historycznego, wielkiej pracowitości,

umiejętności śledzenia wielu dokumentów naraz, ich rozbudowanej krytyki. Mało kto z młodych historyków jest w stanie tak dobrze panować nad źródłami, pokazać konteksty i ukryte znaczenia. Książki Friszkego ukształtowały nasze rozumienie opozycji w PRL, cechuje je własny styl, suwerenność myślenia, wręcz rentgenowski wzrok wobec dokumentów.

Co chwila ożywienie przynoszą cytaty z rozmów zarejestrowanych przez esbeckie podsłuchy pokojowe i telefoniczne. Autor miał niezwykle wgląd w żywą historię i tym źródłom dał największą wiarę jako powstałym w momencie toczenia się akcji. Stosunek Friszkego do źródeł historycznych widać w tej książce pełniej niż w jego historii opozycji. Ona została oparta z konieczności w znacznej mierze na relacjach, składanych już z dystansu, a więc stonowanych, mniej gęstych faktograficznie, nasiąkniętych późniejszą atmosferą, jak zawsze w rozmowach po jakimś czasie. W tej opowieści relacje stanowią raczej tło, przynajmniej jeżeli spojrzeć na przypisy. Daje się wyczuć prymat historii nad pamięcią, pewien dystans do retrospektywy.

Każdy tekst mówi też coś o nas, autorach. Andrzej Friszke to przedstawiciel polskiej szkoły historii politycznej, która wydała w okresie jego dojrzewania wielu świetnych historyków. Można zestawiać jego pisarstwo z dokonaniem takich osób jak Andrzej Garlicki, Jerzy Holzer, Krystyna Kersten. Można w jego narracji zauważyć również elementy nowatorskie – np. spojrzenie na politykę poprzez przedmioty, rekwizyty obecne w działalności opozycyjnej. Telefon Kuronia, który jest czymś więcej niż tylko urządzeniem, a nawet czymś więcej niż tylko podsłuchem. Staje się symbolicznym obiektem sporu między Kuroniem a Macierewiczem. Między innymi dzięki linii telefonicznej mieszkanie Kuronia stało się centralą ruchu, jego znaczenie wzrosło, spadła natomiast rola Macierewicza jako lidera.

Telefon Kuronia to także okazja do namysłu, jak opozycja wykorzystywała sieci potencjalnie

kontrolowane przez władze. Telefon był w zasadzie po to, żeby Kuronia lepiej kontrolować, wyprzedzać jego ruchy. Jednocześnie zaś służył do rozprzestrzeniania poglądów nieaprobowanych przez władze. Ta dwuznaczność ujawnia się nam nieraz w historii opozycji. Pokazuje meandry polityki władz. Telefon częściej działa niż nie działa. Gdy działa, do głosu dochodzą siły umiarkowane w MSW, gdy jest wyłączony, przeważa opcja bardziej represyjna – można by żartobliwie spuentować. Wahania – jak widzimy w tej książce – ma więc również władza, nie jest monolitem (zob. świetny opis węzowych ruchów policji w 1979 r. przed obchodami rocznicy Grudnia '70).

Ale podsłuch w telefonie stał się przede wszystkim koniecznością dla policji, gdyż jej sieć agenturalna nigdy nie stanowiła realnego zagrożenia dla KOR, a nawet nie była w stanie zapewnić dopływu informacji. Opozycja więc korzystała z bezsilności władzy, która nie mogła sobie pozwolić na siłowe rozwiązanie KOR, ale musiała dysponować na bieżąco informacjami. Musiała zatem podsłuchiwać. Ile przy tym zachodu! Zakładanie mikrofonów, potem ciągły nasłuch, spisywanie z taśmy, wreszcie wydłubywanie rzeczy istotnych z potoku słów. Wyobrażam sobie irytację starych pracowników SB, którzy pamiętali „walkę klas” okresu stalinowskiego. Z historyjki o telefonie Kuronia możemy wiele wyczytać o naturze schyłkowego PRL...

Przejmujący, daleki od lekkiej anegdoty jest obraz realiów życia codziennego Kuronia: rozmowy za pomocą długopisu i papieru lub pod osiedlowym śmietnikiem, stała, 24-godzina inwigilacja jego mieszkania i przychodzących doń gości, rewizje i konfiskaty, zatrzymania, wreszcie bijatyka w jego domu spowodowana przez władze i różne inne niewyjaśnione zajścia. Kuroń pozbawiony był w zasadzie prywatności (nawet na wakacjach), a krąg jego znajomych ograniczył się do przyjaciół z opozycji. Dom stawał się nie azylem, ale kwaterą główną opozycji, szturmowaną co jakiś czas przez przeciwnika. Któregoś razu zrzucony ze schodów podczas walki u drzwi z karatekami i zapaśnika-

mi z PZPR, Kuroń wrócił do własnego mieszkania przez okno.

A jednak – sponiewierany i znerwicowany – nie tracił politycznego instynktu. Pragnął wybuchu zbiorowego protestu, projektował Solidarność, ale jednocześnie obawiał się zrewoltowanego społeczeństwa. Doskonale wyczuwał całe ryzyko sytuacji przesilenia. Dlatego – przekonuje Friszke – nie odwracał się od możliwości rozmów z władzą, jeżeli miałyby prowadzić do naprawy kraju. Budowanie niezależności nie wyklucza prowadzenia dialogu z tymi, co po drugiej stronie barykady, gdy chcą zmian. Tak powstawał w głowie Kuronia scenariusz, który paręnaście lat później nazwano Okrągłym Stołem. W tej zwariowanej sytuacji życiowej nasz bohater cały czas odznaczał się więc dużą dozą realizmu. Władzom nie udało się go wpędzić w obłęd radykalizmu, zasiał w nim nienawiści, wykoleić psychicznie.

Jak w przyszłości uzupełniać biografię Kuroń? Teraz już niewiele można zrobić, niemal nic, jeżeli trzymać się kurczowo historii politycznej, nie mącić czystości gatunkowej. Ale warto starać się pokazać jego postać z szerszej perspektywy. W końcu był to już w latach siedemdziesiątych człowiek znany społecznie, głównie dzięki zachodnim rozgłoszonom radiowym. Chciałoby się kiedyś dostać chociaż mały przegląd opinii o nim – zastyszanych na ulicy, w kawiarni, w rozmowach towarzyskich, zachowanych raczej nie w ludzkiej pamięci, ale w raportach informatorów policji i niestety bardzo rozproszonych. Idąc w kierunku

ku społecznym, wcześniej czy później natrafimy na pytanie o rolę jednostki w historii. Jak wpisać wielkiego człowieka, ale jednak tylko człowieka, w tajemniczy proces budzenia się społeczeństwa do buntu?

Można również rzutować jego dzieło poza polski kontekst, ale to najlepiej zrobiłby badacz z zewnątrz, dysponujący może mniejszą wiedzą o Polsce, za to większą wiedzą o świecie. Kuroń przyciągał zainteresowanie prasy zagranicznej, z której to Friszke obficie korzysta, gdy rekonstruuje jego cele strategiczne. W niektórych wypowiedziach zagranicznych – jakby uwolniony od polskiego otoczenia – Kuroń kreślił niezwykle dalekosiężny program. Jak jednak postrzegali go ci dziennikarze? Z pewnością interpretacje z oddali były nieco inne niż te w Polsce. Można widzieć Kuronia jako lidera ruchu społecznego z tego okresu i zestawiać z innymi wybitnymi osobistościami, wizjonerami, działaczami społecznymi po jednej i drugiej stronie żelaznej kurtyny, postaciami tego rodzaju jak Martin Luther King albo Nelson Mandela.

Andrzej Friszke pisze na naszych oczach swoje *opus magnum*. Walczy w nim mężnie o dobrą reputację historii najnowszej, chce odzyskać naszą dziedzinę dla nauki, zabrać ją z rąk wojujących żurnalistów, amatorów sensacji, historyków-harcowników. Na tle żywiołowej społecznej dyskusji – blogów, forów, internetu – twórczość Friszkego to głos historii dostojnej, dojrzałej, z najwyższym znakiem jakości. Oby rozległ się donośnie.

WĄSKA ŚCIEŻKA

ANDRZEJ WIELOWIEYSKI

Jak nam się udało wybić się na niepodległość w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych? To wciąż podstawowe pytania dla naszej narodowej historycznej pamięci. Sporo już napisano na ten temat, ale pozycjami kluczowymi są *Czas KOR-u. Jacek Kuroń a geneza Solidarności* Andrzeja Friszkego i *Siła bezsilnych. Historia Komitetu Obrony Robotników* Jana Skórzyńskiego. To fascynujące opowieści o ludziach i wydarzeniach, nieodzowne do zrozumienia naszych losów. Ponieważ sam wydałem książkę o historii alternatywnej, tzn. o możliwych wariantach historii w momentach przełomowych (*Na rozdrożach dziejów*, Warszawa 2012), ale dla czasu KOR tych wariantów nie pokazałem, pragnę wydobyć z tych dwóch rzetelnych książek nie zawsze dostrzeganą prawdę, że droga do niepodległości była bardzo wąska, kręta i niepewna, w sumie mieliśmy nieprawdopodobne szczęście. Warto dodać, że ukazała się wcześniej jeszcze jedna ważna książka o Komitecie, dzieło Jana Józefa Lipskiego, jednego z jego twórców i głównych animatorów (*KOR*, Warszawa 2006).

Mieliśmy wprowadzić atuty, których nie mieli sąsiedzi Polski: młode, dynamicznie rozwijające się społeczeństwo, przywiązanie do Kościoła oraz dość silne, niezapomniane tradycje narodowe. Żyjące jednak od dwóch prawie pokoleń w systemie

totalitarnym społeczeństwo było rozbite, zastraszone, pozbawione zarówno naturalnego przywództwa, jak i głównych idei. Dawna inteligencja była wyniszczona i rozproszona, nowa zwykle służyła komunistom. I groziło, że tak będzie przez dziesięciolecie. Mimo to w ciągu kilkunastu lat, chociaż tajna policja była czujna i potężna, od połowy lat sześćdziesiątych tworzone i rozwijano niezależne ośrodki społecznej inspiracji i działania, rozbudzano szersze kręgi nowej, odtwarzającej się inteligencji oraz zdołano nawiązać kontakt i inspirować coraz szersze grupy pracownicze. Graniczyło to z cudem.

Trzy zjawiska i doświadczenia, o różnym wymiarze, miały duże znaczenie dla tego procesu: po pierwsze Klub Krzywego Koła (1955–1962), po drugie list Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego do PZPR (1965) oraz powstanie grupy „komandosów” i wydarzenia Marca ’68, po trzecie uratowanie niezależności katolickiego ruchu Znak (1972). Klub Krzywego Koła, który działał z rozmachem przez ponad sześć lat, obejmował kilkuset członków i kilka tysięcy zapraszanych gości – w dużej mierze dzięki niestrudzonej aktywności Jana Józefa Lipskiego, rozbudził i nadał orientację liberalno-demokratyczną niezależnym środowiskom inteligencji warszawskiej. Widzimy potem jego

członków we wszystkich ważniejszych akcjach społecznych, a Lipskiego jako pomysłodawcę lub realizatora różnych inicjatyw opozycyjnych. Nie dziwiłem się więc, kiedy Adam Podgórecki, wybitny socjolog i profesor uniwersytetu w Montrealu (a mój kolega ze studiów w Krakowie i współtwórca Klubu Krzywego Koła), przyjechał w 1990 r. do Warszawy i poklepując Lipskiego po ramieniu, stwierdził: „przecież to ty, Janku, obaliłeś komunizm”, na co Lipski ironicznie się obruszył. Podgórecki miał jednak trochę racji, bo Lipski, chociaż ciężko chory na serce, miał niespożytą energię i uczestniczył w większości istotnych działań opozycyjnych w PRL. Faktem jest jednak, że Podgórecki nie znosił dawnych marksistów, a zwłaszcza Leszka Kołakowskiego, posądzając ich o skrywaną lewicowość i skłonność do marksizmu, nie lubił więc „komandosów” i części KOR. Dlatego lekko przesadnie promował Lipskiego.

Działalność „komandosów” była buntem młodzieży pochodzącej głównie z rodzin partyjnych przeciw dyktaturze biurokracji partyjnej. Ale wkrótce porzucili oni marksizm, mimo rozbicia i represji rzucili w 1968 r. zarzewie demokratycznego sprzeciwu w środowiskach studenckich, a później stali się głównym oparciem dla KOR.

Wreszcie kluby i czasopisma katolickie Znak mimo ostrych konfliktów wewnętrznych i presji władz zdołały niespodziewanie w 1972 r. ocalić swą niezależność od Służby Bezpieczeństwa i PZPR. Co szczególnie ważne, inicjowały i wspierały – z poparciem prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego – działania licznych duszpasterstw, zwłaszcza młodzieżowych, współtworząc nowe pokolenie niezależnej inteligencji. Andrzej Friszke podkreśla: „nawiązanie dialogu i bezpośrednich kontaktów między dawnymi komandosami a środowiskiem Klubu Inteligencji Katolickiej było jednym z najważniejszych zjawisk lat siedemdziesiątych, mających ogromny wpływ na dalsze przemiany”. Przy porządkowaniu cmentarza żydowskiego i na spotkaniach u dominikanów przy ul. Freta w Warszawie u o. Jacka Salija nawiązywały się kontakty

i przyjaźnie. Ze strony KIK były to przede wszystkim inicjatywy Krzysztofa Śliwińskiego, Henryka Wujca, Marii Wosiek, Wojtka Ostrowskiego, Wojtka Arkuszewskiego i Jana Tomasza Lipskiego, ze strony „komandosów” Adama Michnika, Teresy Boguckiej, Seweryna Blumsztajna i wielu innych. Kuroń i Michnik publikowali pod pseudonimami w miesięcznikach „Znak” i „Więź”, a wielu ludzi ze środowisk opozycyjnych uczestniczyło w imprezach KIK. W Gdańsku podobne znaczenie miało powstanie przy wsparciu o. Ludwika Wiśniewskiego umiarkowanie prawicowego Ruchu Młodej Polski, prowadzonego przez Aleksandra Halla, który później nawiązał ścisłą współpracę z korowskimi Wolnymi Związkami Zawodowymi Wybrzeża. W Krakowie Studencki Komitet Solidarności zyskał oparcie głównie w duszpasterstwie akademickim.

Duże znaczenie miały też dwie książki: Bohdana Cywińskiego *Rodowody niepokornych* i Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog*, które przypominały dawne tradycje, usuwały uprzedzenia i prowadziły do współdziałania ludzi różnych orientacji ideowych.

We wrześniu 1976 r. z inicjatywy młodych – Antoniego Macierewicza i Piotra Naimskiego – podjętej w końcu przez Kuronia i Lipskiego oraz grupę starszych, byłych wybitnych działaczy Polskiej Partii Socjalistycznej i Armii Krajowej (m.in. szefa warszawskiego Kedywu płk. Józefa Rybickiego, członka Delegatury Rządu RP na Kraj Antoniego Pajdaka, prof. Edwarda Lipińskiego i wybitnego duszpasterza ks. Jana Zieję), a także znanego pisarza Jerzego Andrzejewskiego powstaje działający jawnie Komitet Obrony Robotników. Prestiż pelerowski dają mu Andrzejewski i Lipiński. Jest to moment kluczowy dla opozycji demokratycznej, bo obok skutecznej pomocy represjonowanym po protestach i zajściach w Radomiu, Ursusie i Płocku odwaga i poświęcenie ludzi KOR i ich współpracowników, również z KIK, ujawniło, umocniło i rozszerzyło środowiska opozycji. Udowodniło, że działanie jest możliwe. Władza mogła oczywiście zniszczyć w załączku ten nowy ruch i takie były

propozycje wiceministra spraw wewnętrznych i szefa SB gen. Bogusława Stachury, ale sekretarz KC PZPR Stanisław Kania nie zgodził się na nie (jak się wyraził, w ten sposób „nobileitowalibyśmy opozycję”). Uznał, że procesy sądowe niewiele dadzą, a komuniści polscy popsują sobie opinię, kiedy potrzebują zagranicznej pomocy. Sowieci nam to później wypominali, a reprezentanci betonu w PZPR postąpiliby na pewno inaczej.

Nękanie i szkalowanie KOR przez władze było jednak bardzo bolesne dla działaczy opozycji, nieustannie aresztowanych, zwłaszcza na 48 godzin, napastowanych przez bojówki ubeckie, ciągle inwigilowanych i poddawanych milicyjnym rewizjom. Wielu z nich straciło pracę.

Zniesławiająca propaganda też przynosiła pewne rezultaty. KOR był w społeczeństwie raczej izolowany, mimo wsparcia zagranicznego radia, a luminarze polskiej inteligencji na zgromadzeniu PAN nie poparli broniącego Komitetu prof. Lipińskiego. Dopiero Uniwersytet Łatający (organizowany przez Andrzeja Celińskiego) i Towarzystwo Kursów Naukowych, utworzone z inicjatywy korowskiej, swymi nielegalnymi, ale prestiżowymi wykładami w większych miastach, wspierane przez Studenckie Komitety Solidarności i niektóre duszpasterstwa akademickie, zaczęły poszerzać środowiska niezależne.

Mocnym akcentem odradzającej się inteligencji polskiej były też ostre raporty Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość, licznego zespołu ekspertów niezależnych i partyjnych (około 150 osób) opracowane w okresie 1978–1982. Grupa ta, zorganizowana przez Stefana Bratkowskiego, Bogdana Gotowskiego i przeze mnie, opracowała cztery raporty „o stanie Rzeczypospolitej i drogach naprawy”, w których domagała się radykalnych reform politycznych i gospodarczych, respektując jednak rolę partii komunistycznej i sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Historyk Jerzy Jedlicki ocenił wtedy, że DiP uratował honor polskiej inteligencji. Lipski skomentował to też pozytywnie, ale i z ironią: „zrobili to w ostatniej chwili”.

Ważna była postawa obu polskich kardynałów: Stefana Wyszyńskiego i Karola Wojtyły, którzy bardzo ostrożnie, ale wyraźnie popierali opozycję demokratyczną i utrzymywali z nią kontakt. Znaczna bowiem część episkopatu i duchowieństwa była wobec opozycji nieufna lub obojętna, ulegając też propagandzie władz, które określały ją jako inicjatywę lewicową, liberalną i żydowską. Wraz z Henrykiem Wujcem już jesienią 1976 r. przygotowaliśmy w warszawskim KIK sprawozdanie z działalności KOR dla episkopatu, które złożyłem bp. Bronisławowi Dąbrowskiemu. Pomogło ono w sformułowaniu przez episkopat apelu o amnestii. Później bywało, że prymas reagował na głodówkę w kościele św. Marcina w obronie aresztowanych korowców (brali w niej udział redaktorzy naczelni „Znaku” i „Więzi”) „zakłopotanym przyzwoleniem”, ale rok później bronił wykładów TKN w piśmie do Urzędu do spraw Wyznań, a głodówkę solidarnościową w sprawie więzionych Czechów u ks. Leona Kantorskiego w Podkowie Leśnej odwiedzał nawet przyjaźnie jego sufragana, bp Władysław Miziołek.

Pod adresem obu historyków kieruję wszakże pewne ostrzeżenie: wymieniani przez nich odważni duszpasterze, którzy wspierali i ochraniali działalność opozycyjną, byli bardzo nieliczni. Skórzyński wymienia ich na s. 189 dziesięciu. Na pewno było ich więcej, z początku jednak bardzo mało. Ogromna większość duchowieństwa była ostrożna i niechętna opozycji, podobnie jak większość biskupów. List stu księży diecezji przemyskiej wspierających opozycję był oczywiście rezultatem poglądów bardzo zdecydowanego w swej antykomunistycznej postawie bp. Ignacego Tokarczuka. Ta sytuacja po wyborze papieża i powstaniu Solidarności w istotny sposób się zmieniła.

Po dwóch latach działania Komitet Samoobrony Społecznej KOR miał 200–300 działaczy i 2–3 tys. ludzi popierających go, głównie w wielkich miastach (według szacunków gen. Adama Krzysztoporskiego z MSW), zwłaszcza ze Studenckich Komitetów Solidarności oraz duszpasterstw akade-

mickich, a także silną pozycję moralną, ale jego wpływ na społeczeństwo był niewielki. Współzawodniczył już z KOR dość skutecznie bardziej tradycyjny i niepodległościowy Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, który powstał z inicjatywy Andrzeja Czumy i Leszka Moczulskiego.

KOR nie był przy tym monolitem. Już w pierwszym okresie istnienia szarpały nim konflikty wewnętrzne. Najpoważniejszym problemem były zarzuty stawiane najaktywniejszemu działaczowi Komitetu, Jackowi Kuroniowi, o apodyktyczność i skłonności do eurokomunizmu. Kuroń zaprzeczał, ale nie wszyscy mu wierzyli. Realnie groził rozłam i oczywiście duże osłabienie całego ruchu, a nawet przekreślenie jego historycznej roli. Najważniejsze były tu – jak sądzę – relacje między Kuroniem a płk. Józefem Rybickim. Konflikt i nieporozumienia między nimi zostały jednak wyciszone, a obaj przywódcy wykazali zarówno umiar, jak i mądrość polityczną. Kilka lat potem, w czasie stanu wojennego, współpracowałem bliżej z płk. Rybickim. Pozostawił mi wrażenie bardzo bystrego i mądrego człowieka. Sądzę, że to właśnie jego rozsądek i poczucie realizmu pozwoliły na akceptację niełatwej we współżyciu osobowości Kuronia i uratowały KOR w tym trudnym okresie.

Stanął też KOR w 1978 r. przed nowymi wyborami: wizji sytuacji, celów działania, metod i instrumentów. Przyjęto propozycję Kuronia, ale były też inne, i to poważne. Gdyby one wygrały, historia potoczyłaby się inaczej i nie byłoby szans na Solidarność. Kuroń przewidywał bowiem narastający społeczny wybuch (podobnie prognozował DiP), ale część ludzi KOR – Antoni Macierewicz i pismo „Głos” – podobnie jak niektórzy przywódcy PZPR takiego zagrożenia nie widzieli. „Głos” zalecał raczej długofalową akcję wychowawczą i czystość ideową KOR, a więc sprzeciwiał się Kuroniowej skłonności do szukania kompromisów. Wobec ewentualności wybuchu też były różne wnioski. Karol Modzelewski, podobnie jak większość ludzi DiP, uważał, że wobec groźby katastrofy społecznej należy naciskać na władzę i współdziałać z nią

w podejmowaniu reform. Natomiast rewindykacji i konfliktów nie należy podsycać. Sądziłszy bowiem w DiP, że duże wybuchy społeczne mogą doprowadzić do wielkich nieszczęść.

Leszek Moczulski natomiast, tworzący już Konfederację Polski Niepodległej, chciał za pomocą symboli i narodowej tradycji mobilizować masy do walki o niepodległość, nie czekając na szczególnie pomyślną koniunkturę, która – twierdził – wcześniej czy później nadejdzie. A Kuroń uparcie, już od kilku lat, zakładał pobudzanie i wspieranie walki o konkretne społeczne rewindykacje, nacisk na władzę, a w konsekwencji negocjowanie, zawieranie porozumień i tworzenie społecznej struktury, która walcząc będzie się formować i umacniać oraz ewoluować w kierunku demokracji.

Diagnoza Modzelewskiego i DiP, w której opracowaniu i ja uczestniczyłem, była uzasadniona, ale nierealna, bo PZPR nie była zdolna do podjęcia rzeczywiście skutecznych reform. Koncepcja Moczulskiego była niby-realna, bo można było stopniowo, choć z dużym ryzykiem, zwiększać w warunkach kryzysu nacisk społeczny ku niepodległości. Sytuacja międzynarodowa nie stwarzała jednak jeszcze szans, aby się skutecznie wyzwać, a KPN stawiał sprawę bezkompromisowo, więc trudno było o proces ewolucyjny. Byłaby to tylko nieustanna awantura i jest wątpliwe, czy wzmacniałoby to społeczeństwo. Natomiast koncepcja i wizja Kuronia była ryzykowna, ale okazała się realistyczna, bo odpowiadała potrzebom, i jedynie skuteczna. Jednak dla części członków KOR była to propozycja fałszywa lub nieskuteczna. Profesor Jan Kielanowski oceniał jako bardzo niebezpieczne zakładanie z góry jakichś rozwiązań kompromisowych, Macierewicz z grupą „Głosu” uważał to za groźne dla czystości ideowej KOR.

Wizja i koncepcja Kuronia – poparta z pewnymi zastrzeżeniami przez Adama Michnika i Jana Józefa Lipskiego oraz seniorów KOR – została w końcu podjęta, zwłaszcza przez pismo „Robotnik”. Wymagała jednak instrumentów działania. Tymi

instrumentami miały być wolne związki zawodowe i najważniejsze pismo w drugim obiegu – właśnie dwutygodnik „Robotnik”.

Kuroń się wahał. Tworzenie wolnych związków zawodowych mogło zostać uznane za szczególne zagrożenie władzy PZPR. Tę ideę dyskutowano już od ponad dziesięciu lat. Podnoszono ją w marcu 1968 i w 1970 r. na Wybrzeżu. Wracała w czasie licznych akcji strajkowych w latach siedemdziesiątych. Ale jej podjęcie mogło wywołać gwałtowne represje. Dlatego w 1978 r. inicjatywa ta była wciąż kontrowersyjna. Sprawę przesądził Leszek Moczulski. Kazimierz Świłoń w kontakcie z nim zainicjował niezależną organizację związkową na Śląsku. Napotkał duże trudności i kontrakcję Służby Bezpieczeństwa. Sukcesów nie osiągnięto. Moczulski chciał podjąć podobną akcję na Wybrzeżu. Wtedy Kuroń i korowcy, uznając to za zagrożenie, podjęli decyzję. Na Wybrzeżu przede wszystkim Krzysztof Wyszowski z Bogdanem Borusewiczem, Joanną i Andrzejem Gwiazdami, Anną Walentyńowicz i Lechem Wałęsą powołali Wolne Związki Zawodowe we współpracy z KOR i „Robotnikiem”. Rozpoczęła się trudna szamotanina z ubecją, która tej sprawy nie mogła odpuścić. Załączki wolnych związków powstawały potem również w Szczecinie i w innych miastach.

Sprawą kluczową była walka z ubecją i agiturą we własnych szeregach. Na Wybrzeżu udało się Borusewiczowi zdemaskować i usunąć z WZZ bardzo groźnego agenta, bo inteligentnego i aktywnego społecznie Edwina Myszkę. Gdyby się na Wybrzeżu tak zagnieżdził w środowisku KOR jak Maleszka w Krakowie czy Leopold Gierek w Radomiu, mogłoby nie być szans na sierpniowy strajk. Generalnie jednak całokształt naszych doświadczeń z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych uzasadnia tezę Skórzyńskiego: „roli agentów nie należy przeceniać”.

Decydującą w końcu rolę w rozbudzeniu ambicji i aspiracji środowisk pracowniczych odegrał w ciągu 2,5 roku drugoobiegowy „Robotnik”, który za-

czynął w 1977 r. od kilkuset egzemplarzy, a latem 1980 r. osiągał nakład ponad 60 tys. i docierał już do wszystkich większych zakładów pracy w kraju. Było to niezwykle osiągnięcie wydawnicze i organizacyjne. Pracę nad ogłoszoną jesienią 1979 r. Kartą Praw Robotniczych zainicjował Henryk Wujec. Podpisało ją 106 działaczy z całego kraju. Wskazywała cele, możliwości i sposoby działania. Promowała samoobronę społeczną i tworzenie niezależnych związków zawodowych, obronę pracowniczych zarobków przed inflacją, sprawy bhp, prawo do strajku, wzywała do zwalczania przywilejów biurokracji, wojska, milicji i SB. Jej ostateczny kształt i skuteczną promocję na przestrzeni kilku miesięcy zapewniły trzy kobiety redagujące „Robotnika”: Helena Łuczywo, Ludwika Wujec i Irena Wóycicka.

W 1980 r. w pogarszającej się sytuacji gospodarczej fale strajków przetaczające się przez Polskę nie były wprawdzie sterowane, ale niewątpliwie pobudzone przez KSS KOR i „Robotnika” oraz rozgłaszane przez prasę i rozgłośnie zagraniczne (informowane z kolei przez Kuronia i KOR). Polska dojrzywała do rewolucji, a realizowana koncepcja Kuronia rewolucji „kontrolowanej i samoograniczającej się” umożliwiała kompromisy, unikanie zmiążdżenia i przetrwanie. Dlatego w warunkach pogłębiającego się kryzysu i rosnącego niezadowolonia mogła na fali protestów i rewindykacji robotniczych powstać Solidarność. Przyjęcie przez opozycję demokratyczną innej wizji, koncepcji i metod działania mogło na długo opóźnić skuteczną mobilizację społeczeństwa. Komunizm mógł trwać jeszcze długo. Zwłaszcza rozwinięcie szerszej akcji niepodległościowej, co było możliwe, mogło spowodować ostrzejsze reakcje i represje ze strony władz, które doprowadziłyby do dużych rozłamów w opozycji demokratycznej, a w końcu do zniechęcenia i osłabienia nacisku społecznego. Udało się nam jednak prześlizgnąć tą bardzo wąską ścieżką, która prowadziła do powstania w sierpniu 1980 r. wielkiego ruchu społecznego.

SUKCES I KLĘSKA REALISTÓW

TOMASZ WIŚCICKI

TOMASZ SIKORSKI, *O kształt polityki polskiej. Oblicze ideowo-polityczne i działalność Ruchu Młodej Polski (1979–1989)*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń – Szczecin 2011, ss. 680.

Ruch Młodej Polski – jedno z najważniejszych ugrupowań opozycji przedsierniowej, istotne także w latach osiemdziesiątych – doczekał się swojej historii. Już wcześniej jego dzieje przedstawił Piotr Zaremba w obszernym, bardzo ważnym i ciekawym tomie *Młodopolacy* (Gdańsk 2000), jednak mimo historycznego wykształcenia i warsztatu autora nie była to praca historyczna *sensu stricto*, ale dzieło oparte na wypowiedziach samych bohaterów. Tym razem mamy do czynienia z klasyczną monografią, łączącą (na co wskazuje podtytuł pracy) historię idei i historię bezprzymiotnikową, historię po prostu.

Tomasz Sikorski wykonał pracę ogromną, na co wskazuje choćby imponująca bibliografia. Wykorzystał zarówno to, co już o RMP pisano, jak też potężną bazę źródłową: obfitą produkcję publicystyczną i oficjalne dokumenty młodopolaków i innych ugrupowań opozycyjnych, wydawnictwa drugiego obiegu, zbiory prywatne, akta Służby Bezpieczeństwa ze zbiorów Instytutu Pamięi Narodowej, relacje. Napisał pracę tyleż obszerną, co drobiazgową. Szczegółowo przedstawia w niej historię RMP – od pierwszych, młodzieńczych działań opozycyjnych przyszłych młodopolaków przez wczesne zaangażowanie w zorganizowany ruch opozycyjny, decyzję o podjęciu działań na własną rękę i pod własną firmą, kolejne fazy dzia-

łania Ruchu, aż po narastające rozdzwienki w jego łonie i wreszcie kres istnienia RMP jako jednolitej formacji. Pokrótce omawia też dalsze losy młodopolaków.

Autor pokazuje procesy prowadzące do tworzenia i zanikania środowisk opozycyjnych. Widzimy, jak w opozycji do Komitetu Obrony Robotników, w którym dominującą rolę odgrywały osoby o wrażliwości lewicowej, organizują się ludzie i środowiska odwołujące się do – różnie zresztą rozumianej – inspiracji prawicowej, tworząc Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Ten z kolei, od początku zróżnicowany, rozsadzają wewnętrzne napięcia ideowe i personalne, aż wreszcie część tych środowisk postanawia stworzyć własną organizację, którą nazwała Ruchem Młodej Polski. Te procesy autor opisuje szczegółowo i kompetentnie, choć widać, że jego specjalnością jest historia myśli politycznej. Wydarzenia prowadzące do przetasowań w opozycji przedstawia jasno i zrozumiale. Może najtrudniej zrozumieć istotę sporu między członkami KOR i ROPCiO, ale to akurat jest w książce wątkiem pobocznym.

Jeśli już o wątkach pobocznych mowa: jest ich w pracy mnóstwo. Historia RMP ukazana jest na tle niezwykle szerokim. Czasem to zaleta, czasem wada. Niewątpliwą zasługą autora są uzupełnienia dotyczące niewielkich, słabo opisanych,

nieraz wręcz zupełnie zapomnianych środowisk. Takie wyjaśnienia, nawet jeśli przybierają postać monstrualnie wielkich, niełatwych w korzystaniu przypisów, są bardzo pożyteczne. Jeśli jednak autor drobniawo przedstawia genezę wyborów 4 czerwca 1989 r. – znaną i szczegółowo opisaną przez innych – aż się prosi, dla jasności wywodu, o większą powściągliwość. Owszem, w wydarzeniach tych istotną rolę odegrał Aleksander Hall, jeden z przywódców RMP, ważny był udział Marka Jurka (skądinąd bardzo interesująco przez autora opisany), odnosili się do nich również wszyscy członkowie erempowskiego kręgu. Jednak bardziej skrótkowe przedstawienie tła służyłoby lepszemu wyeksponowaniu tego, co jest istotą rozważań – historii Ruchu Młodej Polski i jego działaczy.

Generalnie rzecz biorąc, treść książki – czyli to, co najistotniejsze – jest jej mocną stroną. Trochę gorzej jest ze stroną formalną. Zacząć należy od tytułu, stanowiącego niezamierzone, jak myślę, nawiązanie do języka gierkowskiej propagandy, której charakterystycznym chwytem był – jak to zgryźliwie nazwali badacze – biernik postulatyczny: „0...” (np. *O dalszy dynamiczny rozwój budownictwa socjalistycznego*). Opozycjoniści, którzy przeciwstawiali się także ówczesnemu językowi propagandy, naprawdę nie zasługują na to, by w tytule poświęconej im pracy traktować ich biernikiem postulatycznym w czystej postaci.

Trudno też doprawdy pojąć, skąd w książce tak odczytanego autora (sześćdziesiąt stron bibliografii!) znalazły się takie osobliwości, jak np. Halina Mikołajewska, Jean-François Ravel, Władysław Barańczak czy Grupa Krajowa (zamiast Grupy Roboczej Komisji Krajowej). Tym to dziwniejsze, że sąsiadują one nieraz z tymi samymi personaliami i nazwami zapisanymi poprawnie. Znak to wyrażny, że książce zabrakło uważnego redaktora.

Ten sam redaktor nie przepuściłby z pewnością monstrualnej liczby użytych przez autora cudzośłów. Opatrzył on nimi niemal wszystkie słowa użyte w sensie nie w pełni dosłownym oraz wiele

innych – z powodów, których dociec nie sposób. To szkolny błąd, utrudniający lekturę, za każdym razem u uważnego czytelnika uruchamiający mechanizm dociekania, co ten cudzośłów ma wyrazić – w 90 procent przypadków prowadzący do wniosku, że nie wiadomo co albo z pewnością nic.

Ważnym uzupełnieniem książki są pochodzące głównie z prywatnych archiwów zdjęcia. Poza stał na nich klimat czasu, gdy rzucenie wyzwania wszechmocnej – jak się wydawało – władzy zakrawało na szaleństwo. Przyjemność obcowania z fotografiami zakłóca nieco dziwna metoda ich podpisywania, która nie rozszyfrowuje wielu postaci, nawet powszechnie znanych.

Czepiam się tych szczegółów, gdyż od humanisty, autora fundamentalnej pracy, do której sięgać będą badacze oraz ludzie po prostu zainteresowani naszą najnowszą historią, należy oczekiwać nie tylko kompetencji merytorycznej, ale i językowej, a także precyzji. Jeśli poważne prace historyczne pisane będą byle jak, a my będziemy na to przymykać oko, gdzie pozostanie miejsce na naprawdę poprawną polszczyznę i dokładność?

Te zgryźliwe uwagi nie zmieniają jednak faktu, że praca Tomasza Sikorskiego dostarcza wiele materiału do przemyśleń, zwłaszcza dla kogoś, kto – jak piszący te słowa – drugą połowę okresu działania RMP (lata osiemdziesiąte) przeżył świadomie i nieźle ją pamięta. Ot, choćby takie słowo „realizm”. Młodopolacy używali go nader często, a za nimi autor poświęconej im pracy, zresztą w pełni zgodnie z terminologią przyjętą w polskiej myśli politycznej. Realizm ów – przeciwstawiony nierealistycznym dążeniom insurekcyjnym – miał w wydaniu RMP oznaczać liczenie się z geopolityką, a tłumacząc to na język bardziej zrozumiały – z niemożliwą do pokonania siłą Związku Sowieckiego. Stąd propozycje, by – miast rzucać się z motyką na słońce i np. dążyć do rozbicia Sowietów, wspierając w prometejskim duchu wolnościowe dążenia innych narodów – przyjąć istnienie ZSRS jako daną i usiłować uczynić PRL bardziej własnym państwem.

Szkopuł w tym, że tego rodzaju dążenia musiały spotkać się z podobnym realizmem drugiej, komunistycznej strony. Rządzący jednak nijak nie chcieli zrozumieć, że ograniczenie ich władzy leży w ich interesie... Zaczęli przejawiać takie tendencje dopiero wtedy, gdy zdali sobie sprawę z tego, że grunt usuwa się im spod nóg – a próby znalezienia wyjścia w realistycznym duchu zakończyły się upadkiem komunizmu. Można to oczywiście uznać za sukces realistów, jednak moim zdaniem jest wręcz przeciwnie: warunkiem realizacji scenariusza realistów okazało się... spełnienie nierealistycznego warunku upadku Związku Sowieckiego, co prowadziło do końca komunizmu w Polsce. Dopiero wtedy, gdy Michaił Gorbaczow wycofał się z doktryny Breżniewa (o czym opozycja wiedziała nie od razu, ale władza – i owszem), mógł zostać uruchomiony scenariusz realistyczny. I choć ostatni gensek nie miał zamiaru demontować swego państwa, to jednak uruchomił logikę, na której (rychłym) końcu był upadek ZSRS.

Odwrotną stroną owego realizmu, który okazał się nie całkiem realistyczny, był insurekcyjizm. Walce z nim poświęcili młodopolacy niemało stron swej wielce interesującej publicystyki, którą Tomasz Sikorski obficie cytuję i omawia. Już jednak w czasach, w których ona powstawała, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że antyinsurekcyjniści walczyli z fantomem. Przecież nikt poważny w latach osiemdziesiątych XX w. nie zamierzał wszczynać powstania. Owszem, w XIX w. szlacheccy synowie z okiem dobrze wyszkolonym na polowaniach, wyposażeni w myśliwskie sztucery dobrej jakości, których nie brakowało w żadnym dworku, mogli marzyć o walce z bronią w ręku z regularnym wojskiem zaborców. Doświadczenia wojen dwudziestowiecznych oraz świadomość bezwzględności totalitaryzmu skutecznie leczyły z takich mrzonek. Nie bez wpływu było też nauczanie Kościoła, składające do oporu bez przemocy. Krótko mówiąc – insurekcyjniści nawet nie marzyli o insurekcji.

Publicyści młodopolscy w jej miejsce podstawiali mit strajku generalnego, który miał być

dwudziestowiecznym ekwiwalentem powstania. Szkopuł w tym, że ten mit już wtedy, w latach osiemdziesiątych, był raczej wyrazem bezradności niż realną propozycją. Pod wpływem lektury *Konspiracy* napisałem w 1985 r. tekst rozpoczynający się od obrazu wielkiej i potężnej maszyny, która jednak... niczego nie napędza, mimo wielkiego trudu uwijających się wokół niej osób. Tak właśnie jawiło mi się wówczas solidarnościowe podziemie: grupa dobrze zorganizowanych i ofiarnych ludzi, którzy jednak zupełnie nie wiedzą, co począć z przeważającą siłą komunistycznej władzy. Nadzieje na strajk generalny były zagadywaniem poczucia beznadziei, a nie aktem nieodpowiedzialnej tromtadracji: do czego miał on doprowadzić? Do tego, że – parafrazując ówczesne hasło – WRON odejdzie won za Don? Na to naprawdę trudno było liczyć. Nawiasem mówiąc, mój tekst został odrzucony przez „Tygodnik Mazowsze” – bynajmniej jednak nie uznano go za nieprawdziwy, tylko za nadto defetystyczny...

Wobec takich nastrojów antyinsurekcyjne hasła publicystów RMP jawiły mi się wówczas i jawią nadal jako przywdziewanie dziewiętnastowiecznego kostiumu, który słabo pasował do sytuacji lat osiemdziesiątych XX w. Zasadniczym, nieprzewidywalnym problemem, jaki stał przed ówczesną antykomunistyczną opozycją, był brak jakiegokolwiek realnej szansy na upadek Związku Sowieckiego – gwaranta władzy komunistycznej w Polsce. Dobrze streszczał go dowcip, który w 1981 r. opowiedział Jacek Kuroń na tłumnym spotkaniu ze studentami Uniwersytetu Warszawskiego. Mówił, że są dwa sposoby pozbycia się Sowietów z Polski: zwyczajny i cudowny. Sposób zwyczajny polega na tym, że przybędzie św. Michał Archanioł z mieczem ognistym i ich przepędzi; cudowny – że wyjdą...

Innym fantomem, z którym wytrwale walczyli młodopolacy w latach osiemdziesiątych, było „społeczeństwo podziemne”. Ten koncept pojawił się na początku stanu wojennego pod wpływem upadku jawnej Solidarności, kiedy wydawało się,

że perspektywy jawnego niezależnego działania są na lata stracone. Sądono, że w podziemiu należy stworzyć własne, alternatywne instytucje, bo te oficjalne trwale i bezapelacyjnie zawłaszczyła komunistyczna władza. Szybko okazało się, że ta kontrola nie jest pełna, w związku z czym oficjalnie i półoficjalnie da się wiele zrobić. Nawet głosiciele tej bezkompromisowej wizji szybko odeszli *via facti* od ortodoksji. „Społeczeństwo podziemne” pozostało żywe głównie w filipikach polemistów, wśród których czołowe miejsce zajmowali młodopolacy, a lektura odnośnych fragmentów prac Sikorskiego tylko utwierdza mnie w tym przeświadczeniu.

Ponieważ ani na przybycie wojsk anielskich, ani na cud nie bardzo można było liczyć, pozostały ćwiczenia z myślenia politycznego, które z wielkim moim zdaniem pożytkiem uprawiali młodopolacy. Postawili przed sobą zadanie karkołomne: odbudować myśl prawicową w sytuacji komunistycznego zniewolenia, w świecie, w którym tak wiele się zmieniło w stosunku do czasów, gdy myśl ta mogła się rozwijać w sposób nieskrępowany. Owszem, była emigracja, były wysiłki szlacheckich jednostek w kraju, jednak nie zmieniało to wrażenia radykalnego zerwania ciągłości. RMP był tym środowiskiem, które tę ciągłość postanowiło odbudować, nie zamykając oczu na zasadniczą zmianę kontekstu. Skupiło się przy tym z jednej strony na sprawach zasadniczych, z drugiej – na poszukiwaniu możliwości działania w warunkach zniewolenia. Nie jest przypadkiem, że w przemysłeniach publicystów RMP darmo właściwie szukać wizji Polski po upadku komunizmu. Tę słabość dzielili zresztą z innymi ugrupowaniami opozycyjnymi.

Gotów jestem rozgrzeszyć z tej winy zarówno młodopolaków, jak i ich ówczesnych opozycyjnych oponentów. Perspektywa upadku komunizmu jeszcze w latach osiemdziesiątych wydawała się tak odległa, że trudno doprawdy się dziwić brakowi refleksji o tym, jak ma wyglądać wolna Polska. Nie sposób było przewidzieć, jak do niej

było blisko. Zarzut braku wizji Polski po komunizmie pojawiał się w ówczesnych polemikach, ci jednak, którzy go podnosili, wcale nie okazali się lepsi w przewidywaniach. Można zresztą mieć wątpliwości, czy gdyby już wówczas zaczęto takie rozważania, miałyby one większą wartość po rychłym a niespodziewanym końcu PRL. Sytuacja wolnej Polski tak różni się od tego, co w latach osiemdziesiątych nam wszystkim się wydawało, że nie żał mi tych jej wizji, które nie powstały.

Praca Sikorskiego pokazuje dowodnie, że młodopolacy odnieśli sukces, tworząc interesujące środowisko odbudowujące zerwaną ciągłość prawicowego myślenia. Pokazuje również ich klęskę – to, że w wolnej Polsce nie udało im się stworzyć trwałego bytu politycznego. Autor opisuje rozpad środowiska pod koniec lat osiemdziesiątych, dostrzegając, że pęka ono po szwach, które istniały od początku – wszak nigdy nie był to krąg jednorodny. Nie wyjaśnia jednak – bo, jak mi się wydaje, wyjaśnić tego się nie da – dlaczego te zróżnicowania nie stały się siłą nowej prawicowej, posterempowskiej partii, która nigdy nie powstała. Wszak każdy ważny polityczny ruch ma skrzydła, które z jednej strony są źródłem napięć, a z drugiej – poszerzają możliwości działania i docierania do zróżnicowanego elektoratu. Polskie partie po 1989 r. powstały według najróżniejszych kryteriów, w każdej z nich znaleźć można ludzi najróżniejszych przekonań i o najróżniejszych osobistych historiach. Próba zrozumienia, które podziały okazały się trwałe, a które straciły na znaczeniu, to skądinąd materiał do fascynujących potencjalnie analiz historyczno-politologicznych.

Młodopolacy znaleźli się w III RP w wielu środowiskach politycznych. Ich wybory były bardzo różne, choć rzadko zaskakujące, może z wyjątkiem tych, które – *nomina sunt odiosa* – doprowadziły niektórych z nich w miejsca trudne do pogodzenia z głoszonymi przez tyle lat (z przekonaniem – w to nie wątpię) wartościami. Drogę, jaką przeszli, ciekawie i wyczerpująco pokazuje monumentalna praca Tomasz Sikorskiego.

SPISANE BĘDĄ CZYNY I ROZMOWY...

ANDRZEJ KACZYŃSKI

I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność”. Stenogramy, t. 1: I tura, oprac. i red. Grzegorz Majchrzak, Jan Marek Owsiniński, wstęp Bartosz Kaliski, Stowarzyszenie Archiwum Solidarności i Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2011, ss. 1072.

Pierwsza refleksja: to się czyta (że zapożyczę slogan, którym swego czasu tygodnik „Przekrój” zachęcał do książek wartych uwagi). Stenogram pierwszej tury I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność zajął z górą tysiąc stron dużego formatu. I to się czyta! Z zajęciem i pożytkiem.

Druga refleksja: zjazd był mądrzejszy, niż wielu z nas, uczestników lub świadków (ja obserwowałem go jako dziennikarz „Tygodnika Solidarność”), zapamiętało. Owszem, były przeciągające się spory proceduralne, nieporozumienia, a nawet kłótnie, nieprzestrzeganie uzgodnionego porządku obrad i przemówienia nie na temat, tasiemcowe głosowania i monotonne pozdrowienia od zagranicznych związkowców. W czytaniu nie jest to jednak tak nużące, jak było w słuchaniu (na papierze dłuższy łatwo pominąć). Z oddali widać ponadto, że wszystko to, co wówczas postrzegaliśmy jako bałagan, nie przeszkodziło w osiągnięciu celów zjazdu. Zapewne zresztą przy dziewięciuset delegatach bez kongresowego doświadczenia nie można było uniknąć chaotyczności w obradach; miała ona nawet – niedostrzeganą wtedy – zaletę. Racjonalny balans pomiędzy dyscypliną i wolnością debaty został bowiem zachowany, a dzięki spontanicznej ekspresji, nieumiarkowanemu mno-

żeniu wątków i rozwichrzeniu dyskusja wyraźniej odzwierciedliła palące problemy związku, społeczeństwa i państwa oraz ujawniła pluralistyczny, więcej nawet – ogólnonarodowy charakter zgromadzenia.

Mieliśmy chyba wszyscy obecni wówczas, we wrześniu i w październiku 1981 r., w gdańskiej hali Olivia przeświadczenie o historyczności wydarzenia. Miało je zresztą wielu już od zawiązania się Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. i potem przez cały rok powstawania i krzepnięcia Solidarności: że oto na naszych oczach, a nawet przy naszym – większym czy mniejszym – udziale dzieją się rzeczy doniosłe, niebywałe, ważne nie tylko dla nas, tu i teraz, ale nieprzewidywalnie dalekosiężne. Dwuwiersz Czesława Miłosza: „Lawina bieg od tego zmienia, po jakich toczy się kamieniach” (z *Traktatu moralnego*) był dla członków Solidarności równie inspirującą i budującą wskazówką, jak dystych z jego przekładu psalmów na pomniku Poległych Stoczniovców: „Pan da siłę swojemu ludowi, Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo pokoju”.

Trzeba tu wspomnieć o niemałej kategorii ludzi, którzy powszechne przeświadczenie o historycz-

ności ówczesnych wydarzeń wzbogacili o dodatkowe, można powiedzieć: naukowy czynnik. Otóż na to, żeby historia jako ciąg doniosłych faktów stała się narracją, składnikiem świadomości narodowej – czy to w postaci społecznej pamięci, czy w ujęciu naukowym – trzeba o niej na bieżąco obficie i jak najszerzej informować, a dla przyszłości – dokumentować. Historyk powie: gromadzić i przechowywać źródła. Solidarność, zrodzona z protestu, rosnąca lawinowo, spontanicznie i oddolnie, cały czas poddana opresji, jest mimo to chyba najlepiej udokumentowana spośród wielkich współczesnych ruchów społecznych. Choć dostęp do nośników informacji w porównaniu z dzisiejszym – epoka była wszak przedelektroniczna – miała niewyobrażalnie ubogi. Ale dokumentowaniem zajmowała się rzesza ludzi, powodowana własnym pragnieniem i trafnym wyczuciem potrzeby społecznej. Niezliczone biuletyny i czasopisma solidarnościowe (czy szerzej: drugoobiegowe) zaledwie w znikomym procencie są przez historyków wykorzystywane jako źródła. Tak samo jak dokumenty urzędowe (w ówczesnym języku: „kwity”) skrupulatnie wytwarzane na wszelkich szczeblach organizacyjnych związku. Nie dałbym głowy, że zostaną kiedykolwiek „przerobione”, po prostu z braku mocy. Wiele z tych dokumentów przepało lub rozproszyło się w stanie wojennym, ale i z tym, co ocalało, jest – nieczęsto doświadczany przez historyków – kłopot obfitości.

Jestem pod wrażeniem rzeczowej i arcyciekawej (choć aż nazbyt zwężonej) noty edytorskiej w omawianym tu pierwszym tomie stenogramu zjazdu w Olivii. Autor noty, Jan Marek Owsieński, dziennikarz radiowy, dokumentacją dźwiękową zjazdu, a także m.in. posiedzeń Krajowej Komisji Porozumiewawczej i Komisji Krajowej Solidarności zajmował się trzydzieści lat. To jego i nader nie licznego jak na skalę przedsięwzięcia grona współpracujących z nim osób zasługą jest kompletny lub bliski kompletności zbiór książek ze stenogramami posiedzeń KKP i KK, opracowanymi zgodnie ze standardami edytorstwa źródłowego. Praca

ta, włącznie z wydawaniem przygotowanych już tomów kolekcji stenogramów, a także autorskich opracowań historycznych, rozpoczęła się jeszcze w konspiracji, w orwellowskim roku 1984. Zwieńczeniem tego dzieła jest przygotowywany właśnie pełny zapis plenarnej debaty (trwają prace nad rekonstrukcją II tury) na I Krajowym Zjeździe Solidarności – najważniejszym przedsięwzięciu wewnątrzwiązkowym.

Owsieński przedstawił w nocy, jak doszło do nagrania obrad zjazdu – trwających po osiem, dzień, nawet dwanaście godzin przez osiemnaście dni. W lutym 1981 r. powstało Radio Solidarność Regionu Mazowsze – radio na kasetach, audycja co tydzień, godzina aktualności. Miało dostęp do wszelkich narad związkowych, włącznie z posiedzeniami KKP (wstęp na nie z prawem nagrywania od zawsze miała Janina Jankowska, autorka świetnego reportażu ze strajku sierpniowego; weszła w skład redakcji radia, wnosząc komplet tych nagrań). Radio to przygotowywało co dzień godzinną relację ze zjazdu. Zespół postanowił, że równolegle będzie sporządzać całościowy zapis obrad. Technicznie było to niemałe wyzwanie, ale też nikt w Solidarności nie był do tego lepiej profesjonalnie przygotowany; zespół składał się z doświadczonych dziennikarzy i dokumentalistów z Polskiego Radia. Według Marka Owsieńskiego udało się zarejestrować 99 procent obrad, łącznie 160 godzin materiału dźwiękowego: 48,5 godzin z I tury (to właśnie ich stenograficzny zapis plus aparat naukowy i edytorski zapełnił 1072 strony omawianego tu tomu) i 111 godzin z II tury.

13 grudnia 1981 r. archiwum mazowieckiego radia cudem ocalało. Redakcja miała za kilka dni przeprowadzić się do nowego lokalu w siedzibie Zarządu Regionu Mazowsze, więc Marek Owsieński złożył archiwum tymczasem w domu. W pierwszą noc stanu wojennego wszystkie materiały, które były w biurze Zarządu Regionu, zarekwirowało MSW, ale funkcjonariusze, którzy przyszli internować Owsieńskiego, zaniechali rewizji w jego mieszkaniu. W obozie dla internowanych Owsieński

dogadał się z jednym z szefów oficyny wydawniczej NOWA, Grzegorzem Bogutą, co do sposobów publicznego spożytkowania bezcennej dokumentacji. Po uwolnieniu utworzyli Archiwum Solidarności; wśród założycieli byli również Janina Janowska, dziennikarz Wojciech Adamiecki, artysta estradowy Jacek Fedorowicz (także członek redakcji radia Regionu Mazowsze) i historyk Andrzej Paczkowski. Dzieje tej podziemnej struktury Paczkowski przedstawił we wstępie (*Archiwum Solidarności 1983–1989*) do drugiego wydania w 2003 r. stenograficznego zapisu ostatniego posiedzenia Komisji Krajowej 11 i 12 grudnia 1981 r. Nazwał ją „największą i najbardziej aktywnie działającą nielegalną »firmą« zajmującą się dokumentacją historii związku” (22 książki opublikowane do 1989 r., kilkanaście innych przygotowanych do wydania). Obecnie jej kontynuacją jest Stowarzyszenie Archiwum Solidarności.

Oczywistym pierwszorzędnym tematem, można nawet powiedzieć: bohaterem omawianej tu książki, jest I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarność. Ale ma ona też drugiego, ukrytego bohatera: to właśnie niewielki zespół osób, których zbiorowe wieloletnie starania umożliwiły wydanie tej publikacji. Po szczegóły tej pasjonującej historii odsyłam do wspomnianych tekstów, noty Marka Owsinińskiego i wstępu Andrzeja Paczkowskiego (dostępny jest on również na stronie internetowej Stowarzyszenia Archiwum Solidarności). Tu wspomnę o kilku tylko osobach. Jerzy Farner, nieżyjący już radiowiec z Radia Solidarność Regionu Mazowsze, scalał i uporządkował taśmy z rejestracją I tury. Jacek Fedorowicz odnalazł i pozbierał cudze nagrania, dzięki którym można było uzupełnić luki. Iwonna Kowalska i Tomasz Tabako oraz jeszcze kilka innych osób przepisywało tekst. Marek Owsinski porównywał (kilkakrotnie) maszynopisy z nagraniami, rozpoznawał głosy nieprzedstawionych mówców i koordynował całość prac.

Podkreślić należy fenomenalną wprost pracę redakcyjną, która sprawiła, że wydrukowany materiał jest autentyczny, nie stracił właściwości żywej

mowy, ale został oczyszczony z nieskładności, zająknięć, powtórzeń i wszelkich usterek utrudniających albo i uniemożliwiających lekturę. Jaka to praca, wie tylko ten, kto sam kiedykolwiek opracowywał tekst swobodnej wypowiedzi spisanej z taśmy magnetofonowej. Na internetowej stronie Stowarzyszenia Archiwum Solidarności można znaleźć surowy, niezredagowany stenogram debaty na posiedzeniu komisji programowej zjazdu. Z trudem zrozumieć można zaledwie niewielkie jego fragmenty, a w skład tej akurat komisji wchodził prawie wyłącznie intelektualista, pracownicy naukowci, ludzie – zdawałoby się – potrafiący formułować myśli i składnie je komunikować...

Wstęp napisał Bartosz Kaliski, autor jedynej dotychczas historycznej monografii zjazdu pod tytułem *Antysocjalistyczne zbiorowisko* (Warszawa 2003). W tamtej książce skupił się głównie na debacie na temat ekonomicznej części programu Solidarności, stoczonej podczas II tury. Tutaj większą uwagę poświęcił innym dokumentom zjazdowym, debacie statutowej, sporowi o samorządność, *Posłaniu do ludzi pracy Europy Wschodniej*. Lektura obu tych tekstów daje bogaty i pełny obraz dorobku zjazdu. Krótkie, lecz treściwe przypisy biograficzne opracował Grzegorz Majchrzak, ograniczając przedstawienie działalności publicznej omawianych osób do lat 1980–1981. Jedynym odstępstwem od tej zasady są informacje o tym, kto w latach osiemdziesiątych emigrował z kraju. Bardzo to pożyteczne, choć zarazem nasuwające smutne refleksje, uzupełnienie. Kalendarium wydarzeń 1980 i 1981 r. sporządził Jan Marek Owsinski.

Do książki dołączono dwie płytki: mp3 z nagraniem obrad I tury zjazdu i CD z kopią numerów 1–3 „Biuletynu Zjazdowego” wydawanego przez komisję przygotowującą.

Dorobek zjazdu był, jest i na pewno będzie przedmiotem badań; stenogram nadzwyczaj je ułatwi. Ja zwróciłem uwagę na ciekawe rozwiązania proceduralne, dzięki którym zjazd mógł w miarę sprawnie i skutecznie wypełnić swoją powinność. Bardzo sprawnie zostały wyłonione organy

zjazdowe, m.in. dzięki powszechnej zgodzie na wybór *en bloc* list kandydatów zgłoszonych przez delegacje regionalne. Pożytecznym, zwłaszcza podczas debaty statutowej, było głosowanie sondażowe i wstępne, pozwalające zredukować inflację wniosków z poprawkami. W I turze głosowano wyłącznie jawnie, komisja do głosowań tajnych przez cały czas była bezrobotna (w II turze tajne były wybory przewodniczącego i Komisji Krajowej), przy czym zdecydowaną większość wyników oceniano na oko i nikt tego ani razu nie zakwestionował. Delegaci mogli przerwać mówcy wystąpienie przed upływem przeznaczonego czasu, kiwając uniesionymi mandatami, albo też większością głosów przyznać mu dodatkowy czas – i wielokrotnie z tego korzystali. Jednym z dowodów na zdolność zbiorowiska delegatów do zachowania homeostazy (o czym na bieżąco, jako obserwatorzy, niejednokrotnie powątpiewaliśmy, przypisując temu gronu raczej skłonności do samoudręczenia, a nawet samobójstwa) było kolejne rozwiązanie proceduralne. Otóż – chyba w akcie desperacji – pewien delegat zgłosił wniosek, aby przewodniczący obrad zawsze przed zarządzeniem głosowania nad projektem uchwały przeprowadził głosowanie, czy w ogóle uchwała w takiej sprawie wydaje się delegatom potrzebna. Wniosek ten przeszedł znaczną większością głosów...

Zasygnalizuję kilka usterek, które dostrzegłem w książce. Nie dotyczą one oczywiście samego stenogramu, tylko tekstów dodanych.

Szefa największej amerykańskiej centrali związkowej AFL-CIO, Lane'a Kirklanda, nie było na zjeździe (wstęp Kaliskiego, s. 21). Władze PRL odmówiły mu wizy, nie jemu jednemu zresztą. Podczas II tury zjazd uchwalił protest przeciwko niewpuszczeniu do Polski zaproszonych przez Solidarność zagranicznych związkowców.

Na s. 414–417 wydrukowany został stenogram konferencji prasowej rzecznika zjazdu Janusza Onyszkiewicza. Tekst ten jest bardzo ciekawy, także zresztą były wszystkie konferencje Onyszkiewicza, które odbywały się chyba codziennie (szko-

da, że nie ma np. zapisu konferencji po przyjęciu *Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej*). Nie zaznaczono jednak, że nie jest to część obrad plenarnych. Konferencje odbywały się w oddzielnym pomieszczeniu, z zasady nie uczestniczyli w nich delegaci (chyba że zaprosił ich rzecznik), a tylko akredytowani dziennikarze. Wyjątkiem była konferencja prasowa z udziałem Lecha Wałęsy bezpośrednio po zakończeniu I tury, przysłuchiwała się jej część delegatów, a także publiczności obserwującej zjazd pod halą Olivia, którą wyjątkowo wpuszczono do sali obrad plenarnych. Stenogram tej konferencji został również w książce zamieszczony, ale z zaznaczeniem tych specjalnych okoliczności. Błędnie zostało w nim odtworzone (s. 899) nazwisko jednego z dziennikarzy, powinno być Marek Kusiba (a nie Kusiła). W tymże stenogramie niektórym dziennikarzom dodano w przypisie metryczki, innym nie – i nie ma w tym nic dziwnego ani nagannego, szkoda jednak, że nie dodano przypisu biograficznego przy nazwisku Teresy Remiszewskiej, wybitnej żeglarki (pierwszy polski samotny rejs przez Atlantyk) i zasłużonej solidarnościowej dziennikarki.

W kalendarium (s. 917) pod datą 8 września 1980 r. podano, że powstał Środkowo-Wschodni Komitet Założycielski NSZZ w Lublinie; datowanie błędne, powinno być 10 września 1980 r.

W składzie komisji statutowej zjazdu (aneks, s. 1036) jest błąd w nazwisku delegata regionu rzeszowskiego: powinno być Wacław Zeman (jest Zenon). We właściwym stenogramie (moment zgłoszenia kandydata i jego zgoda na kandydowanie) nazwisko to widnieje w poprawnej wersji; być może literówka wkradła się do maszynopisu sekretariatu zjazdu.

I jeszcze rozwinięcie: Bartosz Kaliski we wstępie (s. 48) cytuje z „Pełzającego Manipula” (satyrycznego pisemka towarzyszącego zjazdowi, akredytowanego z całą powagą, a jakże, przy biurze organizacyjnym zjazdu) szyderczy wiersz (dla przykładu jeden, końcowy werset: „W Polsce słychać dziwny chichot Berii”). Podpisany jest on: A. Migo. A. to

Aleksander, a podpis to nie pseudonim. Migo był (i chyba jest) poetą, a w latach siedemdziesiątych funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa, ponoć następnie wyrzuconym z tej posady. W latach 1980–1981 odnalazł się jako działacz Solidarności w Krośnie, rzecznik, a nawet członek Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

Na sąsiedniej stronie (s. 49) autor wstępu błędnie łączy Eligiusza Naszkowskiego (był on tajnym współpracownikiem o pseudonimie „Grażyna”, a następnie oficerem SB) z regionem Pobrzeże. Naszkowski był przewodniczącym Międzyzakładowej Komisji Założycielskiej NSZZ Solidarność w Pile.

ZNAK

MIESIĘCZNIK



ZBIERAMY MYŚLI
ZAWSZE NOWE. OD 1946 ROKU.

DEBATY - IDEE - LUDZIE - KSIĄŻKI - ZDARZENIA

Miesięcznik „Znak” do kupienia w Empikach, dobrych salonach prasowych oraz na www.miesiecznik.znak.com.pl

www.facebook.com/miesiecznik.znak

Dofinansowano ze środków
Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
w ramach programu
operacyjnego „Promocja
czytelnictwa. Rozwój
czasopism kulturalnych”

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

JESIEŃ DEMOKRACJI: CARL GERSHMAN, ELŻBIETA MATYNIA, GUY SORMAN

kwartalnik

respublica

NOWA

nr 19/2012, **Jesień 2012**
209/rok XXXI, ISSN: 1230-2155
Cena 20 zł (VAT 5%)

Na wydanie 27 000
Wydruk 2800 egz.



MIE DZAY MIEŚCIE

FOTOSEJ
MICHAŁ
ŁUCZAK

ARTUR CELIŃSKI / MIKE DAVIES / TADEUSZ FERENC
DAVID HARVEY / ROGER KEIL / TADEUSZ MARKOWSKI
KACPER POBŁOCKI / SASKIA SASSEN / DOUGLAS YOUNG

DOMINIK ANTONIK / ANDRZEJ W. KANIOWSKI / TOMASZ KASPROWICZ / JOANNA KĘDZIERSKA
WAGDALENA KUBECKA / ANDRZEJ LEDER / TADEUSZ LUBELSKI / WACIEJ MALICKI
MICHAŁ PODUL / DIANA SARIŃSKA / MELVIN SCHUT / JERZYZ SODOLOWSKI / CYRIL SWOBODA

CNOTA TO WOLNOŚĆ » ESEJ O TOCQUEVILLE'U

CELIŃSKI
DAVIES
FERENC
HARVEY
KEIL
MARKOWSKI
POBŁOCKI
SASSEN
YOUNG

GERSHMAN
LEDER
LUBELSKI
MATYNIA
SORMAN

